



DAVID WEBER
LINDA EVANS

WROTA PIEKIEL

KSIĘGA PIERWSZA

WEBER DAVID EVANS

LINDA

Multiversum #1 Wrota Piekieł

tom I

DAVID WEBER LINDA EVANS

Księga Pierwsza

(Hell's Gate)

Tłumaczenie: Grzegorz Komerski

Dla Sharon,

Ponieważ z nią u boku

Mogę stawić czoła całemu multiwersum.

Dla Davida i Aubrey,

którzy sprawiają, że się uśmiecham

I dla Boba

za jego nieustanną pomoc techniczną.

Bez niego nie użyłabym żadnego z Talentów.

Rozdział 1

Wysoki żołnierz wyglądał jakby żywcem wycięto go z plakatu zachęcającego do wstąpienia do wojska. Jasne włosy i słuszny wzrost były spadkiem, który otrzymał od swych przodków z północnego Shalhoman. Teraz jednak znajdował się daleko, bardzo daleko – cały wszechświat dalej – od tamtejszych stromych klifów i skutych lodem fiordów. Jego maskujący mundur polowy był starannie wykrochmalony i wyprasowany w ostre jak brzytwa kanty. Stał na prowizorycznym, pokrytym błotem lądowisku, odwrócony plecami do mającego za nim portalu. Na tle polany, którą wydarto pyszniącej się dokoła dżungli, gdzie rozstawiono obóz, nieskazitelny mundur wyglądał równie nie na miejscu, jak obsypane już jesiennymi pocałunkami złota i czerwieni leśne giganty rosnące po drugiej stronie portalu. Wydawało się też, że jest całkowicie uodporniony na bzyzące mu koło ucha roje owadów nadlatujących z pobliskich bagien. Na ramieniu podoficera widniała oznaka Drugiej Andarańskiej Temporalnej Brygady Rozpoznawczej. Siwe kosmyki okalających jego skronie włosów zgrabnie harmonizowały z surowym, naznaczonym doświadczeniem, opalonym obliczem żołnierza.

Uniósł wzrok i spojrzał w oślepiająco jasne, popołudniowe niebo. Szaroniebieskie oczy, porażone promieniami zachodzącego słońca, zwężyły się w szparki. Hełm trzymał sztywno pod lewą pachą, a kciuk prawej dłoni zahaczył o skórzany pasek swej zawieszanej na ramieniu dragońskiej kuszy. Stał tak w nieznośnym upale już ponad pół godziny Temperatura nie wywierała na nim większego wrażenia. Na mundurze nie było znać najmniejszego nawet śladu potu, choć to akurat z pewnością było mylące.

Wydawało się, że może tak stać – jeśli zajdzie potrzeba – przez cały następny tydzień. W końcu jednak na bezchmurnym błękitnie nieba pojawił się czarny punkcik. Nozdrza żołnierza zadrgały z zadowolenia.

Przez chwilę obserwował jak ciemna kropka, powoli tracąc wysokość, zbliża się do lądowiska. Uniósł hełm i wsunął go sobie na głowę. Pochylił kark i osłonił oczy lewą ręką. Schodząc do lądowania smok podał skrzydła do tyłu. Z ziemi zerwały się tumany kurzu i zeschniętych traw. Powiał silny wiatr, wzbudzony uderzeniami pokrytych opalizującymi łuskami skrzydeł wielkiej bestii. Podoficer odczekał, aż na ziemi znieruchomieje ostatnia z rozszalałych gałęzek, opuścił dłoń i wyprostował się.

Przylot smoka był wyraźnym świadectwem tego, jak bardzo niedostępna była ich wysunięta placówka. Od bazy na wybrzeżu – którą zbudowano tam, gdzie w rodzimym wszechświecie żołnierzy ciągnęły się bagna królestwa Farshal, w północnowschodnim Hilmar – posterunek dzieliło nieco ponad siedemset dwadzieścia mil. Siedemset dwadzieścia mil bardzo niegościnnego terenu. Tutejsze błoto było równie wszechobecne jak to w Hilmar, więc transport powietrzny stanowił

jedyny sensowny sposób przemieszczania się. Sam podoficer dotarł z powrotem do bazy regularnym rejsem transportowego smoka niecałe czterdzieści osiem godzin temu. W trakcie podróży miał okazję przyjrzeć się dokładnie podmokłym terenom i zrozumiał jak ciężko byłoby poruszać się drogą lądową. Nie potrafił sobie odpowiedzieć na pytanie, w jaki sposób ktokolwiek zdoła wykorzystać pełnię możliwości portalu umieszczonego w środku tego zapomnianego przez bogów bagna. Nie wątpił jednak, że Zarząd Trans-Temporalnego Transportu Unii ma jakiś plan. ZTTTU dysponował przecież najlepszymi zespołami inżynierów we wszechświecie – a dokładniej we wszystkich znanych wszechświatach. Byli to ludzie posiadający doświadczenie w obsłudze portali znajdujących się w jeszcze mniej urokliwych miejscach.

Tak przynajmniej głosiła fama.

Smok posłuszny rozkazowi pilota opuścił się na kolana. Na uprząży zamontowanej do ramion potwora zjechał tylko jeden pasażer. Przybysz miał ciemne włosy i oczy. Był jeszcze wyższy od podoficera, mimo że wyglądał młodziej. Na obu krawędziach kołnierzyka nosił srebrną tarczę oznaczającą rangę setnika. Podobnie jak podoficer na ramieniu miał oznakę z ATDR i plakietkę z nazwiskiem – Olderhan, Jasak – na piersi. Powiedział coś do pilota i ruszył zdecydowanym krokiem przez błoto ku swemu jednoosobowemu komitetowi powitalnemu.

*** * ***

–Witamy z powrotem na naszym zadupiu! – szczechnął podoficer błyskawicznie stając na baczność. Zasalutował służbiście.

–Tak. Dziękuję starszy miecznik Threbuch – odparł przybysz przyjaźnie i zasalutował dużo bardziej swobodnie niż jego rozmówca. Wyciągnął rękę i mocno uściśnął dłoń starszego mężczyzny. – Ufam, że góra miała dobry powód, by mnie tu z powrotem ściągać, Otwał – dodał oschle na co podoficer zareagował uśmiechem.

–Wolałbym, żeby nie – to znaczy wolałbym, żeby pana tu nie ściągano – ale mam wrażenie, że tym razem im pan wybaczy – powiedział. – Swoją drogą jestem zaskoczony, że udało się im pana odszukać. Spodziewałem się, że o tej porze będzie pan już daleko w drodze powrotnej do Garth Showma.

–Też miałem na to nadzieję – przyznał cierpko Olderhan i pokręcił głową. – Niestety. Setnik Thalmayr zamarudził gdzieś po drodze, a magister Halathyn okazał się na tyle sprytny, że udało mu się mnie złapać. Gdyby zaczekał jeszcze choć dwa dni na Thalmayra byłbym już na statku, na tyle daleko od brzegu, że pewnie by mi się upiekło.

–Przykro mi, Sir – starszy miecznik uśmiechnął się szeroko. – Mam nadzieję, że

przekazuje pan Dowodzącemu Pięcioma Tysiącami, że mimo wszystko starałem się odesłać pana do domu na te urodziny.

–Och, ojciec wybaczy ci z pewnością, Otwal – zapewnił Jasak. – Choć teraz to przecież matka...

–Tylko nie to! – miecznik zadrżał przestraszony. – Nadal nie mogę zapomnieć tego, co pańska matka powiedziała mi, kiedy pięciotysięcznik przeze mnie spóźnił się na rocznicę ich ślubu.

–Ojciec nadal to pamięta. Jest ci wdzięczny za to, że w ogóle wrócił wtedy do domu – zauważył setnik. Miecznik wzruszył ramionami.

–Pięciotysięcznik okazał się po prostu zbyt twardy. To mężczyzna, któremu żaden jaguar nie dałby po prostu rady, Sir. Jedyłą moją zasługą było zatamowanie krwotoku.

–Sam się głupiec w tę historię wpakował i niczego więcej na pewno wtedy od ciebie nie chciał. – Miecznik badawczo rzucił okiem na młodszego mężczyznę. Setnik zaśmiał się. – To własne słowa ojca, Otwal. Przyrzekam ci, że nie można mnie oskarżyć o brak szacunku wobec taty.

–Wedle rozkazu, setniku – miecznik skinął głową.

–Skoro jednak nasi panowie i władcy uznali za stosowne oderwać mnie od urodzinowego tortu, to pewnie zaraz powiesz mi dlaczego, starszy mieczniku – głos setnika zabrzmiał nieco ostrzej. Brązowe oczy uważniej spojrzały na starszego żołnierza. Podoficer przyjął bardziej oficjalną pozę.

–Obawiam się, że szczegóły będzie musiał przekazać panu magister Halathyn. Wiem tylko tyle, że według niego testy potencjału pola tutejszego portalu wykazują, że w pobliżu może znajdować się jeszcze jeden. I to duży.

–Jak duży? – zapytał Jasak mrużąc oczy.

–Naprawdę nie wiem, Sir – odparł Threbuch. – Wydaje mi się, że magister Halathyn też jeszcze nie potrafi tego określić. Słyszałem tylko, jak mówił coś o klasie ósmej.

Jasak Olderhan uniósł brwi i cicho zagwizdał. Największym, odnalezionym dotąd portalem trans-temporalnym był portal Selkara. Należał on jednak do klasy siódmej. Jeśli magister Halathyn rzeczywiście wykrył tu ósemkę, to ten tonący w błocie kawałek dżungli stanie się wkrótce bardzo drogim kawałkiem dżungli.

–No, skoro to o coś takiego chodzi, starszy mieczniku – powiedział spokojnie po chwili – to prowadź mnie prosto do magistra Halathyna.

Halathyn vos Dulainah był bardzo sztywnym, bardzo ciemnoskórym i bardzo siwym człowiekiem o żylastej posturze. Bez wątpienia nie był jednak bardzo młody. Jasak nie miał pewności, lecz podejrzewał, że starzec dawno już przekroczył wiek, w którym urzędnicy Zarządu zezwalali Obdarzonym na odejście na spoczynek. Oczywiście magistrzowi Halathynowi nikt nie śmiał powiedzieć tego prosto w twarz. Od kilkudziesięciu lat naukowiec stanowił klasę sam dla siebie. Klejnotem w koronie ZTTTU był od chwili, kiedy – dwadzieścia lat temu – opuścił Akademię Mythal Falls. Od tamtej też pory niezwykle bawiło go opowiadanie nominalnym przełożonym, gdzie mogą sobie wsadzić swoje przepisy.

Nigdy nie wyjaśnił Jasakowi z jakiego powodu znalazł się w samym środku tego wilgotnego i zarobaczonego bagna. Nie powiedział także, dlaczego magister Gadrial Kelbryan, jego zastępca w Instytucie Garth Showma, przybyła tu za nim. Halathyn powtarzał tylko – z naiwnością, której nie udałby lepiej dwunastolatek przyłapany na wykradaniu ciasteczek ze spiżarni rodziców – że jest tu „na wakacjach”. Jasak nie wątpił, że starzec miał na tyle silne wpływy w ZTTTU, iż był w stanie spowodować by regularne transporty naginano do potrzeb jego wypoczynku, lecz podejrzewał, że tym razem chodzi raczej o jakiś tajny projekt naukowy. Magister Halathyn, rzecz jasna, nigdy tego nie potwierdził. Za bardzo bawiła go atmosfera tajemnicy, by tak łatwo dopuścić do jej rozwiania.

Starzec, jak zdradzały zarówno kolor jego skóry jak i „vos” przed nazwiskiem, był Mythalaninem i członkiem kasty *shakira*. Jasak Olderhan z zasady nie był zagorzałym wielbicielem Mythalan. Jeszcze mniejszą estymą darzył członków wspomnianej kasty. Magister Halathyn stanowił jednak wyjątek od reguły. Nie tylko zresztą od tej.

Gdy Jasak i idący za nim starszy miecznik Threbuch wkroczyli do namiotu, stukocąc buciorami o drewniane deski podłogi magister podniósł wzrok. Stuknął rysikiem w trzymany w ręku kryształ, zabezpieczając tym ruchem swoje notatki i obliczenia, i uśmiechnął się do setnika znad szklistego urządzenia.

–Jak się miewa mój ulubiony barbarzyńca? – zagaił wyśmienitą andariańszczyzną.

–Dziki i niepiśmienny jak zwykle, panie magistrze – odpowiedział z uśmiechem Jasak po mythalańsku.

Magister zachichotał z uznaniem i wyciągnął dłoń. Po powitaniu poprawił swoje płócienne, polowe krzeselko i wskazał gestem Jasakowi identyczne siedzenie stojące po drugiej stronie biurka.

–Przejdźmy do rzeczy Jasak – powiedział, gdy młodszy żołnierz wykonał niemy rozkaz. – Przepraszam, że cię tu z powrotem ściągnąłem. Dobrze wiem jak ciężko

było załatwić wyjazd na urodziny i wiem, że twoi rodzice na pewno porządnie się już stęsknili. Pomyślałem jednak, że przy tym akurat sam chciałbyś być osobiście. Co więcej, z całym szacunkiem dla setnika Thalmayra, nie jest mi specjalnie przykro, że nie dotarł na czas. Po prostu wolę, żebyś to właśnie ty dowodził tu jeszcze przez jakiś czas.

Jasakowi udało się powstrzymać grymas zanim ten odbił się na jego twarzy. Nie był to najprostszy wyczyn jego życia. Co prawda bardzo chciał – po raz pierwszy od sześciu lat – spędzić urodziny w domu, w rodzinnym Garth Showma, lecz przekazanie dowództwa nad „swoimi” ludźmi Hadrignowi Thalmayrowi wcale mu się nie uśmiechało. Częściowo dlatego, że był zazdrosny i dumny ze „swojej” kompanii C, a po części dlatego, że Thalmayr – choć starszy wiekiem – został przeniesiony do Drugiej Rozpoznawczej ledwie siedemnaście miesięcy temu. Z jego akt wynikało, że jest kompetentnym i dobrym oficerem, ale Jasak miał okazję spotkać go kilkukrotnie i nie spodobał mu się brak elastyczności starszego oficera. Bardzo jasno widział, że wcześniejsza służba w oddziałach piechoty liniowej wywarła niezatarte piętno na jego psychice, przekształcając go w człowieka z wyobraźnią, która nigdy nie była w stanie wykroczyć poza suche przepisy regulaminu. W oddziałach Rozpoznania Temporalnego nie było to mile widziane.

Nie mógł o tym jednak rozmawiać z cywilem, nawet jeśli ten cywil był osobą tak szanowaną jak magister Halathyn.

–Starszy miecznik wspominał coś o klasie osiem – powiedział brzmieniem głosu zamieniając stwierdzenie w pytanie. Magister Halathyn przytaknął.

–Chyba, że i ja, i Gadrial grubo się mylimy – zauważył machając ręką w kierunku liter i ezoterycznych formuł połyskujących w przejrzystym wnętrzu kryształu – to mamy tu do czynienia z co najmniej ósemką. Mam bowiem podejrzenia, że ten portal może być nawet większy.

Jasak oparł się na krześle i uważnie przyjrzał się pomarszczonej twarzy naukowca. Gdyby ostatnie słowa usłyszał od kogo innego zbyłby je, uznając, że ma do czynienia z wytworem rozbuchanej akademickiej fantazji. Magister Halathyn nigdy jednak nie oddawał się fantazjom.

–Jeśli się pan jednak nie myli – powiedział po chwili milczenia setnik – cały ten łańcuch tranzytowy może stać się dla Zarządu o wiele bardziej istotny niż dotąd.

–Może tak – zgodził się magister Halathyn – a może i nie – skrzywił się. – Bez względu na to jak duży okazałby się nasz nowy portal – stuknął w kryształ zamykając swe notatki – to ten tutejszy – wskazał przez okno namiotu na wznoszącą się na zachodnim skraju bagnistej polany potężną i niezwykłą dziurę we wszechświecie – to tylko trójeczka. To oczywiste wąskie gardło dla trasy wiodącej przez naszą

domniemaną ósemkę. Nie mówiąc już o tym, że i teraz znajdujemy się u kresu kosmicznie wręcz niewygodnej trasy.

–Wydaje mi się, że to po części będzie zależało od tego, jak odległy okaże się pański nowy portal od drugiej strony tego tu – zauważył Jasak. Teren stąd po wybrzeże jest fatalny, ale to w końcu tylko siedemset mil.

Siedemset dziewiętnaście koma trzy mile – poprawił magister Halathyn uśmiechając się krzywo.

–Dokładnie tyle – zgodził się Jasak odpowiadając uśmiechem na uśmiech. – Tak czy inaczej, to nadal śmiesznie blisko w porównaniu z większością innych połączeń między portalami. A jeśli nowy portal okaże się relatywnie niedaleko naszej trójki to mamy do czynienia z dubletem.

–Zaiste prymitywne określenie przestrzennie kongruentnej strefy transferu transtemporalnego – powiedział surowo Halathyn.

–Ja z natury jestem zaiste prymitywnym facetem – zgodził się wesoło Jasak. – Jakkolwiek by tego nie dzielić to i tak wyjdzie dwa do jednego.

–To prawda – przyznał Halathyn. – Przy założeniu oczywiście, że nasze obliczenia są prawidłowe. Gdyby okazało się, że nowy portal jest tak wielki jak myślę i, że jest blisko spokrewniony z tym tutaj, to nie wykluczałbym też możliwości, że mamy do czynienia ze skupiskiem.

Mimo wielu lat utrzymywania dyscypliny, magister nie zdołał ukryć ekscytacji w głosie ani też błysku w oku. Jasak wcale się temu nie dziwił. Skupisko portali... Przez większą część dwustu lat od początku eksploracji zespoły badawcze ZTTTU zdołały zlokalizować tylko jedno skupisko – Skupisko Zholhara. Dublety były codziennością. W całej historii wykryto jedynie szesnaście trypletów – co stanowiło mniej niż jeden na dziesięć. Odkrycie skupiska podobnego do tego w Zholharze miałoby więc dosłownie nieocenioną wartość.

W takiej odległości od centrum cywilizacji – znajdowali się na samym końcu Łańcucha Lamii, sporo ponad trzy miesiące podróży z Arkany, nawet jeśli pokonać całą tę odległość na priorytetowym smoku – to nawet skupisko wymagać będzie długich lat do pełnego wykorzystania. Jeśli jednak magister Halathyn miał rację, to ten łańcuch tranzytowy miał stać się o wiele cenniejszy niż dotąd. A ZTTTU nada mu z pewnością najwyższy możliwy status rozwojowy.

–Oczywiście – ciągnął Halathyn tonem człowieka, który z trudem trzyma emocje na wodzy – nie wiemy dokąd prowadzi ten mój nowy portal. Może wychodzić w samym środku Wielkiej Pustyni Ransarańskiej. Albo na jakiejś wyspie na środku Oceanu Zachodniego, tak jak Wylot Rycarh. Może też prowadzić w samo serce czapy

polarnej.

–Może się też okazać, że wynosi parę tysięcy stóp nad ziemię. Nie chciałbym zrobić tam pierwszego kroku – zgodził się Jasak. – Ale jeśli chcemy się o tym przekonać, to musimy to sami sprawdzić, prawda?

–Czytasz mi w myślach – przytaknął magister. Setnik spojrzał na głównego miecznika.

–Jak szybko możemy wyruszyć w kierunku wskazanym przez magistra, mieczniku?

–Obawiam się, że setnik będzie musiał spytać o to półsetnika Garlatha – odparł Threbuch monotownie. Jasak skrzywił się nieprzyjemnie. Bezbarwny ton głosu miecznika aż zbyt wyraźnie dawał do zrozumienia, co żołnierz myśli (i jeszcze parę innych rzeczy) o Dowodzącym Pięćdziesięcioma Shevanie Garlathu, oficerze Unii Arkany. Niestety, Jasak Olderhan miał osobiście dokładnie takie samo zdanie jak starszy podoficer jego kompanii.

–Jak sobie zapewne setnik przypomina – miecznik ciągnął jeszcze bardziej monotonnym głosem – ostatnią pańską decyzją przed odlotem było wydanie trzeciemu plutonowi zgody na urlop. W tej sytuacji to półsetnik Garlath przejął dowództwo.

Jasak przeklął się w duchu. Threbuch taktownie przypomniał mu, że pozostawienie Garlatha samego na tym zadupiu było jego własnym pomysłem. Ten pomysł w swoim czasie wydawał się dobry, nawet pomimo, że okazał się w końcu niezbyt trafiony. Nie – nie niezbyt. Bardzo nietrafiony. Widział zresztą, że choć miecznik Threbuch nie zaprotestował otwarcie ani słowem, to wyraz jego twarzy świadczył o tym, że decyzja o przekazaniu dowództwa Garlathowi bardzo mu się nie podobała. I to nie dlatego, że nie rozumiał, że półsetnik Therman Ulthar i jego ludzie zasłużyli na przepustkę, ale dlatego, iż uważał Shevana Garlatha za najmniej kompetentnego dowódcę plutonu w całej brygadzie. Powierzenie mu dowództwa czegokolwiek bardziej skomplikowanego od kramu z piwem nie mieściło się – w opinii miecznika – w definicji „dobrego pomysłu”.

–Musielibyśmy odwołać z wybrzeża pluton półsetnika Ulthara, gdyby zechciał go pan wykorzystać – dodał miecznik nadal wykazując się niezwykłym taktem.

Jasak poczuł ochotę, by wtrącić, że skoro magister Halathyn odwołał już jego z głównej bazy kompanii na wybrzeżu, to nie było najmniejszego powodu, który mógł by go powstrzymać przed ściągnięciem na bagna półsetnika Ulthara. Prawda była jednak taka, że nie mógł tego zrobić. Przede wszystkim dlatego, że gdyby tak się stało przyznałby się przed człowiekiem, który był najlepszym żołnierzem jego ojca, że popełnił błąd. Owszem – obaj i tak dobrze o tym wiedzieli, ale żadna siła nie

zmusiłaby setnika do tak otwartego przyznania się do pomyłki.

Drugim powodem – dużo ważniejszym – był przenikający szeregi Armii Arkany system patronacki. To on był jedynym powodem, dla którego Garlath nosił jeszcze mundur. Oficer nie był może tak dobrze umocowany, by starać się o awans, ale miał wystarczające koneksje, by w wypadku wymiany na innego półsetnika – tuż przed zapowiadającą się eksploracją potencjalnie ważnego portalu – jego sponsorzy zaczęli zadawać na górze niewygodne pytania. Jeśli wstępne ustalenia magistra Halathyna okazałyby się poprawne to nadchodząca operacja należała do tych, w których oficerowie mogli się wykazać przed przełożonymi.

Zdaniem Jasaka był to jeszcze jeden argument za tym, by powierzyć tę misję kompetentnemu młodemu oficerowi bez możliwych patronów, którego awans wyszedłby całej Armii na dobre. No ale...

–W porządku mieczniku – westchnął. – Przekażcie półsetnikowi Garlathowi moje pozdrowienia oraz to, że chcę by jego pluton był gotowy do drogi jutro o świcie.

*** * ***

Po drugiej stronie portalu było dużo chłodniej. Mimo, że różnica czasu wynosiła tylko godzinę w stosunku do czasu lokalnego, pierwszy pluton Dowodzącego Pięćdziesięcioma Garlatha był gotów – wbrew najszczerzszym staraniom Jasaka – do przejścia przez portal dopiero wczesnym popołudniem. Przekroczyli niematerialną granicę dzielącą od siebie hilmarańskie bagno i podbiegunowe obszary Andary. Wylot portalu znajdował się ponad Wielkimi Jeziorami Andarańskimi, pięć tysięcy mil na północ od miejsca, z którego wyruszyli, w miejscu, w którym powinno znajdować się królestwo Lokan. Dokładniej rzecz ujmując portal wychodził na wąskim przesmyku, oddzielającym jezioro Hammerfell i jezioro Białej Mgły od jeziora Królowej Kalthry. Co prawda w stosunku do bazy różnica czasu wynosiła tylko godzinę, lecz zmiana szerokości geograficznej sprawiła, że z samego środka wczesnego, upalnego lata wkroczyli w rześką jesień.

Jasak wychował się w rodzinnej posiadłości w Nowej Arkanie, niecałe osiemdziesiąt mil od miejsca, w którym wyszli, z tą różnicą, że Nowa Arkana była zasiedlona od ponad dwóch stuleci. Ziemia pod stopami żołnierza wyglądała podobnie jak w jego ojczyźnie, a chłodne, pełne spadających liści powietrze północnej jesieni stanowiło miłą odmianę po wilgotnym, dusznym klimacie bazy, lecz potężne drzewa pierwotnej puszczy nawet na nim wywierały przytłaczające wrażenie.

Gęstwina lasu i brak otwartych przestrzeni jeszcze mniej musiały podobać się półsetnikowi Garlathowi, wychowanemu na rozległych stepach Yanko. Setnik Olderhan, głównodowodzący Kompanii C, Pierwszego Batalionu, Pierwszego Regimentu Drugiej Andarańskiej Temporalnej Brygady Rozpoznawczej wiedział, że

nie powinien na oczach podwładnych traktować swych oficerów jak bandy starych bab, lecz ogarnęła go niemal nieodparta chęć, by kopnąć Garlatha w dupę.

Opanował się, choć nawet jemu – osobie zdyscyplinowanej od lat – przyszło to z trudem. W końcu Garlath był teraz temporalnym zwiadowcą. Służba w tej formacji wiązała się z częstymi i natychmiastowymi zmianami klimatu podczas transtemporalnych podróży. Oznaczało to też, że powinien zachowywać pewność siebie w obliczu nieznanego i umieć poruszać się we wszelkich warunkach i w dowolnie trudnym terenie. Żadną miarą nie znaczyło to jednak, że powinien dać się zastraszyć nieskończonym milom kwadratowym drzew.

Jasak odwrócił wzrok od żołnierzy, by choć na chwilę przestać się przejmować. Garlath tymczasem starał się zapanować nad swym oddziałem. Setnik odwrócił się tyłem do jesiennego krajobrazu północy i spojrzął przez portal na wilgotne bagno, z którego właśnie przybyli. Był to jeden z widoków, z którymi można się było oswoić, zwłaszcza jeśli – tak jak żołnierze Drugiej Andarańskiej – często podróżowało się pomiędzy wszechświatami, ale nikt nie był w stanie traktować go jak czegoś zupełnie naturalnego.

Magister Halathyn wyrażał się o tym portalu lekceważąco. Nazywał go „zwykłą trójką”. I oczywiście ta klasyfikacja była słuszna. Istniało wiele większych portali, lecz nawet „zwykła trójka” ciągnęła się na przestrzeni niemal czterech mil. Wielki, dysk wycięty z wszechświata... i wklejony do innego.

Widok ten stanowił coś więcej niż tylko osobliwość krajobrazu. Co więcej, jeśli nie widziało się portalu osobiście, to ciężko było to zrozumieć.

Sam Jasak tylko powierzchownie pojmował współczesną teorię portali. Fascynowały go jednak niezmiernie. Portale, jak sądzono, miały jedynie dwa wymiary – szerokość i wysokość. Nikomu nie udało się zmierzyć głębokości żadnego z nich. Wskazywało to na fakt, że nie było jej wcale. Oglądany z boku portal stanowił linię, widzialną, lecz niemierzalną. Linię, na której kończył się wszechświat... i zaczynał się inny.

Jeszcze bardziej fascynujący był sposób, w jaki portale łączyły ze sobą wszechświaty.

Obserwator stojący po wschodniej stronie portalu we wszechświecie A, patrząc na zachód widział część wszechświata B. Nie było natomiast wiadomo, w którym kierunku wszechświata B spogląda – strony świata obu stron portalu nie pokrywały się ze sobą. Jeśli obserwator przeszedłby przez portal do wszechświata B i odwrócił się za siebie zobaczyłby dokładnie to, czego mógł się spodziewać – to miejsce we wszechświecie A, z którego właśnie wyszedł. Gdyby jednak wrócił do wszechświata A i obszedł portal dookoła, na jego zachodnią stronę i spojrząłby na wschód, to ujrzałby widok odwrócony o 180 stopni od tego, który oglądał wcześniej. I gdyby

teraz wszedł do wszechświata B, znów miałby portal za plecami, tyle, że tym razem widziałby za sobą zachód, a nie wschód wszechświata A.

Teoretycy nazywali ten efekt „przeciwintuicyjnym”. Większość zwiadowców temporalnych, w tym Jasak, nazywało go efektem „nie przejdiesz”. Nie można było bowiem znaleźć się po drugiej stronie portalu w tym samym wszechświecie bez obchodzenia go dokoła. Zasada ta sprawdzała się w wypadku wszystkich portali we wszystkich wszechświatach, więc nie można było przejść przez portal w jedną stronę, potem wrócić i pojawić się po drugiej stronie we wszechświecie wyjściowym bez okrążenia go.

Szczerze mówiąc, za każdym razem kiedy ktoś tłumaczył Jasakowi zasadę działania portali, oficer czuł, jak puchnie mu mózg. Inżynierowie projektujący infrastrukturę baz wokół portali wykorzystywali jednak ten efekt jak coś najzwyczajszego w świecie. Każdy musiał się do tego, rzecz jasna, przez jakiś czas przyzwyczajać. Częstym widokiem, na przykład, były dwa szeregi ślizgaczy wjeżdżające na pełnym gazie w ten sam portal z dwóch stron. Wydawało się, że dojdzie do nieuchronnego zderzenia i to bez względu na to, ile czasu ktoś poświęcił na studiowanie działania portali. Oczywiście jednak, do żadnych wypadków nie dochodziło. Kiedy oglądało się obie kolumny pojazdów z drugiego, docelowego wszechświata widziało się je, pojawiające się nagle w przestrzeni w jednej chwili, ale zmierzające w przeciwnych kierunkach.

Z czysto wojskowego punktu widzenia te szczególne właściwości podróży transtemporalnych mogły okazać się więcej niż tylko kłopotliwe. Unia Arkany nie prowadziła jednak żadnej poważnej wojny od ponad dwustu lat.

Jasak stał właśnie w środku portalu, przez który chwilę temu przeszedł. Spojrzał za siebie na wysunięty posterunek w dżungli. Słońce oświetlało bagna pod wyraźnie innym kątem i wywoływało cienie dziwnie kontrastujące z chłodnym lasem północy, w którym się znaleźli. Roje bagiennych owadów przekraczały z głośnym brzęczeniem granicę portalu, po czym od razu zawracały wystraszone chłodnym wiatrem.

Ten konkretny portal był względnie nowy. Teoretycy nadal spierali się w jaki sposób i dlaczego portale powstawały, lecz od ponad stu osiemdziesięciu lat wiadomo było, że wciąż tworzą się nowe. I to wcale nie rzadko. Ten pojawił się na tyle dawno, że gigantyczne drzewa przepołowione w momencie jego wystąpienia zdążyły już zeschnąć i umrzeć. Stały teraz, niczym zniszczone, wypalone kominy. Widać jednak było, że wkrótce pokona je ostry północny wicher. Fakt, że jeszcze nie padły oznaczał, że portal musiał pojawić się jedynie kilka lat temu.

Jasak pomyślał z goryczą, że uporządkowanie plutonu zajmuje półsetnikowi Garlathowi niewiele krócej.

Jednak Garlath zdołał wreszcie ustawić swoich żołnierzy w szyku marszowym.

Prawie. Żołnierz na szpicie był wysunięty zbyt daleko od reszty, tak samo jak zwiadowcy na flankach. Jasak zacisnął zęby i powstrzymał się od zwrócenia uwagi oficerowi. Na razie. I tak wiedział, że musi odbyć z Garlathem rozmowę na temat niedopuszczalnego opóźnienia wymarszu, ale odłożył to do momentu, kiedy rozbiją obóz i będzie mieć możliwość „naradzenia się” z podwładnym na osobności. W sytuacji, w której kompania C była oddzielona od reszty batalionu, stanowiąc jedyną siłę zbrojną na końcu łańcucha tranzytowego, zachowanie dyscypliny było szczególnie istotne i nie mógł dać żołnierzom powodu do myślenia, że uważa ich dowódcę za kompletnego idiotę.

Zwłaszcza, że tak właśnie było.

Zamiast więc rzucić się na Garlatha ze świeżym dowodem jego braku kompetencji w rękach, spojrział jedynie wymownie na starszego miecznika Threbuca i ruszył z nim za Garlathem w towarzystwie magister Kelbryan.

Jasak miał już wcześniej dwukrotnie przyjemność służby u boku magistra Halathyna. Kelbryan jednak widział po raz pierwszy. Pracowała z Halathynem od co najmniej dwudziestu lat – i tak naprawdę stanowiła jeden z głównych powodów dla których ZTTTU wynajął Halathyna. Zazwyczaj jednak nie ruszała się z domu, pilnując spraw w stworzonym przez starego naukowca instytucie Garth Shaloma na Nowej Arkanie. Jasak zawsze sądził, że działa się tak, ponieważ przedkładała uroki cywilizacji nad dzikość pogranicza. A przynajmniej, że nie miała wielkiej ochoty przedzierać się przez dzicz wraz z andarańskimi zwiadowcami.

Nie znał jej zbyt dobrze. W zasadzie w ogóle jej nie znał. Przybyła do bazy dopiero trzy tygodnie temu i pod wieloma względami zachowywała się bardzo skrycie. Ten czas jednak wystarczył, by okazało się, że jego wcześniejsze przypuszczenia były niesłuszne. Kelbryan była od niego parę lat starsza. Jej migdałowe oczy, sandałowa cera i ciemne, brązowoczarne włosy zdradzały ransarańskie korzenie kobiety. Miała około metra siedemdziesięciu, co jak na Ransarankę stanowiło niezły wynik... w końcu Jasak nie był od niej dużo wyższy. Była szczupła i delikatna, ale wyraźnie sprawna i wysportowana. Wszelkie dotychczasowe trudy pracy dla Zarządu znosiła bez słowa sprzeciwu.

Była także bardzo, bardzo dobrym fachowcem. Tego, rzecz jasna, można się było spodziewać. Magister Halathyn sam osobiście przecież dobierał sobie zastępców. Jasak zdał sobie niedawno sprawę, że prawdziwym powodem, dla którego Kelbryan pozostawała większość czasu w instytucie nie była jej „delikatność”, lecz fakt, iż była jedyną osobą, której Halathyn mógł z zaufaniem powierzyć swój „interes” na czas swej nieobecności. Jej akademickie i naukowe osiągnięcia stanowiły olśniewający dowód wrodzonych zdolności kobiety. Co więcej, pomimo dzielących ich różnic kulturowych, była bardzo – z wzajemnością – oddana swemu przełożonemu.

Jasak dobrze wiedział, że magister Halathyn bardzo chciał towarzyszyć im dzisiejszego ranka, lecz wszystko ma swoje granice. Gotów był przymykać oczy na podeszły wiek vos Dulainaha, póki naukowiec przebywał bezpieczny w bazie. Nie miał jednak najmniejszego zamiaru ryzykować życiem i zdrowiem kogoś tak wartościowego, osoby, którą bardzo lubił, na patrolu tego rodzaju. Magister Kelbryan poparła żołnierza, gdy starzec spojrzał błagalnie w jej stronę i nie było już odwrotu. Halathyn poddał się nieuniknionemu z żalem, wzdychając jedynie żałośnie, kiedy wydawało mu się, że nikt już tego nie usłyszy.

Setnik przyglądał się młodszemu magistrzowi zespołu, kiedy przedzierała się przez gęste leśne poszycie niemal tak samo cicho jak jego żołnierze. Mimo, że nigdy wcześniej z nią nie pracował – a może właśnie dlatego – był pod silnym wrażeniem jej osoby. A także, co musiał przed sobą przyznać, jej urody.

Kelbryan otworzyła skórzany przyborek zawieszony u pasa i wydobyła z niego jedno ze swych tajemniczych urządzeń. Jasak sam był technicznie Obdarzony, choć jego Dar był na tyle znikomy, że bardzo często był tak zaskoczony nowoczesnymi procedurami badawczymi, że nawet ich nie zauważał. Poczuł to niejasne, niepokojące uczucie, jakie zawsze towarzyszyło mu w obecności kogoś o Darze o wiele silniejszym od jego własnego. Kobieta spojrzała na ekran kryształu. Jej usta poruszyły się bezgłośnie. Uruchomiła urządzenie.

Kryształ zamigotał. Jasak podszedł do Kelbryan i spojrzał jej przez ramię. Wyczuła jego obecności podniosła wzrok. Przez chwilę spodziewał się, że będzie na niego zła, ale kobieta uśmiechnęła się i przekręciła nadgarstek tak, by lepiej widział.

Pod wieloma względami urządzenie wyglądało jak zwykły kryształ nawigacyjny będący standardowym wyposażeniem pracowników i żołnierzy Zarządu. Bez trudu odszukał na nim wskaźniki długości i szerokości geograficznej oraz zegary. Jeden wskazywał lokalny czas bazy na bagnach, drugi natomiast automatycznie dostosowywał się do czasu panującego po drugiej stronie portalu. Zidentyfikował też kompas i wskaźniki kierunku. W samym środku kulistego kryształu sarkolisu widniała jednak dodatkowa strzałka, otoczona z obu stron wykresami. Takich wskaźników standardowe kryształy, z jakimi wcześniej Jasak miał do czynienia, nie posiadały.

–To – powiedziała cicho wskazując zielony wykres – wskazuje przybliżoną odległość od portalu, a to – stuknęła w czerwony – jest przybliżona moc jego pola. Strzałka wskazuje, oczywiście – wyjaśniła z uśmiechem – kierunek.

–Nigdy wcześniej nie widziałem takiego urządzenia – przyznał Jasak i cmoknął z podziwem.

–To dlatego, że to nasz własny wynalazek. Mój i magistra Halathyna – odparła. –

Tak naprawdę to projekt jest autorstwa Halathyna, a ja zajęłam się tylko prostymi technicznymi kwestiami, zakłęciami i poskładaniem tego do kupy.

–Jasne, jasne – powiedział Jasak kręcąc głową.

–Naprawdę! – oznajmiła z naciskiem. – Całe piękno tego urządzenia leży w stojącej za nim teorii. Po tym, jak on już wszystko obmyślił część techniczna okazała się względnie prosta. Czasochłonna, ale banalna.

–Może dla pani – zauważył Jasak.

Kobieta wzruszyła ramionami.

–Ważne jest to – ciągnął pozwalając jej uniknąć dalszej rozmowy na temat własnych umiejętności – że nigdy wcześniej nie miałem w rękach kryształu nawigacyjnego wskazującego drogę do niezbadanego jeszcze portalu. Cholernie fajna, za przeproszeniem, sprawa. W takim terenie jak ten standardowe urządzenia nie dają rady. Gubią sygnał – wskazał ręką otaczające ich drzewa a nie można tu przeprowadzić rozpoznania z powietrza smokiem, ani nawet gryfem.

–Dokładnie z tego powodu magister Halathyn poświęcił temu urządzeniu kilka lat pracy – zgodziła się Kelbryan. Także z tego powodu pozwoliłam mu tu przyjechać. – Z jakiegoś powodu Jasak odniósł wrażenie, że użyła czasownika „pozwalać” z jakiegoś bardzo konkretnego powodu. – Chciałam, żeby to przetestował.

–I dlatego też sama pani tu przybyła? Jeśli wolno wiedzieć? – spytał Jasak.

–Dlatego... i po to też, by mieć oko na magistra Halathyna – przyznała z nieznacznym uśmiechem.

–Co mówi mojemu nieprzeciętnie inteligentnemu rozumowi, że jednak miała pani spory udział w pracy nad tym projektem – stwierdził Jasak. – Nie wyobrażam sobie, by władze Instytutu pozwoliły dwojgu swoich najlepszych magistrów na czteromiesięczną wycieczkę do lasu, jeśli oboje nie byłiby tam niezbędnymi.

–Być może jest w tym trochę racji – przyznała po chwili. – Jeśli mam być zupełnie szczerą i nie umniejszać swych zasług, to zależało mi na przyjeździe tu także dlatego, by nie pozwolić Halathynowi na samodzielne próby ewentualnych modyfikacji tego sprzętu. Poza tym – uśmiechnęła się zaraźliwie – to pierwsze moje „wakacje” od pięciu lat!

–Ale po co te wszystkie tajemnice? – dociekał Jasak. – ZTTTU musi być szalenie dumny z tego urządzenia. Dlaczego więc Halathyn tak skrzętnie ukrywał prawdziwy powód swojego pobytu?

–To nie ma nic wspólnego z ZTTTU, ani żadnym innym oficjalnym organem Unii – odparła. Jasak wyczytał z jej tonu i wyrazu twarzy, że wolałaby nic więcej nie mówić. Spojrzała jednak na niego i po krótkim zastanowieniu wzruszyła ramionami.

–Pewnie już pan słyszał, że magistrowie potrafią zachowywać się nieco... paranoicznie, kiedy w grę wchodzi ich badania – uśmiechnęła się przelotnie. Jasak zdołał przemienić swój śmiech w niezbyt przekonujące kasznięcie. „Nieco paranoicznie” w tym kontekście brzmiało niemal tak, jak nazwanie jeziora Białej Mgły „nieco tylko mokrym”.

–No dobrze. Wiem, że trochę bardziej niż tylko „nieco” przyznała kobieta niechętnie, odpowiadając uśmiechem. Spoważniała jednak po chwili i pokręciła głową. – Cała sprawa sięga daleko poza magistra Halathyna. Nie ma mowy, by puścił na zewnątrz choć słowo o takim projekcie przed jego ukończeniem. Nie chciał, by dowiedzieli się o nim Mythalanie.

Jasak skinął głową. Nagle wszystko stało się jasne.

–Nie chcę przez to powiedzieć, że magister Halathyn nie darzy pana, setniku Olderhan, najwyższym szacunkiem – ciągnęła. – Prawdziwym powodem naszej tu obecności jest lokalizacja. Nie ma innego miejsca bardziej oddalonego od Akademii Mythal Falls, w którym mogliśmy przeprowadzić testy terenowe. I...

Urwała i obrzuciła go oceniającym, przeszywającym do szpiku kości spojrzeniem. Jasak nie lubił takich spojrzeń. Po chwili najwyraźniej podjęła jakąś decyzję, pochyliła się ku niemu i zniżyła głos.

–Prawdę mówiąc – powiedziała cicho – trochę podrasowaliśmy oryginalny projekt. Dokonaliśmy zmian, które koniecznie wymagają sprawdzenia, przed ich ujawnieniem. Zapewne nie uda mi się przetestować wszystkich możliwości tego urządzenia w czasie jednej podróży, ale proszę tylko spojrzeć.

Uderzyła rysikiem w kryształ. Strzałka i oba wykresy natychmiast zniknęły. Po chwili zajarzyły się znowu. Tym razem wyglądały jednak inaczej.

Kobieta spojrzała na Jasaka unosząc jedną brew. Żołnierz zmrużył oczy. Nagle otworzył je szeroko i spojrzał na nią intensywnie.

–Dokładnie – powiedziała jeszcze ciszej. – Według pierwotnego projektu Halathyna urządzenie miało wykrywać najbliższy portal i nakierować na niego ekipę badawczą. Kiedy jednak zagłębiliśmy się w teorię okazało się, że możemy użyć kilku zaklęć lokalizujących naraz.

–Czyli to... – Jasak wskazał na ekran – oznacza, że jest tam drugi portal?

–O ile urządzenie działa prawidłowo i...

Uderzyła ponownie w kryształ. I jeszcze raz. I po raz czwarty. Za każdym razem na ekranie pojawiała się nowa strzałka i nowe wykresy mocy i odległości. Jasak głośno przełknął ślinę.

–To dlatego Halathyn wspominał o skupisku? – zapytał. Kobieta skinęła głową.

–Albo to coś zwariowało – co zawsze jest możliwe, choć niechętnie się do tego przyznajemy – albo z tym portalem jest powiązanych w sumie pięć innych – ruchem głowy wskazała na portal wiodący na bagna. – A dokładniej, ten portal, jest jednym z przynajmniej pięciu powiązanych z tym. – poprawiła się wywołując na kryształach największy i najbliższy z portali.

–Przynajmniej? – zauważył Jasak i Kelbryan znów przytaknęła.

–Nie spodziewaliśmy się znaleźć czegoś takiego już podczas pierwszego testu polowego Sir Jasak. W urządzeniu jest tylko sześć zakłęb. Teoretycznie możemy zagnieździć około piętnastu. Może nawet dwadzieścia. Po prostu nie widzieliśmy takiej potrzeby. Przede wszystkim dlatego, że Skupisko Zholhar składa się tylko z sześciu portali i odnalezienie większego było według nas prawie niemożliwością.

–Bogowie – Jasak westchnął. Wpatrywał się w kryształ przez kilka sekund po czym otrząsnął się. – Zaczynam rozumieć, dlaczego tak zależało wam na tajemnicy.

–Tego się właśnie spodziewałam. Co więcej – oczy jej zabłyśły – mimo, że jestem zadowolona ze sposobu w jaki działa to urządzenie mam wrażenie, że nadal może pan nie dostrzegać jednej cechy odróżniającej to skupisko od Zholhar.

–Jakiej? – Jasak oderwał wzrok od ekranu i spojrzał na kobietę.

–Portale ze Skupiska Zholhar są od siebie oddalone o trzy tysiące mil. Maksymalny zasięg naszego detektora wynosi około dziewięćset. Według dotychczasowych wskazań najdalszy wykryty tu portal znajduje się niecałe sześćset mil od tego.

Jasak wciągnął potężny haust powietrza. Minimum pięć dziewięćset portali w promieniu sześćset mil jeden od drugiego? Bogowie! Mogło z nich brać początek pięć zupełnie nowych łańcuchów tranzytowych. Z jednego miejsca! Przemyślenie możliwych implikacji takiego odkrycia zajęło mu dobrą chwilę. Gdy upłynęła uśmiechnął się krzywo.

–To dlatego magister Halathyn zachowuje się jak samica gryfa na jajach!

–Tak – uśmiechnęła się wesoło. – Dokładnie tak się zachowuje. Pozbycie się go stąd zanim namierzymy wszystkie te portale wymagałoby chyba bezpośrednio

interwencji bogów. Oczywiście, przy założeniu, że to skupisko istnieje naprawdę. Nie zapominajmy, że to tylko test polowy. Najedlibyśmy się porządnego wstydu, gdyby okazało się, że szukamy wiatru w polu.

–To raczej mało prawdopodobne, biorąc pod uwagę, że zajęliście się tym akurat wy, pani magister Kebryan – powiedział uśmiechając się w odpowiedzi. Po czym skłonił się i skierował rozmowę na inne tory.

–Niedługo wszystko się wyjaśni. W jedną lub drugą stronę – zauważył. – Jak daleko jesteście od najbliższego portalu?

–Zakładając, że ani magister Halathyn, ani ja nie popełniliśmy jakiegoś błędu tworząc ten detektor, to jakieś trzydzieści mil w tamtą stronę – odparła wskazując prawie dokładnie na północ, w przeciwnym kierunku do jeziora Białej Mgły.

–Czyli, w tym terenie, około piętnastu godzin forsownego marszu – zamyślił się Jasak. – Dodając do tego czas na odpoczynki, obozowanie i konieczność wyszukiwania drogi, dwa razy tyle. O ile nic nas nie zatrzyma.

Rzucił okiem na zegar wskazujący miejscowy czas. Podniósł wzrok i spojrzał przez gęste, jesiennie listowie na słońce i skrzywił się. O tej porze roku dni stawały się już coraz krótsze. Zrozumiał, że przed zmrokiem na pewno nic zdążą.

–Półselniku Garlath! – krzyknął.

–Sir? – Shevan Garlath był wysokim i chudym, ciemnowłosym mężczyzną niemal dziesięć lat starszym od Jasaka. Urodził się w Yanko, lecz jego rodzina przybyła tam z któregoś z małych hilmarańskich królestw niecałe pięćdziesiąt lat wcześniej. Widać to było po jego mocnym nosie i bardzo ciemnym odcieniu oczu.

–Musimy odbić nieco dalej na wschód – powiedział Jasak wskazując dłonią kierunek, w którym wychylała się strzałka na kryształ Kelbryan. – Pójdziemy jeszcze przez trzy lub cztery godziny, potem staniemy obozem. Znajdźcie odpowiednie miejsce.

–Tak jest, Sir – odpowiedział Garlath tonem, który przypadkowego widza mógłby doprowadzić do przekonania, że ogląda kompetentnego oficera. Zwrócił się do miecznika plutonu.

–Słyszałeś setnika, mieczniku Hamak. – syknął.

–Tak jest, Sir. – potwierdził przysadzisty, brodaty podoficer i ruszył żwawo na szpicę plutonu. Jasak patrzył za nim przez chwilę myśląc o tym, że Garlath miał niezwykle szczęście, pracować z miecznikiem na tyle dobrym by całość choć sprawiała wrażenie dobrze dowodzonej.

Kapitan Janaki chan Calirath zerwał się ze swojego śpiwora tak gwałtownie, że najbliższy strażnik aż podskoczył z zaskoczenia. Młodszy zbrojny chan Yaran odwrócił się w stronę dowódcy swojego plutonu i wzdrygnął się, gdy duży, pokryty ciemnymi pręgami sokół wędrowny wzbił się w powietrze z gałęzi tuż obok śpiwora. Ptak zaskrzeczał surowo i gniewnie. Wzleciał w jasną, chłodną noc i zaczął nad nimi krążyć... jakby trzymając straż.

Yaran stał przez chwilę w bezruchu. Czekał, aż kapitan coś powie. Cokolwiek. On jednak po prostu siedział. Nie drgnął mu nawet mięsień.

–Kapitanie? – odezwał się niepewnie chan Yaran. Nie było odpowiedzi. Zbrojny podszedł nieco bliżej. – Kapitanie?

Nadal nic. Chan Yaran poczuł, że mimo chłodnego wiatru omiatającego obóz, zaczyna się pocić. W nieruchomej postaci oficera było coś... złowieszczego. Takie zachowanie byłoby niepokojące w każdej innej sytuacji, lecz Janaki chan Calirath nie był zwykłym oficerem Imperialnej Piechoty Morskiej. Nie mówiono o tym głośno, lecz każdy podkomendny kapitana był Ternathianinem (Yaran wiedział – iż nie był to jedynie przypadek), co sprawiało, że skamieniały i milczący dowódca sprawiał jeszcze bardziej przerażające wrażenie.

Chan Yaran podszedł do oficera jeszcze bliżej. W świetle ogniska zobaczył jego twarz. Oczy kapitana były szeroko otwarte, odbijały się w nich płomienie. Nie mrugał. Chan Yaran przełknął głośno ślinę. Co, do cholery, powinien zrobić?

Rozejrzał się dokoła i pochylił nad oficerem.

–Wasza wysokość? – powiedział bardzo, bardzo cicho.

Nieruchome, wbite w płomienie oczy ani drgnęły. Yaran zmełł w ustach przekleństwo. Wziął głęboki wdech, podszedł do innego śpiwora i delikatnie trącił ramię śpiącego w nim człowieka.

Starszy zbrojny Lorash chan Braikal zerwał się niemal tak gwałtownie, jak chwilę temu zrobił to kapitan. W odróżnieniu od dowódcy, starszy podoficer trzeciego plutonu w jednej chwili stał się zupełnie świadomy otaczającej go rzeczywistości. Chan Braikal nie wybrał swego obecnego miejsca przez przypadek. Jego oczy wymierzyły w chan Yarana niczym dwie pistoletowe lufy.

–Czego?

W tym zwięzłym, stłumionym pytaniu nie było słyhać już ani śladu snu, z którego został przed chwilą wyrwany. Zadane zostało niemal towarzyskim tonem, ale chan

Yaran nie dał się temu zwiść. Co prawda chan Braikal nie rzucał się nikomu do gardła bez powodu, lecz biada temu, kto niepokoiłby go w środku nocy bez przyczyny.

–Chodzi o kapitana – wyjaśnił chan Yaran. Oczy chan Braikala rozszerzyły się nieco. – On... usiadł – ciągnął podoficer. – Usiadł i siedzi nieruchomo, tępo wpatrzony w ogień. Nawet nie mruga!

–Na rydwan Vothana! – mruknął chan Braikal. Podniósł się i podszedł do kapitana. Przyklęknął i spojrzał w oczy oficera. Widać było przy tym, że z największą ostrożnością stara się go nie dotykać.

–Czy nie powinniśmy... no, czegoś zrobić? – zapytał chan Yaran. Chan Braikal prychnął groźnie nie odrywając wzroku od dowódcy trzeciego plutonu.

–Gównu możemy zrobić – warknął starszy zbrojny. – Przynajmniej dopóki to się nie skończy.

–Czy... Czy to jest Przebłysk? – zapytał chan Yaran niemal szeptem. Chan Braikal zaśmiał się gardłowo.

Widziałeś dokładnie tyle samo Przebłysków co i ja – powiedział. – Ale niech mnie licho, jeśli cokolwiek innego mogło wprawić go w taki stan. Masz lepszy pomysł?

Chan Yaran powoli pokręcił głową.

–Tak właśnie myślałem – burknął chan Braikal i przysiadł na piętach. Przez kilka chwil wpatrywał się bez słowa w nieruchomy profil księcia koronnego Ternathii, po czym westchnął.

–Ale jedno możemy zrobić na pewno – odezwał się w końcu patrząc na chan Yarana. – Możemy otworzyć butelkę whiskey, którą mam w jukach. Może mu się za chwilę przydać.

Chan Yaran skinął ponownie i odszedł. Starszy zbrojny odesłał go między innymi po to, żeby znaleźć podkomendnemu jakieś zajęcie i odwrócić jego uwagę od dowódcy. Teraz dobrze by było, by ktoś odwrócił jego własną uwagę.

Twardy, doświadczony podoficer prychnął znów, lecz bez śladu wesołości. Trzeci pluton stał o tydzień drogi od Fortu Brithik, do którego zmierzali by, wzmocnić siły kapitana Halitu. Góry zostały daleko za nimi. Droga do Brithik wiodła przez rozległe równiny, lecz nawet tutaj jesienne, rozgwieżdżone noce były już zimne. Pod niezmierzoną kopułą stepowego nieba czuli się bardzo osamotnieni. Pluton liczył dziewięćdziesięciu siedmiu ludzi – wysyłane na pogranicze jednostki zawsze były nieco osłabione, a oni mieli i tak szczęście, że do pełnego stanu jednostki brakowało

im jedynie jedenastu żołnierzy. Byli teraz jedynymi ludźmi wśród tych starożytnych gór, nigdy wcześniej nie tkniętych stopą rozumnej istoty.

Kiedy, siedemnaście lat temu Lorash chan Braikal wstępował do Imperialnej Piechoty Morskiej, zrobił to przede wszystkim z tego właśnie powodu, iż jednostki te często wysyłano w miejsca takie jak to. Kierowano ich wprost w dziewicze świąty, świąty pełne pustych przestrzeni rozciągających się jak okiem sięgnąć. Dzikie i wolne wszechświaty. W trakcie swej kariery oglądał już ich tysiące i zdążył się wielokrotnie przekonać, że trafnie wybrał swoje powołanie.

Dzisiejszej nocy jednak nie miał wrażenia, że ciągnące się dokoła połacie stepu są miejscem, które mogło stanowić przyszłe siedlisko ludzi. Gdy tak klęczał w mdłym kręgu ognia, niemal namacalnie czuł jak dzicz wdziera się w sam rdzeń jego duszy. Nie odrywał wzroku od arystokraty uwięzionego przez zatrważającą moc wróżebnego Przebłysku.

„Bogowie” – przebiegło przez głowę starszego zbrojnego. – „Dlaczego w ogóle wyruszyłem z Fortu Raylthar!”

Przeszłości jednak nie mógł zmienić. Nie mógł też nic zrobić póki księżę Janaki się nie ocknie i nie obwieści im wizji, której nadejście zwiastował jego obecny stan.

Póki co, mógł tylko się modlić i czekać.

* * *

Kolejny dzień wstał jasny i odczuwalnie chłodniejszy niż poprzedni. Na posłaniach szklił się szron. Wysuwając się z objęć uwodzicielsko przytulnego śpiwora, Jasak nie był już w stanie odnaleźć w sobie poczucia beztroski i przygody. Za to magister Kelbryan wyglądała na nieprzyzwoicie wesołą. Była jedyną kobietą w całej ekspedycji i Jasak dyskretnie dopilnował, by jej śpiwór rozłożono niedaleko od jego legowiska. Nie dlatego nawet, że nie ufał swym ludziom. Całe życie był posłuszny maksymie swego ojca, głoszącej, że łatwiej jest problemom zapobiegać, niż je potem rozwiązywać. Zasada ta tkwiła w nim tak głęboko, że stosował ją prawie instynktownie.

Drugim powodem – co przyznał przyglądając się jak kobieta zwija śpiwór niemal tak sprawnie, jak pozostali żołnierze – było to, że po prostu dobrze się przy niej czuł. Co więcej – większą przyjemność niż sam jej wygląd sprawiała mu rozmowa z nią. A to był znaczący sygnał.

Zaśmiał się pod nosem i pokręcił głową, karcąc się w duchu za frywolne myśli. Po chwili jednak jego wesołość zniknęła. Usłyszał półsetnika Garlatha wydającego pierwsze tego dnia rozkazy.

Wczorajsza wieczorna „rozmowa” z Garlathem okazała się jeszcze mniej przyjemna, niż się tego spodziewał. Półsetnik nigdy Jasaka nie lubił. Wiedzieli o tym wszyscy w Drugiej Andarańskiej. Szczerze mówiąc, wiedzieli o tym wszyscy w armii. Sir Jasak Olderhan był jedynym synem Dowodzącego Pięcioma Tysiącami Sir Thankhara Olderhana, oficera Armii Arkany w stanie spoczynku. Co więcej, jego ojciec był także Jego Łaskawością Sir Thankharem Olderhanem, Gubernatorem Wysokiego Hathal, Diukiem Garth Showma, Earlem Yar Khom i Baronem Sarkhali. To on także – co być może miało tu największe znaczenie – był przez czternaście poprzedzających jego przejście w stan spoczynku lat, głównodowodzącym Drugiej Andarańskiej Brygady Rozpoznawczej. Ze służby odszedł jedynie ze względu na stan zdrowia. Druga Andarańska była jednostką, której dowództwo przechodziło dziedzicznie w rodzie diuków Garth Showma. Tak było od niemal stu siedemdziesięciu lat. Między innymi dlatego, że pierwotnie jednostka nazywała się „Grupą Zwiadowczą Diuka Garth Showma.”

W praktyce oznaczało to, że choć na papierze Jasak był tylko jednym z dwunastu dowódców kompanii, to jego pozycję można było określić jako „bardziej równą” w stosunku do pozostałych. Jasak wiedział o tym bardzo dobrze i fakt ten sprawiał, iż usilnie starał się pokazać, że zasługiwał na lepsze traktowanie nie tylko ze względu na to, że urodził się jako syn arystokraty. Niestety. Nie wszyscy to dostrzegali. W armii Arkany istniała tradycja – kultywowana szczególnie w jednostkach andarańskich – wedle której, oficerowie i podoficerowie przez cały okres swej służby nie zmieniali swych macierzystych brygad czy dywizji. Z jednej strony zwyczaj ten dobrze wpływał na morale i poziom utożsamiania się z jednostką, lecz z drugiej wzmagał małostkowe spory i niesnaski wśród członków korpusu. Spory w rodzinnym gronie, wszędzie i od zawsze, są bardziej zajadłe niż kłótnie pomiędzy obcymi.

Shevan Garlath pamiętał dzień, kiedy chudy i niezdarny Dziedzic Olderhan, świeżo upieczony absolwent Akademii zgłosił się do służby. Shevan Garlath był wtedy Dowodzącym Pięćdziesięcioma... był nim także i teraz. Wyjąwszy bezpośrednią interwencję bogów, a także pomimo tego, że był młodszym kuzynem barona, nic nie zapowiadało, że awansuje przed osiągnięciem regulaminowego wieku przejścia na spoczynek. Nawet jego arystokratyczny kuzyn nie miał takiej mocy, by wpłynąć na promocję kogoś tak niekompetentnego jak on. Garlath jednak nie widział tego, albo nie chciał widzieć, a niepowodzenia swej kariery przypisywał innym ludziom. Ludziom takim, jak niegdyś Dziedzic a teraz Dowodzący Setką Olderhan. Uważał, że to oni kradli awanse i honory przeznaczone jemu i przez niego zasłużone. Ale to oni mieli lepsze układy.

Słuchał Jasaka bez słowa, z kamiennym wyrazem twarzy. Z pewnością ani jedna z taktownych uwag i sugestii setnika nie trafiła mu do przekonania. Jasak miał ochotę go udusić. Musiał jednak przyznać, że sam był sobie winien. Powinien był załatwić tę sprawę już sześć tygodni temu, kiedy Garlath został przeniesiony z kompanii B do kompanii C w zastępstwie za chorego półsetnika Thaylara. Wtedy powtarzał sobie

jednak, że to tylko tymczasowa zmiana miejsc i że gdy tylko Thaylar wróci ze szpitala będzie mógł spakować Garlatha i odesłać go z powrotem do B. Zamiast więc rozprawić się z idiotą od razu – lub zamiast odesłać go do domu – odpuścił. W wyniku tego błędu coraz boleśniej przekonywał się o prawdziwości słów ojca. Problemy trudniej się rozwiązuje, niż im zapobiega.

–Przykro mi słyszeć, że setnik nie jest zadowolony z mojej służby – powiedział spokojnie Garlath, kiedy zamilkł Jasak. Spodziewam się jednak, że ocena sprawności rozlokowania mych żołnierzy wypadła pozytywnie.

Jasak – mimo wszystko – nie dowierzał własnym uszom.

–Sądzę, że nie do końca się zrozumieliśmy, półsetniku Garlath – powiedział po chwili, gdy już był pewien, że powstrzyma emocje na wodzy. – Chodzi mi o to, że wymarsz dzisiejszego ranka był stanowczo spóźniony. Nie zgadzam się też z pańską oceną poprawności szyku marszowego. To musi się zmienić.

–Pozwalam sobie zauważyć – co wyczerpująco wykażę w raporcie – że powód opóźnienia wymarszu nie wynikał z jakiegokolwiek mojego zaniedbania. Po drugie, w moim rozumieniu Regulaminu, dobór szyku marszowego i odległości pomiędzy formacjami pozostaje w mojej wyłącznej gestii. Jestem dowódcą tej jednostki i dopóki moje decyzje są zgodne z ustalonymi przez doktrynę armii i generalicję standardami, to wszystko jest w zgodzie z Regulaminem.

–Tu nie chodzi o standardy – odparł Jasak starając się zapanować nad gniewnym tonem głosu. Zrozumiał, że Garlath przeciwstawiał mu się nie na żarty – a już na pewno nie o Regulamin. Tu chodzi o powodzenie misji.

–Rozumiem to doskonale, Sir. Chcę w tym miejscu przypomnieć, że pierwszy pluton pod moim dowództwem z powodzeniem wykonał wszystkie rozkazy otrzymane od setnika.

–Udało się to jednak dopiero wtedy, kiedy wreszcie zabraliście się za ich realizację – tym razem głos Jasaka zabrzmiał nawet bardziej surowo niż oficer sobie tego życzył. Sprawiała to wrogość wyraźna w spojrzeniu Garlatha – kryjące się w nim wyzwanie. Nie mógł udzielić półsetnikowi oficjalnej nagany, skoro nie popełnił żadnego wyraźnego wykroczenia. Nie mogły mu tu pomóc nawet arystokratyczne korzenie. Ogarnęła go wściekłość. Nagle dotarło do niego, do czego tak naprawdę zmierzał Garlath. Półsetnik chciał go sprowokować do słów lub czynów, które w raporcie wskazywałyby na to, że nie mając poważnego, służbowego uzasadnienia, wynikały jedynie z prywatnych pobudek i uprzedzeń setnika.

To był plan, który dowodził jedynie bezgranicznej głupoty Garlatha, lecz nie zmieniało to obecnej sytuacji Jasaka. Setnik zaczerpnął głęboko powietrza.

–Posłuchaj, półsetniku – powiedział – nie prowadzimy tu dyskusji i nie jesteśmy na jakimś demokratycznym, ransarańskim zgromadzeniu. Jutro rano szpica ma się znaleźć na wymaganych dwustu jardach od czoła kolumny. Pomiędzy nimi umieścisz żołnierza, który będzie utrzymywał wizualny kontakt, zarówno ze szpicą, jak i z trzonem oddziału. Zwiadowcy natomiast zajmą pozycje maksimum sto jardów od kolumny na obu flankach. Z tej odległości będą w stanie utrzymać kontakt z resztą. Co więcej, jedna z drużyn będzie w stałej gotowości ze smokiem gotowym do akcji. Po powrocie do bazy przedyskutujemy te... nieznaczne różnice w ocenie pańskich zdolności dowodzenia. Czy wyraziłem się jasno, półsetniku Garlath?

Ciemne oblicze Garlatha pociemniało jeszcze bardziej. Nie miał jednak pola manewru. Zacisnął szczękę. Oczy zabłyśły mu wrogo. Wyprostował się jak struna i zasalutował tak regulaminowo, że samo to stało się aktem sprzeciwu wobec Jasaka.

–Tak jest, Sir. Zrozumiałem. Zapewniam, że rozkazy setnika zostaną wypełnione co do joty. Czy to już wszystko, Sir?

–Tak, to wszystko.

–Za pańskim pozwoleniem, Sir – odmeldował się sztywno Garlath, odwrócił na pięcie i ruszył w poszukiwaniu miecznika Hamaka.

*** * ***

–Mam nadzieję, że nie urażę, Sir Jasak, ale pan i półsetnik Garlath nie jesteście chyba najlepszymi przyjaciółmi.

–Tak? – Jasak spojrzał na magister Kelbryan, kiedy ponownie szli za Garlathem. Usta skrzywiły mu się w mało zabawnym uśmiechu. – Skąd taki wniosek?

–Mogłabym powiedzieć, że widzę to, ponieważ jestem Obdarzona, a zakłęcia analizy społecznej od zawsze stanowiły moją specjalność. Naprawdę. – Jej uśmiech okazał się dużo weselszy. – Z drugiej strony prasa zawsze przesadza w ocenie skuteczności tych czarów. Tak naprawdę są dobre w ocenie stanu dużych grup, jak na przykład przy badaniach opinii, ale w mikroskali są raczej nieprzydatne – wzruszyła ramionami. – Zamiast opierać się na mojej reputacji powiem tylko, że dziś rano półsetnik wydaje się jakiś... ponury.

Jasak stwierdził, że Kelbryan miała wrodzony dar niedomówień. „Ponure zachowanie” Garlatha odbiło się na całym plutonie. Miecznik Harnak zrobił co mógł, by nie przerodziło się to w coś gorszego, ale Garlath osiągnął swój cel miną i tonem męczennika, jakim wydawał poranne rozkazy i rozstawiał żołnierzy w marszowym szyku narzuconym przez setnika. Uważnie dobierał słowa, starając się nie dać Jasakowi żadnego jawnego powodu do narzekań i oskarżeń o niesubordynację. Wiele jednak dawało się przekazać samym tylko językiem ciała.

Jasak zastanawiał się, czy samo to nie było wystarczającym powodem do udzielenia nagany. Wśród wykroczeń, jakie można było popełnić w warunkach bojowych było jedno – określone jako „milcząca niesubordynacja”, pod który to punkt zachowanie Garlatha podpadało z pewnością. Ta możliwość bardzo go kusiła. Garlath prowokował tę samą sytuację, której Jasak chciał uniknąć nie ganiąc go wcześniej na oczach żołnierzy. Po zastanowieniu odrzucił jednak ten pomysł. Mimo wszystko półsetnik wykonywał jednak – niechętnie bo niechętnie – wszystkie rozkazy otrzymane od przełożonego.

Z drugiej strony na szpicy umieścił tylko pojedynczego zwiadowcę. Jasak wysłałby tam całą drużynę. W oczach setnika był to kolejny przejaw wrogości, lecz Garlath zdawał sobie sprawę, że Jasak nie chciał karcić go publicznie. Zdecydował się więc rzucić mu kolejne wyzwanie. Czekał, aż setnik zmieni swe rozkazy, lub po prostu odsunie go i „uzurpatorsko” przejmie bezpośrednio dowództwo nad plutonem. To także bardzo Jasaka kusiło.

Sama jednak siła tej nowej pokusy świadczyła o tym, że brała się tyleż z kwestii czysto wojskowych, co z osobistych uprzedzeń, a gniew nigdy nie był najlepszym doradcą żadnego dowódcy. Lepiej było odczekać, aż emocje przygasną i nie będą już zaciemniać prawdziwego obrazu sytuacji. Musiał też poczekać z rozprawą z Garlathem do momentu, w którym nie odbije się to na dyscyplinie plutonu. Znajdowali się przecież w obcym, nieznanym terenie. Gdyby natknęli się na jakiegokolwiek przeciwnika, czy nawet na jakiegoś groźniejszego drapieżnika, mógłby działać inaczej. Ale ten portal był przecież dziewiczy. Nie grozili im nawet pospolici rozbójnicy, z którymi armia nieraz musiała się potykać.

–Obawiam się, że półsetnik i ja różnimy się w ocenie prawidłowości szyku marszowego – odpowiedział po chwili, bardziej szczerze niż to z początku zamierzał.

–Ja natomiast obawiam się, że chodzi o to, że półsetnik jest skończonym kretyńcem – zauważyła zgryźliwie magister Kelbryan.

Jasak zamrugnął zaskoczony. Kobieta zachichotała. Jej śmiech brzmiał radośnie, srebrzyście. Był także równie niespodziewany, co potoczne słowo w jej ustach.

–Przepraszam, Sir Jasak! – powiedziała skruszonym tonem mimo, że śmiech jeszcze wybrzmiewał w jej głosie. – Chodzi po prostu o to, że magister Halathyn i ja musieliśmy go znosić przez całe sześć dni po pańskim wyjeździe. Nigdy jeszcze nie spotkałam człowieka tak bardzo przekonanego o własnej doskonałości. Mimo, jeśli wolno mi dodać, całej masy powodów na poparcie tezy wprost przeciwnej.

–Myślę, że podawanie w wątpliwość zdolności moich podwładnych nie byłoby tu na miejscu. Zwłaszcza w obecności cywila – odpowiedział po chwili Jasak.

–To, co pan właśnie powiedział mówi mi wszystko, co chciałam usłyszeć, prawda setniku? – zapytała.

Jasak nie zareagował. Spojrzał na nią z nikłym uśmiechem. Kobieta znów zachichotała, po czym poluzowała paski swojego plecaka, odetchnęła głęboko i spojrzała na błękitne niebo, prześwitujące przez ciemne igły i wielobarwne listowie okolicznych drzew.

–Piękny dziś mamy dzień – zauważyła.

*** * ***

Szeregowy Osmuna zaklął półgłosem, gdy spod jego prawej nogi osunął się kamień. Uniósł lewe ramię, by zachować równowagę stojąc na środku szerokiego, płytkiego strumienia. Ciężka kusza piechura, którą trzymał w prawej dłoni ciążyła ku dołowi. Wizja wpadnięcia w kryształowy, lodowaty nurt otaczający go z każdej strony, wywołała kolejny soczysty wulgaryzm.

W jakiś sposób udało mu się jednak nie upaść. Cholernie się z tego ucieszył. Gdyby spieprzył sprawę i dał półsetnikowi Garlathowi powód do kolejnego napadu szału, miecznik Harnak zrobiłby z jego jelit podwiązki (zakładając, że nie wyprułby mu ich wcześniej Gaythar Harklan – tarczowy drużyny Osmuny). Półsetnik Garlath był kiepski w porównaniu z Thaylarem, którego zastąpił, a na dodatek ciągle chodził rozdrażniony. Półsetnik Thaylar widząc, że wysunięty na szpicę zwiadowca wpadłby do wody jedynie by się roześmiał, Garlath natomiast zrobiłby każdemu w zasięgu wzroku dodatkową dziurę w dupie. Prawdopodobnie leczył w ten sposób swe własne emocjonalne zaparcia.

Osmuna ruszył dalej na drugi brzeg strumienia. Teraz szedł już ostrożniej. Osobiście uważał, że Stary wściekał się na Garlatha raczej bez sensu. Jasne – Regulamin mówił wyraźnie, że szpica i zwiadowcy na flankach powinni zachowywać stały kontakt wzrokowy z resztą oddziału. Tyle, że przecież wszyscy wiedzieli, że nie grożą im tu hordy dzikich tubylców. Nikogo nie spotkało nic podobnego w dwustuletniej historii badań i ekspansji. Niemniej, gdyby przyszło do wybierania między Starym a Garlathem, Osmuna wiedziałby dobrze, kogo wybrać. Oficerowie, którzy nie radzili sobie z jedną rzeczą, nie radzili sobie także z innymi... A oficerowie, którzy nie radzili sobie z wieloma rzeczami często oglądali śmierć własnych żołnierzy.

Myśląc o tym dotarł na drugi brzeg i ruszył w górę łagodnego zbocza. Strumień otwierał w koronach drzew szczelinę, pod którą bujnie rozwijały się gęste, splątane krzewy, które gdzie indziej w tym dziewiczym lesie, dusiły się z braku światła. Gdy zaczął się przez nie przeciskać jego uwagę zwróciło nagłe poruszenie. Coś drgnęło nieco wyżej, na krawędzi lasu. Spojrzał tam i zamarł.

Falsan chan Salgmun zamarł patrząc w dół zbocza, w kierunku rzeki. Nie dowierzał własnym oczom.

Człowiek, którego zobaczył – bo ponad wszelką wątpliwość był to człowiek, choć nie wiadomo skąd się tam wziął – zupełnie nie pasował do otoczenia. I nie tylko dlatego, że był to dziewiczy świat, co z definicji oznaczało, że powinien być niezamieszkały.

Nie chodziło też o jego mundur, choć pokrywające go gęste zielone, czarne i białe plamy pasowały bardziej do jakiegoś tropikalnego lasu niż do mieszanych – liściastych i iglastych – potężnych lasów, w jakich się znajdował. Nie chodziło też o barwę jego skóry, w której zresztą nic nadzwyczajnego nie było. Chodziło o całokształt – dziwny, zakończony szpikulcem hełm, pokryty tą samą źle dobraną tkaniną maskującą, z jakiej uszyty był jego mundur; gruby warkocz jasnozłoty włosów spływający swobodnie na kołnierz, wysokie do kolan, ciasno zasznurowane buty, krótki miecz zwisający u jego boku... i wreszcie niezwykła kusza, którą dźwigał w prawej ręce.

Obcy człowiek wyglądał jak niecodzienny kolaż, szalona układanka nowoczesnego ubioru i innych elementów wyposażenia oraz średniowiecznej broni. Co najdziwniejsze – on nie miał prawa się tu znaleźć. Nie powinien nawet istnieć. Przez długie osiemdziesiąt lat badań prowadzonych przez Zarząd Portali nie natrafiono na żaden ślad innej ludzkiej cywilizacji.

„Aż do dzisiaj” – zdał sobie sprawę chan Salgmun.

„I co ja mam teraz, kurwa, zrobić?” – pomyślał.

Szeregowy Osmuna gapił się na nieprawdopodobną zjawę. Obcy miał na sobie brązowe spodnie, niskie, wojskowe buty i zieloną kurtkę. Miękki kapelusz przypominał nieco takie, jakie nosili tukoriańscy pasterze. Przy boku nosił śmieszny nóż. Z pewnością nikt tego czegoś nie nazwałby mieczem. Do drugiego biodra miał przytroczone w skróconej pochwie coś innego – coś z rękojeścią, wyglądającą podobnie jak uchwyty kusz, którymi myśliwi polowali na płową zwierzynę. W rękach też trzymał dziwny przedmiot. Niby kusza, ale bez naciągu.

„To niemożliwe” – pomyślał – „Nie po dwustu latach!” Mimo intensywnego szkolenia i mimo swego niemałego doświadczenia Osmuna doszedł do wniosku, że jest zupełnie nieprzygotowany na to, co w żartach nazywano od pokoleń „randką w ciemno.”

Miał wrażenie, że serce przestało mu bić. Po chwili jednak puls wyraźnie przyspieszył. Do żył wpłynęła adrenalina. Nie wiedział, co obcy trzyma w rękach, nie wiedział jak to działa, ale sam sposób, w jaki to coś trzymał wskazywał na to, że była to broń.

„I co ja mam teraz, kurwa, zrobić?” pomyślał panicznie.

* * *

Chan Salgmun otrząsnął się. Teraz był jedynie zwykłym pracownikiem Konsorcjum Chalgin – jednej z firm, którym Zarząd Portali zlecał badanie połączeń między wszechświatami. Swego czasu jednak służył w ternathiańskiej armii. Nie bez powodu uważanej za najlepsze wojsko Sharony. Dobrze widział, że obcy jest równie zaskoczony. W takich warunkach zaskoczenie i niepewność mogły stanowić poważne zagrożenie.

„Stoimy naprzeciwko siebie, obaj uzbrojeni i cholernie wystraszeni” – myślał. – „Wystarczy teraz, by któryś z nas zrobił coś głupiego. Ta jego cholerna kusza jest gotowa do strzału. Ja wiem, że nie chcę niczego popsuć... ale czy on też to wie?”

Jego kciuk drgnął nieznacznie, odbezpieczając zamek karabinu model 9.

* * *

Osmuna zobaczył, jak niby-kusza obcego ukradkiem drgnęła. Poziom adrenaliny w jego krwi piął się błyskawicznie w górę. W tym jednym punkcie doktryna armii była precyzyjna. W wypadku natknięcia się na inną ludzką cywilizację kontakt należy przeprowadzić, w miarę możliwości, metodami pokojowymi. Głównym jednak zadaniem było upewnienie się, że wiadomość o odkryciu dotrze do dowództwa. Co oznaczało, że ci, którzy mieli ją przekazać, musieli pozostać przy życiu i na wolności.

Skoro zatem Osmuna chciał pozostać wolny i żywy to nie powinien pozwolić nieznanemu na wymierzenie w siebie dziwacznej broni.

Przesunął lewą ręką wzdłuż kuszy i lekko uniósł ją ku górze.

* * *

–Co do dia...?

Na dźwięk ostrego, zupełnie nieoczekiwanego trzasku Jasak gwałtownie podniósł wzrok. Nigdy wcześniej nie słyszał niczego podobnego. Stłumiona, krótka eksplozja. Przypominała nieco początkowy fragment odgłosu wydawanego przez bijący piorun. Jeszcze bardziej przywodziła na myśl łamiącą się pod ciężarem sopli, zmarzniętą gałąź. To nie była jednak burza, ani tym bardziej konar. Nie był to w ogóle naturalny

**odgłos. Nie wiedział skąd, ale był pewien, że dźwięk był sztuczny, mechaniczny.
Pierwszy moment zaskoczenia przeminął i zastąpiło go nagle, straszliwe podejrzenie.**

Rozdział 2

Shaylar Nargra-Kolmayr kucnęła pod klapą przestaniającą wejście do jej namiotu, wyszła w chłód poranka i głęboko wciągnęła rześkie powietrze. Świeży, jesienny powiew miał niebiański posmak. Zamknęła oczy i przeciągnęła się, by tym bardziej móc rozkoszować się wspaniałymi aromatami niesionymi przez wiatr. Przypominający cynamon zapach suchych liści mieszał się z miękką, zieloną wonią mchów i głęboką, bogatą nutą mokrej ziemi z leśnego poszycia. Uśmiechnęła się szeroko. Było jej dobrze. Otworzyła oczy i spojrzała na złocistą mgiełkę, która, niczym gruba zasłona rozciągała się ponad strumieniem wzdłuż którego szli już od trzech dni. Słyszała jego wartki nurt. Był niemal tak szeroki jak rzeka. Bulgotał, szemrał płynąc swym, wydartym puszczy korytem.

Za nią wyszedł z namiotu jej mąż – Jathmar Nargra. Ukośne promienie słońca przemieniły jego piaskowe włosy w miedziany płomień. Ich końcówki skrzyły się pod wpływem wszechobecnej tu wilgoci. Wyglądał teraz, jak kędzierzawe dziecko ze zdjęć, które niedługo po ślubie oglądali z jego matką. Cały obwieszony był różnorodnym sprzętem polowym: stalowa menażka, wodoodporny kompas, lornetka, płócienny plecak. Sztucer, dla wygody zarzucił na ramię. Za pasem tkwił rewolwer marki Halanch i Welnahr.

Sztucer i ciężki, jednostrzałowy pistolet stanowiły ochronę przed nieprzyjazną zwierzyną. Przynajmniej dzisiaj nie spodziewali się innych zagrożeń. Praktycznie nie istniała tu najmniejsza nawet szansa natknięcia się na bandę rabusiów ani na grupę grasujących w okolicach portali piratów. Znajdowali się przecież w dziewiczym wszechświecie. Nie zawsze było jednak tak spokojnie. Zwłaszcza na pograniczu. Shaylar cieszyła się bardzo, że nie zajdzie potrzeba użycia całego tego arsenału, lecz musiała przyznać, że jej mąż wyglądał groźnie i mężnie. Stał w złocistych promieniach słońca, spływających spomiędzy mieniących się wspaniałymi barwami liści niczym kolumny roztopionego masła.

Na ogorzałe od słońca oblicze Jathmara wypłynął szeroki uśmiech. Wiąż małżeńska sprawiła, że poczuł jej radość.

–Piękny poranek, prawda? – zauważył. – Nawet z kimś tak mało bohaterskim jak ja w tle.

–Bardzo piękny – zaśmiała się Shaylar.

–Ranisz me serce, kobieto! – jego pociągła twarz przybrała nieszczęśliwy wyraz. Każdy poza Shaylar dałby się nabrać. – Miałaś się ze mną nie zgodzić!

–Mój drogi. Jesteś uzbrojony po zęby i wyglądasz tak groźnie, że od razu widać, że niestraszne ci są czarne niedźwiedzie, wilki, dziki i pумы, od których na pewno aż roi

się w okolicy. Czego więcej może chcieć taka delikatna samiczka jak ja?

–Ha! Teraz wyszło ci dużo lepiej!

Poruszył brwiami i dumnie nadstawił się do pocałunku na dzień dobry. Dokładniej mówiąc – do piątego pocałunku na dzień dobry, odkąd – dwadzieścia minut temu – wygrzebali się ze śpiworów. Shaylar roześmiała się w duchu. Mąż otoczył ją ramionami. Jathmar Nargra potrafił skorzystać z życia. Biorąc pod uwagę, że większą część ostatnich czterech lat spędzili w towarzystwie czterdziestu kawalerów – plus minus jednego czy dwóch ochroniarzy, którzy wrócili do domu, lub zostali pożarci przez krokodyle – miał zamiar wykorzystywać każdą, nadarzącą się okazję na pieszczoty.

Shaylar zresztą zachowywała się podobnie. We wszystkich zbadanych dotąd wszechświatach natykano się na pumy. Co więcej, po osiemdziesięciu latach eksploracji wszyscy byli zgodni, że wszystkie wszechświaty były do siebie łądząco podobne. Nie miała więc nic przeciwko temu, by Jathmar zbroił się jak jakiś bandyta. Choć te jego śmiernicione zabawki przeszkadzały co prawda w chwilach jakich jak ta – nie narzekała.

Kiedy Jathmar zdecydował wreszcie, że pocałunek trwał wystarczająco długo – przynajmniej na chwilę – cofnął się. Shaylar uśmiechnęła się i zauważyła wystający z jego plecaka szpicownik.

–Czyżby czekał nas leniwy dzień? – zapytała słodko. Jego przejrzyste, zwierzęce oczy zabłysły.

–Drażnij się ze mną, drażnij, niewierna ladacznico. Zobaczysz, że pewnego dnia będę musiał się opędnąć od klientów maczugą. Wtedy rzucimy robotę, bogaci i szczęśliwi.

–Ja już jestem szczęśliwa – przyznała z uśmiechem. – A mając do dyspozycji to wszystko – wskazała szerokim gestem otaczającą ich dzicz – komu potrzeba bogactwa?

–Właśnie, komu? powtórzył odgarniając znad jej oka kruczoczarny kosmyk włosów. Kilka z nich zawsze wymykało się noszonym przez Shaylar warkoczom. – Ty naprawdę jesteś szczęśliwa – powiedział uśmiechnięty, odczytując jej uczucia dzięki szczególnej więzi łączącej małżeńskie pary Utalentowanych osób. – Martwiło mnie to. Wiesz, wtedy, kiedy rozpoczynaliśmy walkę o to, żebyś mogła pracować w zespole.

–Tak. Wiem – odpowiedziała cicho. – Wiem, też jak bardzo naciskałeś w tej sprawie Zarząd.

–Przeważyło zdanie Halidara Kinshe, nie moje – skromnie sprostował Jathmar. – A

ty, serce moje, znałaś tego parlamentarzystę dużo dłużej niż ja. No, ale – uśmiechnął się jeszcze szerzej – jeśli rzeczywiście chcesz obrzucać niegodnego małżonka wyrazami wdzięczności, to nie będę się zbytnio stanowczo sprzeciwiać.

–Jesteś... – powiedziała surowo i pacnęła go zwojem map. – Jesteś niepoprawny!

–Ale za to łatwo daję się kusić. Chodź...

Roześmiała się, kiedy poruszył szybko brwiami. Potem uniósł głowę i spojrzał na wskroś złotych i szkarłatnych chmur liści nad nimi.

–To dobry dzień na szpicowanie, prawda? Nie mówiąc już o tym, że pogoda jest równie dobra na badania. Mgła powinna się niedługo podnieść.

–Tak, jakbyś potrzebował ładnej pogody – zachichotała Shaylar. Talentem Jathmara była zdolność dostrzegania ukształtowania terenu w promieniu pięciu mil. Niezależnie od pogody i oświetlenia albo i jego braku. – Ale masz rację. W taki dzień będzie jeszcze przyjemniej. Przyznam jednak, że czasem robię się zazdrosna, kiedy tak siedzę sama w obozie, a ty włóczysz się po całej okolicy.

–E tam. Jesteś szczęśliwa jak perła wśród ostryg – powiedział bawiąc się koniuszkiem jej nosa. – Poza tym już chyba zapomniałaś o ostatnim naszym wszechświecie. Musimy korzystać ze słońca, póki świeci.

–To prawda.

Shaylar wzdrygnęła się na samo wspomnienie i wcale nie był to do końca udawany gest. Ostatni wszechświat, którego mapy sporządzali przed przejściem do obecnego miał portal umieszczony w samym centrum obszaru, który cechowała chyba najwyższa średnia opadów we wszystkich znanych wszechświatach. W domu byłoby to miejsce położone na północny zachód od Rokhany, nieopodal ujścia rzeki Yirshan do ogromnego Oceanu Zachodniego. Mieli niewiarygodne szczęście, że ich portal wejściowy i portal wiodący do tego wszechświata dzieliło niecałe trzysta mil. Portale położone tak blisko siebie były niezwykle rzadkie. I niezwykle cenne.

Mimo to, i mimo przewodnika Darcela Kinlafii – pracującego z nimi Ogara Portali, który okazał się bezcennym pomocnikiem, przejście dwustu sześćdziesięciu zalanych wodą mil zajęło im niemal półtora miesiąca. Słońca nie widzieli przez okrągłe dwadzieścia trzy dni. Większość ich sprzętu pokryła się pleśnią, do której wywabienia – kiedy już wreszcie przestało padać – zużyli potężne ilości środków przeciwgrzybiczych. Po sześciu tygodniach podróży w przemoczonych ubraniach, po nieprzerwanej walce z mokradłami, po przedzieraniu się z maczetami przez splątane, wilgotne poszycie lasu i po nocach spędzonych pod ociekającą moskitierą, ta rześka, jasna jesień sama w sobie stanowiła prawdziwy raj.

–Ja nie narzekam – powiedziała wesoło. – W końcu udało nam się znaleźć portal i zostawić deszcz za sobą. A biedny kapitan Halifu musiał tam wybudować fort! Tylu niezadowolonych żołnierzy na raz nie widziałam chyba nigdy w życiu.

Grafin Halifu podzielił się z Jathmarem i Shaylar – oczywiście poza zasięgiem słuchu podległych mu ludzi – swą pikantną opinią na temat tego, co myślał o manierach multiwersum, które raczyło umieścić portal w takim, zapomnianym przez bogów i ludzi, miejscu. Biorąc pod uwagę, że Uromathianie czcili panteon bóstw niemal równy liczebnością populacji samych Uromathian, to miejsce musiało być naprawdę bardzo zagubione, skoro wszyscy ci bogowie naraz zapomnieli o nim.

Z jakiegoś niejasnego powodu kapitan nie był też zachwycony decyzją Ghartouna chan Hagrahyla, by nazwać tamten wszechświat „Nową Uromathią”, na cześć ojczyzny Halifu.

–Fakt. Żołnierze Grafina nie tryskali wtedy radością – zachichotał Jathmar. – Sam nie byłbym szczęśliwy, gdyby to mi kazali cokolwiek budować w pobliżu tamtego portalu. Siedzą teraz po uszy w błocie, z całą tą pracą na głowie.

Tym razem to on, szerokim gestem wskazał otaczające ich gigantyczne drzewa.

–Dobrze, że decyzja Zarządu Portali nie wiązała przynajmniej Darcela – zauważyła Shaylar.

–Tak. Pamiętam, że niektórzy z ludzi Grafina wyglądali, jakby chcieli kogoś rozszarpać, kiedy dowiedzieli się, że Darcel wyrusza na poszukiwanie lepszego miejsca – zgodził się Jathmar.

–Ale to nie była jego wina – odpowiedziała skromnie Shaylar, uśmiechając się pod nosem. – Jest telepatą. A wszyscy przecież wiedzą, że Głos nienajlepiej nadaje przez portale.

–Tak przynajmniej nam wszyscy wmawiacie – zażartował Jathmar. – Nie jestem jednak pewny, czy żołnierze Grafina brali sobie to wtedy do serca.

Shaylar zachichotała. Podobnie jak ona sama, Darcel Kinlafia był Głosem – jego Talentem było przekazywanie informacji na wielkie odległości. Głosy, ludzie urodzeni z darem doskonałej pamięci i zdolnością do bezpośredniej komunikacji z umysłami innych, stanowili ważny pod wieloma względami element społeczeństwa Sharony.

Rządy, Zarząd Portali, prywatne firmy – od tych zajmujących się przemysłem po media – wszyscy korzystali z usług Głosów, którzy potrafili przekazać najbardziej nawet złożone informacje z zadziwiającą dokładnością. Wojsko także ich wykorzystywało. O ile jednak w życiu codziennym cywilizacji Sharony rozciągającej się na wielu wszechświatach zdolności Głosów były pożyteczne, to w badaniach

nowo odkrytych światów były one praktycznie nieodzowne.

W każdym zespole badawczym były co najmniej dwa Głosy. Jeden pozostawał przy portalu, którym zespół wkraczał do nowego świata i służył jako łącznik między badaczami a bazami w znanych już wszechświatach. Im więcej portali podlegało badaniu drużyny, tym więcej Głosów było potrzeba na dany łańcuch tranzytowy. Wtedy, w deszczowym wszechświecie, osiągnęli już odległość, poza którą Shaylar nie była w stanie przesyłać komunikatów. Postanowiono więc wysłać Darcela przodem i zastąpić go innym, nowo przybyłym Głosem.

Ten portal szczególnie stanowił powód niedostatku rąk do pracy. W przeciągu ostatnich dziesięciu miesięcy zespoły badawcze Konsorcjum Chalgyn odkryły trzy nowe portale, wliczając w to Nową Uromathię i ten ostatni, który nie został jeszcze nazwany. To zmusiło decydentów do podzielenia drużyn, by mogły zbadać je wszystkie. Stało się to jeszcze zanim wkroczyli do obecnego wszechświata i zanim zaczęli zdawać sobie sprawę z tego, na co prawdopodobnie się natknęli. To odkrycie mogło spowodować prawdziwą lawinę pieniędzy i to nie tylko dla nich i dla ich pracodawców. W osiemdziesięcioletniej historii eksploracji Zarząd Portali odkrył i opisał jedynie czterdzieści dziewięć portali. Zespoły badawcze Konsorcjum Chalgyn już zdołały podnieść tę liczbę o całe sześć procent, a jeśli Darcel nie mylił się w ocenie tego portalu to konsekwencje jego odkrycia dla całej cywilizacji (nie mówiąc o ich własnych kontaktach bankowych) byłyby oszałamiające.

Wszystko to było cudowne, lecz stawiało ich w sytuacji niedoboru ludzi. Ghartoun chan Hagrahyl już dwukrotnie dzielił ich zespół na mniejsze, które rozesłał przez pozostałe dwa portale, by prowadziły badania w leżących za nimi wszechświatach. W rezultacie pozostały im tylko dwa Głosy i absolutnie minimalna ilość innych specjalistów, nie wspominając już o zaopatrzeniu. Nikt jednak nie narzekał.

Na całe szczęście Zarząd Portali kontrolował całość transportu przechodzącego przez portale. Oznaczało to, że jednostki SZZP – Sił Zbrojnych Zarządu Portali, armii składającej się z wielonarodowych jednostek oddelegowanych pod rozkazy Zarządu mogły budować forty przy portalach, a także zapewniać do ich obsługi swych własnych ludzi, w tym przynajmniej jednego Głosu. Tak różowo wyglądała oczywiście jedynie teoria. Ten konkretny portal został odkryty na tyle niedawno i było jeszcze poza nim tyle innych portali bez fortów w Łańcuchu Karys, że wojsko nie było w stanie póki co dostarczyć swego telepaty.

W tej sytuacji, do przybycia Głosu do fortu pozostawał im tylko Darcel Kinlafia. To Darcel przekazywał ich raporty, poprzez łańcuch innych telepatów, tworząc sieć błyskawicznej komunikacji. W razie potrzeby, albo niebezpieczeństwa, mogli przesłać wiadomość nawet do samej kolebki ludzkości – do Sharony – w niecały tydzień. Gdyby nie wodne obszary pomiędzy niektórymi portalami, które trzeba było pokonywać okrętami mogłyby to być tylko godziny. Nikt jednak nie był w stanie

zapewnić utrzymywania stałego posterunku z Głosem na środku oceanu.

Shaylar bardzo się cieszyła, że nigdy nie będzie musiała pracować jako Głos tkwiący przy portalu, którego jedynym zadaniem było czekanie na nadchodzące komunikaty. Sama nie była zwykłym Głosem przydzielonym do zespołu badawczego. Była żoną głównego Kartografa grupy i co więcej była z nim nierozzerwalnie powiązana. Dzięki temu stanowiła nie tylko integralną część programu, ale była nieodzowna dla powodzenia głównego celu ich misji: sporządzenia mapy nowego wszechświata. Jathmar „Widział” teren dokoła, lecz tak naprawdę kartografią zajmowała się Shaylar. To ona bowiem przekładała mentalne obrazy odległych miejsc, odczytywane z umysłu męża, na język map, które miały posłużyć w przyszłości dalszej eksploracji i zakładaniu osiedli. Nawet, gdyby natrafili na jeszcze jeden portal nie zostawiliby jej – nie mogliby jej zostawić – przy nim. Musieliby wysłać wiadomość do centrali i wezwać kolejny zespół do zbadania nowego świata, albo do przejęcia tego, tak żeby oni mogli zająć się nowo odkrytym.

Na podobnej zasadzie nie mogli pozwolić sobie na pozostawienie z tyłu Darcela. Przynajmniej nic mogli zostawić go na dłuższy czas. Nie był, co prawda, tak istotny dla pracy zespołu jak Shaylar czy Jathmar, lecz jego drugorzędny Talent był dla długofalowych planów Konsorcjum być może bardziej nawet istotny.

Dobrze zdawała sobie sprawę ze swojego szczęścia. Nie tylko uniknęła przykrego obowiązku tkwienia przy portalu, kiedy inni bawili się eksploracją nowego wszechświata, lecz w ogóle miała możliwość uczestniczyć w pracach zespołu. Sharonianki z zasady cieszyły się takimi samymi prawami co mężczyźni, choć zdarzały się tu różnice w systemach prawnych poszczególnych królestw czy republik. Nie istniała też kwestia niedoceniań inteligencji kobiet, czy ich wrodzonych predyspozycji – byłoby to niemożliwe w społeczeństwie, w którym jedna na pięć osób posiadała wrodzony Talent. Tego rodzaju dyskryminacja zanikła wraz z mrocznymi wiekami, tysiące tysięcy lat temu, jeszcze za czasów pierwszego Imperium Ternathiańskiego.

Praca nad tworzeniem map dziewiczych wszechświatów była jednak bardzo ciężka i nierzadko niebezpieczna. Zarząd Portali – w skład którego wchodził reprezentanci wielu narodów i miast-państw Sharony oraz obecnego Imperium Ternathiańskiego – wprowadził więc regułę, w myśl której kobiety nie powinny być narażane na utratę zdrowia i życia w roli członków zespołów badawczych.

Od tej żelaznej zasady Shaylar stała się pierwszym wyjątkiem. Jej historia okazała się precedensem na skalę osiemdziesięcioletniej historii Zarządu. Zdawała sobie sprawę, że jest bacznie obserwowana. Otrzymała jedyną w swoim rodzaju szansę – szansę otworzenia tej drogi dla innych kobiet, które chciały postawić swe stopy tam, gdzie nikt jeszcze nigdy nie chodził. Z równą mocą czuła na swych barkach ciężar odpowiedzialności. Wiedziała, że musi za wszelką cenę udowodnić, iż zasada

Zarządu była błędna.

Przed wyruszeniem na tę ekspedycję Shaylar uczestniczyła w badaniu dwóch innych dziewiczych wszechświatów. Wraz z Jathmarem poszerzyła też granice kilku już zbadanych. Każdy portal oznaczał całkowicie nową planetę i choć między tymi równoległymi światami podobieństwa były zawsze znaczne, to i tak każdy z nich wymagał kompleksowego zbadania. I nie było to wcale zadanie, które wykonywało się pstryknięciem palców. Zresztą badania tego drugiego typu były ostatnim etapem szkolenia – stażem – którego odbycia wymagał Zarząd, przed podjęciem decyzji o wysłaniu zespołu przez niezbadany jeszcze portal.

Praca ta okazała się tak ciężka, jak uprzedzali wszyscy, którzy ją przed jej podjęciem przestrzegali. Pogranicze nie było kurortem wypoczynkowym i z równą surowością traktowało mężczyzn, jak i „płeć piękną”. Jednakże – mimo niepokoju opinii publicznej i ostrzeżeń niedowiarków, a także mimo twardych warunków życia i niebezpieczeństw, na jakie narażeni byli pionierzy w dziczy – czuła się szczęśliwa. A poza tym osiągała niezrównane sukcesy.

Doświadczenie Jathmara, z którym pracowała jeszcze bardziej wzmagало jej zadowolenie. Spoglądała mu w oczy i słodycz miłości, przepływającej w jej duszę przez ich małżeńską Więż sprawiała, że zbierało się jej na łzy wzruszenia. Jathmar pochylił się przez całe dzielące ich siedem cali wzrostu i ucałował ją w brew. Było to o wiele bardziej znaczące wyznaczenie uczuć niż zwykle, pospieszne zetknięcie warg. Uśmiechnął się i skinął głową w stronę gęstego lasu.

–Czas ucieka – powiedział. – Zobaczmy jak wiele uda się nam opisać przed obiadem. Im szybciej porozmawiamy z Ghartounem, tym szybciej zaczniemy.

Obóz rozbili na naturalnej polanie. Przez jej środek przepływał strumień. Dotarcie w to miejsce zajęło im trzy dni. Kolejne trzy spędzili na sporządzaniu mapy najbliższej okolicy. Shaylar wiedziała, że będzie za tym obozem tęsknić kiedy już ruszą w dalszą drogę. Jednak z drugiej strony z taką samą jak pozostali niecierpliwością czekała, by przekonać się co zobaczą gdzie indziej. Badania nigdy nie posuwały się zbyt szybko, ale tym razem sporządzenie mapy samych tylko okolic portalu zajęło im całe pięć dni. Nie było w tym nic dziwnego. W końcu był to największy z dotychczas odkrytych portali.

Ze swymi trzydziestoma milami szerokości przewyższał nawet Wrota Calirath. Ich pierwszym zadaniem stało się więc opisanie jego bezpośredniego otoczenia i wyznaczenie koordynatów pod przyszłą główną bazę w tym wszechświecie jeden dzień drogi od fortu kapitana Halifu. Było to poważne wyzwanie – wymagało bowiem wyznaczenia miejsca pod obóz z pełną załogą i magazynem zaopatrzenia dla urzędników Zarządu Portali, zespołami medycznymi, kolejnymi jednostkami wojska i ilością sprzętu i zapasów wystarczającą dla następnych grup badaczy,

budowniczych, górników i osadników, którzy pojawiają się z pewnością i w tym świecie.

Kiedy już wyszukali odpowiednią lokalizację i przestali odpowiednie współrzędne do Konsorcjum Chalgin, które szykowało brygady inżynierów, ruszyli wprost na południe. Wieczorami wznosili ogrodzenia z krzewów. W ten sposób zabezpieczali się przed miejscowymi drapieżnikami. W każdym obozie pozostawali tak długo, jak wymagało tego sporządzenie pełnej i dokładnej mapy okolic. Oznaczało to, że za każdym razem musieli posuwać się dalej na taką odległość, jakiej Jathmar potrzebował do telepatycznego przeczesania kwadratu terenu o boku dwudziestu mil. Gdy z tym się już uporał ruszali dalej i powtarzali całą procedurę od nowa.

Zarząd Portali nie przez przypadek stosował metody eksploracji odziedziczone po Imperium Ternathiańskim. Ternathia zajmowała rozległe terytoria od pięciu tysięcy lat. Było to wystarczająco dużo czasu, by dopracować skuteczne sposoby pracy. Zarząd korzystał z nich w każdej dziedzinie, w jakiej tylko mógł. Wznoszenie ufortyfikowanych obozów wzdłuż trasy, którą podążał zespół badawczy było jedną z takich właśnie zapożyczonych metod. Shaylar podejrzewała, że miał z tym również coś wspólnego fakt, iż Ternathia dostarczała ponad czterdzieści procent kontyngentu wojskowego dla ZP i niemal połowę jego oficerów.

Ich okrojony zespół liczył w tej chwili dwadzieścia osób. Nie byli więc w stanie wznosić skomplikowanych palisad, jak wymagały ściśle ternathiańskie reguły. Zamiast tego grodzili teren płotem ze splątanych gałęzi, który był wystarczająco mocny, by powstrzymać na zewnątrz wszystkich ewentualnych napastników mniejszych od stada wściekłych słoni. Weterani eksploracji wszechświatów opowiadali niekiedy o liczących dziesiątki tysięcy stadach bawołów i innych zwierząt, które zatrzymywały się przed takimi kolczastymi zagrodami i omijały je, nie czyniąc członkom zespołów najmniejszej krzywdy. Tak czy inaczej, system sprawdzał się w codziennej pracy Zarządu, tak samo jak w dawnych czasach, gdy stosowali go Ternathianie.

Wielkim znawcą systemu okazał się Ghartoun chan Hagrahyl, który służył wcześniej w ternathiańskiej armii, o czym świadczyła częśćka „chan” przed jego nazwiskiem. Z zawodu był inżynierem i po spełnieniu swego obowiązku wobec wojska podjął dalsze studia. Ukończył je dzięki stypendium a potem wykładał inżynierię w filii Imperialnego Uniwersytetu Ternathii w Nowym Estafel na Nowej Sharonie, pierwszej dużej kolonii założonej poza macierzystym wszechświatem Sharonian.

Po dziesięciu latach spędzonych za murami uczelni poddał się urokowi portali. Działo się to około dwudziestu lat temu. Z kolei przez ostatnie siedem pracował już wyłącznie dla Konsorcjum Chalgin.

Shaylar i Jathmar bardzo cieszyli się z obecności doświadczonego Ghartouna.

Szczególnie doceniał ją Jathmar, który nigdy nie służył armii. Jego rodzinna Republika Faltharii, zasiedlona została przez ludzi na długo po tym jak przez Sharonę przetoczyła się ostatnia poważniejsza wojna i miała tylko dwóch sąsiadów, z których żaden nie był zainteresowany rozszerzaniem swego terytorium w drodze podbojów. Nie było takiej potrzeby. W nieodkrytych jeszcze wszechświatach pod kolonizację czekało mnóstwo terenów. Lasu nauczył się Jathmar jeszcze w dzieciństwie, kiedy to szkolił swój Talent w niezmiernych ostępach Kylie – największego z parków narodowych Faltharii, puszczy odkrytej przez pierwszych farnalijskich osadników, około trzysta lat wcześniej.

Jathmara zawsze cieszyło, że Farnalianie – i ich falthariańscy spadkobiercy – rozumieli, jak cenne dla każdego narodu są rozległe, zalesione przestrzenie. Cieszył się także i dlatego, że dzięki ojczystym lasom miał gdzie wyszkolić się na tyle skutecznie by zostać członkiem zespołu badawczego.

Brakowało mu tradycyjnego, wojskowego szkolenia. Przeszedł jednak rygorystyczny program treningowy Zarządu. W parze z długoletnim doświadczeniem myśliwego dawało mu to pewność, że poradzi sobie ze wszystkim, na co prowadzony przez niego zespół może się natknąć w dziczy. Istotne było to tym bardziej, że za bezpieczną palisadą obozu spędzał bardzo mało czasu.

To głównie przez jego obowiązki Kartografa przebycie tego kawałka drogi na południe zabrało im aż trzy dni. Tę samą odległość mogli spokojnie pokonać dużo szybciej – od wejściowego portalu dzielił ich nieco ponad dzień forsownego marszu. W takim tempie jednak nie dało się sporządzać map. Darcel Kinlafia włączył się po okolicy portalu z wędką i garnkiem, w którym dusił wszystko, co tylko zdołał upolować a Jathmar i Shaylar ciężko pracowali na chleb dla nich wszystkich.

Praca nad mapami zajmowała ich bardzo często jeszcze nawet po zmroku. Dienne światło nie było Jathmarowi potrzebne do „oglądania” ukształtowania terenu. Shaylar z kolei pracowała przy lampach olejnych, które nosili w plecakach. Ich reflektory dawały wystarczająco dużo światła do rysowania map i spisywania raportów, co także stanowiło część jej obowiązków. Wiedzieli, że przy odrobinie szczęścia natkną się na jakieś szczególnie wartościowe miejsce i zajmą je w imieniu Konsorcjum Chalgin.

Główne źródło dochodu Konsorcjum stanowiły opłaty za korzystanie z portali. Kiedy któryś z zespołów badawczych odkrywał nowy portal, zatrudniająca go firma zyskiwała prawo do obłożenia cłem każdej osoby i każdego towaru, przechodzącego na drugą stronę. Opłaty za zarządzane przez ZP portale były bardzo niskie, ale w wypadku częściej uczęszczanych tras, roczne wpływy sięgały astronomicznych sum.

To samo stanowiło główną motywację dla zespołów badawczych. Zespół, który odkrywał nowy portal zapewniał swej macierzystej firmie potencjalnie ogromny zysk.

Bogactwa naturalne nowych światów i wiążące się z nimi licencje na wydobywanie były kolejnym dodatkiem do dochodów, z których swoją część otrzymywali członkowie ekspedycji.

Jathmar wyciągnął ramię w kierunku żony. Shaylar zachichotała i niczym królowa, wielce wyrafinowanym gestem położyła dłoń na jego rękę. Poruszała się w ten delikatny i pełen tajemnicy sposób, którego młode Harkalanki uczą się chyba już w kołyskach. Przez chwilę wydawało mu się, że pod jej brudnymi, poplamionymi spodniami i ubłoconymi traperkami widzi wieczorową harkalańską suknię. Shaylar wyglądała w tym stroju olśniewająco. Jej ciało skryte było pod wieloma warstwami haftowanego materiału, z których każda lśniła w innym, połyskującym kolorze. Sama jej skóra zdawała się świecić od szmaragdów, złoconego lapisu i głębokiej, bordowej barwy frathańskiego wina.

Błękitny lapis po dziś dzień stanowił najcenniejszy klejnot w każdej harkalańskiej kulturze. Jathmar nie całkiem rozumiał dlaczego. Shaylar próbowała wyjaśniać mu to czasem jeszcze i teraz – po dziesięciu latach udanego małżeństwa. Niestety – wykłady małżonki zawsze kończyły się przedwcześnie, gdyż harkalańska mitologia skupiała się wokół szczegółowych opisów intymnych przygód swych bohaterów...

Shaylar wyczuła jego emocje i uśmiechnęła się łagodnie, i obiecująco. Ten jej uśmiech uderzył go niczym pięść. Stanowił kolejne potwierdzenie tego, jak dobrze się stało, że udało im się umieścić Shaylar w zespole. Nie potrafiłby pracować bez niej. Nie potrafiłby i nie chciał. Z tego prostego powodu, że długotrwała rozłąka byłaby dla niego niemal równoznaczną z przedwczesną śmiercią.

–Też cię kocham – mruknęła Shaylar unosząc głowę do kolejnego – zbyt krótkiego – pocałunku. Jathmar westchnął ze smutkiem i obiecał sobie, że dzisiaj skończy pracę wcześniej. Ucieszył się przy tym z tego, że zadbali, by ich namiot stanął nieco na uboczu, z dala od pozostałych. I to odczucie dotarło przez małżeńską więź do Shaylar. Oczy jej zabłyśły. Spojrzała na męża. Po chwili opanowała się, wzięła go pod rękę jak dobra żona powinna i poprowadziła go w stronę centralnego placu obozu, na którym rozbrzmiewał już głos Ghartouna chan Hagrahyla. Słyszając wołającego, dwunożnego intruza odezwały się gniazdujące dokoła ptaki, broniące zaciekle swych terytoriów.

–Gharotun nie tylko ma głos jak one, ale i zachowuje się podobnie – zachichotała Shaylar, wskazując głową las, w którym wybuchł ptasi rwetes. – Broni tego, co zaznaczyliśmy na mapach i wymyśla kolejne sposoby na przechytrzenie konkurencyjnych zespołów.

–Założę się o dowolną sumę, że jesteś pierwszą osobą, która zauważyła jakiegokolwiek podobieństwo między Ghartounem chan Hagrahylem a ptakami – roześmiał się Jathmar. Przysadzisty Ternathianin przypominał raczej

tathawiriańskiego bawołu niż jakiegokolwiek skrzydlate stworzenie. Był żołnierz mimo trzydziestu spędzonych w cywilu lat, nosił krótkie, obcięte na wojskową modłę czarne włosy. Jego błękitne spojrzenie było równie przenikliwe, jak chłód poranka.

Nie był geniuszem, lecz znał się na swej pracy, a w jego żywych oczach tliła się pełna energii inteligencja. Miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Był wyższy od Jathmara i o wiele od niego potężniejszy. Pod jego skórą grały mocne mięśnie. Ze swoimi prawie stu sześćdziesięcioma centymetrami Shaylar wyglądała przy nim jak dziecko. Głową ledwie sięgała jego brody. Na dodatek ważyła jedynie czterdzieści siedem kilogramów. Pozory jednak myliły. Kobieta potrafiła dotrzymać kroku mężczyznom w każdym terenie i przy dowolnym tempie marszu. Zresztą owe upiorne trzy tygodnie w deszczu, błocie i wśród wylewających rzek dowiodło tego, że niczyja wytrzymałość nie jest nieograniczona.

–Gotowy? – zapytał chan Hagrahyl podnosząc oczy znad ostrzonego przez siebie toporka. Ostrożnie sprawdził ostrze opuszką kciuka i mruknął z zadowolenia. Wczoraj – rąbiąc gałęzie na ogrodzenie – porządnie stępił swoje narzędzie.

–Jakieś szczególne życzenia co do kierunku? – spytał Jathmar.

–Nic. Pamiętajcie tylko, że Falsan ruszył jakieś trzydzieści minut temu na południowy zachód, wzdłuż strumienia. Poszedł poszukać czegoś na kolację. Zapowiedziałem kucharzowi, że jeśli jeszcze raz dostaniemy jakąś potrawkę ze szcurzych ogonów, to oskalpuję go żywcem.

Jathmar roześmiał się głośno. Podobało mu się, że dowódca ich zespołu wyznawał zasadę, iż suszone i puszkiowane żelazne racje przeznaczone były wyłącznie na awaryjne sytuacje. Lubił jeść mięso świeżo upolowanych zwierząt i rośliny, które owocowały akurat podczas ich wizyt. Niemniej...

–Powinieneś jednak oddać mu sprawiedliwość, Ghartoun – napomniął szefa Jathmar. – W żadnym zespole po tej stronie Sharony nie ma lepszego kucharza niż Naldar. Potrafiłby zrobić zjadliwą potrawę nawet z tych twoich szcurzych ogonów.

–Według ciebie – mruknęła Shaylar. – Czasem wolałabym chyba żuć własne buty.

–I to mi się w tobie podoba – zaśmiał się Hagrahyl. – No dobrze. Ja ufam Falsanowi – wiem, że nie strzelałby nie widząc celu, ale nie ma sensu ryzykować. Idąc wprost na południe moglibyście wejść mu pod lufę, więc sugerowałbym wschód.

–Zgoda – powiedział sucho Jathmar. W odróżnieniu od Shaylar, Falsan nie był telepatą. Bez tego – i bez czegoś w rodzaju ich małżeńskiej Więzi – nawet Głos tak silny jak ona nie był w stanie się komunikować na odległość z kimś pozbawionym telepatycznego Talentu. Falsan chan Salgmun był zrównoważony, rozsądny i godny zaufania, lecz wypadki przecież chodzą po ludziach i Jathmar sam nie miał ochoty

iść śladami uzbrojonego myśliwego w nieznanym terenie. A już na pewno nie chciałby, żeby ten myśliwy poczuł się śledzony.

–W porządku. Pójdę jakąś milę na wschód i opracuję wszystko dokoła i na południe. Dzięki temu Shaylar będzie mogła naszkicować w szczegółach wszystko w obrębie kwadratu o boku sześciu mil wokół obozu. Widziałem już, że strumień rozdwa się jakąś milę na wschód stąd. Główny nurt biegnie niemal dokładnie na wschód, a mniejsza odnoga płynie na południe. Wykorzystam je jako punkty odniesienia. W razie potrzeby skoryguję linię siatki kompasem.

–Zawsze byłeś przezorny, Jathmar – zaśmiał się chan Hargrahyl. – Masz najlepsze wyczucie kierunku spośród wszystkich badaczy terenu, z jakimi pracowałem. A pracowałem z niejednym. I mimo to – nadal nosisz przy sobie kompas.

Jathmar zbył komplement wzruszeniem ramion, natomiast Shaylar uśmiechnęła się tak, że samym tym uśmiechem mogłaby kruszyć skały. Poczuł w duszy jej musujące zadowolenie.

–Ostrożny Kartograf żyje na tyle długo, by sporządzić mapę kolejnego portalu, przyjacielu – powiedział z uśmiechem. – Nieostrożni Kartografowie, natomiast, gubią samych siebie i swoje zespoły – objął Shaylar. – A tak między nami i ogrodzeniem, które wczoraj zbudowaliśmy, zamierzam zobaczyć jeszcze wiele, cudownych światów.

Chan Hargrahyl uśmiechnął się i poklepał go po ramieniu.

–Dobrze powiedziane, Jathmar, naprawdę dobrze – zauważył i wrócił do zawodowego tonu. – Będiesz w stanie dziś wytyczyć siatkę bazową?

Jathmar spojrzał w niebo i zastanowił się nad odpowiedzią. Po chwili wykonał głową gest, który niemal przypominał skinienie.

–Prawdopodobnie – powiedział – choć pewnie zajmie nam to, co najmniej, większą część dnia. Na szczęście to – machnął ręką na wysokie drzewa rosnące dokoła – oznacza, że nie trafię w zbyt gęste krzewy, przez które musiałbym się przebijać. Dzięki bogom. Choć z drugiej strony będę się poruszać wzdłuż strumieni przez dłuższy czas, a tam na brzegach z pewnością jest niełicha gęstwina. Łatwiej powinno być, kiedy już skręcę na południe.

Jathmar miał zamiar iść trasą w kształcie litery L, która nakreśliłaby kwadratowy obszar siatki terenu. Oka siatek badawczych, z powodu natury Talentu Kartografów zawsze były kwadratowe. Pierwszy kwadrat dzisiejszego ranka miał wytyczyć najnowszy fragment siatki bazowej. Kiedy go ukończą zdecydują, w którą stronę się udać. W sprzyjających warunkach, takie decyzje uzależniali od atrakcyjności terenu i jego naturalnych bogactw.

–Gdyby udało się nam zobaczyć w nocy gwiazdy – zauważyła Shaylar z nadzieją – moglibyśmy dokładniej ustalić nasze położenie.

–To prawda. Nie przeczę, że sam poczułbym się wtedy lepiej – przyznał chan Hagrahyl kiwając głową. Przybliżenia przybliżeniami, ale dobrze jest wiedzieć, gdzie się jest.

Pogodna jesień sprzyjała im nie tylko dlatego, że nie padał deszcz. Od ich przybycia niebo zasnuwane było chmurami, zupełnie jakby przeszły wraz z nimi przez portal i śledziły ich, zanim udało się im zostawić je za sobą. „To zresztą zupełnie możliwe” – zastanowił się Jathmar. – „Ten portal jest ogromny, a masy powietrza mogą przecież swobodnie przemieszczać się między wszechświatami.”

Oceniając położenie na podstawie roślinności i miejscowych zwierząt Jathmar stawiał na to, że znajdują się w miejscu, które na Sharonie stanowiłoby północne rubieże jego własnej ojczyzny. Wielkie dęby, cukrowe klony, potężne topole i sykomory wśród których ćwierkały kardynały i pręgowce a także majestatyczne wysokie jelenie – wszystko to świadczyło, że znajdują się o dwieście lub trzysta mil od położonego na brzegu jeziora miasta Serikai w jego rodzinnej Faltharii.

O ile się nie mylił, to zupełnie niedaleko powinno rozciągać się pięć potężnych falthariańskich jezior, z których każde większe było niż niejedno morze na Sharonie. Jathmar założył się sam ze sobą, że okaże się, iż są o kilka dni od tutejszego odpowiednika wodospadu Emlin. Emlin był jednym z dwóch najbardziej widowiskowych wodospadów Sharony – i rzecz jasna wszystkich jej replik, które zostały dotąd odkryte i przynajmniej częściowo zbadane. Jathmar nie liczył jednak na widoki. Jeżeli rzeczywiście znaleźli się niedaleko Emlin, to tym samym niezbyt daleko powinny kryć się pod ziemią cenne złoża rudy żelaza. Mimo to nie chciał nikogo przedwcześnie karmić nadziejami, nie powiedział więc jak dotąd ani słowa chan Hagrahylowi.

–Dobra. Czas na mnie – powiedział zamiast tego. – Powinienem stawić się z powrotem około południa.

Jathmar i Shaylar ruszyli ku wschodniemu krańcowi obozu. Po drodze minęli namiot Rilthana. Rusznikarz zajęty był naprawą jednego ze sztucerów, który wczoraj zaczął się zacinać. Przed Rilthanem leżały narzędzia i elementy rozmontowanej broni. Był to sztucer model 9. Na przestrzeni ostatnich kilku lat armia ternathiańska pozbywała się – wypuszczając na wolny rynek – wielu takich karabinów. Była to mocna i godna zaufania broń, zwłaszcza przy zastosowaniu nowego rodzaju, bezdymnego prochu. Mimo, że ich okrągłe magazynki nie pozwalały na bezpieczne stosowanie nowych i lepszych pod względem balistycznym pocisków ostrołukowych, to była to broń, którą z powodzeniem można było wykorzystywać do celów cywilnych. Sama armia tymczasem niemal w stu procentach wyekwipowana już została w nowy karabin

Za namiotem Rilthana zobaczyli pracujących poganiaczy. Kilkanaście osłów nudziło się przebierając kopytami w prowizorycznej zagrodzie, a ludzie sprawdzali uprząże i skórzane paski, na których mocowano pakunki do zwierzęcych grzbietów. Juczne zwierzęta były nieodzownym elementem długich wypraw, a osły nadawały się do tej roli świetnie. Mimo, że osły nie mogły się równać z wykorzystywanymi w podobnych celach przez armię, szybszymi i silniejszymi mułami, to były wytrzymałe i nie wymagały tak intensywnej opieki. Także i za paszę wystarczały im często rzadkie i mizerne rośliny, które nie wykarmiłyby stada koni. W porannym powietrzu powoli rozchodziła się nieprzyjemna mieszanka woni smaru do karabinów, kurzu, rozgrzanych słońcem zwierzęcych skór i gnoju.

Kilka niewysokich zwierząt potrząsnęło łbami i potruchtalo w kierunku Jathmara i Shaylar. Patrzyły na ludzi swymi wielkimi oczami w nadziei na marchewkę lub garść zboża. Shaylar sięgnęła za stanowiącą ogrodzenie linę i podrapała osła za uchem. Zwierzę nagląco trąciło pyskiem jej dłoń. Domagało się dalszych pieszczot. Kobieta roześmiała się wesoło.

–Przykro mi, osiołku. Nie mam czasu na dłuższe igraszki. A marchewki mi się właśnie skończyły.

Jathmar uśmiechnął się. Shaylar poszła za mężem i wyszli przez bramę w palisadzie. Trzymała się w pewnej odległości z tyłu. Poranne promienie słońca nadały jej ciemnym włosom jedwabistego blasku. Jej kosmyki przypominały teraz skrzydła kosa. Wyglądała w tym dzikim lesie raczej nie na miejscu. Raczej zupełnie obco. Trochę niczym gość z całkowicie innego – a nie z nieco tylko odmiennego – świata.

To oczywiście było jedynie złudne wrażenie. Jathmar wiedział bowiem dokładnie, z jakiego świata pochodziła jego żona. Odwiedził jej rodzinne strony jeszcze przed ślubem. Niewysoka piękność, która podbiła jego serce nie była Faltharianką. Shaylar urodziła się w Shurkhal, zamożnym królestwie starożytnej Harkali, które leżało na gorącym i pustynnym półwyspie, pomiędzy wschodnim wybrzeżem Ricathii i wielkim, trójkątnym szmatem lądu wdzierającym się na tysiąc mil w głąb Oceanu Harkalańskiego.

Po rysach i barwie twarzy Shaylar łatwo było poznać jej harkalańskie dziedzictwo. Nie było w tym nic zaskakującego, gdyż Shurkhal stanowiło w dawnych czasach kulturalne centrum Imperium Harkali. Harkala, zanim została wchłonięta przez dużo potężniejsze Imperium Ternathiańskie, kwitła w najlepsze, dzięki korzystnemu położeniu na przecięciu szlaków handlowych wiodących ze wschodu na zachód. Po ostatecznym zwycięstwie Ternathian posiadłości Harkalan skurczyły się do ich pierwotnych prowincji. Ich królestwa jednak zachowały polityczną niezależność. Rodzina Shaylar nie była jednym ze starożytnych kupieckich rodów, ani tym bardziej

żadnym arystokratycznym klanem, lecz przyjęli Jathmara – obcego z otwartymi ramionami i słynną shurkhalską gościnnością, o której rozpisywali się niegdyś szeroko ternathiańscy bardowie.

Shaylar odczytała emocje męża i uniosła swe ciemne oczy.

–A czemuż nie mieliby cię powitać z otwartymi ramionami? – zapytała cicho. – W końcu byłeś w ich oczach świetną partią dla takiej dziewczyny jak ja.

–Dla takiej jak ty? – zachichotał. – Czy ty masz w ogóle pojęcie ilu Kartografom z Zarządu Portali musiałem stawić czoła, by z tobą pracować?

Shaylar zaśmiała się głośno i radośnie.

–Jath, ty nie miałeś nic do powiedzenia. To ja podjęłam ostateczną decyzję. A podjęłam ją pięć minut po naszym pierwszym spotkaniu w biurze Halidara Kinshe.

Uśmiechnął się do niej. W jego orzechowych oczach rozbłysły diabliki, które nawet po dziesięciu latach małżeństwa sprawiały, że krew zaczynała szybciej krążyć w jej żyłach. Poznali się na stażu w Zarządzie Portali. Ona ledwie zaczęła swoje szkolenie. Halidar Kinshe był wyznaczonym przez króla ojczyzny Shaylar posłem do parlamentu. Był też jednym z członków rady nadzorczej Zarządu.

Żaden badacz – ani też żadna badaczka – nie mogli podpisać umowy z żadnym pracodawcą – nawet z prywatnym konsorcjum, takim jak Chalgyn – dopóki nie otrzymali autoryzacji Zarządu Portali. A Zarząd nigdy nie autoryzowałby nikogo, kto nie przeszedł długiego i trudnego kursu szkoleniowego. Część treningu przyszłych badaczy stanowił staż w biurze politycznym jednego z członków zarządu, którego późniejsza ocena była w stanie zniszczyć lub dać mocne poparcie i nadzieje na zatrudnienie kandydata.

Shaylar niechętnie wspominała te ciężkie i wyczerpujące lata intensywnych zajęć teoretycznych, połączonych z treningami w terenie i obowiązkowym szkoleniem strzeleckim oraz nauką walki wręcz. Przejście całości przygotowań wymagało od niej wzniesienia się na wyżyny inteligencji, Talentu i wytrzymałości. Mimo to – udało się jej. Została jedną z szesnastu kobiet, które przeszły pełny cykl treningowy i jedyną, którą dopuszczono do udziału w ekspedycjach badawczych. Mimo, że Halidar Kinshe okazał się nieoczekiwanym sprzymierzeńcem i wspaniałym mentorem, za co – była tego pewna – będzie mu dogonnie wdzięczna, to przejście obliczonego na wyniszczenie uczestników szkolenia, zawdzięczała głównie Jathmarowi. Pomagał jej zarówno w teorii jak i zajęciach praktycznych. Zakochała się w Jathu – jak się wtedy nazywał – bez pamięci jeszcze na długo przed ukończeniem Akademii Zarządu Portali.

On odpowiedział jej takim samym uczuciem. Dodał nawet do swojego imienia

wymagany tradycją przyrostek „ar”, który obywatele Shurkhali dodawali sobie tuż po złożeniu małżeńskich ślubów. Faltharianie nie znali tego zwyczaju, lecz Jathmar zapewnił ją, że tego właśnie chce, zanim jeszcze zdobyła się na odwagę, by go o to zapytać. Ucieszyła się bardzo i to nie tylko dlatego, że podkreślało to siłę jego miłości, lecz także dlatego, że, jak świetnie zdawała sobie sprawę, było to ważne dla jej rodziny. W tamtych dniach obawiała się dużo bardziej, niż była skłonna przyznać, że jej krewni nie zaaprobują wolnomyśliciela z Faltharii i jego republikańskich tradycji, których – przynajmniej ojciec nigdy nie byłby w stanie zrozumieć.

Jej ojciec był w głębi duszy prostym chłopem. Zajmował się doglądaniem sporych stad rdzawo wełnianych owiec, jedwabistych kóz i garbatych, niespokojnych wydmiaków, których shurkhalscy kupcy od stuleci używali jako środka transportu przez pustynię, od wybrzeża wprost ku bogatym rynkom na wschodzie. Z takim podłożem nie mógł zrozumieć marzeń, za którymi gnał Jathmar... marzenia Shaylar rozumiał zresztą jeszcze gorzej.

Niemniej – kochał ją. Zdawał się też rozumieć, że córka uosabiała wszystkie marzenia swojej matki. Matka Shaylar była tłumaczką języka waleni. Bardzo dobrą tłumaczką. Pracowała dla jednego z największych instytutów waleni na całej Sharonie.

Shalassar Kolmayr-Brintal przybyła do Shurkhal jako młoda, pełna marzeń i celów, kobieta. Pomogła Instytutowi Waleni założyć w Shurkhali Ambasadę Wodnego Królestwa. Ambasada – zupełnym przypadkiem – została wybudowana na terenie wykupionym od niejakiego Thamina Kolmayra. Ich niespodziewany związek stał się legendą Instytutu.

Shaylar dorastała więc bawiąc się ze stworzeniami zamieszkującymi długie i wąskie Morze Palca, oblewające wschodnie wybrzeże Shurkhali i stanowiące szlak morski wiodący – przez Wielki Kanał Ternathiański – z morza Mbisi na Ocean Rindor. Delfiny i wieloryby przyływały do ambasady przynosząc wiadomości i prowadząc dyplomatyczne rozmowy z Instytutem Waleni. Ambasada przekazywała te wieści do kwatery głównej Instytutu znajdującej się w Tajvanie.

Jathmar, mimo że nie był już dzieckiem, był zachwycony możliwością poznania delfinów i waleni, które nie tylko okazały się przyjazne, lecz także potrafiły rozmawiać z matką Shaylar. Co więcej – sympatia, jaką delfiny obdarzyły jego, była znaczącym argumentem, pomagającym zdobyć mu względy teściowej. Shalassar – jak wszyscy tłumacze języka waleni – darzyła mieszkańców mórz wielką estymą. Teraz tę opinię dzieliła także jej córka i sam Jathmar.

Mimo wszystko jednak hodowla kóz i wydmiaków nie przynosiła wielkiego dochodu. Matka Shaylar była szanowaną i obdarzoną wielkim Talentem osobą, lecz tłumaczenia także nie pozwalały jej na zbyt wystawne życie. Nawet mimo że

pracowała dla ambasady.

Oczywiście – gdyby ta czarna maź, która płynęła pod pustyniami od niepamiętnych czasów zajmowanych przez jej rodzinę okazała się tak cenna, jak sądziło kilku ternathiańskich inżynierów, to klan Kolmayr mógłby opływać w większe jeszcze bogactwa niż wszystkie poprzednie pokolenia – niemal dwa tysiące lat wstecz – posiadały kiedykolwiek. Tak przynajmniej uważali wszyscy w klanie, choć sama Shaylar nie była pewna, czy pod rodzinnymi piaskami kryło się wystarczająco dużo „surowego oleju” by warto było inwestować w wydobycie. Czas i maszyny potrzebne do wydrążenia szybów i wyprowadzenia złóż na powierzchnię kosztowałyby fortunę.

Poza tym – jeśli nawet wydobyliby już ten olej, to co mieliby z nim dalej zrobić? Nie ufała tym nowomodnym silnikom, które pracowały na płynach wydestylowanych właśnie z takiego oleju. Nie mogła sobie wyobrazić świata, w którym te hałaśliwe, cuchnące i brudne silniki byłyby powszechne i przydatne mimo, że niektórzy fanatycy coś podobnego właśnie zapowiadali. Sama jednak myśl o rodzicach i krewnych noszących jedwabie i zamieszkujących w wystawnych rezydencjach była dość zabawna. Obrazy te przepłynęły dzięki małżeńskiej więzi do umysłu Jathmara. Oczy mu rozbliły.

–Oczywiście, że zostaną bogaczami! Będą zamożni niczym królowie! Myślałaś, że dlaczego wziąłem cię za żonę, mój ty mały pustynny kwiatuszku?

Shaylar uderzyła go solidnie w ramię, starając się jednocześnie przybrać najgroźniejszą minę na jaką było ją stać. Grymas nie wyszedł jednak zbyt przekonująco. Zresztą Jathmar był najmniej materialistycznie nastawioną istotą ludzką, jaką kiedykolwiek poznała.

Roześmiał się, pocałował ją i westchnął.

–Czas do roboty – powiedział. – Przed nawiązaniem kontaktu daj mi trochę czasu. Muszę dotrzeć na miejsce. Przy takiej gęstwinie potrzebuję co najmniej pół godziny.

Mówiąc przyglądał się krzewom bujnie porastającym strome brzegi strumienia.

–W takim razie pół godziny – potwierdziła Shaylar.

Jathmar odwrócił się i ruszył na wschód wzdłuż potoku.

Obserwowała go, dopóki nie zniknął za zakrętem, po czym pozwoliła sobie na ciche westchnienie. Tak bardzo chciała by móc z nim dziś pójść. Otrząsnęła się po chwili i wróciła do obozu. Rozłożyła swoje stanowisko robocze – prosty, składany stolik, który rozłożony na kolanach dawał wygodny blat do pisania. Gdy przemieszczali się z miejsca na miejsce, stolik podróżował na grzbiecie osła. Był jej absolutnie niezbędny. W końcu w dziewięćdziesięciu procentach przybyli tu po to, by rysować

mapy.

Wybrała dogodnie miejsce poza palisadą, za wschodnią ścianą obozu. Większość pozostałych członków zespołu zajęta była zarządzaniem przez chan Hagrahyla sprawdzaniem sprzętu. Był to rytuał, który powtarzano na każdym postoju. Sparciałe czy uszkodzone skórzane paski uprzęży, mogły przyczynić się do groźnych dla ludzi wypadków. Chan Hagrahyl był zbyt doświadczonym dowódcą, by pozwolić sobie na podobną wpadkę.

Kiedy więc wszyscy mieli pełne ręce roboty w obozie, Shaylar rozłożyła się na zewnątrz. Nie odeszła jednak za daleko i zachowała kontakt wzrokowy z trzema towarzyszami, pracującymi nad strumieniem. Braiheri Futhai – przyrodnik zespołu, przetrząsał szuwary i szkicował coś w swym notesie. Elevu Gitel, geolog, pieczołowicie pobierał kolejne próbki ziemi. Futhai rozłożył już swe siatki i czekał teraz, aż rozproszy się mgła i słońce wysuszy trawę. Wtedy jak zwykle miał zamiar łapać motyle i inne owady. Obaj naukowcy pochłonięci byli własnymi sprawami bez reszty.

Trzeci mężczyzna odwrócił się od kolegów i uśmiechnął się nieprzyjemnie w jej stronę. Barris Kasell także był kiedyś żołnierzem. Arpathianin służył dawniej w piechocie swego rodzinnego królestwa. To wyróżniało go z tłumu. Większość Arpathian była bowiem jeźdźcami. Szeroko znana była ich maestria w obchodzeniu się z wierzchowcami, a także ich zaciekłość i dzikość w walce. Obie te umiejętności były im niezbędne do utrzymania granic swej krainy w obliczu zakusów potężnych królestw Uromathii, z którymi od wchodu i południa sąsiadowali.

W odróżnieniu od chan Hagrahyla Kasell miał zawadiackie poczucie humoru. Zazwyczaj brał na siebie obowiązek pilnowania naukowców – a także Shaylar. Nie przeszkadzało mu to, a ponadto był niesłychanie sumienny. Teraz zobaczyła jak zabłyśły wpatrzone w nią oczy o kształcie migdałów – spadek po mieszańcach z jego rodzinnych stron.

Shaylar – jak każdy członek zespołu Hagrahyla – miała przytroczone do boku pistolet. Nie mogła jednak naraz wykonywać swojej pracy i obserwować otoczenia. Dlatego właśnie Kasell strzegł zbierających swe trofea naukowców, a ona mogła spokojnie sporządzać mapy.

Porośnięty gęstym lasem teren, w którym się teraz znajdowali aż tętnił od różnorodności ptaków i drobnych ssaków. Jeden z nich zdążył już wprawić Futhaia w ekstazę. Był to bowiem nieznanany nigdzie indziej podgatunek.

– Czarnobiały pręgowiec! Bogowie! Czarnobiały! Patrzcie! Są ich całe dziesiątki!!! To nie żaden mutant! – w ciągu ostatnich trzech dni stało się to ulubionym okrzykiem Futhaia. – Są wszędzie! To nie jest endemiczna populacja! Czarnobiałe pręgowce!

Zupełnie nowy podgatunek!

Braiheri Futhai był człowiekiem niezwykle pedantycznym. Nie przejawiało się to jednak w sposobie ubierania się, ani poruszania – był bowiem tak samo dobrym traperem jak każdy członek zespołu – a raczej w jego sposobie myślenia, gdzieś u samego podłoża jego ternathiańskiej duszy. Futhai nie nosił nazwiska Braiheri chan Futhai – nigdy bowiem nie służył w siłach zbrojnych Ternathii. Nie dlatego nawet, że nie był patriotą, lecz uważał wojaczkę za zajęcie niegodne dżentelmena.

Okazał się też świetnym przyrodnikiem. W pamięci nosił całą skarbnicę informacji naukowych. Zakres jego dociekań rozciągał się od geologii po meteorologię, od zoologii i botaniki po fizykę i matematycznie precyzyjne zasady, na mocy których wszystkie światy – z ich ukochaną Sharona włącznie – wirowały w swej nieskończonej podróży dokoła duplikatów słońca. Miał bystry wzrok i jasny umysł. Dar spostrzegawczości sprawiał, że był cennym członkiem ekspedycji.

Niestety jednak wszystkie te zalety mieściły się w jednym umyśle razem ze zbyt wieloma dziwacznymi pojęciami na temat dobrego zachowania i postawy życiowej, które powinny cechować dobrze urodzonego dżentelmena, obywatela najstarszego i najwspanialszego imperium Sharony. Co gorsza, od innych wymagał, by traktowali go z takim szacunkiem, na jaki w swoim mniemaniu zasługiwał będąc wnukiem ternathiańskiego diuka. Z takim samym poszanowaniem zasad współżycia społecznego, które studiował z równym zapałem co naukę, traktował też swoje otoczenie. Nie był przy tym wymagający ani małostkowy, co w oczach Shaylar tylko pogarszało sprawę. Futhai był nieznośnie wręcz uprzejmy, szczególnie wobec niej. Zarzucał ją kłopotliwym ciężarem miłych gestów, starał się zaspokajać każdą jej potrzebę... bez względu na to, czy sobie tego życzyła, czy nie.

Najgorsze jednak było to, że żywił niewzruszone, głębokie przekonanie, że wyznawane przez niego zasady i zwyczaje były tak samo absolutne i niezmiennie prawdziwe, jak prawa fizyki ciał stałych, którym oddawał się z taką pasją. Braiheri Futhai nie był w stanie pojąć, że nie wszyscy mieszkańcy Sharony uważali ternathiański sposób życia za najlepszy z możliwych. Naukowiec miał akurat na tyle rozwinięty Talent, że Shaylar mogła się przekonać, iż on naprawdę i szczerze wierzył, że pewnego dnia każdy oświecony Sharonianin przemieni się w klon ternathiańskiej damy lub dżentelmena. Nie mógł pojąć podstawowej prawdy – nie mógł zrozumieć, że Shaylar po prostu wolała swój harkalański sposób życia i harkalańską kulturę, tak samo jak Jathmar cenił swe falthariańskie wartości, a Elevu Gitel – ricathiańskie.

Zresztą różnice pomiędzy wielkimi kulturami Sharony nie były aż tak znaczące. Piąta część populacji planety posiadała Talenty psioniczne. Podobieństwa były więc nieuniknione. Co więcej – biorąc pod uwagę bezmiar terytoriów, jakimi władali niegdyś imperatorzy Ternathii i ilość kolonii rozrzuconych po bezkresnych morzach, przynajmniej połowa ludności Sharony mogła przyznawać się do ternathiańskiego

dziedzictwa. Czy była nim krew, czy też pozostałości kolonialnej administracji i tradycji.

Shaylar osobiście wolała prosty, wojskowy umysł Ghartouna chan Hagrahyła od wyrafinowanych idei Futhaia. Nie było to z jej strony specjalnie uprzejme, lecz nie mogła nic na swoje uczucia poradzić. To w końcu Futhai wybrał sobie tak nieżyciowe poglądy.

Uśmiechnęła się do Kasella w odpowiedzi, spojrzała raz jeszcze na zajętego własną pracą przyrodnika i usiadła twarzą do strumienia. Z wprawą zawodowca zagłuszyła w sobie wszelkie, mogące ją rozpraszać sygnały z zewnątrz. Rozwinęła mapę i obciążyła jej rogi, by nie zwinęła się sama, po czym zaznaczyła miejsce leżące na wschód od ich obozu. Potem przygotowała resztę narzędzi: kompas z ołówkiem, stalową linijkę, kątomierz, drugi ołówek i szablon z wyciętymi symbolami używanymi na mapach, który znacznie upraszczał i przyspieszał jej pracę. Nie używała na razie atramentu. Wieczorami, po kolacji, sprawdzali mapy wspólnie z Jathmarem i dopiero wtedy niezmywalny atrament zastępował ślad ołówka.

Przygotowała także notatnik i jedno z tych wiecznych piór z tłoczkiem, które błogosławiła codziennie wraz z niezliczonymi innymi członkami zespołów badawczych – nie mówiąc już o zwykłych urzędnikach i oficjelach. Napełniła je z metalowej buteleczki na atrament, którą przeniosła już przez trzy wszechświaty, upewniła się, że wieczko było porządnie zakręcone, po czym odniosła kałamarz do namiotu.

Kiedy powróciła do stolika, Jathmar zdążył już odejść na tyle daleko od obozu, że mogła zacząć odbierać nowe informacje o rzeźbie terenu. Shaylar nawiązała z nim kontakt – to ona musiała nawiązywać połączenie, jego Talent pozwalał mu Widzieć, lecz nie umożliwiał samodzielnego przekazywania obrazów nikomu innemu. Obrazy zaczęły napływać wprost do jej umysłu. Cały proces już dawno stał się jej drugą naturą. Czasami tylko zastanawiała się, jak nudne musi być życie kogoś, kto nie ma do dyspozycji żadnego Talentu, dzięki któremu mnogie wszechświaty stawały się jednym wielkim i tajemniczym placem zabaw.

Była zadowolona z życia. Szczególnie w takie wspaniałe, chłodne poranki jak ten, kiedy słońce padało jej na ramiona. Zanuciła cichutko, półświadomie i skupiła się na obrazach, na które patrzył Jathmar oraz na tych, które Widział – różnica była zdecydowana. Na samym początku treningu Shaylar miała kłopoty z odróżnianiem obrazów, które Jathmar odbierał fizycznym wzrokiem, od tych, które Widział swym „trzecim okiem”. Obszar, który Jathmar odczuwał był dużo bardziej rozległy niż ten, który mógł zobaczyć naturalnym sposobem. Na tym się właśnie skoncentrowała nawiązując kontakt z mężem.

Jathmar patrzył na naniesiony już na mapę zakręt strumienia. Nie było w tym nic

dziwnego. Miejsce to znajdowało się niecałe pięć mil od obozu. Ten obraz był mocniejszy, lecz ona skupiła się na drugim, bardziej bladym i niewyraźnym.

Ze strony Jathmara cały proces przypominał nieco patrzenie „w górę” i „poza” niewidzialną siatkę, która czasem tylko pojawiała się w postaci niezbyt mocnych promyków. Na tej siatce Widział otaczający go teren, wyglądający trochę jak oglądane wśród mgły cienie. W umyśle Shaylar obraz ten pojawiał się nagle, od razu w całości. Był to zespół wrażeń, które stawały się i trwały kompletne, nierozzerwalne. To, co Widział Jathmar oglądała zupełnie jak teatralne przedstawienie bez aktorów, z samą tylko scenografią. Gdyby nawiązała kontakt z innym Głosem, obrazy byłyby o wiele ostrzejsze i bardziej wyraźne. Przypominałyby bardziej to, co widziała swymi własnymi oczyma. To, na co patrzyła teraz stanowiło raczej wodospad cieni – namalowany akwarelą, dziecinny obrazek, który zbyt długo leżał na słońcu.

Poszczególne obrazy musiała świadomie wyławiać z jaźni Jathmara. Wymagało to znacznego skupienia. Odległość pomiędzy nimi nie była jednak duża, więc cała czynność nie była zanadto wyczerpująca. Maksymalny zasięg na jaki mogła pracować Shaylar wynosił nieco ponad osiemset mil. Z tym wynikiem mieściła się w dziesięciu procentach Głosów o najsilniejszym Talencie, choć na takich odległościach najmniejsze nawet rozproszenie powodowało natychmiastowe zerwanie kontaktu.

Inni telepaci nie mogli komunikować się na takie jak ona odległości. Dzięki temu ich zespół miał znaczną przewagę nad konkurencją. Pamiętała jak zaskoczony był jej możliwościami Darcel, kiedy zaczęli ze sobą pracować. Zaskoczony i zmartwiony zarazem, ponieważ on sam mógł utrzymać kontakt jedynie na około sześćdziesiąt procent jej rekordowej odległości. Z taką różnicą możliwe było, by Shaylar oddaliła się od niego na tyle by mógł odbierać jej przekazy, lecz nie miał możliwości odpowiedzi. Zanim wyruszyli w pierwszą wspólną wyprawę w nieznaną, pracowali na zbadanym i zasiedlonym już przez kolonistów świecie. Tam za pomocą torów kolejowych prowadzili bardzo poważną grę w głuchy telefon, która miała na celu pomiar odległości koniecznych do efektywnej komunikacji. W rezultacie okazało się, że mógł ją Słyszeć do odległości ośmiuset mil, a ona Słyszała jego wiadomości na około sześćset pięćdziesiąt mil. Niestety powyżej sześciuset osiemdziesięciu mil Słyszał ją tylko pod warunkiem, że spodziewał się kontaktu i wprawił się wcześniej w trans. To oznaczało, że owe sześćset osiemdziesiąt mil stanowiły ich maksymalny skuteczny zasięg.

Co z kolei determinowało odległość na jaką mogli oddalić się od nowego portalu, zanim musiała wyruszyć kolejna ekipa, która miała pomóc im w utrzymaniu komunikacji z bazą, po wejściu dalej w dziewiczy wszechświat. Pod wieloma względami było to strasznie uciążliwe, ale lepszy system póki co nie istniał. Gdyby zespoły badawcze musiały kontaktować się z centralą wysyłając człowieka z wiadomością, eksploracja wielu nowych portali zajęłaby dziesiątki lat więcej. Przy

obecnym stanie rzeczy badania posuwały się naprzód w stałym tempie. Wszyscy marzyli tylko o jednym. O Talencie wskazującym bezpośrednio nowe, nieodkryte jeszcze portale.

Teraz poszukiwanie nowych portali odbywało się dzięki wysyłaniu naprzód tylu zespołów, ile tylko było w danej chwili dostępnych. W każdej ekipie był przynajmniej jeden człowiek wrażliwy na niewyjaśnione dotychczas zjawiska fizyczne, towarzyszące powstawaniu portali. Byli też – choć była to dosłownie garstka – ludzie tacy, jak Darcel, którzy potrafili wyczuć obecność samego portalu na tyle dokładnie by określić kierunek geograficzny, w którym należało się udać. To już było coś i to niemałe coś. Pomimo tego rodzaju udogodnień odkrycie więcej niż jednego czy dwóch portali w danym wszechświecie, kiedy do zbadania była cała planeta, identyczna z ich macierzystym światem, stanowiło zadanie przypominające poszukiwania igły w stogu siana.

Shaylar, na przykład, drżała za każdym razem kiedy myślała o portalu Haysam. Wejściowy portal na Nowej Sharonie położony był około tysiąc mil od wyjściowego portalu na Reyshar, z czego ponad sześćset z tego tysiąca mil pokrywały wody Oceanu Zachodniego. Dotarcie do tamtego portalu musiało stanowić prawdziwy koszmar. Często przychodziło jej do głowy, że odkrycie tak licznych portali w przeciągu osiemdziesięciu lat było i tak świetnym wynikiem sharoniańskich zespołów badawczych.

Tymczasem Shaylar z mężem dokładali kolejną cegielkę do zwiększenia liczby odkrytych terenów. Zarząd Portali wysłał już pełen kontyngent żołnierzy i sprzętu przez łańcuch tranzytowy. Ich zadaniem było wznoszenie fortów przy każdym z odkrytych przez zespół portali. Zarząd nie prowadził eksploracji własnymi siłami, lecz posiadał absolutną władzę nad każdym z portali. Nowe wszechświaty badane były przez prywatne przedsiębiorstwa, wynajmujące do tego celu zespoły takie jak ten Jathmara i Shaylar. Motywacją dla tych działań była najstarsza motywacja kierująca człowiekiem: zysk. Zarząd Portali czerpał jedynie „myto” za towary i osoby przekraczające portal, lecz spełniał także o wiele ważniejszą rolę. Stał na straży prawa do handlu i prawa własności do terenów i minerałów oraz innych zasobów naturalnych, które przypadły pierwszemu znalazcy – jednostce czy firmie.

Między innymi dlatego notatniki i mapy Shaylar były tak bardzo cenne. Konsorcjum Chalgin miało prawa do wszystkiego co ona wraz z Jathmarem – i pozostałymi członkami zespołu, którzy pomagali im w pracy – nanieśli na mapy. W końcu, w portalu pojawią się ludzie pracujący dla innych firm, lecz główny zysk przypadał temu, kto dotarł do skarbów pierwszy.

Zaraz po tym jak zespół ustalał swe położenie – co wymagało serii skomplikowanych wyliczeń przy użyciu map i gwiazd, oraz sporej wiedzy z zakresu nauk przyrodniczych: szczególnie geologii i biologii – głównym jego zadaniem

stawiało się porównanie swej pozycji z mapą Sharony, dzięki czemu orientowano się, w którą stronę najlepiej było się udać. Jeśli – na przykład – portal wyjściowy znajdował się blisko miejsca, w którym na Sharonie znajdowały się cenne złoża żelaza, udawali się właśnie tam, by zdążyć na miejsce zanim jakaś inna firma dowie się o istnieniu nowego portalu lub co gorsza o tym, dokąd prowadzi.

Pierwszy zespół po drugiej stronie portalu zarabiał ogromne pieniądze dla swej macierzystej firmy. Sami członkowie drużyn byli opłacani częściowo udziałami w aktywach pracodawcy, otwierało to więc możliwość wzbogacenia się i dla nich.

To był trzeci dziewiczy wszechświat na jaki w imieniu Chalgyn trafili Jathmar i Shaylar. W błotnistym bagnie, które niedawno opuścili nie było praktycznie nic cennego, lecz w pierwszym wszechświecie udało im się oznaczyć jedno wartościowe złożo. Oznaczało to, że już mogli myśleć o ciepłym gniazdku i emeryturze. Natomiast co do tego, co czekało ich tu...

Musieli co prawda poczekać z wejściem do tego wszechświata na przybycie garnizonu Zarządu, lecz mieli pewność, że byli jedynym zespołem badawczym na tym krańcu łańcucha tranzytowego. Wiedzieli, że inne wielkie konsorcja nie będą specjalnie zachwycone, kiedy dowiedzą się o istnieniu tego ślicznego skupiska. Shaylar zbyt często znajdowała się po drugiej stronie fortuny, by się teraz nie uśmiechnąć. Nie pamiętała już przez ile przechodzili portali tylko po to, by przekonać się, że ktoś tam już był, po czym musieli przedzierać się przez cudze tereny w nadziei na znalezienie jakiegoś wartościowego obszaru, na który nikt jeszcze nie natrafił lub – co było zawsze najlepsze – znalezienia nowego portalu.

„Tym razem” – pomyślała z radością – „my pierwsi sięgamy do skrzyni ze skarbami.”

Póki co jednak zajęła się obrazami odczytywanymi z umysłu Jathmara, który skręcił już ze wschodu na południe. Niespiesznie przedzierał się przez las. Kiedy skończy obchód dzisiejszej trasy, poznają zarys całego terenu w południowowschodniej strefie tranzytowej. Portal znajdował się za nimi – niemal dokładnie na północ od ich obozu, wyraźnie zaznaczonego na mapie Shaylar. Kiedy skończą już opisywać cały region dokoła swej bazy, porównają wyniki z podstawowymi mapami Sharony i sprawdzą czy zachodzi jakakolwiek korelacja między światami. Wątpiła, by się im to udało tak szybko. Zazwyczaj trzeba było opisać i nanieść na mapy dużo większy fragment nowego wszechświata, by móc dostrzec podobieństwa i dokładniej ustalić położenie. Teraz jednak powinno wystarczyć tylko kilka dni. Potem ich zadaniem będzie już jedynie wybór najatrakcyjniejszych działek dla Konsorcjum Chalgyn.

Jathmar przesyłał kolejne obrazy rzeźby terenu, a ona nanosiła je na mapę – żleby, głęboki wąwóz, drugi strumień, płynący ze wschodu w stosunku do kierunku, w jakim szedł jej mąż. Sporządzała też notatki i komentarze na temat obrazów

przepływających przez jej świadomość. Wieczorem usiądą oboje i przejrzą je, póki wrażenia nie zanikną. Wtedy też wprowadzą na mapy ewentualne korekty i pójdą spać, by rano zacząć wszystko od początku.

W południe Jathmar zatrzymał się na odpoczynek. Shaylar wyprostowała się i dźwięki, które nagle rozległy się za nią nieomal ją przestraszyły. Przez ostatnie dwie godziny była tak skupiona, że prawie ich nie słyszała. Odbierała je tylko podświadomie, zupełnie jak cichy brzęk owadów. Głosy były natarczywe i wyraźne. Z tego co zrozumiała Futhai próbował przekonać chan Hagrahyla, by ten pozwolił mu pójść wzdłuż strumienia nieco dalej, niż dowódca zespołu uważał za roztropne.

–...gdybyś posłał strażnika nie byłoby tematu.

–Nie, dopóki Jathmar i Shaylar nie skończą opisywać terenu w bezpośredniej okolicy obozu – zahuczał chan Hagrahyl tonem, który większość członków wyprawy rozumiała jako „sprawa zamknięta, nie ma sensu dłużej o tym rozmawiać.” Jednak Futhai był natchnionym przyrodnikiem w lesie pełnym nowych gatunków – do tej pory odkrył ich już kilka. Natrafił też na ślad niezwykle rzadkiej krzyżówki dwóch podgatunków z różnych stref klimatycznych, co w jego opinii potwierdzało przypuszczenia Darcela, że natrafili na prawdziwe skupisko. Nie istniała inna możliwość, by zwierzęta z tak odległych rejonów wydały na świat wspólne potomstwo.

Futhai był więc zdeterminowany. Chciał zapuścić się dalej od obozu i zbierać kolejne okazy. Nie wydawał się zdolny do przyjęcia „nie” jako odpowiedzi. Na pewno nie w sytuacji, kiedy wzrost jego znaczenia we wspólnocie naukowej świata był niemal pewny i to dzięki notatkom z tego jednego tylko stanowiska. Entuzjazm odkrywcy stał jednak w sprzeczności ze standardowymi procedurami, co nie mogło wywołać aplauzu ze strony chan Hagrahyla.

Gdyby nie był tak drażniącą osobą, Shalyar mogłaby nawet poczuć wobec Futhaia współczucie. Aż nazbyt dobrze wiedziała, jakie to uczucie, mieć coś cudownego tuż przed nosem i nie móc po to wyciągnąć ręki. Braiheri Futhai robił tylko to, co sama czyniłaby będąc na jego miejscu: walczył o to, czego pragnął. Niestety dla Futhaia – chan Hagrahyl okazał się twardszym przeciwnikiem niż w wypadku jej dawnych marzeń rada nadzorcza Zarządu Portali i tradycyjny konserwatyzm jej pobratymców.

Uśmiechnęła się do tej myśli i odebrała wrażenie ciemniejących wszędzie dokoła Jathmara owoców jeżyny, wraz z uczuciem głębokiego zadowoleniem, że ptaki nie wybrały jeszcze wszystkich jagód. Shaylar zachichotała na głos i rozluźniła się, do reszty pozbywając się napięcia wywołanego przez długotrwały kontakt telepatyczny. Wstała z swego przenośnego blatu i rozruszała bolące palce i ramiona. Praca z Jathmarem nie była trudna, ale wyczerpująca. Jej umysł domagał się chwili oddechu zupełnie tak, jak nogi – i kubki smakowe – Jathmara.

Poszła powoli na zachód wzdłuż strumienia. Okiem doświadczonego trapera przyglądała się okolicy w poszukiwaniu najmniejszego nawet śladu niebezpiecznych drapieżników. Nie spodziewała się ich tu. Od momentu, kiedy przybyli tu wczoraj i rozbili obóz hałasowali stanowczo za głośno. Pewności jednak nie można było mieć nigdy – zwłaszcza w dziewiczym wszechświecie. Zwierzęta z tej Sharony nigdy wcześniej nie widziały człowieka. Nie miały więc powodu, by się go bać. Stanowiło to zaletę, lecz mogło okazać się także i zagrożeniem. Ciężko było bowiem stwierdzić jak zachowają się mieszkańcy w razie nagłego spotkania. Shaylar, choć doceniała uroki karmienia dzikich jeleni z ręki, to wołała osobiście takie pумы i niedźwiedzie, które zdążyły już poznać ludzi i rozsądnie ich unikały.

Zbyt długo już pracowała w terenie, by gdziekolwiek czuć się w stu procentach bezpiecznie. Zdawała sobie sprawę, że w dziczy podobnej tym lasom, do odniesienia rany – może nawet śmiertelnej – wystarczy jeden moment nieuwagi. Obecność uzbrojonych towarzyszy także nie zwalniała jej z odpowiedzialności za własne bezpieczeństwo. W tych pięknych lasach z całą pewnością żyły węże. Ukąszenie grzechotnika było poważnym problemem, nawet jeśli można było skorzystać z pomocy Tymo Scleppisa. Teleempatyczny Uzdrowiciel mógł przyspieszyć gojenie się głębokich ran, lub zrastanie kości, a nawet mógł wpłynąć na leczenie obrażeń wewnętrznych, lecz uszkodzenia ciała związane z chemią jak właśnie jad węża – stanowiły już o wiele większe wyzwanie. A najbliższa klinika znajdowała się bardzo daleko stąd. Obserwowała otoczenie, podświadomie czując na biodrze ciężar pistoletu. Nigdy dotąd nie okazał się potrzebny, lecz nosiła go na wszelki wypadek cały czas przy sobie i dobrze wiedziała jak się nim posługiwać. Bardzo dobrze wiedziała.

Gdy upewniła się, że nic jej nie grozi zeszła ze stromego brzegu i przyklękła nad wodą by zmyć z dłoni smugi grafitu. Strumień był niesamowicie zimny. Ból poczuła aż w nadgarstkach. Gdzieś daleko, w górze strumienia rozległ się suchy trzask wystrzału. Shaylar uśmiechnęła się i zastanowiła, co takiego Falsan upolował na kolację. Myśliwy miał jeszcze dużo czasu i na pewno mógł zdążyć przed wieczorem z oprawieniem zdobyczy, zaciągnięciem jej do obozu i poćwiartowaniem na odpowiednie porcje.

Biorąc pod uwagę odległość wątpiła by jego ofiarą padł jelen. Musiałby sam taszczyć wielkie i ciężkie zwierze przez całą drogę. Może ustrzelił dzikiego indyka? Wstała i otrzepała dłonie z wody, po czym wytarła je dokładnie o spodnie. Uśmiechnęła się jeszcze szerzej, kiedy przypomniała sobie reakcję ojca na wiadomość, że będzie musiała chodzić cały czas w spodniach.

–Ależ moja droga... to... to jest...

–Praktyczne, papo – powiedziała z naciskiem. – Tego słowa szukałeś: „praktyczne”. Nie sprzeciwiałeś się, kiedy mama pływała z klientami delfinami, a miała na sobie w

takich razach jeszcze mniej, niż ja kiedy będę poza śpiworem.

–Tak, ale twoja matka pracuje pod wodą. Nie paraduje po świecie tam i z powrotem, w takim stroju. A jeśli już wychodzi z wody, to jednak na naszym terenie.

–Och papo. Spróbuj to zrozumieć. Świat się zmienia. Nasz mały kawałeczek ziemi, tu w Shurkhal to nie całe multiwersum, wiesz o tym, prawda?

Jej słowa wywołały nikły chichot ojca, co oczywiście było początkiem końca jego oporów. Nie musiała dużo dłużej przekonywać go, że wie co robi, bez względu na to co myślały jej ciotki i siostry przerażone, że Shaylar będzie biegać po wszechświatach bez jednej choć spódnicy czy tuniki.

Rozejrzała się wśród niebotycznych drzew i pokręciła głową. Nadal nie do końca pojmowała wizję godnego zachowania, jaką kultywowali jej rodzice. Nadal też zaskakiwał ją stopień do jakiego sama potrafiła być uparta. Większość krewnych podejrzewała skrycie, że Shaylar była odmieńcem. Żaden inny członek klanu Kolmayr nie wykazywał nigdy zainteresowania podróżami dalszymi niż do Sethdony – stolicy Shurkhali. O przejściu przez portal nie było w ogóle mowy. A co dopiero o tych piętnastu lub dwudziestu portalach, które dzieliły Sharonę i ten wspaniały las.

Przyjrzała się głębszemu miejscu w pobliżu i przyszło jej do głowy, że można by zarzucić sieć na tego wielkiego pstrąga, którego przed chwilą dostrzegła w ciemnej toni, pod nawisem skałek wystających nieco z brzegu. Lubiła pstrągi. Oblizwała wargi i poczuła głód równy temu, który przekazał jej wcześniej Jathmar. Może spróbuje złapać rybę w przerwie obiadowej. Choć z drugiej strony, jeśli Falsan przyniesie coś porządnego to ryby nie będą potrzebne.

Shaylar uśmiechnęła się do pstrąga na pożegnanie.

„Może kiedy indziej” – pomyślała.

Stała na brzegu jeszcze przez kilka minut. Pozwoliła się pochłonąć niewymownemu pięknu okolicy. Wielki las przypominał świątynię. W dzieciństwie, spędzonym na pustynnym półwyspie Shurkhal, Shaylar nie widywała podobnych obrazów. Drobiny światła szybowyły pomiędzy jasnozielonymi liśćmi, tańczyły na rozmigotanej wodzie, która rzucała jaskrawe, oślepiające refleksy, mknąc żwawo przed siebie. Szeptany śmiech wody brzmiał chicho i kojąco.

„Tak” – westchnęła – „tak właśnie powinno wyglądać życie.”

Rzuciła okiem na zegarek zawieszony na solidnym srebrnym łańcuszku na szyi – stał szybko by w takich warunkach zardzewiała – i zdała sobie sprawę, że właśnie minęło piętnaście minut przerwy. Wspięła się z powrotem na brzeg, usiadła za swoim polowym biurkiem i nawiązała kontakt z Jathmarem. Znow zobaczyła jeżyny – o wiele

mniej jeżyn niż za pierwszym razem. Po chwili jej mąż otrzepał ręce o spodnie i ruszył dalej.

Widmowe obrazy zaczęły płynąć jak przedtem. Shaylar zajęła się pracą.

Rozdział 3

Echo ostrego, suchego trzasku brzmiało równie nienaturalnie jak dźwięk, który je wywołał. Zamilkły wszystkie ptaki. Nawet wiewiórki przerwały swój zwyczajowy harmider. Na długą, pełną niepewności chwilę zapadła cisza. Gadrial Kelbryan popatrzyła na Sir Jasaka Olderhana.

–Co to było? – zapytała cicho, jakby obawiając się odpowiedzi.

–Sam chciałbym to wiedzieć. Sprawdź.

Setnik także odpowiedział szeptem, do którego zmusiło go niejasne przecucie. Nie rzucił jednak słów na wiatr. Jedno spojrzenie na półsetnika Garlatha wystarczyło mu do zrozumienia, że rzeczywiście sam będzie musiał sprawdzić źródło niezwykłego dźwięku. Każdy oficer wart swego stopnia już nawiązałby kontakt ze swoimi wysuniętymi czujkami, strzegącymi boków kolumny. Garlath tego nie zrobił. Stał po prostu i przyglądał się z namysłem temu samemu fragmentowi lasu, który podziwiał jeszcze zanim rozległ się ten dziwny, ostry dźwięk.

Gdyby Jasak nie rzucił okiem na półsetnika dokładnie w odpowiednim momencie, mógłby nie zauważyć sposobu, w jaki drgnął starszy oficer. Nie widziałby jak jego głowa obraca się ku tajemniczemu dźwiękowi. Ominąłby go widok przerażenia malującego się w ciemnych oczach oficera, zanim zdołał na powrót przybrać swą wystudiowaną, nonszalancką pozę.

Jasak jednak zdążył to wszystko dostrzec. Aż zbyt dokładnie. Zacisnął zęby. Niestety nie mógł oskarżyć dowódcy plutonu o rejteradę. Jego udawana obojętność stanowiła doskonałą przykrywkę. W dodatku poza swym nagłym, intuicyjnym przecuciem, że coś było nie w porządku, Jasak nie miał żadnego innego powodu, by tak myśleć. A ściśnięty żołądek nie stanowił dobrego uzasadnienia oskarżenia o „tchórzostwo w obliczu wroga”, mimo że obaj – on i Garlath – dobrze wiedzieli, dlaczego ten drugi nie zareagował na zagrożenie, które kryło się za niezwykłym dźwiękiem.

Albo – jakie mogło się kryć – upomniał się Jasak. Nie przyszło mu to łatwo, lecz uspokoił się nieco i postanowił odtąd baczniej przyglądać się własnym reakcjom i zachować jasność myślenia. Zauważył bowiem w sobie negatywne nastawienie do Garlatha i skłonność do przypisywania jego decyzjom jak najgorszych motywów.

Tak naprawdę przecież półsetnik zignorował jedynie jakiś leśny dźwięk. Dźwięk, który mógł równie dobrze okazać się odgłosem starego, padającego na ziemię drzewa. Jasak gotów był postawić pięć swych następnych żołdów, że źródło dźwięku nie było aż tak idylliczne, lecz póki nie miał lepszych informacji...

Za linii mieniących się wspaniałymi barwami topoli wypadł nagle tarczowy Gaythar Harklan. Biegł miażdżąc pod ciężkimi buciorami kępki muchomorów. Przemknął obok półsetnika Garlatha i dysząc ciężko, zatrzymał się, tuż przed Jasakiem.

–Sir! – żołnierz zsalutował drżącą gwałtownie ręką. – Sir, proszę o pozwolenie... kontakt z nieprzyjacielem...

–Kontakt z nieprzyjacielem? – warknął Garlath przerwawszy kontemplację czubków drzew i ruszył na żołnierza niczym wściekły łoś. – Nie chcesz chyba zrobić durnia z setnika? I jak śmiałeś opuścić posterunek bez rozkazu?

–S...sir...zająknął się Harklan, obracając się bezradnie pomiędzy Jasakiem i wzburzonym Garlathem – chodzi o Osmunę. On nie żyje, sir!

–Nie żyje? – zapytał ostro Jasak i uniósł szorstko rękę uciszając kolejny wybuch jadu Garlatha. – Co go zabiło?

Chciał zapytać „kto”, lecz po chwili odniósł wrażenie, że musiał tu zadziałać jego Dar. Gdyby nie on, odpowiedź Herklana powinna wprawić go w najwyższe osłupienie.

–Właśnie o to chodzi, Sir. Nie wiem, co go zabiło. Nikt nie wie. M...myślę, że przegapił rozkaz postoj, Sir. Już miałem poinformować zwiadowców na flankach, że idę po niego naprzód, kiedy rozległ się ten dźwięk – żołnierz głośno przełknął ślinę. – Huknęło właśnie ze strony, gdzie był Osmuna. Dobłą chwilę przedzierałem się tam przez krzewy. Wtedy go znalazłem. On nie żyje, Sir. Po prostu, kurwa, nie żyje. Zwiadowca z prawej flanki dołączył do mnie i żaden z nas nie wie dlaczego zginął ani jak to się stało.

–Dość już tego! – ciemna cera Garlatha przybrała niemal purpurowy odcień. – Wpadliście w histerię, żołnierzu! Stawicie się do raportu i...

–Półsetniku Garlath!

Lodowaty głos setnika zatrzymał Garlatha w pół słowa.

–Sir? – zapytał zdławionym głosem.

–Straciliśmy żołnierza, półsetniku. Jeśli wolno, to sugerowałbym, by to ten problem stał się naszym priorytetem. Dyscyplina zaczeka.

Pod skórą Garlatha wyraźnie zagrały mięśnie. Rumieniec gniewu zalał nagle całą jego szyję i zniknął za kołnierzykiem munduru. Wściekłe, przestraszone spojrzenie wpiło się w twarz Jasaka i przez krótki moment Garlath sprawiał wrażenie, jakby za chwilę miał eksplodować. Potem jednak spuścił wzrok.

–Oczywiście, Sir – zazgrzytał. Wzrok.

Gdyby szczęka Garlatha była choć trochę bardziej sztywna, kość pękłaby jak z lodu. Rzucił na Harklana gniewne spojrzenie, w którym czaiła się groźna obietnica rychłej zemsty. Jasak zauważył i to i obiecał sobie dokonać własnej zemsty w związku ze stosunkiem Shevana Garlatha do tarczowego drużyny. Po chwili półsetnik odszedł i krótkimi szczeknięciami zaczął wydawać własne rozkazy.

Mimo, że krzyczał bardzo głośno, pierwszy pluton dopiero po dziesięciu minutach przybrał szyk, który można było od biedy nazwać gotowym na odparcie ataku.

Jasak obserwował dowódcę plutonu swym zimnym, brązowym spojrzeniem. Co najmniej połowa wydawanych przez Garlatha rozkazów powiększała tylko panujący dokoła chaos. Kołnierzyk munduru półsetnika przesiąknięty był potem, mimo panującego wokół, porannego chłodu.

Jasak zdał sobie sprawę, że wynikało to z najzwyklejszego strachu. Może nawet nie najzwyklejszego, bo wydarzenia toczyły się szybko. Nie trzeba było posiadać wielkiego Daru, by wykryć źródła braku odwagi Garlatha: strach przed tym, co uśmierciło Osmunę, strach przed popełnieniem błędu poważnego na tyle, by został wydalony ze służby, strach, który podpowiadał, że ten błąd już został popełniony...

„Głupi to ma szczęście” – pomyślał gorzko Jasak zastanawiając się po raz kolejny w jaki sposób Garlath zdołał przetrwać każdego innego setnika wyznaczonego do nadzorowania jego poczynań.

–Kiedy ruszymy – odezwał się do Gadrial nie patrząc w jej stronę, z uwagą skupioną na cieniach wśród lasu które nagle stały się o wiele bardziej wrogie – trzymaj się blisko mnie.

Rzucił na nią spojrzeniem. Lekko skinęła głową. Wyglądała na spiętą lecz nie przerażoną. Po dłuższym przyjrzeniu się kobiecie zrozumiał coś innego. Panicznie się bała, lecz nie pozwalała, by lęk nad nią zapanował. Półsetnik Garlath powinien się od niej uczyć. Od zwykłego cywila. O ile cokolwiek w tej kobiecie można było nazwać „zwykłym”.

Zatrzymał na niej wzrok trochę dłużej niż zamierzał. Nie zauważyła. Zbyt pochłaniało ją badanie ściany lasu czujnym, świdrującym spojrzeniem, któremu nie miał prawa umknąć żaden, najlżejszy nawet ruch czy drgnienie. W jej skupionej, zwartej postawie kryło się coś w rodzaju groźnej elegancji, niemal piękna, przywodzącego na myśl urodę polującego sokoła lub gotującego się do ataku gryfa. Jasak zastanowił się przez chwilę, czy magister Kelbryan przeszła szkolenie w posługiwaniu się jakimikolwiek zaklęciami obronnymi. To wyjaśniałoby jej opanowanie. Ponownie zaskoczyła Jasaka swym przygotowaniem i kompetencjami. Była zawodowcem

świadomym swych umiejętności – a także słabych stron – i była gotowa na przyjęcie wszelkich nieprzyjemnych niespodzianek, jakie mogły spotkać ją na którymkolwiek z mnogich wszechświatów.

Przypomniawszy sobie, że ma własne obowiązki i przestał myśleć o kobiecie. Okazało się to dziwnie trudnym zadaniem. Jego podziw dla atrakcyjnej magister zmienił się gwałtownie w głęboki szacunek, po tym jak nie wpadła w panikę na wieść o nagłej śmierci żołnierza.

Minęło o dziewięć i pół minuty za dużo, lecz pluton wyruszył po dziesięciu minutach, co było zapewne życiowym rekordem Garlatha. Udało mu się nawet uformować szyk odpowiedni do marszu przez nieznany i potencjalnie wrogi teren. Jasak był gotów iść o zakład, że całe dodatkowe dziewięć i pół minuty zajęło Garlathowi przypomnienie sobie jak ten właściwy szyk powinien wyglądać.

Mimo to, dotarcie do miejsca, w którym poległ Osmuna zajęło im dwa razy więcej czasu niż powinno. Przede wszystkim dlatego, że Garlath zaczął bać się każdego cienia... a w tak gęstym lesie cieni było niezwykle dużo.

Gdy weszli między drzewa Jasak wysunął się bezpośrednio przed Gadrial.

–Idź zaraz za mną – powiedział.

Gdyby miał do czynienia z innym cywilem, dodałby też, że należało zachować ciszę. Ten konkretny cywil robił jednak w jesiennym poszyciu, pełnym kolorowych, zeschniętych liści, o wiele mniej hałasu niż Garlath. Woń deptanych gałęzi i traw – suchy, osobliwy zapach podobny do cynamonu – przypomniał Jasakowi świąteczne ciasta. Niestety, tym razem zapach ten mieszał się z wonią strachu, przeskakującego niczym elektryczne wyładowania z żołnierza na żołnierza. Wyczuwalna niepewność Garlatha przenosiła się na cały pluton. Jasak czuł wyraźnie, jak plugawy lęk powoli niszczy jego ludzi i jeszcze raz poczuł chęć natychmiastowego przejęcia dowództwa. Ochota ta była niemal przemożna, lecz w tej sytuacji, odebranie dowództwa Garlathowi, tylko pogorszyłoby morale plutonu. Nie potrzeba im było teraz – w chwili gdy połowa plutonu nie miała kontaktu wzrokowego z oficerami i podoficerami – nagłej zmiany w hierarchii. Nie miał wyboru – musiał pozwolić wykonywać swe zadania Dowodzącemu Pięćdziesięcioma. Stłamsił więc w sobie niecierpliwość i pocieszył się widząc, że Gadrial utrzymuje niezmienną odległość dwóch kroków za nim.

Choć tak naprawdę to jeszcze tylko wzmagало jego frustrację. To przecież Garlath był szkolony do tego, co robiła nieszkolona magister Kelbryan.

Mimo swego skupienia na Garlathu i żołnierzach pierwszego plutonu, zauważył kątem oka, że Otwal Threbuch podążał za nim niczym cień. Nie wiedział tylko, czy

miecznik zajął taką pozycję, by chronić Jasaka czy idącą za nim, delikatną kobietę. Nie miało to jednak znaczenia, ponieważ Jasak rozmyślnie polecił jej iść tak blisko siebie, by w razie potrzeby miecznik mógł pomóc im obojgu. Niemniej, czysto teoretycznie, zastanowił się nad intencjami Threbucha.

„Z pewnością po prostu nie chce się tłumaczyć przed matką, jeśli coś na jego zmianie pójdzie nie tak” – pomyślał setnik z uśmiechem.

Żołnierze plutonu Shevana Garlatha dotarli wreszcie do celu i – pod milczącymi spojrzeniami Jasaka i Threbucha – zajęli pozycje. Tym razem Garlath postąpił wybitnie regulaminowo. Poszczególne drużyny plutonu zajęły pozycje zapewniające całkowite zabezpieczenie okolicy. Prawdopodobnie jego motywacje były niewłaściwe (a na dodatek wyłącznie osobiste) niemniej choć raz wykonał jakieś zadanie wzorcowo.

Kiedy trzy z czterech drużyn plutonu rozpierzchły się po lesie w przeciwnych kierunkach, żołnierze zaczęli porozumiewać się między sobą imitując głosy ptaków. Sygnały te andarańscy zwiadowcy wypracowali dawno temu. Ktoś nawet przypomniał sobie, jakie gatunki powinni naśladować, w tej strefie klimatycznej. Jasak jednak z jakiegoś powodu wątpił, żeby przestrzegania procedur komunikacyjnych dopilnował osobiście półsetnik Garlath.

Kiedy czekali, aż reszta plutonu zajmie wyznaczone pozycje, Jasak spojrzał na Gadrial i podniósł palec do ust, dając znak do zachowania ciszy. Ostrzeżenie wypłynęło z niego odruchowo i okazało się całkowicie zbędne. Kobieta była bardzo spięta, czekała w bezruchu. Poruszały się tylko jej oczy, bezustannie badające otoczenie. W tych oczach zobaczył dziwną mieszaninę intensywnego skupienia i czegoś jeszcze. Czegoś, co zastanowiło go przez chwilę. Nie potrafił nadać nazwy temu uczuciu, ale było to coś pomiędzy ekscytacją i strachem.

Bała się. To było jasne. W tej sytuacji nie bałby się tylko idiota – a do tej kategorii Gadrial nie należała z pewnością. Bała się, lecz nie była przerażona, co dawało jej przewagę nad Garlathem. Poza tym była ciekawa, bardzo ciekawa. Półsetnik sprawiał wrażenie człowieka, którego jedynym marzeniem jest uciec i schować się w jakimś bezpiecznym miejscu, ona natomiast, jak Jasak – wyczuwała w powietrzu tajemnicę. Tajemnicę, którą chciała rozwikłać. Nikt nie musiał jej przypominać, że – tak samo jak pozostali – mogła w każdej chwili zginąć, lecz mimo niebezpieczeństwa, w jej ślicznej główce pracował bezustannie poszukujący odpowiedzi umysł.

Z pomiędzy gęstych zarośli rozległ się w końcu ostry, przenikliwy gwizd – sygnał zakończonego rozmieszczania drużyn. Garlath drgnął słysząc go, ale nie odpowiedział. Nozdrza miecznika Threbucha poruszyły się gniewnie. Spojrzał na Jasaka, który lekko skinął głową.

Threbuch wyręczając Garlatha odgwizdał w odpowiedzi umówiony sygnał. Liście pobliskiego krzewu rozstąpiły się na boki i ukazał się im Jugthar Sendahli. Ciemnoskóry żołnierz, uciekinier z Mythal, gdzie jako nieobdarzony członek kasty *garthan* był nikim, u Jasaka stał się jednym z najlepszych. Nie był też głupi, czego raz po raz dowodził. Spojrzał na swego miecznika i skinął z szacunkiem Jasakowi, lecz zasalutował półsetnikowi Garlathowi.

–Melduję, że teren zabezpieczony, Sir. Wszyscy na miejscach. Kuszniczy gotowi do akcji. Zasobniki smoka naładowane i odbezpieczone. Osmuna leży tam, Sir.

Janak zafrasował się w duchu, Mimo, że Sendahli starał się mówić spokojnie i rzeczowo w jego głosie czuć było napięcie. Co do diabła tak przestraszyło tych ludzi? Przecież to wszystko doświadczeni żołnierze, weterani walk z piratami, zbójcami z pogranicza i łowcami działek. Śmierć dla żadnego z nich nie była niczym nowym, a mimo to żołnierze plutonu półsetnika Garlatha trzęśli się jak trąsy.

Po skroni Garlatha spłynęła kolejna kropla potu. Jasak spojrział na Gadrial. Mrużyła oczy, zastanawiała się nad czymś. Widać było, że też dostrzegła strach w oczach Sendahliego.

Żołnierz ruszył między zarośla. Jasak, Garlath, Threbuch i Gadrial poszli za nim, ostrożnie przemieszczając się w gęstym poszyciu lasu, coraz bardziej splątanym w miarę zbliżania się do strumienia.

Zatrzymali się na krawędzi nasypu nad wartkim nurtem. Żołnierze, którzy wcześniej strzegli z Osmuną obu boków kolumny prawidłowo stworzyli skierowany naprzód posterunek, który miał przyjąć na siebie pierwszy ciężar ewentualnego ataku. Nie zmienili pozycji, mimo, że pozostała część plutonu rozproszyła się na kilkaset jardów. Nie drgnęli też na widok nowoprzybyłych. Jasak obiecał sobie, że musi za to szczególnie pochwalić miecznika Hamaka.

Ciało Osmuny leżało w strumieniu. Garlath ruszył w dół skarpy. Wyglądał przy tym jak człowiek, który marzy jedynie o tym, by znaleźć się zupełnie gdzie indziej. Setnik bez słowa poszedł w jego ślady. Przez głowę przemknęło mu pytanie czy Garlath żywił choć cień podejrzenia, jak bardzo Jasak życzyłby sobie, by to marzenie wreszcie się spełniło. Miecznik Threbuch szedł za Jasakiem pilnując go jeszcze uważniej niż do tej pory. Tylko Gadrial została na górze. Wyglądała na zadowoloną z tego, że Jasak – unosząc dłoń do góry – nakazał jej nie podchodzić.

Osmuna nie żył i nie dało się temu zaprzeczyć. Jego zwłoki leżały na wpół zanurzone w usianym gładzi nurcie strugi. Padając uderzył w jeden z ostrych kamieni i muchy już zaczynały się zlatywać do czerwonej plamy, którą zostawił na jaskrawo zielonym mchu. Najwyraźniej odbił się od skały i stoczył do wody. Głowa Osmuny znajdowała się całkowicie pod falami. Czyżby utonął od uderzenia tym

czymś, co utoczyło z niego tak wiele krwi?

Jasak zmarszczył brwi i ostrożnie podszedł bliżej. Zwiadowca znieruchomiał na swym prawym boku. Nad fale wystawała jego pierś, plecy i lewe ramię. Setnik zauważył dziurkę w piersi żołnierza. Była bardzo mała, niemal trudna do zauważenia. Jasak przybrał jeszcze bardziej zafrasowaną minę. Zastanawiał się, co za diabelstwo mogło spowodować tak wyglądającą ranę.

Jej rozmiar nie pasował do bełtu z kuszy. Zresztą w ranie nie tkwił ani bełt, ani nawet zwykła strzała. Jasak wiedział, jakiego rodzaju obrażenia powodują oba rodzaje pocisków. To, co stało się z *Osmuną* musiało zostać spowodowane zupełnie czym innym. Jego rana nie wyglądała też, jakby ktoś wyciągnął z niej strzałę już po śmierci. Otworek w ciele Osmuny wywierciło coś, co przeszło przez jego mundur jak gorący nóż przez kostkę masła. Tyle, że włókna nie zostały rozcięte – a przynajmniej nie w sposób, w jaki rozciąłby je nóż. Materiał został rozerwany przez coś na tyle silnego, by wcisnąć jego skrawki w pierś żołnierza. Tego rodzaju efekt wywoływały trafienia z większych kusz, lecz wtedy rany były znacznie większe. Dziurka w ciele zwiadowcy nie wyglądała też na zadaną ostro zakończonym ostrzem, kolec do lodu także odpadał. Żadna z tych broni nie wcisnęłaby rozerwanych i poszatkowanych kawałeczków munduru bezpośrednio w ranę.

Jasak przeszedł ostrożnie balansując na mokrych kamieniach na drugą stronę ciała. Spojrzał na plecy Osmuny i zamarł zdjęty lodowatym przerażeniem.

„Na jaja Graholisa! Co to było?” – przemknęło mu przez głowę.

Nagle zrozumiał przerażenie, które dostrzegł w oczach żołnierzy.

Plecy Osmuny zostały rozdarte od wewnątrz.

Dosłownie.

Otwór zięjący tuż pod lewym ramieniem Osmuny miał niemal średnicę ludzkiej pięści. Gadrial prawdopodobnie nie miałyby najmniejszego problemu z włożeniem swej dłoni do rany. Jej krawędzie wyglądały jakby ktoś wewnątrz ciała żołnierza odpalił wybuchowe zakłęcie.

Przerażenie, nagłe i bezwzględne, przebiegło wzdłuż kręgosłupa Jasaka i umiejscowiło się w pobliżu klamry u pasa. Nigdy nie słyszał o wybuchowym czarze, którym można było przeszyć ludzkie ciało, niczym bełtem kuszy. Nie słyszał o zakłęciach, które eksplodowały w ciałach ofiar, a szkoły do których uczęszczał Sir Jasak Olderhan należały do najlepszych, jakich absolwentem mógł zostać syn andarańskiego arystokraty. Swego czasu przestudiował całą historię Arkany, wliczając w to dzieje Wojen Magów – w trakcie których dopuszczano się na bezbronnych, nie-Obdarzonych ludziach, najróżniejszych mrozących krew w żyłach

okrucieństw. Nigdy jednak nie spotkał najmniejszej nawet notatki o podobnym zakłęciu bitewnym. Nie znał czaru, który mógł wywołać spustoszenie, na jakie właśnie patrzył.

Coś poruszyło się obok niego. Odwrócił się gwałtownie. Otwał Threbuch na widok pleców zabitego syknął przez zęby, po czym podniósł zaniepokojone, wstrząśnięte spojrzenie na Jasaka.

–Ma pan jakikolwiek pomysł, Sir? – zapytał mając najwyraźniej nadzieję, że wykształcenie setnika pomoże rozwikłać zagadkę.

–Nie. Nie mam – Jasak pokręcił przecząco głową. Threbuch zaklął szpetnie pod nosem.

–Tego się właśnie obawiałem – mruknął zgrzytając zębami. – I co my, kurwa, mamy teraz zrobić, Sir?

Jasak spojrzał znacząco na Shevana Garlatha. Dowódca plutonu wpatrywał się w plecy Osmuny głośno przelękając ślinę. Co chwila odrywał wzrok od zmasakrowanych zwłok i spoglądał wystraszonym wzrokiem na brzegi strumienia w kierunku złowieszczych drzew. Za każdym razem jednak wracał spojrzeniem do leżącego w wodzie zwiadowcy.

–Półsetniku Garlath?

–Sir? – odezwał się drżącym głosem Garlath i spojrzał niespokojnie na Jasaka.

–Sugeruję, żebyście spróbowali odnaleźć drani, którzy to zrobili.

Garlath sztywno i niezdecydowanie skinął głową. Zanim zaczął wydawać rozkazy musiał trzykrotnie zaczerpnąć powietrza w płuca. Prawdopodobnie musiał też zaczerpnąć odpowiednią ilość odwagi.

–Rozproszyc się! Odszukać jakiegokolwiek ślady nieprzyjaciela. Znajdziemy skurwysyna, który to zrobił.

„O tak” – obiecał w duchu Jasak martwemu żołnierzowi. – „Bez wątpienia go znajdziemy.”

* * *

Shaylar uzupełniała właśnie mapę o kolejny, nowy strumień, kiedy wytrącił ją z koncentracji nagły dźwięk. Szorstki, jakby jęczący, tak nikły, że niemal niedosłyszalny wśród szumu strumienia. Odgłos dobywał się niemal spod jej stóp.

–Shaylar!

Skoczyła jak oparzona, ołówek ześliznął się po mapie. Spojrzała w dół zbocza, w stronę strumienia i tym razem sama krzyknęła. Ktoś wspinał się po skarpie. Poznała intruza dopiero, gdy jego chuda postać osunęła się na powrót do wody. Mężczyzna jęknął boleśnie.

–Falsan!

Rozejrzała się gwałtownie po polanie. Szukała wzrokiem Barrisa Kasella. Stał dobre piętnaście jardów dalej na wschód, w pobliżu szukającego czegoś między krzewami Braiheri Futhaia.

–Barris! – zaskoczyła żołnierza okrzykiem. – Dawaj tu Tymo!

Rzuciła się po skarpie w dół. Ślizgała się po mokrych liściach i wilgotnej glinie. Tak samo – próbując się podnieść – ślizgał się Falsan. Dobiegła do niego, objęła ramieniem i spróbowała go podciągnąć...

Jego ból uderzył zniechęca. Poczwała go we własnej piersi. Straciła dech patrząc jak Falsan próbuje powiedzieć coś pobladłymi wargami. Zwiadowca upadł ponownie i ześliznął się w dół. Z głośnym pluskiem wpadł do lodowatej wody i legł niemal zupełnie bez ruchu. Zatrzymał się na plecach – co pozwoliło jej zobaczyć złowieszczą czerwoną plamę na koszuli. Czerwień pokrywała całą pierś Falsana, wypływając z miejsca, w którym coś przeszło ubranie i ciało.

–Ghartoun! – wrzasnęła głosem, w którym słyhać było głębokie przerażenie.

Falsan chwycił się jej bluzy zakrwawioną, drżącą dłonią. Spomiędzy poszarzałych warg wydobył się, niemal nieuchwytnym szeptem.

–Człowiek... strzelił do mnie... zostałem... strumieniu...nie ma... śladów... nie... wyśle...

Skończył mu się oddech. Nie zamknął oczu. Zostały szeroko otwarte. Potwornie szeroko otwarte.

Czuła jak odchodzi. Czuła jak niewidzialna energia, którą był Falsan chan Salgmun rozwiewa się w jej ramionach niczym dym. Gorączkowo szukała rany. Pod palcami wyczuła metal. Ogłupiała i wstrząśnięta, spojrzała i dostrzegła grube, stalowe drzewce, wystające z jego ciała niemal na dwa cale. Dłonie miała rozgrzane krwią Falsana. Resztę jej ciała przeszywał jednak chłód. Siedziała, trzęsąc się gwałtownie, w pół zanurzona w lodowatym strumieniu. Próbowała skupić się na tych nedorzecznym słowach, które przed chwilą usłyszała.

Strzelał do niego człowiek.

Człowiek.

Poza ich drużyną w tym wszechświecie nie było nikogo. To znaczyło, że...

Barris Kasell, Tymo Scleppis i Ghartoun chan Hagrahyl niemal dosłownie jeden przez drugiego, ześliznęli się w dół wilgotnej skarpy. Chan Hagrahyl potwornie zaklął, kiedy wpadł do wody tuż obok Shaylar. Uzdrowiciel, który dotarł do niej chwilę potem spojrzał tylko i jęknął.

–Za późno – Shaylar usłyszała jego głos. – Nie żyje.

Podniosła głowę. Ten drobny ruch zajął jej całą wieczność.

Miała wrażenie, że na karku dźwiga całą górę. Spojrzała w oszołomione, nierozumiejące oczy Ghartouna.

–Ktoś go zastrzelił – jej słowa zabrzmiały jak uderzenia topora o martwy lód. – Powiedział, że ktoś do niego strzelał.

Chan Hagrahyl odwrócił spojrzenie od jej twarzy i spojrzał na tkwiący w piersi Falsana kawałek bladego metalu.

–Bogowie... – wyszeptał.

Nagle cały strumień zaczął dziko falować – w górę i na boki. Shaylar poczuła na swych ramionach silne ręce, usłyszała jak ktoś woła jej imię. Poczowała szum w uszach i czarną nicość, która chciała wessać jej świadomość.

„Nie zemdleję jak uczennica!” – cichy, zdecydowany głos zachrobotał gdzieś w głębi niej. Uwolniła się od rąk, które próbowały zaciągnąć ją z powrotem na brzeg. Kiedy ją puścili upadła na kolana, lecz ogromnym wysiłkiem woli uspokoiła rozszalałe zmysły.

Rozejrzała się. Klęczała, chwiejnie i drżąco, pomiędzy splątanymi korzeniami. Wreszcie odzyskała kontrolę nad własnym ciałem. Uniosła spojrzenie i w jej polu widzenia pojawiła się para ciemnych oczu. Obok niej klęczał Barris. Podtrzymał ją jedną ręką, zabezpieczając ją przed ponownym upadkiem do wody.

–Już dobrze – powiedział łagodnie. – Przez chwilę myślałem, że zemdlejesz.

Jej ciało spróbowało rozgrzać policzki. Jednak nadal była zbyt wyziębiona by zarumienić się ze wstydu. Jego kolejne słowa ukoili trochę poczucie upokorzenia i ogarnęły ją niczym ciepły koc.

–Przeszłaś silny szok, Shaylar, a nie masz za sobą wojskowego treningu.

–Wojskowego treningu? – powtórzyła, zaskoczona głośnym skrzekiem, który zastąpił jej głos. Barris skinął głową.

–Kiedy Utalentowany rekrut wstępuje do armii, szkoli się go na okoliczność tak brutalnych przeżyć, jak cudza śmierć w walce, zwłaszcza taka, doświadczana w bezpośrednim kontakcie. Cywile nie są do tego przygotowywani. Nawet członkowie zespołów badawczych.

Głuchy warkot pobrzmiwający w głosie Barrisa przedzierał się powoli przez pokrywającą ją lodowatą powłokę obojętności. Gniew zrozumiała po chwili. Była rozgniewana i wściekła na to, że została narażona na coś tak okropnego, tak nagle. Czuła też złość o wiele głębszą. Jej przyjaciel został zamordowany. Szkoda, że morderca nie widział Falsana wspinającego się przez błoto.

Gdy pojęła to wszystko część wstydu jaki czuła jeszcze chwilę temu po prostu znikła. Nagłemu wybuchowi emocji towarzyszyły, pojawiające się łzy. Rozplakała się i zaczęła trząść. Próbowwała się nie poddawać, ale bez skutku. Barris wziął ją za jeden łokieć, a Tymo za drugi. Pomogli jej wspiąć się na górę. Tymo objął ją ramieniem.

–Nie broń się, Shaylar – powiedział. – Niech dreszcze przeminą same. Tak organizm pozbywa się szoku, drgawki nie pozwalają mu zagnieździć się na zbyt długo w umyśle ani zatruć ciała.

To brzmiało niemal przekonująco. Fakt, iż nie brzmiało przekonująco do końca wzbudził w niej lekki niepokój. Z drugiej strony Tymo wiedział przecież o czym mówi. Znał się przecież na tych sprawach. Usiadła więc w ciepłych promieniach słońca i czekała, aż przestanie się trząść. Kiedy dreszcze wreszcie ustały wzięła głęboki oddech i podniosła oczy.

–Słyszałam jak strzelał – powiedziała. – To wtedy musiało się...

–Tak. Też to słyszałem. – przytaknął Barris z głosem pełnym gorzkiego poczucia winy. – Pomyśleć tylko, że on taki kawał drogi walczył, próbował wrócić, cierpiał, a my nic nie zrobiliśmy...

–To nie twoja wina Barris! – przerwał mu gwałtownie Ghartoun. Kasell spojrzał na dowódcę zespołu.

–Przecież ja byłem kiedyś żołnierzem, cholera! – warknął niemal wrogo. – Powinienem był...

–Co powinienes? – zapytał z naciskiem Ghartoun chan Hagrahyl, sam wyraźnie wściekły i wstrząśnięty. – Wywachać co się stało z powietrza? Nie jesteś

Utalentowany. Falsan także nie był. Shaylar jest Głosem – najlepszą telepatką w pięciu najbliższych wszechświatach – i też niczego nie wyczuła! Nie urodził się jeszcze Głos, który potrafiłby odczytywać takie rzeczy od nie-Utalentowanego. Przestań więc opowiadać mi tu o jakiejś cholernej winie! Już!

Kasell na sekundę mocno zacisnął szczękę. Gdy minęła, skinął głową i rozluźnił się.

–Tak jest. Masz rację. Tylko, że...

–Wiem. *Triad*, ale wiem. Chciałbym też wiedzieć, gdzie jest jego karabin. Nie przyniósł go ze sobą.

Kasell powiedział jedno, bardzo wulgarnie słowo.

–Fanthi – Ghartoun zawołał potężnego, przysadzistego mężczyznę, który sprawiał na Shaylar wrażenie, jakby cały czas spodziewał się, że za moment wybuchnie dokoła niego strzelanina. – Roześlij patrole na pięćdziesiąt jardów w każdą stronę. Nie wiemy, gdzie są ci dranie. Nie wiemy też jak blisko, a o ich liczebności nie chce mi się nawet wspominać.

Fanthi chan Himidi, który przed podjęciem pracy dla Konsorcjum Chalgin odsłużył w ternathiańskiej armii dwakroć dłuższy okres od wymaganego, skinął słuźbiście głową, po czym szybko i sprawnie rozesał zwiadowców. W zespole było ośmiu ludzi, którzy mieli jakieś doświadczenie wojskowe i to właśnie oni przejęli dowodzenie. Kucharz, poganiacze, rusznikarz – nawet adiutant Ghartouna – na ich komendę utworzyli krąg wokół obozu. Shaylar, na sam tylko widok tych wszystkich, kierowanych przez Himidiego poczynań, poczuła się lepiej.

Ghartoun odczekał chwilę patrząc ze smutkiem w jej oczy, po czym przyklęknął obok.

–Shaylar – zaczął łagodnie. – Muszę cię o to spytać. Czy Falsan coś powiedział?

–On... – Niepewnie zaczerpnęła tchu i powtórzyła tych kilka słów, które zdążył powiedzieć zabity. – Jestem pewna, że miał na myśli to, że nie mogą nas wyśledzić. Tylko, że nie zdołał dokończyć, bo...

Urwała i przełknęła ślinę.

–Oni? – zapytał Ghartoun ostro. – Jesteś tego pewna? Nie „on”?

–Nie – powiedziała z namysłem. – Nie jestem pewna. Powiedział „nie wyśle...”, ale miałam wrażenie, że chciał powiedzieć „nie wyśledzą”. Nie wiem, czy to znaczy, że widział ich kilku. Może po prostu bał się, że inni są gdzieś w pobliżu.

Dowódca wymienił ponure spojrzenia z Barrisem Kasellem i ponownie zwrócił się do Shaylar.

–Mówił coś jeszcze? Wyczułaś coś? Cokolwiek, co mogłoby nam pomóc w ustaleniu, co się tam, na bogów, stało?

Shaylar po raz kolejny odetchnęła głęboko, pokręciła głową by w niej sobie rozjaśnić, po czym uniosła rękę i zaczęła mówić. Zamknęła oczy i przebiegła myślą każde wrażenie i każdą emocję – wszystko, co poczuła podczas tych kilkunastu sekund rozmowy z Falsanem. Zamordowany zwiadowca nie był Utalentowany, ale Shaylar dotknęła jego ciała. To pomagało. Nie Widziała niczego, co on widział, lecz uczucia kryjące się za słowami wypowiedzianymi przez umierającego przedostały się do jej świadomości. Gdyby tylko udało się jej odnaleźć je w sobie...

–Ghartoun, myślę, że podczas walki był tylko jeden napastnik – powiedziała wreszcie. – Nie wyczuwam wrażenia „sam przeciw wielu”. Czuję raczej „ja przeciw niemu”. On chyba po prostu bał się, że gdzieś są inni, którzy mogliby za nim przyjść po śladach krwi.

–Dlatego trzymał się strumienia – mruknął Ghartoun.

–Tam, gdzie był jeden, z pewnością znajdą się kolejni – powiedział cicho, ale stanowczo Kasell. – Widziałeś co go zabiło?

–Tak. Bełt z kuszy.

–Kusza? – Shaylar spojrzała na dowódcę ekspedycji. – Przecież... to... średniowieczna broń!

–Tak samo jak maczugi i miotane kamienie – syknął Ghartoun. W jego oczach tliła się tłumiona wściekłość. – A mimo to wszystkie one mogą zabijać równie skutecznie jak karabiny. Walczyliśmy za pomocą kusz prawie przez tysiąc lat naszej przeklętej historii. Potem wpadliśmy na to, jak wytwarzać proch. Ci, z którymi mamy tu do czynienia wcale nie muszą być na naszym poziomie rozwoju technologicznego, by nas pozabijać.

–Racja – zgodził się stalowym głosem Kasell. Ghartoun chan Hagrahyl znów spojrzał na Shaylar.

–Wyczuwasz jeszcze cokolwiek?

Spróbowała. Bez powodzenia.

–Przepraszam – szepnęła smutno. – Dotykałam go tylko przez kilka sekund, a potem... – głos zaczął jej drżeć. – Przepraszam. Niczego więcej nie czuję.

–I tak jestem ci wdzięczny za to, co zrobiłaś – zapewnił ją chan Hagrahyl i ścisnął jej ramię zaskakująco mocno, zupełnie jakby zapomniał, że ledwie dorastała rozmiarami ternathiańskiemu podrostkowi.

–W porządku – wstał. Jego ręce błędziły w okolicy kolby pistoletu i rękojeści sztyletu, które nosił w futerałach przymocowanych do szerokiego, skózanego pasa. – Nie mamy pewności, kim lub czym są nasi wrogowie. Wiemy jednak, że nie są sympatyczni i nie w smak im nasze towarzystwo – spojrzał Barrisowi Kasellowi w oczy hardym i zdeterminowanym wzrokiem. – Może się okazać, że mamy do namysłu krótką chwilę. O ile Shaylar się nie myli i Falsan spotkał tylko jednego z tych drani. Gdyby nie zabił go za pierwszym strzałem usłyszelibyśmy przynajmniej dwa. Ale skoro udało mu się go wykończyć od razu, to pewnie minie trochę czasu, zanim jego kumple stwierdzą, że zbyt długo nie wraca. Musimy jednak założyć, że w pobliżu byli jacyś inni i, że w końcu odnajdą drogę do naszego obozu. Nie mamy innego wyjścia, jak wracać do portalu zanim nas tu okrążą. Od tego wystrzału upłynął już mimo wszystko dłuższy moment.

Shaylar wstrzymała oddech. O tym nie pomyślała. W jednej chwili gęsty las, do tej pory tak cichy i piękny, stał się groźną i niebezpieczną knieją. Atakował ich grupkę z każdego cienia, niepokoił każdym drgnieniem tonących w słońcu liści. W mgnieniu oka wszystkie drzewa wydawały się kołysać bardziej złowieszczo, miały wzrok i inne zmysły. Gdzieś tam, dobre dwie mile na wschód od obozu pracował samotny i nieświadomy niczego Jathmar. Już zaczęła nawiązywać kontakt, kiedy z transu wyrwał ją głos Elevu Gitela.

–Musimy ostrzec kapitana Halitu. Shaylar musi przesłać wiadomość. Natychmiast.

Shaylar spojrzała na mężczyzn. Chan Hagrahyl skinął głową patrząc jej w oczy.

–Skontaktuj się z Darcelem. Przekaż mu, co zaszło. Niech poinformuje o wszystkim kapitana Halifu, a potem wróci na naszą stronę portalu, by nasłuchiwać dalszych wiadomości od ciebie. Potem spróbuj skomunikować się z Jathmarem. Wiem, że nie możesz z nim porozmawiać, ale musimy go ostrzec i ustalić miejsce spotkania.

–Miejsce spotkania? – z niedowierzaniem spytał Braiheri Futhai. – Nie chcesz na niego poczekać w obozie?

Chan Hagrahyl spojrzał na zaskoczonego przyrodnika.

–Nie, nie możemy sobie na to pozwolić. Musimy stąd odejść tak szybko, jak tylko zdołamy. Chcę, żeby wszyscy spakowali tylko absolutnie niezbędne rzeczy. Wymarsz za dziesięć minut.

–To niemożliwe! Nie przygotowujemy się w tak krótkim czasie! – zaprotestował Futhai.

–Zostawimy wszystko, czego nie uda się szybko spakować – syknął Ghartoun. – Zostawimy też wszystko z czym nie jesteśmy w stanie biec truchtem stąd aż do portalu. Czy to jasne?

–Ale...ale co z Falsanem?

–Falsan nie żyje, a moim zadaniem jest dopilnować, żeby nie dołączyło do niego już żadne z nas!

Słyszając ostry ton dowódcy Futhai otworzył szeroko oczy. Widać było jak napinają się mięśnie jego twarzy. Obrzucił chan Hagrahyła upartym spojrzeniem, które Shaylar widywała jedynie w chwilach jego najwyższego wzburzenia.

–Nie opuścimy tego miejsca, póki ten biedak nie otrzyma należytego pochówku!

–Nie mamy na to czasu! – głos chan Hagrahyła brzmiał z mocą lodowca kruszącego skały.

–Jesteśmy ludźmi cywilizowanymi proszę pana, a cywilizowani ludzie mają zwyczaj grzebać swych zmarłych – odgryzł się Futhai. Kasell spojrzał na naukowca wściekle.

–Na pewno nie wtedy jak strzelają do nich jacyś cholerni tubylcy! – warknął dowódca głosem coraz bardziej wzbierającym wściekłością.

–Nikt do nas nie strzela – zauważył irytująco rozsądnie, spokojnym i uprzejmym tonem Futhai. – Skoro nie grozi nam bezpośrednie niebezpieczeństwo, winniśmy śmierci tego biednego człowieka okazać należyty szacunek.

Dłoń Barrisa Kasella zacisnęła się w pięść na pasku karabinu. Z wyrazu jego twarzy można było wyczytać, że wolałby w tym uścisku zgnieść kark przyrodnika.

–Skoro jesteś tak odważny – wychrypiał – to możesz zostać i samemu go pochować. Tylko, na bogów, nie oczekuj, że reszta zaczeka tu spokojnie na całą horde tych drani, którzy pewnie już w tej chwili idą śladem Falsana!

–Falsan szedł strumieniem. Nie zostawiał za sobą śladów, po których mogliby nas wyśledzić – zauważył Futhai z niemal jawną pogardą w głosie. – Sam dobrze o tym wiesz i...

–Dosyć! – ryknął chan Hagrahyl. Wszyscy umilkli. – Nie stać nas na dalszą stratę czasu. Nie mamy go ani na pogrzeby, ani na spory. Masz rację, Braiheri, że wracając do nas korytem strumienia Falsan nie zostawił śladów. Pamiętaj jednak, że oni mogą przyjść po śladach, które zostawił wychodząc z obozu. Pewnie rzeczywiście zamarudzą trochę organizując pościg, ale potem nie będą mieli już najmniejszego problemu z odnalezieniem tej polany.

Chwilę jeszcze patrzył gniewnie na naukowca, po czym zwrócił się do Shaylar.

–Shaylar, natychmiast wyślij wiadomość do Darcela. Potem spakuj to, co najważniejsze. Całą resztę zostaw. Pod żadnym pozorem nie wolno ci porzucić niczego, co pozwoliłoby zabójcom Falsana wysledzić nas po drugiej stronie portalu. Zabierz wszystkie mapy, notatki, wszystko...

Przesunął wzrokiem po pozostałych.

–Wy także nie zostawiajcie niczego, bardziej skomplikowanego technologicznie niż noże czy kije. Ci ludzie nie wiedzą o nas niczego i chciałbym, żeby tak zostało. Braiheri, jeśli ci to pomoże, to zbierz wszystko, co miał ze sobą Falsan i przykryj go kamieniami. Najlepiej w samym strumieniu. W ten sposób nie znajdą jego ciała i nie domyśla się, że był jednym z nas. Masz wybór: zabrać swoje notatki albo pochować Falsana. Na nic więcej nie mamy czasu.

Z powrotem odwrócił się do Shaylar.

–Mam nadzieję, że rozumiesz, dlaczego Jathmar będzie musiał dogonić nas po drodze? Moim obowiązkiem jest teraz wyprowadzić stąd jak najwięcej żywych. Nie mogę czekać na nikogo.

Wytrzymał jej spojrzenie mając nadzieję, że kobieta zrozumiała.

Zabolało ją serce. Miała ochotę zaprotestować, lecz wiedziała jednocześnie, że dowódca ma rację. Drżała na samą myśl o tym, że Jathmar był teraz sam w tym lesie. W lesie, w którym jedna osoba już została zabita. Spojrzała na Hagrahyła i sztywno skinęła głową.

Jego oczy zdawały się mówić „dziękuję”.

–W takim razie do roboty. Racji żywnościowych bierzemy tylko tyle, żeby dojść do portalu. Musimy iść szybko.

Shaylar zobaczyła skierowane na siebie spojrzenia towarzyszy. Nikt – poza Futhaiem – nie zmarszczył brwi, lecz odczytała ich myśli równie jasno, jakby każdy z nich był w pełni wyszkolonym Głosem. Z trudem przełknęła ślinę.

„Będę dla nich ciężarem w drodze. Oni to wiedzą i ja to wiem. Nie stać nas na to” – pomyślała.

Coś nieznanego i hardego zadrgało w jej duszy i dodało jej sił. Podniosła się na nogi. Zaskoczyło ją, jak szybko otrząsnęła się z szoku po śmierci Falsana. Teraz miała przed sobą nowe zadanie do wykonania. Nie było to zadanie z rodzaju tych, na które się godziła podpisując umowę z Konsorcjum – wymiana ognia z nieznanym

przeciwnikiem stanowiła ostatnie z możliwych do przewidzenia zagrożeń – lecz niczego to nie zmieniało.

–Skontaktuję się z Darcelem z namiotu – powiedziała ostrym, zdecydowanym tonem, który sama ledwo poznawała. – Jednocześnie będę się pakować. Postaram się też ostrzec Jathmara.

Głos nie drżał jej ani trochę. Ghartoun chan Hagrahyl spojrzał jej głęboko w oczy. Widać było, że stara się oszacować to, co w nich zobaczył. Po chwili skinął głową.

–Dobrze. Zwijamy obóz i w drogę.

Rozdział 4

Najpierw natrafili na odciski ludzkich stóp.

–Kimkolwiek by nie był nasz obcy – oznajmił wskazując na drugi brzeg Gaythar Harklan – to zszedł tu w wodę.

Jasak przyjrzał się stromej skarpie. Zmrużył oczy z namysłem. Przeciwległy brzeg był jeszcze bardziej pochyły niż ten, na którym stali. Miał jakieś dziesięć do dwunastu stóp. Czy zabójca wszedł do wody jeszcze zanim zabił Osmunę? A może zszedł potem, by zbadać leżące w wodzie ciało? Możliwe też – wzrok setnika stężał – że chciał dobić ofiarę.

Nic nie mogło mu pomóc w rozwiązaniu tej zagadki, tak samo jak w dalszym ciągu nie byli bliżej rozwiązania tajemnicy ostrego dźwięku, który przeciął dzisiejszy poranek.

–Co tam? – zapytał tarczowego drużyny Osmuny.

–Niewiele, Sir. Wygląda na to, że szedł wzdłuż brzegu strumienia i wtedy natknął się na Osmunę.

–Pokaż mi.

–Tak jest, Sir.

Harklan ruszył z powrotem przez strumień. Jasak brodził tuż obok. Threbuch szedł za setnikiem. Na końcu pochodu ponuro człapał Garlath.

–W tym miejscu ześliznął się po brzegu, Sir – powiedział Harklan. – Proszę spojrzeć na te ślady i wyżłobienia.

Jasak widział wyraźnie. Schodzący po brzegu obcy, zachowywał się bardzo niezdarnie. Żaden z andarańskich zwiadowców nie pozostawiłby za sobą tak oczywistego tropu. Co więcej – Jasak nie wyobrażał sobie, by ktokolwiek mógł być tak nieostrożny.

Z rozmysłem nie spojrzął na półsetnika Garlatha, by nie widzieć jego reakcji. Pochylił się niżej i przyjrzał śladom dokładnie.

–Półsetniku Garlath, wyślijcie dwóch ludzi w obie strony strumienia. Niech szukają śladów krwi.

–Krwi? – mruknął miecznik Threbuch, po czym spojrzął tam, gdzie stał Jasak i chrząknął.

–Cholera, ma pan rację, Sir. Osmuna dostał tego drania. Ja nawet nie pomyślałem, by sprawdzić jego kuszę – przyznał rozczarowany miecznik.

–Wszystkimi nami nieźle trzepnęło – powiedział Jasak głosem oschłym jak jesienne liście. – Tyle, że nadal nie wiemy, jak celnie strzelił Osmuna.

W błocie widniało jedynie kilka kropel czerwonej cieczy. Jasne jednak było, że zostawił je ktoś, kto ześlizgiwał się w dół skarpy. Obcy był ranny.

–Przeszukajcie całą okolicę – polecił Garlathowi. – Jeśli będzie trzeba zajrzyjcie pod każdy kamień. Potrzebuję w końcu czegoś konkretnego, cholera! Chcę wreszcie faktów!

Garlath służył sobie skinał głową i zaczął wypluwać z siebie kolejne polecenia. Mówił szybko i sprawnie. Jasak musiał niechętnie – przyznać, że tym razem półsetnik dobierał właściwe rozkazy. Drużyny zwiadowców rozpierzchły się dokoła w poszukiwaniu śladów zabójcy, lub czegokolwiek innego, co mogłoby pomóc w jego poszukiwaniach.

–Półsetniku Garlath! – krzyknął chwilę później któryś z żołnierzy. – Znalazłem coś, Sir. Nie wiem tylko, co to jest.

Jasak poszedł za Garlathem w górę brzegu. Evarl Harnak – miecznik plutonu – klęczał wśród gęstych zarośli, niemal dokładnie na wysokości leżącego w strumieniu ciała Osmuny.

–Proszę tu spojrzeć, Sir – pokazał żołnierz. – Tu są ślady stóp. Na pewno właśnie tutaj stał obcy, kiedy Osmuna wyszedł z zarośli nad strumień.

Podoficer wskazał na wyraźny trop odcisnięty w miękkiej ziemi. W odróżnieniu od śladów na zboczu skarpy, te były równe i mocno odbite. Jasak przyjrzał się im dokładnie.

Zrozumiał, że człowiek, który zostawił te odciski miał na nogach ciężkie buty. Buty z grubymi podeszwami. Zobaczył głęboki bieżnik, przypominający taki, jaki widnieje na wojskowym obuwiu, ewentualnie na butach cywilów, którzy wybierają się na daleką wyprawę w bezdroża. Na podeszwie widać też było jakiś symbol. Podobnych znaków używali w całej Arkanie szewcy do identyfikowania swoich wyrobów. Tego rodzaju obuwiu produkowano zawsze seryjnie. Sir Jasak Olderhan gotów był w razie pomyłki zjeść swoje własne buty.

Po plecach przebiegł mu zimny dreszcz. Zabójca Osmuny nie był prymitywnym dzikusiem. Był zamożny i wyrafinowany na tyle, że nosił kupione zapewne w sklepie obuwiu. Używał przy tym broni o niezwykłej sile i tajemniczym działaniu.

–Mówiłeś, że znalazłeś coś dziwnego?

–Tak, setniku – Harnak przytaknął i wskazał ręką w zarośla. – Kiedy pochylałem się nad tropami zauważyłem odbłask słońca. To coś jest z metalu, Sir. Nie wiem jednak, do czego to może służyć.

Jasak klęknął, by samemu przyjrzeć się znalezisku.

Stalowy przedmiot miał kształt cylindra. Z jednej strony był zamknięty, z drugiej otwarty. Na zamkniętym końcu widniała rysa. Była to chyba podstawa. Na metalu znać było delikatne ślady – pozbawione koloru prążki. Przedmiot nieprzyjemnie i niepokojąco pachniał siarką.

Jasak zmierzył wzrokiem odległość pomiędzy przedmiotem a odcisniętymi w ziemi tropami. Mniej więcej – cztery i pół stopy. Cylinder nie został upuszczony. Coś go w krzewy wrzuciło. Coś lub ktoś. Tylko czy rozmyślnie? Czy może nieznajomy napastnik pozbył się tego przedmiotu odruchowo, być może w chwili gdy dosięgnął go bełt Osmuny? Ten niewielki kawałek metalu nie wyglądał na broń. Nie stanowił też chyba nawet części żadnej broni. Z pewnością był zbyt mały by obcy mógł przechowywać w nim to coś, co wyrwało ogromną dziurę w ciele Osmuny. Chyba, że... Jasak zmarszczył brwi i zastanowił się głęboko. Otwór w plecach martwego żołnierza był rzeczywiście wielki, lecz rana na jego piersi miała przecież niewielką średnicę. Bardzo małą. Dokładnie taką, jak średnica cylindra.

–On tym zabił Osmunę.

–Jak to, tym?

Dopóki miecznik nie zadał pytania Jasak nie zdawał sobie sprawy z tego, że odezwał się na głos. Pytanie Threbucha nie brzmiało, jakby nie dowierzał oficerowi. Wydawał się raczej... zagubiony. Jasak skrzywił się i spojrzał na podoficera.

–Nie pytaj mnie, Otwal. Ale spójrz – Jasak zręcznie wyłowił cylinder spomiędzy zarośli, wsuwając w otwarty koniec cienką gałązkę. – To ma dokładnie taką samą średnicę jak dziura w piersi Osmuny.

–To niemożliwe, żeby ten kawałek metalu przeszył ludzkie ciało – odezwał się półsetnik Garlath tonem ocierającym się o bezczelność. – Nie ma na tym krwi, leżało pod złym kątem, a na dodatek w nieodpowiednim miejscu. Gdyby to coś, przebiło Osmunę wylądowałoby na drugim brzegu strumienia, ale na pewno nie tu, na górze.

–Ale ja wcale nie twierdzę, że to przeszło na wylot przez tego biednego drania – syknął Jasak, ściągając oburącz wodze swojego gniewu.

–Może przebiło go coś, co było wewnątrz cylindra? – zastanowił się miecznik

Threbuch. Jasak obrócił przedmiot w palcach tak, że promienie słońca oświetliły jego wnętrze i zajrzał do środka.

–Jeśli tam cokolwiek było, to niewiele z tego zostało – powąchał cylinder. – Śmierdzi jak... spalenizna.

Przesunął wewnątrz koniuszkiem palca i poczuł coś pod opuszką. Threbuch drgnął gwałtownie, jakby ledwie tylko powstrzymał się przed odtrąceniem dłoni Jasaka od cylindra. Jasak uśmiechnął się cierpko.

–Wydaje mi się, że możemy chyba mimo wszystko założyć, iż Osmuny nie zabiła żadna trucizna? – zażartował.

–A skąd ten wniosek? – zauważył trzeźwo Threbuch.

–Punkt dla ciebie. Nie obliżę zatem palca, dobrze? – poddał się Jasak.

–Sir! – oczy Threbucha otworzyły się szerzej. – Proszę spojrzeć na skórę!

Setnik opuścił oczy i obejrzał koniuszek palca. Widniała na nim ciemna smuga.

–To węgiel – powiedział zaintrygowany. – Chyba najzwyklejsza sadza.

–Ale... – zaczął Garlath i od razu zacisnął zęby. Nie dokończył tego, co chciał powiedzieć.

–Mów, półsetniku – ponaglił cicho Jasak.

–To przecież zupełnie bez sensu, Sir. Osmuny co prawda nie otruto, ale też i nie spalono!

–To prawda – zgodził się Jasak z namysłem w głosie. – Jego nie spalono ale coś za to spłonęło w tym cylindrze. Spłonęło tak doszczętnie, że została tylko cienka warstewka sadzy. A skoro ten przedmiot ma taką samą średnicę, jak rana w piersi Osmuny, to stawiam na to, że istnieje tu jakiś związek – mimo, że póki co nie potrafię go dostrzec.

–Miotacz zaklęcia zapalającego? Sir? – podrzucił nerwowym głosem Gaythar Harklan. Jasak spojrział na niego bystro.

–Na tym etapie sprawy nie możemy wykluczyć niczego, tarczowy – odparł. – Jak blisko Osmuny byłeś, w chwili jego śmierci?

–Jakieś trzydzieści jardów, Sir. Może czterdzieści – żołnierz wskazał drugi brzeg, na którym siedziała na skale w słońcu Gadrial. Czekala na nich z godnym pochwały spokojem cywila ciśniętego w sam środek wojskowej operacji, o cały wszechświat

oddalonej od najbliższej pomocy. – Byłem za tymi gęstymi krzakami. Diabelnie ciężko się przez to przedrzeć, Sir.

–Jak głośny wydał ci się ten trzask z tamtego miejsca?

–Cholernie głośny, Sir. Aż mnie w uszach rozboleło. Dosłownie.

–Wierzę. Bardzo huknęło nawet i u nas – przyznał Jasak kiwając głową z nieobecnym spojrzaniem.

Cały czas zastanawiał się nad zagadką, której główne elementy miał – jak podejrzewał – już wszystkie w ręku. Harklan miał rację – krzewy wyglądały na niezwykle trudne do przejścia. Zdenerwowanie podoficera – nie wspominając o wojskowym szkoleniu, w którego skład wchodziło wpajanie zasad ostrożnego posuwania się w obliczu nieznanego nieprzyjaciela – z pewnością spowodowało, że minęło bardzo dużo czasu, nim się przedarł przez gąszcz. Niestety – był to prezent dla zabójcy Osmuny, który dzięki zwłoce Harklana zyskał czas na ucieczkę.

Po chwili Jasak zdał sobie sprawę, że już nie patrzy na stalowy cylinder w swych dłoniach z ciekawością. Oglądał go z gniewem i frustracją. Układanka za nic nie chciała złożyć się w całość.

Jednak – bez względu na to jak bardzo go ta zagadka intrygowała – teraz musiał zająć się poszukiwaniami rannego zabójcy.

–Wszedł do wody – stwierdził. – Wskoczył do strumienia po tym, jak wrzucił to w zarośla. Pytanie tylko czy chciał ochłodzić ranę, czy miał jakiś inny powód? Czy zginęły jakieś rzeczy Osmuny?

Rzucił okiem na Evarla Hamaka. Żołnierz spojrzał na oficera jak zbity pies.

–Nie wiem, Sir – przyznał. – My... hmm... jeszcze nie sprawdziliśmy.

–To sprawdźcie teraz, przekłęci! – warknął Garlath tak wściekle, że Hamak aż poblądł.

–Tak jest, Sir!

Miecznik zsalutował służbiście i zbiegł do strumienia. Jasak zmełł w ustach gorzki komentarz. Harnak powinien był sprawdzić stan ekwipunku Osmuny natychmiast; tym razem nie różnił się w ocenie sytuacji z Garlathem. Mimo to, Jasak rozumiał, że żołnierze byli już i tak wstrząśnięci. Krzyki jedynie pogarszały sytuację i mogły przyczynić się do ich kolejnych – jeszcze groźniejszych – błędów.

Garlath dostrzegł niemą dezaprobatę i odplącił się wyzywającym spojrzaniem.

Czekał tylko, aż Jasak zwróci mu uwagę za udzielenie reprimendy żołnierzowi, który nie dopełnił swych obowiązków. Setnik oczywiście nie mógł zrobić nic podobnego, bez względu na to jak wielką miał na to ochotę. Gdyby upomniał za to Garlatha, nawet na osobności, stanowiłoby to dla półsetnika doskonałą okazję do oficjalnego oskarżenia go o folgowanie osobistym uprzedzeniom.

W tej konkretnej chwili Jasak zrozumiał, jak bardzo nienawidził Shevana Garlatha. Według niego na usunięcie ze służby zasługiwał każdy oficer, który w obliczu nieprzyjaciela źle traktował własnych żołnierzy. A już na pewno, kiedy zachowywał się tak w samym środku wydarzeń, jakie mogły zwiastować najpoważniejszy kryzys w dziejach powstania Unii Arkany. Co więcej – usunięcie takiego oficera powinno w opinii setnika wiązać się w wsadzeniu głowy usuwanego, w otwór ziejący, w dolnej połowie jego ciała.

Teraz – jeszcze bardziej niż kiedykolwiek przedtem – Jasak miał ochotę przeprowadzić podobną operację osobiście. Kiedy się odezwał jego głos zabrzmiał jak smagnięcie lodowatego wichru.

–Chcę, byście odnaleźli ślad zabójcy i za nim poszli, półsetniku. Pierwszą drużynę wyślijcie na zachód. Mają iść tym brzegiem strumienia. Druga drużyna pójdzie po drugiej stronie. Niech znajdą miejsce, w którym uciekinier wyszedł z wody. Wiadomo, że jest ranny, nie wiemy jednak jak poważnie, ani w którą stronę uciekł. Pomijając wszystko inne, ranny nie mógłby dojść wśród tych głazów zbyt daleko. Niech szukają śladów na przestrzeni jakiejś – powiedzmy – pół mili.

–Jeśli nie znajdziemy żadnego tropu na zachodzie – ciągnął Jasak – to z dużym prawdopodobieństwem będzie można założyć, że obcy zawrócił na wschód. Stamtąd przyszedł. Wskazują na to odciski w błocie. Niech więc trzecia drużyna przeszuka brzegi na wschodzie.

–A pan co robi, Sir? – zapytał cierpko Garlath.

Jasak ze spokojem wytrzymał spojrzenie starszego żołnierza, zniósł tętniącą w jego oczach wrogość. Wrogość, a także pokaźną domieszkę czystej nienawiści. Obaj doskonale wiedzieli, jak bardzo setnik chciał pozbyć się Shevana Garlatha. Jednak obaj rozumieli także, że są na siebie skazani – przynajmniej na czas trwania tej misji. Chłód bijący z odpowiedzi Jasaka zmroziłby jezioro lawy.

–Miecznik Threbuch i ja pójdziemy wzdłuż jedyne go konkretnego śladu, jaki pozostawił po sobie ten drań. Tego śladu setnik wskazał ręką na niewyraźny trop wiodący wzdłuż biegu strumienia i niknący w gęstwinie. – Poprosiłbym tylko o wyznaczenie nam do pomocy kilku żołnierzy. Jakiś dobrze zgrany zespół.

Jasak potrzebował kogoś, kto zająłby się ochroną Gadrial, kiedy on i Threbuch nie

będą mogli poświęcić jej wystarczająco wiele uwagi. Śledzenie zabójcy w takim terenie jak tu i jednocześnie eskortowanie cywila było zadaniem przerastającym możliwości dwóch osób. Zostawić jej tutaj też jednak nie mogli. Prędzej zamarząłoby kilka mythalańskich piekieł nim Jasak Olderhan zdecydowałby się powierzyć bezpieczeństwo Gadrial Kelbryan komuś w rodzaju Shevana Garlatha.

–Tak jest, Sir! – Garlath ponownie obraził setnika przesadną precyzją, z jaką zasalutował. Odwrócił się błyskawicznie i wydał kilka rozkazów.

–Za przeproszeniem, Sir – mruknął Threbuch – ale kimkolwiek nie okaże się ten drań, to jednak wyświadczyłby nam niewąską przysługę, gdyby zamiast Osmuny dorwał tego dupka.

Jasak nie odpowiedział. Miecznik powiedział stanowczo za dużo jak na podoficera i setnik doskonale o tym wiedział. Co gorsza wcale się tym nie przejął. Co jeszcze bardziej niepokojące – zupełnie miecznika nie winił. Nie mógł. Postanowił więc zignorować nieregulaminową uwagę i wydał rozkaz, jakiego nie lubi wydawać żaden dowódca.

–Mieczniku, proszę dopilnować, by ktoś zebrał osobiste przedmioty Osmuny. Będziemy musieli odesłać je wdowie. Potem znajdź Kurthala. On rysuje najlepiej z nas wszystkich. Niech naszkicuje obraz tych ran. Z przodu i z tyłu. W skali jeden do jednego.

Threbuch skinął. Jasak wziął głęboki oddech.

–Kiedy skończy – ciągnął beznamiętnym głosem – przygotujcie zwłoki do obrządku polowego. Nie możemy go tak tutaj zostawić, a na odsyłanie ludzi do obozu nas teraz nie stać.

–Tak jest, Sir.

Wyraz twarzy miecznika mówił, że jest tak samo mało ucieszony otrzymanymi rozkazami, jak mało Jasak cieszył się z ich wydania. Tego konkretnego obowiązku nie lubił nikt, a już najmniej Threbuch, który w ciągu długich lat swej służby odprawił polowe obrządki dla większej liczby ludzi, niż był w stanie spamiętać. Kiedyś niewiele brakowało by jednym z takich żołnierzy stał się ojciec Jasaka i coś w oczach doświadczonego żołnierza mówiło, że powziął głębokie postanowienie uczynić wszystko, by nie musieć robić tego także i dla Jasaka.

Threbuch zajął się swymi ponurymi obowiązkami. Jasak spojrział przez strumień ku miejscu, gdzie siedziała Gadrial. Pilnowali jej żołnierze, stojący niecały jard wyżej na skarpie. Kusze trzymali w pogotowiu. Spojrzenia strażników nieprzerwanie badały okolicę. Kobieta z kolei patrzyła na Jasaka. Nawet z tego miejsca widział w jej oczach szaloną ciekawość. Nie mogła się doczekać, by dowiedzieć się, co takiego znaleźli.

Nie dlatego, że lubiła makabryczne historie. Po prostu martwiła się. Nawet więcej niż martwiła. Ukrywanie prawdziwych uczuć wychodziło jej świetnie, ale Jasak widział, że Gadrial się po prostu boi.

Nie było sensu przedłużać jej niepewności. Setnik przywołał dziewczynę gestem dłoni.

*** * ***

Gadrial wstała ze swojego głazu, ostrożnie przeszła przez wartko rwący strumień i zaczęła wspinać się na brzeg, na którym czekał Jasak. Wiedziała, że nie zdradzi jej wyraz twarzy. Odruchy ciała udało się jej już opanować. Obawiała się jedynie, że oficer wyczyta jej poddenerwowanie wprost z oczu. Nie bała się. Opanowała ją za to mocna, intensywna emocja, której nie potrafiła nazwać. Nie była pewna czy był to niepokój, zmartwienie, zdenerwowanie czy też zdrowe, czujne napięcie. Czymkolwiek by się to uczucie nie okazało postanowiła, że nie pozwoli mu nad sobą zapanować.

Wbijając buty głęboko w miękką ziemię. Oparła się pokusie, by rozmasować sobie pośladki, ciężko obolałe po siedzeniu na twardym kamieniu. Brzeg był stromy i podejście niełatwe, lecz w końcu dołączyła do stojącego na górze Sir Jasaka Olderhana, który obserwował ją spod przymkniętych powiek.

„Wojskowe tajemnice” – pomyślała i westchnęła w duchu. Oficer powie jej tylko to, co według niego powinna wiedzieć. Na pewno nie będzie tego wiele. Spodziewała się, że rozmowa przyniesie jej głównie frustrującą niepewność, lecz kiedy zauważyła chłód w jego oczach, zdenerwowała się jeszcze bardziej. Domyślała się, co było jego źródłem.

Przechodząc przez strumień nie spojrzała na Osmunę.

Była pewna, że Sir Jasak doskonale to zrozumiał. Oceniając świat przez pryzmat swego surowego andarańskiego kodeksu moralnego pomyślał najprawdopodobniej, że wynikało to z nieczułości – może nawet z braku wrażliwości. Z pewnością spodziewał się, że będzie się gapić na zwłoki szeroko otwartymi oczami, mrugać przez łzy i zagryzać wargi. Spodziewał się tego dlatego, że nie była Andaranką i nie powinna w takich sytuacjach zachowywać się jak Andaranką. Na pewno też spodziewał się, że kobieta okaże ciału co najmniej ciekawość – tym bardziej, że jego ludzie nie dopuścili jej wcześniej na tyle blisko, by mogła dokładniej przyjrzeć się obrażeniom martwego żołnierza.

Nie spotkała jeszcze żadnego Andaranina, który dobrze odczytywałby zachowania kobiet z innych kultur w tak złożonych sytuacjach. Stosunek do śmierci i zachowanie w jej obliczu nie były tu wyjątkiem. Gadrial z kolei nie przejmowała się nigdy właściwym zachowaniem wobec umarłych. Osobiście największym szacunkiem i

czcią otaczała życie, morderstwa stanowiły dla niej jedynie niewybaczalną herezję wobec owej świętości.

Przyglądanie się ciału zamordowanego oznaczało dla niej – samo w sobie – brak szacunku wobec duszy, która te zwłoki niegdyś zamieszkiwała. Co gorsza – wiedziała, że ta dusza najczęściej jeszcze w nich tkwiła. Zaskoczona nagłym, brutalnym wstrząsem, gwałtowną zmianą stanu istnienia, dusza czekała aż przeminie szok. Niemniej – jak zwykle – Gadrial bardziej przejmowała się pomyślnością żywych. Dla przerażonej duszy Osmuny nie mogła zrobić już nic. Istniało jednak wiele rzeczy, które mogła zrobić dla Sir Jasaka Olderhana i jego żołnierzy. O ile, oczywiście, setnik Olderhan pozwoli jej w jakikolwiek sposób pomóc. Przecież był sztywnym andarańskim arystokratą i mogła się po nim spodziewać, że zechce owinąć ją w pieluchę i zacznie traktować jak wystraszone dziecko.

Stłumiła kolejne westchnienie i pokonała ostatnie dwa kroki dzielące ją od szczytu zbocza. Bijący od Jasaka chłód niepokoił ją bardziej niż się tego spodziewała. Przeszkadzał do tego stopnia, że bardzo chciała by chociaż on jeden ją zrozumiał. Inni nie musieli. Na to jednak też nic nie mogła poradzić. Odetchnęła więc po prostu, podniosła wzrok i spojrzała oficerowi w oczy.

–Udało się wam czegokolwiek dowiedzieć? – zapytała cicho.

–Nie znaleźliśmy niczego poza kolejnymi zagadkami – powiedział. – Mamy zagadki i trop, którym możemy pójść. Ściślej mówiąc, pokonać w przeciwną stronę. Nadal szukamy śladów, które zostawił zabójca po wyjściu ze strumienia.

–No, to już jednak coś – zauważyła z bladym uśmiechem, który przepędził kilka chmur przesłaniających brązowe oczy Jasaka. Oficer popatrzył na nią przez chwilę w milczeniu. Potem najwyraźniej podjął jakąś decyzję.

–Widziała pani kiedyś coś podobnego?

Otworzył dłoń i pokazał jej niewielki, metalowy cylinder. Gadrial pochyliła się i przyjrzała dokładniej nie dotykając przedmiotu. Po chwili, gdy zrozumiała, na co patrzy, zmarszczyła brwi.

–Ktoś coś w tym spalił – zauważyła.

Jasak skinął głową i uniósł brew.

–Tak, to prawda – zgodził się.

–Co to było?

–Miałem nadzieję, że to pani magister mi powie.

Powietrze poranka stało się nagle wyraźnie zimniejsze. On nie wiedział, co zabiło Osmunę. Nie wiedział ani trochę więcej niż ona. Kobieta nie odrywała wzroku od dziwnego przedmiotu w jego ręku.

–Ta rzecz ma tak prostą konstrukcję, że nie daje nam żadnych poszlak, co do jej możliwego zastosowania. – zauważyła i zmarszczyła brwi – Ktoś, kto nigdy nie widział osobistego kryształu też miałby przed sobą podobną zagadkę. Nie wiedziałby nawet jak przejrzeć zawarte w nim notatki.

–Skąd ta uwaga?

Spojrzała na żołnierza, nieco zaskoczona ostrym tonem jego głosu i nagłym napięciem widocznym w oczach.

–Co?

–Co dokładnie sprawiło, że pomyślała pani o kimś, kto nigdy nie widział osobistego kryształu? – zapytał z naciskiem. Gadrial wyduła usta w zamyśleniu.

–No cóż – odparła. – Pańscy ludzie są przestraszeni. I to nie na żarty. W śmierci Osmuny kryje się coś niezwykle groźnego. Żaden z was nie wie, co tego biedaka zabiło. Teraz z kolei pokazuje mi pan – cywilowi – nieznaną przedmiot znaleziony w pobliżu ciała zabitego. Wynika z tego, że nie macie pojęcia kto i jak zabił Osmunę, co z kolei oznacza, że...

Unosiła głos w miarę jak mówiła:

–...że zabójca nie pochodzi z Arkany – dokończyła powoli i zdała sobie sprawę, że przez cały czas masowała się po ramionach, by uładzić niesforne, miękkie włosy. Poczowała ochotę odwrócić wzrok ku drzewom, lecz znacznym wysiłkiem woli zmusiła się, by nadal patrzeć w twarz Sir Jasaka. – Mam rację, prawda? Inaczej nie pytałby pan, czy wiem, co to jest.

Setnik wziął głęboki oddech. Wyraźnie stłumił cisnącą mu się na usta uwagę i przytaknął.

–Tak. Ma pani całkowitą rację – powiedział po prostu. Gadrial zadrżała.

–Pani magister jest pewna, że nie jest to jakiś rodzaj zasobnika na zaklęcia? – zapytał miecznik Threbuch.

Tym pytaniem udało mu się ją zaskoczyć. Była tak skupiona na rozmowie z Jasakiem, że nie zauważyła powrotu podoficera.

„Nie tylko dlatego zaskoczyły cię jego słowa, prawda?” – spytała zgryźliwie samą

siebie. W fakcie, że doświadczony, siwy żołnierz, który mógłby być jej ojcem zadał jej akurat takie pytanie było coś niepokojącego. Zwłaszcza, że zadał je głosem pełnym nadziei. Zrobiło się jej przykro i pokręciła głową.

–Nie mieczniku – odparła łagodnie niweczając jednocześnie jego nadzieje. – To nie jest zasobnik. A w każdym razie nie przypomina żadnego z zasobników, z jakimi miałam dotąd do czynienia. A widziałam już w życiu wiele najdziwniejszych sprzętów. W tym eksperymentalnych. Nie ma w tym czymś miejsca na sarkolis więc nie wiem, w jaki sposób można by zmagazynować tu zaklęcia. Poza tym nie wyczuwam w tym przedmiocie nawet najslabszego drgnienia magicznej energii. Nawet poblasku nie ma. Nie. To nie ma nic wspólnego z czarami ani magią.

Kiedy ponownie spojrzała na Jasaka dostrzegła w jego spojrzeniu interesującą nutę ulgi zmieszanej jednocześnie ze smutkiem.

–No cóż – wymamrotał. – Całe szczęście, że nie oznajmiła nam pani, że jest to jakaś super broń zrodzona w koszmarnych snach magateoretyka.

Gadrial nie mogła się powstrzymać i spojrzała na ciało Osmuny rozciągniętego nieprzyzwocie w strumieniu tuż pod nimi.

–Boi się pan, że to może być super broń?

–Nie mam bladego pojęcia, co to może być! – przyznał zdumiewająco otwarcie.

–Czyli naprawdę nie wiemy co zabiło żołnierza? – spytała. Jasak zacisnął usta.

–W najlepszym wypadku jedynie mgliście podejrzewamy – głos oficera brzmiał równie twardo i bezbarwnie jak patrzyły jego oczy. – Coś przeszło jego ciało, wprost przez serce.

–Ale nie wiadomo, co to był za pocisk?

–Nie.

Gadrial ponownie przyjrzała się niewinnie wyglądającemu stalowemu cylindrowi i westchnęła.

–Przykro mi Sir Jasak, ale nie mam nawet cienia pomysłu. Nie wiem co to jest – znów spojrzała mu w oczy. – Chcę tylko, żeby pan wiedział, jak bardzo chciałabym pomóc.

Reakcja oficera była zaskakująca.

–Jeśli pojawi się coś, w czym będzie pani mogła nam pomóc to zostanie pani o to

poproszona. Jesteśmy bardzo daleko od domu. Z dala od pomocy. Zanim się ta sprawa zakończy możemy potrzebować zdolności każdego z Obdarzonych, którzy są z nami. Tymczasem proszę się trzymać blisko miecznika i mnie. Z tyłu.

Chciała coś powiedzieć, ale Jasak uciszył ją unosząc dłoń, po czym zaskoczył ją po raz kolejny.

–Nie jesteśmy na anadarańskich salonach – powiedział. W jego oczach przez moment zabłysło coś, co można było nazwać płomykiem humoru. – W sytuacji zagrożenia jest moim obowiązkiem dopilnować, by nic nie stało się żadnemu z cywilów pozostających pod moją opieką. Tym bardziej, jeśli tym cywilem jest kobieta-magister z tak silnym Darem, by magister Halathyn osobiście mianował ją szefem własnego wydziału badań teoretycznych.

Wyraz jego oczu ośmielił ją do protestu. Oboje wiedzieli, że w jego rozkazach nie było ani słowa z tego, o czym teraz mówił. Poza tym Gadrial nie była cywilem – nie do końca. Pracowała dla ZTTTU, a obecnie była na urlopie naukowym z Akademii, który wzięła by służyć jako oficer naukowy w Drugiej Andarańskiej.

Chciał ją podejść jak młodego gryfa. Nie połknęła jednak przynęty i nie miała takiego zamiaru. Nie była dzieckiem a cierpienia jakich doznała w Akademii Mythal Falls nauczyły ją które bitwy należy toczyć, a których unikać.

–Doceniam pańską troskę, setniku Olderhan.

Zobaczyła w jego oczach wyraźną ulgę. Spodziewał się, że ona zacznie się spierać. Była przecież Ransaranką i miał pełne prawo oczekiwać z jej strony zachowania, które większość Andaran uznałaby za pełne anarchii i grożące chaosem całemu społeczeństwu. Gadrial nie wiedziała czy ją to irytowało, czy raczej bawiło. Po chwili oczy Jasaka zachmurzyły się na powrót. Nagle zrozumiała, że patrzy już na zupełnie inną osobę. Na ponurego nieznajomego, ze śmiercią czającą się w kącikach groźnie błyszczących oczu.

–Próbujemy odnaleźć rannego zabójcę, magister Kelbryan – powiedział cicho, lecz ten szept był o wiele bardziej mroźny niż niejeden krzyk. – To nie będzie spokojny spacer przez las. Polujemy na najbardziej niebezpieczną zwierzynę, na jaką może polować człowiek. Jedynym śladem jaki mamy jest ten, który zabójca zostawił nam przychodząc nad strumień. Bez urazy, ale nie jest pani doświadczoną tropicielką. Idąc z przodu mogłaby pani zatrzeć trop, sama nie zdając sobie z tego sprawy.

–Nie obraziłam się. Znam las, ale nie jestem żołnierzem. Nie będę udawać, że umiem robić coś, czego nie umiem.

–Doceniam pani szczerłość, magister Kelbryan. Pójdziemy szybko. Bardzo szybko. Nie przeszła też pani treningu bojowego, magister...

–Gadrial – przerwała mu. Uniósł brew. Światło w jego oczach zmieniło swój odcień. Żłowiszcze ognie przygasły dając miejsce mgłę zaskoczenia.

–Przepraszam?

–Mam na imię Gadrial. Jeśli mamy razem stanąć twarzą w twarz ze śmiercią możemy to równie dobrze zrobić będąc ze sobą po imieniu. Śmierć to osobista sprawa, nie sądzisz? O wiele zbyt intymna, by zмагаć się z nią płacząc się jednocześnie wśród zasad dobrego wychowania. Gdybym była żołnierzem, to co innego. Ale nie jestem. Naprawdę. Poczuję się lepiej, jeśli przestaniesz się zachowywać tak wyniośle i zaczniemy po prostu ze sobą rozmawiać.

Zamrugnął z niedowierzaniem. Dosłownie. Chciał coś powiedzieć lecz urwał. Po chwili namysłu odetchnął głęboko i w kąciku ust pojawił mu się nikły uśmiezek.

–Masz rację. Bardziej mieć racji już chyba nie można uśmiech na moment stał się weselszy. – Przypominasz mi tym kogoś. No, ale dobrze – skinął głową. – Na czym to ja skończyłem?

–Mówiłeś mi, że nie mam za sobą wojskowego przeszkolenia – przypomniała cierpko, co wywołało na wargach oficera jeszcze jeden zaskoczony uśmiezek. Szybko się jednak opanował.

–Właśnie. Chodziło mi o to, że chcąc dogonić zabójcę będziemy musieli iść szybko. Możesz mieć kłopoty z nadążaniem – powiedział może nie protekcjonalnie, lecz z pewnością dyplomatycznie. Gadrial zareagowała uśmiechem.

–I tylko tym się martwisz? Najwyraźniej w moim dossier nie wspomniano o tym, że biegam wyczynowo. Na długich dystansach. Może nie potrafię biegać tak szybko jak wy – powiedziała obrzucając znaczącym spojrzeniem mięśnie żołnierza – ale jestem wytrzymała, a to przyda się teraz bardziej niż prędkość, prawda?

Jasak zaczął podejrzewać, że kobieta, z którą miał do czynienia jest prawdziwym cudem. Zanim zdołał cokolwiek powiedzieć odezwała się znowu.

–Powinieneś wiedzieć o mnie coś jeszcze. Wiesz już, że mam bardzo silny Dar podstawowy. Nie wiesz jednak, że mam też dwa lub trzy pomniejsze. Jeden z nich może się nam przydać.

–Tak?

Gadrial przechyliła głowę i zanim wyjaśniła co miała na myśli obdarzyła Jasaka dłuższym badawczym spojrzeniem. Ostatnie słowo powiedział tonem pełnym nadziei, a nie wyzywająco bądź pogardliwie. Sir Jasak Olderhan był co prawda od stóp do głów błękitnokrwistym Andarańskim arystokratą – w końcu jego przeznaczeniem

było zostać następnym diukiem Garth Showma, earlem Yar Khom, baronem Sarkali a także miał otrzymać kilka innych, równie wymyślnych tytułów – nie oznaczało to jednak, że jego mózg uległ całkowitemu zanikowi.

–Będę wdzięczny za każdą pomoc, jaką możesz okazać – powiedział bardzo cicho.

–Dziękuję. Chętnie pomogę jak tylko potrafię. W każdym razie mam ograniczony Dar uzdrawiania. Nie jestem żadnym cudotwórcą – nie umiem nawet połowy tego, co magistron po szkole, lub nawet w miarę Obdarzony chirurg wojskowy. Potrafię jednak leczyć lżejsze obrażenia, a w przypadku ciężkich ran mogę uratować ludzkie życie – choćby przez ustabilizowanie stanu pacjenta, do czasu przybycia prawdziwego Uzdrowiciela, który zabierze się za odtworzenie tkanek.

–Magister Kelbryan – Gadrial... – poprawił się miękko. – Nie masz nawet pojęcia jak bardzo się z tego wszystkiego cieszę.

Piękne światło jesiennego słońca poblądło. Śpiew ptaków wśród drzew zamarł tak samo, jak ucichł szmer wiatru i pomruk wody w strumieniu. Dotarło do niej prawdziwe i złowróżbne znaczenie jego słów. Jasak spodziewał się kłopotów. Poważnych kłopotów. Ran zbyt ciężkich dla sanitariuszy z jego plutonu. Jego chirurg był teraz z półsetnikiem Thermanem Ultharem, cały wszechświat i siedemset mil drogi od portalu na bagnach. Jeszcze wczoraj nikt nie spodziewał się podobnego rozwoju wydarzeń. Gadrial spojrzała na swoje ręce, które potrafiły nieść pomoc bliźnim. Była w stanie wyleczyć kontuzje, skręcenia, złamane palce. To umiała. Miała jednak szczerą nadzieję, że nie będzie musiała mierzyć się z czymś, co przerastało jej uzdolnienia.

Po raz pierwszy od chwili, w której przekroczyła bagienny portal, Gadrial Kelbryan naprawdę się przestraszyła.

Rozdział 5

Przeczesał swym umysłem otoczenie, badając nim zagłębienia i nierówności terenu, Jathmar czuł tętniącą w piersi cudowną pełnię życia.

Sporządzanie map przy pomocy Talentu bardzo przypominało latanie. Wiedział to, bo zdarzyło mu się latać balonem. Była to część obowiązkowego szkolenia, jakie przechodzili wszyscy licencjonowani członkowie zespołów badawczych. Loty balonem były jednak spokojne i ociążałe. Gondola krążyła po niebie poganiana tam i z powrotem podmuchami kapryśnego wiatru. Słyszał plotki o balonach poruszanych tym nowym – spalinowym – silnikiem, którego próby przeprowadzali niedawno jacyś szaleńcy na Sharonie. Nie spodziewał się jednak po tym wynalazku zbyt wiele. Zresztą – nawet gdyby ta nowinka techniczna jakimś cudem się przyjęła, to rozdzierający uszy huk silnika i jego wstrętny odór nie sprzyjały przyjemnym doznaniom i rozkoszowaniu się podniebnymi podróżami.

Sporządzanie map – Mapowanie – było dużo bliższe temu co, jak wyobrażał sobie Jathmar, musiały czuć ptaki szybujące pomiędzy niebem a lasami i polami mknącymi w dole. Jathmar od zawsze zazdrościł ptakom – nawet tym pospolitym i pogardzanym jak wróble.

„Z drugiej strony – wróble nie potrafią sporządzać map” – pomyślał.

Jathmar uśmiechnął się do siebie. Mapowanie było Talentem, który posiadli jedynie ludzie i to nie wszyscy. Tylko niewielki ułamek z dziesięciomiliardowej rzeszy ludzi mógł się poszczycić akurat tą zdolnością. Oczywiście wychodziło na to, że tak uzdolnionych ludzi było wcale niemało. Z ogółu populacji niemal jedna piąta miała jakiś psioniczny Talent. W przybliżeniu dawało to około dwóch miliardów Utalentowanych, z których Mapować potrafiło jedynie około dwóch procent. Teoretycznie dawało to około czterdziestu milionów Kartografów. Tyle, że ten Talent dzielił się na specyficzne podtypy, które przekazywane były genetycznie z pokolenia na pokolenie. Nie mówiąc już o tym, że przynajmniej połowa z tych, którzy ten konkretny Talent posiadli – miała go rozwinięty w stopniu wykluczającym profesjonalne zastosowania. Kartografami byli oboje rodzice Jathmara, a także troje dziadków. To wyjaśniało korzenie jego silnie wykształconej umiejętności.

W odróżnieniu od Shaylar, matce i babce Jathmara nie udało się zostać członkiniami zespołów badawczych. Udało się im jednak wykorzystać ich wrodzone Talenty w inny sposób – pracowały w Służbie Leśnej, dla której sporządzały mapy dziewiczych lasów, bez potrzeby zakłócania ich spokoju, wykonywały podstawowe badania geologiczne, wytyczały trasy dróg i zdarzało się też czasem, że wzywano je do pomocy przy odnajdywaniu zagubionych na szlaku turystów, choć Kartografowie nie byli w stanie Zobaczyć ludzi. Niekiedy wykonywały też tak nietypowe zlecenia, jak

sprawdzanie stanu konstrukcji zapór i sztucznych kanałów.

Mapowanie było Talentem, na który zawsze było duże zapotrzebowanie. Dużo większe niż na Talent jego żony. Telepaci zawsze byli w cenie, lecz było ich również bardzo wielu. Co więcej prawdziwi telepaci także bardzo różnili się pod względem swych umiejętności. Shaylar jednakże była szczególnym przypadkiem. Niewielu innych Głosów dorównywało jej zasięgiem i mocą. To sprawiało, że była ona dla pracodawcy w rodzaju Konsorcjum Chalgyń wprost nieoceniona. W połączeniu z dokładnością z jaką potrafiła wykorzystywać swe umiejętności oraz z tym, że wiązała ją z Jathmarem małżeńska więź dawało to parę, która mogła przebierać wśród ofert pracy.

Jathmar na swój Talent patrzył realistycznie. Dostrzegał zarówno swoje niedociągnięcia jak i zalety. Wiedział, że jest dobrym Kartografem – nawet bardzo dobrym – i wiedział, że Shaylar jest Głosem pierwszej klasy. Zdawał sobie też jednak sprawę, że dopiero właśnie ich współpraca, to w jaki sposób się uzupełniali, nadawało im szczególną pozycję. Zwłaszcza kiedy przychodziło do pracy w dziczy.

Wynikało to z kilku prostych przyczyn. Jathmar Widział nie tylko topografię grzbietów leżących dwie mile na południe od niego i nie tylko gwałtowny zakręt strumienia o milę na północnywschód, gdzie woda pokonywała spienione kaskady. Widział także to, co znajdowało się pod ziemią. Ten poziom rozwoju Talentu osiągało niewielu tylko Kartografów i to właśnie dlatego tak bardzo nadawał się do pracy w zespołach badawczych.

Drugim powodem, dla którego Halidar Kinshe – protektor ich obojga – tak usilnie zabiegał o to, by pracowali razem, było to, że mógł się tym, co Zobaczył, dzielić z Shaylar.

Właśnie teraz, wytężając uwagę do granic, Jathmar odebrał poświatę czegoś ogromnego i gęstego spoczywającego pod ziemią. Było to duże na tyle, by swymi rozmiarami spowodować drgania pola magnetycznego, w podobny sposób jak temperatura powoduje drganie powietrza. Kartograf odbierał podobne zjawiska niezbyt dokładnie, ale wystarczająco wyraźnie, by mieć pewność, że się nie myli.

Pole magnetyczne rozciągało się w zasięgu jego Wzroku na podobieństwo sieci prostopadłych linii. Tyle, że teraz jedna z nich – leżąca tuż przed nim – odchyliła się w bok. To natychmiast przykuło jego uwagę. Dobrze wiedział, co wywoływało tę nietypową, rozległą anomalię pola. W tej okolicy znajdowało się złożo rudy żelaza. Na tyle duże, by rozpocząć natychmiastowe badania. Jeśli okazałoby się wystarczająco bogate – a z poszlak, jakie zebrali do tej pory wynikało, że było ogromne – stanie się wkrótce magnezem (Jathmar uśmiechnął się do tego słowa), który przyciągnie w to miejsce Wydział Wydobywania i Gospodarki Mineralnej Konsorcjum Chalgyń.

Jeśli WWIGM przekształci to złożę w zyskowną kopalnię, to każda tona wydobytej, stopionej i zamienionej w narzędzia rudy zasili tantiemami konta bankowe członków zespołu badawczego. Gdyby to, na co teraz Patrzył było rzeczywiście takim samym złożem jak słynne i bardzo cenne kopalnie Darjiline na Sharonie to Konsorcjum bez wątpienia zajmie się wkrótce jego eksploatacją.

Jedną z zagadek związanych z odkryciami nowych portali było to, że w społeczeństwie, które miało dostęp do wielu identycznych światów, wraz z ich gigantycznymi skarbami w postaci surowców mineralnych, bogatych i nietkniętych ziem uprawnych oraz niezliczoną liczbą dzikiego ptactwa i zwierzyny, nadal istniała konkurencja pomiędzy firmami, a zasoby, o które walczono, okazywały się mimo wszystko ograniczone. Głównych korporacji i konsorcjów było co najmniej piętnaście. Mniejszych firm wysyłających zespoły badawcze za bardzo małe pieniądze zarejestrowano około setki. Wszystkie one zmagaly się, by jako pierwsze dotrzeć, do czekających po drugiej stronie nowo odkrytych portali skarbów, takich jak złożę Darjiline. A tych było niewiele.

Dlatego właśnie zespoły tak usilnie starały się jak najszybciej określić swoje położenie, tuż po przejściu niezwyklej granicy dwóch światów. Wieści o tym, że Zarząd Portali wysłał wojsko do budowy nowego fortu przy portalu rozprzestrzeniały się wśród zainteresowanych firm dosłownie z prędkością myśli. Działo się tak nawet pomimo tego, że Głosy pracujący dla firm potrafili szyfrować swoje przekazy.

Telepacie nie było wolno bez wyraźnego zezwolenia ingerować w umysły innych ludzi. Za przekroczenie tego zakazu można było trafić do więzienia, nie mówiąc o nakładanych w takich wypadkach surowych i dotkliwych grzywnach oraz zawsze groźnej możliwości urzędowego zamknięcia spółki, która świadomie wykorzystywała lub chociaż tolerowała tego rodzaju praktyki. Specjaliści od szpiegostwa przemysłowego znajdowali jednak coraz to kolejne i coraz bardziej wyrafinowane – sposoby na obchodzenie tego konkretnego zakazu. Kiedy zatem Zarząd Portali wysłał oddział wojsk inżynieryjnych do budowy fortu, konkurujące firmy wysyłały w ten sam obszar swoje zespoły, których zadaniem było odnalezienie jak najkrótszej drogi do jak najcenniejszych działek, zanim uczyni to konkurencja.

Jako pierwsze w nowych światach zazwyczaj powstawały – budowane z zadziwiającą prędkością – stocznie. Dotarcie do wielu złóż i innych cennych terenów bardzo często wymagało pokonania wielkich obszarów mórz i oceanów. Firma, w której posiadaniu znajdowały się konieczne do budowy statków lasy i rudy żelaza zarabiała krocie, sprzedając surowce konkurencji. Oczywiście dopiero po tym, jak sama zgarnęła dla siebie najcenniejsze działki.

Przejścia przez portale były zazwyczaj dostępne dla wszystkich. Dlatego właśnie Zarząd Portali budował przy nich swoje forty. Żołnierze nie przybywali tam by prowadzić wojny, ponieważ w nowych światach nigdy nie napotymano innych

ludzkich cywilizacji, lecz po to, by zapobiegać zawłaszczaniu cudzych działek, piractwu oraz wszelkim” innym naruszeniom cywilizowanych zasad współżycia, które zdarzały się w warunkach ostrego wyścigu w głąb rozległego i ciągle rosnącego terytorium. Oczywiście to także tylko dzięki fortom Zarząd mógł pobierać opłaty za korzystanie z portali.

Czasy w których przyszło żyć Jathmarowi były wspaniałe i upajające. Uśmiechnął się, wyciągnął notes i ołówek. Sporządził staranną notatkę, wraz z namiarami odczytanymi z kompasu i ruszył w dalszą drogę. Chciał jak najszybciej skończyć wyznaczoną na dziś pracę. Wtedy będą mogli zająć się złożem rudy żelaza.

* * *

Kiedy nadeszło, Talent Jathmara był wytężony do granic możliwości. Badał właśnie z wysiłkiem kontury złoża, których nie mógł dokładnie określić z powodu silnych zakłóceń pola magnetycznego.

Psychiczne uderzenie było tak mocne, że dosłownie wybiło go z kroku. Zatonął się i upadł na jedno kolano.

Shaylar!

Zerwał się natychmiast na nogi i zatonął koło, na oślepie poszukując źródła nagłego strachu swej żony. Ręką sięgnął do biodra. Ocierająca się o skórę stal zasyczała niczym wąż, kiedy błyskawicznie wyciągnął HW z kabury. Nie miał jednak do czego strzelać. Znajdował się kilka mil od obozu. Cokolwiek się tam nie działo, nie miał najmniejszych szans dotrzeć tam z pomocą na czas. Przerazenie przemknęło wzdłuż jego nerwów, podczas gdy reszta ciała znieruchomiała na długą, pełną niepokoju chwilę.

Groza i strach Shaylar przetaczały się w nim brutalnymi falami. Jathmar jednak nie był telepatą. Nie wiedział, co się dzieje. Odbierane przez niego strzępy emocji nie dawały mu najmniejszej wskazówki. Każda komórka jego ciała krzyczała, że powinien natychmiast biec z powrotem do obozu, lecz zmusił się do pozostania w miejscu. Oddychał głęboko, by stłamsić narastającą panikę.

„Rzucając się na oślepie przez las nie pomożesz nikomu” – powtarzał sobie w myślach.

Stalowa determinacja i rozsądek brzmiące w tej myśli, którą zawdzięczał długiemu, intensywnemu szkoleniu i późniejszym doświadczeniom, uspokoiły jego rozdygotane nerwy. Choć nie było to łatwe – w zasadzie była to najtrudniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobił – udało mu się odłączyć od nieustannie bijącej fali uczuć Shaylar. Przez kilka następnych chwil stał w zupełnej ciszy i nasłuchiwał odgłosów lasu. Nie dobiegało go jednak nic nadzwyczajnego. Wiewiórki i ptaki dokazywały wśród drzew

niczym rozbrykane dzieci. Wiatr szeleścił wspaniałymi złotopurpurowymi liśćmi wysoko nad Jathmarem. Klekotały cicho uderzające o siebie gałęzie jeżyny. Wody strumienia wiły się wśród kamieni, przemierzając swą odwieczną, długą trasę od źródeł do morza.

Wśród wszystkich tych zwykłych dźwięków dziewiczej puszczy Jathmar nie potrafił wyodrębnić niczego, co mogło stanowić zagrożenie dla Shaylar lub całego obozu. Shaylar musiała przecież być w obozie. Ghartoun chan Hagrahyl nigdy nie zezwoliłby jej na oddalenie się. Zresztą sama była na to zbyt rozsądna. Wypływał z tego jeden, jedyny wniosek – jeśli chciał się dowiedzieć co zaszło, musiał wracać. Natychmiast.

Trzymając pistolet jedną dłonią zsunął karabin z ramienia i odbezpieczył zamek. W bezpośrednim otoczeniu nie było żadnej oznaki niebezpieczeństwa, ale Jathmar nie miał zamiaru podejmować niepotrzebnego ryzyka. Wsunął rewolwer do kabury i jednym, płynnym ruchem dłoni przeładował karabin.

Metaliczny szcęk zamka podziałął kojąco. Karabin Shertan Model 70 został zaprojektowany jako krótka, podręczna broń co jednak nie umniejszało jego siły rażenia. Strzelał ładunkami kalibru.48 o masie 19,44 gramów. Konstrukcja oparta była na wojskowym karabinie armii ternathiańskiej Model 9. Prędkość wylotowa pocisku w broni Jathmara była niższa niż w pierwowzorze z powodu krótszej lufy, lecz nowy „bezdymny” proch potrafił wyrzucić ciężki nabój z wgłębieniem wierzchołkowym, z prędkością dziewięciuset stóp na sekundę nadając mu energię ponad dwóch tysięcy siedmiuset dżuli. Dawało to potężny odrzut, lecz z drugiej strony pozwalało przebić człowieka na wylot i powalić jednym strzałem każdą ofiarę mniejszą od wielkiego niedźwiedzia grizzly.

W tej chwili wiedza ta była dla Jathmara bardzo krzepiąca. Szalenie wręcz krzepiąca.

Niektórzy członkowie zespołów badawczych nosili karabiny stale załadowane. Pocisk czekał gotów do natychmiastowego strzału w wypadku nagłego zagrożenia. Jednak Jathmar miał większe doświadczenie z bronią palną niż przeciętny traper i potrafił załadować, odbezpieczyć i wystrzelić z karabinu lub pistoletu w ułamku sekundy, nawet w zupełnych ciemnościach lub przy ulewnym deszczu. Wiedział też, że zazwyczaj, w zwykłych okolicznościach, noszenie pocisku w lufie było zwyczajnym kuszeniem losu.

Teraz jednak okoliczności nie były żadną miarą zwykłe.

Załadował więc i ruszył ostrożnie w drogę, z karabinem Model 70 trzymany oburącz (z palcem wskazującym na zewnątrz kabłąka spustowego). Zmysły Jathmara omiały okolicę w oczekiwaniu na najmniejszy sygnał zwiastujący zagrożenie. Zmieniły się wrażenia odbierane dzięki emocjonalnej więzi z Shaylar. Przerazenie

odeszło i zastąpiło je poczucie rozpaczliwego pośpiechu. Jej emocje coraz bardziej groziły zmańceniem jego własnego, z trudem utrzymywanego spokoju. Nie potrafił jednak wyobrazić sobie niczego złego, co mogło zająć w obozie, więc po raz kolejny stłumił narastającą w sobie panikę i utrzymał równe tempo marszu.

Szedł wolniej, niż chciał. Bez końca powtarzał sobie mantrę pracowników Zarządu, głoszącą, iż racjonalne myślenie jest pierwszą obroną i najskuteczniejszą bronią każdego trapera. Mimo to pośpiech, który wyczuwał poprzez więź, gnał go naprzód. Z każdą chwilą narastał. Miał niemal wrażenie, że słyszy głos Shaylar krzyczący „Pospiesz się!”.

Biorąc pod uwagę moc jej Talentu i ich małżeńską więź, nie musiało to być jedynie wrażenie.

Pomimo że wiedział, że powinien posuwać się ostrożnie zauważył, że mimowolnie przyspiesza. Nie był w stanie nic na to poradzić. Las dokoła nie wyglądał groźnie, a emocje Shaylar ponaglały go z każdą minutą bardziej.

Nie wiedząc kiedy, zaczął biec. Zrozumiał to dopiero, gdy pośliznął się na mokrych liściach, wpadł w krzewy i przetoczył się po wierzchołku leśnego pagórka.

Zatrzymał się na jego szczycie dysząc i przeklinając się za lekkomyślność. Zaczął ponownie nasłuchiwać. Nic. Nadal nie słyszał niczego nadzwyczajnego. Spojrzał na zegarek i spróbował obliczyć jak daleko już dobiegł. Mogło to być jakieś pół mili. Skrzywił się i ruszył w dalszą drogę, tempem będącym kompromisem pomiędzy wymogami bezpieczeństwa, a narastającą w duchu paniką.

Przedzieranie się przez gęste zarośla porastające brzegi strumienia nie było proste. Bujna zieleń powstrzymywała go plątaniną korzeni i gałęzi. Krzewy chwyciły go za ubranie, spowalniały.

Z trudem brnął naprzód, przeklinając każdą kolejną przeszkodę. Po chwili zatrzymał się i znów przeklął – tym razem samego siebie.

Przecież był, do cholery, Kartografem. Szedł wzdłuż strumienia jedynie pod wpływem odruchu. Podświadomie wybrał drogę, którą szedł w tę stronę. A przecież dzięki swemu Talentowi miał doskonałe poczucie kierunku i wiedział, w którą stronę iść, by skierować się bezpośrednio na obóz i bez pomocy strumienia. Skręcił więc ostro, oddalając się od jego nurtu. Droga przez las z dala od wilgotnego podłoża okazała się o wiele łatwiejsza. Poszycie nie było tu już tak gęste jak wzdłuż brzegu. Szedł szybciej. Zdolność Widzenia terenu pozwalała Jathmarowi wybierać jak najdogodniejszą trasę pomiędzy drzewami i leśnymi pagórkami.

„Powinienem być wcześniej o tym pomyśleć” – skarcił się surowo w duchu. – „Chyba jednak nie jestem aż tak spokojny, jakbym chciał.”

Po chwili jednak doszedł do wniosku, że nurzanie się w poczuciu winy nic mu nie da i ruszył żwawiej wśród rzednącego lasu.

* * *

Po kolejnych, spędzonych w dręczącej niepewności, trzydziestu minutach dotarł do celu. Czekala go tu nieprzyjemna niespodzianka.

Obóz był pusty.

Zatrzymał się przed polaną, na krawędzi leśnej gęstwiny. Był zbyt ostrożny, by wyjść na otwarty teren nie upewniwszy się wcześniej co mogło na niego tam czekać. Drewniana palisada stała nietknięta w jasnych promieniach jesiennego słońca. Krąg był nieprzerwany nigdzie, poza ziejącym otworem bramy. Widział przez nią namioty, które także tkwiły tam, gdzie stały, kiedy rankiem wyruszał do pracy. Nie zniknęły również osły. Pasły się spokojnie, może tylko wyglądały na nieco bardziej ogłupiałe niż zwykle.

W zasięgu wzroku nie widział jednak żywej duszy. Na polanie nie rozbrzmiewał też żaden nienaturalny dźwięk.

Lód chwycił Jathmara za serce. Śmiertelny, tłumiący myśli chłód, wywołujący z ukrycia wszystkie możliwe przesady i lęki. Przez kilka chwil niepewności i strachu ledwie oddychał. Wtedy jego wzrok, przesuwający się z jednej strony obozu na drugą padł na coś, czego zupełnie się nie spodziewał. Pobladł i zrozumiał, że patrzy na coś, czego nie miało prawa tu być.

Kamienny kopczyk.

Ktoś przykrył kamieniami jakiś przedmiot, przedmiot o niepokojąco ludzkich kształtach i rozmiarach. Kopicz wznosił się nad brzegiem strumienia w cieniu opuszczonej palisady. Przez jedną przerażającą chwilę Jathmar pomyślał o najgorszym. Potem jednak wziął w nim górę rozsądek. Nadal czuł emocje Shaylar. Nieprzerwanie płynęły ku niemu przez ich małżeńską więź. Żyła. Na pewno nie leżała martwa pod tym kurhanem ze skał. Zadrżał i wysiłkiem woli odepchnął od siebie straszliwy obraz. Po chwili jego umysł znów zaczął pracować zwykłym trybem.

Zamyślił się. Dłuższą chwilę temu słyszał w lesie pojedynczy, karabinowy wystrzał. Czyżby ktoś przypadkowo zastrzelił towarzysza? Trudno było w to uwierzyć. Wszyscy członkowie zespołu, w tym i Shaylar, świetnie posługiwali się bronią. Nikt nie strzeliłby do celu, którego nie widział. Nikt nie wymierzyłby w coś, w co nie chciałby mierzyć, a już na pewno nie w innego człowieka. Żaden z nich zresztą nie nosił załadowanej i odbezpieczonej broni.

Kto więc nie żył? I w jaki sposób zginął? Przecież nie ścinali nawet drzew, więc nie

mógł nikogo przygnieść padający pień.

Wahał się jeszcze przez chwilę, po czym wyszedł ostrożnie na polanę z kolbą karabinu pod pachą. Lufę skierował do dołu, żeby nikt nie mógł jej odbić na bok ani wyrwać mu broni z rąk. Palec wskazujący nie spoczywał już bezpiecznie na kabłąku. Oparł go na spuście, w pełnej gotowości do strzału. Tak przygotowany, Jathmar przekroczył niedokończoną bramę.

W obozie było bardzo cicho. Klapy namiotów pozostawiono otwarte, jakby mieszkańcy opuszczali je w wielkim pośpiechu. Kołysały się poruszane delikatnymi podmuchami wiatru wiejącego poprzez splecione gałęzie palisady. Jathmar zrobił szybki obchód, by upewnić się, że nikt nie ukrywa się przed jego wzrokiem w którymś z namiotów. Czuł się jak idiota. Polował na bandytów, których przecież nie miało prawa tu być. Po chwili zrozumiał, że rozsądek znów miał rację. Nie było tu nikogo. Obóz był całkowicie opustoszały.

Cofnął się i wszedł do namiotu chan Hagrahyla. Rzeczy należące do dowódcy ekspedycji leżały porozrzucane, jakby w wielkim pośpiechu. Jathmar zmarszczył brwi i zastanowił się znowu. Co takiego, na wszystkich niezliczonych uromathiańskich bogów, mogło skłonić chan Hagrahyla do porzucenia obozowiska i wycofania się do portalu? Takiej decyzji nie podjął jeszcze nigdy żaden szef zespołu badawczego. Cofano się jedynie w wypadku natrafienia na konkretne zagrożenia: erupcje wulkanów, trzęsienia ziemi, pożary lasów. Nawet, gdyby rzeczywiście natknęli się na bandytów ucieczka wiązała się z większym ryzykiem niż obrona, w dobrze do tego celu przystosowanym obozie. Ich zespół był zresztą na tyle liczny i dobrze uzbrojony by stawić czoła każdej typowej bandzie. Fakt jednak był taki, że były żołnierz zdecydował się wycofać ku portalowi. I to na tyle szybko, że nie zaczekał na Jathmara.

Był tym wszystkim tak zaskoczony, że zaczął się zastanawiać, z jakiego powodu założył, że opuszczenie obozu było ucieczką.

„Ponieważ, idioto” – odpowiedział mu zdrowy rozsądek – „jesteś mężem Shaylar, która jest głosem i w tej chwili stara się co sił, żebyś za nią podążał jak najszybciej potrafisz. Cię nieść twoje wielkie, płaskie stopy”

Rzut oka na wnętrze ich własnego namiotu potwierdził jego przypuszczenia. Shaylar pakowała się równie pośpiesznie, co chan Hagrahyl. Zostawiła ubrania, prowiant, przybory kuchenne... wszystko poza siekierką, bronią i mapami. Nagle zauważył oparty o śpiwór, swój własny plecak.

W jedną z kieszonek Shaylar wcisnęła wystającą karteczkę. Spisany w pośpiechu liścik.

„Ktoś zamordował Falsana. Nie wiemy kto, nie wiemy ilu, ani skąd przyszli. Ghartoun zdecydował, że nie możemy na ciebie czekać. Idź prosto do portalu – uważaj na siebie ukochany.”

Napisała tylko tyle... i aż tyle.

Poczuł wstrząs silny jak uderzenie armatnią kulą. Ktoś zamordował Falsana? Wzdrygnął się i poczuł strużkę zimnego potu spływającą mu wzdłuż kręgosłupa. Wcześniej czuł się głupio, szukając w obozie ewentualnych wrogów. Teraz okazało się jednak, że od początku miał rację. Instynkt go nie zwiódł. W tym wszechświecie był ktoś poza nimi. Ktoś, kto potrafił zabijać. Ktoś obcy.

„Bogowie w niebiosach...” – wyszeptał.

Obcy człowiek?

Nic dziwnego, że chan Hagrahyl zdecydował się nie zwlekając ruszyć do portalu. Taka sytuacja przerastała ich możliwości. I to znacznie. Jathmar także nie zwlekał ni chwili dłużej. Zatrzymał się tylko na moment, by przejrzeć zawartość plecaka. Z uznaniem pokiwał głową widząc, co zdecydowała się spakować mu Shaylar. Dwudniowa racja żywności, broń i amunicja do pistoletu i karabinu. Oraz siekierka. Nie było też żadnej z ich map ani notesów. Bez wątpienia znajdowały się teraz w jej plecaku.

Jathmar zarzucił plecak na ramiona, rzucił okiem na resztę ich rzeczy, napełnił manierkę i ruszył forsownym truchtem. Zabójcy Falsana mogli równie dobrze być tylko parę minut za nim – wystrzał słyszał przecież już dość dawno. Szybkość biegu liczyła się teraz o wiele bardziej od wymogów ostrożności.

Nie próbował nawet zacierać za sobą śladów. Bez względu na to, jak bardzo by się nie starał każdy doświadczony tropiciel i tak wyśledziłby go z łatwością. Odciski stóp, złamane gałązki i wyięte liście pozostawione przez osiemnastu spieszących się ludzi stanowiły szlak tak wyraźny, jak imperialna droga w Ternathii. Wiedział, że im szybciej oddali się od obozu, tym bardziej będzie bezpieczny. Jeśli natomiast doszłoby do walki jego broń mogła zagwarantować mu wystarczającą do przeżycia przewagę.

O ewentualnym starciu pomiędzy ich zespołem a mordercami Falsana nie chciał nawet myśleć. Nie chciał myśleć o zagubionej w walce Shaylar. Sama ta myśl dławiała go i nie pozwalała biec. Jathmar parł mimo to naprzód ogromnie wdzięczny, że trasa, jaką rankiem obrał Falsam zbaczała o niemal sto dwadzieścia stopni od kierunku, w którym znajdował się portal. Człowiek, który zabił jego towarzysza, musiał najpierw odnaleźć obóz, a dopiero potem podążyc ich śladem do portalu. Jeśli będą biegli wystarczająco szybko istniała szansa, że dotrą do fortu kapitana Halifu i jego załogi

na czas.

Po chwili stwierdził, że klnie w rytm kroków. Osiemdziesiąt lat! Ekspedycje z Sharony badały multiwersum już od osiemdziesięciu lat i przez cały ten czas nie natrafiły na najmniejszy nawet ślad istnienia innych ludzkich cywilizacji. Dlaczego akurat teraz? Dlaczego właśnie oni?

Skupił się na tłumieniu własnego gniewu. Zdawał sobie sprawę, że była to jedynie zasłona dymna, pozwalająca zapomnieć mu o własnym strachu. Nie mógł jednak pozwolić, by jakiegokolwiek uczucie zaćmiło mu myśli. Oskarżanie multiwersum o wpędzenie Shaylar w niebezpieczeństwo także nie miało najmniejszego sensu. Tak naprawdę, to on sam był temu winien. To on przecież walczył o to, by wraz z nim pracowała w zespole.

„Sam ją w to wpakowałeś” – pomyślał ponuro – „więc sam teraz będziesz musiał ją z tego wydostać:”

Nieustanny szepcący docierający do niego przez małżeński węzeł zdawał się karcnąć go za te myśli. Oboje chcieli tej pracy. Nie tylko on. Jathmar skrzywił się. Wiedział, że Shaylar ma rację. Spróbował pozbyć się poczucia winy choć szło mu to opornie. Wreszcie jednak udało mu się nieco stłumić. Cały czas szedł śladami zespołu. Uważnie wypatrywał po drodze urwisk i wykrotów. Nie mógł sobie teraz pozwolić na skręcenie kostki czy złamanie nogi. Bez przerwy nasłuchiwał też pogoni.

Żałował tylko jednej rzeczy. Nie widział tego, co znajdowało się za nim. A właściwie to – tych, którzy byli gdzieś z tyłu. Jathmar widział tylko sam teren – nie widział natomiast ani ludzi, ani zwierząt. Jego Talent różnił się od patrzenia fizycznym wzrokiem. Nie widział wiernego odbicia rzeczywistości. Oglądał kontury, kształty, wybrzuszenia i zagłębienia, miejsca gęste i luźne, które nauczył się identyfikować jako strumienie, złoża surowców, różne odmiany gleby i wszystko inne z czego zbudowane były światy. W tej chwili wiele oddałby za zdolność obserwacji terenu za swymi plecami. Za możliwość obserwacji tych, którzy zabili Falsana. Do tego jednak potrzebny był Talent Kreślarza lub Dalekowidza.

Tymczasem był on jedynie zdenerwowanym Kartografem. I to wcale nienajlepszym.

Nie zwracał uwagi na drażniące świerzbie między łopatkami. Zmusił kręgosłup by nie przeczuwał już ciosu z ukrycia i skupił się na utrzymaniu jak najszybszego tempa biegu.

Szlak wiódł cały czas pod górę. Jathmar był w doskonałej kondycji fizycznej. Każdy, kto tyle czasu co on spędziłby na wędrówkach z zespołem byłby w dobrej formie. Mimo to tak znacznego wysiłku nie wymagał od swego ciała już od dłuższego czasu. W udach i łydkach zaczął odczuwać bolesne napięcie. Także i oddech stał się jak na

jego gust zbyt ciężki. Karabin z każdym krokiem zdawał się ważyć więcej. Biegł już około piętnastu minut, gdy nagle, zza zasłony krzewów dzikiej róży tuż przed nim rozległo się ciche wołanie.

–Jathmar!

Zatrzymał się natychmiast i ciężko dysząc odwrócił w stronę, z której dobiegał głos.

–Ghartoun? – wydyszał. Zza krzewu wyszedł przysadzisty były żołnierz.

–Jakiś ślad pościgu? – zapytał spokojnie lecz nagląco. Jathmar poczuł ulgę. Kolana lekko się pod nim ugięły. Pokręcił przecząco głową i znacznym wysiłkiem woli wyprostował zmęczone nogi.

–Nie. Jeszcze nie. Obóz był nietknięty. Niczego też nie słyszałem.

–Przynajmniej tyle dobrze – mruknął chan Hagrahyl. – Szybko nas dogoniłeś. Miejmy nadzieję, że zabójcy Falsana nie są tak samo sprawni. Dobra. Ruszamy.

Jathmar precyzyjnie przeszedł przez różany krzew w ślad za chanem Hagrahyłem. Shaylar rzuciła mu się w ramiona i mocno go przytuliła. Nie była roztrzęsiona, lecz wyczuwał napięcie usztywniające jej mięśnie. Uczucia popłynęły przez łączącą ich więź silnym strumieniem.

–Tak bardzo się bałam – wyszeptała Ignąc do jego piersi. – Dzięki bogom, że udało ci się nas odnaleźć!

–Ciii – Jathmar uniósł palcem brodę żony i złożył jej na ustach delikatny pocałunek, po czym spojrzał na jej wypchany plecak i zmarszczył brwi. – To za ciężkie dla ciebie.

–Wiem, ale bałam się to wszystko zostawić, na wypadek gdybyś...

Głośno przełknęła ślinę. Jathmar położył jej palec na wargach.

–Nie mów tego, ukochana. Nie stało się... Poczekaj – zsunął swój plecak, otworzył jej i przepakował rzeczy. – Teraz powinno być lżej.

Kiedy pomógł jej ponownie założyć plecak wydała z siebie westchnienie ulgi.

–Wspaniale. Dzięki.

–Nie ma o czym mówić moja damo – uśmiechnął się i skłonił dwornie. Shaylar uściskała jego dłoń.

Ruszyła za resztą zespołu. Jathmar został nieco z tyłu, rozmyślnie zajmując pozycję pomiędzy żoną a tym, co czaiło się gdzieś za nimi. Szli szybko. Nie był to już bieg, ale

różnica była niemal niezauważalna. Szlak nie należał do najłatwiejszych. Nadal wspinali się pod górę wśród gęstych krzewów, zwalonych pni i głębokich rozpadlin. Przez głowę Jathmara przemknęło, że kiedy przemierzali tę trasę w przeciwnym kierunku nie wydawała się aż tak trudna. Znowu musiał się otrząsnąć.

„Bądź chociaż sprawiedliwy” – powiedział sobie. – „To nie droga jest tak trudna, tylko ty jesteś śmiertelnie wystraszony, a poza tym starasz się iść pięć razy szybciej niż przedtem”.

Chan Hagrahyl nakazał marsz przez bite dwie godziny bez odpoczynku. Shaylar brnęła ponuro naprzód. Z pozoru trzymała się dzielnie, lecz Jathmar wyczuwał ból jej mięśni i zmęczenie. Bardzo potrzebowała odpoczynku, choć skrzętnie skrywała to przed resztą zespołu. Nigdy wcześniej nie był z niej tak dumny. Nigdy wcześniej też nie bał się o nią tak bardzo. Nie zaskoczyło go też, że kiedy chan Hagrahyl zatrzymał kolumnę Shaylar porzuciła dumę i ciężko dysząc padła na ziemię.

Krępy Ternathianin – były oficer imperialnej armii – spojrzał z niepokojem na las za nimi. Wpatrywał się intensywnie między pnie, jakby chcąc się przebić wzrokiem przez zbyt gęste listowie, krzewy i drzewa. Barris Kassel i inni byli żołnierze bez słowa otoczyli miejsce postoju obronnym kręgiem. Stanęli na straży, podczas gdy pozostali członkowie zespołu pili i starali się złapać oddech.

Shaylar oddychała już równym tempem, lecz Jathmar nadal czuł jej przemożne wyczerpanie.

„Nie da rady iść tym tempem godzina za godziną” – pomyślał z rozpaczą. – „Nie dojdzie do portalu.”

Nie był też wcale pewien, czy reszta wytrzyma tak zabójczy marsz. Sam czuł wyraźne oznaki zmęczenia, a Braiheri Futhai był co najmniej tak samo zdżony jak Shaylar. Jathmar starał się nie dopuszczać do siebie niepokoju. Nie chciał, by odebrała go Shaylar, lecz nie udało mu się. Podniosła głowę i spojrzała mu w oczy. Spróbował się uśmiechnąć i kiedy w jej uśmiechu dostrzegł odwagę i miłość niemal pękło mu serce.

„Bycie tu przy tobie jest warte każdego ryzyka i niebezpieczeństwa” powiedziała mu swym uśmiechem. Jathmar odpowiedział tym samym i zdał sobie sprawę, że nigdy nie kochał jej mocniej.

Chan Hagrahyl dał cichy rozkaz do wymarszu. O wiele za wcześnie.

Rozdział 6

–To nie jest obóz, Sir. To jakaś przeklęta forteca! – miecznik Threbuch szepnął Sir Jasakowi Olderhanowi do ucha. Dowódca ponuro skinął głową. Miecznik przesadził, ale bardzo niewiele.

Nie udało im się znaleźć śladów mordercy Osmuny, które wiodłyby dalej w głąb lasu. Jasak zrozumiał, że uciekinier musiał zawrócić w stronę, z której przyszedł; Bez wątplenia wybrał drogę korytem strumienia. Nie zostawiał za sobą zapachu. Oznaczało to, że jedynym tropem jaki mieli do dyspozycji był ten, który zabójca zostawił idąc nad strumień, ku miejscu zbrodni.

Tą drogą więc poszli. Śledzenie obcego nie stanowiło szczególnie trudnego wyzwania. Kimkolwiek morderca nie był, to w drodze na strumień ani trochę nie troszczył się o zacieranie śladów. Trop wyraźnie wiódł przez las. Z drugiej jednak strony, wił się przez las wzdłuż strumienia niczym ślad pozostawiony przez węża dręczonego atakiem epilepsji, więc ludzie półsetnika Garlatha posuwali się naprzód ze zrozumiałą ostrożnością.

Jasak rozumiał, że zabójca nie mógł znajdować się daleko. Na pewno nie mógł skoro był ranny i na dodatek szedł po kamienistym, nierównym dnie strumienia. Podświadomie Jasak spodziewał się nawet, że wyprzedzą go gdzieś po drodze. Tak się jednak nie stało. Po części dlatego, że przygotowania do wyruszenia w pościg zajęły im dwa lub nawet trzy razy więcej czasu niż powinny. Jasak zdawał sobie sprawę, że mógł – zupełnie słusznie – przypisać opieszałość żołnierzy nieskutecznemu dowództwu Garlatha, ale wrodzona uczciwość kazała mu przyznać się przed sobą, że i on nie działał tak sprawnie jak zazwyczaj.

Musiał oddać sobie – i Garlathowi – sprawiedliwość. To, co wydarzyło się nad strumieniem było tak nieprawdopodobne i niesamowite, że wybiłoby z właściwego rytmu każdego. Jasak wiedział też, że zanim rzuca się na oślep za zabójcą i jego ewentualnymi towarzyszami – co było przecież w tej chwili najważniejsze – musieli zebrać o nim tyle informacji, ile tylko byli w stanie.

„A nie byliśmy w stanie zebrać ich zbyt wiele” – pomyślał setnik posępnie. Leżał na brzuchu obok Threbucha. Brodę oparł na splecionych przedramionach. Przyglądali się badawczo polanie na drugim brzegu strumienia.

Obóz na który właśnie patrzyli z bolesną oczywistością świadczył o tym, że zabójca Osmuny nie podróżował samotnie. Nikt nie byłby w stanie w pojedynkę wznieść takiej palisady. Nikt i w żadnych warunkach. Wysoki mur ze splecionych gałęzi i pni młodych drzewek obejmował teren o średnicy co najmniej trzydziestu jardów. Był przy tym na tyle wysoki, że nie widzieli, co znajduje się za nim.

Co więcej – cała polana usiana była świeżo ściętymi pieńkami i gałęziami. Nawet zakładając, że takiej ilości drewna potrzebowałyby tylko jedna osoba, to najwcześniej powalone pnie straciłyby już dawno swą świeżą, jasną barwę.

–Co najmniej piętnastu lub dwudziestu. Jak myślisz? – mruknął do Threbucha.

–Na pewno nie mniej, Sir – odpowiedział miecznik. – Gdyby tych drani było mniej nie udałoby się im zbudować tak mocnych fortyfikacji.

Jasak skinął głową i znów zaczął intensywnie myśleć.

O ile nie mylili się w szacunkach, to pierwszy pluton znacznie przewyższał liczebnością tajemniczych obcych. Cztery regularne drużyny plutonu liczyły pięćdziesięciu siedmiu żołnierzy. Garlath zabrał ze sobą też dodatkowo sześćoosobową sekcję inżynieryjną, czterech kwatermistrzów i tresera brzęczków. Wliczając Jasaka i miecznika Threbucha było ich zatem siedemdziesięciu. To dawało Jasakowi wygodną i bezpieczną przewagę.

Jasak nie mógł jednak polegać na tych wyliczeniach w stu procentach. Threbuch oszacował przecież tylko minimalną liczbę ludzi potrzebnych do wzniesienia konstrukcji podobnej do oglądanej palisady. Wewnątrz niej mogła znaleźć schronienie dużo większa liczba nieprzyjaciół. Na pewno przecież dzielili się zadaniami. Piętnastu na przykład mogli przeznaczyć do prac budowlanych, podczas gdy reszta zajęłaby się polowaniem, czy poszukiwaniem minerałów – Jasak wiedział, że w okolicy znajdowały się pokaźne złoża rudy żelaza. Obcy mogli także okazać się piratami i ruszyć na łupieską wyprawę do jakiejś pobliskiej wioski. Tak naprawdę nie dysponowali żadną skuteczną metodą oceny liczebności sił wroga. Przynajmniej nie z tego miejsca. Ktoś musiał wejść do obozu. Tyle, że Jasak nie miał ochoty tracić ludzi w bezsensownym i nieostrożnym ataku.

Palisada wyglądała na wystarczająco solidną, by odeprzeć dowolny atak, chyba że atakujący wykorzystaliby do tego odpowiednio silnego smoka polowego, który był w stanie zniszczyć ją wybuchowymi zakłęciami. Takiego smoka Jasak nie miał. Gruby mur z młodych pniaków – ściętych nad strumieniem, gdzie było na tyle dużo światła i wilgoci, by mogły rozwijać się drzewa i gęste krzewy – przepleciony był kolczastymi, elastycznymi gałęziami krzewów. Wszystko to razem stanowiło wysoką barierę, niemal niemożliwą do sforsowania. Pierwszy pluton dysponował jedynie lekkimi smokami piechoty, stanowczo słabszymi od smoków polowych, które pozostawały jedynie na wyposażeniu artylerii. Dla jego smoków ten mur okazałby się zbyt poważną przeszkodą.

Pomimo tego, co powiedział przed chwilą miecznik palisada nie była fortyfikacją z prawdziwego zdarzenia. Z pewnością jednak wystarczała mieszkańcom obozu do ochrony przed dzikimi zwierzętami. A mieszkańców mogło się wewnątrz pomieścić

niepokojąco wielu... tym bardziej niepokojąco, że wszyscy z nich mogli być uzbrojeni w tę nieznaną broń, której efekty zastosowania widzieli na zwłokach Osmuny.

Co gorsza, miejsce na obóz zostało wybrane przez kogoś z doskonałym wyczuciem ukształtowania terenu. Od strony strumienia ziemia wznosiła się ku palisadzie – nie stromo, ale wystarczająco pochyło. Sam mur był na tyle wysoki, że nie mógł go pokonać żaden z tutejszych drapieźników, a na dodatek mogła się za nim skrywać spora liczba ludzi wraz z uzbrojeniem. Wszystko to świadczyło o tym, że wyborem lokalizacji kierował wojskowy. Co do tego nie mogło być żadnych wątpliwości. Nadal jednak pozostawało palące pytanie. Kim byli budowniczy? I co tu robili?

Jasak nie chciał z góry zakładać niczego w obliczu tak wielu niewiadomych. Potrzebował niezbitych dowodów, odpowiedzi na najważniejsze z pytań. Nie miał jednak niczego. Mogło się nawet okazać, że obóz, na który patrzyli nie był obozem, z którego wyruszył nad strumień zabójca Osmuny. Mogli go wznieść jacyś inni obcy ludzie, na przykład ktoś, kogo szpiegował morderca, zanim spotkał się z ich żołnierzem.

W to jednak Jasak nie wierzył ani przez chwilę. Coraz bardziej natomiast skłaniał się ku opinii, że patrzy właśnie na obóz wzniesiony przez ludzi pochodzących z innej multiwersalnej cywilizacji. Pomysł wydawał się nedorzecznością, lecz na nedorzeczność zakrawało w zasadzie wszystko co dziś się zdarzyło. Co więcej – znajdowali się przecież blisko czegoś, co według Gadrial i magistra Halathyna było portalem klasy ósmej. O ile naukowcy się nie mylili, to nikt nie mógł mieszkać tak blisko, nie wiedząc o nim. Ósemka nie była czymś, czego można nie zauważyć przez dłuższy czas. Portal klasy trzeciej, ten który wiódł do ich bagiennej bazy rozciągał się niemal na cztery mile. Ósemka musiała być wielka. Dwadzieścia pięć – trzydzieści mil u podstawy.

Jasak wykluczał więc jakichś nieświadomych istnienia portali tubylców. Nieopodal znajdowały się dwa portale – ich trójka no i ta ósemka. Mieszkańcy obozu musieli o nich wiedzieć. To z kolei znaczyło, że najprawdopodobniej byli w stanie budować miasta – a przynajmniej wioski – i systemy transportowe. Portale były zbyt kuszące, by ich nie wykorzystywać. Tyle, że jak dotąd jego ludzie natknęli się jedynie na to maleńkie, otoczone prowizoryczną fortyfikacją obozowisko. Nieodparcie nasuwał się kolejny wniosek – zabójca Osmuny zajmował się mniej więcej tym co oni – sporządzał mapy i badał nowo odkryte portale.

Przykazał sobie jednak surowo, by nie przyzwyczajając się do żadnego z możliwych rozwiązań, bez dalszych dowodów. Mogli przecież trafić przypadkiem w sam środek prywatnego zwierzyńca jakiegoś arystokraty, a zabójca Osmuny, mógł być przekonany, że walczy z kłusownikiem. Mogli też wejść na jakiś teren sakralny, na świętą lub nieświętą ziemię, a Osmuna mógł zginąć jako świętokradca. Im dłużej jednak rozważał tego rodzaju ewentualności, tym częściej wracał do problemu broni,

która pozbawiła życia jego żołnierza. Była to zupełnie nieznaną konstrukcją.

„Te rozważania donikąd mnie nie zaprowadzą” – napomniął się. – „Im dłużej się tu zastanawiam, tym więcej czasu daję tym w obozie na przygotowanie zasadzki.”

Nadal jednak nie był pewien, co powinni zrobić teraz. Ktokolwiek nie wyszedłby na polanę zostałby niechybnie zauważony zza palisady przez obrońców z tą przerażającą bronią w rękach. Jasak bardzo nie chciał oglądać kolejnych dziur wypalonych w ciałach swych żołnierzy. Tym bardziej, że to nie pomogłoby w rozwiązaniu wszystkich zagadek. Gdyby miał choć jednego gryfa zwiadowczego...

Ta myśl podsunęła mu pomysł.

Spojrzał półsetnikowi Garlathowi w oczy. Nie było to trudne, gdyż dowódca plutonu patrzył się cały czas prosto na niego spojrzeniem, w którym tliło się coś bliskiego panice. Setnik wskazał w milczeniu na najbliższe drzewo, a potem w górę, na jego rozłożystą koronę. Drzewo stało samotnie na ich brzegu strumienia. Garlath energicznie skinął głową. Zrobił przy tym minę, która w dowolnych innych okolicznościach byłaby jedynie komiczna, teraz jednak wyglądała wyjątkowo żałośnie.

Półsetnik dał sygnał miecznikowi Hamakowi i wskazał na to samo drzewo. Hamak, z kolei dał znak Jugtharowi Sendahli. Żołnierz skinął głową, klepnął kolegę z drużyny po ramieniu i obaj zniknęli w zaroślach.

Droga przez okalające polanę gęste krzewy zajęła obu żołnierzom sześć długich, spływających potem minut. Kiedy wreszcie znaleźli się pod drzewem okazało się, że jego gruby pień dawał im wystarczającą osłonę przed wzrokiem mieszkańców obozowiska. Do uszu Jasaka doleciał cichy szelest. Towarzysz Sendahliego podsadził *garthana* na najniższe z grubych konarów.

Ciemnoskóry zwiadowca powoli wspinał się na drzewo. Robił to cicho, ostrożnie. Dokładnie sprawdzał stopą każdy punkt podparcia, po czym podciągał się wyżej. Po drodze nie poruszył prawie ani jednym liściem. Jasak uśmiechnął się w duchu z aprobatą. Był zadowolony, że służba pod rozkazami Garlatha nie zepsuła tego *garthana*. Jakiś czas temu setnik rekomendował go do awansu i miał nadzieję, że jego sugestia nie pozostanie bez echa.

Zwiadowca był Mythalaninem. Nie należał jednak ani do kasty *shakira* ani też *multhari*. Kasta *garthan* stanowiła najniższą z warstw mythalańskiego społeczeństwa. Należały do niej szerokie rzesze ludzi urodzonych bez żadnego Daru. W większości krain należących do Unii Arkany ci, którzy nie posiadali żadnych wrodzonych zdolności magicznych byli zwykłymi obywatelami. Nie mogli co prawda otrzymać – jak na przykład Gadrial – magistratu, lecz mogli rozwijać się w innych

zawodach, a co za tym idzie, byli w stanie żyć godnie jak wszyscy pozostali.

W Mythal było jednak inaczej.

Jasak patrzył jak zręcznie i sprawnie żołnierz wykonuje swoje obowiązki, i w oburzeniu zacisnął mocniej zęby. Obudziło się w nim andarańskie poczucie konieczności odnoszenia się do bliźnich w cywilizowany sposób. *Garthanie* nie stanowili już własności. Niewolnictwo zostało zdelegalizowane dwieście lat temu, na mocy porozumień ustanawiających Unię Arkany. Niemniej umowy te miały jedynie ograniczony wpływ na to, co działo się wewnątrz krain członkowskich, w których nadal pozostawały w mocy dawne zwyczaje i prawa. Państwa pozostające pod wpływem mythalańskiej kultury, których społeczeństwa były silnie rozwarstwione, nadal traktowały ludzi pozbawionych Daru niewiele lepiej, niż traktowano hilmarańskich chłopów pańszczyźnianych w pierwszej epoce andarańskich podbojów.

Członkowie kasty *garthan* wiedli surowe, ubogie życie. Zawody dziedziczyli z pokolenia na pokolenie – syn rzeźnika zostawał rzeźnikiem, nawet jeśli bardziej nadawał się na przykład, na kołodzieja. Los ten mógł odmienić jedynie kaprys członków panującej kasty *shakira*. Mythal i jego sprzymierzone kolonie – także i te w nowo odkrytych wszechświatach – ciągle rządzone były żelazną ręką przez kasty, których członkowie posługiwali się magią. Wspierała ich w tym kasta wojowników – *multhari*. Wyższe kasty zazdrośnie strzegły swej uprzywilejowanej pozycji i zdecydowanie dławiły najmniejsze choćby sugestie zniesienia obowiązującego systemu, który skazywał ludzi takich jak Sendahli na życie trzeciej kategorii i ponurą przyszłość.

Jasak nigdy nie poznał szczegółów wydarzeń, które doprowadziły magistra Halathyna do zerwania wszelkich kontaktów ze wspańiałą Akademią Mythal Falls, która była największym i najbardziej poważanym ośrodkiem rozwoju sztuki magicznej we wszystkich wszechświatach Arkany. Jasak osobiście nie znosił ludzi z kasty *shakira* lecz zmuszony był przyznać, że historycznie rzecz ujmując, największe i najbardziej przełomowe dokonania na polu magii brały swe początki właśnie w Mythal. Rzecz jasna sprawiało to, że dobrze urodzeni Mythalanie pysznili się tym bardziej i z wyższością traktowali wszystkich wokół siebie.

To niewątpliwie pomagało wyjaśnić rozbrat Halathyna z Akademią. Jasak wiedział tyle, że Halathyn rozjuszył swoich pobratymców z kasty *shakira* poświęcając swe zdolności i czas na rzecz ZTTTU jeszcze kiedy był członkiem akademii. Nie chodziło przy tym o ich sprzeciw wobec jako takiej transtemporalnej eksploracji. Drażniło ich raczej to, że cały ten proces poddany był kontroli wojska (co oznaczało – kontroli Andary – ojczyzny Jasaka). Mythalanie przez długie lata starali się zapewnić sobie decydujący wpływ na politykę rozszerzania Unii. Za każdym jednak razem napotykali na zdecydowany i naruszający ich ambicję opór Andary i Ransar. Andaranie i

Ransaranie – mimo wszystkich dzielących ich różnic – stworzyli wspólny front przeciwko arogancji *shakiry* już wieśset lat temu. To, oczywiście jeszcze tylko wzmagало niechęć Mythalan do polityki ZTTTU. Halathyn nigdy podobnych opinii nie podzielał i jak mógł, starał się uczestniczyć w pracach związanych z eksploracją wszechświatów.

Wtedy właśnie pojawiła się Gadrial Kelbryan. Nie miała jeszcze siedemnastu lat i była wówczas zwykłą studentką. Nigdy jednak wcześniej, w całej historii akademii, nie zdarzyło się, by przyjęto do niej kogoś tak młodego. Tak młodymi studentami nie zostawali nawet członkowie *shakiry*, nie mówiąc już o Ransaranach. Według wszystkich wersji wydarzeń, które słyżał Jasak, to ona przyczyniła się do opuszczenia Mythal Falls przez Halathyna vos Dulainaha. Biorąc pod uwagę wszystko, co setnik wiedział o Halathynie i o potędze Daru Gadrial, a także znając głęboką wiarę w jednostkę, jaką cechowali się wszyscy Ransaranie – mógł jedynie zgadywać, w jaki sposób udało się jej tego dokonać. Pewny był tylko jednego – mythalańska wersja, wedle której Gadrial została kochanką Halathyna i oddawała się starszemu mężczyźnie w zamian za lepsze oceny – była wierutną bzdurą.

Spółczeństwa Ransar i Mythali, a także ich religie, były do siebie zupełnie niepodobne. Mythalanie wierzyli w reinkarnację duszy, oraz w to, że cnotliwe życie prowadzi do nagrody w postaci wcielania się kolejno w członków wyższych kast na drodze do pełnego oświecenia. Ransarańskie religie natomiast – pomijając ich wewnętrzne różnice – były bez wyjątku religiami monoteistycznymi i uznawały, że człowiek posiada tylko jedno życie, a także, że pozostaje w bezpośrednim, osobistym kontakcie z Bogiem.

Struktura religii Mythalan uzasadniała przewodnią rolę kasty *shakira* i wzmacniała całą strukturę społeczeństwa opartego na całkowitym podporządkowaniu *garthan*. Według niej bowiem wszyscy członkowie *shakiry* zasłużyli na swe obecne przywileje godnym i cnotliwym życiem w poprzednich wcieleniach, w niższych kastach. Teologia Ransaran natomiast umacniała ludzi w przekonaniu, że sami potrafią kierować własnym życiem i sławiła pojęcia takie jak prawość i odpowiedzialność. Ransaranie uważali, że ich świętym obowiązkiem jest jak najlepsze wykorzystanie Daru otrzymanego bezpośrednio od Boga.

W związku z powyższym kastowy system społeczny i religia Mythali wydawały im się odrażające i niehumanitarne. Gorzki konflikt pomiędzy obiema kulturami trwał od bardzo dawna.

Odkrycie u Ransaranki tak potężnego Daru, jaki posiadała Gadrial, musiało być bolesnym ciosem dla większości członków *shakiry*. Zwyczaj pozbywania się niewygodnych studentów z Akademii był powszechnie znany. Niekiedy, gdy taki niepożądany student – lub studentka – był zbyt zdolny by usunąć go po cichu, w białych rękawiczkach, relegowano go po prostu, bez żadnego powodu.

Jasak nie miał pojęcia, czy też tak było w przypadku Gadrial. Wściekłość bijąca z jadownego listu, w którym Halathyn informował starszyznę *shakiry* o swej rezygnacji oraz o swoich przenosinach do Garth Shaloma była jednak legendarna. Wraz z nim z kariery w Akademii zrezygnowała jego osobista protegowana i studentka trzeciego roku – Gadrial Kelbryan.

Przez następne dwadzieścia lat magister Halathyn tworzył swój zespół – w skład którego weszła oczywiście i Gadrial – dzięki, któremu Instytut Garth Showma stał się liczącym konkurentem Mythal Falls i usprawnił prace ZTTTU, jak oceniano o co najmniej dwadzieścia pięć procent. Udało się im też stworzyć specjalną katedrę badań terenowych. Oboje z zapałem poświęcali się także tępieniu szerzonych przez Mythalan stereotypów i przesądów we wszystkich dziedzinach życia.

Obserwacja tego, jak starzejący się naukowiec robił sobie z podejrzanego *garthana* – który teraz wspinał się na potężny dąb, a wcześniej w poszukiwaniu lepszej przyszłości uciekł z Mtyhal i wstąpił do andarańskiej armii – przyjaciela i sprzymierzeńca, była jednym z przyjemniejszych doznań w całej karierze Jasaka.

Drugiego takiego człowieka jak magister Halathyn po prostu nie było. Problem w tym, że bagieny obóz w którym się obecnie znajdował, strzeżony przez niewielki oddział wojska i prowadzący do niego portal, znajdowały się stanowczo zbyt blisko ludzi, którzy zbudowali tę palisadę.

Jasak podniósł wzrok i spróbował odszukać Sendahliego. Po żołnierzu jednak zginął wszelki ślad. Świetnie. Skoro sam nie był w stanie go dostrzec, nawet wiedząc czego wypatruje, to nie powinien go też zauważyć nikt z wewnątrz umocnionego obozowiska.

Jakby na potwierdzenie jego myśli z wierzchołka drzewa rozległ się przenikliwy ptasi zaśpiew.

Teren był czysty.

Jasak skrzywił się. A więc tajemniczy obóz był pusty. Pytanie tylko, czy został opuszczony na dobre, czy jedynie tymczasowo?

Rzucił okiem na półsetnika Garlatha. Oficer znów zaczął się obficie pocić. Garlath rzucił krótkie spojrzenie na setnika, po czym podszedł do Gaythara Harklana. Tarczowy leżał na wznak, na brzegu strumienia. Ponaglony podniósł się i przebiegł ukradkiem na drugą stronę bystrej strugi. Przemknął ostrożnie, nie prostując się ani na chwilę, pod samą palisadę. Tam wstał. Posuwał się przywierając jak najbliżej kolczastych gałęzi, na wypadek, gdyby Sendahli się jednak pomylił. Nikt jednak do niego nie wystrzelił. Z żadnej, najzwyczajszej nawet broni.

„Jak na razie idzie dobrze” – przemknęło Jasakowi przez myśl. – „A teraz...”

Harklan dotarł do otworu w murze i przetoczył się po ziemi do wewnątrz. Znalazł się na terytorium nieprzyjaciela. Wszyscy zamarli wśród dusznej, pełnej oczekiwania ciszy. Jasak słyszał tylko bzyczenie much szalejących mu koło ucha. Po chwili pojawił się Harklan.

–Pusto – zawołał przez strumień. – Ale nie opuścili obozu dawno temu. Znalazłem kilka ognisk. Węgla są jeszcze tak ciepłe, że można na nich gotować. Zostawili też swoje zwierzęta.

Jasak wymienił spojrzenia z Threbuchem.

–Najwyraźniej dokądś bardzo im się spieszy, Sir – zauważył cicho miecznik. Jasak skinął głową i spojrzał na Gadrial.

–Zgaduję, że kierują się do twojej ósemki – powiedział.

–To nie jest moja ósemka – mruknęła kobieta. – Jeżeli w ogóle jest czyjaś, to powiedziałabym, że należy do nich – wskazała ręką na porzucony obóz. – Najwyraźniej znaleźli ten portal przed nami. Możliwe nawet, że ta ósemka prowadzi do ich rodzimego wszechświata.

–Myślisz, że nie pochodzą stąd? – Jasak zastanawiał się, czyjej wnioski pokrywały się z jego.

–Raczej nie – powiedziała kręcąc głową. – Nie jestem co prawda żołnierzem, ale wydaje mi się, że jeżeli w pobliżu byłiby jacyś ich pobratymcy, to wysłaliby zwiadowcę po pomoc, a sami schowali się za tym kolczastym murem i zaczękali. Zrobili jednak inaczej. Uciekli. Wniosek z tego taki, że jest ich niewielu. Zbyt mało, by walczyć. Prawdopodobnie są śmiertelnie przerażeni. Jakby nie było, najwyraźniej idą po pomoc. Ten obóz wygląda całkiem porządnie stąd, ale sędzę, że jest jednak dość prowizoryczny. Skoro jest ich niewielu, to zbudowali go tylko po to, żeby zabezpieczyć się przed niedźwiedziami, panterami i tak dalej. Palisada uwolniła ich od konieczności trzymania straży.

Jasak był pod wrażeniem. Gadrial co prawda nie była żołnierzem, ale oceniła sytuację dokładnie w ten sam sposób, w jaki uczynił to i on. Pochwycił wzrok Threbucha i domyślił się, że miecznik był podobnego zdania.

–Byłabyś świetnym analitykiem wojskowym, Gadrial – powiedział setnik i oczy dziewczyny zabłyśły.

–Może pewnego dnia andarańscy szowiniści dopuszczą kobiety do armii. Wszyscy by na tym skorzystali.

–Kobiety w mundurach? – parsknął miecznik. – Z kuszami? Miotające bojowe

zaklęcia? To jakieś demokratyczne, ransarańskie szaleństwo.

–Przeszłam kurs posługiwania się kuszą ręczną – odcięła się ostro Gadrial. – A czary potrafię rzucać takie, że na sam ich widok stanęłyby ci dęba te twoje shalomariańskie loki. Dosłownie – dodała słodko.

Miecznik wyszczerzył się w uśmiechu i zamilkł.

–Sugerowałbym – wtrącił Jasak, zanim Threbuch zdołał pogrążyć się jeszcze bardziej – żebyśmy się ruszyli i zbadali wreszcie ten obóz.

*** * ***

Ruchem głowy wskazał palisadę. Półsetnik Garlath zrozumiał sygnał i nakazał żołnierzom ruszyć naprzód. Drużyny pierwsza i druga rozdzieliły się i przetrząsnęły okalający polanę pas drzew w poszukiwaniu ewentualnych pułapek czy kryjących się w zaroślach strzelców. Trzecia drużyna, pod osłoną gęstych krzewów rozstawiła swego smoka na bliższym brzegu strumienia. Czwarta podążyła za pierwszymi dwiema. Żołnierze przeszli w bród przez wodę i zapadli w ukryciu pod wysokim brzegiem.

Gadrial przyglądała się im uważnie, w milczeniu. Nawet nie drgnęła. Doskonale wiedziała, że Jasak nie zamierzał wyjść z za drzew, dopóki żołnierze nie zabezpieczą okolicy, a ciężki sprzęt nie zostanie odpowiednio rozmieszczony. Gdyby jej tu nie było Jasak pewnie pracowałby razem ze swoimi ludźmi, ale była tu i teraz, więc ciążyła na nim odpowiedzialność za jej bezpieczeństwo.

Jej zdrowie i życie stanowiły w oczywisty sposób jego priorytety. Sama Gadrial bała się na tyle, by potrafić to docenić. Z drugiej strony czuła się na tyle niezależna, że zarumieniła się ze wstydu, kiedy musiała przed sobą przyznać, że sama nie dałaby sobie rady. Nie przeszła wojskowego szkolenia. Co prawda świetnie strzelała z ręcznej kuszy, ale w życiu nie strzelała z długiej broni. Nie potrafiłaby też pomóc obsłudze smoka. Jej Dar był silny, ale nie miała doświadczenia artyleryjskiego i nie bardzo nawet wiedziała, jak posługiwać się smokami.

Interesowała się raczej samymi tylko bojowymi zaklęciami, które nadawały mocy smokom piechoty i tym mocniejszym, artyleryjskim. Wielokrotnie rozmawiała o nich z inżynierami wojskowymi i wiedziała, że były to wielce złożone czary. Tworzenie takich zaklęć wymagało wyjątkowej koncentracji, najczęściej w warunkach, w których ciężko było o jakiegokolwiek skupienie. Co więcej nie wszystkie elementy zaklęcia były bezpośrednio powiązane z wojskowością. W skład oddziałów piechoty wchodziły zatem nie tylko smoki i ich obsługa ale i inżynierowie zajmujący się bitewną magią.

To oni właśnie tworzyli najzdolniejszą i najlepiej opłacaną grupę specjalistów w siłach zbrojnych Unii Arkany. Nigdy też nie było ich dostatecznie wielu. Dlatego też

pod żadnym pozorem nie ryzykowano ich życiem bez potrzeby, a jednostki takie jak ta setnika Olderhana miały na wyposażeniu zapasowe, gotowe zakłęcia.

Plutony piechoty składały się z drużyn liczących po około dwunastu żołnierzy każda. Drużyna z kolei dzieliła się na dwie sekcje manewrowe, w skład których wchodziło po trzech kuszników, dowodzonych przez podoficera, oraz smoka piechoty w roli bliskiego wsparcia. Przenoszenie zapasowych zasobników z zakłęciami w ilości wystarczającej do przeprowadzenia dłuższego starcia angażowało obu działonowych i dodatkowo dwóch kuszników. Pod nieobecność osoby, która potrafiła je ponownie załadować drużyna dysponowała jedynie tą amunicją, którą niosła ze sobą.

Gadrial zadrżała. Obserwowała żołnierzy rozstawiających ciężką broń w pozycji defensywnej. Bała się bitwy. Bała się, że starcia nie da się w żaden sposób uniknąć. Pozostawało jednak pytanie, czy dojdzie do niego już tutaj, czy też może gdzie indziej.

Gdy rozległ się ostatni ptasi sygnał oznaczający „czysty teren”, czwarta drużyna wychynęła się z ukrycia. Zwiadowcy rozwinęli szyk i ruszyli w stronę opustoszałego obozu. Jasak ruszył za nimi pozostawiając Gadrial z tyłu, pod opieką dwóch żołnierzy. Trzymała się w bezpiecznej odległości nie chcąc nikomu wchodzić w drogę. Ledwie tylko dotarła do wyrwy w murze, Jasak zatrzymał się jak wryty.

Znieruchomiał tak gwałtownie, że niemal na niego wpadła. Stała obok i zobaczyła na co patrzył. Oddech zamarł jej w piersi. W cieniu palisady widniał kamienny kurhan. Poczula jak drżą jej kolana. Inne drżenie przebiegło jej w okolicy serca, kiedy zrozumiała co oznaczał kształt i rozmiar kopca.

Wiedziała, że cudza śmierć nie powinna nią tak mocno wstrząsnąć. Kiedy tak jednak patrzyła na stos głazów skrywających to, co niedawno jeszcze było ludzką istotą nie miała wątpliwości, że znaleźli grób człowieka, który zabił Osmunę.

Zrobiło się jej słabo. Na brzegu strumienia, w miejscu w którym zginął Osmuna był tylko jeden człowiek. Z lasu do obozu prowadził jeden, jedyne ślad. Tylko dwóch ludzi wiedziało zatem co naprawdę wydarzyło się w leśnej głuszy.

Obaj już teraz nie żyli.

Spojrzała na chmurne oblicze Jasaka Olderhana i domyśliła się, że oficer myślał dokładnie o tym samym co ona. Patrzył na kurhan ze ściągniętą twarzą, mięśnie ramion drgały mu w napięciu. Zastanowiła się, co planuje. Po chwili jednak doszła do wniosku, że lepiej nie wiedzieć. Wtedy Jasak podniósł wzrok. Jego zimne oczy niczym dwa gryfy na łowach rzuciły się naprzód w poszukiwaniu półsetnika Garlatha.

–Przeszukać obóz – powiedział beznamiętnie. – Chcę dokładnie wiedzieć ilu ich

było. Chcę wiedzieć o wszystkim co tu zostawili. Chcę wiedzieć o wszystkim, co mogłoby nam pomóc dowiedzieć się skąd pochodzą i co tu robili.

–Tak jest, Sir.

Garlath zaczął wykrzykiwać rozkazy. Brzmiały zdecydowanie, ale brak w nich było niezbędnej w takiej sytuacji jasności. Jasak wymienił spojrzenia z miecznikiem. Siwy podoficer skinął głową i sam zajął się organizacją przeszukania obozowiska, którym próbował pokierować Garlath.

Kiedy Threbuch wkroczył do akcji działania żołnierzy od razu zaczęły przebiegać sprawniej. Poruszali się po całym obozie, niczym w jakimś dziwnym tańcu. Gadrial przemknęło przez myśl, że brakowało jedynie muzyki, chyba, że uznać za taką szelest wiatru w suchych liściach opadających na kamienny kopiec, pod którym spoczywał zabójca Osmuny. Kobieta wiedziała, że powinna się cieszyć – cieszyć mściwą radością. W końcu ten, który zabił ich towarzysza sam także już nie żył. Jakąś częścią siebie bardzo chciała poczuć właśnie coś takiego. Była to jednak bardzo niewielka część. Cała reszta jej duszy drżała ze strachu. Bała się wszystkiego, co wydarzyło się w ciągu kilku ostatnich godzin.

Porozumienia Unijne, kamień węgielny Unii Arkany, położyły kres barbarzyństwu Wojen Portalowych dwa stulecia temu. Układy te zjednoczyły różnorodne, toczące ze sobą bezustanne wojny królestwa i republiki, tworząc z nich jeden organizm, którego celem stała się eksploracja multiwersum i zapewnienie wszystkim obywatelom Unii lepszego życia. Dzięki temu Unia zyskała niepowtarzalną okazję stworzenia nowej jakości, przeniesienia zarzewia cywilizacji do dziewiczych wszechświatów i wzbogacenia Arkany w stopniu niewyobrażalnym w epoce przedportalowej.

Porozumienia skodyfikowały zasady korzystania z portali i nowych wszechświatów dwieście lat temu. Zawarto w nich także – tak szczegółowe jak to tylko było możliwe – zasady i plany na wypadek kontaktu z inną ludzką cywilizacją. Każdy żołnierz sił zbrojnych Unii przechodził na wypadek takiej sytuacji specjalne szkolenie. Główną zasadę stanowiło pokojowe przeprowadzenie ewentualnego spotkania z obcymi. Wojna z inną cywilizacją była ostatnią rzeczą, jakiej chcieli przywódcy Arkany.

Tyle, że przez długie lata istnienia Unii nikt nie natrafił nawet na ślad obcej cywilizacji. Ustalone na początku zasady pozostawały w mocy, nadal informowano o nich wojsko, ale sama ewentualność kontaktu stawała się coraz bardziej mglista. Nikt nie spodziewał się, że kiedykolwiek do czegoś podobnego dojdzie. Na pewno nikt już nie traktował tej możliwości poważnie. Wszyscy skłaniali się ku opinii, że jeśli gdzieś istnieliby inni ludzie to Arkana już dawno nawiązałaby z nimi kontakt.

I nic tej opinii nie podważało... aż do dziś. Do momentu, w którym dwóch obcych zetknęło się ze sobą w leśnej głuszy. Spotkali się, dławieni strachem i

podjejrliwością, i mimo wszystkich nakazów i zaleceń Porozumień, wzajemnie się wymordowali. Gadrial nie zdążyła lepiej poznać Osmuny, lecz żołnierz wydawał się mężczyzną inteligentnym, poświęconym swej służbie bez reszty. Nie był – to pewne – zadowolony z tego, że dowodzi nim półsetnik Garlath, lecz z drugiej strony przepełniała go duma z tego, że może służyć pod setnikiem Olderhanem. Gadrial wątpiła, by taki człowiek postąpił wbrew postanowieniom Porozumień bez wyraźnego powodu.

Ludzie Jasaka przeczesywali opuszczone obozowisko. Jej wzrok tymczasem mimowolnie wciąż i wciąż powracał do kamiennego grobu. Upłynęło dziesięć ponurych minut. Dziesięć minut ciszy przerywanej jedynie głosami rozgniewanych żołnierzy penetrujących okolicę. Ich wojownicze nastawienie przerażało ją jeszcze bardziej. W spojrzeniach zwiadowców widziała krew – szukali czegoś – a może raczej kogoś – kogo mogliby rozedrzeć na strzępy. Za wszelką cenę chcieli pomścić śmierć kolegi. Nie mogła ich za to winić, lecz nijak nie umniejszało to coraz bardziej przejmującego ją strachu. Spojrzała na Jasaka i pod jego zmarszczonymi brwiami zobaczyła to samo. On także miał ochotę zmieść opuszczony obóz z powierzchni ziemi. Żołnierzom nie udało się ustalić zbyt wiele.

– Jest ich najwyżej osiemnastu, może dziewiętnastu – oznajmił Jasakowi i Garlathowi miecznik Threbuch. – Niewiele po sobie zostawili. Głównie ubrania, śpiwory i żywność. Znaleźliśmy też więcej takich metalowych przedmiotów, jaki znaleźliśmy przy ciele Osmuny. Miał pan rację, Sir. W środku coś jest.

Wyciągnął ku nim kilka lśniących, metalowych cylindrów. W środku każdego widniał mniejszy przedmiot z matowego metalu. Nie wszystkie były identyczne. Jedne były większe, inne mniejsze. Większość miała obłe, zaokrąglone końcówki, choć niektóre były wyraźnie bardziej płaskie. Wszystkie miały dziurki na czubkach, lecz żołnierze znaleźli także trzy dłuższe, zakończone ostrymi szpicami.

– To chyba ołów – zauważył Jasak dotykając jednego z cylindrów o okrągłym zakończeniu. – Ale to? – wziął do ręki jeden z ostrych. – To wygląda raczej na... miedź?

Spojrzał na Threbucha, lecz miecznik wyglądał na równie zmieszanego co pozostali. Zwrócił się więc do Gadrial. Dziewczyna wyciągnęła rękę. Jasak podał jej cylinder i obejrzała go dokładnie ze wszystkich stron.

– Tak. To jest miedź – zgodziła się. – Ale spójrzcie tu – dotknęła palcem samej końcówki – to nie jest lita miedź. Raczej miedziana powłoka otaczająca, coś, co jest w środku. I też wydaje mi się, że rdzeń jest ołowiany.

– Zastanawiam się... – mruknął Jasak odbierając jej zagadkowy przedmiot.

–Sir? – zapytał Threbuch.

–Zastanawiam się jak wielkiej mocy trzeba by użyć, by wprowadzić to w ruch – Jasak dotknął koniuszka cylindra paznokciem.

–Tak, żeby przeleciało w powietrzu piętnaście, dwadzieścia stóp i przebiło ludzkie ciało.

Garlath pobladł i wydał z siebie stłumiony odgłos. Jasak spojrział na półsetnika.

–Ale to... to byłoby barbarzyństwo! – zaprotestował Garlath.

–Cholernie skuteczne barbarzyństwo – zauważył Jasak.

–Nie mamy pewności, że właśnie tak zginął Osmuna – sprzeciwił się Garlath ponownie. – W tym cylindrze nie ma odpowiedniej ilości żadnej substancji, która mogłaby wywołać takie skutki...

–To, że nie możemy sobie wyobrazić jak oni to robią, nie oznacza jeszcze, że ktoś inny nie mógł tego wymyślić, półsetniku Garlath – skomentował Jasak.

Garlath poczerwieniał. Jego rumieniec na pobladłej ze strachu twarzy wydawał się jeszcze bardziej intensywny. Jasak zwrócił się do Threbucha.

–Mów dalej, mieczniku – powiedział i Threbuch pokazał inne metalowe cylindry. Dużo większe niż poprzednie, szerokie niemal jak męska dłoń, długie na sześć cali.

–Zostawili tego pełno, cokolwiek to jest, Sir. Znajdujemy je w każdym namiocie. To raczej nie jest broń, ale w tych też coś jest. Jeśli tym potrząsnąć, coś się wewnątrz przelewa.

–Trzęśliście tym? – Jasak zmarszczył brwi. Threbuch parsknął.

–Zanim zdążyłem zareagować zrobił to jeden z żołnierzy. Nie wybuchło i nie rozerwało go, więc to ja musiałem zrobić mu nową dziurę w dupie. Przepraszam pani magister – rzucił okiem na Gadrial i lekko poczerwieniał. – W każdym razie to wydaje się bezpieczne.

–Sprawdźcie, czy da się to otworzyć. Ale nie tutaj. Gdzieś w lesie. Tak na wszelki wypadek.

Kiedy żołnierz wylosowany do tego zadania oddalił się z krótkim mieczem i ponurą miną pomiędzy drzewa Threbuch zaczął mówić dalej.

–Byli tu dopiero od paru dni, Sir. Jeśli wolno mi zaryzykować przypuszczenie to stanowili chyba wysunięty posterunek.

Możliwe, że należący do większego systemu umocnień. Nie wiem co to za ludzie – ale na pewno nie są prymitywni. Widzieliśmy wszyscy co potrafią zrobić z metalu. A to jeszcze nie wszystko.

Miecznik przywołał gestem innego żołnierza, który przyniósł naręczce przykładów.

–Ich ubrania są wysokiej jakości – ciągnął Threbuch podnosząc wyjątkowo solidnie wyglądający materiał. – Jeśli to nie zostało utkane przez maszynę to zjem własne... – przypomniał sobie o obecności Gadrial – własną koszulę.

Magister uśmiechnęła się, czym przyprawiła podoficera o kolejny rumieniec. Spojrzał na dowódcę.

–Wszystkie stroje wyglądają podobnie, Sir – ciągnął ignorując rozbawione spojrzenie setnika Olderhana. – Znaleźliśmy też świetne, maszynowo produkowane wyroby ze skór. Stalowe komplety naczyń, sztucce chowane w zamykanych garnkach. Przybory osobiste, grzebienie i małe szczotki, które wyglądają na produkowane masowo a nie w jakichś wiejskich warsztatach.

–Skoro zostawili nawet naczynia i grzebienie, to rzeczywiście musieli wynosić się stąd w nielichym pośpiechu – mruknął Garlath.

–Co więcej, nie przejmowali się ich stratą – dodał Threbuch – a przypominam, że na odległym końcu łańcucha tranzytowego nie jest łatwo o tego rodzaju rzeczy.

–Być może więc nie są na końcu długiego łańcucha – zauważył cicho Jasak.

Na chwilę zapadła cisza maćona tylko szumem wiatru i szelestem liści.

–Uciekają w stronę tego samego portalu, którego my szukamy – podjął setnik po chwili. – Jestem tego pewien. Porzucili nie tylko cały sprzęt, ale i zwierzęta, które pomogły im go tu przenieść. Zależało im na szybkości – skinął brodą w kierunku krępych, niewysokich stworzeń skupionych w rogu palisady za ogrodzeniem z liny. – Idę o zakład, że po drugiej stronie portalu mają umocnioną bazę. Większą od tego, co widzimy tutaj. Dużą bazę i bez wątpienia liczną załogą.

Miecznik rzucił barwną wiązanekę przekleństw. Po chwili urwał, spojrział po raz kolejny na Gadrial, zaczął przeproszać, ale i tego nie dokończył. Stwierdził widocznie, że są chwilowo ważniejsze sprawy niż gładkie słówka.

–Nie możemy im pozwolić dotrzeć do tego portalu przed nami, Sir – powiedział. – Jeśli się pan nie myli, czyli jeśli dotrą do tamtego większego fortu, to uzyskają nad nami liczebną przewagę. Biorąc pod uwagę to, co zrobili Osmunie bardzo mi się taki scenariusz nie podoba. Ani trochę, kurwa, nie podoba.

Jeszcze raz spojrział na Gadrial, ale tym razem w jego wzroku nie było widać przeprosiny. Miecznik – zazwyczaj twardy niczym smocze łuski – wyraźnie się bał. Kobieta zrozumiała, że nie boi się o siebie. Przeraziła go myśl, że ktoś może zabić ją w tak okrutny sposób, w jaki zabito zwiadowcę. Musiała szybko zamrunąć i odwrócić spojrzenie, by nie zawstydząć żołnierza cisnącymi się jej do oczu łzami.

–Setniku Odlerhan – wtrącił się półsetnik Garlath, zanim Jasak zdołał odpowiedzieć – nie zapominając o analizach miecznika z całym szacunkiem zalecałbym rozwagę i ostrożność. Nieprzyjaciel ma przewagę czasu. Nie znamy także jego liczebności. Idą szybko. Nie są obciążeni Tymczasem my musimy nieść dużą ilość sprzętu, w tym smoki. Obliczenia magister Kelbryan wskazują, że nie mamy szans dogonić ich przed portalem. Jest zbyt blisko. Tymczasem pluton półsetnika Ulthara znajduje się na wybrzeżu, a nie na bagnach. Jest nas zbyt mało.

–I co w związku z tym? – Jasak starał się by jego pytanie nie zabrzmiało zanadto zgryźliwie.

–Moim zdaniem, Sir, pościg byłby aktem nierozwagi. Najrozsądniej będzie wrócić jak najszybciej do obozu na bagnach i wezwać posiłki z wybrzeża. Potem możemy ich śledzić i ścigać na własnych warunkach.

Jasak spojrział na starszego żołnierza. Niedowierzanie zmagало się w nim z wściekłością. Garlath beczelnie wytrzymał jego wzrok. W kącikach oczu półsetnika pojawiły się szpetne, zwycięskie ogniki. Jasak zacisnął zęby tak mocno, że aż poczuł ból mięśni.

Tchórzostwu Garlatha dorównywały jedynie jego niekompetencja i nienawiść do każdego wyższego stopniem oficera. Był przy tym na swój sposób sprytny. Tak cholernie sprytny, że Jasakowi robiło się niedobrze. Wystarczająco sprytny, by zamaskować swój strach przed wszystkim, co przedstawiało sobą choćby cień zagrożenia i zaprezentować go jako rozważną sensowną taktykę.

Jasak Olderhan poczuł jak wzbiera w nim wulkan wściekłości. Zanim jednak nastąpiła erupcja do akcji wkroczyła niespodziewanie Gadrial Kelbryan, która rzuciła się na Garlatha niczym atakujący bazyliżek. W jej migdałowych oczach zagrały błyskawice. Ruszyła na półsetnika, który cofnął się widząc furię w jej twarzy. Wyglądał przy tym niemal komicznie.

–Nie waż się wykorzystywać wyników moich badań, jako wymówki! Chcesz po prostu uciec! – warknęła.

–Magister Kelbryan raczyła mnie niewłaściwie zrozumieć – odpowiedział Garlath tak szybko, że jego słowa zlały się w jeden bełkot. – Nie powiedziałem, że powinniśmy uciekać. Wręcz przeciwnie. To byłoby równie głupie, jak pchanie się na oślep za

obcymi. Zalecam taktyczny odwrót. Tymczasowy manewr, którego celem byłaby koncentracja sił. W rozproszeniu nie możemy stawić czoła wrogowi o nieznannej liczebności i dysponującemu bronią, której działania nie rozumiemy. Nie możemy sobie pozwolić na wejście w zasadzkę. Musimy przeżyć, żeby móc donieść przełożonym o naszym wstrząsającym odkryciu. Sama jest pani jednym z najbardziej cennych magistrów całej Arkany. Jeśli cokolwiek się pani stanie, albo jeśli, bogowie zachowajcie, wpadłaby pani w ich ręce to...

–Wsadź sobie te komplementy! – warknęła Gadrial.

–Pani magister! – Garlath jęknął niemal przymilnie. – Chciałem tylko...

–Dobrze wiem, czego chciałeś! Musiałam przecież spędzić w twoim odrażającym towarzystwie całe tygodnie Shevanie Garlath! Jesteś najbardziej żalonym oficerem, jakiego w życiu spotkałam! Jeden z twoich żołnierzy został zamordowany – zamordowany, cholera! – a ty chcesz uciekać i szukać bezpiecznego schronienia! Na dodatek masz czelność użyć mnie jako wymówki dla swojego tchórzostwa!

Gadrial nagle zdała sobie sprawę, że trzęsie się z wściekłości. Jakąś częścią umysłu zastanowiła się jak dużą rolę odegrał w tym jej własny strach i potrzeba wyrzucenia z siebie negatywnych emocji. Oczywiście wiedziała także, że Garlath zasłużył sobie na każde jej słowo.

–Musimy się przede wszystkim dowiedzieć co się tu tak naprawdę stało – ciągnęła trochę tylko spokojniejszym, lodowatym głosem – i musimy się tego dowiedzieć od razu, zanim sytuacja wymknie się nam spod kontroli, bo jeśli do tego dojdzie, to nie tylko ja znajdę się w poważnym niebezpieczeństwie. Ostrzegam cię, półsetniku Garlath, jeśli cokolwiek złego stanie się przez ciebie magistrowi Halathynowi to znajdę cię. Będę cię ścigać przez tyle pieprzonych wszechświatów, przez ile będę musiała! A kiedy cię już znajdę, skarmię twą nieszczęsną duszą kruki!

Zszokowany Garlath otworzył szeroko oczy. Szybko wtrącił się Jasak.

–Magister Kelbryan, w pełni rozumiem pani niepokój o bezpieczeństwo magistra Halathyna. Proszę mi wierzyć – zależy mi na nim tak samo jak pani. Co do przekazywania wiadomości przełożonym – Jasak spojrział z pogardą na rumieniącego się różnymi barwami Garlatha – do tego mamy brzęczki. Mieczniku. Zajmij się tym. Wyślijcie priorytetową wiadomości do oszczepnika Krankarka w bazie na bagnach i kolejną do Dowodzącego Pięcioma Setkami Kliana na wybrzeżu. Biorąc pod uwagę powagę sytuacji, żądam natychmiastowego zawrótce półsetnika Ulthara i jego plutonu. Jestem pewien że Pięcsetnik Klian zechce poinformować Pięcsetnika Grantyla z bazy Chalar. Zapisać i nadać bezzwłocznie z moją sygnaturą w nagłówku.

–Tak jest, Sir – Threbuch zasalutował słuźbiście i rzucił pogardliwe spojrzenie na

Garlatha, po czym oddalił się do oszczepnika Iggara Shulthana, starszego specjalisty zajmującego się brzęczkami. Jasak patrzył za nim przez chwilę, po czym odwrócił się do wścieklej kobiety nadal mierzącej wzrokiem Garlatha.

–Magister Kelbryan – odezwał się cicho, oficjalnym tonem, czym przerwał jej skupienie i odwrócił jej uwagę od źródła gniewu. – Gdyby mogła pani dołączyć swą własną wiadomość uczyniłaby mi tym pani wielką przysługę. Pani Dary są dużo silniejsze od moich, a chcę, by Pięćsetnik Klian otrzymał tak wyczerpujący raport jak to tylko możliwe.

–Oczywiście – odpowiedziała sztywno. – Cieszę się, że mogę pomóc choć w ten sposób.

Raz jeszcze spojrzała na Garlatha po czym żwawo poszła za miecznikiem w stronę tresera przygotowującego brzęczki. Jasak patrzył za nią przez chwilę. Po chwili zdusił jak umiał własny gniew i zwrócił się do Garlatha.

Nie mógł jednak – choć bardzo chciał – pójść za przykładem Gadrial i nazwać starszego oficera tchórzem. Miała stuprocentową rację, ale to nie miało znaczenia. Garlath wymienił zbyt wiele rozsądnych, fachowo brzmiących powodów, dla których powinni się wycofać. Potrafił dobrze rozgrywać – to Jasak musiał przyznać. Ta konkretna umiejętność – zdolność do prowadzenia nędznych, śliskich gierek stanowiła w oczach Jasaka najgorsze przekleństwo całej armii Arkany. Co gorsza Shevan Garlath posiadał ją do perfekcji.

Nienawiść kumulowała się w Jasaku. Patrzył zimno, spode łba. Garlath mimowolnie cofnął się o kolejny krok.

–Odnotowałem twoje sugestie co do naszych dalszych posunięć, półsetniku Garlath – odezwał się Jasak miotając w rozmówcę każde lodowate słowo niczym głąz – aczkolwiek twoja ocena sytuacji nadal pozostaje niezgodna z moją. Najistotniejsze w tej chwili jest powstrzymanie obcych przed dotarciem do portalu. Nie dążę, cholera, do bitwy, Garlath. Chcę tylko odpowiedzi. Chcę mieć kontrolę nad sytuacją. Dopóki niczego się nie dowiemy, dopóki nie sprawdzimy, co się tak naprawdę stało nad strumieniem nie będziemy wiedzieć niczego. Ponadto, jeśli tamci są tak samo niepewni sytuacji jak my i jeśli przekażą przełożonym, że to my zaczęliśmy, to już nie będzie tylko nieszczęście. To będzie pieprzona katastrofa.

–Jeśli pozwolimy im dotrzeć do portalu – ciągnął Jasak i tej bazy, którą pewnie mają za nim – nie dowiemy się niczego. Nie będziemy już w stanie powstrzymać lawiny. Na Shartahka – jeśli ich nie dogonimy to nie dowiemy się nawet, czy jesteśmy w stanie się z nimi porozumieć. Jedynym rozwiązaniem jakie ja widzę jest odnaleźć ich, zatrzymać i spróbować doprowadzić do ponownego kontaktu. Tym razem w zgodzie z protokołem. Jeśli i to się nie uda będziemy zmuszeni ich wziąć do niewoli i wrócić z

nimi do bazy, gdzie spróbuje się z nimi skomunikować ktoś z dyplomatycznym doświadczeniem, którego żaden z nas nie ma. Jeśli bogowie pozwolą możemy ten pierdolnik naprawić. Rozumiesz mnie, półsetniku Garlath?

Szczęka starszego oficera zadrgała. Spojrzał na Jasaka z mieszaniną strachu, nieposłuszeństwa i nienawiści, które bulgotały w nim niczym jad bazyliuszka. Jasak wątpił, czy uzasadnienie swej decyzji wywrze jakikolwiek skutek, ale musiał przynajmniej spróbować dotrzeć do umysłu tej parodii andarańskiego oficera.

–Rozumiesz mnie? – powtórzył bardzo cicho i Garlath spazmatycznie skinął głową.

–To dobrze – powiedział Jasak cicho. To dobrze, bo czeka nas szybki i trudny marsz. Spodziewam się, że mi w tym pomożesz.

–Tak jest, Sir – odparł Garlath tak delikatnie, że Jasak zdziwił się, że język półsetnika nie roztrzaskał się o zęby.

–Przygotuj więc ludzi do wymarszu w przeciągu trzech minut. Czy mogę założyć, że poradzisz sobie z wykonaniem tego rozkazu, półsetniku?

–Tak jest, Sir – w ciemnych oczach Garaltha pełgała nienawiść. Przez chwilę patrzył Jasakowi prosto w oczy. Potem jednak odwrócił spojrzenie, zasalutował i odwrócił się na pięcie, wyszczekując w kierunku żołnierzy rozkazy.

Po trzech minutach pierwszy pluton był gotów do wymarszu.

Rozdział 7

Jathmar zmarszczył brwi. Zauważył, że Ghartoun chan Hagrahyl i Barris Kassell wymienili chmurne spojrzenia po raz piąty w ciągu dziesięciu minut. Rzucił okiem na Shaylar i zbliżył się do nich.

–Kłopoty? – zapytał cicho. Chan Hagrahyl przytaknął.

–Ktoś nas śledzi.

Żołądek Jathmara wykonał skomplikowane salto. Spojrzał natychmiast na Shaylar i po chwili zmusił się, by ponownie odwrócić wzrok do obu mężczyzn.

–Jesteście tego pewni? – spytał. Tym razem przytaknął Barris.

–Co najmniej od dwóch mil. Nadal są dobry kawałek za nami. Może nas jeszcze nie zauważyli, ale to już tylko kwestia czasu.

–Skąd więc wiecie, że ktoś za nami idzie?

–Patrz – mruknął Ghartoun i wskazał brodą w bok.

Jathmar znowu zmarszczył brwi i spojrzał w kierunku, w którym patrzył Hagrahyl. Tym razem to on mruknął, tyle, że tonem kogoś, kto dostał pięścią w brzuch.

Obok nich przebiegł królik. Nie kicał z miejsca na miejsce, lecz biegł przed siebie. Uciekał. Parę chwil później zobaczył drugiego, potem trzeciego. Także pręgowce uciekały wśród zarośli. Kiedy uniósł wzrok zobaczył umykające w popłochu, w koronach drzew wiewiórki. Wszystkie zwierzęta zmierzały w tym samym kierunku co oni.

Zrozumiał natychmiast i zacisnął zęby. Cholera. Dorastał przecież w tych lasach. Powinien sam to zauważyć, wcześniej od Hagrahyła i Kassella.

„Pewnie byś zauważył, gdybyś nie martwił się tak bardzo o Shaylar” – odezwał się cichy głos w jego głowie.

–Coś je wystraszyło – powiedział i zdał sobie sprawę, że odezwał się niepotrzebnie. Obaj mężczyźni skinęli głowami.

–Według mnie – powiedział Barris, prąc niezmordowanie naprzód – znaleźli nasz ślad i idą tyralierą. Chcą nas okrążyć i odciąć nam drogę ucieczki. Jeśli mam rację to za kilka chwil powinniśmy zobaczyć zwierzęta uciekające w poprzek naszej trasy.

Jathmar skrzywił się nieładnie. Nabrał powietrza by zapytać się, co powinien

zrobić... i właśnie wtedy sporych rozmiarów królik przeciął im drogę mknąc z prawej strony na lewą. Spojrzał za zwierzątkiem i zaklął z pasją.

–Nie dojdziemy do portalu, prawda? – zapytał cicho.

–Nie – Barris Kassell nie patrzył na królika tylko na drzewa, ale odpowiedź znał już wcześniej. – Nie zdążymy.

Jatmar zafrasował się i przygryzł wargę.

–Nie jestem żołnierzem, ale musi być coś, co możemy zrobić. Coś co ja mógłbym zrobić. Jakies pomysły?

Chan Hagrahyl także obserwował las. Słyszając Jathmara odwrócił się ku niemu i spojrzał ołowianym wzrokiem.

–Niewiele możemy. Możemy tylko poszukać miejsca w miarę nadającego się do obrony. Tyle, że tutaj takich miejsc nie ma. Tylko las. Nie ma pagórków, nie ma strumieni, przełęczy. Dokoła same drzewa. Bogowie jedyni raczą wiedzieć ilu ich jest. Nie wiemy też co zamierzają zrobić, kiedy już nas okrążą.

–Mamy cztery możliwości – dodał Barris Kassell zniżając głos i obrzucając spojrzeniem okoliczny las. – Możemy iść dalej, a nawet spróbować przyspieszyć. Oddalimy się od nich na jakiś czas, zwłaszcza, że my wiemy dokąd idziemy, a oni nie. Nie możemy jednak biec aż do portalu; nadal mamy przed sobą dzień forsownego marszu. Moglibyśmy też znaleźć jakiś punkt oporu, ale Ghartoun ma rację. W tym terenie to możemy się co najwyżej okopać. Ukryć się też nam nie uda. Nie przed wprawnymi tropicielami, a dopadli nas w tak krótkim czasie, że nie mam wątpliwości, że nie śledzą nas amatorzy.

–Czyli ucieczka, czekanie na nich, albo ukrycie się. Jaka jest czwarta możliwość? – zapytał Jathmar, któremu nie podobała się żadna z dotychczasowych.

–Moglibyśmy zawrócić i uderzyć na nich – powiedział Kasell. – Wątpię, czy się tego spodziewają. Zyskalibyśmy element zaskoczenia. Przynajmniej na samym początku.

–Myślałem i o tym – zgodził się chan Hagrahyl – ale takie rozwiązanie ma kilka poważnych wad. Nie wiemy, na przykład, jak znaczną przewagę liczebną mają nad nami. Po drugie, nie mamy nieskończonych zapasów amunicji. Biorąc pod uwagę ilość zwierząt, które płoszą nie jest ich mało. Mogłoby nam nie wystarczyć.

–Mogę wziąć Fanthiego – powiedział bardzo cicho Kasell – może też Rilthana i Elevu. Wzielibyśmy ze sobą zapas naboju. W takim terenie – wskazał ruchem głowy na drzewa – trzech lub czterech doświadczonych wojaków mogłoby sprawić nieliczne kłopoty bandzie facetów z kuszami.

–Ale Ghartoun powiedział, że... – zaczął Jathmar. Nie dokończył jednak zdania. Przerwał mu chan Hagrahyl.

–On nie mówi o oporze, Jathmar. Chciałby ich spowolnić, zmusić do zapadnięcia w ukrycie i marnowania czasu. Co więcej – ma rację. Czterech ludzi potrafi sprawić cholernie poważne kłopoty, ale – Ghartoun zwrócił oczy na Kasella – myślę, że nie tak duże, jakbyśmy tego chcieli. Nie zyskalibyście dla nas czasu na dotarcie do portalu. Poza tym, jednak mimo wszystko was lubię.

–Nas jest czterech... pomyśl o tych wszystkich cywilach – odpowiedział cicho Kasell. Jathmar przełknął głośno ślinę. Zrozumiał, że Kasell spierał się z przełożonym, o pozwolenie na misję samobójczą.

–Myślę.

Przez chwilę na obliczu Ghartouna chan Hagrahyla malowały się naraz determinacja i rozpacz. Pokręcił jednak głową.

–Nie – powiedział. – Nie zgadzam się. I to nie tylko dlatego, żebyś nie mógł się zabić, Barris. Nadal nie wiemy, co się tam stało, Barris. Zaczynam się zastanawiać, czy oni to wiedzą. Biorąc pod uwagę tempo w jakim udało się im nas dogonić, nie szli od razu za Falsanem. A i Falsan nie mógł przecież poruszać się zbyt szybko z tym cholernym bełtem w boku. Mam wrażenie, że i oni musieli znaleźć jednego ze swoich. Może rannego, a może też martwego. Ich opóźnienie mogło się wziąć stąd, że udzielali mu pierwszej pomocy. A kto wie? Może musieli go szukać po tym jak usłyszeli strzał! To by wyjaśniało ich opieszałość w śledzeniu Falsana.

–Mówisz, że to mógł być po prostu... nieszczęśliwy wypadek? Nieporozumienie? – zapytał z niedowierzaniem Kasell.

–Twierdzę, że to jedna z możliwości. A nawet, jeśli prawda wygląda inaczej, to jak dotąd straciliśmy tylko jednego człowieka, a oni być może nikogo. Nadal istnieje więc szansa, że uda się to wszystko jakoś załagodzić bez dalszego rozlewu krwi. A żeby ich powstrzymać, musiałbyś do nich strzelać z zasadzki. Coś takiego jeszcze tylko zaogniłoby sytuację.

Przez moment wydawało się, że Kasell chce się nadal spierać. Po chwili jednak mruknął coś ponuro i skinął głową.

–Co więc robimy? – zapytał Jathmar.

–Okopujemy się – oznajmił chan Hagrahyl tonem człowieka, który właśnie podjął bardzo trudną decyzję. – Jathmar? Czy może Widziałeś gdzieś dokoła cokolwiek, jakieś miejsce, które moglibyśmy wykorzystać?

–Nie wiem. Nie wydaje mi się, ale Spojrzę jeszcze raz.

–O nic więcej nie proszę.

Jathmar badał już tę okolicę, kiedy zmierzali w przeciwną stronę. To mu teraz pomogło. Jary i niskie, falujące wzgórza rozciągały się na długie mile, skryte przed zwykłym spojrzeniem wśród gęstych zarośli. Teren obserwowany wewnętrznym wzrokiem łatwo jednak odsłaniał swe tajemnice. Niestety. Nie znalazł ani jednego miejsca, które mogło dać im szansę stworzenia dobrego punktu oporu.

Zamrugnął wracając z powrotem do swego ciała. Chan Hagrahyl z niepokojem spojrzał mu w oczy.

–Czy... – zaczął dowódca i urwał nagle, kiedy wspaniały jelen – dziesiątak – przemknął na skos ich trasy. Zwierzę biegło z lewej na prawą stronę.

–Nie, Ghartoun – Jathmar pokręcił głową. – Przykro mi.

Idący w przodzie Fanthi chan Himidi skrzył nagle na lewo, dając jednocześnie pozostałym sygnał, by pozostali na miejscach. Poruszał się zwinnie i cicho. Jak duch zniknął pomiędzy pniami.

Jathmar zamarł. Serce mu łomotało, oddychał ciężko. Chwycił dłoń Shaylar. Poczuł jak drżą jej długie palce. Oboje bardzo potrzebowali tego dotyku. Spojrzała smutno w oczy męża. Jathmar spróbował odpowiedzieć uśmiechem, ale kobieta z łatwością odczytała jego prawdziwy stan ducha poprzez łączącą ich więź.

Chwilę później pomiędzy drzew wychynął Fanthi. Podbiegł prosto do chan Hagrahyla.

–Jest tu polana, na której moglibyśmy się zatrzymać. Wygląda tak, jakby osiadło tam tornado, jakiś rok temu. Pełno powalonych drzew. Splątana roślinność, pnie wielkości świątynnych kolumn. Jest się gdzie schować i jest też dobra osłona. Lepszego miejsca nie znajdziemy.

Nawet Jathmar wiedział na czym polega różnica pomiędzy „osłoną” a „miejscem do schowania się”. Osłona to coś, co zapewnia fizyczną ochronę przed pociskami. Tarcza. Miejsce do schowania po prostu chroniło przed wzrokiem nieprzyjaciela; gruby pień drzewa z powodzeniem spełniał jednocześnie obie role.

Chan Hagrahyl popatrzył przez chwilę na chan Himidiego, po czym skinął głową.

–Idziemy tam – zdecydował i podniósł głos. – Słuchajcie, wszyscy. Idziemy za Fanthim. Ruszać się!

Miejsce znalezione przez chan Himidiego rzeczywiście było świetne. Polana rozciągała się na nieco ponad akr. Wicher jakiś czas temu powyrywał z korzeniami wiekowe drzewa i powalił je niczym chrust. Połamane leśne giganty sterczały z ziemi niczym ostrza noży. Niewielkie gałęzie wiatr powbijał w te drzewa, które oparły się żywiołowi. Sterczały z nich teraz jak gwoździe. Cała polana usiana była pniami, których konary wryły się przy upadku w podłoże.

–Wiemy, że zbliżają się do nas z trzech stron – powiedział cicho chan Hagrahyl. – Zapadniemy tam – wskazał ręką stos potrzaskanych drzew po drugiej stronie polany. – Chcę mieć tu dobre pole ostrzału. Na wypadek, gdyby ci dranie zaszli nas z tyłu ktoś musi pilnować naszych tyłków.

–Ja was zabezpieczę. Wy tymczasem zajmijcie pozycje – zgłosił się chan Himidi. Mówił przez zaciśnięte zęby.

–Zgoda – przytaknął chan Hagrahyl. – Słuchajcie wszyscy! Nie strzelać bez mojego wyraźnego rozkazu! Zrozumiano? Niech nikt nie strzela! Wiem, że wszyscy chcemy pomścić śmierć Falsana, ale mamy do czynienia z uzbrojonymi i niebezpiecznymi ludźmi. Jeśli zostaniemy zmuszeni do walki, to będziemy walczyć, ale najpierw spróbujemy załatwić wszystko tak, żeby nikt już nie musiał zginąć. Rozumiecie, co do was mówię?

Wszyscy obecni skinęli zgodnie. Jedna czy dwie osoby mniej chętnie niż inni. Dowódca uśmiechnął się.

–To dobrze – ciągnął. – Kryć się i okopać.

Zajęli pozycje w zupełnej ciszy. Zwrócili się ku południu, w stronę, z której spodziewali się nadejścia głównych sił wroga. Jathmar wraz z Shaylar zapadli pod wielki, czarny pień orzecha. Powalone drzewo miało prawie pięć stóp średnicy i tworzyło solidną zaporę. Lepszej osłony nie mogli znaleźć. Z olbrzymia sterczały gałęzie grubsze niż pierś dorosłego mężczyzny. W razie wymiany ognia mogły się przydać do oparcia karabinu.

Tymo Scleppis zapadł w ukryciu po lewej stronie Jathmara, bliżej środka formacji. Uzdrowiciel otworzył torbę. Szykował się na wypadek, gdyby jego umiejętności okazały się potrzebne. Rilthan – ich najlepszy snajper – podczołgał się z prawej strony Shaylar. Rusznikarz był jedynym członkiem zespołu uzbrojonym w nowy ternathiański karabin iglicowy Model 10. W magazynku tej broni mieściło się dziesięć naboju. Nie odezwał się ani słowem. Rzucił tylko przelotne spojrzenie na Shaylar, a potem zwrócił wzrok ku Jathmarowi. Zrozumieli, że nie wybrał sobie miejsca przypadkiem. Jathmar poczuł jak ściska go w gardle. Skinął głową towarzyszowi, który postanowił chronić jego kobietę.

Dalej za Rilthanem zajął miejsce Divis, adiutant Hagrahyła, ciemnoskóry Ricathianin, który trafił do zespołu prosto ze szkoły średniej. Nie miał jeszcze dziewiętnastu lat, a jego twarz swą barwą przywodziła na myśl bardziej popiół wygaszonego paleniska, niż – jak zazwyczaj – czekoladę. Próbował przeładować karabin. Trzęsły mu się ręce. Poganiacze zajęli pozycje na flankach. Było ich jednak tylko pięciu na każdej stronie.

Jathmar wpełził na jedną z grubych gałęzi. Stąd mógł strzelać bezpośrednio ponad pnem, który był za wysoki, nawet kiedy przy nim stał. Powalony orzech opierał się na ziemi na grubych gałęziach, dzięki czemu między nim a ziemią utworzył się niezbyt szeroki prześwit. Shaylar położyła się na brzuchu za jednym z konarów, który zapewniał jej osłonę, a jednocześnie umożliwiał w razie potrzeby prowadzenie ognia pod pnem martwego drzewa.

Zajęli się sprawdzaniem uzbrojenia. Jathmar wyciągając z plecaka pudełko z amunicją zrozumiał, że wyszedł z wprawy. W ciągu swego życia wystrzelił setki razy z karabinu Model 70. Tysiące razy przychodziło mu strzelać z broni innego rodzaju. Polował dla przyjemności, polował także, by zdobyć pożywienie. Kilka razy miał do czynienia z bandytami, zdesperowanymi wyrzutkami społeczeństwa. Nigdy jednak nie brał udziału w prawdziwej, regularnej walce i teraz, kiedy ta ewentualność stawała się coraz bardziej realna jego dłonie zaczynały odmawiać posłuszeństwa.

Wyciągnął z kabury swój HW. Zacisnął palce na jego drewnianej, wzbudzającej zaufanie i dającej poczucie bezpieczeństwa kolbie. Był to duży, siedmiostrzałowy rewolwer kalibru.44.

Kurek trzeba było odciągać przed każdym strzałem. Mimo tej niedogodności była to zabójczo precyzyjna broń, cechująca się niezwykłą siłą.

Shaylar nie mogła skutecznie korzystać z tak ciężkiej i nieporęcznej broni. Przy boku nosiła więc Polshanę – o wiele mniejszy i lżejszy rewolwer kalibru.35. W odróżnieniu od HW Polshana była wyposażona w samonapinający się zamek. Rilthan spędził swego czasu długie godziny przystosowując broń do potrzeb Shaylar. W magazynku czekało sześć kul – o jedną mniej w porównaniu z HW, lecz kobieta miała ze sobą cztery ładowniki. Jathmar zobaczył, że Shaylar wsuwa je do prawej kieszeni kurtki.

Jathmar wyjął bębenek swojego HW i załadował, wkładając nabój nawet do komory, którą zazwyczaj zostawiał pustą, żeby bezpiecznie spoczywała w niej iglica. Wsunął rewolwer z powrotem do kabury i rozłożył wokół siebie ostatnie z pudełek z amunicją. Poniżej to samo robiła Shaylar. Ze swego lekko wzniesionego nad ziemią punktu obserwacyjnego Jathmar widział jak reszta zespołu zajmuje miejsca pomiędzy leżącymi dokoła, martwymi drzewami.

Kiedy wszyscy już zajęli pozycje Fanthi chan Himidi wrócił ze swego posterunku, z

którego wypatrywał nadciągającego z południa pościgu. Zapadł w kryjówkę, za pozostałymi i zajął się obserwowaniem północnej ściany lasu, na wypadek, gdyby napastnicy zaszli ich i od tej strony i zamknęli pułapkę. W samym środku formacji Jathmar zobaczył chan Hagrahyla wciśniętego pomiędzy dwa pnie, które zderzyły się ze sobą padając na ziemię.

Braiheri Fulhai z wyraźnym przerażeniem w oczach odczołgał się jak mógł najdalej od prawdopodobnej linii ognia i nie robił nic, by przygotować się do obrony. Elevu Gitel przycupnął pomiędzy Hagrahylem a Jathmarem. Geolog ładował swój karabin w ponurym milczeniu. Jathmar spojrzął w przeciwnym kierunku i niecały jard za Rilthanem dostrzegł Barrisa Kasella.

Nikogo innego nie widział. Uznał to za dobry omen. Cały zespół czekał w zasadzce. Czekali na ruch przeciwnika.

* * *

Shevan Garlath nigdy wcześniej nie widział miejsca bardziej nadającego się na zasadzkę.

Przyglądał mu się jak zahipnotyzowany. Patrzył na polanę pełną powalonych drzew, najwyraźniej wskutek niedawnego przejścia tornado. Cała przecinka zarzucona była poskręcanyymi, połamanymi odłamkami drzew, gałęziami, pniami, grubymi konarami, które ostro sterczały w górę niczym pazury bazyliuszka.

Wiedział, że musi zbadać tę polanę.

Musiał wejść w ten śmiertelny labirynt i przetrząsnąć każdy jego zakamarek.

Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że ci, których ścigali także tam weszli. Trop był aż nadto wyraźny – nawet on bez trudu go widział. Ptasie sygnały zwiadowców, okrążających polanę dawały do zrozumienia, że uciekinierzy nie poszli dalej. Pytanie brzmiało: Dlaczego się tu zatrzymali... i co chcieli teraz zrobić.

Co gorsza, ze wszystkich tysięcy żołnierzy rozrzuconych wzdłuż tego ciągnącego się przez wiele wszechświatów, zapomnianego przez bogów i ludzi, łańcucha tranzytowego, to jemu właśnie przypadło zadanie udzielenia odpowiedzi na to pytanie. To on musiał się dowiedzieć, czy te skurwysyny, które zabiły Osmunę – tego leniwego, bezustannie zasypiającego na służbie, smoczego wypierdka – miały zamiar zabić kogoś jeszcze. Garlath przeklął poległego i żałował, że nie udało mu się znaleźć żadnego sposobu na wywinięcie się od tego obowiązku. Gdyby tylko mógł, wysiałby przodem kilku ludzi, a sam zostałby pod bezpieczną osłoną lasu.

Niestety. Obserwował to ten pieprzony setnik Olderhan. Zarówno nazwisko, jak i szarża oficera kłuły go boleśnie. Dupek obserwował go i czyhał z zaciśniętymi

kciukami, aż on – Garlath coś schrzani. Regulamin – i tradycja – były jasne: Dowodzący Pięćdziesięcioma musiał iść ze swym plutonem. Musiał być w samym centrum wydarzeń, by – zwłaszcza w takim jak ten terenie – koordynować poczynania żołnierzy i bezzwłocznie reagować na zmiany sytuacji.

Garlath przeklął regulamin i oficerów, którzy go pisali. Przeklął też „braterskie” zasady andarańskiej armii wraz z sędziami, którzy ustanowili kary za nieprzestrzeganie regulaminu... Na koniec, z soczystością i inwencją, którą zaskoczył samego siebie, przeklął Sir Jasaka Olderhana, który przyszedł na świat ewidentnie w jednym, jedynym celu – poniżania Garlatha samą swą obecnością.

Złoty Synalek Diuka nie mógł się przecież mylić. W tej sytuacji Garlathowi nie pozostawało nic innego, jak wypełnić swój obowiązek w sposób, który sprawi, że Olderhanowi pójdzie w pięty.

Zacisnął zęby. Miał gorzką świadomość, że nie będzie to łatwe. Olderhan miał piekielne szczęście – nie mówiąc o tym jego cholernym pochodzeniu. Na to jednak nikt nie mógł już nic poradzić. Garlath musiał w milczeniu i posłusznie wypełniać rozkazy tego drania.

* * *

–Pamiętaj – powiedział Jasak starając się mówić spokojnie i rzeczowo – Chcemy opanować tę sytuację. Wiemy, że obcy gdzieś tam są i nie możemy dopuścić, żeby choć jeden z nich się nam wymknął. Nie chcę jednak żadnej strzelaniny. O ile to możliwe.

Spojrzał na Garlatha, próbując zmusić go tym spojrzeniem do zrozumienia swych słów.

–Zrozum mnie, pólsetniku. Spoczywa na nas odpowiedzialność, za życie naszych żołnierzy, ale przede wszystkim odpowiadamy za bezpieczeństwo Unii. Nie możemy dopuścić, by przez naszą nieostrożność sprawa wymknęła się spod kontroli. Nie możecie strzelać. Nie jako pierwsi.

Garlath patrzył setnikowi prosto w oczy. Pot perlił mu się na twarzy. Jasak wyraźnie czuł sprzeciw kłębiący się, wzbierający niebezpiecznie za jego zaciśniętą szczęką.

–Rozumiem twój niepokój o bezpieczeństwo ludzi – powiedział nadal starając się nadać rozmowie rzeczowy przebieg, choć obaj dobrze wiedzieli, o czyje bezpieczeństwo troszczy się Garlath najbardziej. – Żaden oficer nie lubi wydawać podobnych rozkazów. Niemniej, ja wydaję ci takie właśnie, a nie inne polecenie i ty je wypełnisz, pólsetniku Garlath. Z drugiej strony rozumiem też, jeśli stwierdzisz, że nie jesteś w stanie wydać tego rozkazu swym ludziom w obecnej sytuacji. Jeśli tak, to przejmę bez konsekwencji dowodzenie nad plutonem, a wraz z nim wezmę na

siebie odpowiedzialność za ewentualne ofiary.

Jasak wyczuł, jak stojąca obok miecznika Threbucha Gadrial spina się w sobie. Nie oderwał jednak spojrzenia od Garlatha. Patrzył mu głęboko w oczy, niemal błagał starszego oficera o przyjęcie propozycji. Jasak nie miał ani trochę większej od niego ochoty wychodzić na usianą powalonymi leśnymi olbrzymami polanę, lecz chciał umożliwić Garlathowi uniknięcie tego, czego najwyraźniej bardzo się bał.

*** * ***

Shevan Garlath jakimś cudem zdołał nie spojrzeć zbyt bezczelnie na tego nadgorliwego, świętoszkowatego drania, który stał tuż przed nim. Przejmie dowodzenie! Bez konsekwencji! Jasne! I on – Garlath – miał w to uwierzyć? Gdyby zrezygnował teraz z „zaszczytu” wejścia w ten labirynt, mógłby uznać swą karierę za zakończoną. Bez względu na to, co Olderhan zapowiadał na pewno umieściłby w raporcie notatkę o „tchórzostwie w obliczu wroga”. Gdyby przystał na tę propozycję, dostarczyłby tylko Olderhanowi kolejnego argumentu.

Tchórzostwo w obliczu wroga było najcięższą zbrodnią jaką popełnić mógł żołnierz. Sądy polowe zawsze karały ją śmiercią.

„Poza tym” – myślał Garlath – „on świetnie rozumie, że do historii przejdzie ten, kto będzie dowodzić plutonem w momencie nawiązania kontaktu z obcymi. Przejmując teraz dowodzenie polepszyłby jeszcze swoje notowania.”

–Nie, Sir – powiedział zachrypniętym głosem Garlath. – To mój pluton i ja to zrobię.

*** * ***

Jasak zmełł w ustach jadowite przekleństwo. Garlath odrzucił propozycję. I była to decyzja nieodwołalna. Nawet setnik nie mógł jej już zmienić. Osobiście był święcie przekonany o przerażeniu jakie ogarniało właśnie Garlatha, ale nie był w stanie podać na to żadnego namacalnego dowodu. Poza tym – półsetnik miał rację, pluton był jego i zarówno według prawa wojskowego Unii jak i andarańskiego kodeksu honorowego Jasak musiał pozostawić mu dowództwo, chyba, że sam poprosiłby o złuzowanie lub otwarcie pogwałcił zasady regulaminu.

–Bardzo dobrze, półsetniku Garlath – powiedział lodowato. – Znasz rozkazy. Powodzenia.

*** * ***

Garlath zacisnął zęby tak mocno, że poczuł ból aż w szyi. Skinął głową Gaytharowi Harklanowi. Tarczowy drugiej drużyny przytaknął w milczeniu i ruszył naprzód. Powoli i ostrożnie. Drużyna kuszników rozproszyła się w tyralierę.

Garlath poszedł za nimi. W mokrych od potu dłoniach ścisnął gotową do strzału kuszę. Drużyna posuwała się z wolna, skrupulatnie przeszukując każdy stos gałęzi, który mógł posłużyć uciekinierom za kryjówkę. Półsetnik wyraźnie czuł pod bluzą każde uderzenie swojego serca. Biło jak młotem.

Kimkolwiek nie okażą się ci dranie, skądkolwiek się w tym lesie nie wzięli – Shevana Garlatha nie dorwą.

*** * ***

Shaylar obserwowała ludzi wchodzących na polanę zza zasłony dawno już ogołoconych z liści gałęzi.

Kłopoty zwiastował już sam ich wygląd. Poważne kłopoty. Obcy ubrani byli w mundury wyglądające na wojskowe, praktyczne i przystosowane do poruszania się w trudnym terenie. Wyglądali przy tym tak dziwnie, tak nie na miejscu, że musiała zmuszać się z wysiłkiem by skupić się na tym co robili, i nie zwracać zbytnej uwagi na ich strój i anachroniczne uzbrojenie.

Ich średniowieczna broń nadawała im pozór aktorów odgrywających jakieś terenowe przedstawienie... wrażenie to zniknęło jednak po bliższym przyjrzeniu się ich spojrzeniom. Nawet stąd, z odległości pięćdziesięciu jardów widziała w ich oczach, że byli to ludzie zdolni do posługiwania się najzupełniej prawdziwą, bardzo konkretną przemocą. Shaylar nie wychowywała się co prawda wśród żołnierzy, ale odkąd uczestniczyła w wyprawach badawczych zdążyła się im już wystarczająco dobrze przypatrzeć.

Zdecydowanie i zimna determinacja na twarzach obcych wyglądała przerażająco znajomo. Kobieta zadrżała.

Szukali dokładnie. Nie mógł się im wymknąć nawet królik. W kilku przypadkach zupełnie dosłownie. Kilka puszystych stworzeń wypadło w panice ze swych kryjówek, kiedy uzbrojeni w miecze – najprawdziwsze w świecie, ostre miecze – dźgali nimi w jamy i wykroty nawet tak małe, że nie zmieściłby się w nich żaden człowiek starszy od sześciolatka.

Widok każdego przerażonego zwierzęcia pogarszał jeszcze stan psychiczny Shaylar. Po reakcjach żołnierzy, zwłaszcza tego, który szedł nieco z tyłu i najwyraźniej dowodził całym oddziałem, widziała, że byli nie mniej od niej zdenerwowani. Na jakimś prymitywnym poziomie emocji Shaylar cieszyła się, że zabójcy też się ich boją. Chłodny głos zdrowego rozsądku podpowiadał jej jednak, że ten strach może okazać się wkrótce bardzo niebezpieczny.

Obcy zbliżali się nieustannie i po krótkiej chwili znaleźli się niecałe trzydzieści jardów od jej kryjówki. Przeczesywali polanę metodycznie, z zatrważającą wręcz

dokładnością. Tylko kwestią czasu było, zanim jeden z tych ponurych żołnierzy dźgnie mieczem w kolejną kępę zarośli i ostrze brzęknie o lufę karabinu Shaylar lub któregoś z jej towarzyszy. Bała się ruszyć choć głową. Nie spojrzała nawet na Jathmara ani Ghartouna chan Hagrahyla. Ledwie tylko oddychała. Obcy podeszli już bardzo blisko.

O tym samym myślał chan Hagrahyl. Kiedy najbliższy z żołnierzy, z mieczami znalazł się o dwadzieścia metrów od ich pozycji, Ghartoun wstał.

Bez karabinu. Nie miał w ręku nawet pistoletu. Po prostu wstał. Shaylar Nargra-Kolmayr nigdy wcześniej nie była świadkiem równie odważnego czynu.

–Wybaczcie, ale taka odległość chyba nam wystarczy – powiedział tonem człowieka, który rozmawia z własną babcią, a nie oddziałem uzbrojonych, obcych żołnierzy, którzy całkiem niedawno zamordowali jego przyjaciela.

Ręce wyciągnął przed siebie. Puste. Bezbronne. Chciał im pokazać, że nie ma złych zamiarów. Wszyscy żołnierze na polanie jak jeden mąż zwrócili się ku niemu i zamarli. Patrzyli na dowódcę zespołu szeroko otwartymi oczyma. Ich wzrok przesunął się z pustych dłoni na uśmiechniętą przyjaźnie twarz chan Hagrahyla. Dwóch lub trzech z nich skryło się za pobliskimi pniami. Żaden jednak nie poruszył się w stronę człowieka, o którym Shaylar myślała, że jest dowódcą.

Wtedy, nagle, zdała sobie sprawę, że tylko on jeden nie zamarł.

* * *

Głos wykrzykujący jakieś bełkotliwe, niezrozumiałe słowa przeppełnił Garlatha najgłębszym strachem. W tej samej chwili jego umysł zakrzyknął: „Wróg!”. Szwargocący w swoim narzeczu obcy wychynął gwałtownie z ukrycia. Najpewniej szykował się by zaatakować ich jakąś tajemniczą, zabójczą bronią. A żaden z tych kretynów z drugiej drużyny nawet nie drgnął!

Przerażenie, niczym atakujący bazyliszek zacisnęło swe szpony na gardle Garlatha. Mimo to, poczuł przepełniającą go nagle ekscytację.

„Mam go! Jest mój! Nie Olderhana! Mój i tylko mój!” – przemknęło mu przez myśl.

Niczym smoczy płomień ogarnęły go wizje chwały, awansu, uwielbienia całej Arkany. Ciepło rozlało się po nim od stóp do głów. Uniósł broń.

* * *

Jasak zobaczył jak w momencie, kiedy pokazał się obcy drgnęła kusza Garlatha. Obcy zawołał coś przyjaźnie. Setnik patrzył jak kusza starszego oficera powoli

kieruje się w kierunku źródła głosu.

–Nie strzelać! – krzyknął – Nie strzelać półsetnikowi Garlath! Nie strzelaj kurwa mówię!

Polanę przeszył dźwięk zwalnianej cięciwy.

*** * ***

Bełt trafił chan Hagrahyla dokładnie w gardło.

Jathmara dobiegł z dołu rozpaczliwy krzyk Shaylar. Jej wołanie doskonale odzwierciedlało jego własne przerażenie. Krew chlusnęła na pień, rozlała się potwornym strumieniem po dłoniach Hagrahyla, który, dławiąc się krwią i stalą, instynktownie chwycił za pocisk. W następnej chwili padał już do tyłu na ziemię.

Jathmar warknął wściekle i podrzucił karabin do ramienia. Ubiegł go jednak Barris Kasell, którego broń już wypaliła. Huk wystrzału zabrzmiał niczym zwiastun zagłady. Drań z kuszą w ręku drgnął. Mgnienie oka potem uderzyła w niego kula Jathmara. Sekundę później strzelali już wszyscy.

*** * ***

Sir Jasak Olderhan patrzył w przerażeniu. Światem zatrzęsły gromy. Ogluszające trzaski rozlegały się co chwila a on nie widział nawet tej broni. Ani broni, ani używających jej ludzi. Znad kilku pni uniosły się niewielkie kłęby dymu. Z ciała Dowodzącego Pięćdziesięcioma tryskały fontanny krwi. Pociski bijące w ciało Garlatha wyrywały z jego pleców kawały mięsa, zmieniając żołnierza w krwawy strzęp.

Półsetnik padł. Zanim Jasak zdołał jakkolwiek zareagować tyraliera, którą dowodził tarczowy Harklan odpowiedziała ogniem. Żołnierze unieśli kusze i zaczęli strzelać w kłęby dymu – jedyny cel, jaki widzieli. Wtedy zawrzało na całej polanie.

Rozdział 8

Darcel Kinlafia bardzo się martwił.

Pierwsza wiadomość od Shaylar – krótka i pełna niepokoju – była tak niezwykła, że aż niewiarygodna, zwiastowała zbyt wielkie niebezpieczeństwo, by wywołać inne uczucie niż lodowate przerażenie, a przy tym była zbyt precyzyjna, by mógł w nią wątpić. Shaylar przesłała mu nie tylko wiadomość od chan Hagrahyla, lecz także obrazy. Widział ją wpadającą do strumienia, widział jak patrzy na umierającego w jej ramionach Falsana. Darcel poczuł wszystko to, co ona poczuła. Chciał kogoś zabić. Chciał zacisnąć dłonie na gardle tego, kto zabił Falsana i zmusił Shaylar do przejścia przez to wszystko.

Najgorsze jednak okazało się poczucie bezradności. Darcel nie potrafił im nijak pomóc. Nawet, gdyby kapitan Halifu wyruszył wraz z całą załogą nieukończonego jeszcze fortu, nawet gdyby zrobił to natychmiast, to i tak Shaylar i Jathmar, Barris i Ghartoun – wszyscy ci ludzie, którzy przez ostatnie lata zdążyli stać się jego rodziną – znajdowali się po prostu zbyt daleko.

W takim nastroju krążył po pustym obozie. Unikał towarzystwa, nie chciał rozmawiać nawet z żołnierzami, z kompanii Halifu. Miał wrażenie, że obecność innych ludzi byłaby dla niego tym, czym jest sól dla świeżej rany.

„To moja wina” – pomyślał gorzko. Wiedział co prawda – w momentach, w których udawało mu się myśleć rozsądnie – że nie jest odpowiedzialny za to, co dzieje się tam, za portalem, ale to przecież on ich tam wysłał. Darcel Kinlafia nie był po prostu Głosem – był także Ogarem Portali.

Nie była to oficjalna nazwa jego pomniejszego Talentu, ale tak wszyscy nazywali podobnie uzdolnionych ludzi. Nie odkryto do tej pory metody na lokalizację portali, a każdy Ogar posiadał umiejętność wyczuwania tego tajemniczego zakłócenia w porządku wszechświata, które portale wywoływały samą swą obecnością. Ogary nie potrafiły podać dokładnych liczb – nie byli w stanie ustalić odległości i sklasyfikować znaleziska, ale wszyscy oni – tak jak Darcel – potrafili podać dokładny kierunek, w którym leżał portal. Ogar po prostu „wiedział” dokąd iść. Nie miał pojęcia jak daleko, ale bezbłędnie wskazywał drogę do najbliższego portalu.

Co też nie zawsze się sprawdzało. Większe portale mogły wydawać się Ogarem bliższe niż te mniejsze, ale za to położone w mniejszej odległości. Mimo to Ogar był jeszcze cenniejszym nabytkiem dla każdego zespołu badawczego niż Kartograf z Talentem o mocy Talentu Jathmara.

To właśnie Darcel wykrył wielki portal, który przyciągnął ich do tego wszechświata. To Darcel stwierdził, że natknęli się na element skupiska, za którym tu

przywędrowali.

I to on – Darcel Kinlafia wysłał ich w stronę najbliższego (a może największego) portalu w pobliżu, wprost w czekającą tam, w zasadzce śmierć, która zdążyła już pochłonąć Falsana.

„Przestań!” – napomniął się w duchu – „Ghartoun jest jednym z najbardziej doświadczonych ludzi w całym tym interesie. Wie jak sobie poradzić nawet w tak trudnej sytuacji. Nic im nie będzie. Na pewno nic im się nie stanie. Zmiłuj się Shalano, spraw, by wrócili cali i zdrowi!”

Wiadomość od Shaylar przekazał już dalej. Właśnie teraz mknęła wzdłuż łańcucha tranzytowego. Od telepaty do telepaty, od portalu do portalu, ze wszechświata do wszechświata. Dziesiątki, setki Głosów przekazywały jedną, paniczną wiadomość.

Ostrzec macierzysty świat!

Zarząd Portali nie był instytucją powołaną do radzenia sobie z podobnymi sytuacjami. Rozważano co prawda i taką ewentualność, ale nigdy z pełną powagą. Nigdy w ciągu osiemdziesięciu lat eksploracji multiwersum. Dzięki bogom przy każdym portalu zbudowano fort. Centralnych, nawet bardziej odległych, węzłów łańcucha strzegły jeszcze większe bazy. Ich zadaniem od zawsze było jednak wyłącznie zabezpieczanie przejść między wszechświatami przed niebezpieczeństwami grożącymi od wewnątrz. Chroniły osadników i zespoły badawcze przed zwykłymi bandytami. Możliwość zdarzenia takiego jak to, z którym mieli teraz do czynienia, do tej pory traktowano czysto teoretycznie i z każdym kolejnym postępem eksploracji, kiedy nadal nie napotymano żadnych świadectw istnienia innych ludzkich cywilizacji, uważano ją za coraz mniej realną.

Gdy tylko odebrał wiadomość od Shaylar, przeszedł na drugą stronę portalu, by przekazać ją dalej, po czym odszukał kapitana Halifu i porozmawiał z nim osobiście. Grafin Halifu wysłał kapitana Hulmoka Arthaga wraz z połową plutonu kawalerii – jedyne go pozostającego pod jego rozkazami – by odnalazł cywilów z zespołu i odeskortował ich na czas w bezpieczne miejsce.

Darcel prosił – niemal błagał – o pozwolenie wyruszenia z tym oddziałem. Halifu zabronił. Darcel, choć niechętnie, musiał zgodzić się z tą decyzją. Był jedynym Głosem, jakiego Halifu miał do dyspozycji. Mógł okazać się niezbędny w razie jakiegokolwiek zagrożenia. Gdyby coś złego spotkało Darcela, Halifu straciłby kontakt z resztą łańcucha tranzytowego.

Tak więc Kinlafia musiał zostać. Mógł teraz jedynie przechadzać się, niepokoić i zastanawiać, czy Arthag ze swymi ludźmi odnajdą na czas Shaylar i resztę jego rodziny. Zdawał sobie jednak sprawę, że zależało to w znacznej mierze od

nieznanego przeciwnika, od tego obcego człowieka, lub ludzi, którzy zamordowali biednego Falsana. Doszło już do rozlewu krwi, ale chyba nie mogła się z tego wywiązać otwarta wojna? Tylko szalenie dopuściłby do tak...

Zostaliśmy zaatakowani!

Krzyk wbił się w jego umysł niczym zimne ostrze sztyletu.

Po chwili komunikat nabrał odpowiedniej wyrazistości. Wprost w jego zmysły wdarły się obrazy. Mrowie obrazów pędzących z mocą towarowego pociągu. Zachwiał się i padł na kolana. Strzelali do niego umundurowani ludzie – strzelali do niego z kusz! W gruby pień, dwie stopy od jego głowy, wbił się z głuchym stukiem zbłąkany bełt. Zewsząd słyhać było wystrzały karabinów. Ludzkie krzyki. Deszcz ołowiu zalewał ludzi w mundurach, obcych żołnierzy stojących na polanie. Tylko jednemu udało się przeżyć na tyle długo, by mógł znaleźć schronienie pomiędzy powalonymi drzewami. Darcel jęknął cicho i spojrzał w bok, w kierunku innej kępy potrzaskanych konarów.

Ghartoun!

Szef zespołu leżał martwy, ohydnie rozciągnięty na kępie zeschniętych gałęzi. Niewidzące oczy rozszerzone strachem, twarz wykrzywiona zaskoczeniem i zastygłą grozą.

–Przeładować! – gdzieś z prawej strony dobiegł go krzyk Barrisa Kasella – W drzewach jest ich więcej! Chcą nas obejść! Rilthan! Chroń flankę!

–Shaylar! – dławiąc się strachem krzyczał Jathmar – Shaylar? Nic ci nie jest?

–Nic. Ja... Idą!

Na polanie pojawiło się trzech obcych. W rękach nieśli... coś. Dziwny przedmiot. Długi może na cztery stopy, o średnicy może dwóch, lub trzech cali. Wykonany był z materiału przypominającego szkło. Nie. Na pewno nie było to szkło. Kryształ? Też raczej nie. Z całą pewnością nie był to i metal, a...

Pomiędzy drzewami z prawej strony zaśpiewały cięciwy. Ktoś przeraźliwie wrzasnął. Tuż za nim – za Shaylar – w tej chwili byli jednym. Obrócił się i zobaczył wijącego się na ziemi Braiheri Futhaia. Z jego piersi sterczał stalowy bełt, utkwiał wysoko po prawej stronie. Wokół niego szybko zbierała się kałuża krwi. Szkarłatna piana wystąpiła mu na usta i...

Znikąd pojawił się płomień.

Wielka, żarząca się, ognista kula wpadła z impetem pomiędzy powalone leśne olbrzymy. Rozległ się kolejny wrzask.

–Strzelać w kanonierów!

Rozkaz wydał Barris. Krzyczał wśród dymu i zamętu. Wzrok Darcela ponownie padł na ludzi z przypominającą kryształ rurą. Zamontowali ją na trójnogu i skierowali na obrońców, niczym działko.

–Strzelać w kanonierów! – huknął ponownie Barris.

Darcel poczuł jak podnoszą się jego ręce. To Shaylar uniosła broń. Ramiona kobiety drżały jak osika.

„Spokojnie!” – nakazał tej części umysłu, w której żyła Shaylar”Tak... dużo lepiej... Łagodnie...tak jest! Przymierz...wyśrodkuj... TERAZ!”

Karabin odbił. Rozległ się suchy trzask wystrzału. Jeden z kanonierów wyprostował się, krzyknął dziko i padł na kolana.

„Jeszcze raz!”

Zaczęli strzelać pozostali. Po kolei, systematycznie zabijali kanonierów.

–Są z prawej! – zawołał Elevu Gitel. Darcel usłyszał jak nad nim Jathmar klnie soczyście. Uniósł wzrok i obrócił się strzelając w kierunku kuszników atakujących ich odsłoniętą flankę. Dwóch już padło... trzeci...

–Ilu ich może być? – jęknął Kartograf. Dwa cale od jego policzka w pień wbił się stalowy bełt. – Dranie! – zawołał.

Znów otworzył ogień, zaklął i przyklęknął za konarem, by przeładować. Cały wszechświat szalał dokoła. Wcisnął do komory karabinu kolejne ładunki.

Wybuchła kolejna ognista kula. Zeschnięte liście i gałązki stanęły w płomieniach. Jeszcze jeden ludzki wrzask – wysoki, prymitywny, bardzo długi.

–Skąd oni tym strzelają? – zachrypiał głośno Jathmar.

Na polanie stały już dwie nibyarmatki. Zabitych przy pierwszej zastąpili nowi żołnierze. Drugą, identyczną, obcy rozstawili pięćdziesiąt jardów dalej. Wymierzona była niemal prosto w Darcela. Zaświeciła się. Zajaśniała niezmierną poświatą, przypominającą nieco blask zorzy polarnej i...

Wszystko stanęło w ogniu.

Darcel rzucił się na ziemię. Tuż nad jego plecami buchnęło żarem. Nie odważył się nawet zaczerpnąć powietrza. Zacisnął mocno oczy. Do jego uszu dobiegały zwierzęce krzyki ludzkich istot cierpiących niewyobrażalne męki...

Powiało błogosławione, chłodniejsze powietrze. Odetchnął, zakrztusił się dymem i kwaśnym odorem płonącego drewna i czegoś, co śmierdziało jak palone mięso. Pień pod którym leżał, płonął. W kilku miejscach odeszła zeń kora.

–Co to, kurwa, było? – głos należał do Jathmara. Zachrypiły, pełen strachu.

–Padnij!!! – wydarła się Shaylar.

Jeszcze jedna ognista kula rozbiła się wśród obrońców. Nadal ktoś strzelał. Oszałały ze strachu Darcel, klnąc nieustannie i nie przerywając ognia syknął wprost do umysłu Shaylar.

Atakują! Strzelaj!

Na osmaloną płonącymi pociskami, zawaloną martwymi drzewami polanę wysypała się piechota. Piętnastu, może dwudziestu żołnierzy. Shaylar podrzuciła karabin do ramienia i nacisnęła spust. Przeładowała. Nacisnęła spust... przeładowała... nacisnęła spust.

Strzelali jak oszaleli. Wciąż jednak pojawiali się nowi przeciwnicy. Z braku czasu na przeładowanie karabinu Darcel sięgnął po wiszącą u boku Polshanę, ale pierwsza wypaliła Shaylar. Podniosła broń oburącz i wymierzyła w najbliższego atakującego żołnierza. Nacisnęła spust. Napastnik drgnął, chwycił się za pierś. Wtedy eksplodowała mu twarz. Drugi pocisk trafił go dokładnie w czoło. Zabiła go z zimną krwią.

Na środku ich pozycji szalał Rilthan. Po każdym trzasku jego karabinu jeden z obcych żołnierzy zanosił się krzykiem i padał jak długi pomiędzy gałęzie. Z każdym strzałem w tyralierze wrogów pojawiała się kolejna wyrwa. Shaylar spojrzała w bok i zaczęła strzelać w żołnierzy po prawej stronie szyku. Raz za razem. I jeszcze raz. Darcel zdał sobie sprawę, że w rewolwerze nie było już prawie kul.

Atak zachwiał się. Zatrzymał. Rozpadł. Przerażeni żołnierze zbiegli pod ochronę drzew. Wśród nich ktoś wykrzykiwał rozkazy. Po chwili na polanie pojawili się kolejni wrogowie. Bogowie – ilu ich mogło tam być?

Przeładuj! – krzyknął Darcel przez łączącą ich telepatyczną więź. – ***Przeładuj!***

Shaylar wyciągnęła bębenek z Polshany, otworzyła go. Połyskujące łuski wpadły pomiędzy liście. Lewą ręką przytrzymała bębenek, a prawą wyciągnęła z kieszeni ładownik. Mimo strachu bezbłędnie wsunęła naboje do komór. Przekręciła uchwyt ładownika i wyrzuciła go wsuwając bębenek na miejsce. Potem włożyła rewolwer do kabury i sięgnęła po paczkę z nabojami do karabinu. Przeładowywała broń wyuczonymi, niemal instynktownymi ruchami. Ładunek po ładunku, ładunek po ładunku...

Kątem oka Darcel pochwycił jakiś ruch. Obrócił się, a Shaylar skierowała w tamtą stronę lufę karabinu. Przykucnęła i zaczęła strzelać. Na polanie pojawiła się trzecia błyszcząca rura.

–Jathmar! Padnij!

Dwa kolejne wybuchy piekielnego ognia.

Kolejna ognista kula padła między zwalone drzewa. Spomiędzy płomieni wydobyła się błyskawica. Uderzyła prosto w nadal wykrzykującego rozkazy Barrisa Kasella. Przez jedną, przerażającą sekundę mężczyzna zwijał się lecąc w powietrzu. Płomienie objęły jego ciało.

Kolejny grzmot. Płomienie szalały wszędzie. Pożar ogarnął cały świat. Po chwili powrócił chłód. Obrońcy dyszeli, walczyli o oddech.

Shaylar podała karabin Jathmarowi i rzuciła się do swojego plecaka. Otworzyła go szarpnięciem i zaczęła wyciągać z niego mapy, notesy – zapiski z każdego opisanego przez zespół wszechświata i – co zwiastowało większe kłopoty – z każdego portalu leżącego stąd do Sharony.

Wyjęła je wszystkie, odłamała z pnia płonąca gałąź i zapaliła papiery. Spaliła wszystko na popiół. Potem zaczęła drzeć zeszyty. Rzuciła na pastwę ognia pojedyncze kartki. Dokoła czekały karabiny, krzyczeli przerażeni, cierpiący ludzie, a ona paliła swoją pracę. Nie chciała by informacje o portalach dostały się w ręce tych dzikich morderców, którzy ich teraz atakowali. Docierające do uszu Darcela wystrzały stały się rzadsze. Zrozumiał, że ginęli wszyscy jego przyjaciele – cała jego rodzina – umierali pod deszczem ognistych kul i błyskawic.

Shaylar poświęciła płomieniom ostatnią stronę z dziennika i odrzuciła niepotrzebne już okładki i pudełko na mapy pomiędzy płonące gałęzie. Teraz strzelało już tylko kilku członków zespołu. Shaylar wyciągnęła Polshanę i zwróciła się ku polanie.

To stało się właśnie wtedy.

Jathmar widział, co robi jego żona. Rozumiał, jak ważne to było. Stał nad nią i strzelał bezustannie, zapewniając jej osłonę. Jednak dokładnie w chwili, w której spopieliła ostatnią kartkę papieru, kiedy podniosła się i chciała przenieść się w bardziej bezpieczne miejsce... wtedy właśnie uderzyła ognista kula. Trafiła Jathmara w plecy, siła jej uderzenia przerzuciła go przez sterczącą poziomo gałąź. Zawisł na niej przez chwilę. Cały grzbiet mężczyzny płonął.

Zajęło się jego ubranie. Ogień pełgał na jego skórze i we włosach.

–Jathmar!!!

Krzyknęła, aż zabolęła ją gardło. Shaylar i Darcel rzucili się naprzód, próbując złapać Jathmara, który ześlizgiwał się bezwładnie z gałęzi. Błyskawica rozdzieliła się i uderzyła o cal od niego. Grzmot i fala uderzeniowa odrzuciły ich na bok. Ich głowa uderzyła z potworną siłą w coś twardego...

Darcel pojawił się z powrotem we własnym ciele.

Było jasno i chłodno. Zniknął dym, ucichły krzyki. Dokoła nie widział już umierających. Trzydzieści jardów z lewej strony wznosił się milczący portal. Darcel leżał nieruchomo na ziemi. Psychiczny wstrząs pozbawił go zmysłów na długą, bolesną chwilę. Doleciały go jakieś odległe głosy. Ktoś ku niemu biegł. Po drugiej stronie portalu padał lekki deszcz. Darcel usiadł i sięgnął po karabin. Nie znalazł go jednak. Wtedy zobaczył, kto do niego biegł. Był to sam Grafin Halifu. Dowódca fortu budowanego trzysta jardów dalej.

–Co się stało? – zapytał Halifu zbliżając się z karabinem w dłoni. – Krzyczałeś coś o żołnierzach w lesie!

Darcel powoli uniósł ręce i potarł twarz. Próbował odnaleźć się w nowej rzeczywistości.

–Zostaliśmy zaatakowani – zdołał wyjęczeć. – Nasz zespół został zaatakowany. Piechota, artyleria, ogień...

–Co??? – Halifu pobladł.

–Nawiązałem kontakt z Shaylar – Darcel zamknął oczy. – Bogowie... Shaylar!

Spróbował połączyć się z kobietą. Próbował usilnie. Jego umysł trafiał jednak tylko w zimną, śmiertelną pustkę.

–Czy ona... – Halifu urwał zdjęty przerażeniem. Nie mógł, a może nie chciał, dokończyć pytania.

–Nie wiem – odpowiedział roztrzęsiony Darcel. Nie był w stanie zapanować nad przebiegającymi go dreszczami. – Trafił nas wystrzał z jakiegoś dziwnego działa. Rzuciło nami. Uderzyliśmy w coś głową.

Splótł ramiona dokoła siebie. Oddychał ciężko.

–Ghartoun nie żyje – ciągnął – Barris Kasell i Braiheri Futhai też poległi. I Elevu Gitel. A Jathmar, o ile przeżył... Bogowie! Tak strasznie poparzony.

Dopiero gdy Halifu objął go ręką Darcel zdał sobie sprawę, że kołysze się na przemian w przód i w tył. Kapitan przytknął coś metalowego do jego szczękających

zębów.

–Pij!

Darcel upił duży łyk. Zakrztusił się. Poczuł, jak whiskey splywa w dół jego gardła. W oczach mu zaćmiło, ale reszta zmysłów uspokoiła się.

–Dzięki – wyszeptał, gdy świat przestał wirować w szaleńczym tańcu.

Z fortu nadciągało więcej ludzi. Wszyscy byli uzbrojeni, gotowi do walki. Rozglądali się niepewnie po lesie otaczającym obozowisko Darcela. Halifu sam pociągnął z menażki i odczekał aż Głos dojdzie do siebie.

–Jesteś już w stanie powiedzieć mi co się tam stało? – zapytał cicho po chwili.

Darcel nie mógł spojrzeć zaniepokojonemu oficerowi w oczy. Wiedział, że gdyby to zrobił nie zdołałby wydobyć z siebie ani słowa. Spojrzał więc w ziemię i zaczął mówić.

Opowiadał chaotycznie, niepewnym, schrypniętym głosem. Próbował opisać całą grozę ataku i tajemniczą broń obcych żołnierzy, która siała tak straszliwą śmierć wśród członków zespołu. Przecież większość z nich była cywilami, ludźmi zupełnie nieprzygotowanymi do radzenia sobie z otwartym atakiem wyszkolonego wojska.

Kiedy z ust kapitana Halifu wydobyło się wulgarnie przekleństwo Darcel zrozumiał, że już skończył mówić. Zacisnął zęby nie podnosząc się z trawy.

–Parszywe dranie! – warknął Halifu. – Powinienem mieć tu całą kompanię, a mam tylko dwa plutony w niepełnym stanie. Około stu pięćdziesięciu ludzi i kawalerię kapitana Arthaga! A on, kurwa, właśnie wchodzi ze swoimi ludźmi prosto w pułapkę! Bez posiłków nie dam rady ich odeprzeć, jeśli zaatakują taką bronią! Od najbliższej linii kolejowej dzieli nas pięć tysięcy mil! Kolumna z Fortu Salby powinna zjawić się lada dzień, ale jak znam życie to się spóźnią...

Dowódca zamilkł i głęboko odetchnął. Uspokoił gniew i strach, po czym pokręcił głową.

–Zbrojny chan Therson!

–Tak jest!

Starszy zbrojny Dunyar chan Therson, podoficer dowodzący brązową kompanią stanął na baczność.

–Znajdź Banthę. Powiedz mu, że musimy wysłać wiadomość do kapitana Arthaga. Natychmiast! Mają się bezzwłocznie zatrzymać i utrzymać pozycję.

–Tak jest! – odpowiedział karnie Therson.

–Potem znajdź kapitana chan Shermayra. Jego piechurzy muszą nas tu zabezpieczyć. Reszta ludzi Arthaga ma za pięć minut siedzieć w siodłach i jak najszybciej dołączyć do niego. Dopilnuj, żeby Arthag wiedział, że wyruszyli. Niech nie rusza się nawet o jard, póki ekipa ratunkowa nie będzie w komplecie.

–Ekipa ratunkowa? – Darcel aż się zakrztusił. – Co to ma znaczyć, do cholery?

Halifu znowu pobladł.

–Na pewno ktoś przeżył... – powiedział szorstko. Darcel nie wiedział, jaki ma wyraz twarzy, lecz Halifu klęknął przed nim i mocno chwycił go za ramiona.

–Nie poddawaj się! – rozkazał stalowym głosem Uromathianin. – Nie wolno nam zrezygnować, póki nie będziemy mieli niezbitych dowodów. Gdybym był dowódcą tamtych, chciałbym wziąć żywcem przynajmniej kilku, chciałbym ich przesłuchać.

Darcel skrzywił się boleśnie. Halifu ugryzł się w język.

–Wybacz Darcel. Wiem, że oni są dla ciebie jak rodzina.

–Shaylar! – jęknął Darcel zamykając oczy w rozpacz. Był w niej zakochany. Od zawsze traktował ją jak swoją młodszą siostrę, przede wszystkim po to, by przekonać samego siebie, że nie czuje tego, co uparcie tliło się w jego sercu. Tak! Kochał Shaylar tak samo mocno, jak kochał Jathmara, za to, że Kartograf czcił ją i wielbił, jak żonę i partnera zarazem.

Shaylar* – wyszeptał w martwą telepatyczną ciszę – *Zbudź się Shay, proszę, proszę, Shay!

Każda próba nawiązania kontaktu grzęzła jednak w czarnej, nieruchomej pustce. Darcel uniósł powoli głowę. Wstał i przetarł dłonią wilgotne oczy. Wszyscy obecni odwrócili spojrzenia, grzebali czubkami butów wśród trawy, rozglądali się. Nie chcieli go zawstydząć.

–Kapitanie Halifu – powiedział wreszcie głosem nabrzmiałym zimną nienawiścią – Mówiłeś coś o posiłkach?

Halifu spojrzał mu w oczy. Wytrzymał ciężkie spojrzenie Głosu.

–Mówiłem – przytaknął. – Gdybyś mógł przekazać wiadomość. Wezwać posiłki. Moglibyśmy zająć się misją ratunkową.

–Proszę przygotować treść, kapitanie. – powiedział Darcel, bardzo, bardzo cicho. –

Wyśle, jak tylko dostanę tekst.

Zamilkł, odwrócił się do skrzynek z ekwipunkiem i zaczął przeliczać amunicję.

Rozdział 9

–Wstrzymać ogień! Wstrzymać ogień!!!

Jasak rzucił się na żołnierzy obsługujących najbliższego smoka. Schwycił jednego z nich za kołnierz i odciągnął go od rozgrzanej broni. Żołnierz był tak zaangażowany w walkę, że ledwie zauważył co się dzieje. Otrzeźwienie nadeszło dopiero gdy Jasak kopnął go potężnie w pierś.

–Wstrzymać ogień! Cholera jasna! Wstrzymać!

Kanonier padł na ziemię z wyrazem niedowierzania na twarzy. Nie rozumiał co się z nim stało. Po chwili jednak na jego oblicze wypłynął strach. Zatrząsał się.

Pozostałe dwa smoki pierwszego plutonu strzelały jednak nadal. Na polanę spadały kolejne ogniste kule, mimo, że od dobrej minuty spoza powalonych drzew nikt już nie strzelał. Obsługujący działka żołnierze jakby tego nie dostrzegali. Wszyscy ogarnięci byli bitewnym szałem – rozwścieczeni rzezią, jaką niewidoczny przeciwnik urządził ich towarzyszom. Powodował nimi także strach przed tajemniczą, śmiercionośną bronią wroga.

–Oby was Graholis! Wstrzymać ogień! – huknął Jasak rzucając się na kanonierów przy drugim ze smoków. Miecznik Threbuch brnąc po pas w krzewach ruszył za nim.

Czwarty smok nie strzelał już od jakiegoś czasu. Kanonierzy i sześciu innych żołnierzy, którzy próbowali zająć ich miejsce leżeli rozrzućeni dokoła trójnoga. Martwi lub ranni.

Threbuch odepchnął w splątane krzewy jeżyny ostatniego z żołnierzy prowadzących ogień ze skraju polany. W tej samej chwili ostatnia błyskawica wystrzeliła z lufy i pomknęła ku jednemu ze strzaskanych drzew. W powietrze wzbily się fragmenty kory, uniosły się kłęby dymu i przy wtórze głuchego grzmotu wyładowanie wygasło.

W uszach Jasaka rozpętało się piekło ciszy. Obcej, złowróźbnej ciszy.

Stał dysząc ciężko. Tętno mu szalało. W uszach słyszał własny puls przypominający teraz dźwięk opętańczo bijących bębnow. Zebrał się w sobie, opanował trzęsące się ręce i otarł rękawem twarz z potu i brudu. Dopiero po chwili był w stanie się rozejrzeć dokoła. I dopiero teraz zobaczył ciała.

Jego ludzie leżeli dokoła niczym popsute marionetki. Ich zwłoki i ziemia, na którą padli przesiąknięte były krwią. Gdzie nie spojrział, jego wzrok padał na umarłych. Nieruchomych. Milczących. Przeszył go ból, jaki zrozumieć może tylko oficer.

„Na Graholisa!” – przemknęło mu przez myśl. – „Straciłem połowę plutonu! Połowę!!!”

–Krwawi pan, Sir.

Ciche słowa zdołały w jakiś sposób przebić się przez wszechogarniające, zobojętniające cierpienie Jasaka. Odwrócił się wstrząśnięty i spostrzegł miecznika otwierającego połowę apteczki.

–Co?

–Krwawi pan, Sir. Obejrzę to.

–Zostaw, kurwa! – warknął Jasak. – To na pewno tylko draśnięcie. Musimy znaleźć rannych. Wszystkich rannych. Naszych i ich.

–Proszę więc wydać rozkaz, ale to nie zatrzyma krwotoku i nie ustąpię póki pana nie opatrzę.

–Ja nie...

–Mam pana zmusić do posłuszeństwa przemocą, setniku? Otwa! Threbuch syknął tak surowo, że Jasak przez chwilę nie dowierzał własnym uszom.

–Jest pan ostatnim pozostałym przy życiu oficerem, Sir – głos Threbucha pobrzmiwał świeżym żelazem, prosto z kuźni – więc proszę przestać się kręcić i pozwolić mi sprawdzić dlaczego cieknie panu krew z głowy! Cały bok ma pan we krwi.

Jasak zacisnął zęby. Nie zdawał sobie sprawy, że rana była aż tak paskudna. Zmusił się do spokoju i siedział cierpliwie podczas gdy miecznik opatrywał mu skroń. Nie czuł bólu. Gorzej było z raną na jego żebrach. Coś prześliznęło się po nich, z wielką siłą rozdzierając skórę. To naprawdę było jedynie draśnięcie, lecz o mocy wystarczającej do rozcięcia munduru. Rana zaczęła palić. Faktycznie – bluza szybko nasiąkała krwią. Gdyby nieznana broń trafiła kilka cali w bok, jej pocisk przeszyłby płuco albo nawet wbił się bezpośrednio w serce.

Nadal zaciskając zęby wydawał rozkazy swym nielicznym żywym jeszcze podoficerom. Kazał im przeszukać pobojuwisko. Gdy tylko Threbuch skończył i założył prowizoryczny opatrunek, Jasak wyszedł na polanę i zaczął przyglądać się rannym. Jego prawdziwy cel był jednak inny: nieprzyjaciele.

Uprowadziło go kilku żołnierzy.

–Mamy jednego żywego, Sir! – zawołał Evarl Harnak – Źle z nim.

Jasak podbiegł spiesznie do miecznika plutonu Garlatha. Po drodze zastanawiał się jakim cudem udało się żołnierzowi przeżyć. To przecież Harnak prowadził atak z flanki. Tam nikt nie miał prawa przetrwać. Wszystkich powaliła potworna broń obcych. Zresztą – to wszystko było niewiarygodne. Opadło go poczucie winy. Pomyślał ponuro, że to przecież on sam sądził, że smoki wystarczą, by nakłonić przeciwnika do kapitulacji.

Przecisnął się z trudem przez płataninę pni i gałęzi i klęknął obok Hamaka. Miecznik przyglądał się rannemu człowiekowi. Cały bok obcego pokryty był jednym wielkim oparzeniem. Bełt przebił mu wnętrzości na wylot. Rana była prawdopodobnie śmiertelna, nawet gdyby nieznajomemu udało się wylizać z poparzeń i szoku pourazowego.

Oddychał jeszcze, ale z najwyższym trudem. Utrata przytomności musiała być dla niego najwyższym miłosierdziem. Jasakiem targały sprzeczne uczucia. Poczucie obowiązku zmagало się w nim ze współczuciem. Za całą tę katastrofę odpowiadał przecież on. Gdyby on nie wydał rozkazów obcy nie leżałby teraz tak straszliwie ranny. Sięgnął do zdrowego nadgarstka poparzonego i zbadał mu puls. Serce jeszcze biło. Lekko, ledwie wyczuwalnie. Tętno wyraźnie słabło. Jasak bezradnie przyglądał się śmierci człowieka.

–Znaleźliśmy kolejnych, Sir! – rozległo się na zasnutej dymem polanie. – Bogowie! Jest z nimi kobieta!

Jasak zerwał się natychmiast i pobiegł. Zbierało mu się na wymioty. Głośno przeklinał zagradzające mu drogę zarośla i butwiejące drzewa. Z trudem znajdował między nimi drogę. Rzucił się pod jeden z pni, przetoczył się i podniósł po drugiej stronie. Tutaj przy życiu pozostało czterech obcych. Leżeli blisko siebie. Poparzenia trójki były tak samo poważne jak u umierającego, którego oglądał przed chwilą. Ubranie czwartego – kobiety także było osmalone, lecz chwała Graholisowi, płomienny oddech smoka ledwie ją tylko drasnął.

Była nieprzytomna. Mimo to jedną rękę nadal zaciskała na broni, która była najbardziej niezwykłą rzeczą, jaką Jasak widział w swym życiu. Schnąca krew plamiła jej włosy po prawej stronie głowy. Na twarzy puchł już rozległy siniec. Od skroni aż do tyłu jej głowy biegł paskudny guz.

–Musiała uderzyć głową w pień – zauważył rozglądając się się dokoła. Zmrużył oczy.

Tak. Na korze jednego z drzew czerwieniła się krew, do której przykleiło się też trochę włosów. Sir Jasak Olderhan musiał użyć całej swej wewnętrznej dyscypliny by nie uderzyć pięścią w pień. Jedynego sanitariusza, który z nimi wyruszył z obozu był martwy. Poległ próbując dotrzeć do leżących pod ostrzałem kanonierów. Zresztą – trójka obcych była ranna tak poważnie, że umarliby nawet w asyście lekarza.

–Potrzebuję tu magister Kelbryan – warknął przez ramię odwracając się na powrót do koszmarne poranionych obcych. I to natychmiast, cholera!

Ktoś pobiegł głośno wołając Gadrial. Jasak pochylił się nad nieprzytomną kobietą. Puls miała słaby, ale – dzięki bogom – równomierny. Była drobna, niższa nawet od Kelbryan. Jej piękna twarz wyglądała niezwykle delikatnie. Przypominała kruchą, porzuconą w błocie, porcelanową laleczkę. Jasak cierpiał. Cierpiał i wściekał się na Garlatha, a także na towarzyszy tej kobiety. Za to, że się tu znaleźli, za śmierć Osmuny, za rozpętanie całego tego piekła. Najbardziej jednak zły był na nieznajomych za to, że przywiedli tu ze sobą tę śliczną dziewczynę. Przeprowadzili ją w sam środek rzezi na polanie.

On przecież ukrył Gadrial w bezpiecznym miejscu. Jak najdalej mógł. Na tyłach, schowaną w płytkim wykrocie. Tam ani jej, ani strzegących jej żołnierzom nic złego nie mogło się stać. Dlaczego, do cholery, dlaczego oni nie postąpili podobnie ze swoją kobietą?

„Nie zrobili tego, ponieważ” – odezwał się pełen pogardy do samego siebie głos w jego głowie – „nie dałeś im takiej możliwości. To ty przecież postanowiłeś odciąć obcym wszystkie drogi ucieczki...”

Ktoś przeciskał się ku niemu przez gęste krzewy. Podniósł oczy i zobaczył biegnącą z trudem Gadrial. Omijała martwych żołnierzy i potrzaskane, tłące się jeszcze pnie.

–Gdzie? – zapytała zdyszana. Jasak sięgnął po nią i przeniósł ją nad potężnym pnem niczym małą dziewczynkę. Postawił ją obok rannych. Chciała coś powiedzieć, ale przerażenie pozbawiło ją głosu.

Trzej mężczyźni byli niemal dosłownie spaleni. Dwóm z nich ognista kula wybuchła prosto w twarz. Zwęglona, zwisająca płatami poparzona skóra oraz obrzydliwy zapach palonego ciała przyprawiały Jasaka o mdłości. Trzeci z obcych w momencie wybuchu musiał stać tyłem, albo przynajmniej bokiem. Ten miał poranione płomieniami plecy. Jego ubranie było zwęglone prawie na popiół. Eksplozja rzuciła nim na sterczącą poprzecznie gałąź, z której po chwili spadł. Wylądował najpierw na ramieniu, po czym rozpląszczył się bezwładnie na ziemi. Połamane żebra wystawały spod strzępów koszuli.

–Na Rahile – wyszeptała Gadrial. Jasak spojrzał jej w oczy i zadrżał w duchu.

–Dasz radę ich z tego wyciągnąć? – zapytał ochryplym głosem. – Choć jednego?

Gadrial przełknęła ślinę i zmusiła się do zbadania pulsu najbliższego z obcych mężczyzn. Był półprzytomny. Kiedy poczuł jej dotyk z jego gardła dobył się ohydny, bulgocący skrzek. Ramię mu zadrżało. Gadrial zachwiała się, lecz nie puściła jego nadgarstka.

–Miej go w swej opiece Rahil – wyszeptała i zaczerpnęła głęboko powietrza. – A inni?

Jasak podprowadził jaku reszcie. Po kolei zbadła ich tętno. Oczy miała przy tym zamknięte. Szeptała coś bezgłośnie. Dokoła niej wezbrała się moc. Tak silna, że Jasak ponownie poczuł mdłości.

–Jest bardzo źle Panno z Niebios, bardzo źle. Wszystkich naraz nie uda mi się uratować. Przykro mi. Jednego być może uda mi się utrzymać przy życiu. Być może...

Wstała nie odrywając wzroku od rannych. Jasak wiedział, jak bardzo się boi dokonać dramatycznego wyboru, przed którym tak nagle stanęła. Już miał podpowiedzieć którego z obcych należało ratować, zdjąć z niej ciężar decyzji. W końcu odpowiedzialność spoczywała na nim i tylko na nim. Zanim jednak zdążył się odezwać Gadrial poruszyła się niespokojnie.

–Patrz! – wskazała na nadgarstek nieprzytomnej kobiety. Drobną nieznajoma nosiła na ręku bransoletkę. Obrączkę z miękkiego, przypominającego złoto metalu. Zauważył ją już wcześniej. Tyle, że Gadrial pokazała mu teraz na przedramię jednego z rannych. Nosił na nim identyczną ozdobę.

–Tego – powiedziała. – Ja...

Głos uwiązał jej w gardle. Odwróciła się od pozostałych obcych, od dwóch mężczyzn, którzy mieli umrzeć. Od dwóch mężczyzn, którym musiała pozwolić umrzeć.

Uklękła przy rannym z bransoletką. Był połamany i poparzony. Pod dotykiem jej dłoni najłżejsze z ran zaczęły się zasklepiać. Leczyła go dzięki swemu pomniejszemu Darowi. Gadrial mimowolnie jęknęła. Tyle bólu, tyle nieszczęścia...

Zamknęła oczy, delikatnie złożyła ręce na piersi mężczyzny i przyzwała całą moc swego Daru. Z jej ust dobył się szept. Słowa pomagały kierować energią, którą czerpała wprost z powietrza. Ta energia znajdowała się wszędzie – niewidzialne, kipiące morze, przewalające się wełnistymi falami przez cały wszechświat. Swe źródło miała gdzieś w przestrzeni ziejącej pomiędzy myślami śmiertelników, a potęgą samego boga. Wpływała w jej ramiona i dalej, wprost w ciało nieprzytomnego człowieka. Potężna siła, ocean energii, niewyobrażalna moc czekająca tylko aż wykorzysta ją ktoś Obdarzony.

Dar uzdrawiania Gadrial nie był jednak zbyt silny. Ktoś hojniej Obdarzony z pewnością mógłby bardziej pomóc rannemu, byłby w stanie przelać w jego ciało dużo więcej kosmicznej mocy. Co gorsza, nawet tak mała ilość, jaką posługiwała się ona miała swoją cenę.

–Już... ustabilizowałam go... – zdołała wyszeptać gdy zasnuta dymem polana zaczęła wirować jej w oczach.

Ktoś chwycił ją za ramiona, podtrzymał. Oparła się o mocne ramię.

Potrzebowała tego wsparcia. Bardzo. Głosy to stawały się niewyraźne, to znów słyszała wszystko dokładnie. Wszechświat falował, niczym rozkołysany okręt na wzburzonych falach. Gdzieś głęboko za jej oczami wzbierał straszliwy ból głowy.

„To tylko szok poudarowy” – odpowiedział jej wytrenowany umysł. Efekt uboczny natężenia Daru do granic możliwości. Od dawna tego nie czuła. Wiedziała, że musi odczekać. Tak upływały kolejne minuty, kurczące się i wydłużające, pełne chaosu.

Miała wrażenie, że upłynęła cała wieczność. Gdy jej zmysły wyostrzyły się na powrót stwierdziła, że siedzi oparta o Jasaka Olderhana. Obejmował ją ramieniem, podtrzymywał, wykrzykując jednocześnie nieprzerwany strumień rozkazów.

–...kiedy już z tym skończycie, mieczniku, chcę żebyś wziął kogoś ze sobą i sprawdź tę ósemkę. Chciałbym dokończyć przynajmniej to jedno. Nie mam ochoty się z tobą rozstawać, ale jesteś najlepszym człowiekiem do tego zadania. Tylko, do cholery, ostrożnie. Nie chcieliśmy – ja nie chciałem – tej masakry i nie chcę już ani jednego strzału. Czy to jasne?

–Jak słońce, Sir.

–Dobrze. Idź po cichu w tamtą stronę i po cichu wracaj. Zrób co w twojej mocy, żeby uniknąć kolejnego kontaktu. Jakies pytania?

–Nie, Sir.

–W takim razie idź już. Im szybciej wyruszysz, tym większe są szanse, że nikt się nie zorientuje, że ci tutaj nie wracają.

Ostatnie słowa Jasak wypowiedział ponuro, bezbarwnie. Mógł tylko mieć nadzieję, że obcym nie udało się wysłać gońca z wiadomością. Bo jeśli wysłali...

–Miej oczy otwarte, mieczniku, ale bez guzdrania się. Jeśli posłali kogoś przodem, to chcę go dostać całego i zdrowego.

–Tak jest, Sir.

Threbuch zasalutował i odwrócił się. Jasak śledził go przez chwilę wzrokiem i wreszcie zorientował się, że obserwuje go Gadrial.

–Lepiej? – zapytał cicho zabierając ramię. Kobieta przytaknęła i wstała.

–Tak. Dzięki – powiedziała przytłumionym, lecz spokojnym głosem. – Co teraz?

Jasak rzucił okiem na nieprzytomną kobietę i mężczyznę, którego Gadrial chwilę temu zawróciła z drogi bez powrotu.

–Musimy odtransportować ich do bagiennego portalu. Stamtąd będziemy w stanie odesłać ich drogą powietrzną. Tutaj smok nie zdoła dotrzeć na czas. Najbliższy jest teraz na wybrzeżu. Siedemset mil od portalu. Musiałby dolecieć najpierw na bagna, potem nad lasem tutaj. Zresztą, jeśli już by tu wylądował oficer wskazał na polanę – nie udałoby mu się już wystartować. Smoki transportowe potrzebują dużo miejsca na rozwinięcie skrzydeł. Tutaj nie miałyby szans rozpędzić się tak, by wzlecieć w powietrze przed linią drzew. Smoki bitewne to co innego – są mniejsze i szybsze. Potrafią nurkować w locie, zaatakować i oderwać się od celu na niewielkiej nawet przestrzeni. Te transportowe są o wiele mniej zwinne.

„Jest taki spokojny, taki opanowany” – przebiegło Gadrial przez myśl. Tyle, że fachowy i spokojny ton setnika zdradzał jej to, co już i bez tego zdążyła sama zrozumieć.

–A może zdołalibyśmy poszerzyć dla niego pas startowy? spytała. – Nie moglibyśmy naszymi smokami wypalić części lasu?

Jasak pokręcił głową i wskazał na powalone leśne giganty, wśród których jeszcze niedawno ukrywał się nieprzyjaciel. Osmalone pnie tliły się, lecz wyszły z pożaru niemal nietknięte.

–Sama zobacz. Smoki wymyślono do palenia ludzi – powiedział gorzko – nie do karczowania lasu. Mamy, co prawda, kilka ładunków zapalających, które wystarczyłyby nawet do powalenia drzewa tej wielkości – skinął głową ku najbliższemu olbrzymowi o pniu średnicy co najmniej sześciu stóp – ale nie mamy ich tyle, by oczyścić pas o odpowiedniej wielkości dla smoka transportowego. Potrzebowalibyśmy ich jakieś dziesięć razy więcej.

–Jesteśmy zwiadowcami, magister Kelbryan – ciągnął Jasak – a nie oddziałem inżynieryjnym. Cała nadzieja w odtransportowaniu rannych do portalu na bagnach, lub przynajmniej w jakieś miejsce, gdzie mógłby wylądować i potem wystartować smok – setnik spojrzął na mężczyznę z bransoletką. – Można go ruszać? Nie zagrażając jego życiu?

–Nie wiem – odparła Gadrial przeczesując włosy zmęczoną dłonią. Próbowwała zebrać myśli. – Możliwe, że tak. Będę wiedzieć więcej, kiedy znów go dotknę. W tej chwili napewno nie powinno się go przenosić. Ale wiem, że zaraz i tak trzeba to będzie zrobić – spojrzała na otaczające ich spopielone pnie i gałęzie. – Tylko proszę, nie nieście go zbyt daleko. Jest za bardzo wyczerpany. Samo Uzdrawianie stanowi

dla organizmu poważny wysiłek.

Jasak ponuro skinął głową. Widział jaki efekt wywarła operacja na Gadrial. Użycie Daru musiało dużo bardziej wyczerpać samego rannego.

–Możemy zrobić i tak – zgodził się. – Odpocznie chwilę, zanim ruszymy. Mamy tu jeszcze kilka rzeczy do załatwienia.

Rozejrzał się po polanie, na której poległo tak wielu jego żołnierzy – dobrych żołnierzy, jednych z najlepszych w Drugiej Andarańskiej. Zginęli przez jego własną bezmierną głupotę. I przez jeszcze większą głupotę jakiegoś innego, nieznanego oficera, który bez względu na obowiązujący regulamin nie zdobył się na usunięcie ze służby niekompetentnego, niebezpiecznego dla własnych ludzi idioty.

Gadrial spojrzała tam, gdzie patrzył Jasak.

–Co z nimi zrobisz? – spytała cicho.

–To samo, co miecznik zrobił z ciałem Osmuny – odpowiedział setnik i poczuł, że musi na chwilę mocniej zacisnąć zęby.

* * *

–Obrzędy polowe – dodał i spojrzał na dziewczynę. W jej oczach kryło się nieme pytanie. Zacisnęła niepewnie usta. Rozumiem, że nigdy tego nie widziałaś? – zapytał niezbyt uprzejmie.

Gadrial pokręciła przecząco głową. Wszystkim, co wiedziała o „obrzędach polowych” było to, że dowódcy stawali niekiedy w obliczu konieczności porzucenia ciał swoich poległych żołnierzy i na potrzebę takich właśnie sytuacji opracowano specjalne procedury. Nie знаła jednak żadnych szczegółów. Miała nadzieję, że setnik jej o tym opowie, lecz tak się jednak nie stało. Zwrócił się natomiast do miecznika Hamaka, który po odejściu Otwala Threbucha był najstarszym stopniem podoficerem i łagodnym skinieniem dłoni wskazał mu dwójkę ciężko rannych mężczyzn.

–Niech ktoś z nimi zostanie dopóki... dopóki będą tego potrzebować, mieczniku. Żaden człowiek nie powinien umierać w samotności.

Hamak z chmurnym czołem skinął głową. Jasak westchnął i wskazał drugą, nieprzytomną parę obcych.

–Natomiast tych dwoje zabierzcie z tego piekielnego miejsca. Tylko na litość bogów ostrożnie z nim. On musi przeżyć, Hamak.

Gadrial zdała sobie sprawę, że Jasak nalega na to tak usilnie nie tylko z powodu

czysto wywiadowczej wartości rannych jeńców. Setnik Olderhan był żołnierzem, ale nie mordercą. Nawet ona, będąc cywilem, rozumiała, że obcy ludzie nie mieli szansy, po tym jak otworzono do nich smoczy ogień. Teraz natomiast czuła w Jasaku żelazną determinację, by uratować ze szczęk śmierci choć kilka ofiar... za wszelką cenę.

–Tak jest, Sir – zaszalutował posłusznie Harnak. Jego głos zabrzmiał jednak dziwnie słabo. Żołnierz był wyczerpany.

Gadrial dobrze wiedziała jak musiał czuć się w tej chwili miecznik. Spojrzała na Jasaka, który odgarnął z twarzy nieprzytomnej kobiety kosmyk długich, ciemnych włosów. Dotykał jej tak czule, tak delikatnie. Gadrial poczuła, że w kącikach jej oczu zaszklily się łzy.

–Przepraszam – powiedział setnik bardzo cicho. Gadrial jednak nie była pewna, czy nie było to jedynie zawodzenie wiatru w gałęziach. Po chwili Jasak wstał, zebrał się w sobie i zajął się organizacją ostatniego pożegnania swych dzielnych, poległych żołnierzy.

„I to wszystko przez jednego, jedyne niktzemnego tchórza” – usłyszała w sobie jakiś szept. Spojrzała na rannych, na umierających, na martwych. Zrozumiała, że będzie musiała się mocno pilnować, by nie splunąć na mogiłę Garlatha.

* * *

Shaylar nie chciała się budzić. Chciała umrzeć. Przez długą chwilę nie uświadamiała sobie dlaczego – była pewna tylko tego, że to co czekało ją na jawie było zbyt okropne, zbyt ciężkie. Zakwiliła. Chciała do matki. Chciała bardzo, żeby ktoś ją przytulił i zapewnił cichym szeptem, że wszystko będzie dobrze, że wszystko wróci do normy, że płomienie i krzyki były tylko złym snem, że widok ukochanego, który...

Spróbowała odepchnąć od siebie to wspomnienie. Nie zdążyła jednak. Ból – ostry i nie do zniesienia – ścisnął jej serce dzikimi, szarpiącymi szponami.

Jathmar!

Spróbowała skontaktować się z nim, dotknąć jego umysłu za pomocą małżeńskiej Więzi. Coś jednak było nie tak, bardzo nie tak. Nie było odpowiedzi. Nie Słyszała Jathmara. Nie Słyszała nawet Darcela. Istniał jedynie ból. Wypełniał sobą cały wszechświat...

Wtedy poczuła czyjś dotyk.

Rzuciła się gwałtownie, i znów jęknęła, czując wzbierającą w sobie, świeżą falę bólu. Znów ktoś ją dotknął. Delikatnie, kojąco. Ktoś pomagał jej wrócić znad otchłani

szaleństwa. Niechętnie otworzyła oczy i zamruwała. Padło na nią jasne światło przeciskające się przez pokryte złotem korony drzew.

Obok niej klęczała jakaś kobieta. Nie miała na sobie wojskowego munduru. Jej strój przypominał ubranie Shaylar. Proste, lecz praktyczne i wytrzymałe. Była śliczna. Urodą przypominała kruche, porcelanowe Uromathianki. Shaylar była jednak pewna, że obca kobieta nie urodziła się w Uromathii. Nie pochodziła z żadnej krainy, w której stanęła stopa mieszkańca Sharony.

Ciemne oczy nieznajomej patrzyły chmurnie. Widać w nich było cień wstrząsu wywołanego oglądaniem czegoś zbyt strasznego do wyobrażenia. Mimo to widniała w nich też siła, delikatna moc współczucia i jeszcze coś innego, coś czego Shaylar nie potrafiła nazwać.

Nie-Uromathianka poruszała się powoli i ostrożnie. Zupełnie, jakby bez słów rozumiała, że zbyt gwałtowne poruszenie się mogłoby odesłać ranną wprost w otchłań grozy. Podniosła menażkę – przedmiot miał dziwny, niecodzienny kształt, lecz na pewno była to menażka – i naląła z niej czegoś do niewielkiego metalowego kubka. Podłożyła delikatnie rękę pod głowę Shaylar, uniosła lekko...

...targnął ją ostry ból. Z ust Shaylar wyrwał się jęk. Jej palce spazmatycznie wpiły się w miękką ziemię. Wtedy poczuła jak nieznajoma dotyka jej głowy. Powiedziała coś szeptem, tak cicho, że Shaylar nie była nawet pewna, czy rzeczywiście były to słowa. Ból w głowie nieco zelżał. Shaylar otworzyła oczy i spojrzała na nią zastanawiając się co się stało. Z doświadczenia знаła wrażenie towarzyszące dotykowi teleempatycznego Uzdrowiciela. To jednak było coś zupełnie odmiennego.

Znowu pojawił się strach. Zaczęła się bać, mimo, że mdłości i ból powoli ustępowały. Kimkolwiek – i czymkolwiek – by nie okazała się obca kobieta, to teraz podsuwała jej kubek do ust. Shaylar wypiała. Woda cudownie miękko spływała po wyschniętym od dymu i krzyku gardle.

Powróciły wspomnienia. Dym. Płomienie. Ogień. Jathmar płonący w samym środku ognistej kuli. Rozpłakała się żałośnie. Nieznajoma przytuliła ją jak dziecko i zaczęła delikatnie kołysać.

Zadziałał Talent Shaylar. Nie słyszała co prawda myśli obcej – gardło paliło ją bezlitośnie i nie potrafiła się skupić – zresztą i tak nie mogłyby porozumieć się za pomocą słów. Szerokim strumieniem za to wpłynęły w nią uczucia i emocje uzdrowicielki: głęboki żal, bolesna rozpacz, poczucie bezradności, gniew na kogoś innego konkretną osobę, która w jakiś sposób zawiniła całemu temu cierpieniu i śmierci. Shaylar czuła je wszystkie. Poczuli się bardzo samotna.

Wstrząsnął ją mocny szloch. Obca kobieta spróbowała ją odwrócić. Mówiła coś

cicho, lecz zdecydowanie. Wskazywała dłonią gdzieś obok. Shaylar niechętnie posłuchała, z początku zaczęła się nawet opierać, nie chciała spojrzeć na to, co nieznajoma chciała jej tak usilnie pokazać. Ta jednak nalegała, nie rezygnowała ani na chwilę.

Wtedy zamarł jej dech w piersiach. On leżał tuż obok. Włosy miał przypalone. Strzępy jego koszuli zostały zwęglone niemal zupełnie. Na plecach widniały potworne, wilgotne od śluzu, świeże poparzenia. A jednak – pierś mężczyzny unosiła się i opadała. Powoli i równomiernie.

„Jathmar!”

Cała jej dusza krzyknęła, spróbowała rzucić się ku mężowi. Powstrzymała ją jednak obca, która znowu zaczęła coś mówić. Strach powoli zniknął. Shaylar chciała wziąć Jathmara w ramiona, ochronić go przed dalszymi cierpieniami. Nieznajoma wzięła w dłonie jej twarz. Mówiła nadal, mówiła pospiesznie, jakby chciała przekazać Shaylar coś niezwykle ważnego.

I wreszcie się jej udało. Jathmar był bardzo poważnie ranny. Nikt nie wiedział, czy przeżyje. Shaylar przestała się rzucać. Ulga, jaka ogarnęła obcą była tak silna, że piękna uzdrowicielka przysiadła na piętach i głęboko odetchnęła. Puściła Shaylar i patrzyła jak ranna kobieta gładzi spopielone włosy Jathmara, jak przesuwając lekko palcem po jego policzku.

Oczy Shaylar zaszyły łzami. Spojrzała w twarz nieznajomej. Siedziały obie obok nieruchomego Jathmara i gorzko łkały. Łzy w jakiś sposób odeгнаły strach i ból. Kimkolwiek byli obcy, jakkolwiek potworny był popełniony przez nich błąd, okazywali się jednak – przynajmniej niektórzy z nich – porządnymi i czułymi ludźmi.

Do świadomości Shaylar powoli zaczęły przedostawać się inne dźwięki. Głosy – męskie głosy, bardzo blisko. Głosy pracujących, dobrze zorganizowanych, ponurych mężczyzn. Rozejrzała się w poszukiwaniu innych, którzy mogli przeżyć masakrę. Zauważyła jednak, że nie znajduje się już na polanie. Ktoś przeniósł ją i Jathmara pod osłonę drzew, z dala od usłanego potrzaskanymi pniami pobojuwiska.

Mimo to, tutaj w lesie także widać było ślady niedawnej rzezi. Ona sama, Jathmar i kobieta, która próbowała im pomóc otoczeni byli ludźmi, mężczyznami w poszarpanych i uwalanych krwią mundurach. Wielu z nich miało na sobie bandaże i opatrunki. Niektórzy leżeli w bezruchu, z twarzami przywodzącymi na myśl woskowe maski. Oddychali z trudem. Inni jęczeli, cierpieli z bólu. Shaylar poczuła przyływ naglej, gwałtownej satysfakcji widząc dowód na to, że jej przyjaciele jej rodzina – nie sprzedali życia tanio.

Spostrzegła też dwóch innych ludzi. Dwóch umundurowanych mężczyzn. Ci nie byli

ranni. Stali niecałe dwa jardy od nich. Żaden z nich nie patrzył jednak na Shaylar, co ją ucieszyło i zarazem zdziwiło. Czowała się zbyt bezbronna, by znieść spojrzenia ludzi, którzy ledwie kilka chwil temu chcieli ją zabić.

Obaj żołnierze wpatrywali się czujnie między drzewa. Shaylar zrozumiała, że byli to strażnicy. Gorycz ścisnęła jej gardło. Mogli sobie oszczędzić wysiłku. Wybili już przecież wszystkich Sharonian w tym wszechświecie. Został tylko Darcel Kinlafia, a i on prawdopodobnie wracał już przez portal, unosząc ze sobą przerażające obrazy chwil, które wspólnie przeżyli.

Prawdopodobnie też był przekonany, że Shaylar zginęła, że zginęli wszyscy. Nie będzie zatem nawet próby ratunku, chyba, że uda się jej znaleźć jakiś sposób na nawiązanie z nim kontaktu mimo bólu i osłabienia Talentu. Chwilowo była Niema. Jeśli to się jej nie uda Darcel nadal będzie myślał, że nikt nie przeżył, a kapitan Halifu nie dysponował tyloma ludźmi, by ryzykować starcie z obcymi dysponującymi taką siłą ognia wyłącznie po to, by odbić tuzin ciał.

Poczuła, że zaczyna tracić nad sobą panowanie. Groziło jej załamanie tej kruchej równowagi ducha, w jaką zdołała się z takim trudem wprowadzić. Była w lesie zupełnie sama, odcięta od wszystkich, którzy mogli przyjść jej z pomocą. Czekają ją, bogowie tylko wiedzą jakie, przeznaczenie... Wróciła myślami do Jathmara i jego koszmarnych poparzeń. Wiedziała, że on będzie potrzebować jej o wiele bardziej, niż ona jego. Powtórzyła to sobie kilka razy i poczuła jak oznaki hysterii znikają. Oboje przeżyli. Byli razem. Jathmar jej potrzebował. Nic innego się w tej chwili nie liczyło.

Ktoś podszedł i zatrzymał się przed nią. Podniosła zobojętniale spojrzenie. Mężczyzna był wysoki i przystojny. Jego oczy jednak patrzyły niczym wypalone dziury, pełno w nich było powidoków, tego, co musiał niedawno oglądać. Na jego barkach spoczywał wielki, niewidzialny ciężar. Tak przytłoczonych ludzi nie widywała zbyt często. Jeżeli już to w podobnym stanie zdarzało się jej widzieć Ghartouna chan Hagrahyla. Tak właśnie wyglądał, kiedy podejmował decyzję o pozostawieniu Jathmara w lesie. I wtedy jeszcze, kiedy – zupełnie bezbronny – wstał i pokazał się obcym żołnierzom.

„To musi być ich dowódca” – pomyślała i przeszył ją lodowaty dreszcz. Stał i patrzył prosto na nią. Patrzył tak, jak wtedy spoglądał na nią Ghartoun, kiedy chciał jej wytłumaczyć swą decyzję. I sprawić, by go nie znienawidziła.

* * *

Jasak widział wszystkie emocje odzwierciedlające się w obliczu drobnej, obcej kobiety. Widział je jak na dłoni, rozumiał je i cierpiał wraz z nią. Nigdy, w całym swym życiu, nie czuł się równie bezradny. Nie istniał żaden sposób, którego mógł się chwycić by jej ulżyć, by sprawić żeby jej spojrzenie nie nabrzmiewało takim bólem.

Nie ważył się nawet podejść bliżej. Nie chciał zobaczyć, jak ranna dziewczyna odsuwa się od niego w obrzydzeniu. Spojrzał na Gadrial. Także na jej twarzy widać było ślady niedawnego płaczu. Otarła już jednak łzy i czekała teraz na to, co miał jej do powiedzenia.

–Jesteśmy gotowi do rozpoczęcia obrzędu polowego. Jeśli nie chcesz tego oglądać...

–Niektórych z nich znałam już na tyle dobrze, że mogłabym nawet nosić po nich żałobę – powiedziała wstając. Jej głos był cichy, lecz pełen determinacji.

–Obrzęd polowy nie jest widowiskiem dla wrażliwego widza.

–Nie wszyscy myślą o śmierci to, co Andaranie – odparła równie spokojnie co poprzednio lecz o wiele chłodniej.

–Nie. Rzeczywiście nie wszyscy – zauważył nie spuszczać z niej wzroku – Ale dziś zbyt wiele już oglądaliśmy płonących ciał. A tak właśnie wygląda ten obrzęd, Gadrial. To kremacja.

Gdy skończył mówić zdał sobie sprawę z surowego brzmienia własnego głosu. Mina Gadrial zmieniła się w jednej chwili. Chłód i powściągliwość zniknęły, zastąpione czymś przypominającym skruchę.

–Przepraszam – powiedziała. – Zachowałam się nieuprzejmie i bezmyślnie. To byli przecież twoi ludzie...

Odwróciła spojrzenie, lecz Jasak zdążył jeszcze zobaczyć łzy zbierające się na jej rzęsach. Po chwili jednak zebrała się w sobie i ponownie spojrzała mu w oczy.

–Dziękuję, że mi powiedziałaś – odezwała się cicho i spojrzała na nieznaną kobietę. Znow zerknęła na setnika.

–Gdybym była nią, chciałabym wiedzieć – powiedziała jeszcze ciszej niż poprzednio.

Jasak wzdrygnął się, ale zgodnie przytaknął. Gadrial uklękła obok rannej i zaczęła coś szeptać. Pomogła drobnej obcej wstać i utrzymać równowagę, gdy tamta się zachwiała. Jasak zdawał sobie sprawę, że nieznaną kobietą jest co najmniej mocno potłuczona. Miał nadzieję, że uderzenie w drzewo nie naruszyło kości czaszki.

„Nie bądź głupi” – napomniął się ostro – „Gadrial nie pozwoliłaby jej wstać, gdyby była połamana.”

Shaylar musiała opierać się na nieznanym, lecz wreszcie udało się jej wykonać kilka niepewnych kroków ku polanie. Dym już się podniósł, swąd jednak pozostał. Shaylar zrobiło się niedobrze. Była pewna, że wspomnienie tego smrodu nie opuści jej do śmierci. Kobiety dotarły do krawędzi lasu. Tu nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Gdyby nie pomocny, silny chwyt obcej upadłaby na pewno.

Nie była w stanie zliczyć ciał. Było ich tak wiele. Świat znów zawirował. Po raz kolejny chciała ją pochłonąć ciemność. Tym razem jednak uparcie walczyła z omdleniem i z zaburzonymi zmysłami. Nie chciała tracić przytomności. Dlaczego oni ją tu przyprowadzili? Dlaczego chcieli, by oglądała żalosne szczątki swoich bliskich – i zwłoki tych, którzy ich mordowali? Miała ochotę krzyczeć. Była wściekła na obcych, którzy zmusili ją do patrzenia na to krwawe szaleństwo.

Zwróciła wreszcie uwagę na stojących w szeregu żołnierzy. Milczeli, hełmy trzymali w dłoniach. Wtedy odezwał się wysoki oficer. Mówił bardzo cicho. Shaylar wreszcie zrozumiała, czego była świadkiem. To była mowa pogrzebowa. Oglądała święty obrzęd.

Grzebali nie tylko swoich. Gdy zmusiła się by ponownie spojrzeć na polanę zobaczyła ciała swych towarzyszy złożone z taką samą starannością, z jaką zajęto się obcymi żołnierzami. Umarłym wyprostowano nogi, ręce skrzyżowano na piersiach, z ciał wydobyto bełty...

Jej Talent, choć okaleczony uderzeniem, nadal był na tyle sprawny, że mogła odbierać uczucia towarzyszącej sobie kobiety. Kiedy zaczęły przez nią przepływać skrzywiła się boleśnie. Obcy byli wstrząśnięci tak samo, jak Shaylar. Starali się okazać poległym wrogom taki sam szacunek, z jakim czcili pamięć swoich towarzyszy. Ktoś wszedł pomiędzy ciała. Każdemu poległemu kładł na piersi mały przedmiot. Nie wiedziała co to było, ale żołnierz poruszał się wśród ciał z szacunkiem i najwyższą ostrożnością. Prostokątne, twarde kostki lśniły w słońcu tym samym kryształowym poblaskiem, jak przerażająca broń, która w trakcie bitwy miotła w nich błyskawice.

Wreszcie ostatnia kostka spoczęła na miejscu i kusznik wrócił na skraj polany, gdzie dołączył do reszty swoich. Dowódca dodał coś jeszcze, po czym odwrócił się i spojrzał na Shaylar. W oczach miał coś przerażającego i błagalnego zarazem. Wyciągnął z kieszeni bluzy jakiś niewielki przedmiot, spojrzał ponownie na swych żołnierzy i znów przemówił.

Mówił rozkazująco. Wszyscy żołnierze wyprostowali się i stanęli na baczność. Prawe dłonie uderzyły w lewe ramiona. Zapewne w ten sposób salutowali. Tak zastygli, a oficer, nabrawszy powietrza w płuca – jakby dla dodania sobie odwagi – dotknął czegoś na przedmiocie, który chwilę temu wydobył z kieszeni.

Okolicę zalał blask. Tak jasny, że Shaylar musiała odwrócić wzrok. Zaciśnęła odruchowo powieki. Kiedy je ponownie otworzyła zeszywniała. Ciało, które obcy tak pieczołowicie i z wysiłkiem ułożyli na ziemi płonęły żywym ogniem.

Zakrztusiła się i spróbowała się odwrócić. Straciła przy tym równowagę. Padała, pociągając za sobą obcą kobietę. Chwyciły ją mocne ramiona, nie pozwalając jej runąć na ziemię. Zaczęła się szarpać jak dzika kotka. Drapała, wymachiwała pięściami. Za wszelką cenę chciała uciec od nowej grozy. Równie dobrze jednak mogła walczyć z górą. Trzymano ją zbyt mocno, ze znaczną siłą, lecz delikatnie. Właściciel rąk powiedział coś głosem przepelnionym głębokim bólem.

Wtedy właśnie po raz kolejny zdradził ją jej Talent.

Wszystkimi zbolalymi zmysłami odebrała jego żal, ostry niczym sztylet wbijający się w serce. To nie wszystko. Poczwała też, jak bardzo chciał ulżyć jej cierpieniu, żałował też, że próba okazania szacunku jej pobratymcom wywarła tak opłakany skutek. Wiedziała, że zrobiliby wszystko, by jej pomóc, wiedziała to z całą pewnością, jaką może mieć jedynie telepata.

Bardziej okrutnie nie mógł jej potraktować. Jej potrzebny był wróg, którego mogłaby nienawidzić, a tymczasem on pokazał jej swe skrwawione serce i cierpienie człowieka, który chciał ją chronić mając jednocześnie świadomość, że zniszczył jej życie.

Shaylar otworzyła oczy i spojrzała mu w twarz. Zadrżała gwałtownie i zwiotczała.

* * *

Jasak przyglądał się bezradnie jak drobna, ranna kobieta wędnie mu w ramionach. Chciał okazać jej towarzyszom taki sam szacunek, jak swoim własnym poległym. Miał nadzieję – modlił się o to – by zrozumiała, że umarłych było zbyt wielu, a żywych zbyt mało, by mogli odtransportować ciała do domu. Zbyt wielu, by mogli pochować ich w ziemi. Gdyby to zrobili nie zdążyliby na czas odprowadzić rannych. Tych, którzy mogli jeszcze przeżyć.

Nie mógł – nie chciał – zostawiać poległych na pastwę myszołomom i krukowi. Jej ludzie byli takimi samymi ludźmi jak jego, choć zaczynał podejrzewać, że to nie byli żołnierze. To byli cywile, którzy walczyli z właściwą wojsku odwagą i zaciętością. Coś takiego musiał uszanować każdy człowiek honoru. Jeśli ktokolwiek w ogóle zasługiwał na pośmiertne zaszczyty to właśnie ci obcy.

Zrozumiał, że powinien był jednak przewidzieć jak zareaguje na błysk światła i ognia ktoś, kto niedawno widział, jak jego przyjaciele giną w wybuchach zabójczych płomieni. Zwłaszcza, że nikt nie był w stanie wyjaśnić kobiecie znaczenia obserwowanego obrzędu.

Jasak nie wiedział, co powinien teraz robić. Żadne instrukcje, żaden kurs oficerski nie uczył zachowania w podobnej sytuacji. Spojrzał na Gadrial w nadziei, że ona podsunie mu jakiś pomysł, najdrobniejszą nawet sugestię. Kelbryan też jednak stała zagryzając wargę z malującym się na twarzy poczuciem winy i bezradności. Bezradności tak samo dojmującej jak jego własna.

Wtedy jednak ranna kobieta uniosła głowę. Patrzyła mokrymi, zbolałymi, zaczerwienionymi płaczem oczyma. Przyglądała mu się przez chwilę, która zdawała się Jasakowi wiecznością. Nawet nie zdawał sobie sprawy, że na tę chwilę wstrzymał oddech. Kiedy odwróciła w końcu wzrok poczuł się, jakby uwolniła go z mocy hipnotycznego paraliżu. Spojrzała na gorejące wściekle pogrzebowe płomienie.

Uwolniła się z uchwytu i obserwowała płonące ciała. Chwiała się. Jej twarz pokryła śmiertelna bladość. Gdy się odezwała Jasakowi zabiło mocniej serce. To, co mówiła na tle huk płomieni zdawało się ciche i kruche. Nie wiedział, czy nieznajoma przywołuje jakieś swoje bóstwo, czy odmawia modlitwę za poległych lub może po prostu wymienia ich imiona. Mimo to przeszył go dreszcz.

Teraz już patrzyli na nią wszyscy. Kilku żołnierzy zadrżało. Jasak zastanawiał się ilu z jego ludzi mogła zabić osobiście. W końcu, kiedy ją znaleźli nadal ścisnęła broń w rękach. Kim była? Nie znał nawet jej imienia, zawodu, powodu, dla którego się tu znalazła. Tym silniejszy był jego wstrząs.

Kobieta wreszcie zamilkła i zamknęła oczy. Znieruchomiła na długą chwilę. Tylko łzy powoli spływały jej po policzkach. Włosy miała pozlepiane zaschniętą krwią, twarz napuchniętą i zsiniałą. Wszyscy obecni zdawali sobie sprawę z ogromu cierpienia jakie musi przeżywać. Kiedy Gadrial objęła ją w końcu ramieniem, obca niemal wybuchnęła głośnym płaczem. Zachwiała się. Jasak ruszył jej na pomoc, ale nieznajoma odzyskała równowagę, usztywniła nogi w kolanach i wyprostowała się o własnych siłach.

–Jathmar – wyszeptała głosem pełnym bólu. Jasak patrzył jak Gadrial odprowadza obcą między drzewa i pomaga jej usiąść obok mężczyzny, noszącego taką samą jak ona bransoletkę.

Po chwili odwrócił wzrok i zajął się kolejnym, czekającym go zadaniem. Musiał obmyślić sposób na przetransportowanie przez dwadzieścia mil leśnej głuszy swych własnych rannych, a także poparzonego niemal śmiertelnie mężczyzny i kobiety z wyraźnymi objawami wstrząsu mózgu. Chciał też ustalić, co tak naprawdę zaszło na polanie, oraz w jaki sposób tak niewielkiej garstce ludzi udało się unicestwić oddział półsetnika Garlatha w tak krótkim czasie. Pierwszy pluton podjął walkę przy stanie pięćdziesięciu sześciu kuszników i kanonierów. Teraz nie żyło dwudziestu siedmiu z nich, a kolejnych dziewiętnastu leżało rannych – obrażenia niektórych były bardzo poważne.

Po odesłaniu Threbucha i jednego piechura na poszukiwanie portalu, Jasak dysponował mniejszą liczbą zdrowych ludzi, niż miał rannych – nawet jeśli wliczył sześciu inżynierów i tragarzy.

Reszta dnia nie zapowiadała się wesoło.

* * *

Haliyar Narmayla próbowała powstrzymać się od płaczu. Powóz turkotał po wyłożonych brukiem ulicach Nowego Ramath. Kawalerzysta jadący przed nią oczyszczał drogę. Jej powóz miał absolutne pierwszeństwo. Zarządca portu czekał już, poinformowany zawnazu o jej przybyciu. Statek z pewnością stał już pod parą. Tymczasem powóz kołysał się i wibrował na swych gumowych oponach.

Za oknem niewiele było widać, choć ona i tak nie była w nastroju do wyglądanía na zewnątrz. Nowe Ramath było szacownym małym miastem – albo, w zależności od definicji – bardzo dużym miasteczkiem. Pod żadnym względem nie można go jednak było nazwać metropolią. Wzniesiono je niedaleko od granic znanego multiwersum. Co więcej – jedynym powodem założenia miasta była konieczność zapewnienia obsługi Fortu Tharkoma, który przycupnął na skale w górach, czterysta mil dalej w głąb lądu, skąd strzegł zarówno wyjścia portalu wiodącego z wszechświata Salym, jak i końca linii kolejowej z samej Sharony. Oczywiście tor sięgał dalej niż do Tharkomy. Tak naprawdę linia kończyła się niecałe kilkaset mil od Fortu Salby we wszechświecie Traisum.

Nowe Ramath stanowiło kluczowy punkt łańcucha wiążącego poszerzające się granice multiwersum z rodzimym wszechświatem ich cywilizacji. Co prawda, można było położyć linię kolejową z Losalthy bezpośrednio do Tharkomy, ale Losaltha była salymskim odpowiednikiem Barkesh w prowincji Teramandor. Leżała więc w miejscu, w którym półwysep Narhathan i cypel Bolakin zamykały od zachodu morze Mbisi. Tory musiałyby przeciąć północne wybrzeże Mbisi i przekroczyć jedne z najmniej dostępnych gór w całym multiwersum. Zarząd Portali czerpiąc ze swego długoletniego doświadczenia w eksploracji, w porozumieniu z udziałowcami Kolei Trans-Temporalnych, postanowił zaniechać kosztownej budowy i jak długo było to opłacalne korzystać z transportu wodnego.

Miasto Losaltha, wzniesione na brzegu przepięknej zatoki, która przez tak długie lata służyła Barkesh w Sharonie, przechodziło właśnie proces industrializacji i gwałtownego rozwoju. Mimo to, na mocy decyzji Zarządu i Kolei parowce transportowano do Salym koleją. Przybywały w częściach, które następnie składano w Losalcie, po czym wchodziły do aktywnej służby łącząc miasto z Nowym Ramath. Haliyar była pod wrażeniem wielkości części statków, które można było przewieźć specjalnymi wagonami Kolei Trans-Temporalnych. Były naprawdę wielkie. Mimo to, większość statków tu w Salym zbudowano na miejscu. Co więcej – były to głównie

żaglowce. Standardowy rodzaj okrętów we wszystkich zewnętrznych wszechświatach.

Nawet biorąc pod uwagę, że jedynym powodem istnienia Nowego Ramath była obsługa należących również do Kolei statków pasażerskich i transportowców krążących nieustannie pomiędzy Losaltha i portalem Tharkoma, rozmiar miejskich nabrzeży i doków mógł zdumiewać. Tak samo zresztą jak ilość powstających tu luksusowych hoteli. Nie zmieniało to jednak prowincjonalnego charakteru miasta – miasta, w którym nie było wielu udogodnień, normalnych w bardziej cywilizowanych miejscach. To zresztą na początku niezwykle zaskoczyło Haliyar, kiedy przysłano ją tu po raz pierwszy. W końcu Tharkoma znajdowała się niecałe dwieście mil od Larakesh, portu nad brzegiem morza Ylani, obsługującego najwcześniej odkryty portal, oraz trochę tylko ponad trzysta mil od samej Tajwany. To znaczy od miejsc, w których na Sharonie znajdowały się Larakesh i Tajvana.

„Dlaczego w takiej chwili pozwalasz sobie na krajoznawcze refleksje?” – napomniała się w myślach.

Zacisnęła mocniej wargi. Dobrze znała odpowiedź. Po prostu nie chciała myśleć o koszmarnej wiadomości, którą niosła ukrytą w najgłębszych zakątkach umysłu.

„Gdyby tylko Josam nie zachorował...” – pomyślała z goryczą.

Ale zachorował. Josam chan Rakail był Głosem przypisanym do Fortu Tharkoma. Zasięg jego Talentu wystarczał do komunikacji z Chenrysem Hordanem, stacjonującym w małym miasteczku Hurkaym. Hurkaym nie było w zasadzie miastem, a rozwiniętą wioską, wybudowaną na wyspie, która na Sharonie nosiła nazwę Jerekhas i leżała w pobliżu obcasa na bucie półwyspu Osmariańskiego. Tutaj wioska służyła za łącznik pomiędzy Fortem Tharkoma i Fortem Losaltha. Josam bez trudu mógł kontaktować się z Hurkaymem, ale zasięg Haliyar był o wiele mniejszy. Dlatego pracowała w Nowym Ramath, przesyłając komunikaty z miasta do fortecy przy portalu. Josam jednak zapadł na coś przypominającego zapalenie płuc, a jego asystent – także Głos – dysponował jeszcze słabszym Talentem, niż Haliyar. Był jedynie w stanie przekazać wiadomość do niej z prośbą o przesłanie jej dalej, do Chenrysa.

„Muszę więc dostać się w miejsce, skąd będę mogła to zrobić” – stwierdziła w myślach.

Wyjrzała wreszcie przez okno. W Nowym Ramath panowała noc. Śpiące spokojnie miasto oblepiała ciemność. Zastanowiła się, czy tak spokojny wieczór kiedykolwiek się jeszcze powtórzy, po tym jak mieszkańcy miasta poznają treść jej wiadomości.

Wyczuła palcami twardy, okrągły kształt kieszonkowego zegarka skrytego w

kieszeni na piersi jej ciepłej kurtki. Nawet jej Głosowi – ciężko było uwierzyć, że od brutalnej napaści na zespół badawczy Konsorcjum Chalgyn minęło mniej niż pół godziny. A działa się to przecież pięć wszechświatów, dwa kontynenty i cały ocean od Nowego Ramath. Zagryzła wargę, powstrzymując cisnące się do oczu łzy.

Shaylar Nargrę Kolmayr i jej męża, poznała kiedyś, gdy przejeżdżali przez Salym. Będąc Głosem – co prawda ani w przybliżeniu nie tak dobrym jak Shaylar – nie mogła nie zwrócić uwagi na łączące ich wzajemne oddanie. Ich małżeńska Więź była tak silna, że każdy telepata – Głos czy inny Utalentowany – musiał ją wyczuć po pięciu spędzonych wspólnie minutach. Chcąc nie chcąc.

Ta wiedza pogłębiała tylko cierpienie, jakie niosło ze sobą Oglądanie śmierci Jathmara oczami Shaylar, oraz ta potworna chwila, w której Shaylar nagle zamilkła. Czuła to. Widziała. Wrażenie było podobne do uderzenia toporem. Musiała teraz przekazać ten koszmarny moment dalej, do Chenrysa.

Gdyby Josam nie zachorował, nie musiałyby tego robić. Mogłyby uniknąć tej nieznośnej świadomości, nie musiałyby poznawać wszystkich szczegółów tego, co spotkało dwójkę ludzi, których znała, lubiła i głęboko podziwiała... i którym zazdrościła.

Powóz zwolnił. Haliyar zaczerpnęła powietrza szykując się do wyjścia, gdy tylko otworzą się drzwi. Czekala na nią szybka – napędzana turbinami parowymi nowego typu – łódź zdolna rozwinąć prędkość nawet ponad trzydziestu węzłów – dym bił z jej dwóch solidnych kominów. Haliyar potrafiła przekazywać informacje na około trzysta mil, więc parowiec nie musiał jej dowozić do samego Hurkaym. Wystarczyło, że znajdzie się w pobliżu zachodniego wybrzeża Osmarii. Wtedy będzie mieć Chenrysa w zasięgu. Ta łódź pokona tę odległość w niecałe cztery godziny. Wiadomość – wraz ze wszystkimi niewiarygodnymi obrazami – pomknie potem wzdłuż łańcucha tranzytowego dosłownie z prędkością myśli.

Z drugiej strony, istniały wodne przestrzenie, na których nie było możliwości zbudowania posterunków przekaźnikowych, takich jak Hurkaym. One opóźnią wiadomość na znacznie dłużej niż tylko cztery godziny. Tak czy inaczej, wiadomość dotrze do Tajwany, do głównej siedziby Zarządu Portali w niecały tydzień.

„A o tym, co wydarzy się potem” – pomyślała, kiedy pomocnik woźnicy otwierał dla niej drzwiczki powozu – „lepiej nie myśleć.”

Zatrzymała się na chwilę przyglądając się kołyszącemu się w jasnym świetle gazowych latarni parostatkowi i zadrzała.

Rozdział 10

Jasak musiał wysłać kolejną wiadomość. Nie podobało mu się to, lecz nie miał wyboru. Podszedł do Iggara Shulthana.

–Igggy, potrzebuję jeszcze dwóch brzęczków.

–Tak jest. Spodziewałem się tego, Sir.

Treser brzęczków otworzył małą drucianą klatkę, której grube pręty znacznie różniły się wytrzymałością od tych, za którymi bogate damy trzymały swe śpiewające, kolorowe ptaszki.

Żołnierz pracował ostrożnie i delikatnie. Bez przerwy szeptał. W końcu wydobył z klatki jednego z dziesięciu pozostałych brzęczków. Pierwszy pluton – tak jak i każda inna jednostka kompanii C – miał zawsze do dyspozycji dwanaście stworzeń.

Brzęczki były tak agresywne, że zwykła tresura i osvajanie nie wystarczały. Należało jeszcze użyć specjalnych zakłęb, które niwelowały ich pierwotne instynkty. Ptak, którego uwolnił z klatki Shulthan, był piękny. Lśniły na nim zielone, opalizujące pióra. Rubinowe podgardle czerwieniło się w słońcu. Był pięć razy większy od dzikich kolibrów, a rozmiary jego ostrego jak brzytwa dzioba zaskakiwały – i straszyły – jeszcze bardziej.

Andarańscy zwiadowcy, podobnie zresztą jak wszystkie inne mutiwersalne organizacje, hodowały magicznie modyfikowane brzęczki całymi tysiącami. Ptaki stanowiły rdzeń systemu komunikacyjnego Unii Arkany. W ciągu jednego lotu potrafiły pokonać ponad tysiąc mil.

Jasaka najbardziej zawsze zdumiewał sposób, w jaki przenosiły informacje. Wynalazca systemu – był nim andarański zwiadowca – o czym Jasak pomyślał nie bez pewnej satysfakcji, zrezygnował z wykorzystywania ptaków dużych, powolnych i narażonych na ataki gryfów, na rzecz małych i szybkich stworzeń. Zmutowanym zakłębami brzęczkom wszczepiano maleńki kryształ, cienki jak papier, lecz zdolny do przechowywania zadziwiająco złożonych i długich wiadomości.

Treserzy brzęczków zapisywali informacje w kryształach dokładnie w ten sam sposób, w jaki Gadrial prowadziła notatki w swoim osobistym kryształ. Odczytać je mogli podobni fachowcy na miejscu. Jasak lubił smoki – ich widok zawsze podnosił go na duchu, ale brzęczki były przy nich prawdziwym dziełem sztuki.

–Jestem gotów, Sir – oznajmił Shulthan – Dokąd?

–Pierwszy ptak na wybrzeże – powiedział Jasak. – Drugi do oszczepnika Krankarka

przy portalu.

Shulthan skinął głową i wypowiedział odpowiednie zaklęcie, które ustaliło w kryształach miejsca docelowe i spojrzął ponownie na Jasaka.

–Proszę o wiadomość, Sir.

–Setnik Olderhan, Druga Andarańska do pięćsetnika Khana, Fort Rycharn. Pilne. Pierwszy pluton mojej kompanii poniósł ciężkie straty w boju. Siła bojowa plutonu zredukowana do ośmiu – powtarzam, ośmiu – i po nawiązaniu walki z ludźmi, którzy w mojej ocenie stanowili grupę badawczą, pochodzącą z innej transtemporalnej cywilizacji. – Nie wierzył własnym słowom. – Kilku rannych z poważnymi obrażeniami wewnętrznymi – ciągnął – w stanie krytycznym. Wymagają natychmiastowej interwencji uzdrowiciela. Odtransportuję ich do obozu jak najszybciej. Nie dotrzemy jednak na miejsce wcześniej niż za dwadzieścia godzin od sygnatury czasowej niniejszej wiadomości.

Jasak zamilkł rozważając czy powiedział wystarczająco dużo, czy powinien coś jeszcze dodać. Co jednak było tu do dodania? Resztę mógł przekazać już tylko osobiście, poza tym zbyt wiele pytań czekało jeszcze na odpowiedź.

Skrzywił się i pochylił głowę.

–Setnik Olderhan. Koniec przekazu.

Znów odezwał się Shulthan umieszczając zaklęciem treść wiadomości w kryształach. Pogłaskał łagodnie brzęczka, szepnął coś do niego i podrzucił w powietrze. Ptak odleciał tak nagle, że Jasak nawet tego nie zauważył, choć przez cały czas śledził stworzenie wzrokiem.

Odetchnął głęboko, wyobrażając sobie konsternację, jaką wywoła przekaz, gdy tylko brzęczek doleci do Fortu Rycharn. Zwrócił się na powrót do Shulthana.

–Drugi brzęczek, proszę.

W wiadomości do Krankarka mógł wreszcie przekazać coś pomyślnego. Mógł poinformować magistra Halathyna vos Dulainaha, że Gadrial jest cała i zdrowa.

Podyktował wiadomość i jak zawsze starał się śledzić wzrokiem odlatującego ptaka. I jak zawsze nic mu z tego nie wyszło. Brzęczek odleciał pomiędzy drzewami niczym błyskawica. Setnik wrócił do niedobitków plutonu. Zrobił wszystko, co mógł – teraz tylko czas był w stanie udzielić odpowiedzi na pytanie, czy wspólne – jego i Gadrial – wysiłki pozwolą rannym przeżyć.

Miał też nadzieję, że dwadzieścia pięć godzin nie było zbyt optymistyczną oceną

czasu potrzebnego na powrót do bazy.

* * *

Andrin Calirath czuła dziwny niepokój.

Drażniące wrażenie, coś jak rój pszczoł szalejących tuż pod jej skórą. Denerwujące, bezustanne brzęczenie, które niemal doprowadzało ją do szaleństwa. W tym stanie spędziła większą część popołudnia. Uczucie nie było na tyle silne, by uznać je już za prawdziwy Przebłysk, a mimo to zbyt natarczywe i trwałe, by je zignorować.

Pogoda też nie poprawiała jej nastroju. Zeszły tydzień był ciepły i ładny – ostatnie podrygi lata. Dzisiaj jednak natura postanowiła przypomnieć ludziom, że zapanowała już jesień. Aura stała się równie nieokreślona jak drażący ją niepokój. Nie było nawet wiadomo jak określić to, co działo się na zewnątrz – było zbyt mokro by nazwać opad mgłą, a jednocześnie nie na tyle wilgotno by mianować go deszczem. Ogrody widoczne za wielką szklaną taflą służącą za okno w Sali Różanej były niemal zupełnie przesłonięte potrójną zasłoną deszczu, mgły i nadchodzącego wieczora. Jej humor pasował jak ulał do widoku za oknem – chłód, złe samopoczucie, samotność. Radośnie gawędzące siostry doprowadzały ją do szału. Miała ochotę uciec z komnaty, wyszarpując sobie z głowy włos po włosie.

Opanowała jednak ten impuls – zdecydowanie. Wielkiej księżniczce Imperium Ternathii nie przystało publicznie poddawać się zmiennym nastrojom bez względu na okoliczności. Ten obowiązek – i związana z nim odpowiedzialność – ciążył na ramionach, które widziały jedynie siedemnaście jesieni. Tak naprawdę jednak, uciążliwości wynikające ze szlacheckiego urodzenia wcale jej nie przeszkadzały. W każdym razie nie za bardzo. Cieszyła się, mając dzięki niemu wiele okazji do okazywania ludziom dobrego serca. Jak mogła starała się odmienić ich życie. Była wdzięczna wobec losu za to co miała i za to, co mogła dzięki temu uczynić. Nigdy przy tym nie zapominała kim – i czym – jest. Nosila nazwisko Calirath. Wychowana została w tradycji służby swemu ludowi, rodzinie i sobie samej. Wszystko inne – wliczając w to skryte, najbardziej intymne marzenia – miało co najwyżej drugorzędne znaczenie.

Za nią, w kominku, jasnym płomieniem płonął węgiel. Ten kominek zbudowano jeszcze w czasach, w których węgiel uważano za zabawne, czarne kamyczki, a jedynym paliwem na wyspie były drzewa i torf. W wielkim palenisku mógł się zmieścić dojrzały dąb, lecz teraz płonęło tam pięć oddzielnych węglowych ogni, równomiernie rozmieszczonych na całej długości kominka. Ostra, dusząca woń czarnego pyłu, stanowiła kolejną z irytujących niedogodności, jakie przyszło jej dzisiaj znosić. Zimy w Ternathii zazwyczaj w niczym nie przypominały tonącej w głębokim śniegu, mroźnej pory roku w Farnalii. Mimo to dzisiaj – a przecież był to dopiero początek października – pałac przenikał dojmujący chłód. Pomyślała, że ma niezwykle

szczęście znajdować się tak blisko ognia i szczelniej owinęła się ciepłym szalem. Był miękki i oferował kojącą pieśczołę, która trochę łagodziła roztańczone w jej ciele pszczoły.

Mały zegarek na jej płaszczu obwieścił upływanie kolejnej godziny deszczem krystalicznie czystych dźwięków. Srebrzyste nuty uświadomiły jej, że oto właśnie przeminęła kolejna godzina jej życia, którą musiała poświęcić komu innemu. Na tę myśl pszczoły zareagowały wzmożoną aktywnością, co wpędziło ją w jeszcze bardziej ponury nastrój. Kochała swoją matkę i siostry, ale w dzień taki jak dziś, kiedy jej Talent nie dawał spokoju, Andrin potrzebowała więcej samotności. Potrzebowała czasu, by skupić się na własnym wnętrzu, by dociec jaka wiadomość kryła się za kłującym, niepokojącym drzeniem ciała i ducha.

Zabrzmiał jeszcze jeden zegar. Prawie zgrzytnęła zębami. Matka kochała wymyślne bibeloty, w rodzaju zegarków o głosach ptaków. Sala Różana – prywatna komnata cesarzowej Vareny – była pełna podobnych, delikatnych ozdób. Andrin bała się tu swobodnie poruszać – w odróżnieniu od swych sióstr – wdzięcznego chodu musiała się bardzo długo uczyć, co więcej, została do tej nauki – niestety – zmuszona tak samo, jak niesfornych uczniów uczy się na siłę arytmetyki.

„Chcę stąd wyjść!” – krzyczała cała jej dusza. – „Uciec z tej komnaty, z tego pałacu! Pozbyć się tego okropnego przeczucia zagłady!”

Talent Andrin nigdy nie zwiastował niczego przyjemnego ani radosnego. Dlatego właśnie – z powodu tej jawnej niesprawiedliwości losu – była tak podrażniona. I dlatego właśnie tak bardzo się bała. O tym właśnie, o swoim strachu, myślała stojąc przed oknem i wyglądając na chmurny ogród. Starła się sięgnąć wzrokiem dalej, poza smutek i mgły. W dni takie jak ten oddałaby duszę za to, żeby przeistoczyć się w najzwyklejszą mleczarkę, albo sprzedawczynię z małego sklepiku. Wtedy nie dręczyłyby jej żadne problemy poważniejsze od zaspokojenia gustów klientek, które wahałyby się który kolor wstążki do włosów wybrać. Sklepiarki nie odczuwały nieprzeniknionych zwiastunów nieszczęścia rojących się wstrętym dreszczem pod skórą.

Zdolność do przepowiadania przyszłości stanowiła klątwę królewskiej krwi.

„Dobrze przynajmniej, że to Janaki jest następcą tronu” – pocieszyła się w myślach.

Rozchmurzyła się nieco na tę myśl. Jej starszy brat, służący w Imperialnej Piechocie Morskiej znajdował się teraz na patrolu, gdzieś na pograniczu Sharony. Szalenie mu tego zazdrościła. Zazdrościła mu otwartego nieba, możliwości galopu na końskim grzbiecie wyłącznie dla przyjemności. Przechodzenia przez portale, o których ona tylko czytała siedząc w zamknięciu kamiennych murów i ogrodowych żywopłotów. Jakże byłaby szczęśliwa, gdyby mogła pojeździć na swym stępaku ulicami Estafel.

Zrobiłaby to chętnie nawet mimo przenikliwego chłodu i deszczu, który na pewno zamienił już bruk stolicy w niebezpieczną ślizgawkę.

Prawie westchnęła. Opanowała się jednak w ostatniej chwili i nikt tego nie usłyszał. Nie chciała przekazać swego smutku matce lub siostrze.

Ze szczękiem otworzyły się drzwi.

Andrin odwróciła się, radując się na każdą odmianę. Z drugiej strony jednak poczuła ukłucie niepokoju. Gdzieś, w którymś z wszechświatów, które Sharonianie nazywali domami, mogło stać się coś złego. Uspokoiała się jednak widząc, że to tylko ojciec przyszedł na obiad.

Spróbowała się uśmiechnąć, cieszyła się, że przybysz nie okazał się posłańcem ze złymi wieściami. Jej ojciec był – jak większość Ternathian – potężnie zbudowanym mężczyzną. Nie był krępy, ani tym bardziej gruby, lecz zbudowany jak byk. Miał szerokie bary i gruby kark – dziedzictwo dynastii Calirath. Ku swemu wielkiemu rozżaleniu – i irytacji osobistej krawcowej – podobną budową cechowała się i ona. Do matki natomiast nie była podobna wcale. Cesarzowa Yarena miała co prawda prawie metr osiemdziesiąt i to bez butów, lecz wyglądała niezwykle delikatnie, niemal krucho, kiedy stawała u boku męża – Jego Cesarskiej Mości, Zindela XXIV Diuka Ternath, Wielkiego Diuka Farnalii, Wodza Zachodu, Obrońcy Pokoju i z Łaski bogów Cesarza Ternathii.

Cesarza, na którego obliczu malował się równie paskudny nastrój, jaki przeżywała Andrin. Tylko wysiłkiem woli nie otworzyła szeroko ust ze zdziwienia.

* * *

Zindel chan Calirath zauważył zaciśniętą nerwowo szczękę córki, sztywność jej ramion i bez słowa zrozumiał, że Andrin też to poczuła. Zatrzymał się w drzwiach, w połowie w komnacie, w połowie na zewnątrz i ich skrzydło prawie uderzyło go w piętę. Odźwierny otwierał i zamykał wejście do Sali Różanej codziennie, punktualnie o szóstej po południu przez ostatnie dwadzieścia lat. Ani razu przez cały ten czas, cesarz nie zatrzymał się w pół kroku.

To nie była jednak wina Zindela. Ostrzeżenie przeszło go niespodziewanie i gwałtownie, gdy tylko spojrzał w oczy swej najstarszej córki. Zacerpnął głęboko powietrza, zupełnie ignorując odźwiernego, który w panice, w ostatniej chwili złapał za klamkę. Nie miał nawet pojęcia jak niewiele brakowało do bolesnego zderzenia. Całe ciało cesarza przeszło dreszcz pod wpływem przemożnego Przebłysku.

Coś miało się wkrótce wydarzyć. Coś, co miało zniszczyć jej życie.

„Na bogów! Tylko nie ona! Tylko nie Andrin!” – wyszeptał mu w głowie cichy głos.

Na moment zacisnął pięści. Zacisnął je odbierając oszalamiające, na pół tylko określone wizje, splątane, ulotne, niemal niemożliwe do uchwycenia. Buchające płomienie. Zapłakane twarze. Potężna, ozdobiona herbem Królestwa Shurkhal, lokomotywa pędząca po torach wśród pustynnych piasków. Wielki wieloryb wyskakujący wśród spienionych fal z głębi morza. Strzały w ciemności i na deszczu. Miasto, którego nigdy nie widział, a jednak wydawało się dziwnie znajome. Płonący okręt. Pyszna sala balowa i jego młoda córka płacząca niczym małe, wystraszone dziecko...

Zadrgały mu nozdrza. Przepływała przez niego ta niemalwiedza, która była najwspanialszym darem i najstraszliwszą klątwą ciążącą na jego rodzie już od ponad dwóch tysięcy lat. Cesarz nie był Głosem, lecz wyraźnie czuł, że te same wizje przebiegają przez umysł Andrin. Być może to pokrewieństwo ich Talentów wyostrzyło w jakiś sposób tajemnicze obrazy. Poczul jej strach i zagryzł wargę.

Po chwili otworzył oczy i ujrzał cierpiącą w duchu Andrin. Zrozumiał co znaczyło jej napięcie i cienie przemykające pod jej powiekami. Były echami jego własnej obawy, tego samego lęku, który dręczył i jego. Kiedy radośnie witała się z nim żona i pozostałe córki ani na chwilę nie oderwał wzroku od Andrin. Patrzyła na ojca ponuro, jakby spoczął na niej potworny ciężar, tym bardziej trudny do zniesienia, że nienazwany, obcy. Uśmiechnął się i poczul, że pęka mu serce.

Bardzo wyrosła w ciągu ostatnich dwóch lat. Za bardzo jak na typową, pałacową piękność. Pod jedwabiami i aksamitem stroju księżniczki, kryło się mocno zbudowane ciało. Jego Andrin nie była ślicznotką, na pewno nie w zwykłym sensie. Miała zbyt wyrazistą brodę, zbyt dumny nos, a jej twarz zanadto przypominała trójkąt. W jej oczach i kącikach ust czaiła się jednak siła. Długie, kruczoczarne włosy przeplecione były złotymi kosmykami, jakimi szczylicili się wyłącznie Utalentowani Calirath. Te pasemka przydawały jej nieziemskiego wdzięku, którego sama była zresztą zupełnie nieświadoma. Oczy miała jasne i szare jak morze.

–Witaj papo – powiedziała wyciągając rękę.

Przeszedł przez Salę Różaną szybkim krokiem i delikatnie ją objął, nie pozwalając sobie na mocny, opiekuńczy uścisk. Tak samo ostrożnie przywitał pozostałe córki i żonę. Każde powitanie zajęło mu dokładnie tyle samo czasu. Nie chciał, żeby Varena domyśliła się, że obudził się w nim Talent i coś go dręczy. Jeszcze nie czas. Nie – dopóki Przebłysk nie zdradzi mu czegoś więcej. Musiał Zobaczyć coś jeszcze.

–No więc – odezwał się do Razial, która niedawno obchodziła piętnaste urodziny i Anbessy, która swe jedenaste urodziny świętowała dwa miesiące temu – Jak poszły wam dziś lekcje?

Pozwolił ogarnąć się ich młodym głosom. Pociężyła go i nawet nieco rozbawiła

skarga małej Anbessy, która nie widziała sensu w uczeniu się kształtu granic Ternathii sprzed ośmiuset lat, kiedy to granice Imperium były o wiele bardziej rozległe.

Potem porozmawiał z Razial. Entuzjazm, z jakim jego średnia córka podchodziła do swoich lekcji sztuki, brał się raczej z faktu, że prowadził je przystojny nauczyciel, niż dlatego, że szczególnie upodobała sobie malowanie. Cesarz jednak wiedział, że skłonności nauczyciela wykluczają zainteresowanie młodymi, ślicznymi księżniczkami. Janaki z kolei był na tyle dojrzały, że sam już prowadził swe sprawy miłosne, a na dodatek znajdował się teraz kilka wszechświatów dalej. Zindel nie musiał się więc niepokoić o cnotę żadnego ze swoich potomków. Młody artysta nie stanowił zagrożenia. Obecne zauroczenie Razial traktował z przymrużeniem oka, jako coś co pozwala na choć jeden uśmiech po tak ciężkim i ponurym dniu jak dziś. Zdawał sobie sprawę, że za pół roku rozszalałe hormony córki znajdą sobie nową ofiarę, jakiegoś innego młodego, przystojnego diabła. Na razie nie było się czym martwić.

Tymczasem...

Zindel usiadł przy żonie. Poczul bijące od niej, kojące ciepło. Czekali na służących, którzy za chwilę mieli przynieść posiłek. Nowa robótka ręczna Vareny – poszewka na cesarski klęcznik w Świątyni – była prawdziwym dziełem sztuki. Projekty cesarzowej kopiowano w całym Imperium – każdy liczący się członek Towarzystwa, a także ci wszyscy, którzy chcieli się do niego zaliczać musiał mieć coś takiego. I to nie tylko dlatego, że cesarzowa była cesarzową.

* * *

Jej Cesarska Mość Varena uśmiechnęła się, kiedy małżonek zajął obok niej miejsce. Nie przerwała jednak pracy. Zwinne palce nadal migotały. Lubiła to zajęcie, igłą i nitką potrafiła wykonać prawdziwe cudownia... poza tym, gdy jej dłonie były czymś

zajęte nikt nie widział, jak drżą ze strachu, a to zdarzało się cesarzowej aż nazbyt często.

Ona także była Utalentowana. Musiała być. Taki był wymóg, stawiany przed każdą narzeczoną mężczyzn z rodu Calirath. Jej Talent nie umożliwiał jej doświadczania Przebłysków tak, jak jej mężowi i córce, lecz był silny na tyle, że tak samo jak oni czuła niebezpieczne drgania w żołądku. Działo się coś złego. Wyczuwała to na swój ograniczony sposób a także widziała to doskonale w oczach męża i córki. Postanowiła jednak pozwolić im myśleć, że zdołali przed nią ukryć prawdę. Tak było bardziej uprzejmie.

Oni po prostu nie chcieli jej martwić, więc i ona skrywała swe zmartwienie.

Rozumiała, że co ma być to będzie. Nie widziała sensu w gonieniu za kłopotami, które i tak miały same nadejść. No chyba, że doznawała prawdziwego Przebłysku i miała wystarczająco dużo czasu, by cokolwiek zmienić.

Co zdarzało się stanowczo zbyt rzadko.

–No cóż – odezwał się Zindel do Razial – cieszę się, że tak świetnie idą ci lekcje malarstwa, lecz nie jestem przekonany, czy Mistrz Malthayr jest gotów, by pozować ci nago – cesarz spojrział na Varenę wesoło i czule. Poczwała jak ściska się jej serce. Dobrze wiedziała przecież, co on naprawdę przeżywa. Czwała jego napięcie. – Jak sądzisz, kochana? – zapytał.

–Wydaje mi się – odparła spokojnie odkładając swój haft i widząc, że otworzyły się drzwi i służdy zaczęli wnosić posiłek – że twoje poczucie humoru zasługuje na tęgie lanie, Wasza Cesarska Mość.

–O nie! – położył rękę na sercu i spojrział na nią z udawanym bólem. – Jak mogłaś tak mnie skarcić, o pani? – dodał. Anbessa zachichotała. Razial pobladła.

–Sądzę, że ma to coś wspólnego z faktem, że jestem twoją żoną już od dwudziestu lat i trochę cię znam – odpowiedziała cesarzowa z uśmiechem.

Zindel zaśmiał się i wziął małżonkę za rękę. Ciemność nadal jednak majaczyła głęboko w jego oczach. Przez chwilę ściskał palce Yareny nieco zbyt mocno. Zachmurzył się na moment, kiedy zrozumiał, że cesarzowa była świadoma chmury, która opadła na jego i Andrin serce. Zmusił się do kolejnego uśmiechu.

–Czas coś zjeść – powiedział.

* * *

Po przykrym obrzędzie kremacji, ludzie, którzy pojмали Shaylar zostali na swoich miejscach przez ponad godzinę. Stali w miejscu, na które bezlitosny wiatr nawiewał zapach spalonych ciał. Mimo, że Talent dawał jej wgląd w dusze i prawdziwe intencje obcych, Shaylar poczuła ponurą satysfakcję, widząc jaką cenę muszą płacić za wymordowanie jej przyjaciół. Zrozumiała też, że nie ma wśród nich wystarczająco wielu zdrowych, by mogli dokądkolwiek odtransportować swoich rannych. Myśl ta obudziła w niej nieśmiały, kruchy promień nadziei.

Owszem, Darcel mógł podejrzewać, że zginęła, lecz nie miał przecież pewności. Musiał też zakładać, że przeżyło kilku innych członków zespołu. W tej sytuacji kapitan Halitu niemal na pewno wysłał ekipę ratunkową, na poszukiwanie właśnie tych, którzy mogli umknąć z krwawej polany. Obcy tymczasem, obciążeni rannymi nie będą w stanie się wycofać...

Kobieta, która tak bardzo starała się jej ulżyć przechadzała się teraz pomiędzy swoimi rannymi towarzyszami. Zatrzymywała się przy każdym z nich, dotykała dłońmi i cicho coś szeptała. Bardzo często rozmawiała z wysokim oficerem, ale sama z całą pewnością nie była żołnierzem. Nie nosiła munduru. Mogła natomiast być cywilną uzdrowicielką przypisaną do tej konkretnej jednostki. To co zrobiła z Shaylar i to co robiła teraz wskazywało na takie właśnie rozwiązanie zagadki. To zaskakiwało ranną kobietę z dwóch różnych powodów.

Po pierwsze Uzdrowiciele pracujący w siłach zbrojnych Sharony sami byli wojskowymi – należeli do tak zwanego Korpusu Uzdrowicieli. Po drugie – nie było wśród nich kobiet. W armii Sharony mogli służyć wyłącznie mężczyźni. Tak było nawet w Ternathii, która była najbardziej „postępową” ze wszystkich kultur Sharony. Nawet tam służyło w wojsku jedynie kilkanaście, może kilkadziesiąt kobiet, a i one były pielęgniarkami w szpitalach na zapleczu, lub pracowały w sztabach. Oficerowie i szeregowi żołnierze mogli oczywiście się żenić i zabierać swoje rodziny na dalekie, wysunięte posterunki, lecz ich żony i dzieci zamieszkiwały w miastach wyrastających przy każdym z fortów. Nie brały udziału w misjach bojowych swych mężów, nie wędrowały po niezbadanej dzicy, ani nie uczestniczyły w zdarzających się od czasu do czasu starciach z bandytami. Tak było też i w przypadku ternathiańskich pielęgniarek, których nigdy nie zabierano na podobne wypadki.

Obca kobieta uporała się ze swymi obowiązkami przy rannych i wróciła do Shaylar. Usiadła obok, spojrzała jej w oczy i odezwała się mówiąc powoli i wyraźnie.

–Gadrial – powiedziała wskazując palcem na siebie. Imię brzmiało dziwnie, lecz Shaylar nie miała wątpliwości, że obca właśnie się przedstawiła.

–Jathmar? – ciągnęła wskazując na nieruchomego mężczyznę.

–Tak – przytaknęła Shaylar, krzywiąc się z bólu przy ruchu głową. – Jathmar.

Gadrial skinęła głową i spojrzała wyczekująco. Shaylar dotknęła własnej piersi.

–Shaylar – powiedziała. Na twarz Gadrial wypłynął uroczy uśmiech.

–Shaylarpowtórzyła i dodała coś jeszcze. Shaylar rozpaczliwie próbowała skontaktować się z jej umysłem. Miała nadzieję, że obca posiada jakiegokolwiek uzdolnienia telepatyczne. Jednak bez powodzenia. Jej własne zdolności wciąż się nie zbudziły. Nadal była Niema. Gdzieś na krawędzi jej świadomości czyhała panika. Jeśli uszkodzenie Talentu nie ustąpi...

„Nie martw się na zapas.”

Przypomniała sobie słowa matki. Przypomniała sobie o niej. Smutek i żal, a także strach, że może jej już nigdy nie zobaczyć niemal ją załamały. Poczowała jak krzywią się

jej usta, jak zapuchnięte oczy wzbierają świeżymi łzami. Wtedy jednak Gadrial wzięła ją za rękę i pomogła się pozbierać.

–Shaylarpowiedziała i znów zabrzmiało kilka obcych słów. Wskazała na Jathmara i innych, potem na południe. Shaylar zmarszczyła brwi. Gadrial dwoma palcami wykonała na ziemi gest chodzenia i znów wskazała na południe.

Shaylar znów spięła się w sobie. Chcieli stąd odejść. Udać się dokądś na południe... tam, dokąd kierował ich Darcel, tam, gdzie miał się znajdować najbliższy portal do innego wszechświata. Poczula przyływ rozpaczy, kiedy zrozumiała, że Gadrial mogła mówić tylko o niej i Jathmarze.

Spojrzała na pozostałych rannych i z powrotem na Gadrial. Przeklęła w duchu zły stan swych zmysłów i umysłu. Nie mogła sobie wyobrazić w jaki sposób zdrowi żołnierze mogliby choć próbować zabrać ze sobą wszystkich z obrażeniami. Gdyby portal prowadzący do ich rodzimego wszechświata rzeczywiście znajdował się tak blisko jak sądził Darcel, to mogli przecież odesłać na tyły samych tylko jeńców, których będą mogli przesłuchać po drugiej stronie. Była to przerażająca możliwość.

„Jeśli jednak chcą nas przesłuchać, to nic nam na razie nie grozi” – odezwał się w niej cichy szept. – „To znaczy też, że Jathmar otrzyma odpowiednią opiekę medyczną.”

Zacisnęła zęby. Dławił ją strach. Z każdym krokiem, z każdą chwilą drogi na południe malały szanse na ratunek. Z drugiej jednak strony ta droga wydawała się jedyną szansą dla Jathmara.

Zaciągając się do zespołu Shaylar zdawała sobie sprawę z ewentualnego ryzyka. Wtedy go jednak nie doceniała. Nie przypuszczała, że kiedykolwiek znajdzie się w tak opłakanej sytuacji jak ta. Nigdy by nie pomyślała, że jedynym ratunkiem dla męża może okazać się pomoc udzielona przez nieprzyjaciół. Innej możliwości jednak nie było. Skinęła głową z poczuciem, że przypieczętowała właśnie los ich obojga.

„Tak czy inaczej, nie mam przecież wyboru” – pomyślała ponuro.

* * *

–Wiem, że się boisz – powiedziała łagodnie Gadrial do obcej kobiety – do Shaylar – i dotknęła jej ramienia. – Przysięgam ci, że Sir Jasak zrobi wszystko, by ocalić twojego Jathmara.

Wargi Shaylar zadrgały na dźwięk imienia mężczyzny. Pochyliła się i pogłaskała go czule po czole. Gadrial ścisnęło się serce. W tym geście było tyle rozpaczy i smutku...

Rozległy się kroki. Obie z Shaylar podniosły wzrok. Jasak przyklęknął przy kobietach na jedno kolano. Na twarzy Dowodzącego Setką malowało się zmęczenie. Widać je było także w jego znużonych ramionach. Rana w boku musiała go porządnie boleć, lecz chmurne spojrzenie, którym spojrzał na Jathmara i Shaylar nie miało nic wspólnego z jego obrażeniami.

–I jak? – zapytał.

–Znam już ich imiona – powiedziała Gadrial. – Wydaje mi się też, że ona zrozumiała i zgodziła się pójść z nami do portalu.

–Dzięki bogom. Mam nadzieję, że się nie mylisz – jego głos pobrzmiwał dymem i brudem. – Zbyt dużo już wycierpiała. Nie chciałbym musieć jej prowadzić przemocą.

–To twoi jeńcy.

Gadrial bardzo się starała, by nie rozmawiać z setnikiem przez zęby. Nie cieszyła jej myśl o tym, że Jathmar i Shaylar staną się jeńcami wojennymi. Wyrządzili jej pobratymcom poważną krzywdę i to, co mogło ich spotkać w ręku przesłuchujących ich urzędników i wojskowych bardzo się jej nie podobało.

Mimo wysiłków Jasak musiał to zauważyć. Spojrzał na nią ostro.

–Tak, to prawda – powiedział beznamiętnie. – Moi jeńcy i moja odpowiedzialność.

„Ach, odpowiedzialność!” – przeminęło Gadrial przez myśl – „Najbardziej andarańska z andarańskich cech. *Noblesse oblige*. „Odpowiedzialność wynikającą z kodeksu honorowego wpajano wszystkim andarańskim dzieciom od kołyski – tak dziewczętom jak i chłopcom. Miała ochotę zapytać, czy jego odpowiedzialność uchroni dwójkę rannych od zakusów oficerów, którzy będą mieć z pewnością ochotę rozebrać ich na części pierwsze. Nie chciała nawet myśleć, jakich czarów użyją umysłach jeńców. Wiedziała tylko, że jeśli Unia Arkany i dowództwo jej armii stwierdzą zgodnie, że wyciągnięcie informacji od Shaylar i Jathmara jest istotne ze względu na bezpieczeństwo Unii, to ona sama nie będzie miała nic do powiedzenia.

Zrobiła więc, jedyną rzecz, którą jeszcze mogła zrobić. Przedstawiła więźniom Sir Jasaka Olderhana, syna Diuka Garth Showma.

* * *

Jasak dostrzegł gniew i niepokój Gadrial. Wyraźnie też widział przerażenie i wyczerpanie Shaylar. Dziewczyna powtórzyła jego imię zmęczonym głosem, w którym domyślił się pobitewnego szoku. Cierpiał i bolały go także podejrzenia Gadrial. Nie spodziewał się jednak, że magister go zrozumie. Była Ransaranką, osobą wychowaną w kulturze, w której nie wpajano nikomu od wczesnego

dzieciństwa posłuszeństwa i odpowiedzialności wobec przedstawicieli wyższych sfer społeczeństwa. Ona po prostu nie mogła pojąć z czym wiązała się odpowiedzialność Jasaka. Jeszcze nie. Ale obiecał sobie, że doprowadzi i do tego. Miał nadzieję, że kiedy to się już stanie w jednej chwili zniknie podejrzliwość Gadrial a także przerażenie Shaylar.

Potrzebował jednak czasu. Wiedział, że zanim to nie nastąpi, to zarówno podejrzliwość jak i strach będą się pogłębiać. Co także wynikało bezpośrednio z jego odpowiedzialności, z jego obowiązków. Jednym z nich było dostarczenie Jathmara oraz tej młodej, rannej kobiety – nawet przy użyciu siły – do miejsca, w którym mogli otrzymać niezbędną pomoc i opiekę.

Wątpił poważnie, czy którakolwiek z kobiet była w stanie zrozumieć z jakiego powodu było to wszystko dla niego tak istotne. A było – dla Jasaka Olderhana, a nie dla Dowodzącego Setką Olderhana. Nie znał jednak sposobu – i nie sądził, że ktokolwiek w tym wszechświecie znał – by im to wytłumaczyć.

Poświadczył swe intencje w jedyny dostępny sobie w tej chwili sposób. Wziął Shaylar za rękę i pogłaskał ją jak wystraszonego kotka.

–Nie bój się – powiedział cicho. – Nikt cię już nie skrzywdzi. Nikt.' Nie wiem, czy rozumiesz co mówię, ale przysięgam ci to na mój honor, Shaylar. Zrobię wszystko, żebyś mogła to wszystko zrozumieć.

Jej dłoń była bezwładna i słaba. Ciemne oczy szklily się łzami. Westchnął i spojrzał na Gadrial.

–Wyruszymy jak tylko powiesz, że on to znieśie – skinął na Jathmara. – Przeżyli wszyscy moi tragarze. Będziemy więc mogli zabrać też przynajmniej najciężej rannych. Nawet jednak z ich pomocą powrót na bagna nie będzie niedzielną przechadzką po parku.

Przyjrzał się Jathmarowi. Nie wiedział czy przedłużająca się nieprzytomność mężczyzny jest błogosławieństwem, czy raczej złym znakiem.

–Zrobimy dla niego nosze – oznajmił. – Dla niej też, jeśli są potrzebne.

–Najlepiej od razu – stwierdziła Gadrial. – Im wcześniej go odtransportujemy, tym wcześniej tu wrócimy. Jeśli noszowi nie będą nim za bardzo trząść, to nic złego nie powinno się stać. Ja pomogę w miarę możliwości.

–Dziękuję. Bardzo ci dziękuję – na zmęczone oblicze Jasaka wypłynął szczery uśmiech. – Już wydaję rozkazy.

Konstrukcja noszy zajęła żołnierzom tylko kilka minut. Nosili je rozmontowane w

swym ekwipunku. Jasak nie potrafił sobie wyobrazić prowadzenia wojny bez Darów i magii, które pozwalały na przenoszenie dużych ciężarów bez wykorzystania siły ludzkich mięśni.

Potyczkę przeżyło wszystkich czterech tragarzy, wraz z ekwipunkiem. Najciężej ranni zostali złożeni na noszach – płóciennych płachtach rozciągniętych pomiędzy drążkami, do których tragarze zamocowali standardowe zasobniki z zakłęciami. Nie dysponowali odpowiednią ilością zwykłych noszy dla lżej rannych, ale miecznik Harnak sklecił prowizoryczne nosidła z mundurów i gałęzi. Wyglądały okropnie, ale były wystarczająco solidne. Jasak przyglądał się jak tragarze montowali do nich kolejne zasobniki zawierające kryształy sarkolisu.

Wszystkie tego typu urządzenia były do siebie bardzo podobne. Różniły się tylko barwnymi oznaczeniami, dzięki którym żołnierze mogli bardzo szybko poznać, czy w środku czekały zakłęcia ładujące smoki piechoty, czy czary, które przenosiły bagaż, lub też zakłęcia oświetlające lądowisko dla żywych smoków. Dodatkowym zabezpieczeniem było oznaczenie zakłęb amunicyjnych symbolem broni odpowiedniej dla danego cesarza. Symbole te nie były jednak tak wyraźne jak same kolory.

Jasak pilnie obserwował przygotowania. Rozmawiał cicho z rannymi. Starał się podtrzymać ich na duchu. Tych, którym potrzebne było dodatkowe wsparcie, poklepywał po plecach. Sprawdził czy odpowiednio zabezpieczono zdobyczny sprzęt, który czekała analiza. Nadal nie rozumiał, w jaki sposób te długie, puste rury, które znajdowali przy poległych – oraz ich krótsze wersje, które również odkryli przy kilku ciałach – zdołały wyrządzić w jego oddziale tak znaczne spustoszenie. Z odpowiedzią na to pytanie trzeba było jednak poczekać.

Wreszcie nadeszła pora by unieść nieprzytomnego Jathmara z ziemi i ułożyć go na noszach. Jasak porzucił tajemnicze przedmioty i poszedł do tragarzy. Osobiście asystował lansjerowi Erdarowi Wilthy. Witlhy był najstarszym i najbardziej doświadczonym tragarzem pierwszego plutonu i to jemu właśnie setnik powierzył opiekę nad Jathmarem. Lansjer wykonywał podobne zadania od lat, lecz teraz wyraźnie potrzebował pomocy Jasaka, choć oficer miał na tym polu o wiele uboższe doświadczenie.

Shaylar usiadła obok męża i delikatnie złożyła dłoń na jego nadpalonych włosach. Wtedy podeszli do niej Jasak i Wilthy. Spojrzała na nich z lękiem. Jasak przyklęknął.

–Shaylar – powiedział łagodnie. Spojrzała mu w oczy, a on pokazał jej na nosze, które właśnie rozkładał obok Jathmara Wilthy.

–Przeniesiemy Jathmara na nosze – ciągnął setnik potwierdzając słowa gestami. – Nie zrobimy mu niczego złego. Obiecuję.

Shaylar spojrzała na nosze. Musiały być odpowiednio sztywne więc nie mieli innego wyjścia jak położyć rannego na brzuchu. W przeciwnym wypadku cierpiałby ocierając poparzonymi plecami o płótno. Improvizowane nosze Hamaka tutaj nie zdałyby się na nic. Wilthy wsunął pomiędzy drążki kilka poprzecznych pasów, wzmacniających całość konstrukcji.

Kiedy skończył Jasak jeszcze raz gestem zademonstrował Shaylar, co zamierzają zrobić. Kobieta skinęła głową.

–Tylko delikatnie – napomniął Wilthy'ego setnik. – Ja wezmę go za ramiona, Erdar. Ty złap za nogi. Gadrial, ty podeprzyj Jathmara w pasie. Podniesiemy go tylko na kilka cali. Na trzy. Raz, dwa, trzy...

Unieśli go na około dwa cale i zręcznie przenieśli na płócienne nosze. Shaylar czuwała obok, przytrzymując nieprzytomnemu mężowi głowę. Zaciśnęła usta mocniej, kiedy spomiędzy jego warg wydobył się jęk bólu. Gadrial wyszeptała coś i mężczyzna ponownie zapadł w cichy, spokojny sen.

„Jak na razie w porządku” – pomyślał Jasak.

–Dobra. Zamocuj zasobnik i podnosimy go, Erdar.

–Tak jest, Sir – odpowiedział Wilthy. Wyciągnął pudełko i zamocował je do uchwytu na noszach.

Do tej pory Shaylar patrzyła tylko na Jathmara, lecz teraz spojrzała na nich z ciekawością, co robił lansjer. Przez chwilę nie reagowała, lecz po chwili otworzyła szeroko oczy i zerwała się z mrożącym krew w żyłach krzykiem na równe nogi.

Zdumiony Jasak nie zdążył zareagować. Kobieta przemknęła obok niego, zerwała pudełko z noszy i odrzuciła je za siebie. Potem spojrzała mu w twarz – jemu i wszystkim pozostałym przy życiu żołnierzom pierwszego plutonu. Jasak wyraźnie czuł pulsujące w drobnym ciele agresję i wściekłość. Zobaczył jak jej palce zamieniają się w szpony. Była gotowa rzucić się na nich z gołymi rękami. Zrozumiał, że w tej chwili rozszarpałaby gardło każdemu, kto zbliżyłby się do Jathmara. Zagryzłaby zębami. Odskoczyła od oficera panicznie, próbując pojąć dlaczego chcieli to zrobić.

–O boże! – zawołała Gadrial. – Ona myśli, że chcemy go spalić żywcem. – Zasobniki są wszystkie podobne do siebie!

Jasak nagle zrozumiał. Przeklął się za głupotę.

–Idź po to pudełko, Wilthy – syknął. – Przymocuj je do czegoś. Do czegokolwiek.

Pokaż jej, jak to działa.

Poblady żołnierz, równie wstrząśnięty jak Jasak, pobiegł po akumulator. Podniósł go z kępy liści, na którą rzuciła go Shaylar i przymocował do tego, co akurat znalazło się pod ręką – do długiego na trzy stopy i szerokiego na osiemnaście cali pnia. Na pudełku akumulatora widniało dwadzieścia przełączników. Nacisnął jeden z nich, uruchamiając zakłęcie.

Pień uniósł się ze swej liściastej pierzyny i zawisł nieruchomo w powietrzu.

Shaylar patrzyła z niedowierzaniem. Po chwili osunęła się na kolana. Dyszała ciężko. Gadrial klękła obok rannej.

–Już dobrze, Shaylar – powiedziała cicho i kojąco. – Już dobrze. Nie zrobimy mu krzywdy. To go tylko podniesie. Widzisz? Tak jak tamten pieńek.

Mówiąc pokazywała to na szybujący nad ziemią pniak, to na nosze Jathmara. Shaylar zatrzęsa się gwałtownie w jej ramionach. Gadrial spojrzała przez ramię na Jasaka.

–Na litość boską. Podnieście najpierw innych. Ona jest półprzytomna ze strachu.

–W powietrze z nimi! – krzyknął Jasak do innych tragarzy, którzy z otwartymi ustami przyglądali się całemu zajściu. – W powietrze, do cholery! Już!

Ludzie Wilthy'ego posłuchali i sprawnie unieśli resztę noszy. Shaylar przyglądała się temu z najwyższym niepokojem. Po chwili jednak szok zniknął z jej spojrzenia i powoli zaczęła się odprężyć.

–Już dobrze – powtarzała jej raz po raz Gadrial. – Daj nam pomoc Jathmarowi, Pozwól nam na to. Proszę.

Jasak widział jak przerażenie kobiety ustępuje. Wściekły strach, który dodał jej na krótką chwilę sił zdawał się opuszczać jej ciało. Usta Shaylar zwiotczały, oczy wywróciły się białkami do góry. Upadła. Gadrial chwyciła ją i przytuliła, kołysząc jak małe dziecko. Gładziła jej włosy. Uspokajała.

Wstrząśnięty sytuacją Jasak spojrzał na Wilthy'ego.

–Podnieś nosze Jathmara. Ale ostrożnie i powoli. Ona nie zniesie wiele więcej.

–Tak jest, Sir. Będę delikatny jak motylek, Sir.

Gadrial pomogła Shaylar wstać. W tym czasie Wilthy, powoli i ostrożnie, przerywając co chwila by ranna kobieta dobrze widziała co robi, uniósł nosze

Jathmara w powietrze i ustabilizował na wysokości pasa.

Shaylar obserwowała tragarza nadal walcząc o każdy oddech. Gadrial otarła jej policzki ręką koszuli. Potem uśmiechnęła się i lekko ścisnęła rękę Shaylar. Wilthy wyprostował ramiona nieprzytomnego i ułożył je wzdłuż jego tułowia. Dla Jathmara nie mogła być to zbyt wygodna pozycja, ale za to o wiele mniej bolesna niż gdyby jego ręce miały bezwładnie zwisać z rozkołysanych noszy.

Shaylar owinęła swe długie, zgrabne palce wokół dłoni męża. Zaczepnęła głęboko powietrza, podniosła głowę i spojrzała Jasakowi w oczy.

–Dobra – setnik wydał wreszcie rozkaz – wyruszamy!

Rozdział 11

–Co??? – kapitan Balkar chan Tesh spojrział z niedowierzaniem na młodszego kapitana Rokama Traygana. – To niemożliwe!

–Na wszystkie uromathiańskie piekła, chciałbym, żeby miał pan rację, kapitanie – odpowiedział szorstko Traygan. Twarz ricathiańskiego telepaty przybrała kolor popiołu, ręce mu się trzęsły. Odwrócił wzrok od chan Tesha i przełknął ślinę.

–Ja... – dodał i znów głośno westchnął. – Dwa razy zwymiotowałem odbierając ten przekaz, kapitanie – przyznał. – Te obrazy były takie... ohydne.

Chan Tesh spojrział badawczo na Traygana. Nie znał go tak dobrze, jakby sobie tego życzył. Nie zetknął się z Głosem ani razu za nim ten nie dogonił jego kolumny w Thermyn. Od tamtej chwili przejechali już jednak razem tysiąc mil na końskim grzbiecie. Podróżowali z rozległych równin, tego, co w ich rodzimym wszechświecie byłoby Nową Ternathią, a potem przebyli pustynie i skaliste tereny na zachodzie. Potężnie zbudowany, umięśniony mężczyzna ani razu przez cały ten czas nie wydał się chan Teshowi mięczakiem, lecz teraz był wyraźnie wstrząśnięty. Chan Tesh poczuł nagle radość, że sam nie jest Głosem.

–Mów – zażądał cicho, niemal łagodnie. Traygan spojrział mu w oczy.

–Kapitan Halifu nie był pewien, gdzie jesteśmy – zaczął Głos. – Ja nigdy wcześniej nie pracowałem z Kinafią, z tym telepatą z Chalgin. Wiedzieli o tym, więc Kinlafia przekazał wiadomość wzdłuż łańcucha, z prośbą, by wiadomość dotarła do nas przez Fort Mosanik. Dzięki temu odebrałem całość przekazu.

Znów przełknął i pokręcił głową.

–To co się tam działo jest wprost nie do opisanie, kapitanie – powiedział lekko łamiącym się głosem – Zupełnie jak... jak piekło na ziemi. Ogniste kule, wybuchy, błyskawice, na litość bogów! A w samym środku tego wszystkiego Shaylar Nargra-Kolmayr i jej mąż.

Chan Tesh poczuł, że teraz blednie i on. Był co prawda Ternathianinem, nie Harkalaninem, ale Nargra-Kolmayr była szeroko znana w całej Sharonie. Pierwsza kobieta, której udało się zostać pełnoprawnym członkiem zespołu badawczego, jeden z najsilniejszych Głosów jakie przyszły na świat w całym multiwersum, córka szanowanej ambasador waleni. Co więcej – była piękna, co sprawiało, że wszystkie związane z nią opowieści i wydarzenia nabierały dodatkowego posmaku.

–Została ranna? – zapytał pospiesznie.

–Tak – Traygan niemal jęknął. – Nawiązała połączenie z Kinlafia i w jakiś sposób udało się im utrzymać je do samego końca. Nawet wtedy, gdy te bydlaki mordowały dokoła jej towarzyszy... i jej męża. A potem...

Przez twarz Głosu przebiegł bolesny skurcz. Chan Tesh zdał sobie sprawę, że to skutek świeżego jeszcze, niemal fizycznie przeżytego wspomnienia ostatnich fragmentów przekazu od Nargra-Kolmayr.

–Czy ona nie żyje? – zapytał szeptem kapitan.

–Tego nie wiemy. Uderzyła o coś głową. Możliwe, że tylko straciła przytomność – Traygan mówił jak ktoś, komu emocje podrzucają promyk nadziei wbrew oczywistości na którą wskazywał rozum.

–No dobrze Rokam – powiedział chan Tesh z ponurą miną. Muszę znać szczegóły. Nie spiesz się, ale opowiedz mi wszystko.

*** * ***

Była to ostatnia rzecz, jaką chciał usłyszeć pilot.

Kwatera giermka Muthoka Salmeera znajdowała się prawie pod wieżą brzęczków. Trzymający na niej straż żołnierz przekazał mu wiadomość natychmiast po przylocie ptaka. Salmeer pobiegł od razu. Biegł przez całą drogę do biura dowódcy. Nowiny nie należały do wesołych.

–Straty w boju? W jakim boju? Z kim? – Dowodzący Pięcioma Setkami Sarr Klian syknął z niedowierzaniem patrząc na zapis wiadomości, którą łącznościowiec odczytał z kryształu brzęczka. Salmeer zdał sobie sprawę, że pytania dowódcy były jedynie retoryczne i nie odpowiedział. Zaczekał, aż Klian skończy czytać.

Kiedy już skończył, zaczął przeklinać niedokończone jeszcze drewniane fortyfikacje Fortu Rycharn. Spojrzał jeszcze raz na sygnaturę oficera, który nadał wiadomość, pokręcił głową i spojrzał na Salmeera.

–Nawiązał kontakt z ludźmi z innego wszechświata i zaatakował? Czyżby setnik Olderhan stracił swą słynną arystokratyczną, zimną krew?

–Sir – zaczął Salmeer pochylając się i wskazując palcem dwa słowa, które zdawały mu się najważniejszymi z całego raportu. – Nie wiem, kto zaatakował kogo, lecz wyraźnie piszą o ciężkich stratach. Bez względu na to co się tam dzieje, potrzebują natychmiastowej pomocy lekarskiej. Musimy natychmiast wysłać drużynę, pięćsetniku. Mój smok musi przelecieć siedemset mil do samego tylko portalu.

Pilot aż trząśł się z niecierpliwości. Sarr Klian przeklął raz jeszcze, bardzo

soczyście. Kiedy Salmeer otworzył usta, by ponaglić dowódcę ten energicznie skinął głową.

–Tak, tak! Oczywiście. Zabierz medyków i w drogę – rzucił ostro.

Salmeer błyskawicznie zasalutował. Pięćsetnik odpowiedział tym samym i pilot odwrócił się na pięcie. Kiedy wybiegał na zewnątrz usłyszał jak Klian mówi do siebie cicho.

–Olderhan zaatakował? Co mu, kurwa, strzeliło do łba?

Dwadzieścia minut później smok transportowy Fortu Rycharn stąpał ciężko w kierunku pasa startowego. Załadowany był kilkoma płóciennymi workami wypełnionymi sprzętem medycznym, zabrał też dwóch chirurgów, czterech zielarzy i miecznika Nafa Morikana – Obdarzonego uzdrowiciela kompanii C – niedawno odwołanego naprędce z przepustki.

–Sir Jasak zaatakował? – zapytał Morikan siadając w siodle ruszającego już smoka.
– Kogo zaatakował na bogów!? Przecież tam nikogo nie ma!

Salmeer ugryzł się w język, by nie odpowiedzieć, że według wiadomości ktoś musiał znajdować się tam z pewnością. Sir Jasak Olderhan nie mógł przecież stoczyć krwawej potyczki z nikim. Pilot sam jednak nie do końca wierzył, by ich żołnierze rzeczywiście nawiązali kontakt z przedstawicielami innej multiwersalnej cywilizacji. Żeby w pełni objąć rozumem tę możliwość potrzebował więcej dowodów. Żadnego innego wyjaśnienia jednak nie widział. Ani on, ani nikt inny w Forcie Rycharn. Po chwili przypomniał sobie, że Morikan był uzdrowicielem w kompanii Olderhana i osobiście znał wszystkich z plutonu półsetnika Garlatha. Podoficer z pewnością martwił się nie na żarty.

–Nie mam pojęcia, mieczniku – powiedział. – Proszę sprawdzić pasy.

–Tak jest – odparł Morikan. – Jestem gotów – dodał po chwili i Salmeer dał odpowiedni znak Pazurowi Wichru.

Smok ruszył szybko, jakby wyczuwając pośpiech swego pilota. Prawdopodobnie zresztą tak właśnie było. Pazur Wichru był starym, doświadczonym smokiem. W zeszłym miesiącu skończył sto lat. Był tak mądry jak tylko zwierzę transportowe mogło być. Smoki bitewne były o wiele bardziej inteligentne, ale Pazur nie był głupim stworzeniem, a doświadczenie podwajało jeszcze jego wartość, zwłaszcza w krytycznych sytuacjach. Potrafił wykorzystać wszystkie smocze sztuczki, by lecieć szybciej i szybciej.

Salmeer żałował, że nie mieli do dyspozycji choćby jeszcze jednego smoka, który mógłby stanowić wsparcie dla Pazura Wichru, lecz ten wszechświat znajdował się na

kompletnym zadupiu. Stara Arkana oddalona była o dziewięćdziesiąt tysięcy mil. Co gorsza, do najbliższej stacji ślizgaczy przy portalu Zielonej Przystani było dwadzieścia sześć tysięcy mil, z których większość należało przebyć morzem. Smok transportowy, taki jak Pazur, mógł pokonywać znaczne odległości – nawet ponad tysiąc mil w jeden dzień – ale potem musiał odpocząć. Oznaczało to, że musiał na czymś wylądować, a bezmiar wody pomiędzy Fortem Rycharn a Zieloną Przystanią to wykluczał.

Przez to dostarczanie czegokolwiek do fortu było niezwykle uciążliwe. Salmeer zdążył już do tego przywyknąć. Tak samo, jak przyzwyczał się do powolnego trybu awansów nadawanych przez Dowództwo Transportu. Muthok Salmeer służył już trzydzieści lat, choć nie miał nigdy zostać pilotem bojowym. Nie dosłużył się przez ten czas nawet półsetnika. Wszyscy piloci zresztą byli przepracowani, niedoceniani i niewiele zarabiali. Większość z nich znajdowała w tym fakcie powód do szczególnego rodzaju dumy. Nie inaczej było z Salmeerem.

Co niestety nie pomagało mu w rozwiązaniu żadnego z obecnych problemów.

Siły zbrojne Arkany – a także ZTTTU zarządzający cywilną infrastrukturą bardzo swobodnie podchodziły do kwestii rozszerzania sieci torów ślizgowych w odległe rejony. Chwilami, kiedy miał lepszy nastrój, Salmeer nawet tę postawę rozumiał. W końcu nawet Zielonej Przystani nie zamieszkiwało więcej ludzi niż, powiedzmy, osiemset tysięcy. Biorąc pod uwagę, że cała ta populacja była rozproszona na planecie o wielkości Arkany, transport do rodzimego wszechświata musiał się odbywać przez wiele portali. Poszerzanie granic i badania były oczywiście ważne, zawsze też znajdowało się wielu osadników gotowych zasiedlić nowe tereny. Żelazne prawa ekonomii sprawiały jednak, że to wewnętrzne portale były bardziej rozwinięte i niezmiennie to o nie dbał bardziej Zarząd Tranzytu.

„Wszystko to dzięki ciężkiej pracy pilotów transportowych” – pomyślał gorzko Salmeer – „Czego oczywiście nikt nigdy nie doceni.”

Prawdopodobnie nie mogło być inaczej, ale obecnie każdy biurokrata obojętnie – umundurowany czy nie – zakładał, że zawsze i wszędzie będzie na niego czekał smok transportowy w pełnej gotowości do lotu. Oficjeli pociągał sam zasięg smoczego lotu, choć pod względem ilości przenoszonego ładunku zwierzęta te nie były nawet w stanie konkurować z wagonem ślizgacza. Tyle, że większość transportowanych towarów, jakich przewożenia wymagało utrzymanie posterunków na pograniczu, nie była szczególnie ciężka. Co jednak nie zmniejszało presji wywieranej na Dowództwo Transportu Sił Powietrznych. Smoków było ciągle za mało. Podniebny Żagiel, partner Pazura – smoki zawsze pracowały w parach – jakiś czas temu rozdarł trzy błony swego prawego skrzydła zderzając się przy lądowaniu z drzewem. Został więc odesłany do głównego portalu, gdzie czekała go kuracja. Do czasu jego wyzdrowienia nie mogli liczyć na uzupełnienia.

Wszystkie te przyczyny składały się na to, że w Forcie Rycharn znajdował się tylko jeden smok. Salmeer miał niejasne przeczucie, że Sir Jasak Olderhan potrzebował ich więcej. O wiele więcej.

Odwrócił się w siodle zamocowanym do szyi smoka i spojrzął za siebie. Sprawdził czy pasażerowie siedzieli bezpiecznie. Rzucił okiem na pasy przytroczone do przednich łap stworzenia. Siodło umożliwiało kontrolę nad kierunkiem lotu i komunikację z Pazurem. Z tyłu widniała platforma ratunkowa – niska, aerodynamiczna, kapsuła z płótna, skóry i stali.

Platforma była wystarczająco szeroka, by mogło zmieścić się na niej dwóch, leżących obok siebie ludzi i na tyle wysoka, że dzieliła się na trzy poziomy. Na dwóch wyższych można było przewozić niewielkich rozmiarów przedmioty. Całość konstrukcji ciągnęła się wzdłuż prawie całego kręgosłupa Pazura – mogli więc zabrać około dwudziestu ludzi, chronionych przed podmuchami powietrza przez płócienny ekran osłaniający dwie trzecie długości platformy.

Zdrowi pasażerowie podróżowali w trzech siodłach montowanych przed kapsułą. Właśnie te miejsca wybrał Uzdrowiciel i obaj chirurdzy. Cała trójka miała hełmy na głowach. Gogle chroniły ich oczy przed wiatrem i owadami. Najmłodszy stopniem żołnierze – zielarze – podróżowali w kapsule transportowej.

Lecieli nad terenem pokrytym błotami, stojącą wodą, niskopiennym lasem i szerokimi pasami porośniętych trzcinami bagien. Salmeer widział też stada ptaków. Liczyły setki tysięcy – może nawet miliony sztuk. Niektóre szybowały nad bagnami, inne znaczyły swymi barwnymi piórami rozległe połacie łądu – w dole połyskiwały plamy szarości, biele, brązy i róże. Część z nich zasiadała na drzewach, na których zapewne o tej porze roku gniazdowały.

Widok zapierał dech w piersiach nawet Salmeerowi, który często przecież latał nad niezasiedlonymi przez człowieka wszechświatami. Pilot kochał podobne widoki. Od zawsze poprawiały mu nastrój swym niezaprzeczalnym pięknem. Pod szybką zamocowaną do skórzanego hełmu wykwitł uśmiech. Narzekał co prawda na przepracowanie i brak szacunku, ale obrazy w rodzaju tych, które właśnie oglądał rekompensowały wszystko. Zawsze z przykrością myślał o żołnierzach, którzy nowe wszechświaty zwiedzali pieszo. O takich żołnierzach jak ci z pierwszego plutonu.

* * *

Shaylar szła niemrawo obok noszy Jathmara. Leżał tak nieruchomo, że gdyby nie wyczuwała w opuszkach palców męża delikatnego pulsującego bałaby się, że umarł. Ich małżeńska Więź nadal nie działała. Cały jej umysł skrywała czarna, kwaśna chmura. Nikt – nawet Jathmar – nie mógł się przez nią przebić.

Ta cisza bardzo ją przerażała. Mimo to rozumiała, że mogła też – w chwili, gdy mąż się ocknie i poczuje ból – okazać się prawdziwym błogosławieństwem.

Świat skurczył się do rozmiarów niewielkiej bańki otaczającej ciasno ją i dłoni Jathmara. Cała reszta była zasłonięta i niewyraźna. Dobiegały z niej stłumione odgłosy, niczym stukot oddalających się pociągów. W swojej głowie czuła mroźące, nieustępliwe kołatanie. Ból tańczył głęboko pod jej skroniami i powiekami jakiś szalony arpathiański taniec z szablami.

Nie miała pojęcia ile czasu minęło od bitwy na polanie. Nie miała pojęcia jak daleko zabrnęła wraz z obcymi żołnierzami w tę niekończącą się głuszę. Świadomość opuszczała ją i powracała z każdym głośniejszym dźwiękiem otoczenia. Czasem pod czymś butem trzasnęła sucha gałąź, niekiedy dobiegały ją rozmowy w nieznanym języku. Dźwięki wirowały dokoła jak cyklon. Kręciło się jej w głowie. Wokół istniała tylko nicość...

Rzeczywistość obudziła ją brutalnie. Uderzyła twarzą w coś nierównego i twardego. „Ziemia” – pomyślała mgliście. Upadła na pokryte liśćmi leśne poszycie. Zadrzała gwałtownie. Ze wszystkich stron doleciały ją zaniepokojone głosy. Przez długą chwilę nie wiedziała gdzie jest, ani dlaczego się tu znalazła. Potem wróciły wspomnienia. Z wysiłkiem stłumiła narastający w gardle krzyk. Bardzo chciała ponownie zapaść się w cudowną nicość. Nie znajdowała w sobie siły, by stawić czoła temu, co miało się wkrótce wydarzyć.

Ktoś szlochał. Głośno i rozpaczliwie. Dotarło do niej, że to ona płakała.

Wtedy usłyszała inny głos. Delikatny. Głos kobiety, której imię znała, lecz w żaden sposób nie potrafiła go teraz odnaleźć w zakamarkach zbolącej pamięci. Poczowała łagodny dotyk. Wirowanie ustało. Znow zabrzmiał głos, tym razem wyraźniejszy. Ktoś ją objął. Unieśli ją i złożyli lekko na czymś miękkim.

„Jakiś materiał” – przemknęło jej przez głowę. Zanurzyła się w miękkiej kołysce, która otoczyła ją czule ze wszystkich stron, od stóp do głów. Poczowała wdzięczność. Nareszcie mogła odpocząć.

* * *

–Zasnęła?

Gadrial spojrzała w górę. Pochylał się nad nią Sir Jasak Olderhan. Wpatrywał się z niepokojem w twarz Shaylar. Oczy żołnierza patrzyły ponuro jak dwie gradowe chmury.

–Prawie – odpowiedziała. – Podnieście jej nosze.

Wilthy dostosował wysokość manipulując przy przełączniku na akumulatorze. Shaylar uniosła się na wysokość bioder. Wilthy oddał kontroler obandażowanemu żołnierzowi z raną uda i posiniaczonym prawym policzkiem. Piechur patrzył na obcą kobietę z mieszanką zdumienia i niepokoju, zupełnie jakby spodziewał się, że ranna w każdej chwili może przemienić się w bazyliuszka. Gadrial pomyślała, że biorąc pod uwagę zniszczenia jakich Shaylar dokonała wraz ze swymi towarzyszami, ta analogia nie była wcale bezpodstawną.

Popatrzyła chwilę, na szybujące nosze, po czym odetchnęła głęboko i spojrzała w górę w popołudniowe niebo, prześwitujące gdzieś przez leśny baldachim. Było już późno. Posuwali się zbyt wolno. Musieli prowadzić przez dziewiczy las dwanaście par noszy, do obsługi których nie mieli odpowiednio wielu sprawnych ludzi. Droga do portalu normalnie zajęłaby im około dwunastu godzin. Teraz, w tych warunkach Gadrial obawiała się jednak, że nawet zakładane przez Jasaka dwadzieścia pięć godzin okażą się zbyt optymistycznym szacunkiem.

–Martwisz się czymś – zauważył cicho Jasak.

–Jestem przerażona! – syknęła i ugryzła się w język. – Przepraszam. Ale Shaylar jest bardzo słaba. Wydaje mi się, że doznała jakiegoś wewnętrznego urazu głowy. Robię co mogę, żeby ją stabilizować, ale nie mogę spuścić z niej oka nawet na chwilę. A i tak mam wrażenie, że powoli ją tracę. I Jathmar...

Uniosła bezradnie ręce. Nie wiedziała co robić. Jasak zauważył przebiegający po jej twarzy cień.

–Gdybyśmy tylko mogli ściągnąć tu smoka – mruknął. Odezwał się cicho, lecz nagle spojrzał bystro. Spojrzał w niebo, zastanowił się przez chwilę, po czym skinął energicznie głową.

–To się może udać – powiedział do siebie i rzucił okiem na Gadrial. – Przepraszam na chwilę – usprawiedliwił się nieobecny tonem i poszedł do oszczepnika Shulthana.

–Iggy, jeszcze jeden brzączek do obozu – zarządził. – Przekaż Krankarkowi, że chcę, by medycy przeszli przez portal, jak tylko znajdą się na bagnach. Niech czekają na nas przy strumieniu, nad którym zamor...

Urwał i spojrzał na nosze, na których bezwładnie leżeli Jathmar i Shaylar. Słowo uwięzło mu w gardle.

–...przy strumieniu, nad którym zginął Osmuna – dokończył patrząc znów na Shulthana. – Smok powinien być w stanie wystartować lecąc wzdłuż koryta. Niech Krankark odeśle tu zwrotnego brzączka z potwierdzeniem. Zostaniesz tu dopóki nie przyleci, a potem dołączysz do nas nad strumieniem. Brzączek leci stąd do portalu

jakieś dziesięć minut, nie odstaniesz więc zbyt daleko.

–Tak jest, Sir.

Niecałe dwie minuty potem, brzęczek wzbił się pędem nad drzewa. Leciał bystro, niczym upierzony bełt. Jasak śledził go wzrokiem, jakby ponaglając ptaka do jeszcze zwawszego lotu. Spojrzał na Hamaka.

–Dalej, w drogę mieczniku – zakomenderował. – Idziemy nad strumień, przy którym zginął Osmuna.

Jasak był zadowolony, że pomyślał wcześniej o wprowadzeniu do swego kryształu nawigacyjnego koordynatów miejsca śmierci zwiadowcy. Zrobił to, chcąc po powrocie przedstawić przełożonym jak najdokładniejszy raport, teraz okazało się, że te współrzędne miały posłużyć dużo ważniejszym celom. Znając je mogli iść przez las prosto, nie klucząc. Wyruszyli i znów szli równym, lecz nieznośnie powolnym tempem. Co chwila któreś nosze zaczepiały o gałęzie, co sprawiało, że droga wzdłuż prostej linii – w takim terenie – była praktycznie niemożliwa. Co gorsza, kiedy skręcili w stronę wskazywaną przez panel Jasaka, teren stał się jeszcze mniej przyjazny.

Jasak czuł bolesne ukłucia za każdym razem, kiedy któryś z jego rannych potykał się, kłął pod nosem lub krzywił, uderzając świeżą raną w wystający spod liści konar lub korzeń. Pomyślał, że jego pierwsza prawdziwa bitwa okazała się kompletną porażką. On też zawiódł. Bogów nie prosił o nic już od długich lat. Teraz jednak zaczął się modlić. Błagał by nikt więcej już nie zginął, by nikt więcej nie musiał już płacić za jego własne błędy. Zginęło już zbyt wielu ludzi, a wszystkie pytania, które pojawiły się w ciągu dnia pozostawały nadal bez odpowiedzi. Szedł wraz z żołnierzami, co chwila rzucając im kilka słów pokrzepienia. Starał się pocieszać ich swym smutnym, wymuszonym uśmiechem. Wiedział, że musi zrobić wszystko, by nie ustawali, by szli dalej.

Nie był nawet pewien, czyjego ostatnia decyzja była słuszna. Klamka jednak zapadła, nie mieli już wyboru. Parę godzin później dobiegł ich słodki – brzmiący wśród leśnej ciszy niczym muzyka – szmer strumienia.

Gdy wreszcie zobaczyli koryto, słońce wisiało już bardzo nisko nad wierzchołkami drzew. Jasak poczuł przemożną ochotę, by rzucić się na ziemię. Dać wreszcie upust zmęczeniu i bólowi, który palił go w boku. Czuł, że zasłużył na nagrodę, za doprowadzenie jeńców aż tutaj. Wiedział jednak, że o tej porze roku noc zapada bardzo szybko i że niedługo ciemności skryją ziemię. Pomoc nie zdąży nadejść przed zmrokiem, prawdopodobnie nawet nie przed świtem, a noc zapowiadała się pogodna, lecz zimna. Bez ognia ranni zaczną umierać... w tym i Jathmar.

Nie pozwolił więc sobie nawet na chwilę wytchnienia. Rozkazał rozbić obóz. Zdolni

do pracy żołnierze zaczęli zbierać opał i ścinać drzewa. Musieli nanieść wystarczająco dużo opału, by przez całą noc palić dwanaście ognisk. Poprosił Gadrial, żeby zajęła się rannymi jak tylko skończy doglądać Jathmara i Shaylar. Kilku rannym kusznikom polecił rozbić małe, dwuosobowe namioty, których zazwyczaj używali tylko podczas najbardziej ulewnych deszczów. Ciężko ranni musieli otrzymać odpowiednie schronienie.

Lansjer Inkar Jaboth zajął się przygotowaniem gorącego posiłku z racji jakie ze sobą przynieśli, dzikich roślin i tego, co Jasak zawsze uważał za dawkę magii. To, co sporządzał Jaboth z najróżniejszych składników w najdziwniejszych sytuacjach bardzo często okazywało się nie tylko jadalne, ale też i smaczne. Musiał być to prawdziwy dar od bogów. Jasak żałował, że nie może wysłać nikogo na polowanie. Mięso wzbogaciłoby posiłek, lecz nie mogli sobie na to pozwolić. Wszystkich sprawnych ludzi setnik potrzebował teraz do przenoszenia rannych. Co więcej, jeśli w pobliżu tamtego drugiego portalu czekali inni obcy żołnierze, w nocy mogli przeprowadzić kontratak. Liczył się więc każdy bełt.

Rozstawił strażę i wyznaczył zmienników, którzy mieli zastępować wartowników przez całą noc. Najlepszym żołnierzom wyznaczył najtrudniejszą zmianę – długie, zimne godziny od północy do świtu. Wiedział, że wszyscy byli wystraszeni i zmęczeni. Nie mógł dopuścić, by jakiś niedoświadczony piechur wystrzelił ze smoka do cieni. Ani do Otwala Threbucha wracającego spod nowego portalu.

Zanim zapadł zmrok wesoło trzaskało dwanaście ognisk. Ich płomienie odganiały od ludzi smoliste ciemności i ogrzewały rześkie nocne powietrze. Jasak zaniepokoił się tym, że światło mogło ściągnąć wrogich zwiadowców. Polecił więc strażnikom by wysunęli się od obozu jak najdalej mogli. Potem wrócił do ognisk, by porozmawiać z wyczerpanymi żołnierzami. Chwalił ich za odwagę w trakcie bitwy. Sprawdzał czy ich opatrunki są należycie założone.

Kiedy patrzył na obrażenia swych ludzi drżał ze strachu.

Rozmiar krzywd, jakie obcy sprawili jego ludziom sprawił, że powrócił myślami do siły, która kryła się w tych małych, ołowianych cylindrach. Żaden z tych, które znaleźli nie wyglądał na tyle groźnie, by w jakikolwiek zrozumiały sposób mógł być odpowiedzialny za tak poważne rany żołnierzy pierwszego plutonu. Niektóre z nich – takie jak ta, która ziała w jego sztywniejącym, pulsującym bólem boku – były długimi, płytkimi draśnięciami, wrytymi w skórze i mięśniach. Inne jednak wyglądały dużo bardziej niebezpiecznie. Korval – jeden z kanonierów obsługujących smoka – nigdy nie będzie mógł posługiwać się swą lewą ręką. Chyba, że wkrótce zająłby się nim wybitnie Obdarzony uzdrowiciel. Korval odwinął właśnie przesiąknięty krwią bandaż i czekał z pobladłą twarzą aż zagrzeje się woda w kociołku. Rana wymagała przemycia. Jasak przyklęknął przy żołnierzu i obejrzał jego rękę. Kość była strzaskana, mięśnie i ścięgna wyglądały natomiast tak, jakby coś rozerwało je od wewnątrz.

Korval podniósł wzrok, zobaczył mocno zaniepokojone spojrzenie dowódcy i zdobył się na słaby uśmiech.

–Mogło być gorzej, Sir. Mogłem w jaja oberwać, nie?

–Panuj nad językiem, żołnierzu – skarcił go Jasak. – Jest wśród nas kobieta.

Poklepał rannego po ramieniu.

–Wykonałeś dziś kawał dobrej roboty przy smoku. Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby ktoś obsługiwał smoka jedną ręką. Szczerze mówiąc nie mam pojęcia, jak ci się to udało. Przyślę Ambora, żeby cię opatrzył. Powinien mieć jeszcze trochę ziół przeciwbólowych – dodał.

–Dziękuję, Sir. Będzie dobrze – odparł Korval. Jasak uśmiechnął się słabo i ojcowskim gestem ucisnął rannego.

Poszedł dalej. Uśmiechał się do swoich ludzi, a w duchu łajał się za wysłanie chirurga na przepustkę wraz z plutonem półsetnika Ulthara. Lyrak Ambor był dyplomowanym asystentem chirurga, ale potrafił posługiwać się tylko ziołami. Nie był w stanie przeprowadzać polowych operacji, ani nie posiadał Daru. Setnik nie mógł jednak na jego pracę narzekać. Zielarz dwoił się i troił, przynosząc w miarę możliwości ulgę kolejnym rannym. Jasak cieszył się, że miał go do dyspozycji. Umiejętności medyka nie były może oszałamiające, ale stanowiły cenne uzupełnienie Daru, którym posługiwała się Gadrial.

Ci z żołnierzy, którzy zostali trafieni w korpus znajdowali się w bardzo poważnym stanie. Większość z nich leżała blada na legowiskach. Ich jęki wzbijały się nad śpiewnym szmerem strumienia. Jasak Olderhan czuł się bezradny i niepotrzebny. Nie mógł im w niczym pomóc. Mógł co prawda przeklinać Garlatha, ale to akurat w niczym nie pomagało jego ludziom.

Zatrzymał się na chwilę przy prowizorycznym namiocie, w którym dwoił się i troił Ambor, by utrzymać przy życiu najciężej rannych. Jasak przyklęknął przy zielarzu. Zauważył w jego oczach przerażenie ogromną ilością czekających na opatrzenie ran. Medyk wyraźnie czuł się przytłoczony odpowiedzialnością za tak wiele ludzkich istnień.

–Świetnie ci idzie, Ambor – powiedział cicho Jasak. – W takich warunkach nikt nie zrobiłby więcej. W czym mogłaby ci pomóc magister Kelbryan?

Ambor spojrzał uspokojony. Przełknął ciężko ślinę i z namysłem rozejrzał się dokoła.

–Może ją pan poprosić, żeby zajęła się Nilborem i Urkinsem, Sir. Źle z nimi. Obaj

mają rany brzucha. Są w szoku. Nie odzyskali przytomności. Zrobiłem co w mojej mocy, ale ciągle tylko gorzej. Bez pomocy magister...

Wzdrygnął się z bezradności. Jasak skinął głową.

–Zaraz ją przyślę.

–Dziękuję, Sir.

Ambor wyglądał i mówił już o wiele pewniej, niż przed chwilą. Ciepło ogniska rozpalonego tuż przed namiotem z ciężko rannymi zaczęło się rozchodzić wewnątrz, pomagając żołnierzom przetrwać chłód nocy. Jasak ruszył ku wyjściu, spojrzał raz jeszcze przez ramię na Ambora i wyszedł w ciemność.

Gadrial zastał klęczącą przy rannych jeńcach. Delikatność z jaką gładziła włosy Jathmara swymi długimi palcami, drugą dłonią kontrolując jego puls poruszyła coś głęboko w sercu setnika. Sam zresztą bardzo martwił się o los nieprzytomnego człowieka. Jak dotąd Jathmar nie ocknął się ani na chwilę, choć to akurat mogło być zarówno wynikiem pracy Gadrial, jak i efektem rozległych obrażeń.

Kiedy Jasak podszedł do noszy Jathmara unoszących się teraz jakieś dziesięć cali nad ziemią, Gadrial podniosła wzrok.

–Mam komuś pomóc? – zapytała.

Jasak przytaknął. Na jego twarzy malowało się niezadowolenie. Nie chciał jej odrywać od jeńców.

–Jak się trzymasz? – spytał cicho i otworzył szerzej oczy, jakby zaskoczony własnym pytaniem.

–Jestem zmęczona, Sir Jasak, ale dam radę. Co mam zrobić?

–Potrzebują cię w namiocie. Ambor traci dwóch ludzi – obaj mają rany brzucha. Zapadli w śpiączkę.

Kobieta pobladła i przygryzła wargę. Po chwili skinęła głową i podniosła się z wdziękiem. Jasak odprowadził ją do namiotu i zostawił wewnątrz, pozwalając pracować w spokoju.

Raz jeszcze rozejrzał się po obozie i głęboko odetchnął. Zrobił już wszystko, co tylko mógł, by zapewnić swym ludziom bezpieczeństwo. Zżerała go ciekawość. Nie był potrzebny nigdzie indziej, więc postanowił, że może skraść chwilę dla siebie. Poszedł do miejsca, w którym złożono zdobyczny sprzęt obcych, zebrany na pobojuwisku i w opuszczonym obozie za palisadą.

Ostrożnie obejrzał długą, rurowatą broń. Było jej kilka różniących się między sobą typów. Szybko zrozumiał, że każdy z tych przedmiotów był skomplikowanym cudem mechaniki. Inżynierowie wojskowi z jego świata nigdy nie skonstruowali czegoś równie złożonego. Różdżki bojowe – w tym smoki polowe i smoki piechoty, które się od nich wywodziły – pod względem konstrukcyjnym były bardzo proste. Składały się z zasobnika na zakłęcia bojowe i pustego wewnątrz walca z kryształu sarkolisu, służącego do nakierowywania czarów.

Jasak nie miał najmniejszego pomysłu, na jakiej zasadzie mogła działać długa broń obcych. Nie był w stanie nawet policzyć z ilu tak naprawdę składała się części. Wyraźnie jednak dostrzegał geniusz jej twórców.

Dragońska kusza, taką jaką upodobał sobie Otwal Threbuch, miała dziesięciobelkowy magazynek i magiczny naciąg. Dzięki zakłębom napięcie cięciwy nie wymagało siły większej niż dziesięć kilogramów. Takie kusze miały podobną moc – przy nieco krótszym zasięgu – co standardowe, jednostrzałowe kusze piechoty, lecz kolejne pociski wypuszczały o wiele szybciej. Po wyczerpaniu zasobnika z zakłębami żaden człowiek nie był jednak w stanie ponownie jej napiąć. Kusze piechoty były większe i cięższe, ale dawało się je przeładować bez magicznego wspomaganie. Ta cecha, wraz z większym zasięgiem, okazywała się przewagą w sytuacjach, w których żołnierze nie dysponowali zakłębami.

Geniusz konstrukcji dragońskiej kuszy zawsze wprawiał Jasaka w najwyższy zachwyty. Obcy inżynierowie, którzy stworzyli niesamowitą broń nie byli jednak – delikatnie mówiąc – mniej zdolni. Wiele dałby za to, by dowiedzieć się, na czym dokładnie ten ich geniusz polegał. Nawet te części, których przeznaczenia się domyślał, wprawiały go w większe zakłopotanie, zamiast podsuwać rozwiązanie zagadki.

Broń, którą właśnie trzymał w rękach była długa na jakieś czterdzieści dwa cale. Rurka, przez którą przelatywały małe, zabójcze pociski była jednak krótsza – miała około dwudziestu czterech cali. Zamontowano na niej coś, co musiało być dalekim krewnym celowniczego systemu kusz, składającego się z pierścienia i muszki. Jednak na obcym przedmiocie zamiast pierścienia widniał dziwaczny metalowy prostokąt, zamontowany w solidnej stalowej ramie. Prostokąt, o boku niecałego cala, można było podnosić i opuszczać.

Kiedy się go podnosiło, unosił się także drugi celownik. Ten jednak skierowany był pod kątem. Stalowa rama pokryta była maleńkimi liniami i nieznanymi symbolami, które – jak przypuszczał Jasak – były cyframi. Całość można było przesuwając wzdłuż ramy, blokując zatrząskiem na wysokości każdej kreski.

Jasak spędził na strzelnicy wiele czasu i wiedział wszystko o poprawce, jaką należało wziąć celując na dalsze odległości, tak by trajektoria lotu bełtu była

odpowiednia. O ile się nie mylił do tego właśnie służył tylny wizjer obcej broni. Mechanizm jej był genialny. Prosty w konstrukcji, a wyrafinowany w zastosowaniu. Przerazało go jednak, jak daleko można było odsunąć celownik. Nie mógł być oczywiście pewnym prędkości pocisków, ale kiedy wziął pod uwagę energię z jaką trafiały w cel rozumiał, że musiała być ogromna. Co z kolei sugerowało, że tor lotu pocisków był o wiele bardziej płaski niż w wypadku kusz i bełtów.

Zakładając, że skrupulatni inżynierowie nie mieli zwyczaju konstruować celowników o większej skali niż dopuszczała to broń, jej zasięg musiał być o wiele większy niż jakiegokolwiek znanej mu kuszy.

Pod rurą znajdował się długi, metalowy owal. Wyraźnie został tam umieszczony po to, by można było go przesuwając w górę i w dół. Jasak podejrzewał, że był to jakiś odpowiednik dźwigni naciągu na dragońskiej kuszy Threbucha. Postanowił jednak nie bawić się tym, dopóki nie znajdzie się w bezpieczniejszym otoczeniu, bez zagrożenia kolejnym kontaktem z wrogiem. Kiedy wsunął koniuszek palca i dotknął wygiętego łukowato kawałka stali chronionego przez owalną obręcz ten odskoczył. Przestraszył się, po czym stwierdził, że musiał to być spust. Wyglądem nawet przypominał spust kuszy. Nawet tak słaby Dar, jakim dysponował ostrzegł go natychmiast o bliskim zagrożeniu. Spust musiał być o wiele bardziej groźny niż metalowa dźwignia.

Sama rura wykonana została z wyjątkowo dobrej jakości stali. Kiedy zajrzał ostrożnie do środka, przysuwając broń tak, by jej wnętrze oświetliły płomienie ogniska zobaczył w niej maleńkie, spiralne żłobienia. Ciekawe. Inżynierowie Sił Zbrojnych Arkany znali zasadę wprawiania bełtu w ruch obrotowy w locie, w celu nadania pociskowi większej stabilności i dokładności. Nie wiedział jeszcze, w jaki sposób, ale całkiem możliwe wydało mu się, że kręte rowki w rurze spełniały podobną rolę wobec śmiertcionośnych, ołowianych pocisków miotanych przez broń obcych.

Odłożył tę zagadkę na później i przyjrzał się drewnianemu rękawowi, w jaki wpuszczona była rura. Obie części trzymały się razem, dzięki trzem pasom metalu, który nie był jednak stalą. Mógł to być brąz. Drewniana część rozszerzała się ku końcowi na kształt kolby kuszy. Lite drewno stanowiło jedną trzecią długości broni.

Wykończone było doskonale, na całej długości – od wąskiej części w pobliżu rurki, aż do kolby. Pokrywały je delikatne żłobienia. Najwyraźniej miały zastosowanie praktyczne, ale też służyły za ozdobę. Jasak zważył broń w dłoniach i zrozumiał, że żłobienia – podobnie jak wzór rybich łusek na ich kuszach – pozwalał pewnie chwycić broń, nawet podczas deszczu.

Pozostałe zdobyczne przedmioty były najrozmaitsze. Od takich o oczywistym zastosowaniu – łopaty, toporki, plecaki – po zupełnie nieznanne i tajemnicze. Jasak

zrozumiał, że to, co znaleźli przetrząsając ekwipunek obcych było równie interesujące jak to, czego nie znaleźli. Przeszukał wszystko dokładnie, ale nie znalazł nawet śladu map. Udało mu się odnaleźć notesy z botanicznymi szkicami i uderzająco dokładnymi rysunkami przedstawiającymi miejscową faunę, lecz map nie było.

Wniosek wydawał się jasny. Obcy zdali sobie sprawę – lub przynajmniej się tego obawiali – że ich sytuacja jest beznadziejna i zniszczyli wszystkie ślady swoich podróży. Jeśli rzeczywiście byli cywilami wykonującymi podobną robotę co zwiadowcy Jasaka, jeśli badali nowe wszechświaty i sporządzali ich mapy, musieli mieć ze sobą dokładne wskazówki, które mogły doprowadzić każdego do ich rodzimego świata. Z militarnego punktu widzenia utrata takich map była katastrofą, z politycznego natomiast...

Jasak zastanowił się nad reakcjami jakie wywołają wieści o stoczonej przez jego oddział bitwie. Nie spodziewał się po nich niczego dobrego – zwłaszcza w miejscach takich, jak wściekle ksenofobiczny Mythal, którego politycy nie ufali nikomu, nawet sobie. Zwłaszcza sobie. Gdy myślał o nich i o ich ewentualnej odpowiedzi na ostatnie wydarzenia, poczuł – jawnie heretycką jak na andarańskiego oficera – ulgę wiedząc, że obcy zniszczyli te mapy.

Natychmiast kazał się zamknąć andarańskiemu oficerowi w swojej głowie. Zaskoczyło go to. Pomiędzy łopatkami poczuł ostrzegawcze mrowienie przeczucia, zwiastującego nieszczęścia i rozlew krwi.

W ognisku, wrywając setnika z zamyślenia, pękł z trzaskiem pniak. Owiało go chłodne powietrze nocy. Przyglądził jeżące się instynktownie włosy na karku. Spojrzał na niewielki, płaski, okrągły przedmiot wciśnięty w stos przedmiotów leżących u jego stóp. Podniósł. Zdziwiła go jego waga. Mocne pudełko wykonane było z metalu. Po chwili manipulacji stwierdził, że jego górną część można było odkręcić jak pokrywkę. Otworzył pojemnik... i otworzył szeroko oczy.

Wewnątrz znajdowały się dwa... urządzenia. Nie wiedział jak ma je inaczej nazwać. W górnej części widniała szklana szybka pod którą zobaczył metaliczną igłę. Płaską, ciemniejącą na jasnym tle. W równych, bardzo równych odstępach na białej, okrągłej tarczy, były zaznaczone ciemne kreski. Inne obce symbole – cyfry lub litery – widniały w ośmiu punktach dokoła.

Ktoś poruszył się obok namiotu z rannymi. Jasak automatycznie spojrzał, sprawdzając czy to nie wracająca Gadrial. Był to jednak ktoś inny. Spojrzał z powrotem na igłę. Nie wypuszczając urządzenia z ręki odwrócił się całym ciałem w bok. Igła jednak, zawieszona na jakimś małym wsporniku, nie poruszyła się wraz z pudełkiem. To znaczy – poruszyła się, wracając uparcie w jedno miejsce, wskazywała cały czas ten sam kierunek, co przedtem.

Odkrycie zaskoczyło go niesłychanie. Pobawił się chwilę i stwierdził, że bez względu, w którą stronę nie odwracał się sam, czarna igła bezustannie wskazywała jeden, jedyny kierunek – północ.

Zrozumienie uderzyło go jak grom z jasnego nieba. To urządzenie służyło do nawigacji. Niczym jednak nie przypominało osobistego kryształu, któremu mocy nadawały zaklęcia, kierujące użytkownika w jednym z czterech głównych kierunków świata jak każdy z arkaniańskich kompasów. Składało się jedynie z płaskiej igły na wsporniku. Było niesłychanie proste. Nie miał pojęcia jaka siła poruszała igłą. „Jak to do cholery działa?” – zastanawiał się.

Dolna część pudełka była o wiele cięższa. To ona nadawała mu wagę, która tak zdziwiła Jasaka, kiedy podnosił je z ziemi. Najwidoczniej wewnątrz znajdowało się coś bardzo gęstego. Ta część pudełka także miała szklaną szybkę, pod którą znajdowała się inna, pokryta znakami tarcza i jeszcze więcej liter, czy cyfr, tym razem oznaczających dwanaście najdłuższych linii. Ta maszyna z kolei miała aż trzy igły. Krótka była chyba nieruchoma, długa poruszała się bardzo powoli, a trzecia – bardzo cienka – poruszała się w nieskończoność obiegając całą tarczę.

Zastosowanie tego urządzenia zrozumiał dopiero po chwili, kiedy wyraźne cykanie długiej igły przypomniawszy mu zmieniające się cyfry w panelu czasowym jego osobistego kryształu. Tyle, że to urządzenie także nie miało w sobie nic magicznego. Na to przynajmniej wyglądało. Z boku pudełka odkrył małe pokrętło, które lekko wyciągnięte, po przekręceniu pozwalało zmieniać pozycję igieł. Kiedy próbował je przekręcić bez wyciągania wewnątrz urządzenia rozlegał się chrobot i odczuwał rosnący stopniowo opór pod palcami. Nie chcąc zniszczyć znaleziska przestał kręcić kiedy opór stał się zbyt silny.

Złożył obie części pudełka na kolanach i przyjrzał się im w świetle ogniska. Zmarszczył brwi. Do głowy zaczęły przychodzić mu nieprzyjemne myśli. Nie był magistrem, ale jego szczątkowy Dar wystarczał do wyczucia obecności magicznych urządzeń. W tych tutaj, nie było ani krztyny czarów. Chciałby wierzyć, że broń, którą oglądał przedtem była po prostu wyładowana, ale prawda wyglądała inaczej.

Miał zatem do czynienia ze śmiertcionośną bronią, skutecznym i jednocześnie prostym przyrządem nawigacyjnym i maszyną odmierzającą dokładnie upływający czas.

Żaden z tych przedmiotów nie wymagał do użycia Daru ani zaklęć. Wszystkie mogły zostać obsłużone przez kogokolwiek, kiedykolwiek i gdziekolwiek.

Nocny wiatr powiał nagłym chłodem.

Rozdział 12

Kiedy Pazur Wichru dotarł wreszcie do portalu na bagnach słońce zapadło już za horyzont. Trudny, szybki lot zajął im prawie siedem godzin. W okolicy nie było zbyt wielu punktów orientacyjnych, ale w ciemności zalegającej nad światem odkrytym dla ludzkości niecały rok temu wyraźnie świeciły rozrzucone światła obozu.

Pazur zręcznie i z gracją wylądował na przeznaczonym do tego pasie terenu pomiędzy namiotami bazy a samym portalem, z którego ciągnął lodowaty powiew. Na tym wietrze drżały liście drzew po drugiej stronie, tutaj szeleściły trzciny. Nad wierzchołkami lasu rozciągało się ogromne i czarne, aksamitne niebo usiane brylancikami gwiazd układających się niepokojąco w konstelacje widoczne na północnej półkuli, zupełnie różne od południowych gwiazdozbiorów, na tle których wznosił się portal.

Salmeer przechodził przez portale od prawie trzydziestu lat. Nigdy jednak nie zdołał się do nich przyzwyczaić. Zawsze napelniały go lękiem, który przebiegał mu dreszczem po plecach nawet i teraz.

Ledwie Pazur Wichru zdążył złożyć swe skrzydła, a przez błotnistą ziemię ruszył ku nim żołnierz, trzymając w ręku coś co wydawało się zapisem wiadomości. Wspiął się na podstawioną posłusznie łapę smoka i wtedy Salmeer zdołał go wreszcie rozpoznać. Nie znał oszczepnika Krankarka szczególnie dobrze, ale ten zawsze wydawał mu się dobrym żołnierzem, całkowicie poświęconym zarówno Drugiej Andarańskiej, jak i setnikowi Olderhanowi.

–Dzięki bogom już jesteście, giermku! – wydyszał Krankark podając wiadomość Salmeerowi. – Setnik zatrzymał się w miejscu wyznaczonym tym koordynatami. Bał się iść z rannymi po zmroku. Prosi, żebyście tam polecieeli i zabrali tych w najcięższym stanie.

Salmeer spojrzał na Krankarka z niedowierzaniem. Nie latał wcześniej z Pazurem przez ten portal, ale wykonał na bagna wystarczająco dużo lotów zaopatrzeniowych za dnia, by wiedzieć jak wyglądał teren po drugiej stronie. Same drzewa.

–Czy on oszalał? – zapytał ostro pilot. – Mam posadzić smoka pomiędzy tymi pieprzonymi drzewami?

–Nie da się? – twarz oszczepnika była ledwie widoczna w mroku, lecz przerażenie w jego głosie zabrzmiało aż nadto wyraźnie. Salmeer skrzywił się. Tamci umierający byli towarzyszami broni Krankarka. Prawie rodziną.

–Widziałem jaka tam gęstwina. To samobójstwo – powiedział pilot trochę łagodniejszym głosem wskazując ręką w stronę portalu. – Nie latałem tam co prawda

– nie w tym wszechświecie – ale widywałem już takie lasy. To leśny ocean rozciągający się na setki mil. Smok transportowy nie usiądzie przecież pomiędzy tak splątanymi gałęziami!

–Tylko to cię martwi? – spytał Krankark z nieśmiałą nadzieją w głosie. – Setnik mówi, że rozbił obóz na niezalesionym brzegu strumienia. Podobno tam jest wystarczająco dużo miejsca, by doświadczony smok mógł wylądować i potem wystartować.

–Doświadczony smok, tak? – mruknął Salmeer. To sformułowanie powiedziało mu jasno, że lądowisko nad strumieniem jest niebezpieczne jak cholera, ale jednocześnie że misja nie jest jednak niewykonalna... o ile znalazłby się ktoś z wielkimi jajami i mózgiem małym na tyle, by się jej podjąć.

Oczywiście zdaniem kogoś, kto nie był wykwalifikowanym pilotem smoków.

„Istnieją starzy piloci i istnieją odważni piloci. Nie ma jednak starych, odważnych pilotów” – zabrzmiała mu w głowie szkoleniowa mantra. Zawahał się. Miał ochotę odmówić. Poza wszystkim Pazur Wichru był szalenie ważnym elementem całego systemu. Jeśli wpadnie z nim pomiędzy drzewa nikt i nic nie przetransportuje rannych do Fortu Rycharn.

–Ile mają tam ofiar? – zapytał grając na zwłokę podczas gdy zdrowy rozsądek zmagał się w nim z poczuciem pośpiechu.

Krankark stężał. Znieruchomiał. Jego głos zabrzmiał pusto i matowo.

–Rannych było dwudziestu jeden. Teraz mają już tylko dwudziestu. Setnik Olderhan wyruszył przez portal z pełnym plutonem – sześćdziesięciu siedmiu ludzi, wliczając wsparcie. Dwudziestu pięciu nie żyje.

–Na rzęsy Matki Jambakhol! – szpetne przekleństwo mimowolnie wyrwało się pilotowi. Natychmiast wykonał dłonią magiczny gest, by odwrócić od siebie złe spojrzenie Matki Jambakhol.

–Proszę... – Krankark złapał go za ramię. – Proszę chociaż spróbować – błagał – Setnik ma tam tylko zielarza. Niektórzy ranni są nieprzytomni i według Olderhana, Ambor nie potrafi wyciągnąć ich ze śpiączki.

Głos żołnierza drżał. Miecznik Morikan wychylił się zza ramienia Salmeera.

–Sytuacja jest rozpaczliwa, Sir. Musi pan mnie dostarczyć do tych ludzi. Tylu nie uda mi się wyleczyć samymi tylko zaklęciami, ale na pewno ocalę najciężej rannych. Mam też ze sobą dobrych chirurgów. Jeśli mnie tam nie będzie a z tego co słyszę to już nie chodzi o godziny, tylko o minuty – to będziemy tu mieć cmentarz. Czuje pan

ten ziąb zza portalu? Ciężko ranni nie przeżyją w takich warunkach, nawet przy ognisku.

Salmeer znowu zaklął.

–Dobra, dobra. Zabiorę cię tam mieczniku. Nie wylądujemy, jeśli nie stwierdzę, że jest dość miejsca, ale w razie potrzeby opuszczę cię na linie.

Morikan skinął energicznie głową. Salmeer spojrział do tyłu na chirurgów i zielarzy.

–Musimy zmniejszyć obciążenie, zwłaszcza, że mamy tam masę rannych – powiedział. – Wy dwaj. Wysiadać. Zaczekacie tu na nas.

Jeden z chirurgów spojrział pytająco na Morikana, który znów – równie energicznie – przytaknął.

–Idź Traith – powiedział. – Wezmę ze sobą Vormaka i dwóch zielarzy. Ty z pozostałą dwójką zaczekajcie i przygotujcie wszystko, tak żebyście byli gotowi do działania, kiedy wrócimy z giermkim. Nie martwcie się – dodał uśmiechając się smutno – wygląda na to, że zajęcia dziś starczy dla wszystkich.

Salmeer parsknął zgadzając się ze słowami lekarza i odwrócił się na powrót do Krankarka. Dwaj zielarze i chirurg rozpięli pasy i zaczęli schodzić ze smoka ze sprzętem w rękach.

–Dobra, ośczepniku. Przekonałeś mnie – powiedział. – Zeskakuj, żebyśmy już mogli z moim maleństwem ruszać – pilot wykrzywił wargi w nieznacznym uśmiechu. – Kto wie? Może i on okaże się na tyle szalony, by tam lądować.

Wziął do ręki notatki z zaznaczonymi współrzędnymi miejsca, w którym setnik Olderhan rozbił obóz. Po chwili, kiedy Krankark i pozostali zsiadli już ze smoka, klepnął go po szyi dając sygnał do startu.

Pazur Wichru rozpędził się biegiem, szeroko rozpościerając swe wielkie skrzydła. Wzbił się powoli w powietrze i przeleciał nad bazą. Żeby wznieść się na wysokość wierzchołków drzew potrzebował około stu jardów. Był duży – nawet jak na smoka transportowego. Te rozmiary dawały mu możliwość przenoszenia nawet bardzo ciężkich ładunków, ale nie był w stanie odbić się w powietrze na ogonie, jak robiły to niektóre smoki bojowe. Smoki myśliwskie – zwłaszcza te hodowane do walki z wrogimi gryfami – musiały być szybkie i zwrotne. Gryfy były małymi, zwinnymi i trudnymi do przechwycenia w locie stworzeniami.

Salmeerowi ta niezdatność Pazura zazwyczaj nie przeszkadzała. Dziś jednak mogła okazać się poważnym problemem. „Z drugiej strony może jednak nie będzie aż tak źle” – pomyślał Salmeer lojalnie. Był dumny ze swego smoka. Nie łączyła go z nim

żadna więź psychiczna, jaka wiązała z właścicielami wiele specjalnie hodowanych domowych stworzeń, którymi otaczali się bogaci Arkanianie. Taka więź nie łączyła żadnego pilota z żadnym smokiem. Mimo to, nauczył się poznawać nastroje i humory swego podopiecznego. W miarę upływu czasu zaczęli się też nawzajem... szanować. Pazur nawet go lubił – na swój smoczy sposób – i ich „znajomość” zdawała się sprawiać przyjemność obu stronom. Salmeer miał nadzieję, że dziś wieczorem dziesiątki lat doświadczeń smoka zrekompensują wszelkie jego niedociągnięcia.

Pilot gwizdnął przenikliwie i smok zatoczył szerokie koło, cały czas nabierając prędkości. Gwiazdy i księżyc kładły się na skrzydłach zwierzęcia metaliczną poświatą. Odbijały się we wzorach na błonie. Symbole te świadczyły o rodowodzie smoka, a także oznaczały jego macierzystą jednostkę. Szybowali ku przejściu pomiędzy wszechświatami. Z każdym uderzeniem skrzydeł wznosili się wyżej. Zanim dotarli do portalu Pazur Wichru leciał już prawie swą maksymalną prędkością i znajdował się dużo wyżej niż widniejące za nim czubki leśnych gigantów.

Prześliznęli się przez portal przy wtórze nieuniknionego stuknięcia w ucho – efektu ubocznego nagłej zmiany ciśnienia. Lecieli teraz w chłodnym, nocnym powietrzu. Pazur Wichru przestał się wznosić i ustalił lot. Przecinał usiane gwiazdami, kryształowo czyste niebo. Nad ich głowami świecił cudowny księżyc, który wyglądał tu zupełnie inaczej, niż w poprzednim wszechświecie.

Salmeer stuknął magicznym rylcem w swój osobisty kryształ i wprowadził współrzędne przekazane przez setnika Olderhana. Mógł to zrobić nie posiadając Daru. Kryształ wyświetlił standardową siatkę nawigacyjną, ze znajomymi symbolami kierunków świata zaznaczonymi dokoła niewielkiego kółka wyobrażającego smoka. Migająca zielona strzałka wskazywała właściwy kierunek. Trójwymiarowe urządzenie umożliwiło Salmeerowi bezproblemowe odnalezienie drogi do celu. Kiedy do niego dotrą na kryształach pojawi się czerwone kółko. Zanim to jednak nastąpi czekał ich porządny kawał drogi... i oczywiście trudne lądowanie smokiem w samym środku nocy na wąskim brzegu cholernego strumienia.

Giermek Muthok Salmeer pokręcił głową. Nawet teraz jeszcze nie dowierzał, że podjął się takiego zadania. Ignorując zimno skupił się na ciepłe zapewnianym przez dodatkową warstwę ubrania pod lotniczą kurtką. Spojrzał w rozgwieżdżone niebo.

* * *

Shaylar ocknęła się w ciemności. Nie wiedziała co się dzieje. Otaczał ją zapach palonego drewna. Przez długą chwilę leżała w całkowitym bezruchu starając się przypomnieć sobie gdzie jest. Przypomniała sobie atak, przerażającą kremację ciała, dziwne urządzenie, którego obcy użyli do unoszenia noszy z Jathmarem i swymi własnymi rannymi. Przypomniało się jej nawet, jak szła obok nieprzytomnego męża, kiedy opuszczali okolicę miejsca potyczki. Nie miała jednak pojęcia, gdzie jest teraz.

Zrozumiała, że musiała być przez dłuższy czas nieprzytomna. To wytłumaczenie brzmiało sensownie. Nie mogła jednak tego samego powiedzieć o całej reszcie. W głowie nadal czuła bolesne pulsowanie i nadal nie słyszała Jathmara. Mimo to była wypoczęta, co już wkrótce mogło okazać się zbawienne.

Niestety zaczynała też odczuwać stłuczenia i sińce, jakich nabawiła się kiedy ostatnia ognista kula rzuciła ją na zwalone drzewo. Przez policzek i szczękę biegło piekące zadrapanie. Inne obrażenia paliły żywym ogniem. Całą lewą stronę twarzy zajmowała jej opuchlizna. Sińce na pewno już zdążyły przybrać purpurowo-czarną barwę. Sięgnęła ręką, by jej dotknąć, ale zrezygnowała, gdy poczuła w ramieniu i szyi silny, świdrujący ból. Głośno syknęła.

Ktoś powiedział coś wprost do jej ucha. Przestraszyła się i odruchowo szarpnęła w bok. Runęła w dół z tego, na czym leżała. Krzyknęła, ale okazało się, że była zawieszona tylko jakieś dziesięć cali nad ziemią. To jednak wystarczyło by upadek ją oszołomił. Znów poczuła wszystkie rany naraz.

Osoba, która się przed chwilą do niej odezwała, pochyliła się mówiąc coś zaniepokojonym głosem, który wkrótce rozbrzmiał pocieszeniem. Delikatne dłonie wyprostowały jej wygięte kończyny i zbadaly tętno. Shaylar jęknęła czując narastający z każdą chwilą ból.

Otworzyła oczy i spojrzała w górę.

Nie pamiętała jego imienia, ale знаła tę twarz: dowódca nieprzyjaciół. Mówił coś do niej cicho przyglądając się jej badawczo zmartwionym spojrzeniem. Syknęła kiedy dotknął palcem jej stłuczonej szczęki. Pobladł słysząc jej ból. Były to oczywiste przeprosiny i chciała go jakoś uspokoić. Wszechogarniający ból i mdlące milczenie w głowie zanadto ją jednak osłabiły. Stwierdziła z lękiem, że jest w stanie jedynie leżeć na zimnej ziemi i płakać. Z oczu ciekły jej duże, nieme łzy, piekące w oczy i zatykające nos.

Dowódca przygryzł wargę i podniósł ją bardzo ostrożnie. Pomimo cierpienia zdołała jednak zauważyć, jak niezwykle obdarzony był siłą. Zdawała sobie sprawę, że jest drobna, ale on uniósł ją równie łatwo, jakby unosił dziecko. Tak samo bez trudu ją utrzymał. Jakąś częścią umysłu zaczęła odczuwać wstyd z powodu swego położenia, ale kiedy przytulił ją do siebie oparła się zdrową stroną twarzy o jego szeroką pierś.

Z wysiłkiem przypomniawszy sobie, że on także został ranny. Na jego twarzy nie widniał jednak żaden ślad bólu czy niewygody. Nie kołysał jej, nie śpiewał kołysanki, milczał. Trzymał ją i mimo, że był przecież dowódcą oddziału żołnierzy, którzy niedawno zmasakrowali cały ich zespół badawczy było w tym coś niezwykle krzepiącego.

Gdzieś w głębi siebie pomyślała, że być może nadal działa jej Talent. Inaczej nie potrafiła sobie uzasadnić przenikającego ją poczucia bezpieczeństwa. Czuła się dobrze, czuła się... chroniona w rękach dowódcy morderców.

Nie potrafiła ocenić, jak długo spoczywała tak w jego ramionach. Wreszcie jednak jej łyzy zaczęły płynąć wolniej, aż ustały zupełnie. Tulił ją jeszcze przez chwilę, po czym – nadal z najwyższą ostrożnością – złożył ją z powrotem na tych niezwykłych, unoszących się nad ziemią noszach. Zaczęła drżeć. W jego rękach pojawił się śpiwór. Opatulił ją i jednym, lekkim ruchem przesunął nosze bliżej ogniska, którego ciepło w kilka sekund cudownie się po niej rozlało.

Dreszcze ustały. Leżała wyczerpana i bezwładna. Nie zasnęła jednak. Umysł miała zbyt pobudzony, choć zamglony. Zaniepokoiła się tym, lecz stwierdziła, że lepiej się czuje, kiedy pozwala myślom błądzić bez celu, niż wtedy, gdy usilnie stara się sobie wszystko przypomnieć. Jasność myślenia była oczywiście bardzo ważna, może nawet – biorąc pod uwagę jej położenie – najważniejsza, ale nie widziała sensu w walce o coś, co w tej chwili było najwyraźniej fizyczną niemożliwością.

Leżała więc spokojnie – nieruchoma – na dziwnych, latających noszach i zastanawiała się resztkami świadomych myśli, w jaki sposób obcy sprawiali, że się unosiły. Nie pasowało tu żadne logiczne wyjaśnienie. Zresztą logika nie pozwalała wyjaśnić, żadnej z niezwykłości, których była świadkiem: na przykład szklistych rur, które miotały ogniste kule, bez żadnego, widocznego źródła ognia. Na przykład podobnych rur, które ciskały w nich pioruny zamiast płomieni. Na przykład małych kostek, w których zmagazynowana była energia zdolna spopielić ludzkie zwłoki jednym nagłym morzem płomieni, bez wyraźnego momentu wybuchu.

„To czary” – podszeptał jej zboląły umysł i Shaylar wskutek swego zagubienia, konsternacji i wyczerpania nawet nie próbowała dyskutować z własnym doborem słów. Technologia obcych, czymkolwiek nie była, bardzo przypominała magię. Widziała to, słyszała, a nawet i czuła. To przynajmniej podpowiadały jej przyćmione zmysły.

Gdy tak unosiła się w mroku zdała sobie sprawę z czegoś jeszcze. W nozdrza uderzył jej zapach jedzenia i mimo łomotania w głowie i targających nią mdłości poczuła dziki, wściekły głód. Ostatnim jej posiłkiem było naprędce przyrządzone śniadanie, które zjadła na chwilę przedtem, zanim Falsan dotarł do obozu i umarł jej w ramionach. Nie wiedziała ile czasu upłynęło od tamtej chwili, tak samo jak nie miała pojęcia, która godzina może być teraz. Nad jej głową lśniły wspaniałe tysiące gwiazd. Księżyc stał wysoko na niebie. Noc musiała trwać od kilku dobrych godzin.

Zapewne więc było około północy. Teraz już mogła myśleć jedynie o zapachu potrawy, która bulgotała w kociołku nad ogniskiem. Większość ludzi, którym często przychodziło chodzić po głuszy przyrządzała sobie jedzenie wczesnym rankiem, lub

zaraz po zachodzie słońca. Kiedy o tym pomyślała, zobaczyła dowódcę, który podszedł do niej z miską i łyżką w rękach. Uśmiechnął się i powiedział coś tchnącego pocieszeniem. Pomógł jej usiąść. Nosze nadal unosiły się w powietrzu – co więcej – nie uginały się, mimo że wykonane były ze zwykłego płótna, które powinno ustępować pod naciskiem jej ciała. Ta nieruchomość była kolejną niezrozumiałą zagadką... ale nie chciała o tym teraz myśleć.

Dużo bardziej zajmująca okazała się zawartość miski. Kiedy dowódca jej ją podał – upewniwszy się uprzednio, że ranna jest w stanie utrzymać naczynie w dłoniach – odkryła zaskakująco gęstą potrawkę, z czymś, co wyglądało na dziką marchew – lśniącą i złotą w świetle ogniska – kawałkami mięsa, które mogło być kiedyś królikiem i paroma innymi składnikami, których nie zdołała rozpoznać. Wzięła do ust niewielką porcję. Była niepewna jak jej rozkołysany żołądek zareaguje na ciepły pokarm, lecz natychmiast poczuła coś bardzo bliskiego ekstazie.

Dosłownie jęknęła z rozkoszy. Zaczęła się zastanawiać, w jaki sposób obcy kucharz w prymitywnych warunkach zdołał przyrządzić coś tak pysznego. Zapomniała o całym zewnętrznym świecie – o wszystkich znanych sobie światach – i po prostu jadła. Na języku rozplýwały się jej bogate, korzenne smaki. Ciepły posiłek rozgrzewał ją od środka. Wygłodzone ciało zareagowało na pokarm z wdzięcznością i bolesne łomotanie w głowie nieco zelżało. Przeżuwając kolejne kęsy nie zwracała nawet uwagi na ból stłuczonej szczęki.

Kiedy uporala się z całą zawartością naczynia poczuła się niemal nowym człowiekiem. Pogruchotanym i w niewesołej sytuacji, ale niemniej – człowiekiem. Kiedy podniosła wzrok zobaczyła wrogiego dowódcę. Baczenie się jej przypatrywał. Na jego twarzy widniała mieszanka wielkiej ciekawości, przyjemności z jaką oglądał jej posiłek, zmartwienia i poczucia winy. Przytrzymała na nim spojrzenie przez kilka sekund i wtedy wreszcie na powierzchnię pamięci wypłynęło jego imię.

–Jasak? – zapytała nieśmiało i oczy obcego mężczyzny pojaśniały z zadowolenia.

–Jasak – odpowiedział kiwając głową. – Olderhan. Jasak Olderhan – dodał dotykając swej piersi.

Zrobił wyczekującą minę. Shaylar zastanowiła się nad komplikacjami związanymi z nazwiskami mężatek z Shurkhali. Postanowiła, że prostota będzie skuteczniejsza.

–Shaylar Nargra – powiedziała.

Mężczyzna starannie powtórzył jej nazwisko, po czym spojrzał na Jathmara. Nosze nieprzytomnego unosiły się tylko kilka centymetrów od niej, równie blisko grzejącego ognia. Ktoś okrył nieprzytomnego lekką derką, spod której nie było widać spalonego ubrania i poparzonej skóry. Jego ciągły brak przytomności przerażał Shaylar.

–Jathmar Nargra – powiedziała i poczuła jak zniecka ściska ją w gardle. Na twarz Jasaka Olderhana wypłynął wyraz głębokiej skruchy.

Powiedział coś i bezradnie wzruszył ramionami. Nie potrafił przekazać jej tego, co chciał. Dzieląca ich bariera językowa wyraźnie go irytowała. Wziął ją za rękę. Zrozumiała, że chce ją pocieszyć.

Shaylar zeszywniała. Nadal była Niema, lecz uczucia obcego były tak silne, tak wyraźne i nieskrywane, że przedarły się do niej niczym piorun. Jakimś cudem udało się jej nie wyszarpnąć ręki z jego uchwytu – nie chciała go do siebie zrażać. Wiedziała, że dzięki temu dotykowi zrozumie więcej, o wiele więcej. Gdyby tylko wiedział, że dotyk służy jej do zbierania informacji na pewno by się odsunął. Nie mogła do tego dopuścić. Wiedza, jaką mogła teraz uzyskać może nie była najpotężniejszą bronią, ale innej po prostu nie miała.

Mówił coś cicho i poważnie, a Shaylar zmagala się z ciemnością i bólem, które ćmiły w jej głowie. Szukała informacji.

Starala mu się pomóc. Wyczuła nastrój oczekiwania, na kogoś lub na coś. To było bardzo ważne i pilne. Zrozumiała, że ktoś miał tu przyjść. Ktoś, kto niósł ratunek.

Chwilę później zdała sobie sprawę, że nie powinna być tą wiadomością zaskoczona. Ani przez chwilę nie wydawało się jej, że ten wszechświat jest domem obcych żołnierzy. Uczucia Jasaka Olderhana tylko potwierdziły jej wcześniejsze przypuszczenia. Skoro jednak byli tak samo obcy w tym świecie jak ona i cały jej zespół badawczy to kogo się dowódca spodziewał? Niewątpliwie kolejni żołnierze – Jasak na pewno przesłał wiadomość do innego oddziału. Ciekawe tylko ilu więcej? I skąd?

Shaylar nie miała też pojęcia w jaki sposób udało mu się przekazać informacje. Czyżby wśród obcych był jakiś Głos? A może Olderhan wysłał gońca? Jakkolwiek nie było potrzebowali pomocy medycznej. Dla ciężko rannego Jathmara i dla własnych ludzi. Dowódca postanowił jednak czekać i nie iść dalej. Pomoc musiała zatem być już blisko. Nie wiedziała, czy powinna się bardziej cieszyć, że wkrótce nadejdzie ratunek dla Jathmara, czy raczej niepokoić tym, że znajdzie się tu jeszcze więcej obcych żołnierzy, którzy mogli zagrozić Darcelowi Kinlafii i osłabionemu oddziałowi kapitana Halifu.

Raz jeszcze, desperacko spróbowała nawiązać łączność z Darcelem, lecz jej Głos nadal był jedynie mrocznym wirem krążącym bez celu w pozbawionej kierunków otchłani. Jej wysiłki sprawiły, że wir przemienił się w grzmiący sztorm tak potężny i tak nabrzmiały strachem, że głośno krzyknęła.

Drgnęła odrywając rękę od Olderhana i chwyciła się za skronie. Pochyliła się na

noszach, zamroczona potężnym bólem głowy. Wtedy na głowie poczuła duże, zręczne palce. Rozmasowały delikatnie jej tętniące skronie, po czym przesunęły się niżej, ku jej szyi. Masował jej naprężone mięśnie karku i ramion z zaskakującą wprawą, delikatnością i zjawstwem. Wyczuła jego nieklamane przerażenie. Przestraszył się jej nagłego ataku i bardzo chciał jej pomóc.

Pomogło, lecz znów opadła całkowicie z sił. W jednej chwili siedziała i czuła palce Olderhana uciskające kark, a w następnej znów leżała z twarzą wtuloną w szeroką pierś żołnierza i znów jej policzek spoczywał na jego ramieniu. Nienawidziła się za tę słabość. Nienawidziła swych ran, które sprawiały jej tyle cierpienia i nie pozwalały na nic.

Nieśmiało dotknął jej włosów. Próba rozbudzenia Talentu pozbawiła ją możliwości odczytywania jego uczuć, lecz usłyszała jego głos. Mówił cicho i kojąco. Miała wrażenie, że coś jej obiecuje. Ochronę, a może obronę. Nie znając słów ani jego kultury nie potrafiła wychwytywać niuansów, zwłaszcza, że jej Talent bardzo ucierpiał w wybuchu. Mimo to jego dotyk i słowa były bardzo krzepiące. Przynajmniej w tej konkretnej chwili.

Odpooczywała w tej pozycji przez dłuższy czas. Właśnie zaczynała zapadać w błogi sen, kiedy brutalnie im przerwano. Dotarł do niej dziwny dźwięk – rytmiczne kłapanie, jakby ktoś trzepał największy dywan świata. Ktoś krzyknął. Olderhan odpowiedział. W jego głosie zabrzmiała wyraźna ulga. Odłożył Shaylar na nosze i pobiegł nad brzeg strumienia, nad którym rozbili obóz jego żołnierze.

Zatrzymał się i zapatrzył w wodę. Nie. Jednak nie. Shaylar zdała sobie sprawę, że Jasak patrzy nad strumień. Głowę zadarł ku górze. Patrzył teraz w nocne niebo. Niecodzienny dźwięk był coraz bliższy i o wiele głośniejszy. Po paru chwilach kłapanie zmieniło się w grzmoty. Nagle wielki, czarny cień przesłonił sobą świecące nad Olderhanem gwiazdy. Podmuch powietrza przemknął przez obóz. Ogniska posypały iskrami i popiołem. Jesienne liście zawirowały dokoła. Shaylar zadrżała i uniosła głowę.

Łuski przypominające grubą skórę krokodyla, lśniące opalizującymi barwami niczym ławica ryb. Wielkie skrzydła, tak cienkie, że przeświecało przez nie światło. Skrzydła nietoperza o rozmiarach żagli na trzydziestometrowym szkunerze o dwóch masztach. Pazury wielkie jak ludzka stopa, ostre jak brzytwy, zaśniły brązowo wyciągając się ku gązom w strumieniu. Długa, kręta szyja niczym dziesięciometrowy wąż, gruby jak jej tors aż do trójkątnego, także węzowego łba. Kolce, wielkie kolce sterczały tuż nad płonącymi szkarłatnym ogniem oczyma. Metaliczny, brązowy, orli dziób skrzył się w zdziczałych na wietrze płomieniach ognisk.

Stwór otworzył paszczę, ukazując rzędy ostrych jak brzytwa zębów, i spojrzał wprost na nią. W obolałym umyśle Shaylar zrodziła się chęć ucieczki, bo w tych

płonących oczach dostrzegła niehumanitarną, całkowicie obcą inteligencję, złowrogą i ledwie hamowaną furję.

Koszmarne potwór przerażająco zasyczał. Na nią. Dźwięk przywołał na myśl syk maszyny parowej. Shaylar cofnęła się o krok nabierając powietrza do krzyku...

...wtedy odezwał się ostrym tonem człowiek przypasany na szyi bestii. Słowa podkreślił uderzeniem czymś, co wyglądało na skrzyżowanie bata z harpunem. Otepiła ze strachu Shaylar zrozumiała, że narzędzie musiało być niezwykle ostre, by stworzyć coś takiego – a tym bardziej coś nieprzyjemnego – poczuć przez swoją grubą skórę.

Skrzydła załopotały wściekle niczym rozdrażnione węże. Bat spadł raz jeszcze. Mocniej i bardziej zdecydowanie niż przed momentem. Potwór uniósł łeb ku niebu i zakrzyknął tak, że Shaylar poczuła to wszystkimi swoimi skołatanyymi zmysłami. Tym razem i ona krzyknęła, i zakryła ramionami głowę. Nie po to, by ochronić ją przed łapami bestii, lecz po to by jej wściekłość nie miała dostępu do umysłu rannej.

Żołnierze zaczęli krzyczeć. Wszyscy byli wyraźnie skonsternowani. Ktoś dotknął ramienia Shaylar. Drgnęła i zrozumiała, że to Gadrial. Ona była równie zdumiona jak mężczyźni. Była też zaskoczona i senna a mimo to, gotowa w razie potrzeby zasłonić własnym ciałem Shaylar przed rozwścieczonym potworem ze strumienia.

*** * ***

Gadrial objęła Shaylar opiekuńczo, nadal sennie mrugając oczami. Widać po niej było, że nie wie, co dzieje się dokoła. Nigdy nie widziała wściekłego smoka, a tak właśnie trzeba było określić to, na co właśnie patrzyła. Stworzenie niepokojąco wpatrywało się prosto w nią. A raczej w Shaylar. Młoda, ranna kobieta cała się trzęsała. Gadrial powiedziała coś cicho, uspokajająco i pogłaskała Shaylar po głowie. Całym ciałem czuła targające Shaylar dreszcze. Jej mięśnie usztywniły się w przerażeniu tak bardzo, że sprawiały wrażenie wyrzeźbionych w kamieniu.

„Tak wiele przeszła w tak krótkim czasie” – pomyślała ponuro Gadrial. – „Nic dziwnego, że wpadła w histerię.”

Mimo odległości od strumienia Gadrial słyszała Jasaka rozmawiającego z pilotem smoka.

„Na pewno kiedy wrócimy zostanie przesłuchany” – przebiegło jej przez myśl. Pilot nie wyglądał na szczęśliwego słuchając słów setnika. Po chwili Jasak zamilkł, wziął się pod boki i przechylił głowę. Pilot pokręcił głową.

*** * ***

–Pazur nigdy tak nie reagował, Sir – powiedział Muthok Salmeer. – Nigdy! To stara, poczciwa szkapa. Mądrzejszego smoka transportowego po prostu nie ma. Zawsze miał dobre maniery. Odebrał zresztą porządny trening. To nie jest jeden z tych smoków bojowych, co to syczą na wszystkich poza swoimi pilotami. Całe życie służył w Transporcie i w Ratownictwie. Nic z tego nie rozumiem, setniku, szczerze. Zupełnie jakby jedno spojrzenie na tę dziewczynę wystarczyło, by oszalał.

Niepewność i niepokój w głosie giermka pasowały do nastroju Jasaka. Salmeer był tak samo jak wszyscy, zaskoczony wybuchem złości zwierzęcia, a jednak zareagował zdecydowanie i szybko. To, wraz z jego wyraźnym przejściem, rozbroiło część gniewu Jasaka.

Setnik uspokoił się i zaczerpnął głęboko powietrza. Spojrzał na swego jeńca. Shaylar siedziała skulona w objęciach Gadrial. Zaryzykowała rzut oka na Pazura, spojrzała w górę i pobladła. Natychmiast wtuliła się z powrotem w Kelbryan. Olderhan zmarszczył brwi i zaczął rozważać wszystkie możliwe skutki takiego zachowania smoka.

–To... ciekawe Muthok – odezwał się po chwili patrząc na pilota. – Cholernie ciekawe.

–Wie pan może, kim oni są, Sir? – zapytał Salmeer. – O mało nie spadłem z siodła, kiedy dotarła do nas wiadomość.

–Nie. Nie wiemy kim są. Zamierzam się jednak tego dowiedzieć, a jeśli ich stracimy to nie będzie możliwe. Dziewczyna jest ranna – nie wiem jak bardzo poważnie – ale mężczyzna umiera. Jeśli nie przetransportujemy go do prawdziwego uzdrowiciela to nie przetrwa tej nocy. Niektórzy z moich ludzi też są w ciężkim stanie.

–W takim razie dobrze się składa, bo kogoś takiego przywiozłem ze sobą, Sir – powiedział Salmeer z uśmiechem. Wskazał gestem na jednego z pasażerów, którzy nadal siedzieli z zapiętymi pasami w siodłach na grzbiecie Pazura Wichru. Jasak spojrzał na smoka. Zbyt zajęty był wybrykiem zwierzęcia by mógł zainteresować się przybyszami, ale teraz twarz mu pojaśniała. Poznał twarz miecznika Morikana.

–Naf!

–Dobrze widzieć pana na chodzie, Sir – przywitał się uzdrowiciel. – Muthok przywiózł panu nie tylko mnie. Jest ze mną Vormak i dwóch świetnych zielarzy. Traith i pozostali dwaj czekają na bagnach. Muthok musiał ulżyć smokowi. Pomyślałem zresztą, że nie powinniśmy tu robić więcej, niż to absolutnie konieczne. Po tamtej stronie portalu jest o wiele cieplej, no i mamy tam namioty.

–Świetnie – pochwalił Jasak. – Obaj świetnie się spisaliście.

–Zrobiliśmy, co w naszej mocy, Sir – odparł Salmeer. – Choć z drugiej strony tego, co tu pokazałem nie nazwałbym udanym lądowaniem. Podejrzewam, że uda się nam załadować większość rannych, ale ze startem możemy mieć trochę kłopotów. Strasznie blisko te drzewa, a Pazur już się dziś trochę nalatał. W obozie trzeba będzie dać mu odpocząć kilka godzin, zanim wrócimy po resztę – oczy pilota zabłyśły. – Następnym razem, jak będzie pan toczyć bitwy, to poproszę o jakieś wygodniejsze lądowisko w pobliżu, dobrze?

–Postaram się nie zapomnieć – powiedział Jasak z uśmiechem, który musiał wyglądać na wymuszony. Po chwili uśmiechnął się bardziej naturalnie. – Nawet nie wiecie, jak bardzo się cieszę, że tak szybko do nas dotarliście.

Setnik podniósł wzrok i przyjrzał się wysiadającemu Morikanowi, chirurgowi i zielarzom. Spuścili ekwipunek po ramieniu Pazura i zeszli na brzeg po wystawionej nodze smoka. Czekają już na nich kilku żołnierzy pierwszego plutonu i zaraz zabrali się za bagaże.

Światło ognisk odbijało się barwnie w lśniących skrzydłach smoka. Zwierzę co jakiś czas wachlowało błonami lub nabierało w płuca nieco więcej powietrza. Pazur wyglądał wtedy jak żywy płomień. Nadal był podrażniony, a szmer jego oddechu, głęboki szum powietrza wypuszczanego z przepastnych trzewi bestii, rozbrzmiewał częściej niż zwykle i dźwięczały w nim wyższe tony. Był to jeden z tych odgłosów, które raz zasłyszane, zapadają w pamięć na zawsze.

„Tak właśnie brzmi oddech smoka bojowego szykującego się do walki” – zdał sobie nagle sprawę Jasak. Ludzie nie stosowali smoków do walki przeciwko sobie od ponad dwustu lat i żaden z żyjących nigdy nie słyszał tego przedbitewnego, przywodzącego na myśl buchający parą imbryk, dyszenia. Na pewno nikt nie słyszał go w tak poważnej sytuacji. Olderhan jednak nie miał problemów z jego identyfikacją. Zbyt często czytał o nim w książkach historycznych i podręcznikach szkoleniowych dla pilotów bojowych. Podobne opisy zdarzały się nawet w głupich romansidłach, nad którymi wylewała rzewne łzy jego młodsza siostra.

To była jeszcze jedna z dzisiejszych tajemnic. Kolejna rzecz, która nie powinna się wydarzyć.

Jasak przyglądał się, górującemu nad strumieniem wściekłemu smokowi i zastanawiał się usilnie, co mogło pobudzić Pazura Wichru do walki. Salmeer miał rację co do jednego – tego Jasak był pewien – źródłem groźnego zachowania zwierzęcia była bez wątpienia Shaylar Nargra. Tylko co takiego w tej drobnej, przerażonej dziewczynie mogło spowodować agresję smoka? Stanowiło to zagadkę godną wszystkich wszechświatów.

Odsunął pytanie w głęboki zakamarek umysłu. Intuicja i logika podpowiadały mu co

prawda, że była to bardzo istotna sprawa, lecz w tej chwili czekały go pilniejsze problemy do rozwiązania.

–Czy uda ci się nad nim zapanować na tyle, żebyśmy mogli ją na niego wsadzić? – zapytał Salmeera ruchem głowy wskazując Shaylar. – Ją i całą resztę?

Pilot także przyglądał się obcej kobiecie. Na pewno zadawał sobie to same pytanie. Słyszając głos setnika odwrócił wzrok. Zadrzały mięśnie jego szczęk.

–Na pewno, Sir. Będzie potulny jak należy. Mógłby nie usłuchać jakiegoś żółtodzioba, ale ze mną nie spróbuje żadnych sztuczek. Czy mógłbym coś zasugerować, setniku?

–Oczywiście – Jasak zdecydowanie skinął głową – znasz przecież swoje zwierzę i swoją pracę o wiele lepiej niż ja.

Salmeer zmrużył oczy. Komplement Jasaka najwyraźniej stanowił dla niego niespodziankę. Skinął brodą w stronę Shaylar.

–Wsadźmy ją na samym końcu – powiedział. – Pazur nie zrobi niczego, co mogłoby zagrozić pasażerom, kiedy już będą na górze ranni. Ten mój Pazur to niegłupia bestia. Wie, co do niego należy. Jego obowiązkiem jest przenoszenie rannych żołnierzy i on to rozumie. Może nie tak, jak człowiek, ale jest o wiele inteligentniejszy od psów, a przecież psy opiekują się swoimi właścicielami.

–To prawda. Bardzo dobry pomysł, Muthok. Doceniam to. Szczerze.

Salmeer pochylił głowę dając tym samym wyraz swej wdzięczności, po czym nieznacznie się uśmiechnął.

–Służyłem pod wieloma setnikami, Sir i muszę przyznać, że jest pan pierwszym, który w ogóle zwrócił uwagę na zdanie podrzędnego pilota transportowego.

Jasak zmarszczył brwi i spojrzał na Salmeera badawczo. Nozdrza mu zagrały.

–Nie mogę powiedzieć, by mnie to szczególnie cieszyło. Ale dziękuję. Nie zmarnuję tej informacji.

Salmeer zamrugał. Znów zmrużył oczy. Przypomniawszy sobie, z którym synem rozmawia. Jasak zrozumiał o czym myśli pilot i poczuł dziwne ukłucie.

„Nie Muthok” – pomyślał. – „Naprawdę jej nie zmarnuję. Obiecuję ci to.”

Diuk Garth Showma, który przy okazji był także Dowodzącym Pięcioma Tysiącami (w stanie spoczynku) o nazwisku Thankhar Olderhan, z pewnością powyrywa kilka

dolnych kończyn z pewnej części ciała niejednemu oficerowi, kiedy ta informacja dotrze do jego uszu. Jasak wiedział, że będą to wyłącznie oficerowie zbyt wyniośli – lub po prostu zbyt głupi – by dawać posłuch zdaniu fachowców z doświadczeniem dużo przewyższającym ich własne. To właśnie tacy oficerowie gubili swych żołnierzy, kiedy sytuacja wymykała się spod kontroli.

„Zupełnie jak ja dziś po południu” – przemknęło Jasakowi przez myśl. Jego twarz na moment przesłonił chmurny cień.

Salmeer popatrzył w oczy młodego oficera chwilę dłużej, niż to było potrzebne. Olderhan miał wrażenie, że pilot czyta mu w myślach.

–Proszę dopilnować rannych, Sir. Ja przygotuję kokony powiedział wreszcie Salmeer i służbiście zasalutował.

Jasak skinął głową i spojrzał na Nafa Morikana, który właśnie przekazał ostatnią część swego ekwipunku miecznikowi Hamakowi i zeskoczył na brzeg.

Morikan pochodził z północnego Shalomar i przedstawiał sobą jeden z różnorodnych typów wywodzących się stamtąd ludzi. Był potężnym, chudym mężczyzną. Miał prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu, a przy tym potrafił poruszać się cicho, prawie bezszelestnie. Jasak zastanawiał się nawet czasami, czy ta umiejętność nie wynikała bezpośrednio z Daru żołnierza. Uzdrowiciel miał szerokie ramiona i odznaczał się niezwykłą siłą. Jego Dar sprawiał jednak, że Morikan był jednym z najłagodniejszych ludzi, jakich kiedykolwiek przyszło setnikowi spotkać. Nigdy nie podjął pracy naukowej, koniecznej do uzyskania tytułu magistra – medycznego odpowiednika tytułu magistra, jakim szczyliła się Gadrial. Formalnie był nadal czeladnikiem, co stanowiło drugi powód, dla którego nie został oficerem Korpusu Medycznego. Dziś w nocy zupełnie to Jasakowi nie przeszkadzało. Pierwszy pluton – czy raczej to, co z niego zostało – nie potrzebował naukowca, a uzdolnionego medycznie, Obdarzonego Uzdrowiciela.

–Dobrze cię widzieć, Naf – powiedział cicho ściskając dłoń miecznika. – Mam czterech w śpiączce. Jeden z nich to obcy mężczyzna, który przeżył potyczkę. Ta dziewczyna – pokazał Morikanowi Shaylar – była na polanie razem z nim.

Oczy Uzdrowiciela zabłysły. Jasak niemal namacalnie wyczuł dziesiątki tłoczących się w głowie podoficera pytań. Nie zadał jednak ani jednego.

–Pięćsetnik Klian prosi o szczegółowy raport, Sir. Swoją drogą ja też umieram z ciekawości. No, ale to może poczekać, a ranni nie. Z kim jest najgorzej?

Jasak poprowadził go prosto do Jathmara. Morikan przyklęknął przy noszach nieprzytomnego, dotknął go i aż syknął.

–Na bogów, Sir! Jestem Uzdrowicielem, a nie cudotwórcą! On ledwie oddycha! Jeszcze chwila, a umrze.

–Myślisz, że o tym nie wiem? – warknął Jasak. – Wytrzymał do tej pory tylko dzięki magister Gadrial.

Wysoki medyk podniósł wzrok na setnika i cicho zagwizdał.

–Magister Gadrial mu pomogła? Tylko przy pomocy swojego drugorzędnego Daru? – spojrzał na Gadrial, która zdążyła mu zademonstrować swe lecznicze umiejętności zaraz po przybyciu do ich wszechświata. – Pani magister, wyrazy najwyższego uznania. Nie uwierzyłbym, gdybym nie zobaczył.

Pokazał kobiecie Jathmara. Gadrial odpowiedziała skinieniem znad ramienia Shaylar.

–Dziękuję – powiedziała cicho. – Na Rahile, proszę cię. Zrób co tylko możesz, by go uratować. Jestem przekonana, że to jej mąż – mocniej objęła Shaylar. Obca kobieta obserwowała ich wystraszonym wzrokiem. – Ona też jest ranna i jej stan nie jest jeszcze stabilny. Jeśli straci i jego...

Urwała i zacisnęła mocno usta. Morikan skinął głową ze zrozumieniem.

–Noszą to samo nazwisko – wtrącił Jasak. – Powiedziała mi, kiedy się obudziła. Albo są rodzeństwem, albo mężem i żoną. Wydaje mi się jednak, że to magister Gadrial ma rację. To raczej małżeństwo.

Uzdrowiciel spojrzał Shaylar głęboko w oczy, przyjrzał się upiornemu sińcowi, który zmienił pół jej twarzy w napuchniętą, zbolałą maskę. Zacisnął zęby.

–Zacznijcie wprowadzać na smoka lekko rannych, Sir Jasak – powiedział nagle. – Zajmę się nimi, po powrocie do bazy. Z tym tutaj nie mogę tak długo czekać.

Olderhan skinął głową i zaczął wydawać odpowiednie rozkazy. Naf Morikan pochylił się nad nieruchomym Jathmarem. Nabrał głęboko powietrza, zamknął oczy i wyciągnął przed siebie ręce, wprawiając się w uzdrowicielski trans, który miał pozwolić mu na dokonanie prawdziwego cudu.

Shaylar nie rozumiała, co robił olbrzym pochylający się nad jej mężem, wiedziała jednak, że to właśnie był człowiek, którego przybycia Jasak Olderhan wyglądał z takim niepokojem. Wzrost przybysza przypomniawszy jej boleśnie Fanthiego chan Himidi. Obaj mężczyźni różnili się jednak w oczywisty sposób temperamentem. Wyczuwała to nawet swym stępionym obecnie Talentem. Chan Himidi był jednym z najlepszych i najbardziej oddanych przyjaciół Shaylar, lecz kobieta dobrze zdawała sobie sprawę z jego skłonności ku przemocy. Był wyszkolony i zdyscyplinowany, a jednak ta jego

cecha pozostawała stale obecna, choć zazwyczaj uśpiona.

Ten człowiek z kolei, choć nosił wojskowy mundur, a jego osobowość była z pewnością równie silna jak chan Himidiego, na pewno nigdy nie toczył żadnych bitew.

Wysoki mężczyzna zdjął derkę z poparzonych pleców Jathmara i głośno syknął widząc skalę obrażeń. Wydawało się jednak, że nic poza tym nie robi. Klęczał z dłońmi wyciągniętymi nad noszami Jathmara i patrzył się w jakiś nieokreślony punkt, w nicość...

I wtedy, znenacka Jathmara, ogarnął blask.

Shaylar zachłysnęła się w zdumieniu. Światło dobywało się z wielkich dłoni obcego mężczyzny i spowijało nieruchome ciało jej męża. Nagle, mimo że w głowie nadal miała wirującą czerń, ich małżeńska Wież rozwarła się szeroko. Gdy uderzył w nią cały bezmiar bólu Jathmara, Shaylar drgnęła gwałtownie w ramionach obcej. Poczowała, że Gadrial też drgnęła. Zbyt mocno zacisnęła palce na jej ramionach. Przestała się kontrolować. Całe jej plecy stały się pogorzeliem, jej pierś strzaskaną ruiną, w której pulsowały żebra połamane jakby były z porcelany. Wnętrznosci spływały krwią.

Wtedy poczuła coś niezwykłego i nieznanego. Niby opływający ją – wpływający w nią – ciepły syrop. Ta energia obdarzona była świadomością. Były w niej myśli i uczucia, poczucie zdumienia z tego, że jeszcze żyła, była także determinacja by przy tym życiu ją utrzymać.

Kojąca fala światła i mocy, którą odbierała wyraźnie, lecz której nie widziała, wniknęła w jej poranione plecy. Rozmaite wrażenia targały przy tym całą jej duszą. Dosłownie czuła odrastającą skórę, pękające, schnące i znikające pęcherze. Rany sięgały głęboko... tak samo głęboko sięgała uzdrowicielska energia. Obca istota naprawiała kolejne warstwy jej naskórka i tkanek zwęglonych piekielnym, wrogim ogniem na polanie.

Ciągle głębiej, wewnątrz jej krwawiącego brzucha. Czuła zablizniające się rany, świeże mięśnie porastające blizny, nowe krwinki, ściany narządów, kolejne warstwy skóry... Wreszcie drgnęły żebra i poczuła świdrujące ukłucie bólu. Kości wracały na swoje miejsca. Zwinęła się, zapłakała. Ból w jej piersi wydarł się na zewnątrz gwałtownym krzykiem.

*** * ***

Nagły krzyk Shaylar wyrwał Nafa Morikana z uzdrowicielskiego transu. Wstrząśnięty rozejrzał się gwałtownie dokoła i zobaczył, jak obca kobieta skręca się w ramionach Gadrial. Poruszenie pod jego dłońmi sprawiło, że znów spojrzął na Jathmara.

Otworzył szeroko oczy. Zrozumiał, że oboje poruszali się dokładnie w ten sam sposób.

–Co tu się, na wszystkie piekła, dzieje? – mruknął do siebie.

–Nie mam pojęcia – jęknęła Gadrial Kelbryan, sama krzywiąc się z bólu. Shaylar ścisnęła ją coraz mocniej. Paznokcie wpiła mocno w jej ramiona. – Nie wiem, ale zaklinam cię, człowieku, skończ, co zacząłeś! Oboje cierpią!

Magister miała rację. Morikan ponownie wprowadził się w trans. Był zszokowany, zaintrygowany i niczego nie rozumiał. Wszelkie pytania odłożył jednak na później, odepchnął z umysłu i po raz kolejny sięgnął po leczniczą moc.

Teraz, kiedy Jathmar był już półprzytomny, medyk ostrożnie pobudził obszary mózgu i rdzenia kręgowego, które odpowiadały za wytwarzanie naturalnych substancji tłumiących ból. Po kilku chwilach ciało pacjenta wypełniło się swoim własnym środkiem przeciwbólowym. Przestał się szarpać. Morikan zdał sobie niejasno sprawę, że w tej samej chwili ustały też przerażające krzyki jego żony.

Kiedy wreszcie skończył czuł się tak, jakby cały dzień spędził przedzierając się przez gęstą dżunglę z pięćdziesięciokilogramowym plecakiem na grzbiecie. Wysilek nie poszedł jednak na marne. Potworne rany Jathmara zostały zaleczone. Uzdrowiciel pozwolił swym dłoniom opaść na uda.

–To już naturalny sen – powiedział z westchnieniem i podniósł się. – Będzie tak spać przez kilka godzin. Jego ciało musi odnowić swoje zasoby energetyczne, odtąd będzie się naprawiać już samo. Obudzimy go na chwilę, bo trzeba będzie go kiedyś nakarmić, ale z tym wolałbym zaczekać, aż znajdziemy się po drugiej stronie portalu.

Jasak Olderhan skończył doglądać załadunku rannych i wrócił w samą porę, by usłyszeć ostatnie zdanie Uzdrowiciela.

–Dziękuję ci Naf. Bardzo ci dziękuję – uściśnął mocno dłoń miecznika. – Wracaj teraz na Pazura. Shaylar też trzeba już zaprowadzić na smoka. Magister Gadrial, chciałbym, żeby poszła pani z nami. Shaylar ufa pani bardziej, niż komukolwiek innemu. Pomoże pani ją uspokoić.

–Dobrze. Wezmę tylko plecak – zgodziła się Gadrial i pochyliła głowę szepcząc coś do Shaylar.

* * *

Shaylar ocknęła się jakby z głębokiego transu, przebudziła się z najbardziej niezwykłego snu swojego życia. Zdała sobie sprawę, że Gadrial prosi ją by wstała. Udało się jej, choć obca kobieta nadal musiała ją podtrzymywać. Zauważyła, że nosze

Jathmara zniknęły. Zdenerwowana rozejrzała się dokoła i uspokoiła się – trochę – kiedy zobaczyła kilku mężczyzn prowadzących nosze jej męża ku długiej platformie umocowanej do grzbietu wielkiego zwierzęcia, które nadal klęczało w strumieniu.

Było to stworzenie, które nie miało prawa istnieć – „smok” rozlegało się w jej głowie raz po raz. Nic innego poza tą baśniową nazwą nie przychodziło jej na myśl. Na szczęście potwór już na nianie patrzył. Poczuli ogromną ulgę.

Zamiast na nią zwierzę patrzyło teraz na mężczyzn wchodzących na jego grzbiet. Przyglądało się im z niemal absurdalnie zainteresowaną miną. Kątem oka pod jakim pochylało łeb, błysk w oczach, z jakim smok przyglądał się wydarzeniom przypominał jej gesty i wzrok konduktorów pracujących w nieskończenie długich pociągach Kolei Trans-Temporalnych.

Platforma na grzbiecie potwora przymocowana była za pomocą skórzanych pasów, bardzo podobnych do popręgu zwykłego siodła. Rozmieszczone co cztery stopy zapewniały stabilność konstrukcji. Ścianki na bokach platformy zaopatrzone były w wiele uchwytów, kółek i klamer, których przeznaczenie stało się jasne, gdy tylko nosze z Jathmarem znalazły się na górze. Kuszniczy przypasali je do nich, tak że nie mogły nawet drgnąć. Samego Jathmara także przytroczyli do platformy, tak żeby nie stoczył się ze swego legowiska.

„To ruchomy szpital” – zrozumiała Shaylar ze zdumieniem. Szpital, czy raczej powietrzny ambulans dowożący rannych do najbliższego szpitala.

Obcy żołnierze nie przenieśli jednak na smoka wszystkich swoich rannych. Zabrali jedynie tych w gorszym stanie, których rany nie pozwalały iść. Było ich wielu. Shaylar po raz kolejny poczuła satysfakcję. Ucieszyła się tak bardzo, że przestraszyła się sama siebie. Jej towarzysze nie sprzedali swego życia tanio. Żałowała jedynie, że nie zdołali zabić jeszcze więcej obcych. Mimo całej dobroci, jaką okazywała jej Gadrial, mimo delikatności i cierpliwości Jasaka nie była w stanie zapomnieć rzezi na polanie. Wiedziała, że nie zapomni jej już nigdy. Nie zapomni – być może kiedyś nadejdzie pora na wybaczenie. O nim miała zdecydować przyszłość. W tej chwili jednak była zbyt wyczerpana, by myśleć o tym co wydarzy się choćby za kilkanaście minut, nie mówiąc o tygodniach czy miesiącach.

Wtedy nadeszła jej kolej.

Wątpliwe resztki nadziei na uwolnienie zniknęły, kiedy Jasak osobiście podprowadził ją do smoka. Nie chciała zbliżyć się do tego potwora. Nie chciała znaleźć się w zasięgu jego ostrych, brązowych pazurów i przypominających sztylety zębisk. Gdy podeszła do stworzenia na niecałe cztery stopy smok nagle odwrócił łeb i spojrzał wprost na nią. Znowu rozległ się syk...

Treser potwora warknął ostro i zdzielił zwierzę ostrym narzędziem dokładnie między uszy. Tak to przynajmniej wyglądało. Wypustki na skórze gada mogły być uszami, ale niekoniecznie – wyglądały jak pokryte grubą łuską kolce z pustym wnętrzem. Znajdowały się w miejscu, w którym powinny znajdować się uszy, lecz pewności Shaylar mieć nie mogła.

Z paszczy smoka rozległ się jeszcze jeden głuchy, rozdrażniony, potężny niczym grzmot pomruk. Potem jednak zwierzę się uspokoiło.

Żołnierze stanęli na smoczych łapach, wyciągnęli po nią ręce i bezceremonialnie wciągnęli ją na platformę. Zachwiała się i gdyby nie uchwyt mocnych dłoni na jej nadgarstkach i biodrach runęłaby w dół.

Na górze posadzono ją tuż obok Jathmara. Na drewnianych deskach rozciągnięto miękką, pikowaną matę, która zapewniała rannym wygodę. Shaylar jednak nawet tego nie zauważyła. Nie odrywała zdumionego wzroku od swego męża. Nie wierzyła własnym oczom.

Wstrząsnął nią widok zdrowej, różowej skóry. Czuła wcześniej jej zdrowienie, lecz sama myśl o podobnym cudzie wydawała się jej na tyle niewiarygodna, że przypuszczała dotąd, iż był to jedynie wynik obrażeń jej głowy. Myślała, że to po prostu umysł płatał jej figle, podsuwając iluzję czegoś, czego sama tak bardzo pragnęła.

Ale to nie było złudzenie. Włosy Jathmara nadal poznaczone były osmalonymi i przypalonymi kosmykami, ale na głowie mężczyzny nie widać już było potwornych oparzeń. Kiedy pocałowała go w policzek poczuła, jak wilgotnieją jej oczy. Żałowała, że nie może wziąć go w ramiona i utulić. Nie pozwalała jej na to rozciągnięta na nim ochronna siatka. Pasy przyczepione zostały mocno do ścian platformy, wyglądały przy tym tak solidnie, że pomyślała, iż byłyby w stanie zatrzymać średnich rozmiarów pociągowego konia. Pozostali ranni także zostali przypasani w podobny sposób co Jathmar. Leżeli na platformie na wznak – jeden za drugim – zajmując niemal całą jej długość. Mężczyzna, który wyleczył Jathmara klęczał przy innym nieprzytomnym żołnierzu. Jego ciało jaśniało tym samym niezwykłym blaskiem, którym lśnił przedtem jej mąż.

Podeszła do niej Gadrial i pomogła zapiąć pasy. W odróżnieniu od rannych obie kobiety – Gadrial i Shaylar – siedziały i mogły swobodnie wyglądać ponad niskimi bocznymi ściankami platformy. Pas opinający kibić dawał Shaylar poczucie bezpieczeństwa, mimo, że znajdowała się na znacznej wysokości ponad ziemią. Kilka chwil później Jasak Olderhan wspiął się na smoka i pomógł treserowi rozciągnąć z przodu platformy parawan. Wyglądał na wykonany z żaglowego płótna i ku jej zdziwieniu – oraz radości – nie rozciągnęli go nad ich głowami. Treser smoka wydał wszystkim pasażerom drewniane gogle ze szklanymi okularami. Wsunęli je na oczy.

Potem wspiął się na najdziwniejsze siodło, jakie w życiu widziała Shaylar.

Wygięte było wysoko i obejmowało ciało pilota z przodu i z tyłu niczym wygodna kołyska. Mężczyzna zabezpieczył się za pomocą skórzanych pasów. Buty wsunął w żelazne strzemiona. Grube nogawice chroniły uda i łydki mężczyzny przed ostrymi łuskami smoczej szyi, z których wystawały gdzieś przypominające sztylety kolce. Samo siodło wykonane było z miękko wyprawionej skóry. Znać było na nim ślady wieloletniego używania. Gdzieś widniały w nim też srebrne ćwieki i zdobne, skomplikowane figury. Podobnego wzoru Shaylar nie widziała nigdy wcześniej.

Pod szerokim, skórzanym siodłem zobaczyła grubą wyściółkę z czegoś, co wyglądało jak runo szkarłatnej owcy. Spojrzała raz jeszcze, niepewna czy nie mamią jej zmysły i płomienie ognisk, lecz runo było z całą pewnością szkarłatne. Zaczęła się zastanawiać, czy zostało na ten kolor ufarbowane, czy może obcy, którzy hodowali prawdziwe smoki, mieli także hale pełne barwnych owiec.

Pod runem z kolei, leżał koc pokryty geometrycznymi wzorami. Zamrugła ze zdziwienia, kiedy zauważyła, że wzór na kocu odpowiadał dokładnie wzorom na smoczych łuskach. Wychyliła się naciągając trzymające ją pasy za krawędź platformy i przyjrzała się im dokładnie. Nie było mowy o pomyłce. Opalizująca skóra potwora pokryta była wzorem z derki. Ciekawiło ją czy to koc utkano tak, by naśladował symbole na smoku, czy może samo stworzenie zostało sztucznie ozdobione. Cały czas się jeszcze nad tym zastanawiała, gdy siedzący w siodle mężczyzna wykrzyknął komendę.

Smok przywarł do ziemi. Pod grubą skórą płynnie zagrały mięśnie stworzenia. Chwilę potem pędzili już naprzód. Łapy potwora mocno odbijały się od głazów ścielących dno strumienia. Masywne nogi uniosły ich niemal pionowo ku górze. Nagły ruch sprawił, że szczęki Shaylar same się zatrzasnęły, zanim jednak zdołała jęknąć z bólu i zaskoczenia smok rozpostarł skrzydła. Wstrząsnęły nią ich rozmiary – były niezwykle szerokie i potężne. Nie spodziewała się co prawda, że okażą się małe, ale nie podejrzewała też, iż okażą się aż tak wielkie. Biły mocno i bardzo szybko. To także ją zaskoczyło. Wtedy poczuła, że z każdym kolejnym machnięciem unoszą się wyżej i wyżej.

Lecieli równolegle do koryta strumienia. Przez pierwsze sto jardów płynęli w powietrzu tuż nad wodą, bardzo blisko porośniętych gęstymi krzewami brzegów. Potem koryto skręciło na południe, zmuszając smoka do zmiany kierunku lotu. Po kolejnych stu jardach stworzenie rozpędziło się już na tyle, by na dobre oderwać się od ziemi.

Każdemu uderzeniu skrzydeł towarzyszył potężny grzmot. Z każdą chwilą wznosili się wyżej. Zanim dotarli do końca drugiego prostego fragmentu strumienia, smok

znalazł się już ponad wierzchołkami najwyższych drzew. Przelecieli nad gęstą pokrywą srebrzących się w świetle księżyca koron i poszybowali wysoko nad lasem.

Dopiero teraz Shaylar zdała sobie sprawę, że wstrzymała oddech i mocno ścisnęła w dłoniach zabezpieczające ją pasy. Rzuciła okiem za siebie i zobaczyła aurę światła otoczoną przez całkowite ciemności. Ogniska jarzyły się wśród nocy niczym klejnoty rozrzucone na czarnym aksamicie. Blask księżyca spowijał drzewa.

Srebrne morze liści ciągnęło się jak okiem sięgnąć, całymi milami. Jego fale delikatnie kołysały się na wietrze. Shaylar poczuła zawrót głowy i zarazem zachwyt, jakiego nie zaznała nigdy dotąd. Parawan osłaniał ją od piersi w dół, ale na skórze i na twarzy czuła chłód lodowatych podmuchów wichru.

„Lecimy” – pomyślała. – „My naprawdę lecimy!”

Na dobrą chwilę czysta radość z nowego doświadczenia przesłoniła w jej umyśle wszystko inne. Kiedy jednak zaczęła się przyzwyczajać do niezwyklej sytuacji, a głowę ostudził jej wicher, zdała sobie sprawę, jak ogromne możliwości bojowe musiała mieć armia dysponująca powietrznym transportem – a zapewne też, co przeraziło ją jeszcze bardziej – zdolna była do prowadzenia lotniczych działań bojowych. Wątpiła, czy jakakolwiek kula zdołałaby przebić grubą, wzmocnioną łuskami skórę potężnego smoka. Oczywiście byli w Sharonie myśliwi specjalizujący się w łowach na grubego zwierza – takich ludzi było wielu zwłaszcza w słabo zaludnionych wszechświatach, gdzie agresywne zwierzęta – takie jak słonie, nosorożce, dzikie bawoły, ogromne krokodyle, a nawet stada niezliczonych bizonów – stanowiły poważne zagrożenie dla kolonistów. Istniała też wielkokalibrowa broń i pociski przystosowane do zwalczania takich celów, ale Shaylar nie była pewna, czy nawet z takim sprzętem można było powalić smoka z większej odległości. Być może stworzeniu dałby radę jedynie bezpośredni strzał w gardziel lub brzuch...

Zastanowiło ją też, jaką bronią mógł dysponować smok. Czyżby – jak mówiły liczne legendy z jej rodzimego świata – robił to samo co wszystkie smoki? Ział ogniem? Czy może jadał też dziewice na śniadanie? Przypomniała się jej wściekłość z jaką potwór na nią spojrzał, przypomniała sobie też jego furię, ogień pełgający na pazurach i kłach, kiedy się szarpnął i naprawdę nie była pewna, czy ta druga cecha baśniowych smoków nie miała uzasadnienia w rzeczywistości. Takie stworzenie z pewnością było w stanie rzucić się na człowieka, po to by zabić.

„Muszę ostrzec swoich!” – przemknęła jej paniczna myśl.

Zamknęła skryte pod goglami oczy, zwalczyła ból w głowie i z wysiłkiem spróbowała przedrzeć się przez mroczny wir umysłu do Darcela Kinlafii. Ból wybuchł pod jej powiekami ze zdwojoną mocą. Nie poddała się jednak. Walczyła dalej.

„Darcel!” – krzyknęła w czarną ciszę. – „Darcel, słyszysz mnie? Proszę Darcel!”

Próbowała przesać mu obraz zwierzęcia, na grzbiecie którego teraz podróżowała, chciała przekazać towarzyszeni wspomnienia wścieklej furii i złości smoka, ale zakręciło się jej w głowie. Zawirował cały świat. Statek pijany w oku cyklonu...

Dotarł do niej głos Gadrial. Obca kobieta powtarzała z niepokojem jej imię. Shaylar poczuła delikatny dotyk na skroniach, wiedziała, że Gadrial stara się złagodzić jej cierpienia. Oparła się jej. Uczepiła się swego bólu i nadal próbowała skomunikować się z Darcelem. Za wszelką cenę. Właśnie wtedy...

Potężny, poiryutowany syk rozdarł nocą ciszę.

Smok przechylił się gwałtownie na bok. Zatrzęsło nim. Zadrżała cała platforma. Od gwałtownego zwrotu zwierzęcia zatrzasnęły się jej szczęki, deski platformy niebezpiecznie zaskrzypiały. Rzuciło jej głowę. Poczwała jak napinają się skórzane pasy bezpieczeństwa. Czyjaś wściekła furia zaatakowała z całą mocą jej umysł.

Smok ryknął znowu, odwrócił łeb do tyłu i kłapnął na nią swymi ostrymi kłami. Shaylar wrzasnęła ze strachu i skryła głowę w ramionach. Wszystkie jej zmysły krwawiły. Ktoś krzyczał. Krzyczał głosem rozgrzanym do czerwoności z gniewu. Smok wyrównał lot. Tak nagle, jak nagle przed chwilą zaczął się rzucać. Wrogość, którą czwała całym swym umysłem nie zniknęła. Czwała się nadal gdzieś w pobliżu, gorąca niczym lawa. Bestia nie próbowała już jednak jej zrzucić ani ugryźć. Shaylar cała roztrzęsiona opadła na Gadrial.

–Pomóżcie mi – zaszlochwała słabym głosem, nie wypuszczając z mocnego uścisku ubrania obcej kobiety. – Zabierzcie to z mojej głowy! – jęknęła. – Proszę... Proszę...

Gadrial schwyciła ją obiema rękami. Ból powoli ustąpił, mdłości zniknęły. Shaylar poczuła jak rozluźnia się jej, ściśnięte dotąd z przerażenia, gardło i jak jej zmysły ogarnia cudowne znużenie. Wyczerpana opuszczała się powoli w łagodzącą cierpienie, tak bardzo upragnioną ciemność, ciemność, która odeśle gdzieś daleko ból i paniczny strach przed bestią dyszącą w jej umyśle.

Ledwie tylko poczuła pod plecami miękkość pikowanej maty.

*** * ***

Gadrial delikatnie złożyła drobną, obcą kobietę na macie i przepięła krępujące ją pasy, tak że teraz zabezpieczały całe jej leżące bezwładnie ciało. Gdy skończyła odgarnęła z twarzy Shaylar kosmyk ciemnych włosów i przyjrzała się jej badawczo.

„Kim jesteś?” – zapytała w myślach nieznaną. – „Jak daleką drogę musiałaś przebyć, by się z nami spotkać? Dlaczego smok tak cię nienawidzi? Przecież to

najzwyklejsza nienawiść!”

–Wszystko z nią w porządku? – zapytał Jasak próbując przekrzyczeć wiatr.

–Tak. Już tak. Pomogłam jej zasnąć.

–Dzięki bogom! Co się do cholery stało?

–Nie wiem. Opanowaliście już smoka? – odpowiedziała pytaniem na pytanie i pokręciła głową.

–Tak. Udało się. Ale przez chwilę mieliśmy tu prawdziwe piekło – setnik odwrócił głowę i spojrzał na nieprzytomną dziewczynę leżącą obok Gadrial. – To przez nią. Nie rozumiem dlaczego, ale to o nią mu chodzi.

Gadrial wyczuła irytację oficera, wyraźną nawet w słabym świetle księżyca mimo, że miał na twarzy gogle.

–Zauważyłaś coś? Albo usłyszałaś? Cokolwiek, co mogło spowodować jego szal?

–Nie – Gadrial pokręciła głową. – W jednej chwili wszystko było w porządku, a już za moment krzyczała, a Pazur Wichru próbował zrzucić nas z grzbietu – zmarszczyła brwi. – Chociaż tuż zanim straciła przytomność powiedziała coś dziwnego. Miałam wrażenie... nie jestem pewna, ale to chyba było wołanie o pomoc. Nie o obronę. O pomoc. To chyba miało jakiś związek z jej głową, albo umysłem...

Umilkła i zastanowiła się, skąd to wszystko wie. Bo wiedziała. Była tego tak pewna, jakby Shaylar powiedziała to w jej języku.

–Nie rozumiem – zafrasował się Jasak i też pokręcił głową próbując zebrać myśli.

–Ja też nie jestem pewna. To tylko... – urwała starając się dobrać odpowiednie słowa. – Starala się coś mi przekazać i mam wrażenie, że to rozumiałam. Nie słowa. Ich przecież nie znam. Ale rozumiałam ją, Jasak. Dziwne – przełknęła ślinę. – Boję się tego. Prosiła mnie o pomoc.

–Chciała, żebyś jej ulżyła?

–Nie. – Gadrial znów potrząsnęła włosami żalując, że nie potrafi lepiej wyrazić niedawnego, ulotnego doznania. – Chciała, żebym pomogła jej... Zabrać smoka z umysłu? – ostatnie zdanie zaakcentowała jak pytanie, bo dobrze zdawała sobie sprawę, że nie miało najmniejszego sensu. – Nie mam bladego pojęcia skąd to wiem, ale jestem pewna. Po prostu wiem to, Jasak. Złapała mnie za bluzę, powiedziała coś po swojemu i wtedy ta pewność pojawiła się znikąd w mojej głowie.

Sir Jasak Olderhan, Dowodzący Setką spojrział na Gadrial tak, jakby kobiecie wyrosły właśnie rogi i błoniaste skrzydła. Przez chwilę pomyślał nawet, że zmęczenie wyrządziło krzywdę psychiczną towarzyszką, lecz wreszcie skinął.

–To ciekawe. Piekielnie ciekawe – powiedział szorstko. Zdarzyło ci się już kiedyś coś takiego?

Gadrial zaprzeczyła ruchem głowy.

–Nie. Nie przypominam sobie.

–Powinnaś chyba uważnie rejestrować wszystkie wrażenia i uczucia jakie pojawiają się, gdy z nią rozmawiasz, Gadrial. Jest w niej coś, co już drugi raz spowodowało agresywne zachowanie Pazura. Pamiętaj, że my nic o nich nie wiemy! Może poza tym, że używają przedziwnego sprzętu i broni. Bardziej niezwykłych rzeczy nie widziałem jak żyję. Nie wolno nam zakładać, że obcy są dokładnie tacy sami, jak my. Musimy mieć otwarte głowy. To, czym ona drażni smoka może okazać się jakąś ich kolejną sztuczką techniczną, albo bogowie wiedzą, czym jeszcze.

Gadrial skinęła głową. Nagle zrobiło jej się zimno. Zbyt zimno, by obwiniać o to wyłącznie silny, nocny wiatr. Zaczęła się zastanawiać, jakich przerażających odkryć przyjdzie im jeszcze dokonać. Teraz leżąca obok niej Shaylar wyglądała tak... normalnie. Zwyczajnie i po prostu. Zagubiona i oszalała ze strachu kobieta.

Znów odgarnęła nieposłuszny, poddający się wichrowi kosmyk z oblicza obcej kobiety i spojrziała na Jathmara. Przyszło jej do głowy, że i on może okazać się źródłem wielu zagadek.

Wyraźnie widziała, że rasy, z jakich oboje się wywodzili były tak samo od siebie różne, jak jasna andarańska skóra i okrągłe oczy setnika różniły się od jej własnej sandałowej cery i ciemnych, lekko skośnych oczu. Nie miała co prawda czasu przyjrzeć się ich towarzyszom przed kremacją, ale zdążyła zauważyć, że byli wśród nich ludzie z najróżniejszych ras. Ich krew była tak samo przemieszana, jak mieszkańców Arkany. Z całą pewnością wywodzili się z liczego, kosmopolitycznego społeczeństwa. Bez względu na to, czy zamieszkiwali tylko jeden, czy też wiele wszechświatów. Jej myśl pobiegła ku tym nieznanym krainom.

Czy ich ludzie mieli własne Dary? Mogli mieć nawet takie, o jakich nigdy Gadrial się nie śniło, choć równie potężne. Czy różne grupy społeczne używały różnych Darów? I jak wypadały te ich Dary w porównaniu z tymi, którymi dysponowali mieszkańcy Arkany? Jak zbudowane były ich społeczeństwa? Na jakich zasadach? Czy były monolitami, czy może zlepkami diametralnie różniących się, często nawet wrogich sobie kultur jak na przykład Ransaranie i Mythalanie?

Jasak spojrział na Gadrial przez ramię i zauważył, że pochłonięta jest myślami. Zastanawiała się na pewno nad niedawnymi wydarzeniami. Przebiegała myślą wszystkie swoje wrażenia. Pochwalił ją w duchu. Umysł kryjący się w ślicznej główce magister Kelbryan pracował niezwykle sprawnie i skutecznie. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że jeśli tylko w przelotnych doznaniach towarzyszki znajdowały się jakiegokolwiek, istotne dla nich wskazówki, to jej myśli rzucają się na nie niczym polujące jastrzębie.

Uspokojony tym, że poszukiwania trwały w najlepsze, setnik odwrócił się w siodle. Spojrzął prosto przed siebie, ale jego uwaga nie skupiła się na plecach Salmeera, ani na połyskujących, młócących z mocą nocne powietrze skrzydłach Pazura Wichru. Nie zwrócił też uwagi na przepiękne morze srebrzących się liści, które przesunęło się dostojnie pod nimi, znaczone przemykającym od drzewa do drzewa cieniem lecącego smoka.

Nie. W wyobraźni zobaczył martwego Osmunę leżącego w strumieniu. Zobaczył też palisadę i skryte za nią opuszczone namioty pełne niecodziennych urządzeń. Potem umysł podsunął mu złowrogą mozaikę scen z bitwy na polanie. Kolejne potworności wybuchały w jego głowie niczym bojowe zaklęcia.

Gdzieś w głębi siebie zastanawiał się nad tym, co mogło się wydarzyć, jeśli ci nieznajomi, obcy ludzie zdołali w jakiś sposób przekazać wiadomość o potyczce przez portal do swojej najbliższej bazy.

Nie miał rzecz jasna pojęcia w jaki sposób mogliby tego dokonać. Zwiadowcy przeszukujący okolice pobojowiska nie znaleźli najmniejszych śladów, które mogły sugerować, że ktoś wymknął się z zasłanej pniami polany. Nie mieli ze sobą ptaków w rodzaju brzęczków, którymi posługiwali się jego żołnierze. Niemniej obcy stosowali przecież tak wiele zaskakujących, niesamowitych urządzeń. Mogli więc także dysponować wystarczającą wiedzą na temat technologii magicznej – albo, pomyślał i zadrżał, jakiejś innej technologii – umożliwiającej przesyłanie wiadomości na dalekie dystanse nawet bez udziału posłańca. Jeśli tak rzeczywiście było, to Arkana miała poważny problem.

To nie była po prostu jedna z wielu niepokojących refleksji jakim się ostatnio oddawał aż zbyt często. Ta myśl napawała go niewyobrażalną wręcz grozą. Jak dotąd nie udało mu się znaleźć w zdobycznym sprzęcie niczego – dosłownie niczego – co choćby odlegle przypominało magiczne urządzenia. Tak liczna wyprawa z jego świata miałaby na swoim wyposażeniu wiele różnych wykorzystujących zaklęcia sprzętów. Obcy jednak nie zabrali ze sobą ani jednego kryształu sarkolisu. Jasak nie wyczuł niczego czarodziejskiego. Nie wyobrażał sobie, w jaki sposób można było stworzyć zaawansowaną cywilizację nie wykorzystując mistycznych technologii, a jedyne maszyny w rodzaju tych, jakie znalazł. Maszyny diabelsko sprytne i złożone, ale jednak tylko mechanizmy.

Czyżby naprawdę było możliwe, że jedno z tych urzędzeń – może nawet takie, którego jeszcze nie obejrzał lub takie, które udało się obcym na czas zniszczyć, by nie dostało się w jego ręce, podobnie jak to uczynili z mapami – mogło pozwalać im na przekazywanie informacji bez fizycznego przekaźnika? Zwierzęcia lub człowieka?

Im dłużej myślał o tym, jak bardzo niewiele wie o Shaylar i jej pobratymcach, tym mocniej życzył sobie, by nikt z Arkany nie zetknął się z nimi dopóki nie uda się złożyć w sensowną całość co najmniej kilku fragmentów tej układanki. On sam był w stanie pomóc przełożonym jedynie wycinając parę otworów w spowijającej ich zasłonie niewiedzy. Gdy pomyślał o Shaylar Nagra i jej umyśle uderzyło go, że rzeczywiście jest w niej coś dziwnego, coś co drażni smoki, choć był pewien widząc reakcję rannej kobiety, że w życiu nie widziała żadnego stworzenia, choćby nieznacznie podobnego do Pazura Wichru.

„Oni nie znają smoków” – olśniło go nagle – „a skoro nie znają smoków, to chyba możliwe, że nie potrafią w żaden sposób latać?”

Kiedy o tym pomyślał na jego czole pojawiło się kilka dodatkowych zmarszczek. Być może był to całkowicie błędny trop. Jedno wiedział na pewno: smoki – w odróżnieniu od osłów, żołnierzy i cywilnych wędrowców – nie zostawiały za sobą żadnych widocznych śladów. Jeśli Shaylar i jej towarzyszom udało się przekazać wiadomość do swoich, to nawet średnio doświadczony tropiciel nie będzie mieć większych problemów z poprowadzeniem ich od miejsca potyczki do bazy na bagnach. Tyle, że odnalezienie tej bazy niewiele im da.

Bagna od Fortu Rycharn dzieliło siedemset mil bezdroży. Pomiedzy bazą a fortem nie było żadnych zaznaczonych szlaków ani tras komunikacyjnych. Cały ruch pomiędzy obozem a Rycharn odbywał się drogą powietrzną. Co więcej – samo Rycharn stanowiło jedynie wysuniętą placówkę. Portal wejściowy do wszechświata, w którym wzniesiono fort znajdował się ponad trzy tysiące mil dalej – za potężnym oceanem – na wyspie, która stanowiła tamtejszy odpowiednik arkaniańskiego Chalar.

Skinął z zadowoleniem głową. Oblicze mu stężało. Podjął decyzję. Nie mógł co prawda naprawić tego, co się stało, ale wiedział już, co powinien zrobić w następnej kolejności. Przeniesienie wszystkich ludzi do Fortu Rycharn na pewno nie będzie łatwą sprawą – dysponowali przecież tylko jednym smokiem. Nie było jednak innego sposobu na skuteczne zatarcie śladów za sobą.

Jeżeli dowódca ekspedycji Shaylar rzeczywiście wezwał posiłki, to obcy odnajdą jedynie opuszczoną bazę. Potem, jeśli zechcą będą sobie mogli ich szukać przez całe siedemset mil dziewiczych, nieprzebytych bagien. Gdyby nawet odnaleźli w końcu Fort Rycharn, to też niczego nie wskórają. Nie – jeśli Jasakowi powiedzie się druga część planu. Nie – jeśli uda mu się przekonać pięćsetnika Kliana do wycofania się do portalu Chalar, by dodać kolejne tysiące mil do odległości dzielącej pościg od drogi

do Arkany.

„Czas” – pomyślał. – „Tego potrzeba nam teraz najbardziej – czasu. Musimy mieć czas, by przesłać wiadomość wzdłuż łańcucha tranzytowego. Potrzebujemy czasu, by znaleźć kogoś, kto dla odmiany będzie wiedział, co zrobić i doprowadzi do kolejnego, tym razem pokojowego, kontaktu z obcymi. Potrzebujemy czasu na znalezienie sposobu na wybrnięcie z tej sytuacji, zanim do reszty wymknie się nam ona spod kontroli.”

Jedynym sposobem na uzyskanie tego czasu było nie dopuszczenie, by ktokolwiek z obcych natrafił na choć jeden ślad Arkany.

A potem Arkana będzie już w pogotowiu.

Rozdział 13

Jathmar unosił się powoli w ciemności. Szybował ku górze przez nieruchomą, ciepłą pustkę, ku widniejącemu daleko światłu. Blask stawał się coraz mocniejszy, wyciągał po Jathmara kolejne swoje promienie. Poczuł jak coś w nim sennie protestuje. Sięgnął po miękką ciemność, niczym zbudzone wcześniej rano dziecko, zakopujące się w dającą poczucie bezpieczeństwa pierzynę. Nie chciał się budzić. Nie chciał dać się wyrwać z objęć przytulnego, kojącego mroku. Nie wiedział dlaczego nie chce się ocknąć. Nic nie pamiętał, ale gdzieś, w którymś z zakamarków jego umysłu tliło się przekonanie, że tam, na górze coś na niego czeka. Coś, czego spotykać wcale nie miał ochoty.

Zamrugał powiekami i spróbował odnaleźć Więź łączącą go z Shaylar. Zrobił to tak odruchowo jak odruchowo oddychał, i jak wyciągał ramię by ją do siebie przytulić.

Strach uderzył z mocą najeżonego kolcami młota.

Nie było jej. Zamiast uczuć Shaylar oczekiwała go jedynie pełna krzyku, przesiąknięta bólem czerń. Poczucie osamotnienia wyrwało go gwałtownie z objęć długiego snu. Poczuł ukłucie dojmującego, przenikającego do szpiku kości prerażenia. Otworzył szeroko oczy.

Zalały go słoneczne promienie. Było gorąco i wilgotno. Zniknął gdzieś wspaniały, jesienny las, który jakimś cudem zdołał zapamiętać. Wokoło widział jedynie błoto, wodę i brunatne rośliny. Cały świat napęczniał zapachem zgnilizny, pleśni i wilgoci. Nad wodą rosły drzewa – niektóre z nich wpijały się korzeniami bezpośrednio w szlam. Poznawał niektóre ich tropikalne gatunki, gęsto obwieszane pnączami. Po oszałamiających barwach jesieni zaginął wszelki ślad. W upalnej, dusznej ciszy rozlegały się co chwila głosy ptaków – śpiewne, krzykliwe. Części z tych dźwięków nie słyszał nigdy wcześniej. Nad porastającymi bagna trawami przelatywały wielkie motyle, przywodzące na myśl ożywione klejnoty. Wszędzie też słychać było niskie, jednostajne zawodzenie tysięcy owadów. Parno.

Leżał na czymś jednocześnie mocnym i miękkim. Musiało to być coś w rodzaju płóciennej pryczy. Myśli wirowały mu i migotały w głowie, zagubione pomiędzy narastającą z powodu milczenia Shaylar paniką a całkowitą niepewnością. Nagle gdzieś obok zarejestrował ludzkie głosy i jakiś ruch. Usiadł i...

Krzyknął i szarpnął się gwałtownie do tyłu. „Płócienna prycza” pod nim nawet nie drgnęła, ale zsunął się z niej i runął na błotniste podłoże, czekające na jego ciało całe dwie stopy poniżej. Oddychał szybko i instynktownie zaczął szukać swego karabinu, rewolweru czy choćby noża. Dłonie trafiały jednak tylko na kolejne warstwy błota.

To... coś... odwróciło swój przerażający łeb i spojrzało w dół. Prosto na niego. W tej

samej chwili wymacał palcami uschniętą gałąź. Zdawał sobie sprawę, że w walce przeciwko czemuś takiemu ta prowizoryczna maczuga nie zda się na nic, lecz mimo wszystko była to lepsza broń niż gołe pięści. Podniósł się na kolana i zaczął dziko wymachiwać konarem.

Głośne krzyki za sobą usłyszał jak przez mgłę. Nie zwrócił na nie uwagi. Skupił się całym sobą na pokrytym łuskami potworze. Wzrok odwrócił dopiero, gdy stanął przed nim umundurowany mężczyzna z kuszą w ręku. Żołnierz krzyknął i podniósł swą niedorzeczną broń. Nie mierzył jednak w górującą nad nimi bestię, lecz prosto w Jathmara. Pojawił się drugi człowiek. Miał na sobie identyczny mundur. Wykrzykiwał rozkazy – a może miotał przekleństwa – głosem tętniącym gorącą złością. Pierwszy z żołnierzy opuścił kuszę i spojrzał na drugiego niczym zbity pies. W jego oczach odmalowało się coś na kształt przeprosin. Drugi z nich – Jathmar zrozumiał, że był to oficer – powiedział coś jeszcze, już łagodniej, choć nadal z wyrzutem w głosie. Kusznik przyjął postawę na baczność i dziwnie zasalutował – dotknął prawą pięścią swego lewego ramienia.

Oficer skinął głową pozwalając żołnierzowi odejść, popatrzył chwilę za nim, po czym zwrócił się do Jathmara.

Jathmar mocniej ścisnął swój śmieszny kijek. W dusznym, bagiennym powietrzu musiał toczyć ciężką walkę o każdy oddech. Oficer spojrzał mu poważnie w oczy. Wytrzymał spojrzenie Jathmara i powiedział coś – najwyraźniej wydając kolejny rozkaz.

Pojawił się jeszcze jeden żołnierz i krzyknął na potwora. Jasak spojrzał na niego. Stworzenie popatrzyło na krzyczącego mężczyznę, zaszeleściło swymi błoniastymi, demonicznymi skrzydłami i zasyczało gniewnie, lecz cofnęło się. Potężne, zbrojne pazurami łapy wbijały się głęboko w miękkie, błotniste podłoże. Gdyby coś o takich rozmiarach potrafiło wycofywać się ukradkiem, to właśnie tak nazwałby ten ruch Jathmar.

–Jathmar.

Na dźwięk własnego imienia Jathmar spojrzał na powrót na oficera. Poza długim sztyłem, czy może mieczem wiszącym u jego lewego biodra mężczyzna nie miał żadnej widocznej broni. Jathmar nie wątpił jednak ani przez chwilę, że patrzy na dowódcę wszystkich znajdujących się dokoła uzbrojonych ludzi i nie ośmielił się nawet drgnąć.

–Skąd znasz moje imię? – zapytał.

Oficer najwyraźniej nie rozumiał pytania. Uniósł dwie otwarte dłonie w znanym chyba w każdym wszechświecie geście oznaczającym „nie mam najmniejszego

pojęcia, co do mnie mówisz.” Mimo paniki, mimo przerażenia, jakie wzbudzała w nim milcząca nadal małżeńska Więź usta Jathmara wykrzywiły się bardziej z rozbawienia, niż w strachu. Wtedy stojący przed nim oficer powiedział coś jeszcze.

–Shaylar.

–Gdzie ona jest? – warknął Jathmar, którego w jednej chwili opuściła cała wesołość. Panika rozwarła się w nim bezdenną otchłanią. Nie przypuszczał nawet, że potrafi bać się aż tak bardzo. Gałąź znów powędrowała ku górze i zakołysała się pomiędzy nim, a wrogim żołnierzem. Wyszczrzył zęby niczym osaczone zwierzę.

Wtedy wróciły wspomnienia. Tak przemożnie, że aż zatoczył się w miejscu. Pamiętał już cierpienie. Płonął otoczony językami ognia i piorunami spadającej ognistej kuli. Wyciągał ręce ku Shaylar. Całe jego ciało paliło się żywym płomieniem. Nie mógł jej dosięgnąć i...

Ktoś energicznie ruszył w jego stronę. Znów uniósł kij. Z gardła dobył mu się głuchy warkot. Przepęniała go pierwotna, samcza furia i głód walki. Usłyszał głos oficera. Ostry, zdecydowany. Nie obchodziło go to. Cofnął uzbrojone ramię chcąc uderzyć napastnika, odwrócił się ku niemu i zamarł, kiedy na niego spojrział.

Nie był to wcale kolejny żołnierz; Dziewczyna. Smukła, śliczna dziewczyna. Najwyraźniej Uromathianka. Wyższa niż jego Shaylar, ale tak samo delikatna i drobna. Powtarzała jego imię.

I imię Shaylar wskazując cały czas w bok.

„To pułapka” – ostrzegawczo krzyknął jego umysł, lecz zignorował to i obrócił głowę.

Najpierw zobaczył namioty. Cały obóz. Stały w równych szeregach. W polu widzenia pojawiło się więcej dziwnie uzbrojonych żołnierzy. Kusze trzymali ostrożnie opuszczone w dół, ku błotnistej ziemi. Potem dostrzegł szkliste rury i ponownie zdjęło go przerażenie. Przypomnił sobie ich ogniste pociski.

Wtedy jego wzrok padł na rannych. Przed oczami stanęła mu cała ohyda krwawego spustoszenia, jaką potrafiły wyrządzać ołowiane pociski. Jak w kalejdoskopie oglądał rozdarte mięśnie, potrzaskane kończyny, szkarłatne plamy na bandażach, mundurach i skórze. Ktoś głośno krzyknął. Jego wycie zabrzmiało żałością i niezwykle ostro. Opatrunek powrócił na ranę. To, co zobaczył i to co słyszał wstrząsnęło nim do głębi, przestraszyło ale i napełniło dziwną satysfakcją. W chwili, gdy oba uczucia spierały się o pierwszeństwo w jego sercu zobaczył i ją.

Leżała tak blisko, że w pierwszej chwili – zajęty szokującym widokiem potwora – nie zwrócił na nią uwagi. Opadł przy niej na kolana. Ledwie dosłyszał własny jęk. Temu,

że „prycza” na której leżała unosiła się swobodnie nad ziemią nie poświęcił nawet jednej myśli.

Żyła. Oddychała spokojnie, równomiernie. Ale jej twarz... Wstrzymał dech w piersiach. Połowa jej głowy była koszmarnie opuchnięta. Wiśniowy siniec świadczył o straszliwej mocy otrzymanego ciosu. Zasłaniał prawie zupełnie jej lewe oko. Wydało mu się, że miała także złamany nos. Zadrapania i otarcia na policzku i brwi opowiedziały mu natychmiast swą historię. Wróciły kolejne wspomnienia.

Raz jeszcze – jakby dokładnie w tej chwili – wybuchła dokoła nich ognista kula. Czuł jak leci wprost na połamane, suche gałęzie. Czuł niewyobrażalny ból na skórze, na głowie. Uniósł ręce do twarzy. Dotknął karku. Nie miał pojęcia, jak to możliwe, że nie czuje bólu. Jego palce nie natrafiły na zwęgloną skórę, nie miał żadnych ran, żadnych oparzeń. To niedorzeczność. Rozum wzbraniał się przed tym, o czym tak dobitnie świadczył dotyk. Został przecież potwornie poparzony. Wiedział to. Cały aż zadrżał na wspomnienie tamtej upiornej chwili. Teraz jednak nie nosił na sobie żadnego śladu przeżytego wcześniej piekła. Coś takiego nie miało prawa mieć miejsca.

Kłęczał w błocie obok swojej żony i przeszył go dreszcz. Zbyt wielu rzeczy nie był w stanie pojąć. Wtedy zatrzepotały jej rzęsy. Cichy dźwięk – pół westchnienie, pół jęk – dobył się spomiędzy jej warg. Odrzucił natychmiast wszystko. Odrzucił gałąź i całe zagubienie, odrzucił też wszelkie myśli o wrogu. Uniósł ją w ramionach. Przytulił ją leciutko, jakby była z najkruchszego szkła. Zakołysał nią i skrył twarz w jej osmalonych, przypalonych włosach.

–Shaylar – wyrwało mu się słabym głosem – Shaylar! O bogowie! Jesteś ze mną ukochana!

Przerażała go bijąca z jej umysłu cisza. Dobrze czuł na rękach jej ciężar, czuł równy rytm jej serca, słyszał jej oddech, ale kiedy starał się skontaktować z jej umysłem trafiał w pustkę. Nie było jej.

Nowa fala strachu zalała jego duszę. Zmasakrowana twarz i to koszmarnie milczenie. A co jeśli...

Otworzyła oczy. Przez moment patrzyły mgliście. Zamrugowała nieprzytomnie... i wtedy go zobaczyła.

–Jathmar!

Nagle poczuł wokół siebie jej ramiona. Nie był olbrzymem. Faltharianie byli zazwyczaj wysocy i on nie stanowił tu wyjątku. Był jednak przy tym niezwykle szczupły. Jego ciało zbudowane było nie po to, by imponować siłą, lecz żeby zadziwiać wytrzymałością. Shaylar z kolei była bardzo drobna – nawet jak na

Shurkhaliankę. Zawsze twierdził, że żona jest wprost stworzona do przytulania, a kiedy ona chciała mu się odwdzińczyć podobnym komplementem zwykła mówić, że czuje się jak mały kociak próbujący przytulić wielkie psisko. Śmiali się z tego od bardzo dawna. Dziś jednak przywarła do niego tak mocno, że wiedział, że na swej cudownie ozdrowiałej skórze pleców znajdzie potem kilka świeżych sińców. I było mu z tą świadomością dobrze. Bardzo dobrze.

Wtuliła się w jego pierś i zapłakała gwałtownie. Pogładził jej włosy, ugładził pukle i kędziory, które – pomyślał – będzie musiała doprowadzać do ładu latami. Kiedy już nacieszył się żoną na tyle, że posadził ją z powrotem i spojrzał jej w oczy dotknęła z ciekawością jego policzka.

–Jath – wyszeptała. Jej wielkie oczy lśniły od łez. – Jesteś prawdziwym cudem, najdroższy.

–Ja... – przełknął głośno ślinę. – Ja byłem poparzony, prawda?

–Tak – powiedziała ledwie słyszalnie i skinęła głową. – Przyleciał ich Uzdrowiciel. I on... – tym razem ona się zająknęła. Jath, ty umierałeś. Wiem, że tak było. Ale on mi cię zwrócił.

Dotknął cię. Po prostu cię dotknął i rany się zaleczyły. Zupełnie jak bogowie. Dotknął cię i wskrzesił dla świata.

Poczuł zawrót głowy. Zawirowało wszystko. Bagna i nawet oblicze Shaylar. Czegoś takiego nie umożliwiał żaden Talent. Nawet najbardziej Utalentowani Uzdrowiciele potrafili leczyć przede wszystkim umysł lub skłaniać ciało do szybszego powrotu do zdrowia. Oczywiście – działali czasem cuda, ale nigdy żaden nie dokonał czegoś podobnego.

Przebiegł go dreszcz. Obrócił głowę i spojrzał na milczącego oficera. Stał i patrzył na nich. Nie groził. Nie przerywał. Wyglądał jak zwyczajny człowiek, a mimo to...

–Nie rozumiem – spojrzał znów na Shaylar – skoro zrobili to dla mnie, to dlaczego nie wyleczyli i ciebie? Ani – dodał – tych, którym zrobiliśmy sito z ciała.

–Nie wiem – pokręciła głową. – Tutaj nic nie ma sensu. Ci ludzie, Jath, nie są tacy jak my. Są zupełnie inni. Mam wrażenie, że ich Uzdrowiciele są bardziej... bardziej ograniczeni energetycznie od naszych – Jathmar wyraźnie widział, że jego żona stara się ostrożnie dobierać słowa, próbując wyjaśnić mu coś, co dla niej stanowiło równą zagadkę, jak dla niego. – Oni chyba nie wspomagają naturalnych procesów zdrowienia. Mam wrażenie, że oni sami leczą. Własną mocą. Kiedy ten ich Uzdrowiciel nad tobą pracował, cały się świeciłeś. Miałam też poczucie, że wokół zbiera się jakaś potężna energia. Wydaje mi się, że oni potrafią dokonywać rzeczy, o jakich nasi medycy nawet nie śnili. Tyle, że nie są w stanie zrobić za dużo na raz...

szybko się wyczerpują. Poza tym z obcymi jest tylko jeden prawdziwy Uzdrowiciel. Podejrzewam, że musi dozować wysiłek i oszczędza swe zdolności dla tych w najgorszym stanie.

–Albo dla tych, którzy posiadają cenne informacje – Jathmar nie zdołał się powstrzymać od gorzkiego komentarza.

–W jakiejś części na pewno masz rację – powiedziała Shaylar beznamiętnie – ale nie wydaje mi się, że tylko dlatego. Byłeś pierwszy, ponieważ odniosłeś najpoważniejsze rany.

Jathmar dostrzegł w jej oczach protest. Pokręciła głową.

–Naprawdę Jath. Ja nie żartuję. Ta kobieta – Gadrial – ona też jest jakimś medykiem. Tyle, że nie ma takich mocy jak on. W każdym razie według ich standardów jest słaba. Nie potrafiła uleczyć ani mnie ani ciebie, ale... – Shaylar zagryzła wargę bez jej pomocy umarłbyś jeszcze przed przybyciem tego prawdziwego Uzdrowiciela.

Ostatnie słowa wypowiedziała grobowym szeptem. Jathmar znów poczuł zimny dreszcz. Tak. Pamiętał wystarczająco wiele, by jej uwierzyć. Nie potrzebował małżeńskiej więzi, żeby usłyszeć w jej głosie najprawdziwszy strach. Nadal pamiętała swoje przerażenie, które opadło ją, gdy myślała, że traci męża. Wzdrygnął się na myśl o całym tym czasie, który spędziła sama wśród nieprzyjaciół.

–Już dobrze – szepnął i raz jeszcze mocno ją do siebie przytulił. – Już wszystko w porządku. Wróciłem do ciebie.

Kołysząc swoją wstrząśniętą żonę szukał wzrokiem tej drugiej dziewczyny – Gadrial. Zobaczył ją. Stała obok, kilka stóp od oficera. Nie była Uromathianką, jej wygląd nie miał tu nic do rzeczy. Z najwyższym wysiłkiem zmusił się, by przestać ją tak nazywać. Ta kobieta nie myślała jak Uromathianką, nie zachowywała się jak Uromathianką, nie żywiła uromathiańskich uprzedzeń. Jej zwyczaje także były zupełnie inne. A on stał się jej dłużnikiem. Ocaliła mu życie. Dla każdego Faltharianina taki dług stanowił bardzo poważne zobowiązanie. Pociągał za sobą pewne zobowiązania, formalne uprzejmości, obietnicę wzajemnej pomocy i tak dalej. Zdał sobie sprawę, że ona nic z tego wszystkiego nie będzie w stanie zrozumieć.

Co więcej – on sam nie był tym zachwycony.

Po chwili dotarło do niego, że taki sam dług zaciągnął też wobec nieznanego mu jeszcze Uzdrowiciela. To także nie poprawiło jego nastroju. Gadrial patrzyła na niego z niepewnością. Spojrzał jej w oczy. Odwzajemniła spojrzenie i nieśmiało się uśmiechnęła. Był to bardzo słodki uśmiech, bardzo ludzki. I bardzo... zwyczajny.

Po jego cudownie uzdrowionym grzbiecie przebiegł kolejny dreszcz. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że ma nagie plecy.

Spojrzał po sobie i zobaczył, że nie ma koszuli. Znów poczuł zamęt w głowie. Klęczał półnagi obok swej żony. Nie miał pojęcia, gdzie jest ani jak daleko znaleźli się wraz z Shaylar od miejsca okrutnej bitwy. Nie wiedział też ile czasu od tamtej pory upłynęło. Źle się czuł stając przed tyloma tak poważnymi niewiadomymi. Spojrzał w zmartwione oczy Shaylar i zmarszczył czoło. Coś powoli wynurzało się z chaosu jego myśli. Coś bardzo niepokojącego. Po chwili już wiedział.

–Shaylar? Gdzie reszta?

Wzdrygnęła się. Znów wstrząsnął nią szloch – bezradny szloch. Cichy i pozbawiony nadziei. Pokręciła głową z niewysłowionym żalem. Jathmar poczuł, jak krew zamarza mu w żyłach.

–Nikt? – zapytał szeptem. – Żaden? Tylko my?

Skinęła głową nadal nie potrafiąc zdobyć się na słowa. Jathmar widział z jakim wysiłkiem jego żona walczy o to, by się nie poddać, by nie pograżyć się w czarnej rozpacz. Pękało mu serce. Przytulił ją mocniej. Poczuł jak trzęsie nią cichy płacz i zdał sobie sprawę z czegoś jeszcze. Ich Więź nie zniknęła. Była jedynie uszkodzona. Zbyt uszkodzona, by działać jak zawsze, ale nie na tyle, by nie wyczuł jej żalu, rozpacz i smutku.

–Przepraszam – powiedział słabo. – Przepraszam, że cię tu ze sobą przyprowadziłem. W sam środek tego...

–Nie! – Shaylar podniosła głowę i pokręciła nią przecząco. – Nie wolno ci tak mówić. To nieprawda!

Miała rację, ale w tej chwili chodziło jej o coś jeszcze innego. Chciała obronić go przed przytłaczającym ciężarem poczucia odpowiedzialności i winy. Nie chciała, żeby cierpiał przez to, że nie potrafił jej obronić.

Bolesna prawda była taka, że stali się jeńcami wojennymi. Tylko jak obcy traktują jeńców? Z pewnością mają jakieś własne procedury. Zastanowił się i poczuł lęk. Czy nieznajomi myśleli, że on i Shaylar byli żołnierzami? Zdawał sobie sprawę, że sposób postępowania ze schwytanymi cywilami różni się to tego, co dzieje się z pojmanymi wojskowymi. Od ostatniego razu, kiedy którakolwiek z armii Sharony toczyła prawdziwą wojnę upłynęło już bardzo wiele czasu, choć z rzadka nawet i teraz zdarzały się sporadyczne, przygraniczne utarczki. Zazwyczaj były to wypadki, kiedy patrol jednego z państw zapędził się na niewłaściwą stronę granicy, lub krótkie konflikty pomiędzy krainami, które miały długą tradycję wzajemnych waśni i wojen. Takich na pół zapomnianych sporów tliło się w Sharonie zbyt wiele by nie musieli

wypracować zasad traktowania jeńców.

Tylko jak miał ich przekonać, że ani on ani Shaylar nie byli wojskowymi? Zabili przecież i ranili tylu ludzi. Prawdziwych żołnierzy. Jeśli kapitan Halifu wysłał za nimi swój oddział, to obcy będą mieli okazję przekonać się, jak walczy regularna armia Sharony, tylko co to da im dwojgu? Skoro najlepszą bronią obcych były kusze i zobaczyli już jak zabójczo działają karabiny i pistolety, to czy będą mogli uwierzyć, że ludzie, którzy je noszą są tylko cywilami?

Raz jeszcze obrazy z brutalnego, gwałtownego starcia stanęły mu przed oczami. Był pewien jednego – zespół badawczy Ghartouna chan Hagrahyła przegrał tylko dlatego, że obcy użyli swoich dział – tej przerażającej, tajemniczej artylerii. Zanim nie spadł na nich ognisty deszcz walczyli dzielnie i strzelali skutecznie. – Nic dziwnego, że ci kusznicy zachowują się teraz tak nerwowo.

Przekonał się już, jak reagują na nich szeregowi żołnierze. Ich nerwy napięte były do granic. Jak jednak zachowa się wobec nich wrogi oficer? Gdyby ktokolwiek zrobił coś złego Shaylar to on...

Jathmar przygryzł wargę. Nie mógł. Nie był w stanie obronić swej własnej żony. Gdyby spróbował zginąłby na miejscu, a Shaylar znalazłaby się na łasce i niełasce obcych. Ta świadomość podwoiła potroiła jego gorzki smutek. Rozumiał jednak, że martwienie się na zapas nigdy jeszcze nikomu nie pomogło.

–Gdzie jesteśmy? – zapytał. – Jak daleko od polany?

–Nie wiem. Kiedy przez to przechodziliśmy spałam. Shaylar pokazała na coś za jego plecami. Jathmar odwrócił się i znieruchomiał. Portal. Bogowie. Naprawdę musiał być w opłakanym stanie, skoro nie zauważył ani nie wyczuł tak bliskiego portalu. Prowadził do lasu, który sam odkrył wraz z resztą zespołu kilka dni temu. Na pewno jednak nie był to ten portal, którym weszli. Po żadnej ze stron tamtego portalu nie było przecież tych malarycznych bagien. Poza tym, w porównaniu z ich portalem ten tu był maleńki.

–Zabrali nas z lasu w środku nocy – mruknęła cicho Shaylar. – Na... smoku.

Zawahała się wypowiadając ostatnie słowo. Jathmar spojrzał jednak na wielkie stworzenie i skinął ze zrozumieniem głową. Jeśli istniało jakiegokolwiek słowo lepiej nadające się do opisanie tego potwora, to on go nie znał.

–Załadowali mu na grzbiet wszystkich ciężko rannych – ciągnęła Shaylar. – Rozłożyli na nim specjalną platformę. To jakby ambulans czy pojazd szpitalny. Tyle, że latający. Próbowałam się skontaktować z Darcelem, ale coś jest nie tak z moim Talentem. Nikogo nie Słyszę. Nawet ciebie. Zamiast Głosu mam tylko taką dzwoniącą ciszę. Potwornie boli mnie też głowa. Bez przerwy.

–Wyczułem to, kiedy starałem się znaleźć cię przez Więź – powiedział cicho Jathmar. – Kiedy się obudziłem nie było nic. Tylko cisza. Przestraszyłem się, że cię straciłem.

Spojrzał na nią i zobaczył ból w jej odważnych oczach. Widział go także w zmarszczkach i jej spiętym karku. Widział go też w siniakach i otarciach, które tak bardzo zniekształcały jej twarz.

–Dlaczego cię, do cholery, nie wyleczyli? – zapytał z naciskiem. Dużo bardziej szorstko niż za pierwszym razem.

–Mówiłam ci – odparła tonem, który był po prostu wyjaśnieniem, a nie usprawiedliwieniem dla obcych. – Ich Uzdrowiciel ma pełne ręce roboty, Jathmar. I mimo, że Gadrial i dowódca byli dla mnie dobrzy to żałuję, że nie ma jej więcej.

Gorycz rozbrzmiewająca w jej zazwyczaj stonowanym głosie zaskoczyła Jathmara. Nigdy nie czuł w niej aż tak silnej nienawiści. Gdyby ktoś mu o tym opowiedział nigdy by nie uwierzył. Przestraszył się własnej żony.

–Przykro mi – dodała stalowym głosem – ale to, co nam zrobili... Chyba nigdy im tego nie wybaczę. Staram się, bardzo się staram, ale nie mogę.

–A kto do diabła tego od ciebie oczekuje?

–Ja sama – wyszeptała. – Boli mnie dusza. Nie chcę tak czuć.

Poczuł w sercu ukłucie żalu. Rzucił mrożącym spojrzeniem na wrogiego oficera, który wydał rozkaz zmasakrowania jego towarzyszy.

„W twoich żyłach nie płynie dość krwi, by jej przelanie uczyniło tej kobiecie zadość” – zdawał się mówić wzrokiem.

Oficer także na niego spojrzał. Bardzo poważnie. Prosto w oczy. Nie odwrócił wzroku nawet, gdy dostrzegł pulsującą w Jathmarze nienawiść. Z pewnością nie był miękkim, słabym człowiekiem. Wydawało się, że szczerze żałuje tego, co zaszło, ale patrzył na Jathmara bez zmrużenia oka. Żaden z nich nie powiedział słowa – nie znali przecież swych języków – mimo to, w tej jednej chwili wcale słów nie potrzebowali. Przeciwnik mierzył wzrokiem przeciwnika. Jathmar niemal namacalnie wyczuł oddanie z jakim służył obcy oficer.

Oddanie to nie było uzależnione od tego ku czemu prowadziło, ani od tego jakie wiązały się z nim obowiązki. Oficer zrobiłby to, co do niego należy bez względu na konsekwencje dla Jathmara... i dla Shaylar.

Jego determinacja nie wynikała z nienawiści, ani złości. Tego Jathmar był

pevien. Nie wątpił teŝ jednak, ŝe dowódcą obcych nie zawaha się przed niczym, czego będzie od niego wymagać sytuacja. Jathmar zacisnął mocno szczęki. Nie chciał dać się zwięść swej własnej nienawiści. Nie mógł jej pokazać. Nie mógł teŝ pozwolić jej by nakłoniła go do poszukiwania zemsty za wszelką cenę.

Rozumiał to wszystko aż nazbyt dobrze. Kiedy tak patrzył na oblicze obcego zrozumiał, ŝe i tamten myśli o swojej własnej nienawiści.

* * *

Jasak Olderhan patrzył na klęczącego jeńca. Męczyzna mierzył go lodowatym, a jednak gorącym spojrzeniem. Setnik zbyt dobrze rozumiał skąd brał się pałający w obcym gniew. Wątpił jednak, ŝe Jathmar zdołałby pojąć jak bardzo dobrze Jasak to rozumiał... i jak głęboko mu współczuł.

Teraz jednak zrozumienie i współczucie mogły nie wystarczyć. Nieprzytomny, zawieszony na krawędzi życia, mąż Shaylar stanowił dla Jasaka obowiązek, odpowiedzialność. Będąc oficerem Unii i członkiem andarańskiej kasty wojowników Jasak był zobowiązany do ocalenia życia swego jeńca za wszelką cenę. Wszystko inne było wtedy drugorzędne.

Po przebudzeniu jednak – przytomny i świadomy – mąż Shaylar musiał być traktowany całkowicie inaczej. Co więcej – sądząc po jego zachowaniu i wzroku – naleŝało go traktować z najwyższą ostrożnością. Był niebezpieczny.

–Czy on jest żołnierzem? – Gadrial zmąciła pytaniem klębiący się w głowie Jasaka potok myśli. Spojrzał na smukłą dziewczynę. Takŝe i ona przyglądała się z niepokojem Jathmarowi.

–Dlaczego o to pytasz?

–Nie wygląda na przestraszonego. W każdym razie nie w sposób, w jaki bałby się cywil. Ten jego wzrok... Tak nie patrzą zdjęci strachem cywile.

–Nie patrzą. To prawda – wycedził Jasak – ale to tylko dlatego, ŝe on się nie boi. On jest przeraŝony.

–Jaki? – Gadrial oderwała oczy od obcego i spojrzała na setnika.

–Przeraŝony – powtórzył Jasak. – Na jego miejscu czułbym dokładnie to samo. Nie wiem jeszcze, czy jest żołnierzem, czy nie. Mam wrażenie, ŝe nie, ale on na pewno wie, kim my jesteŝmy i wie, ŝe to my wymordowaliśmy mu przyjaciół. To wspomnienie daje mu bardzo określony pogląd na nasze zadania.

–Czyli? – Gadrial nie była pewna, czy rozumie.

–Czyli wie, że musimy odstawić go do Arkany i przesłuchać. Musimy dowiedzieć się o tych ludziach jak najwięcej zdołamy. Nie pozwolę ich skrzywdzić, ale on przecież tego nie wie. Jestem pewien, że gdyby ktokolwiek poddał go torturom zniósłby męki z odwagą. Może nawet niczego by nie powiedział. Ale nie jest tu sam. O ile dotąd nie byłem pewien, kim są dla siebie, to teraz wszystko już stało się jasne. Ona jest jego żoną, Gadrial. Widać to po sposobie w jaki ją tuli, jak na nią patrzy. Po tym, jak ją dotyka. Przeraza go to, że ktoś mógłby ją skrzywdzić. Znieważyc. Nienawidzi nas za to, co zrobiliśmy jego przyjaciółom, a także za to, czego jeszcze nie zrobiliśmy. Zdaje sobie sprawę, że gdybyśmy chcieli jej coś zrobić to nie zdoła nas powstrzymać. Ale idę, cholera o zakład, że gdybyśmy tylko spróbowali ją tknąć, to musielibyśmy go najpierw zabić. Nie wolno nam o tym zapomnieć. Nigdy.

Gadrial zmarszczyła brwi i spojrzała z powrotem na Jathmara i Shaylar. Zrozumiała jak dobrze Jasak odczytał emocje targające obcym mężczyzną.

–Jak zatem możemy go przekonać, że nie chcemy ich skrzywdzić? – spytała.

Jasak ciężko westchnął.

–Szczерze? Nie możemy. Nie uda nam się, dopóki nie poznamy ich języka. Albo oni naszego. Musi też upłynąć tyle czasu, ile trzeba, żebyśmy byli w stanie pokazać mu nasze dobre intencje. Do tego momentu...

Setnik zmrużył oczy i spojrzał na Gadrial.

–Do tego momentu pozostanie dla nas śmiertelnie niebezpiecznym człowiekiem – powiedział. – Nie podoba mi się, że muszę poprosić cię o wejście w paszczę smoka, ale potrzebuję twojej pomocy.

–Oczywiście. Co mam zrobić?

–Chciałbym, żebyś została naszą oficjalną pośredniczką. Jeśli którykolwiek z nas – Jasak nieznacznym ruchem palca pokazał na siebie i swoich podkomendnych – spróbowalby z nim rozmawiać, on byłby tak spięty, że o jakiegokolwiek komunikacji nie byłoby mowy. Myślałby tylko o bezpieczeństwie swojej żony, a my myślelibyśmy tylko o naszej broni, o tym, że mógłby wziąć któregoś z nas jako zakładnika, albo o czymś równie głupim.

–A ja nie stanowią dla niego takiego zagrożenia, tak?

–Dokładnie tak – odpowiedział. Gadrial spojrzała mu prosto w oczy.

–Mógłby też spróbować wziąć mnie jako zakładniczkę – zauważyła i oficer powoli skinął głową.

–Owszem. Istnieje i taka możliwość. Nie będę udawał, że nie. Ale jeśli jest na tyle inteligentny by zdawać sobie sprawę z naszej przewagi, a także i z tego, że nie wie, gdzie jest i jak daleko odeszliśmy od ich portalu, to nie odważy się na to. Ma przecież ze sobą ranną kobietę.

–Jeśli – powtórzyła oschle, parsknęła i uśmiechnęła się cierpko. – Choć z drugiej strony wydaje mi się, że Shaylar nie wyszłaby za kogoś tak głupiego. W każdym razie nie z własnej woli – dodała zdając sobie sprawę, że nic nie wie o zwyczajach obcych.

–Ja też nie wyobrażam sobie, by ktokolwiek mógł tę kobietę do ślubu przymusić – przyznał równie poważnie Jasak. – Poza tym są sobie wyraźnie oddani. Więc nawet jeśli jej lud jest równie „oświecony” co, dajmy na to, Mythalanie, to ta para wydaje się bardzo dobrze zgrana, prawda?

Gadrial skwitowała jego porównanie błyskiem oka i nieznacznym uśmiechem.

–Załóżmy póki co, że niczego o ich obyczajach małżeńskich nie wiemy – skinęła głową w stronę dwójki jeńców. – Nasze są wystarczająco zróżnicowane. Ale szczerze mówiąc ich związek nie wygląda na sztuczny. Nie wyobrażam sobie, by Shaylar chciała w ten sposób pracować – nie w takiej dziczy – jeśli miałyby być tylko wdzięcznym dodatkiem do kariery męża. To nie miałyby sensu także i z praktycznego punktu widzenia. W tak niewielkiej grupie jak ich, każdy musi mieć jakieś konkretne, wyraźnie określone zadania. W podobnych sytuacjach nie można sobie pozwolić na luksus zabrania małżonka na wakacje.

–Zgadza się – przytaknął Jasak.

–A zatem co powinnam teraz zrobić? Nie możemy tak po prostu stać i patrzeć sobie w oczy.

–Nie. Nie możemy – setnik uśmiechnął się słabo. – Myślisz, że uda ci się porozmawiać z Shaylar? Ona ci ufa.

–Spróbuję. Ale co mam jej przekazać? Nie wiem przecież, co zamierzasz – powiedziała na tyle wesoło, że na twarz żołnierza ponownie wpłynął słaby uśmiech.

–Przepraszam. Nie pomyślałem – Gadrial zauważyła, że lekko się zarumienił. – Tak skupiłem się na przetransportowaniu nas wszystkich w jednym kawałku na bagna, że nie podzieliłem się z tobą planami. A musisz wiedzieć, że odgrywasz w nich główną rolę.

Gadrial uśmiechnęła się. Zawstydzony Sir Jasak Olderhan wyglądał uroczo. Pomyślała, że gdyby mu o tym powiedziała zaczerwieniłby się pewnie po same uszy.

–Więc powiedz mi teraz – poprosiła opierając się kobiecej pokusie. Jasak spojrzał

na nią z wdzięcznością i potarł sobie kark. Zbierał myśli.

–Chcę porzucić ten obóz – powiedział. – Wycofać wszystkich spod tego portalu na wybrzeże. Nie ma możliwości, by ktokolwiek nas odnalazł, jeśli polecimy smokiem. To bardzo ważne. Nie chcę dopuścić do dalszych walk. Żadne z nas nie ma dyplomatycznego doświadczenia, a tego właśnie teraz potrzebujemy najbardziej. Gdyby udało się nam przysłać tu dyplomatów, to jest szansa, że nikt już nie zginie. Nie ma teraz znaczenia, czy to Osmuna strzelił pierwszy, czy jego przeciwnik. Dla nich istotne jest, że wybiliśmy cały oddział ich ludzi. Dla nas ważne są nasze ofiary i ta ich potworna broń. Nie chcieliśmy tej masakry, ale w to akurat tak łatwo nam przecież nie uwierzą. Podejrzewam też, że u nas – wśród starszych oficerów i polityków – pojawią się naciski na jakieś gwałtowne reakcje. I będą jeszcze silniejsze, jeśli obcy wysłali jakąś misję ratunkową i dojdzie do kolejnej strzelaniny. Dlatego właśnie do akcji muszą wejść dyplomaci. Muszą ich przekonać, że nie chcemy i nie chcieliśmy wojny.

Gadrial skinęła głową.

–Widząc cywilów nie zareagują tak... zapalczywie – powiedziała. – Rozumiem. Większa szansa na uniknięcie rozlewu krwi.

–Właśnie – potwierdził Jasak. Gadrial przyjrzała mu się uważniej.

–Nie chciałabym Sir Jasak zostać źle zrozumiana, ale po zawodowym żołnierzu takiej oceny sytuacji nie spodziewałam się ani trochę. Chcę też powiedzieć, że to najlepsza wiadomość jaką usłyszałam od momentu, kiedy dowiedziałam się o śmierci tego idioty Garlatha.

W oczach Jasaka pojawił się błysk. Dziewczyna parsknęła.

–Zresztą nieważne – ciągnęła – wiem, że nie możesz się ze mną zgodzić. Dyscyplina wojskowa. Andarańska sztywność, honor i tak dalej – uśmiechnęła się słodko. – Skoro już wpadłeś na tak genialny pomysł to pewnie wiesz też, kiedy wyruszamy? I co z tego wszystkiego chciałbyś, żebym im przekazała?

Wskazała brodą Jathmara i Shaylar.

–Ciebie i ich chcę wysłać pierwszym lotem, wraz z najciężej rannymi, których do tej pory nie uda się uleczyć miecznikowi Morikanowi.

Gadrial kiwnęła głową. Obdarzony medyk, nawet tak świetnie wyszkolony jak Naf Morikan nie mógł przekroczyć dostępnych sobie zasobów energii. Dary, których stosowanie wiązało się z wywieraniem bezpośredniego wpływu na żywe istoty – takie jak Dar Uzdrowicieli czy innych magistrów i czeladników zajmujących się na przykład rozmnażaniem i tresurą smoków, albo hodowlą brzęczków czy nawet

agronomów, którzy bezustannie pracowali nad jakością żywności i roślin, z których wytwarzano tkaniny – działały inaczej niż podstawowy Dar Gadrial. Obdarzeni musieli przechodzić specjalne szkolenia. Nikomu też jeszcze nie udało się zmagazynować leczniczego zaklęcia w sarkolisie, mimo, że na naukowca, któremu by się to powiodło czekała wielka nagroda vos Lipkina.

Gadrial podejrzewała, że główny problem nie polegał na umieszczeniu magii w sarkolisie. Co prawda nigdy się tym szczególnie nie zajmowała – interesowały ją zupełnie inne obszary badań – ale miała wrażenie, że trudność wiązała się z różnorodnością obrażeń, które przychodziło leczyć. Zaklęcia, które wprawiały w ruch magiczne urządzenia były bardzo proste. Mnogość zastosowań nie miała więc znaczenia, kiedy chodziło o przedmioty nieożywione, ale jakiegokolwiek niedopatrzenia czy niedokładności w stosunku do żywych mogły mieć ogromne konsekwencje. Każdy Uzdrawiciel zmagał się z wyjątkowymi, niepowtarzalnymi problemami, z których każdy miał inne rozwiązanie.

Rozmawiała o tym bardzo często z magistrem Halathynem, mimo że żadne z nich nie miało wystarczająco rozwiniętego Daru uzdrawiania by mogło to wspomóc ich badania. Doszli jednak do wniosku, że różnica pomiędzy magistrem zajmującym się „twardą magią” – oddziałującą na przedmioty martwe – a magistronem szkolonym w „magii życia” – kimś w rodzaju Nafa Morikana – była taka, jak pomiędzy kompozytorem po akademii muzycznej, a genialnym improwizatorem. Żaden nie mógł zastąpić drugiego i żaden nie potrafiłby też do końca wyjaśnić różnic między pracą swoją a kolegi.

–W obozie mam jeszcze masę rannych czekających na Nafa – ciągnął Jasak – ale pięćsetnik Klian ma w Rycharn cały batalion medyczny. Chciałbym ulżyć Morikanowi zabierając stąd tych w najgorszym stanie. Martwię się też o zdrowie Shaylar. Nie wydaje się, żeby jej życie było w niebezpieczeństwie i nie poślę do niej Nafa – już i tak ma ręce pełne roboty – ale ją też trzeba dokładnie obejrzeć i to jak najszybciej.

–Dobrze. Rozumiem i zgadzam się z tobą. Spróbuję jej to wyjaśnić. Życz mi powodzenia.

–Powodzenia.

–Dzięki.

Gadrial wytarła spocone dłonie o spodnie, zaczerpnęła głęboko powietrza i ruszyła ku jeńcom z najbardziej przyjaznym uśmiechem, na jaki było ją stać.

* * *

Jathmar nigdy wcześniej nie zastanawiał się, jak to jest znaleźć się w niewoli, a już w najśmielszych snach nie przypuszczał, że sam stanie się kiedyś jeńcem wojennym.

Siedzieli z Shaylar i próbowali coś zjeść. Obcy żołnierze bacznie się im przyglądali. W ich spojrzeniach wyraźnie widział wrogość. Bez względu na to, jaki stosunek miał do nich dowódca, jego żołnierze, którzy bezlitośnie wymordowali niemal cały zespół badawczy nienawidzili ich z całą pewnością.

„Zabijałeś naszych przyjaciół” – zdawały się mówić ich oczy. – „Próbowałeś zabić i nas. Daj nam tylko powód, a dokończymy to, co zaczęliśmy na polanie. Prosimy bardzo.”

Starał się wytłumaczyć sobie, że tak naprawdę, nie patrzą na niego z aż taką złością. Być może po prostu przypisywał im – czy na to zasłużyli, czy nie – własne emocje. Prawdopodobnie część z tego, co nazywał nienawiścią, stanowił po prostu strach przed nieznanym, które reprezentowali w ich oczach on i Shaylar. Oni oboje i ich broń.

Być może miał rację, ale też nie mógł mieć stuprocentowej pewności. W odróżnieniu od Shaylar nie potrafił czytać w umysłach innych ludzi, przez co nie był nawet w stanie przekonać się do Gadrial, której najwyraźniej ufała jego żona. Nie potrafił się też odprężyć, kiedy cały czas czuł na sobie te zimne, obce spojrzenia.

Na to ostatnie nie miał najmniejszego wpływu. Potrzebował mimo to krótkiego wytchnienia. Bardzo chciał znaleźć się w jakimś odosobnionym miejscu, w którym on i Shaylar nie byłiby pod stałym naporem skondensowanej nienawiści, strachu, niepewności, czy któregośkolwiek z uczuć kryjących się za spojrzeniami kuszników. To jednak było niemożliwe. Nie mógł nawet wstać i wyjść z obozu za potrzebą. Wiedział, że gdyby tylko spróbował od razu wbilby mu się między łopatki ostry belt.

Czuł się okropnie. On i Shaylar przybyli tu w celu zbadania nowego wszechświata i zarazem dlatego, że kochali wolność – wolność, która polegała na swobodnym przemieszczaniu się z jednego bezludnego miejsca winne. Cieszyli się ciszą, poczuciem braku ograniczeń i sztywnych zasad zachowania. Uwielbiali ten całkowity brak reguł we wszystkich dziedzinach życia.

Teraz wszystko to utracili za jednym zamachem. Nie wiedział też kiedy – i czy w ogóle – uda im się odzyskać to, co im tak brutalnie odebrano. Przed nimi czaiło się blade widmo długiej niewoli, która stanowiła zaprzeczenie wszystkiego, co miało dla nich jakąkolwiek wartość. Wiedział, że będzie mu z tym ciężko, ale bardziej jeszcze obawiał się, jak zniesie oglądanie cierpiącej niewolę Shaylar. Za każdym razem, kiedy spoglądał na jej opuchniętą twarz budził się w nim świeży gniew. Patrzył jak żona zmaga się z każdym kęsem posiłku, widział, że próbuje się uśmiechać – do niego i do obcych. Ból był prawie nie do zniesienia.

Dźwięki obcej mowy obmywały go jak kwaśny, palący deszcz. Nie dawały mu spokoju. Nie był w stanie nawet zapytać żołnierzy, jakie mieli zamiary. Nie umiał też –

z braku doświadczenia – wyczuć ich nastrojów z samych tylko gestów i sposobu poruszania się. Nawet na Sharonie nie wszyscy używali takiego samego języka ciała, a kusznicy byli dla nich zupełnie obcy, pochodzili z zupełnie innego świata. Nie znał ich mowy ani zwyczajów. Nie wiedział co znaczą ich miny.

–Musimy nauczyć się ich języka – powiedziała Shaylar. I to szybko.

Podniósł wzrok. Spojrzał jej w oczy i uśmiechnął się słabo, ignorując wijące się w jego duszy węże strachu i gniewu. Dotarło do niego, jak dobrze żona go znała. Czytała mu w myślach nawet nie wykorzystując małżeńskiej Więzi.

–Tak. Oni raczej nie zechcą nauczyć się naszego – zgodził się Jathmar. – Chyba, że po to, by bardziej skutecznie nas przesłuchiwać.

Shaylar wyraźnie zadrżała i Jathmar skarcił się w duchu. Nie mógł jednak cofnąć raz wypowiedzianych słów więc wziął ją tylko za rękę i pogładził jej palce.

–Przepraszam – powiedział. – Prawdopodobnie wymyślam zbyt czarne scenariusze. Sama mówiłaś, że ten ich dowódca jest przyzwoity, a przecież znasz go dużo lepiej niż ja. Poza tym nie wyobrażam sobie, że zaryzykowałiby... skrzywdzenie nas jakimiś barbarzyńskimi metodami śledczymi. Potrzebują od nas informacji, a żeby je uzyskać muszą nas utrzymać nie tylko przy życiu ale i w dobrym zdrowiu. No i musimy wykazywać chęć współpracy.

Zdawał sobie sprawę, że próbując pocieszyć Shaylar mógł się grubo pomylić. Widział w jej spojrzeniu, że i ona się tego obawia. Ludzie zdolni do wybicia całej grupy cywilów mogli być zdolni do wszystkiego, a tortury mogli przecież uznawać za niezwykle skuteczny sposób na zdobycie informacji. Podobnych metod nie stosował żaden naród Sharony – przynajmniej nie jawnie, gdyż o obecnym cesarzu Uromathii i jego tajnej policji chodziły bardzo różne, zwykle ponure pogłoski. Tym niemniej w dawnych, mrocznych czasach i na Sharonie tortury stanowiły ogólnie przyjętą i często przerażająco skuteczną metodę wyciągania wiadomości od więźniów.

–Gdyby nie ten ból głowy – powiedziała cicho Shaylar. Mogłabym skupić się na nauce. Bez drugiego telepaty, który pomógłby w tłumaczeniu. Nie byłoby to proste, ale to, czego udałoby mi się nauczyć mogłabym przekazać tobie. Nawet słownie, gdyby nasza więź nie zaczęła jednak działać.

Ostatnie słowa wypowiedziała drżącym, pełnym strachu głosem. Jathmar, chcąc dodać jej otuchy, mocniej ścisnął jej dłoń.

–Skupmy się może na tym, co możemy zrobić, zamiast martwić się tym, czego nie możemy. Zgoda?

–Zgoda – powiedziała tonem o wiele pewniejszym niż przed chwilą. Spojrzała

ciekawie – A to kto?

Z jednego z namiotów wyszedł starszy już, wysoki mężczyzna o ciemnej, jakby ricathiańskiej skórze i ruszył prosto do nich. Patrzył otwarcie i naiwnie, niemal dziecinnym wzrokiem. Był najwyraźniej ciekawy nieznanym. Ciekawy i...

Jathmar zamrugał próbując nazwać drugie z uczuć, które malowały się na twarzy starca: był to zachwyty. Wymienili z Shaylar zaskoczone spojrzenia i ponownie spojrzeli na ciemnoskórego mężczyznę.

Skłonił się przed nimi uprzejmie, po czym pochylił swe długie, wychudzone ciało i usiadł. Powiedział coś dziwnie łagodnym głosem i wskazał na siebie.

–Halathyn. Halathyn vos Dulainah – dodał powoli i wyraźnie.

Shaylar rzuciła okiem w stronę męża i dotknęła swej piersi.

–Shaylar – powiedziała. Wskazała palcem Jathmara – Jathmar.

Oblicze Halathyna zalał niebiański uśmiech. Wykonał dłońmi skomplikowany gest mrucząc coś pod nosem. Powietrze zaczęło falować. Shaylar aż jęknęła, a Jathmar zamarł w zdumieniu. Pomiędzy rekami starca wykwitł kwiat z czystego światła. Róża mieniąca się wszystkimi barwami tęczy.

Halathyn znów poruszył dłonią i róża poszybowała w kierunku Shaylar. Starzec chwycił jej rękę, odwrócił ją dłonią ku górze i kwiat osiadł delikatnie na koniuszkach palców kobiety. Róża zamigotała niczym duch. Piękny duch. Po kilku sekundach zamrugała raz jeszcze i rozplynęła się w powietrzu.

Przez kilka mgnień Shaylar nie wykonała najmniejszego ruchu. Wpatrywała się w swą pustą dłoń. Po chwili podniosła wzrok na obcego mężczyznę. Halathyn siedział uśmiechnięty niczym psotny uczeń. Mimowolnie odwzajemniła jego uśmiech. Choć w głowie nadal pulsował jej przejmujący ból wyraźnie czuła promieniejącą od starca jasną, łagodną aurę. Opływała ją niczym pieścizną.

Wtedy odezwała się Gadrial. Jej głos brzmiał jak łagodne przypomnienie. Kilka chwil temu rozmawiała z Tasakiem. Teraz zatrzymała się przy innym ognisku, gdzie dostała kubki pełne parującego płynu. Przyniosła je i stanęła patrząc z góry na Halathyna. Przechyliła głowę na bok i uśmiechnęła się dosłownie jak nauczyciel – a może nawet niania – patrząca na swego ukochanego podopiecznego.

Słyszając jej słowa Halathyn machnął lekceważąco ręką. Obca kobieta wybuchnęła śmiechem.

–Co to było? – zapytała szeptem Shaylar, korzystając z okazji, że Gadrial i Halathyn

zajęli się sobą.

–Jeśli znasz lepsze słowo niż „czary” to chętnie je poznam – odpowiedział nadal zauroczony widowiskiem Jathmar.

–Smoki, magiczne róże... Myślisz, że to czym nas zaatakowali to też była... magia? Najprawdziwsza w świecie magia?

Jathmar ruszył ramionami, w geście oznaczającym „kto wie”.

–To nie ma sensu – zauważył – ale ta róża też nie powinna była zaistnieć – pokręcił głową. – Nie przychodzi mi do głowy żadne logiczne wyjaśnienie. Tak samo jak nie potrafię wytłumaczyć tego, czym nas poczęstowali na polanie. Ani tego, w jaki sposób mnie uleczyli. Musimy chyba zawiesić sądy do momentu, kiedy będziemy już wiedzieć więcej.

Halathyn, tymczasem, wyciągnął z kieszeni kryształ. Czysty jak źródłana woda. Jeden z najdoskonalszych kawałków kwarcu, jaki Jathmar kiedykolwiek widział. Starzec manipulował przy nim używając do tego czegoś w rodzaju rylca, którym rysował dziwne kształty na jego powierzchni. Jathmarowi wydało się to nieco absurdalne. Tusz nie miał prawa utrzymać się na gładkiej powierzchni. Poza tym rylec Halathyna nie zostawiał po sobie żadnych śladów. Był zupełnie suchy.

Po chwili jednak starzec obrócił kryształ i zobaczyli jego drugą stronę. Jathmar pochylił się z niedowierzaniem do przodu. Kryształ świecił. A raczej świeciły dziwne symbole, które przed chwilą narysował Halathyn. Nieznane, tajemnicze linie lśniły w sercu kryształu. Nie tylko to było w nim dziwne. Sam kryształ nie był większy od pięści Jathmara. Logicznie wydawało się, że wszystko, co mógł w sobie zawrzeć powinno być także małe, a mimo to wszystkie symbole były nadzwyczaj wyraźne. Nie mógł ich odczytać, bo nie miał pojęcia co oznaczały, lecz kiedy skupiał na nich swą uwagę urastały do takich, rozmiarów, że widział każdy, najmniejszy nawet ich szczegół.

–Co to jest? – zdziwił się na głos.

Shaylar przysunęła się bliżej i odruchowo oparła dłoń na ramieniu starca. Na jej twarzy pojawił się znajomy uśmiech.

–Jakieś urządzenie. Coś do... przechowywania innych rzeczy?

Nie była pewna. Jathmar zmarszczył brwi.

–Do przechowywania? – powtórzył za żoną. – To mi wygląda na jakieś pismo, ale w jaki sposób można przechowywać pismo w kamieniu?

–Pismo? Raczej światło – poprawiła Shaylar. – To przecież wygląda jak światło.

–Mnie nie pytaj – pokręcił zdumiony coraz bardziej Jathmar. – Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, na jakiej zasadzie coś takiego może działać.

Za każdym razem, gdy Halathyn poruszał rylcem, pasemka światła wewnątrz kryształu zmieniały się gwałtownie. To było z pewnością pismo i rzeczywiście wszystko wskazywało na to, że Halathyn przechowuje słowa w kryształowo przejrzystym kamieniu. Starzec podniósł na nich wzrok. Zamrugał. Powiedział coś i światło zgasło.

Wyciągnął rękę z kryształem do Shaylar. Kobieta wzięła go niepewnie. Wtedy Halathyn powiedział coś jeszcze, stuknął rysikiem w powierzchnię kamienia i lśniące litery obudziły się na nowo. Lśniły głęboko w środku, przesuwając się z prędkością umożliwiającą wygodne odczytywanie. Tyle, że ani Shaylar ani Jathmar nie potrafili ich odcyfrować.

Shaylar patrzyła z otwartymi ustami. Spojrzała na równie zdumionego Jathmara. Halathyn zachichotał. Wyglądał przy tym na niezwykle z siebie zadowolonego. Odebrał kryształ i szelmowsko spojrzął na Gadrial. Ona z kolei wywróciła oczami i podała jeńcom przyniesione wcześniej kubki.

W środku znajdował się jakiś napój. Pachniał bardzo podobnie do herbaty. Jathmar upił ostrożny łyk i wydał z siebie głębokie westchnienie. To rzeczywiście była najprawdziwsza herbata, z dodatkiem jakiejś pysznej przyprawy. Podmuchał do kubka i napił się jeszcze. Gadrial schwyciła swój kubek obiema dłońmi i pociągnęła spory łyk. Gadrial rzuciła okiem na Halathyna, spojrzała na Shaylar i odezwała się. Pokazała kolejno na jeńców, a potem na smoka.

–Wygląda na to – mruknął Jathmar – że chcą nas stąd zabrać.

–Tak – skinęła głową Shaylar. – Spójrz na Jasaka. Przygląda się nam bardzo uważnie.

Jathmar podniósł oczy i stwierdził, że Shaylar wyraźnie nie doceniła poziomu zainteresowania oficera.

–Według mnie to nasz żołnierz wysłał tu Gadrial w charakterze chłopca na posyłki – powiedział i spojrzął na Gadrial. Kształty kobiety były wyraźnie zarysowane, nawet mimo luźnego, wygodnego stroju, który miała na sobie. Jathmar uśmiechnął się szeroko. – No może nie chłopca – poprawił się. – Ciekawe dlaczego ją przysłał zamiast powiedzieć nam samemu.

Shaylar obrzuciła go niezwykle jak na siebie surowym spojrzeniem.

–Nie chce, żebyś zaczął coś, co mógłby dokończyć jeden z tych żołnierzy – powiedziała ostro.

Jathmar skinął głową.

–Myślisz, że o tym nie wiem? Obiecuję, że póki ty jesteś obok nie zacznę niczego, czego nie będę mógł dokończyć osobiście. Ale powiem ci, że gdyby nie ci faceci ze świerzbiącymi palcami, to nie wiem co bym zrobił.

Shaylar wstrzymała oddech. W jej oczach pojawił się strach. Oderwała dłoń od kubka z herbatą i ścisnęła mocno męża za ramię.

–Proszę cię Jath – szepnęła – nawet o czymś takim nie myśl. Nie przeżyłabym chyba, gdyby znów mi cię odebrali.

Słowa żony poruszyły go głęboko. Spojrzał jej w oczy i nagle zdał sobie sprawę, jak okrutnie musiała z jej punktu widzenia wyglądać walka na polanie. Kiedy przypominał sobie ogniste kule czuł cierpienie i przerażenie. Ale było to jego własne cierpienie i jego własne przerażenie. Ona natomiast musiała patrzeć na swego płonącego męża.

Dla niego wspomnienie głodnych płomieni i bólu, było i tak lżejsze niż pamięć o przebudzeniu w obozie. Bez Shaylar u boku. To drugie było o wiele gorsze. Przez te kilka upiornych chwil, kiedy bał się, że żona zginęła, świat był nieznośnym miejscem. Mroczną, głęboką otchłanią. Bardziej obcą nawet niż druga strona księżyca. Rozumiał jednak, że i to było lepsze od widoku jej ciała pożieranego przez palący ogień. Gdyby musiał patrzeć na coś takiego cierpiałby niewyobrażalnie.

–Nie – powiedział wreszcie tuląc Shaylar do siebie i skrył twarz w jej włosach – nigdy. Nigdy nie zaryzykuję czegoś, co mogłoby skończyć się dla ciebie samotnością.

Poczuł na szyi jej rozedrgany oddech. Nie płakała jednak długo. Kiedy się wreszcie wyprostowała i dzielnie uśmiechnęła jego serce aż zabolalo z dumy. Otarł dłonią jej twarz, uważając przy tym, by nie urazić stłuczonych miejsc. Zanim zdołał powiedzieć coś jeszcze w obozie rozległ się nagły okrzyk.

Odwrócili się akurat w porę, by zobaczyć kolejnego smoka. Potwór nadlatywał ze wschodu. Prześwitujące, skórzaste skrzydła skręcały się i furkotały zmieniając kierunek lotu stworzenia i pozwalając mu wytracić prędkość. W sposobie w jaki smok hamował było coś nienaturalnego. Bardzo szybko tracił wysokość. Jathmar przypomniał sobie jednak, że patrzy na istotę, którą znał dotąd jedynie z legend i zrozumiał, że nie powinien wyciągać co do niej żadnych pochopnych wniosków.

Jasak Olderhan tak jak wszyscy pozostali patrzył na lądującego smoka. Po chwili ruszył ku niemu ze stężałą nagle twarzą. Gadrial powiedziała coś do ciemnoskórego

starca. W jej głosie pobrzmiwał niepokój. Halathyn wzruszył tylko ramionami i z ciekawością obserwował kołującego smoka. Bestia zaskakująco płynnie wylądowała na skraju obozu.

Jathmar zafrasował się myśląc o przybyszach i dziwnej reakcji obcych.

–Czyżby kłopoty? – zastanowił się na głos.

–Możliwe – odparła Shaylar. – Jasak nie wydaje się szczególnie uszczęśliwiony tą wizytą.

Rozdział 14

Jasak Olderhan powtórzył sobie w duchu, że nie powinien kląć na głos. Przysłonił dłonią oczy i spojrzał na zbliżającego się smoka.

Muthok Salmeer opowiedział mu o stanie Podniebnego Żagla, skrzydłowego smoka Pazura wystarczająco dokładnie. Żagiel miał powrócić do czynnej służby dopiero za kilka tygodni. Jasak wcale się z tego nie ucieszył. Baza na bagnach była zbyt oddalona od Fortu Rycharn, by jeden smok mógł obrócić w tę i z powrotem bez odpoczynku. Mając do dyspozycji jedynie Pazura jego możliwości transportowe ograniczały się do najwyżej półtora lotu na dzień. Była to poważna przeszkoda w realizacji planu powietrznej ewakuacji na wybrzeże.

Biorąc to pod uwagę powinien się więc ucieszyć na widok smoka. Niestety było inaczej. Żagiel był ranny – więc nadlatujący smok musiał być jednym z dodatkowych smoków, na które czekali już od długich miesięcy. Musiał przybyć tu statkiem. Ocean leżący pomiędzy Fortem Rycharn a Fortem Wyvern był zbyt rozległy by zwierzę mogło nad nim samodzielnie przelecieć. Skoro zaś na wybrzeżu pojawił się statek – to pojawił się też i transport...

A zatem bez wątplenia i...

* * *

Smok wreszcie się zatrzymał. Jasak zacisnął mocniej zęby i spojrzał na przysadzistego mężczyznę w mundurze Drugiej Andarańskiej ozdobionym takimi samymi symbolami jakie widniały na jego własnym uniformie. Przybysz oswobodził się z siodła i zszedł na ziemię. Rozejrzał się po obozie, obrzucił surowym, ponurym wzrokiem rzędy rannych. Jasak zaklął w duchu.

Spodziewał się już od jakiegoś czasu, że ktoś go zmieni, a przynajmniej zluzuje na czas dobrze zasłużonej przepustki. Wszystko jednak zmieniło się w chwili, w której Shevan Garlath, zabijając bezbronno człowieka, pozwolił wydarzeniom wymknąć się spod kontroli. Jego ludzie byli zdemoralizowani i wstrząśnięci. Myśl o przekazywaniu dowództwa w takich warunkach napawała go głębokim niepokojem.

–Setniku Thalmayr – zsalutował przybyszowi Jasak.

–Setniku Olderhan – Hadrign Thalmayr odpowiedział gestem, w którym żołnierskie pozdrowienie przechodziło w coś bardzo bliskiego obrazie. Opuścił dłoń i wyciągnął z kieszeni kryształ. Jeden z tych, których używano do przekazywania oficjalnych rozkazów i wiadomości. – Na mocy rozkazu Dowodzącego Dwoma Tysiącami mul Gurthaka mam pana zmienić.

Jasak zacisnął szczęki. W oczach Thalmayra dostrzegał wyraźną pogardę. Nowo przybyły nie dowiedział się jeszcze niczego o niedawnych wydarzeniach, lecz już zdążył wyrobić sobie odpowiednią opinię. Gniew szarpnął Jasakiem jak pies na uwięzi. Nie mógł sobie pozwolić na spuszczenie go ze smyczy. Jeszcze nie teraz.

–Oczywiście setniku Thalmayr – powiedział oficjalnym tonem odbierając kryształ. – Przekazuję panu dowództwo.

–Świetnie – skomentował Thalmayr – Proszę zatem załadować jeńców na naszego smoka setniku Olderhan. Nie możemy odwlekać wylotu.

–Wręcz przeciwnie – powiedział Jasak ostrzej niż chciał. – Mam w terenie dwóch ludzi. Prowadzą rekonesans. Jeszcze nie wrócili, a przed ich powrotem nie możemy przeprowadzić ewakuacji.

–Ewakuacji? – powtórzył z niedowierzaniem Thalmayr. Przez chwilę popatrzył Jasakowi w oczy po czym wydał usta ze wzgardą. – Pan oczywiście nie mówi poważnie!

–Mówię śmiertelnie poważnie – warknął Jasak. – Obcy są w posiadaniu broni o potężnej sile. Nie rozumiemy nawet zasady jej działania, setniku Thalmayr. Nie było ich nawet dwudziestu, co więcej, jak się wydaje byli to cywile, a udało im się zabić lub ranić dwie trzecie doborowej jednostki rozpoznania. Pierwszy pluton poniósł straty w wysokości osiemdziesięciu pięciu procent stanu. Dopóki nie dowiemy się o nich czegoś więcej nie możemy pozwolić sobie na kolejne starcie. Żeby temu zapobiec powinniśmy wycofać się na wybrzeże i utworzyć tym samym strefę buforową, której tamci nie zdołają przekroczyć do czasu przybycia doświadczonych dyplomatów.

–Dyplomaci nie byliby nam potrzebni – stwierdził lodowato Thalmayr – gdyby nie spała pan pierwszego kontaktu! Ja co prawda nie jestem andarańskim zwiadowcą od... – w ostatnich dwóch słowach znów dała się słyszeć głęboka pogarda -... od tak dawna jak pan, ale nawet zwykły piechur zna odpowiednie rozkazy i zalecenia. W wypadku natknięcia się na jakichkolwiek ludzi spoza Arkany należy zrobić wszystko, by kontakt przebiegł pokojowo – przypomniał i wskazał gniewnie na rannych leżących na noszach. – Najwyraźniej pańska definicja pokojowego kontaktu różni się od mojej.

* * *

Jasak Olderhan poczuł jak drgają mu mięśnie szczęki. Nie mógł powiedzieć temu nadętemu dupkowi, że półsetnik Garlath otrzymał wyraźny rozkaz nie strzelać. Byłaby to bardzo mizerna wymówka. Poza tym usprawiedliwianie się przed Hadrignem Thalmayrem było ostatnią rzeczą, na jaką miał w tej chwili ochotę. Kiedyś

i tak zostanie wszczęte dochodzenie. Istniała oczywiście szansa, że sąd wojskowy spuści jego karierę w najbliższym kłozecie. Ale to była sprawa przyszłości, tymczasem teraz...

–To nie zmienia obecnej sytuacji taktycznej – powiedział, starając się mówić spokojnie i nie brzmieć zaczepnie. Mimo to w oczach Thalmayra pojawił się od razu złowrogi błysk.

–Oczywiście, że zmienia – syknął. – Może i ma pan ochotę uciekać, ale to pańskie właśnie decyzje i działania sprawiły, że utrzymanie kontroli nad tym portalem należy traktować jako priorytet. Po pierwsze Armia Unii nie może oddać obcym ani piędzi arkaniańskiej ziemi, a po drugie dlatego, że to jest najwęższe gardło w promieniu trzech wszechświatów. Jeśli gdziekolwiek zdołamy się utrzymać to tylko tutaj. Po trzecie, raport, który przesłał pan pięćsetnikowi Khanowi dowodzi, że po drugiej stronie tego portalu – wskazał ręką przed siebie – znajduje się pieprzone skupisko. Drugie w historii skupisko! Nie zrezygnujemy z uzyskania dostępu do czegoś tak wielkiego. Zwłaszcza nie w sytuacji kiedy ktoś okazał się na tyle głupi, by zacząć wojnę z facetami, którzy też mają na to chrapkę!

Jasak wiedział, że jest potwornie błąd. Thalmayr uśmiechnął się szyderczo.

–Przyślemy ci tych twoich dyplomatów, Olderhan. Posprzątają całe gówno, którego tu narobiłeś. Za ciebie. Ale tymczasem, jeśli te bydlaki, które dopuściły się tego... – gniewnie wskazał na leżących dokoła rannych – zechcą się bić, to nie dojdą ani kroku dalej – znów pokazał palcem portal. – Jeśli chcą naszej ziemi to damy im jej akurat tyle, by mogli zasypać nią swoje trupy.

Jasak szeroko otworzył oczy. Był zbyt przerażony by czuć palającą w sobie gwałtowną wściekłość.

–Zwariowaliście? – prawie krzyknął. – Jeśli uniesiecie się teraz andarańską „krwią i honorem” to skończycie z rękaw nocniku! To będzie prawdziwa katastrofa! Zginą moi kolejni ludzie...ty...

–Moi ludzie – warknął Thalmayr. – Zapomniał już pan o rozkazach z kryształu?

Jasak już miał na końcu języka ostrą ripostę, ale powstrzymał się w ostatniej chwili. Zamiast tego odetchnął głęboko, obiecując sobie jednocześnie, że pewnego dnia stanie z Hadrignem Thalmayrem na ubitej ziemi – wtedy wystarczy mu tylko krótka chwila. Ale na to musiał poczekać. Nie dziś i nie tutaj.

–Pańscy, czy moi setniku Thalmayr – powiedział zmuszając się do zachowania spokoju – nie możemy ich bez wyraźnego powodu rzucać w sam środek walki. Co więcej, uważam, że kolejna zbrojna konfrontacja z obcymi pociągnęłaby za sobą katastrofalne skutki polityczne. Siedzenie tu i potrząsanie mieczkami oraz

wyzywanie przeciwnika by przeszedł na naszą stronę między nie pomogą nam w bezkrwawym opanowaniu sytuacji.

–Możliwość pokojowego nawiązania kontaktu i tak została już zaprzepaszczona – oczy Thalmayra spływały rozgrzaną do czerwoności ławą. – I przez to – przez pana – tamci stanowią teraz jawne i bliskie niebezpieczeństwo dla Unii Arkany. Moim zadaniem jest strzec naszego terytorium...

–Pańskim zadaniem jest obrona obywateli Unii przed jakimkolwiek zagrożeniem – syknął Jasak – a nie prowadzenie sąsiedzkich sporów o kawałek bagna!

–...i będę tak długo potrząsać mieczkami, jak to będzie potrzebne! – warknął Thalmayr zupełnie ignorując ostatnie słowa Olderhana. – Wobec powyższego pańskim zadaniem – zakładając, że jest pan w stanie tego nie spieprzyć – jest odtransportowanie jeńców w celu przesłuchania. Sugerowałbym, żeby zabrał się pan do tego bezzwłocznie. Do kwatery głównej Armii na Nowej Arkanie jest dość daleko.

Nim Jasak zdążył powiedzieć coś więcej Thalmayr wyminął go i ruszył ku ognisku, przy którym stali Jathmar i Shaylarz niepokojem przyglądający się gwałtownej wymianie zdań między żołnierzami. Jasak ruszył za idiotą w pełnej gotowości do kolejnej rundy konfrontacji. Nie musiał na nią czekać zbyt długo. Thalmayr stanął przy ognisku, obrzucił jeńców krótkim spojrzeniem i odwrócił się gwałtownie do drugiego oficera.

–Nie są skrępowani!

–Nie – potwierdził lodowato Jasak. – Nie są i nie będą.

–Żołnierzu! Ty chyba oszalałeś! Ci przestępcy... – wskazał palcem na Jathmara i jego żonę -...winni są wymordowania arkaniańskich żołnierzy...

–Którzy dokonali rzezi ich towarzyszy, cywilów! – Jasak stwierdził, że nie obchodzi go już, jak Thalmayr zareaguje na wyraźne w tych słowach potępienie. Być może przybysz był w tej chwili wyższy stopniem, ale był też przy tym skończonym idiotą. Jakąś częścią siebie Jasak miał nawet nadzieję, iż zdoła doprowadzić do tego, by Thalmayr podniósł na niego rękę. Jego własnej karierze i tak niewiele mogło już zaszkodzić. Akt przemocy wobec przełożonego – zwłaszcza jeśli stałoby się to w obronie własnej – nie pogorszyłby bardziej jego sytuacji. A gdyby do tego doszło powstałoby nieliczne zamieszanie, które zmusiłoby pięćsetnika Kliana do przekazania dowództwa kompanii C komuś trzeciemu.

–Żołnierzy, którzy z zimną krwią wymordowali ich przyjaciół w starciu wywołanym – na przekór rozkazom – przez Shevana Garlatha. To my jesteśmy tymi złymi, setniku. Nie oni! Oni są winni tylko tego, że się przed nami bronili. Z odwagą i honorem. Ta dziewczyna – Jasak wskazał Shaylar – ta cywilka – jest bardziej odważna niż niejeden

żołnierz, którym przyszło mi dowodzić! Jej mąż został tak poparzony przez nasze smoki, że ledwie udało się go uratować, sama zresztą też odniosła poważne obrażenia, a zniosła podróż w towarzystwie ludzi, którzy zabili jej przyjaciół z dzielnością godną najwyższego podziwu, cholera! Udało się jej nawet wytrzymać widok obrządku polowego. Spaliliśmy na jej oczach wszystkich jej przyjaciół. Nie waż się nawet nazywać ich przestępcami!

Setnik Thalmayr pobladł. Samo” tylko wspomnienie obrządku polowego wywoływało nocne koszmary u niejednego zaprawionego w bojach żołnierza. Po chwili jednak krew napłynęła z powrotem do jego twarzy, zalewając ją wściekle ognistą czerwienią.

–Będę na te bydlęta mówić, jak mi się, kurwa, żywnie spodoba, setniku! – powiedział gniewnie – Teraz ja tu dowodzę. Nie pan. Ty! Mieczniku! – warknął na Hamaka – Zakuć tych... ludzi w kajdanki. Wykonać mieczniku!

–Ani kroku, mieczniku Hamak – syknął Jasak. Thalmayr odwrócił się do niego z niedowierzaniem w oczach. Jasak wytrzymał spojrzenie.

–Nie obchodzi mnie czyim jesteś synem, Olderhan – Thalmayr syknął pochylając się ku Jasakowi, – Jeśli wydasz moim żołnierzom jeszcze choć jeden rozkaz każę cię odesłać do Fortu Rycharn w kajdanach pod zarzutem buntu w obliczu wroga!

–Spróbuj – odparł Jasak bardzo, bardzo cicho. – Ci ludzie, jak ich nazwałeś, są moimi jeńcami. Nie twoimi!

–Ale oni... – zaczął Thalmayr.

–Zamknij się – powiedział lodowato Jasak. – To ja dowodziłem tą jednostką w chwili, kiedy ich pojmano. Dowodziłem jednostką, która nie wykonała mojego wyraźnego polecenia i otworzyła ogień do bezbronnej grupy cywilów. Jej dowódca stał przed nami bez broni, z uniesionymi dłońmi i starał się nawiązać pokojowy kontakt. Nawet pomimo tego, że już wcześniej z naszych rąk poległ jeden z jego ludzi. To... my... jesteśmy... tymi... złymi! – ostatnie słowa podkreślił precyzyjnymi pauzami. – To ja dowodziłem tą jednostką, kiedy oni poddali się nam z zachowaniem wszelkich wymogów honoru! – powtórzył z kamienną twarzą patrząc Thalmayrowi w oczy. – To są *shardonai*, Thalmayr, moi *shardonai*! Thalmayr otworzył usta i zaraz je zamknął nie odrywając wzroku od Jasaka. Wyraz „*shardon*” pochodził ze staroandarańskiego i dosłownie oznaczał „podopiecznego” – osobę pozostającą pod osobistą ochroną andarańskiego wojownika i jego rodu. Pojęcie to przetrwało przez ponad dwa tysiące lat historii Andary. Tego rodzaju zależność mogła mieć różnorodne źródła, ale najstarszym z nich – i najbardziej uświęconym przez kodeks honorowy – była sytuacja, kiedy wojownik brał na siebie odpowiedzialność za bezprawne lub naganne zachowania żołnierzy pod jego dowództwem.

–Bez względu na to czym są – powiedział Thalmayr po chwili – są także wrogami Unii, którzy dopuścili się zabójstwa unijnych żołnierzy. Póki więc są pod moją kuratelą będą zakuci jak należy! – nowy dowódca czuł, że powinien odpuścić, lecz był na to zbyt wściekły.

–Spróbuj – powtórzył Jasak, tym razem niemal śpiewnie. – Proszę, spróbuj tylko. Jeśli naruszysz mój *shardon* będziesz martwy zanim dokończysz wydawać rozkaz.

Thalmayr ponownie pobladł. Jego oblicze przybrało kolor starych kości. W oczach Jasaka widział, że ostanie słowa nie zostały rzucone na wiatr. Thalmayr, podobnie jak Jasak miał przy boku krótki miecz, ale jego garda zabezpieczona była skórzanym paskiem. Cofnął się odruchowo o dwa kroki ostrożnie trzymając dłoń z dala od broni.

Zapadła ciężka, lodowata i pełna napięcia cisza. Po dłuższej chwili Thalmayr wyprostował się i powiedział z niezadowoleniem.

–Możesz być pewny, setniku Olderhan, że oskarżę cię o niesubordynację i groźby wobec przełożonego.

–Oskarżaj i niech cię piekło pochłonie – odparł Jasak spokojnie i groźnie.

–Złożę też – Thalmayr ciągnął starając się nie zwracać uwagi na słowa Jasaka – oficjalny protest przeciwko sposobowi w jaki obchodzisz się z jeńcami. Jeńcy, obojętnie – *shardonai* czy nie – powinni być spętani, w celu zapobieżenia próbom ucieczki.

Jasak popatrzył na niego z niedowierzaniem i wybuchnął krótkim, ironicznym śmiechem.

–Ucieczki? – powtórzył jak echo. – A dokąd to mieliby uciekać, setniku? Znajdują się w samym środku dobrze strzeżonego obozu, siedemset mil od wybrzeża. O ile się nie mylę Shaylar cierpi na wstrząs mózgu. Nie wiedzą jak daleko są od portalu przez który ostatnio przechodzili. Tylko bogowie wiedzą, ile mil dzieli ich od miejsca, w którym mogliby otrzymać pomoc. Z jej obrażeniami, bez broni, sprzętu i prowiantu nie mogą uciec. Na pewno nie oboje – a Jathmar jej nie opuści.

–Mówisz z cholerną pewnością siebie. To dziwne u kogoś, kto tak koncertowo spieprzył każdą swoją akcję w przeciągu ostatnich dwóch dni – warknął Thalmayr.

–Jest pewny dlatego, że ma rację – odezwał się ktoś trzeci. Thalmayr gwałtownie podniósł wzrok i zobaczył Gadrial, która chwilę temu postanowiła wkroczyć do akcji. Popatrzył na nią przez kilka sekund. Odpowiedziała spojrzeniem, które Jasakowi skojarzyło się z miną samicy gryfa broniącej swych piskląt. Thalmayr poczerwieniał jeszcze bardziej, kiedy uświadomił sobie, jakiego języka używał w obecności kobiety.

–Magister Kelbryan – powiedział oficjalnie Jasak. – Pani pozwoli, że przedstawię Dowodzącego Setką Hadrigna Thalmayra – Setniku Thalmayr – to jest magister Gadrial Kelbryan, Dyrektor Zakładu Badań Teoretycznych w Instytucie Garth Showma, specjalna asystentka magistra Halathyna vos Dulainaha.

–Setniku – Gadrial przywitała się chłodno, a Thalmayr stuknął obcasami wykonując wyszukany ukłon. Kiedy opuścił głowę Gadrial popatrzyła ponad nim na Jasaka i przewróciła oczami, po czym spojrzała znów lodowato na Thalmayra, który zdążył się już wyprostować.

–Proszę wybaczyć mój język pani magister – powiedział niemal błagalnie Thalmayr. Najwyraźniej dokładnie wiedział kim była Gadrial i zdawał sobie sprawę, jak zabójcze dla jego kariery mogłoby się okazać zniechęcenie do siebie drugiej co do ważności osoby w Instytucie Garth Showma. Gadrial nie była co prawda żołnierzem, ale w hierarchii służby cywilnej ZTTTU jej ranga odpowiadała Dowodzącemu Dziesięcioma Tysiącami.

–Zdarzało mi się już wcześniej słuchać rozmawiających ze sobą żołnierzy, setniku – odparła po chwili. Ramiona Thalmayra opadły o milimetr. – Choć rzadko jednak bywałam świadkiem tak... swobodnych wypowiedzi – dodała spokojnie, a ramiona setnika znów powędrowały ku górze.

–Ach tak, rozumiem – powiedział i zamilkł na chwilę, jakby starając się wymyślić, co powinien teraz zrobić. – Pani o czymś mówiła, pani magister? – wyjąkał wreszcie.

–Mówiłam, że Sir Jasak nie myli się w ocenie naszych gości – wyjaśniła. Tytuł Jasaka podkreśliła z błyskiem w oku. – A także nie myli się, co do naszych zobowiązań wobec tych ludzi.

Thalmayr podniósł brwi. Jasak zastanowił się, jak wiele Gadrial może wiedzieć na temat *shardon*. Gotów był się założyć, że nie zna nawet absolutnych podstaw wiążących się z tym pojęciem rodowych i osobistych honorowych kwestii. Była na takie zagłębianie się w feudalną historię Andary stanowczo zbyt ransarańska. Thalmayr na pewno też musiał to wiedzieć, ale – bez względu na to, co Olderhan myślał o jego poziomie inteligencji – lub jej braku – nie podjął niebezpiecznego dla siebie tematu.

–Jakże to, pani magister? – zapytał dwornie zamiast tego.

–Spędziłam z Shaylar i Jathmarem bardzo dużo czasu – odpowiedziała Gadrial. – Są sobie oddani bez reszty. Niech pan pomyśli przez chwilę, setniku. Jakby się pan czuł setki mil od domu i...

–Od ich portalu wcale nie musi być tak daleko. Jeśli dobrze zrozumiałem to skupisko portali, które wykryła pani z magistrem Halathynem znajduje się zupełnie

niedaleko. To znaczy, że...

–Jak śmie pan przerywać kobiecie – magistrowi?!! Członkowi Gildii?!!

Syknięcie Gadrial zabrzmiało jak świst spadającego pejcza. Wściekłość pulsowała w niej tak, że zdawało się, że za chwilę zaiskrzą jej włosy. Thalmayr pobladł i cofnął się. Z początku tylko o jeden krok, lecz kiedy ku niemu ruszyła wykonał kolejny.

–Czyżby był pan naprawdę takim niewykształconym, nieoczytanym, bezmyślnym barbarzyńcą na jakiego pan wygląda? – kolejne słowa uderzały jak klinga miecza. – A może andarańscy żołnierze standardowo przechodzą specjalne szkolenie w braku ogłady? Jeśli tak, to na pewno celował pan przynajmniej w tym jednym przedmiocie!

–Pani magister... ja...

–Dość! – powietrze wokół kobiety zasyczało – dosłownie. Wyładowania trzaskały dokoła niej niczym aura mitycznego mythalańskiego ognistego ptaka. – Mam dość umięśnionych idiotów obrażających moją inteligencję, moje zawodowe kompetencje i nie zważających na moją rangę! Shevan Garlath przynosił hańbę mundurowi, w którym przyszło mu zginąć i jak dotąd, setniku Thalmayr, ty nie wydajesz mi się ani trochę lepszy!

Hadrign Thalmayr głośno przełknął ślinę. Przez chwilę, mimo własnej złości i gniewu, zrobiło się go Jasakowi żal. Gniew magistra był czymś, czego wołała uniknąć większość zwykłych ludzi. Gniew tej konkretnej magister mógł zniszczyć karierę nawet komuś ustosunkowanemu politycznie i towarzysko o wiele lepiej od Thalmayra.

–Pani magister Kelbryan, po tysiąc kroć proszę o przebaczenie! Proszę wybaczyć moje niegodne zachowanie i niewłaściwy dobór słów.

Odrzuciła głowę w tył i mimo, że była od niego o całe dwie stopy niższa spojrzała na żołnierza z góry. Przez dłuższą chwilę pozwoliła mu pocić się ze strachu, a potem, bardzo nieznacznie i zimno, skinęła głową.

–Przyjmuję przeprosiny – powiedziała lodowato. – A wracając do pańskiej uwagi – my dokładnie wiemy, gdzie znajduje się ich portal – dodała.

Thalmayr chciał powiedzieć coś jeszcze, ale powstrzymał się, zacisnął wargi i nie wydobył z siebie ni słowa.

–Teraz lepiej, setniku Thalmayr – zauważyła z błyskiem w oku Gadrial. – Oni tej odległości nie znają z tego prostego powodu, że oboje byli podczas lotu nieprzytomni. Nie mają prawa wiedzieć, jak daleko poniósł ich smok.

–Ach, tak, tak. Teraz rozumiem – odchrząknął Thalmayr. – No cóż, to rzeczywiście trochę zmienia sytuację, prawda?

Jasak rozsądnie powstrzymał cisnące mu się na usta parsknięcie.

–Niewątpliwie zmienia – zgodziła się Gadrial. – Nie mają pojęcia, dokąd ich przetransportowaliśmy, a ponadto Sir Jasak ma rację – Shaylar nie jest w stanie uciekać, a Jathmar nie zrobi bez niej jednego kroku. Popatrz na nich, setniku Thalmayr. Proszę tylko spojrzeć.

Thalmayr odwrócił się posłusznie jak marionetka. Jathmar stał dokładnie pomiędzy setnikiem a Shaylar. W całej jego postawie widać było napięcie, oczy zmrużył w wąskie szparki. Stał na lekko ugiętych nogach, dłonie miał prawie zaciśnięte w pięści i uniesione nieco ku górze. Wyglądał jak szykujący się do ataku wąż.

–On i tak ledwie się powstrzymuje – powiedziała Gadrial już ciszej i łagodniej. – Naprawdę chciałby go pan zmusić do użycia przemocy? Chcesz kolejnej śmierci setniku? Czy twoi przełożeni pochwalą zabicie jednego z jeńców, którzy stanowią cenne źródło informacji z tego tylko powodu, że wydałeś zupełnie zbędny rozkaz?

Setnik Thalmayr znów odchrząknął.

–Wydaje się... wydaje się, że ma pani rację, pani magister.

–Bardzo to z pańskiej strony wielkoduszne, że raczył się pan ze mną zgodzić.

Thalmayr usłyszał ironię w jej głosie i natychmiast pokrył się głębokim rumieńcem. Przez chwilę Jasak miał wrażenie, że chce podjąć rzuconą przez Gadrial rękawicę, ale nie okazał się jednak aż takim głupcem.

–Rozumiem – mruknął tylko rozedrganym głosem. – Zgadzam się z panią.

–Dziękuję. Moje zadanie jest i tak wystarczająco trudne. Nie chciałabym musieć dodatkowo użerać się z wojskowymi na każdym kroku.

–Pani zadanie, pani magister?

–Tak. Moje zadanie. To chyba oczywiste? – zapytała drażniąc go z rozmysłem. Thalmayr zamrugnął. Najwyraźniej nie zrozumiał do czego zmierzała.

–Jestem w tym obozie jedynym cywilem – powiedziała cierpliwie, jakby wyjaśniała coś dziecku. – Nawet magister Halathyn w ich oczach musi wydawać się żołnierzem. Tylko mi, choćby nie do końca, będą w stanie zaufać. Ponadto byłam świadkiem wszystkiego, co stało się wcześniej. Moja wiedza, doświadczenie i to, czego dokonałam do tej pory sprawiają, że beze mnie nie można z nimi zrobić absolutnie

nic.

–Czy to oficjalne stanowisko Gildii? – zapytał Thalmayr dobrze wiedząc, że Gildia nie miała jeszcze pojęcia o niedawnych wydarzeniach. Gadrial także zdawała sobie z tego sprawę, ale spojrzała mu prosto w oczy i powiedziała:

–Owszem – była przekonana, że to, co powiedziała chwilę temu stanie się oficjalnym stanowiskiem Gildii, jak tylko do jej władz dotrą wiadomości o kontakcie. Wiedziała też, że w razie potrzeby sama tego dopilnuje. Tymczasem chciała zostać blisko jeńców, by zapobiec przejęciu ich przez armię, lub kogoś z polityków, pod pozorem tajności i „czynności koniecznych do wydobycia z obcych strategicznych informacji”. Nawet politycy i dowódcy legionów nie chcieli zadzierać z Gildią Magów, a Gildia bez wątplenia udzieli jej poparcia. Zwłaszcza, że po swojej stronie miała magistra Halathyna.

Z drugiej strony nie przypuszczała, by ktokolwiek – nawet magister Halathyn – zdołał ochronić jeńców, przed nieuchronnym przesłuchaniem. Tyle, że istniały właściwe i niewłaściwe metody przesłuchań. Gadrial obiecała sobie, że zrobi wszystko, żeby wobec Jathmara i Shaylar stosowano tylko te właściwe.

Setnik Thalmayr najwyraźniej nie został ulepiony ze zbyt mocnej gliny. Nie potrafił się jej dłużej sprzeciwić.

–Rozumiem pani – magister powiedział pojednawczo i spojrzał na Jasaka. – Więźniowie należą do pana, setniku. Proszę tylko pamiętać – dodał ostrzegawczym tonem i znów rzucił okiem na Gadrial – po czyjej stronie jesteście.

Gadrial zachnęła się, ale Thalmayr odwrócił się na pięcie i odszedł wykrzykując kolejne rozkazy. Kobieta spojrzała Jasakowi w oczy, w których dostrzegła ciekawą mieszankę szacunku, żalu i głębokiego niepokoju.

–Powinnaś się spakować – powiedział zwięźle. – Salmeer będzie chciał niedługo lecieć.

–Myślisz, że to źle, że Thalmayr tu zostanie? – zapytała cicho.

–Czy myślę? Ja to wiem.

–Zgadzam się z tobą, co do przemocy, ale on ma rację, jeśli chodzi o rozmiary tego portalu – pokazała nań odruchowo. Nie podobało się jej, że w jakiegokolwiek sprawie bierze stronę nowo przybyłego oficera. – Wszystkie inne są o wiele większe. Jeśli rzeczywiście doszłoby do kolejnych starć, to może to rzeczywiście najlepsze miejsce, w którym moglibyśmy spróbować ich powstrzymać?

–Setnik Thalmayr nie ma najmniejszego pojęcia na co się waży – odpowiedział

beznamiętnie Jasak. – Nie widział ich broni w akcji i nie jest, cholera, ani trochę mądrzejszy ode mnie. Nie wie, ilu ich jest, jak blisko się znajdują, ani jak szybko są zdolni tu dotrzeć. Nie dowie się tego wszystkiego, dopóki nie wróci miecznik Threbuch. Na dodatek zamiast wycofywać ludzi, on chce wezwać ich tu jeszcze więcej – Olderhan pokręcił głową. – Jeden z moich – to znaczy jego – plutonów stacjonuje w Erthos, ponad cztery tysiące mil stąd. Pierwszy pluton przestał praktycznie istnieć, a batalion pięćsetnika Kliana jest rozproszony po przynajmniej trzech wszechświatach. W związku z tym Thalmayrowi zostają tylko dwa plutony – ledwie stu dwudziestu ludzi więcej wliczając posiłki. Żadna z tych jednostek nie jest w pełnym stanie. Tak mizerne siły nie wystarczą do powstrzymania żadnego poważniejszego ataku, a z drugiej strony jest ich za dużo, żeby miał choć szansę wycofać się na czas, jeśli stwierdzi, że nie może się utrzymać.

–A ciebie nie posłucha na pewno – zmartwiła się Gadrial.

–Jest przekonany, że spieprzyłem, bo spanikowałem. Wydaje mu się, że zachowałem się niehonorowo, a plan wycofania się na wybrzeże stanowi w jego oczach kolejny dowód mojego tchórzostwa.

–Tchórzostwa? Czy on całkiem postradał zmysły? Przecież nie zachowałeś się niehonorowo! Co za nadęty, głupi i...

–Spokojnie, pani magister – Jasak uciszył ją gestem dłoni. – To nie twoja walka – dodał łagodnie – poza tym, to na pewno nie jest jedyny raz, kiedy spotkam się z tym zarzutem.

–Powiem prawdę w oczy każdemu dupkowi, który się na to poważy – powiedziała mrużąc oczy. – Nawet jeśli musiałabym go siłą zmusić do jej wysłuchania!

–Moja pani – powiedział Jasak uśmiechając się lekko – bardzo ucieszyłby mnie podobny widok, ale tak czy inaczej muszę teraz bezpiecznie odtransportować jeńców do Nowej Arkany. Mam prośbę, chcę najszybciej jak to tylko możliwe zamienić kilka słów z magistrem Halathynem.

–Halathyn – szepnęła Gadrial i natychmiast zbladła. – On musi z nami lecieć.

–Tak. Musi – zgodził się Jasak – a to zrzędlawy, nieznoszący sprzeciwu, staruszek z głową zatwardziałą jak łeb smoka. Na dodatek jest przyzwyczajony do tego, że wszystko dzieje się pod jego dyktando i myślę, że nie powinno się go raczej wypuszczać z Akademii bez uzbrojonego strażnika i smyczy.

Spodziewał się, że Gadrial poczuje się urażona, ale wargi kobiety uniosły się w zawadiackim uśmiešku.

–Całkiem nieźle go poznałeś, prawda?

–Owszem i jestem pewien, że nie będzie się chciał oddalać od tego cholernego skupiska jeśli nie zajdzie absolutna konieczność. Tak więc, przepraszam na chwilę.

Odwrócił się od niej i poszedł do Halathyna. Zaczął coś mówić i pokazywać ręką na namiot naukowca. Gadrial zrozumiała patrząc za oficerem, że zależy mu na tym zręcznym, nieznoszącym sprzeciwu, staruszkę z głową zatwardziałą jak łeb smoka, tak samo jak jej samej. Co więcej – wiedziała, że nie mylił się co do tego, jak ciężko będzie im przekonać Halathyna do „porzucenia posterunku”, zwłaszcza kiedy był na skraju dokonania największego transtemporalnego odkrycia wszech czasów. Teraz nie chodziło już jedynie o skupisko portali, lecz o całą nieznaną multiwersalną cywilizację! Zaczęła się zastanawiać, czy Jasakowi i jej wystarczy argumentów, które mogłyby przeważyć szalę decyzji starca.

Zdjął ją strach zimny jak ransarańska zima. Przez chwilę przyglądała się jeszcze rozmawiającym przy namiocie Jasakowi i Halathynowi, po czym ruszyła do siebie i zaczęła się pakować.

*** * ***

–Będą kłopoty – stwierdził zwięźle Jathmar. Shaylar skinęła głową.

Sądząc po podniesionych głosach dobiegających z namiotu, w którym schował się Jasak i stary, ciemnoskóry Halathyn, nie panowała pomiędzy nimi całkowita zgoda. Głos Halathyna brzmiał rozsądnie i wydawało się, że czarodziej jest pewny swego, choć lekko poirytowany. Jasak z kolei był wyraźnie zły i sfrustrowany. Przybysz – człowiek, na którego Jasak i Gadrial mówili „Thalmayr” – ruszył w stronę namiotu. Jathmar spiął się w sobie. Doprowadzająca go do szaleństwa nieznajomość mowy obcych nie przeszkodziła mu w zrozumieniu, że Thalmayr stanowił niebezpieczeństwo dla niego samego i dla Shaylar. Dobrze widział furię z jaką starli się obaj żołnierze.

Thalmayr nie wszedł do namiotu. Zatrzymał się przed nim i zaczął podsłuchiwać. Co prawda jego obecność wewnątrz mogła pogorszyć sprawę, ale Jathmar wolałby to, niż widok złośliwego uśmiechu na twarzy nowo przybyłego oficera obcych.

Nie wiedział o co spierają się Halathyn z Jasakiem, ale rozumiał, że dobry humor Thalmayra nie wróży im niczego dobrego. Bał się tego obcego oficera potwornie. Nawet nie starał się tego przed sobą ukrywać. Tak samo jak nie ukrywał już, że w tej sytuacji on i Shaylar bardzo potrzebują Jasaka i Gadrial. Tylko ta dwójka mogła ich ochronić przed przybyszem.

–Gadrial się pakuje – odezwała się nagle Shaylar. – Popatrz, sam.

Skinęła głową w stronę namiotu rozbitego obok tego, w którym mieszkał Halathyn. W środku zauważył szczupłą sylwetkę obcej kobiety. Rzeczywiście. Pakowała się.

Tylko ona.

–Nie wiem, co się tu dzieje, ale z pewnością nie ewakuują całego obozu – mruknął Jathmar. – Podejrzewam, że postanowili zorganizować obronę portalu.

–Myślisz, że Grafin wysłał kogoś za nami? – spytała Shaylar.

–Nie wiem. To sprawa wojskowa, a zatem i polityczna.

Z drugiej strony jest tam przecież Darcel, który nie spocznie, póki nie znajdzie nas albo naszych ciał. A Darcel ma niełichy dar przekonywania.

Uśmiechnął się szelmowsko do Shaylar, ale grymas zgasł na jego twarzy równie szybko jak się pojawił. Kobieta pokręciła głową.

–Nie znajdzie żadnych ciał, Jath – powiedziała pustym głosem. Jathmar poczuł ciarki przebiegające mu po czaszce.

–Jak to? Przecież na pewno grzebią umarłych?

–Nie – znów zaprzeczyła Shaylar. – Nie. Oni wszystkich spalili. Kremacja. Tak chyba to trzeba nazwać. Wszystkich. Spalili swoich i naszych... – gwałtownie przełknęła ślinę – nie wiem jak to nazwać. To czym ich palili. Płonęło szybko. Płomienie pożarły... wszystko.

–Chorzy sadyści... – syknął wściekle Jathmar, ale ona kolejny raz pokręciła głową. Tym razem energiczniej.

–Nie. To nie tak! – była wyraźnie podenerwowana, ale słowa starała się dobierać ostrożnie. – Naszych potraktowali identycznie jak swoich, Jathmar. To było... to wyglądało jak jakiś obrzęd pogrzebowy. Nie byli w stanie zabrać poległych ze sobą. Było ich też za mało, by mogli ich pogrzebać. Zrobili więc, co w ich mocy, żeby okazać poległym szacunek. Według własnej miary.

Jasak spojrział na nią badawczo. Zobaczył wypływający na jej usta niepewny uśmiech. Po chwili zamknęła oczy i oparła się o niego czołem.

–Jestem pewna, że to właśnie o to chodziło. Chcieli ich uszanować. Wyczytałam to z umysłu Jasaka, ale ten widok...

Szarpnął nią szloch. Jathmar przytulił ją mocno i zaczął szeptem błagać, by nie płakała.

–Chcę płakać – powiedziała przez łzy. – Barris powiedział mi to samo po tym, jak Falsan umarł na moich rękach. Kazał mi płakać. Powiedział, że to szok i miał rację. A

potem oglądałam i jego ciało. Na własne oczy widziałam jak spłonął na popiół...

–Moja kochana – szepnął jej do ucha Jathmar i delikatnie zaczął ją kołysać. Oczy mężczyzny zaszły ogniem.

Chciał dodać coś jeszcze, lecz powstrzymał się i przymknął powieki. Nie było go przy śmierci Falsana, ale wiedział, że Barris dobrze poradził jego żonie. Tak samo teraz, choć z bólem, postanowił pozwolić się jej wypłakać, rozumiał, że to jej pomoże.

Skupił się na dotyku i z rozmysłem zaczął szukać jakiejś myśli, która pozwoliłaby mu uwolnić głowę od zamartwiania się o Shaylar i odwrócić uwagę od wściekłości na ludzi, którzy do tego wszystkiego doprowadzili.

Otworzył oczy i poszukał wzrokiem Gadrial. Obca kobieta prawie już skończyła się pakować. Zastanowił się, nad jej rolą w ostatnich wydarzeniach. Jasne było, że to właśnie jej interwencja zatrzymała nieuchronne, ostre spięcie pomiędzy Jasakiem a Thalmayrem. Wydawało się też, że spór zakończył się pomyślnie dla Jasaka, choć oczywiście Jathmar mógł się mylić. Wysoki, groźnie wyglądający Thalmayr wycofał się niczym królik, który nieoczekiwanie wpadł na pumę. Gadrial i Halathyn byli chyba jedynymi cywilami w całym obozie. Kim zatem byli? Jakie były ich obowiązki? I jak bardzo ważną osobą mogła okazać się Gadrial?

Kłótnia w namiocie Halathyna nie ustawała. Gadrial stanęła nieopodal ze swoim marynarskim workiem i nasłuchując przechyliła głowę na bok. Z jej postawy można było wyczytać, że była spięta i niezadowolona. Po chwili podjęła jakąś decyzję.

–O rany – mruknęła Shaylar, która prawie już przestała płakać i ze słabym uśmiechem wraz z nim przyglądała się Gadrial, która z zaciśniętymi ustami i niebezpiecznym błyskiem w oku ruszyła do namiotu Halathyna.

–Chyba nie chciałabym, żeby kiedykolwiek wściekła się na mnie – dodała. Jathmar zareagował uśmiechem.

–Zawsze wierzyłem w twój rozsądek, kochanie – powiedział.

Gadrial zniknęła w namiocie. Chwilę później jej głos dołączył do pozostałych. Z początku brzmiał łagodnie, prosząco. W miarę upływu czasu stawał się jednak coraz bardziej gniewny. Trwało to wszystko jakiś czas, po czym warknęła gwałtownie i jak burza wypadła z namiotu.

Z jednej strony Jathmar wiedział, że powinien się w zasadzie cieszyć. Każde, najmniejsze nawet ziarno niezgody w obozie nieprzyjaciół stanowiło dla nich nieocenioną korzyść. Potem jednak spojrzał na oblicze Gadrial. Zobaczył jej pobladłą, gładką, delikatną cerę, roztrzęsione wargi i lzy lśniące na długich rzęsach.

Shaylar też to dostrzegła. Zaskakując Jathmara błyskawicznie podniosła się z miejsca.

–Gadrial? – Shaylar uniosła dłoń w geście oznaczającym w połowie pytanie, a w połowie wyraz współczucia. Gadrial wyglądała na kompletnie załamaną. Odwzajemniła spojrzenie, po czym pokręciła głową i odwróciła się. Wróciła do własnego namiotu i zaciągnęła klapę. Shaylar zagryzła wargi i usiadła z powrotem obok Jathmara.

–Nie podoba mi się to – oznajmiła. – Nie podoba mi się, że ona jest aż tak zaniepokojona. Wiesz, bardzo mi pomogła a teraz...

–To nie jest nasz problem – powiedział Jathmar łagodnie. W oczach pulsowały mu gniewne płomyki, lecz położył tylko palec na jej ustach i pokręcił głową. – Nie nasz – dodał z naciskiem. – Nie możemy nic zrobić, bo to oni sami na nic nam nie pozwalają.

–Masz rację – westchnęła przeciągle Shaylar. – Ale jakoś mnie to nie pociesza.

–Przynajmniej nie ciebie – zauważył. – Ja nie czuję wobec niej współczucia. Te ich drobne spory wcale nie sprawiają mi przykrości.

–Ale tu chodzi o Gadrial! – odparła Shaylar.

–No tak – zgodził się odruchowo. – Tu chodzi o Gadrial.

Uśmiechnęła się i pogładziła męża po policzku. Po chwili oboje podnieśli wzrok. Kłapa namiotu Halathyna uniosła się i ze środka wyszedł Jasak. „Wyszedł” było nieco zbyt łagodnym określeniem. Oficer wściekle wystrzelił z namiotu i wykonał wymowny gest ku niebu. Nie zatrzymując się ruszył ostro ku innemu namiotowi, po drugiej stronie obozu.

Wtedy kłapa załopotana ponownie i wyszedł spod niej wysoki, ciemnoskóry starzec. Zawołał coś i uniół pojednawczo dłoń. Jasak jednak nie słuchał. Nawet nie obejrzał się za siebie. Pioruny bijące z oczu przechodzącego obok ich ogniska oficera sprawiły, że Jathmar poczuł na plecach niepokojący dreszcz.

Bez względu na to, czy Jasak Olderhan brał ich w obronę, czy nie – nie był to człowiek, którego mądrze było drażnić. Jathmar zrozumiał to już wcześniej, obserwując utarczkę Jasaka z Thalmayrem. Przytulił mocniej żonę. Nie chodziło tu nawet o jego wściekłość, a raczej o żelazną dyscyplinę, z jaką udawało mu się tę wściekłość kielznać. Rozgniewani, wściekli ludzie bardzo często bywają niebezpieczni, natomiast ludzie, którzy potrafią swe emocje opanować i odpowiednio je wykorzystać są zazwyczaj śmiertelnie niebezpieczni.

Jathmar ocenił, że Jasak należy do tej drugiej kategorii i dobrze to sobie zapamiętał.

Nie mieli do dyspozycji zbyt wielu rodzajów broni, ale wiedza stanowiła jedną z nich. Nie mógł sobie pozwolić na pominięcie choćby najmniej, z pozoru, istotnej informacji o obcych. Z takim właśnie nastawieniem obserwował wychodzącego z namiotu Jasaka. I tak samo uważnie przyglądał się stojącemu z uniesioną dłonią Halathynowi. Starzec wreszcie pozwolił ramieniu opaść, pokręcił głową i westchnął z żalem. Po chwili wszedł z powrotem do środka, nie podejmując już dalszych prób pogodzenia się z oficerem. Jathmar zauważył, że Jasak także zaczął wrzucać swoje rzeczy do obszernego płóciennego worka.

A zatem tam, dokąd chcieli zabrać ich obcy udadzą się w towarzystwie obojga swoich... protektorów. Ciekawa i nieco pokrzepiająca informacja. A ci, którzy zostaną...

Jathmar zmrużył oczy, przepelniła go gorycz. Mógł tylko mieć nadzieję, że zostanie pomszczony – z nawiązką – przez kapitana Halitu i Darcela Kinlafię. Ta myśl bardzo go przerażała, ale nie był w stanie opanować uczuć.

Jathmar Nargra nigdy nie spodziewał się, że przyjdzie mu oglądać na własne oczy rzeź podobną do tej, jaką urządzili im obcy. Teraz odkrył w sobie potężne pragnienie zemsty. Chciał, żeby ludzie, którzy wymordowali jego towarzyszy zapłacili tą samą monetą. Zaskakiwały go jego własne, krwiożercze emocje, lecz nie miał na nie – i nie chciał mieć – najmniejszego wpływu.

Gdzieś głęboko w środku, jakąś zranioną częścią duszy, która być może nigdy już nie miała się zaleczyć – opłakiwał śmierć dotychczasowego Jathmara. Człowieka, którego perspektywa dalszego rozlewu krwi napełniłaby odrazą, bez względu na to, która ze stron miała wyjść ze starcia zwycięsko. Teraz jednak nienawiść była o wiele silniejsza niż lęk. Jathmar chciał krwi.

Rozdział 15

Pełniący obowiązki dowódcy plutonu podkapitan Hulmok Arthag nie ufał ceniom czającym się w gęstym, wysokim lesie. Hulmok Arthag ufał w swym życiu bardzo niewielu rzeczom. I niewielu ludziom. Nie było w tym zresztą nic nadzwyczajnego. Arpathianie uczyli się znaczenia słowa „uprzedzenia” zaraz po przekroczeniu granic własnej ojczyzny.

Pozostałe rasy Sharony uczyniły sobie z nich pośmiewisko. Arpathianie z dawien dawna byli przedmiotem żartów – niektórych zabawnych, innych bardzo nieprzyjemnych. Wszyscy zgodnie uznawali ich za naród barbarzyńców. Z Hulmoka Arthaga nikt sobie jednak nie żartował, a jeśli ktokolwiek uważał go za barbarzyńcę, to nigdy nie ważył się powiedzieć tego na głos w zasięgu jego słuchu.

Dorastając wśród bezkresnych równin Arpathii nauczył się, że żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie powinien ufać kaprysom natury – wiatru, pogody, ognia czy nawet traw. Wiatr mógł zwiastować niszczycielskie tornado, zmiana pogody mogła przygnać mrozącą wszystko w mgnieniu oka śnieżną burzę. Ogień potrafił wymknąć się spod kontroli i – wspomagany wichrem – pochłonąć wszystko na swej drodze. Trawy natomiast mogły uschnąć odbierając stadom pokarm. A kiedy stada były głodne, to wkrótce nie było już komu chować lub palić ludzkich zwłok.

Arthag ufał wyłącznie swym mocnym ramionom, swej determinacji i sercom tych, którymi dowodził. Nie ufał natomiast ich rozumowi. Nie można przecież ufać myślom ani jednego człowieka na świecie. Jeśli jednak posiadało się odpowiedni Talent, można było wejrzeć w ludzkie serca, tak, by nic się w nich nie ukryło. Tak. Serca można było oceniać, a Hulmok Arthag posiadał odpowiedni Talent. Nie nadużywał go, jak pewnie zrobiłoby to wielu innych na jego miejscu, ale kiedy chodziło o żołnierzy wykorzystywał go bezlitośnie. Z upływem czasu wypracował sobie też metody pozbywania się tych, którzy nie spełniali jego własnych, rygorystycznych standardów.

–Kapitanie!

Arthag podniósł wzrok i zobaczył Mikala Grigthira, żołnierza, którego wysłał na szpicę. Grigthir podjechał konno do ogniska przy którym siedział Arthag. Czekał na resztę kolumny.

–Dobrze cię widzieć w jednym kawałku – uśmiechnął się Arthag odpowiadając na salut żołnierza.

–Dziękuję, kapitanie – Grigthir służył pod Arthagem dopiero niecałe sześć miesięcy, od czasu, kiedy Arpathianinowi powierzono dowództwo drugiego plutonu, srebrnej kompanii Dziewięćdziesiątego Drugiego Samodzielnego Batalionu Kawalerii.

Zwiadowca był jednak doświadczonym żołnierzem i znał pogranicze niemal na wylot. Arthag bez reszty ufał jego zdolnościom i ocenie sytuacji.

–Znalazłeś coś? – zapytał kapitan.

–Znalazłem ich obóz, kapitanie. Zostawili większość sprzętu, ale nie ma tam ani jednej sztuki broni czy pudełka z amunicją.

–Czyli osły też zabrali? – zapytał Arthag marszcząc brwi.

–Nie, kapitanie. Wałęsają się swobodnie po całym obozie.

Ale atak nie nastąpił tam. Głos Kinlafia miał rację – naszym udało się na czas opuścić obóz i szli w stronę portalu. Dotarli dalej, niż myśleliśmy. Znalazłem wyraźne tropy. Ich i pościgu. Według mnie zespół ścigało co najmniej pięćdziesięciu pieszych.

–Pięćdziesięciu – Arthag zaklął, choć spodziewał się mniej więcej takiej właśnie liczby. – Mówisz, że znalazłeś ślady? – dodał po chwili. – A udało ci się zlokalizować miejsce, gdzie zaatakowali?

–Tak, kapitanie – Grigthir głośno przełknął ślinę. – Udało mi się.

–I? – zapytał ostro Arthag widząc dziwny wyraz na twarzy doświadczonego kawalerzysty.

–To... to wszystko wygląda bardzo nienaturalnie, kapitanie.

Grigthir pobladał jak ściana. Był wyraźnie wstrząśnięty. Arthag nabrał głęboko powietrza w płuca. Spojrzał na swoich trzydziestu ludzi i skinął zdecydowanie głową.

–No dobrze Mikal – powiedział – pokaż mi.

* * *

Pluton ruszył w ślad za Grithigiem. Jechali kolumną przez niezwykle spokojny las. Jak na gust Arthaga panująca dokoła cisza była nieco zbyt cicha. Przywykł już co prawda do dowodzenia w każdych warunkach terenowych, ale w głębi duszy pozostawał dzieckiem równin. W jego żyłach krążyła krew ludzi, którzy od najdawniejszych czasów mieszkali na stepach. Starożytni przodkowie Arthaga okazali się mężni na tyle, że powstrzymali prących na wschód Ternathian. Posiedli umiejętność pozostania przy życiu dzięki temu, czym karmiły ich równiny, potrafili rozplýwać się w mrokach nocy i uderzać z marszu na wrogie karawany zaopatrzeniowe i kolumny wojska. Aprathiańscy Septowie rozbili tak wiele ternathiańskich armii, że wrogi cesarz przestał je w końcu wysyłać.

Septowie nauczyli się wiele od swych przeciwników. Tam, gdzie zawiodło ternathiańskie wojsko poradzili sobie dyplomaci i kupcy Septowie zaprzestali najeżdzać ziemie swych nieproszonych sąsiadów, a zaczęli z nimi handlować. Nastął wtedy okres nie znanej wcześniej pomyślności, choć żaden Sept ani Septka nie przyswoili sobie temathianskiego stylu życia. Synowie i córki stepów dusili się w ciasnych domach z drewna i kamienia.

Tak samo on czuł się teraz w tym dziewiczym lesie. Unieruchomiony i bezbronny. Nie widział dalej niż na kilkadziesiąt jardów, a wrodzy zwiadowcy i żołnierze mogli swobodnie obserwować jego ludzi. Mogli nawet czaić się w zasadzce, w dowolnie wybranym przez siebie miejscu. Grigthir powiedział, że napastników, którzy zaatakowali zespół badawczy Konsorcjum Chalgyn było około pięćdziesięciu. Tyle, że tam, gdzie jest pięćdziesięciu mogło równie dobrze być i stu, albo pięciuset lub jeszcze więcej. Dla oficera, który nie dysponował nawet czterdziestoma ludźmi nie była to krzepiąca myśl.

Jadąc między krzewami zastanawiał się, czy pierwszy kontakt Sharony z obcymi tak samo skończyłby się rozlewem krwi, gdyby obie strony mogły się sobie nawzajem przyjrzeć stojąc na omiatanych wichrem równinach. Co by się stało gdyby do spotkania nie doszło w tej przeklętej gęstwinie?

Parsknął pod nosem. Tego rodzaju myśli to przecież tylko strata czasu. Prawda wyglądała tak, że pierwszy międzywszechświatowy kontakt nastąpił w lesie i skończył się krwawo. Teraz tylko to miało jeszcze jakiegokolwiek znaczenie. On tymczasem musiał odnaleźć tych, którym udało się ująć z życiem – a także złapać kilku obcych, których będzie można przesłuchać. Nie powinien się rozpraszać filozoficznymi dywagacjami.

Konia prowadził jedynie za pomocą stóp i kolan. Ręce musiał mieć wolne. Trzymał w nich odbezpieczony karabin, którego lufę ostrożnie oparł o kark zwierzęcia. Nie chciał, by wplątała się przypadkiem w gałęzie.

Zarząd Portali zakupił temathiańskie karabiny Model 10 zarówno dla swojej kawalerii jak i piechoty. Arthag nie był pewien, czy podobał mu się ten pomysł, ale musiał zgodzić się z tym, że jeśli oba rodzaje wojsk musiały już zostać wyposażone w tę samą broń, to Model 10 wydawał się rozsądnym kompromisem. Temathiańskie Biuro Uzbrojenia od samego początku projektowało ten karabin z myślą o piechocie, marynarce i kawalerii. Był to karabin iglicowy, w którego magazynku kryło się dwadzieścia nabojów kalibru.40. Dzięki bezkolbowemu układowi jego lufa mierzyła dwadzieścia sześć cali, lecz całkowita długość broni pozwalała na efektywne prowadzenie ognia nawet na bliskich dystansach – na przykład na małych okrętach czy podczas jazdy wierzchem.

W doświadczonych rękach był to niezwykle skuteczny karabin. A ręce Arthaga były

bardzo doświadczone.

Podobnie zresztą jak i jego koń. Poranny Powiew nie był zwykłą, armijną szkapą. Rodowód wierzchowca był tak samo starożytny jak te, którymi szczyli się temathiańscy książęta, a jego bojowy trening rozpoczął się dokładnie tego dnia, kiedy po raz pierwszy sięgnął chrapami do wymion matki.

Pobratymcy Hulmoka Arthaga byli nomadami. Sam Arthag był synem septyjskiego wodza – młodszym synem niestety. Nie miał więc szans na odziedziczenie należącej do ojca Buławy Septów, ale z drugiej strony i tak nigdy o tym nie marzył. Na równinach rodzili się niekiedy ludzie o jeszcze silniejszym pędzie do wędrówek niż reszta współplemieńców. Arthag należał właśnie do tej grupy. W dawnych czasach tacy jak on prowadzili Septów na nowe pastwiska. Odkrywali nowe tereny i przecierali szlaki handlowe. W kurczącym się współczesnym, ograniczonym świecie ci, którzy czuli pradawny zew robili to samo, co on. Szukali nowych pastwisk za portalami. Opuszczając Septów Arthag poprosił ojca tylko o jedno – o Poranny Powiew.

Zarząd Portali zgadzał się by żołnierze używali własnych wierzchowców, o ile ktoś taką potrzebę wyrażał, a samo zwierzę spełniało ustalone przez Zarząd standardy. Z tej możliwości korzystała tylko około jedna trzecia ogólnej liczby kawalerzystów, ale Arthag nie spotkał jeszcze w ciągu swej kariery Arpathianina, który jeździłby na wojskowym koniu. Jego własny rumak natomiast stanowił obiekt zazdrości wielu oficerów, a nawet generałów. Wszystko powyższe stanowiło powód, dla którego Arthag tak uważnie obserwował teraz zachowanie Powiewu. Nauczył się ufać zwierzęciu bezgranicznie.

Kiedy Poranny Powiew położył uszy po sobie i zatrzymał się, byli może półtorej godziny drogi od opuszczonego obozowiska. Arthag poczuł, jak ciałem konia – na sekundę zanim mięśnie zmieniły się w żelazne węzły – wstrząsa dreszcz. Chwilę później leciutki podmuch wiatru przywiął zapach. Dym: dziwny, nienaturalny smród, wymieszany ze zwykłą wonią spopielonego drewna i dużo mniej zwyczajnym zapachem palonego ciała. Żółtawe boki Porannego Powiewu pokryły się potem, ale koń nie czuł strachu. Rozszerzył tylko nozdrza, a uszy złożył płasko na głowie. Szykował się do walki.

–Co to, na Harmana, za smród? – zapytał cicho młodszy zbrojny Soral Hilovar. Na twarzy richathiańskiego Tropicielea malował się strach. Arthag poczuł, jak w nim samym coś zadrżało. Nie miał co prawda Talentu Hilovara, ale nie potrzebował go wcale – nie teraz, kiedy wiatr niósł ten odór.

–Sprawdźmy – odpowiedział ściszym głosem. Odwrócił się w siodle i wydał gestami kilka rozkazów kolumnie żołnierzy, którzy zatrzymali się zaraz po tym, jak on to zrobił. Zwiadowcy rozpierzchli się na flankach. Tego rodzaju środki

bezpieczeństwa były na pewno niepotrzebne, ale Arthag o tym nie myślał.

Kiedy jeźdźcy zajęli już pozycje lekko uderzył konia piętami. Wierzchowiec ruszył naprzód powoli i ostrożnie. Podkapitan Arthag wyjechał spomiędzy drzew wprost w objęcia koszmaru.

Było jeszcze gorzej niż ktokolwiek z nich mógł się spodziewać. Największym koszmarem widok ten musiał przedstawiać się Darcelowi Kinlafii. Głos naprawdę powinien być zostać z kapitanem Halifu, ale bezwzględnie odmówił. Teoretycznie i on podpadał pod rozkazy Halifu, ale wydawało się, że w obecnej sytuacji nie miało to dla niego żadnego znaczenia.

Pluton Arthaga podlegał Halifu od dwóch miesięcy. Zespoły Konsorcjum Chalgyn dokonały ostatnio wielu nowych, interesujących odkryć i Zarząd Portali gwałtownie potrzebował wojska, którym musiał obsadzić stale poszerzające się granice. Jeden z tych posiłkowych oddziałów stanowili właśnie ludzie Arthaga przeniesieni tu z zupełnie innego, odległego wszechświata. O tym, że zmieni się miejsce ich stacjonowania, a także i dowódca, dowiedzieli się z ledwie tygodniowym wyprzedzeniem. Pracując dla Zarządu trzeba się było do podobnych niespodzianek przyzwyczaić.

Arthag nie znał Halifu zbyt dobrze. Podejrzewał jednak, że gdyby Głos nie był tym człowiekiem, który odebrał ostatnią wiadomość od Shaylar Nargry-Kolmayr, nie udałoby mu się skutecznie przeciwstawić kapitanowi. W przeciwieństwie do Arthaga i jego jeźdźców Kinlafia widział już bitwą oczyma Shaylar. Posiadał więc niezwykle ważne informacje, które mogły pomóc Hilovarowi lub Nolisowi Parcanthi, Tropicielowi i Nosowi, których Halifu przydzielił do tej misji. Dzięki pomocy Kinlafii mogli skuteczniej odkryć prawdę o tym, co tak naprawdę zaszło na polanie.

Cokolwiek jednak Kinlafia zobaczył razem z Shaylar, najwyraźniej nie przygotowało go to na widok, który teraz musiał oglądać własnymi oczyma. Spojrzał na polanę na której zginęło tak wielu jego przyjaciół i jęknął upiornie. Musiał zobaczyć coś, czego Arthag nie widział – coś czego nie mógł zobaczyć – Parcanthi podjechał do Kinlafii i ścisnął go po przyjacielsku za ramię.

–Starszy zbrojny chan Hathas, standardowe rozpoznanie terenu – zaordynował Arthag udając, że nie zauważył niepokoju Darcela. – Pierwsza drużyna na straż, trzecia stoi w odwodzie. Druga drużyna z koni i przygotować się. W razie potrzeby pomożecie Parcanthiemu i Hilovarowi. Uważajcie tylko, żeby niczego nie stratać.

–Tak jest – Rahyl chan Hathas, podoficer drugiego plutonu zasalutował sprężystością i ruszył wykonać rozkazy Arthaga. Przez chwilę Arthag bardzo mu zazdrościł. Wolałby teraz zatopić się w mechanicznych, rutynowych czynnościach, niż stanąć twarzą w twarz z tym, co czekało na polanie.

–Soral, Nolis – odezwał się do obu specjalistów. – Zróbcie co w waszej mocy, żeby dowiedzieć się, co tu się stało. Reszta kolumny zostanie w lesie dopóki nie skończycie.

Hilovar i Parcanthi skinęli głowami, zsiadli z koni – Parcanthi zrobił to z wyraźną niechęcią – i przywiązali lejce do gałęzi. Arthag nie pozwolił zdziwieniu wypłynąć na twarz – musiał dbać o reputację Septów – ale rozumiał, że Tropiciel i Nos nie są kawalerzystami. Obu szkolono na piechurów. Parcanthi trzymał się w siodle z gracją worka ziemniaków i wraz ze swym towarzyszem stanowił zupełne przeciwieństwo ideału kawalerzysty i żołnierza. Hilovar był wysokim, dobrze zbudowanym Ricathianinem. Jako Tropiciel służył wcześniej w cywilnej policji. Do pracy dla Zarządu skłoniła go fascynacja pograniczem.

Parcanthi był nieco niższy od kolegi, ale bary miał jeszcze szersze. Nos był Farnalianinem o płomiennych, rudych włosach i cerze tak jasnej, że Arthag nie zdziwiłby się, gdyby usłyszał, że skóra zaczyna mu schodzić już na pół godziny przed wschodem słońca. W deszczowy dzień.

Obaj mężczyźni, mimo niskiego stopnia, stanowili niezwykle ważną dla Zarządu parę specjalistów. Ludzi z ich zdolnościami Zarząd potrzebował bezustannie. Wiedzieli o tym dobrze i często wykorzystywali to zmuszając współpracowników do dostosowywania się do ich własnych reguł. Arthagowi to nie przeszkadzało. Podejrzewał, że żaden z nich nie przyda się do niczego w razie walki, ale z tego akurat dobrze zdawali sobie sprawę także i sami zainteresowani. Z pewnością w razie starcia trzymaliby się w miarę możliwości na uboczu. To także dowódcy nie przeszkadzało. Byli zbyt cenni by ryzykować ich życiem w wymianie ognia. Poza tym, mimo ich braku doświadczenia i fatalnego obchodzenia się z końmi bardzo ich lubił. Gdyby w dodatku pomogli mu teraz w rozwiązaniu zagadki polany wybaczyłby im dosłownie wszystko.

Odczekał do momentu, kiedy miał już pewność, że ludzie chan Hathasa zabezpieczyli teren. Zsiadł z Porannego Powiewu i wyszeptał do zwierzęcia ciche polecenie. Koń zastrzygł uszami. Teraz będzie czekać na wyraźny rozkaz swego pana. Nie ruszy się z miejsca nawet o krok. Arthag pogładził zwierzę i ruszył ku skrajowi polany. Karabin trzymał w gotowości do strzału. Zatrzymał się.

Na szczęście nie padało a i wiatr nie wiał zbyt mocno. Taka pogoda była prawdziwym błogosławieństwem dla Parcanthiego. Mimo to energia pozostała po wydarzeniach, które się tu rozegrały, zaczynała się już powoli rozpraszać. Pozostałe po bitwie strach i ból miały się nad tym miejscem unosić jeszcze przez długie lata, ale Parcanthi – i wszyscy pozostali przybysze z Sharony – nie szukali tylko nagich uczuć.

Nos wszedł pomiędzy powalone drzewa, zamknął oczy i uruchomił swój Talent.

Jego drżące zmysły szukały smaków i zapachów pozostawionych przez tych, którzy byli tu przed nimi.

Przeniknęły go obrazy. Ulotna woń przeszłości. Dym. Huk wybuchów i suchy szczęk karabinów. Krzyki umierających.

Nie otwierając oczu odwrócił się ku drzewom, między którymi zespół badawczy Konsorcjum Chalgin szukał osłony. Zobaczył przebłysk, w którym Ghartoun chan Hagrahyl wstawał z uniesionymi, pustymi dłońmi. Jakiś człowiek w kolejnej wizji odwracał się ku niemu, unosił kuszę i strzelał. Następny obraz – chan Hagrahyl pada do tyłu z gardłem przeszytym stalą.

Zaraz potem nadeszły kolejne sceny. Potworna śmierć Barrisa Kasella. Mężczyzna ginął od potężnej błyskawicy. Żołnierze w dziwacznych mundurach padający na ziemię. Wbijające się w ich ciała karabinowe kule. Kolejni Sharonianie zabijani wśród pni ognistymi kulami i bełtami miotanymi z kusz.

Odwrócił się ku miejscu, w którym obcy uformowali szyk. Stąd dobiegały go inne wrażenia i obrazy. Podniesione głosy w niezrozumiałym języku. Ludzie przemykający ostrożnie między drzewami, starający się zająć obrońców z flanki. Dziwne, szkliste rury plujące ogniem i piorunami. Dokładnie takie, o jakich opowiadał Kinlafia. I ciała. Te były wszędzie. Nos czuł je w powietrzu. Wreszcie je zobaczył. Zawieszane na splątanych gałęziach, rozrzucone po pniach... ułożone w eleganckich rzędach.

Wzdrygnął się gwałtownie i skoncentrował na ostatniej scenie. Chciał zarejestrować więcej szczegółów. Polegli zostali ułożeni ostrożnie ramię przy ramieniu. Wyglądali, jakby tylko spali. Pomiędzy nimi poruszali się żywi. Obcy żołnierze układali martwym jakieś dziwne przedmioty na piersiach. Swoim i przybyszom z Sharony. Ci ostatni leżeli razem, ale obrazy były na tyle nieostre i zwiewne, że nie potrafił ich policzyć. Nadal próbował, kiedy oślepił go przekłęty błysk. Zwłoki zajaśniały nieziemską poświatą...

Parcanthi krzyknął i zatoczył się do tyłu. Ciężko dyszał.

–Co się stało? – ktoś do niego krzyknął. Niemal prosto do ucha. – Co Wyczułeś?

Parcanthi obrócił się gwałtownie i zobaczył Hulmoka Arthaga.

–C-co? – wyjęczał nadal zdezorientowany.

–Co Wyczułeś? – powtórzył pytanie kapitan Arthag.

–Spalili ciała – odpowiedział zachrypniętym głosem Nos. – Podpalili ich czymś... nienaturalnym.

–Powoli przestaje mi się ten przymiotnik podobać – mruknął gniewnie Aipathianin. Rozejrzał się wściekle po polanie, po czym spojrzał ponownie na swego specjalistę. – Coś jeszcze?

Parcanthi otrząsnął się, próbując zebrać myśli.

–Widziałem fragmenty bitwy, którą opisywał nam Kinlafia, kapitanie. Niewyraźne przebłyski. Szczegóły zaczęły się już zacierać. Spalili wszystkich martwych – swoich i naszych, ale obraz był tak zamazany, że nie wiem, ilu było tych naszych.

–Próbuj – powiedział zwięźle Athag. – Musimy się dowiedzieć, czy komukolwiek udało się z tego wyjść.

–Tak jest, kapitanie. Zrobię co mojej mocy.

–Dobry z ciebie człowiek – powiedział Arthag kładąc na moment rękę na ramieniu Nosa. – Do roboty.

Parcanthi znów zamknął oczy. Arthag tymczasem zwrócił się ku Soralowi Hilovarowi, który przeszukiwał drzewa, pomiędzy którymi bronił się zespół badawczy konsorcjum.

–I co? – zapytał. Tropiciel podniósł smutne oczy.

–Nie wiem, kim są ci dranie ale świetnie potrafią zacierać ślady. Gdybym znalazł coś, cokolwiek? co należało do nich na pewno byłbym w stanie powiedzieć więcej. Ale wydaje się, że mamy do czynienia z doświadczonymi padlinożercami. Nie zostawili po sobie niczego. Sprzętu Sharonian też nie ma. Znalazłem miejsce, w którym nasi zrzucili plecaki. Były tam też chyba pudełka z amunicją. Ale nic nie zostało. Jak dotąd znalazłem tylko to.

Wyciągnął rękę z kilkoma pustymi magazynkami. Arthag przyjrzał się im mrużąc oczy.

–Chcą się czegoś o nas dowiedzieć. Dlatego zabrali nasze rzeczy – powiedział beznamiętnie, nabrał powietrza w płuca i skrzywił się paskudnie. – Nolis mówi, że poległych kremowali. Wiem, że to nie będzie przyjemne, ale spróbuj sprawdzić w popiołach.

Skinął głową w drugą stronę polany. Tam było zdecydowanie mniej pni. Parcanthi stał pomiędzy wypalonymi w kształt ludzkiego ciała miejscami na trawie. Mięśnie na twarzy Hilovara zadrgały, ale Tropiciel skinął głową. Ledwie powstrzymywał gniew. Nie był zły na Arthaga, lecz na to, czego miał się wkrótce dowiedzieć. To samo czuł kapitan.

–Tak jest, kapitanie. Zrobię co trzeba, kapitanie.

Zazwyczaj pogodny Ricathianin ruszył ku wypalonej trawie. Cieszył się, że ma pewne doświadczenie w badaniu miejsc zbrodni. Przez dziesięć lat służby w policyjnym wydziale zabójstw w Lubnasi – jego rodzinnym mieście-państwie – zdążył przywyknąć do obrazów ludzkiego cierpienia i okrucieństwa. Rozumiał, że ludzie potrafili być wobec siebie źli. Zdarzało się to nawet w świecie telepatów. Ale to tutaj...

Spopielone szczątki stanowiły okropny widok, ale dzięki swym doświadczeniom w ściganiu przestępców Tropiciel nie odczuwał tego tak boleśnie, jak odczułby to cywil. Tym niemniej niepokoiły go. Nie dlatego jednak, że świadczyły o barbarzyńskim obrzędzie, ale dlatego, że już teraz wyczuwał bijącą od nich, niezwykłą aurę. Nie potrafił jej jeszcze nazwać, ale odbierał ją już wcześniej, w miejscach, w których ginęli członkowie zespołu.

Odepchnął od siebie to wspomnienie i skupił się na nowym zadaniu. Uklęknął przy pierwszym z wypalonych śladów. Po zwłokach nie zostało prawie nic. Spłonęły nawet kości. Wśród popiołów błyszczało kilka kawałków metalu, ale były zbyt małe i zniekształcone, by mógł stwierdzić, czy były to guziki, klamry, czy jeszcze coś innego. Zostało z nich tylko kilka kropel. Metal stopił się i zestalił stygnąc w bezkształtne płatki.

Odstępujące dreszcze przebiegały po jego ramionach od samego tylko dotyku resztek popiołu i stali. Wszystko, czego dotykał wywoływało w nim to samo wrażenie, które miał na miejscu śmierci pobratymców. Tutaj czuł je jednak wyraźniej, o wiele boleśniej. Niezwykła aura była tu o wiele bardziej skoncentrowana. Zwykle wibracje energii, które wyczułby na miejscu śmierci człowieka w płomieniach – powiedzmy w pogorzeliśku domu mieszkalnego – naznaczone były czymś jeszcze. Odczuwał to nieprzyjemnie na skórze, zupełnie jakby ktoś wbijał mu w ciało tysiące mikroskopijnych szpilek.

Sprawdził z Parcanthim, gdzie spłonęły zwłoki członków zespołu, a gdzie polegli obcy żołnierze. Dziwna aura unosiła się w obu tych miejscach. Wniosek mógł być tylko jeden. Niesamowita, nienaturalna łuna wrażeń pozostawała po paliwie, którego użyto do kremacji. Nie było to nic, co wywoływałyby sama obecność ciał żołnierzy z innego świata. Ten sam łatwopalny materiał, którym spalono poległych został też w jakiś sposób użyty w walce – do zabijania ludzi Konsorcjum Chalgin. Broń obcych pozostawiała po sobie identyczną aurę, odbierał ją wszędzie tam, gdzie ginęli jego pobratymcy. Nie różniła się niczym od tej, którą czuł teraz klęcząc wśród popiołów. Nic z tego wszystkiego nie rozumiał.

–Czym oni ich spalili? – mruknął do siebie nie wiedząc nawet, że odezwał się na głos. – Cholernie dziwne.

Z całą pewnością nie było to żadne paliwo, z jakim się wcześniej spotkał. Nie widział popiołów z drewna. Polegli nie spłonęli więc na tradycyjnych, archaicznych stosach pogrzebowych. Nafta też odpadała. Nie mógł to być żaden palny tłuszcz roślinny. Nie miał pojęcia co to było. Co więcej – każdy z wypalonych w trawie śladów miał rozmiary odpowiadające dokładnie ludzkiemu ciału... Zwłoki płonęły nie powodując jednak pożaru całej polany. Mimo, że patrzył na namacalny dowód nie miał pojęcia, jak to mogło się stać. W życiu nie słyszał o niczymś, co płonęłoby w takiej temperaturze, by było w stanie całkowicie zniszczyć ludzkie ciało. Nie mówiąc już o tym, że poszycie spłonęło jedynie pod umarłymi. A przecież trawa i zeschnięte, opadłe jesienią liście, powinny się były zająć i obok!

Zmarszczył czoło i spróbował zidentyfikować ulotne, niepokojące uczucie. Obcą, nieznaną aurę. Przypominała nieco zaburzenia energetyczne, które wyczuwał w pobliżu portali, ale mimo to była... zupełnie inna. To było coś... Nie! Też nie.

Mruknął poirytowany, podniósł się i rozejrzał za kapitanem Arthagiem i Parcanthim. Stali obaj na skraju polany. Podszedł do nich szybkim krokiem i spróbował opowiedzieć o przedziwnym wrażeniu. Oficer wyglądał na mocno skonsternowanego. Nos zamrugał, zamyślił się na krótką chwilę, po czym energicznie pokiwał głową.

–Rzeczywiście jest tu coś takiego, Soral – powiedział. – Na całej polanie Czuję Woń czegoś dziwnego. Była wyraźna w miejscach gdzie ginęli nasi – pokazał na miejsce w którym zespół bronił się do upadłego – ale jeszcze silniejsza tam, gdzie w przebłyskach widziałem te dziwne, lśniące rury, o których wspominał Kinlafia.

–To ciekawe – Arthag z namysłem potarł brodę. Spojrzał kolejno w oba miejsca, o których mówił Nos. – Wyczułeś to w miejscach, gdzie uderzało i w miejscach, z których strzelano. A pomiędzy nic? Czy pocisk nie powinien zostawić po sobie jakichś pozostałości? Trajektorii lotu?

–W zasadzie powinien, kapitanie – zgodził się Parcanthi niepewnie. – Sprawdzę raz jeszcze.

Zaczął się z wolna i ostrożnie przechadzać po polanie pomiędzy oboma miejscami. Raz za razem. Przeczesał cały teren, lecz kiedy wrócił do pozostałych pokręcił tylko głową.

–Pomiędzy nie ma nic, kapitanie. Zupełnie nic.

Nos wyglądał na oszołomionego. Brwi Arthaga zmarszczyły się jeszcze bardziej.

–To niemożliwe! – zaprotestował oficer i skrzywił się. – Prawda, że niemożliwe? Jak można czymś strzelać nie zostawiając śladu w powietrzu?

–Nie mam pojęcia, kapitanie, ale najwyraźniej oni wiedzą jak to zrobić. W miejscu, w

którym stała ich broń następowały potężne wyładowania energii – pokazał na jeden kraniec polany. – Podobnie tam, gdzie to coś trafiało – wskazał ręką w drugą stronę – ale proszę mi wierzyć. Pomiędzy tymi dwoma miejscami nie ma nic. Nie ma nawet cienia Zapachu. A ta ich energia jest tak cholernie różna od naszej, że nie pomyliłbym jej z niczym innym.

Trzej mężczyźni wymienili ponure spojrzenia.

–Na co myśmy do cholery trafili? – Hilovar zadał pytanie, które z niepokojem rozbrzmiewało w głowach wszystkich.

–Tego właśnie musimy się dowiedzieć – warknął Arthag i spojrzał na Parcanthiego.
– Czy mogę już wpuścić ludzi na polanę, czy chcesz jeszcze coś sprawdzić?

–Jeśli można, kapitanie to proszę niech się trzymają z dala od miejsc, w których ginęli nasi. Chcę się upewnić, czy nie uda mi się dowiedzieć, kto zginął a kto mógł przeżyć – wskazał ręką pod drzewa – Tam też niech jeszcze nie chodzą. Obcy opatrywali tam rannych. Przyjrzałbym się temu jeszcze. Poza tym niech chodzą, gdzie chcą.

Arthag skinął głową i poszedł przez polanę do starszego zbrojnego chan Hathasa.

–Niech wejdą. Chcę żeby przeszukali każdą piędź ziemi. Stamtąd – wykonał szeroki gest – do tamtąd. – Dłoń kawalerzysty zatrzymała się w obu miejscach w których Parcanthi chciał jeszcze pracować.

–Tak jest, kapitanie. Jakieś szczególne polecenia? Czego powinniśmy szukać? – zapytał chan Hathas.

–Szukajcie czegokolwiek, co może się przydać Tropicielowi. Wszystkiego, czego mógłby dotknąć i więcej nam powiedzieć. Póki co nie mamy dla Hilovara zupełnie nic. Szukajcie po prostu.

–Tak jest – chan Hathas rozejrzał się ze ściągniętą twarzą po polanie i słuźbiście skinął głową. – Jeśli coś tam jest, to my to znajdziemy – obiecał ponuro.

–Świetnie – odpowiedział mu Arthag i odwrócił się do jedyne go pozostałego przy życiu członka zespołu chan Hagrahyła.

–Darcel... – odezwał się dużo łagodniejszym niż przed chwilą głosem.

–Kapitanie? – zachrypiał Głos, który patrzył przed siebie nieobecny m wzrokiem.

–Pomóż, proszę, Nolisowi – polecił cicho Arthag. – Porównajcie to, co on odbiera z tym, co ty widziałeś oczami Shaylar. Wiem, że to nie będzie dla ciebie łatwe, ale

musimy dokładnie wiedzieć ilu zginęło naszych.

–Tak jest – słowa, które powinny zabrzmieć ostro i pewnie zabrzmiały słabo i ledwie słyszalnie. W oczach Darcela widać było palący ból. Odwrócił się i bez słowa poszedł po wypalanej ziemi, potykając się co chwila o leżące wszędzie gałęzie.

Nie była to jednak wina nierównego podłoża. Samo przebywanie na polanie powodowało w nim przemożne cierpienie. Nie był też pewien, co widział sam, a co zobaczyła Shaylar. Wspomnienia i obrazy z jej umysłu nakładały się na to, co oglądał teraz. Próbował omijać gałęzie, których już tu nie było i wpadał na te, które według niego nie powinny leżeć na drodze. Zamrugał wściekle próbując odzyskać orientację. Wiedział, że musi mieć swobodę myślenia. Nie mógł pozwolić sobie na wędrowanie pomiędzy przeszłością a teraźniejszością. Jasność umysłu, była niezbędna o ile miał pomóc w znalezieniu czegokolwiek, co przydałoby się Parcanthiemu i Hilovarowi.

Zatrzymał się i spojrzał dokładnie w to miejsce, w którym klęczała Shaylar. W miejsce, w którym narodziły się jego potworne wspomnienia. Obrazy ognia i grzmotu. To stało się właśnie tam. A przynajmniej w tamtym kierunku. Ruszył dalej brnąc przez polanę, na której historia zlewała się z chwilą obecną. Gdyby udało mu się odnaleźć to jedno, jedyne miejsce pozostali mogliby na tym skorzystać. Sam Darcel nie spodziewał się, żeby komukolwiek z jego towarzyszy udało się przeżyć, ale chciał to wiedzieć na pewno. Musiał poznać prawdę, bo inaczej skazałby się na wieczną udrękę niepewności. Na zwątpienie w samego siebie.

Przeklinał ludzi, którzy się tego wszystkiego dopuścili – nie tylko rzezi, ale też kremacji zwłok i kradzieży wszystkiego, co należało do pomordowanych. Nawet nie oznaczyli w żaden sposób tych nędznych kupek popiołu. Jakim trzeba być barbarzyńcą, by nie oznaczać miejsca pochówku?! Gdyby choć oddzielili od siebie miejsca, gdzie leżeli ich polegli, od tych, w których spoczęły truchła Sharonian, nie drażylały go teraz ta okrutna niepewność. Wiedzieliby ilu ludzi czekało jeszcze na ratunek.

A ilu należało pomścić.

Darcel nie mógł nawet złożyć kwiatów na grobach przyjaciół. Nie wiedział przecież gdzie są ich mogiły. Nie mógł ich poznać, bo wszystkie popioły wyglądały tak samo. Nie potrafił się z tą myślą pogodzić. Jedynym sposobem na ulżenie sobie, jedyną rzeczą, którą był w stanie dla poległych zrobić, było udzielenie pomocy Nosowi i Tropicielowi przy odnajdywaniu kolejnych skrawków informacji. Informacji, które musiał najpierw odszukać we własnej pamięci. A ta nie była w najlepszym stanie.

Mimo to w jego umyśle nadal tkwiła całość telepatycznego przekazu Shaylar. Musiał się po prostu uspokoić i wydobyć go na powierzchnię, a potem przeanalizować każdą ulotną sekundę z tych kilku wstrząsających minut, które spędzili na polanie we

dwoje. Jeśli Shaylar widziała, gdzie kryli się wszyscy członkowie zespołu, jeśli wiedziała o każdej śmierci to i on – teoretycznie – powinien to pamiętać. Niepokojąco często myślał „Jeśli”, ale tak czy inaczej musiał od czegoś zacząć.

Kapitan Arthag potrzebował punktu odniesienia. Oficer musiał wiedzieć, czy stoi na czele misji ratunkowej, czy ekspedycji karnej. Darcel szedł więc pomiędzy powalonymi leśnymi gigantami i porównywał obrazy i kąty widzenia z własnymi – i Shaylar – wspomnieniami.

Zabrało mu to bardzo dużo czasu, ale w końcu znalazł. Zlokalizował wreszcie miejsce, w którym broniła się Shaylar. Zamarł nad nim i patrzył. Czy ona tu zginęła? Czy „po prostu” została ranna i straciła przytomność?

Większość pniaków i gałęzi w kwadracie o boku czterech stóp dokoła zostało osmalonych w trakcie bitwy. Suche liście spłonęły i został z nich jedynie biały popiół. Jedne opadły na poszycie, inne – osłonięte od wiatru – nadal wisiały na konarach i gałęziach jak papierowe duchy, w jakiś niezrozumiały sposób nie rozsypując się w drobny mak. Część z nich rozpadła się od razu, gdy tylko powiał na nie jego oddech.

Kusiło go, by uklęknąć i spojrzeć na polanę z tak dobrze zapamiętanej perspektywy. Powstrzymał się jednak i ostrożnie stanął z boku. Nie chciał zanieczyścić tego miejsca swą własną energią. Mimo to uderzył butem w kupkę popiołu, który nie wziął się ze spalonego drewna.

„Co to do diabła?” – pomyślał, zmrużył lekko oczy i pochylił się. Któryś z obcych żołnierzy też to musiał widzieć i zostawił jako bezużyteczne. Tylko w ten sposób mogło się to tu znaleźć. Darcel nie pamiętał, żeby tu coś leżało kiedy jeszcze trwała walka, a poza tym ziemia pod popiołem nie była tknięta przez ogień. Zmarszczył brwi i zdał sobie sprawę, że ziemia w ogóle nigdzie dokoła nie została wypalona. Wyglądało na to, że ogniste kule przelatowały pomiędzy zwalonymi wicherą drzewami poziomo, kilka cali nad ziemią.

W jednym miejscu zauważył jednak na ziemi ślady płomieni. Tuż obok miejsca, w którym Shaylar opierała stopy.

„To tutaj spaliła dokumenty” – pomyślał.

Przez plecy przebiegł mu lodowaty dreszcz. Znalazł spalone resztki jej pojemnika na mapy i torby w której nosiła inne notatki. Oba przedmioty wykonane były z natłuszczonej, odpornej na działanie deszczu skóry. Mapy dodatkowo chroniła gumowa obwoluta. Mimo usilnych starań Shaylar nie spłonęły ze szczętem. Porozrywała kartki na drobne strzępy. Tak samo szkice jak i notesy. Potem próbowała spalić też całą resztę.

Nadpalonych przedmiotów nie odważył się tknąć nawet kijem. Zostawił ich zbadanie

Tropicielowi. Dotykała ich Shaylar i jeden z napastników. Istniała więc szansa, że mogli dzięki nim uzyskać jakieś cenne informacje. Darcel oznaczył miejsce znaleziska i ruszył dalej.

Chwilę później ścisnęło go w gardle. Odkrył przyczynę, dla której Shaylar tak nagle straciła przytomność. Na suchej, grubej gałęzi za miejscem, w którym paliła mapy widniała zaschnięta plama krwi, do której przykleił się kosmyk długich, ciemnych włosów. Wyciągnął ku nim drżące palce, ale ponownie udało mu się zwalczyć pokusę. Parcanthi i Hilovar musieli zbadać wszystko przed nim.

Darcel spojrział na gałąź, na której zawisł Jathmar i gdzie uderzyła go ognista kula. Dokładnie pod nią, na ziemi, leżało kilka strzępów nadpalonych ubrań. Sama gałąź – gruba jak ramię Darcelacała pokryta była czarną sadzą... cała z wyjątkiem miejsca, gdzie ciało Jathmara uchroniło korę przed płomieniami.

Głos pracował ostrożnie. Starał się niczego nie naruszyć, a jednocześnie dokładnie obejrzeć otoczenie. Jasna kora, w miejscu, na którym leżał Jathmar pełna była wgnieceń i zadrapań wrytych guzikami i innymi twardymi przedmiotami, które mężczyzna miał przy sobie. Darcel pochylił się, by zobaczyć, czy żaden z nich nie spadł na ziemię.

Jeśli nawet tak było, to obcy znaleźli je wszystkie już wcześniej i zabrali ze sobą. Nie chcąc dłużej ryzykować zanieczyszczenia okolicy swą energią Darcel zawołał Nosa i Tropiciela. Powiedział im co znalazł.

–Lepiej będzie jak ty zaczniesz Nolis – zauważył Hilovar patrząc na Parcanthiego. – Potrzebujesz czystych śladów. Ja dotknę wszystkiego, kiedy skończysz.

Parcanthi skinął głową i zabrał się do dzieła. Zamknął oczy i znieruchomiał. Darcel nie potrafił wyczuwać wątków energii, które badał Parcanthi, ale teorię znał na tyle, że dokładnie wiedział co Nos robi.

Wszystkie żywe istoty rozsiewają wokół siebie specyficzne pole energetyczne, wytwarzane przez tajemniczą, słabo poznaną siłę, która ożywia cały organizm. Przedmioty martwe także posiadają szczególnego rodzaju aury, a każdy obiekt drga we właściwym sobie, indywidualnym rytmie. Osoba wrażliwa na te drgania potrafi je wykrywać, odróżnić wzajemnie od siebie i wydobyć z nich wiele rozmaitych informacji. Tacy ludzie byli w stanie rozpoznać, jakie siły działały na dane pole, potrafili przeżywać wizje – sławne „przebłyski” Nosów – ukazujące przeszłe wydarzenia, odcisnięte jak pieczęcią w delikatnych wiązkach energii.

Ludzie w rodzaju Sorala Hilovara byli natomiast w stanie dzięki dotykowi poznawać to, co działo się z danym przedmiotem. Żywe istoty dotykając czegokolwiek zostawiają na danym przedmiocie część swej energii. Te energetyczne pozostałości

przypominają nieco ładunki elektryczne, z tą różnicą, że nigdy nie ulegają całkowitemu „rozładowaniu”. Szczegóły z czasem stają się coraz mniej wyraźne, lecz większość energii pozostaje na bardzo długo. Nos potrafił ustalać przeszłe wydarzenia, ale Tropiciel był bardziej wrażliwy na związki przedmiotów z osobami, które miały z nim fizyczny kontakt. W odróżnieniu od Nosa, Tropiciel nie był w stanie widzieć przeszłości, nie odbierał przeblysków, ale z drugiej strony informacje jakie uzyskiwał były o wiele bardziej dokładne. Często zdarzało się, że Tropiciele potrafili stwierdzić, czy osoba dotykająca kiedyś badanego przedmiotu żyła czy też była martwa. Używając zdolności podobnej do tej, którą wykorzystywał Darcel szukając portali, Tropiciele mogli też wskazać stronę świata w jakiej względem nich znajdowała się dana osoba.

Wątki i pola energetyczne, z którymi pracowali Nosy i Tropiciele były jeszcze silniejsze, o ile złożona, żywa istota na przykład człowiek – podejmowała działania określonego rodzaju. Na przykład dopuszczała się przemocy, lub odczuwała silne emocje – strach, gniew, namiętność. Tego rodzaju intensywne uczucia zostawiały po sobie najwyraźniejsze ślady. Jeśli ktoś podniósł kamień i uderzył nim innego człowieka, zdarzenie to odciskało się w polu energetycznym, tworząc „odbitkę” samego zajścia... i jego efektów. Jeśli wydarzenie było przeżywane dość mocno ta odbitka nie musiała być nawet powiązana z jakimkolwiek przedmiotem. Im silniejsze uczucia wchodziły w grę, tym wyraźniejszy ślad pozostawiały po sobie. Czasami nawet na lata, zwłaszcza w zamkniętych pomieszczeniach...

Parcanthi głośno syknął i skrzywił się. Na czoło wystąpiły mu krople potu. Spłynęły nim całe jego skronie.

–Słodka Marnilay – wyszeptał roztrzęsionym głosem. – Spalili go żywcem...

Darcel zacisnął wargi w wąską, cienką kreskę. Dokładnie wiedział, na co Patrzy teraz Nos. Sam to Widział.

–W tym miejscu upadł – powiedział Parcanthi cicho, nie otwierając oczu i wskazał na ziemię. – Kiedy go znaleźli nadal żył. Emocje są nadal silne. Ekscytacja? Ulga?

Ostatnie słowo brzmiało jak zagadka, ale Darcel poczuł nagły przyływ nadziei. Ostry i bolesny. On żył. Jathmar żył!

Parcanthi jednak nie skończył. Kiedy padły następne słowa Darcel poczuł jak coś ściska go za serce.

–Odniósł straszne poparzenia. Plecy miał całe zwęglone. Koszula spłonęła na nim doszczętnie. Prawie nie był w stanie oddychać. Ktoś nad nim klęknął. Chciał pomóc. Bogowie! Przez jego rany widać kości!

Parcanthim wstrząsnął silny dreszcz. Twarz skrzywiła mu się jakby z bólu.

–Cholera! Ślad się urywa – szepnął – zbyt wielu ludzi tu przyszło. Wszystko się wymieszało. Ślad na śladzie. Nie udaje mi się ich oddzielić.

Mówił z wyraźną irytacją. Otworzył oczy i pokręcił głową.

–To tyle – stwierdził ponuro. – Nic więcej stąd nie powiem. – Zacisnął szczękę. Nozdrza mu zadrgały. – Spróbuję z Shaylar. Gdzie to?

–Tam.

Darcel wskazał odpowiednie miejsce. Rudowłosy Nos skinął głową. Jego szczupła, wyrazista twarz pokryła się trupią bladością. Podszedł we wskazane miejsce i uklęknął – tak samo jak klęczała Shaylar – ustawił się w ten sposób, by jak najlepiej odczytać pozostałości pola. Zamknął oczy i wstrząsnął nim jeszcze jeden dreszcz...

–Ona wszystko pali. Mapy. Notatki. Drży. Jest połączona z Darcelem. Jathmar zaczyna schodzić... – z zamkniętymi oczami wskazał ręką nad siebie. Zadrżał gwałtownie.

–Ogień! Wszystko się pali!

Zaczął bić dłońmi o swoje ubranie. Chwycił się za włosy. Trząsał się cały. Po chwili wygasła ognista kula, której wybuch widział Darcel oczyma Shaylar i Nos odetchnął z ulgą. Na ślepo odwrócił się ku gałęzi, o którą uderzyła kobieta.

–Wpadła na to – pokazał na plamę krwi. – Leży nieruchomo. Twarz jej puchnie, robi się purpurowa i czarna. Zadrapania. Rany.

Darcel oddychał coraz bardziej niespokojnie. Tym razem nadzieja była tak silna, że czuł ją nawet w płucach. Przepęłniała całe jego ciało. Jeśli twarz Shaylar puchła i zmieniała kolor, to znaczy, że żyła. Umarli chyba nie puchną i nie robią się im siniaki? Zdał sobie sprawę, że nie był tego wcale pewien. Ta nowa niepewność była wyjątkowo trudna do zniesienia.

–Znaleźli ją powiedział Parcanthi. – Są wstrząśnięci i przerażeni, że skrzywdzili kobietę.

Darcel zacisnął pięści. Nie chciał myśleć o obcych jako o ludziach, których mogło przerażać i szokować to, że zaatakowali niewinną, śliczną dziewczynę.

–Nie potrafią jej wybudzić – ciągnął Parcanthi. – Coś jest nie tak. Bardzo nie tak. W jej głowie. Starają się. Są w panice, robią co mogą, ale nie potrafią jej obudzić. Jest ciężko ranna...

Zatrząsał mu się głos. Po chwili jęknął.

–Tracę wizję. Wszystkie te cholerne obrazy falują i bledną. Zabrali ją stąd. Nie, nie Widzę nic więcej. Po prostu wszystko wpada w nicość. A raczej w taki sam chaos jak wcześniej z Jathmarem. Wszystko się ze sobą miesza. Nic więcej nie powiem.

–Musisz! – krzyknął Darcel, który nie zdołał się powstrzymać. – Musimy wiedzieć, co się z nią stało. Czy ona żyje?

–Nie wiem – odpowiedział Parcanthi. Otworzył oczy i Darcel zobaczył w nich głęboki niepokój. – Zbyt wielu ludzi zginęło w pobliżu – zamachnął ręką wokół polany – i cholera, za wielu ludzi przyszło tu potem. Szukali rannych i sprzętu. Wszystkie ślady rozplywają się w tym zgiełku jak atrament w wodzie. – Zmarszczył brwi i przetarł oczy dłonią. – Może uda mi się wyczuć coś więcej jeśli znajdziemy miejsce, do którego zabrali Shaylar i Jathmara.

Darcel zdusił w sobie kolejne pretensje. Rozumiał, że Parcanthi nie jest cudotwórcą. Spojrzał na Hilovara. Tropiciele popatrzyli na Parcanthiego.

–Teraz ty – Nos skinął głową. – Ja już tutaj skończyłem. Pójdę teraz między drzewa, tam gdzie były stanowiska obcych. Spróbuję odszukać miejsce, w którym opatrywali rannych. Może tam znajdę coś ciekawego.

Umilkł i opuścił miejsce, w którym padli Jathmar i Shaylar. Hilovar spojrział Darcelowi prosto w oczy.

–Musisz zrozumieć – powiedział cicho, delikatnie ciemnoskóry Ricathianin – że i mi może się niewiele udać. Potrafię opowiedzieć historię jakiegoś przedmiotu i ludzi blisko z nim związanych, ale może mi się nie powieść Wytropienie czegokolwiek poza tym.

–Ale przecież Tropiciele odnajdują osoby oddalone czasem o setki mil! – zaprotestował Darcel. – Wiem, że tak jest. Sam już tak robiłeś!

–Czasami mi się rzeczywiście udaje – przytaknął Hilovar. Najbardziej przydawało się to, kiedy jeszcze pracowałem w policji, w wydziale zabójstw. Ale zrozum Darcel, proszę. Im więcej jest śladów na miejscu zbrodni, tym trudniej jest mi wyłowić ten jeden konkretny. Prowadziłem kiedyś sprawę zabójstwa licznej rodziny. Zamordowali ich portalowi piraci. Te dranie wzbogacały się napadając na odosobnione osady górnicze. Zabierali całoroczny urobek i zabijali wszystkich świadków. Bandytów było tak wielu i tyle przemocy wydarzyło się w bardzo małym pomieszczeniu, że nikogo nie byłem w stanie Wytropić. Odnalezienie ich kosztowało nas rok czasu i kolejne trzy spustoszone osady. Gdyby ofiar było tylko jedna czy dwie i gdyby piratów było mniej udałoby mi się odnaleźć ich w parę tygodni. Może nawet i dni.

Twarz Hilovara zakrył cień. Westchnął.

–Ten sam problem mam tutaj. Mamy do czynienia z tak dużym natężeniem przemocy, że jej ślady energetyczne zanieczyściły wszystkie przedmioty związane z interesującymi nas wydarzeniami. Wszystko, czego do tej pory dotykałem pobrzmiwa jakimiś echami pola, ale ciężko mi ustalić cokolwiek dokładniej. Gdybym miał do dyspozycji więcej rzeczy, nasze szanse by wzrosły, ale z tak marnym materiałem i takim poziomem emocji będzie naprawdę ciężko. Zrobię co mogę i to ci obiecuję. Łatwiej też będzie, jeśli uda się nam znaleźć miejsce, do którego przenieśli rannych. Może tam udałoby się znaleźć coś, czego dotykała ona albo Jathmar. Choć nawet i przy tym założeniu stopień niepewności będzie wysoki. A jeśli w pobliżu jest na dodatek jakiś portal...

Rozłożył bezradnie ręce.

–Nie rozumiem? – zapytał Darcel marszcząc brwi.

–Bliskość portali niszczy Trop – wyjaśnił Hilovar wyraźnie zaskoczony niewiedzą Darcela. – Ty jesteś Głosem i Ogarem Portali. A czy potrafisz przesłać jakąkolwiek wiadomość przez portal?

–Oczywiście, że nie. Nikt nie potrafi przeka...

Darcel urwał gwałtownie. Hilovar współczująco kiwnął głową.

–Energie wokół portali są zawsze jakieś dziwne, cholernie dziwne. To kolejny powód, dla którego tak długo zajęło nam wyśledzenie tamtych piratów. Tak samo jak Głos nie potrafi nadawać ani odbierać przez portale, tak samo Tropiciele nie mogą nikogo Tropić. Kartografowie nie Widzą terenów leżących poza nimi... Nie możemy też Tropić kogoś, kto przeszedł przez portal. Przejście niszczy wszystkie ślady energii. Piraci przechodzili przez kolejne portale i trop się urywał. Zupełnie, jakby bogowie własnoręcznie zacierali sam fakt ich istnienia. To tutaj – zatoczył ręką wskazując na zieleniący się dokoła dziewiczy las – z pewnością nie jest domem dla tych, których szukamy. Obcy musieli tu się dostać przez jakiś portal. Jeśli ewentualnych jeńców zabrali ze sobą z powrotem, to nasze szanse na ich odnalezienie... nie będę cię okłamywać. Prawie ich nie będzie, Darcel.

Telepata zaklął, zacisnął zęby i skinął głową. Pomyślał, że Hilovar przynajmniej nie chciał oferować mu fałszywej pociechy.

–W porządku – powiedział. – Rozumiem. Zrobisz, co będziesz mógł.

Tropiciel odetchnął głęboko, odwrócił się i złapał za gałąź, na której po uderzeniu ognistej kuli zawisł Jathmar. Knykcie mu zbieleły, a z gardła wydobył się upiorny jęk. Oczy wyszły mu z orbit, źrenice rozszerzyły się niczym w szoku, a po chwili skurczyły do rozmiarów łebka od szpilki. Targnął nim dreszcz. Puścił gałąź i zatrzepotał rękami, jakby otrzepywał z nich krople palącego kwasu.

–Przepraszam – wymamrotał i otarł rękawem pot z twarzy. – Spróbuję... jeszcze raz.

Za drugim razem utrzymał gałąź dłużej, ale znów zaczęło nim rzucać. Zadrgały mięśnie na jego twarzy, żyły nabrzmiały mu na skroniach. Kiedy się wreszcie odezwał w jego głosie słychać było silny ból.

–Na jaja Hurlsbane'a! Połamane kości... krwotok wewnętrzny, bardzo poważny... poparzenia na całym ciele, od głowy po kolana.

Krew zaczęła na powrót krążyć mu w ramionach przynosząc ze sobą wielką ulgę. Jego ciemne zazwyczaj ręce przypominały w tej chwili rzeźby z szarego marmuru.

–To niemożliwe... niemożliwe, by z tego wyszedł. Nie z takimi obrażeniami. Mógł przeżyć najwyżej kilka minut...

Przebłyski pamięci – przeklętej, doskonałej pamięci telepaty – przyniosły Darcelowi radosny śmiech Jathmara. Przypomnił sobie jego bezgraniczny entuzjazm, jego radość z przygód i życia. Takich wspomnień miał setki, tysiące. Darcel Kinlafia zamknął oczy i poczuł jak serce zamienia mu się w zimny kawał stali.

Otworzył oczy. Hilovar nadal otrzepywał ręce, jakby i on padł ofiarą płomieni.

–A Shaylar? – zapytał Głos po chwili. – Co z nią?

Tropiciel nabrał powietrza. Tym razem jednak wypuścił je z płuc od razu, jakby paliło go też od środka. Odchrząknął.

–A czego mogę dotknąć? – zapytał. Darcel wskazał mu nadpalony mapownik i zakrwawioną gałąź, na której zaplątany w nierówności kory wisiał kosmyk włosów. Hilovar popatrzył na oba przedmioty i kiwnął głową.

–Skoro tylko to mamy... – mruknął. Darcel dosłownie wstrzymał oddech, kiedy silne palce Hilovara zamknęły się delikatnie wokół włosów kobiety i dotknęły gałęzi. Mroczne oczy znów skryły się pod powiekami. Hilovar zaczął Tropić.

–Żyła kiedy ją stąd zabierali – powiedział zdecydowanie po chwili. W Darcelu odżyły nadzieje. Wtedy jednak Hilovar zmarszczył brwi. – Żyła, ale była nieprzytomna – przygryzł dolną wargę i zniżył głos do niepokojącego szeptu. – Wylew krwi pod czaszką. Nacisk na coś bardzo ważnego. Puchnie...

Ręka zaczęła mu drżeć. Potrząsnął energicznie głową, po czym oderwał dłoń od gałęzi i otworzył oczy.

–Niczego więcej nie Widzę, Darcel. Żyła, ale...

Tym, razem, z powodu wcześniejszego chwilowego i ulotnego przyływu nadziei, ból okazał się jeszcze trudniejszy do zniesienia. Jeśli wylew krwi do mózgu był równie poważny, jak oparzenia Jathmara, to mężczyzna mógł mieć nawet więcej szans na ocalenie niż jego żona. Darcel odwrócił wzrok, zamrugał piekącymi oczyma. Przeszył go nieznośny lęk.

–Czy... – umilkł i chrząknął – czy ona mogła coś takiego przeżyć?

–Nie wiem – odpowiedział Tropiciel pustym, bezbarwnym głosem, w którym słychać było wyczerpanie i niepewność. – Nie jestem lekarzem, Darcel. Nie potrafię nawet powiedzieć, o którą część mózgu chodzi. Miałem jednak wrażenie, że to było coś... niezwykle istotnego. O ile to nie było śmiertelne i mieli ze sobą wojskowego chirurga to...

Hilovar nie musiał kończyć zdania. We wszystkich oddalonych od Sharony wszechświatach znajdowało się może dwunastu chirurgów, którzy podjęliby się operować podobnego rodzaju obrażenia. Jakie były szanse, że banda barbarzyńców z kuszami miałyby w swoich szeregach lekarza z takim doświadczeniem? W samym sercu tych przeklętych lasów?

Nadzieja zgasła. To, co zajęło jej miejsce było zimniejsze nawet od skutych lodem piekieł Arpathii. Czuł to w sobie. Ostre niczym brzytwa. Ostre i głodne.

Darcel Kinlafia spojrział w oczy Sorala Hilovara i czule pogładził kolbę swego rewolweru.

Rozdział 16

Jathmar przypomniał sobie swoje własne, tęskne myśli o rozkoszy latania z tego poranka, kiedy zaatakowali ich obcy. Czy to naprawdę wydarzyło się ledwie dwa dni temu? Pamiętał, jak zazdrościł wtedy wróblom zdolności do zataczania kół w powietrzu, do szybowania, do mknięcia w przestworzach.

Teraz, gdy spoglądał w dół na odległą ziemię przez szkła gogli, a wiatr smagał go niczym lodowaty huragan zrozumiał, jak bardzo dalekie od prawdy było wszystko to, co wcześniej myślał o lataniu. Czysta radość z sunięcia w chmurach okazała się tak wielka, tak wszechogarniająca, że odepchnęła w cień jego strach o własny los i o bezpieczeństwo Shaylar. Gdyby mu ktoś o tym powiedział – nie uwierzyłby. Jakąś częścią siebie zastanawiał się, czy czasem specjalnie nie skupia się na przyjemnych doznaniach tylko po to, by nie myśleć o rysującej się w ciemnych barwach przyszłości.

Może i tak było, tyle, że w niczym nie zmieniało to sytuacji. Stworzenie, na którego grzbiecie umieszczono platformę, do której przypasano jego i Shaylar, było bez wątpienia najpotężniejszym zwierzęciem, jakie kiedykolwiek oglądał. Do zmiany dotychczasowych poglądów na temat najsilniejszych bestii multiwersum wystarczył mu rzut oka na uderzenia ogromnych, choć z pozoru delikatnych skrzydeł. Teraz, kiedy już otrząsnął się z początkowego szoku potrafił docenić metaliczne, połyskliwe piękno stworzenia – smoka. Brązowe i miedziane promienie słońca odbijały się w jego łuskach barwnie, niemal oślepiająco. Cudowny, geometryczny wzór na nich musiał być sztuczny, choć Jathmar nie miał pojęcia w jaki sposób obcym udało się ozdobić skórę żywej istoty tak wyrafinowanymi symbolami.

Tak naprawdę nie miał pojęcia o wielu rzeczach związanych z obcymi. Teraz jednak, bez względu na wszystko inne, nie mógł zdusić uśmiechu, który sam wypłynął mu na twarz w czasie podniebnej podróży. W końcu przez całe życie poszukiwał przygód, prawda? W takim razie podróż na grzbiecie smoka, zwierzęcia, które rozmiarami spokojnie przewyższało słonia, a leciało równie swobodnie co orzeł, musiała znaleźć się wysoko na liście tych najciekawszych.

W zachwyty i zdumienie wprawiała go sama już prędkość smoczego lotu. Bestii nie doścignąłby nawet pociąg jadący po prostym, długim na wiele mil torze. Tego także nie potrafił pojąć. Nie wiedział jak to możliwe, by tak wielka istota potrafiła poruszać się tak zwinnie i szybko. Wydawało mu się to po prostu nienaturalne.

Uśmiechnął się do swojej ostatniej myśli. Wraz z Shaylar byli już świadkami wielu niewiarygodnych wydarzeń i bez wątpienia wkrótce czekały ich kolejne. Na Sharonie w większość z nich nikt by im nie uwierzył. Skryta dotąd pod warstwami gniewu, nienawiści i strachu budziła się powoli do życia inna część Jathmara Nargry. Ta,

która skłoniła go do podjęcia pracy w charakterze członka zespołu badawczego. Urok nowych widoków, niezwykłych sytuacji i miejsc, w których żaden Sharonianin nie postawił jeszcze stopy, walczył z wstrząsami i szokiem ostatnich dziewięćdziesięciu sześciu godzin.

Czuł to wyraźnie i zaczął się zastanawiać, co z nim było nie tak. Jak to możliwe, że był w stanie odczuwać cokolwiek poza strachem, niepokojem i nienawiścią do ludzi, którzy wymordowali jego przyjaciół, zniszczyli Talent jego żony, a jego samego niemal spalili żywcem. Jak to możliwe, że w jego sercu znalazło się jeszcze miejsce na cokolwiek innego?

Na te pytania nie znał jednak odpowiedzi. Czuł się winny, że nie potrafi zdławić swojego głupiego uśmiešku. Czuł, że ciesząc się lotem dopuszcza się zdrady wobec nieżyjących przyjaciół. Nie potrafił jednak tej radości zaprzeczyć. Wątpił też, czy Ghartoun albo Barris lub Falsan mieliby mu ją za złe. Zresztą nawet ta przyjemność nie wystarczała do zapomnienia o innych – mrocznych i groźnych uczuciach, które przecież nadal w nim tkwiły. Na to nie był jeszcze gotowy i nie był pewien, czy kiedykolwiek zdoła się całkowicie pozbyć z duszy ich ciężaru. Mimo to, cieszył się – cieszył i czerpał pociechę z faktu, że ta część jego osobowości, którą tak bardzo w sobie cenił, bardziej radosna i pogodna, nie odeszła wraz z przyjaciółmi na tamtej krwawej polanie.

Przypomniawszy sobie chwilę, gdy Shaylar starała się pocieszyć Gadrial i zastanowił się, czy żona zmagana się z podobnymi wątpliwościami. Być może ona była po prostu bardziej od niego odważna. Może chodziło też i o to, że ona jako pierwsza uznała prawdę banalnego, starożytnego powiedzenia o tym, że życie musi toczyć się dalej. Sam się z nim po części zgadzał. Rozumiał, że gdyby odmówili sobie od teraz wszelkich radości zachowaliby się niczym postacie z kiepskiego melodramatu. Jeśli chcieli czegoś więcej niż tylko przetrwania, jeśli chcieli być jeszcze kiedykolwiek takimi ludźmi jak przedtem musieli odkrywać rzeczy, które były w stanie przynosić im radość, a także ludzi, na których mogło im zależeć. Być może Shaylar rozumiała to lepiej niż on. A może zdobyła się po prostu na odwagę, by wyjść światu naprzeciw, nawet ryzykując świeże rany. Możliwe, że właśnie dlatego nie chciała się poddać rozpaczce.

Położył dłonie na obejmujących go w pasie rękach Shaylar i leciutko uściskał jej palce. Nie mógł jej wyjaśnić dlaczego to zrobił. Nie na tym wiejącym i szumiącym głośno wietrze. Żona uchwyciła go mocniej, odwzajemniając pieśczęotę. Przyciągnęła ją bliżej i wtuliła się w jego zgrzebną, pożyczoną od obcych koszulę.

Dziwnie się w tej koszuli czuł. Była to bluza od munduru, wykonana z grubego i ciężkiego materiału. Wygodna i przystosowana do badania dziewiczych wszechświatów. Jej krój nie przypominał żadnej koszuli, jaką do tej pory oglądał Jathmar. Koszule na Sharonie zrobione były zazwyczaj z dwóch kawałków materii,

które spotykały się na piersi, z biegnącym pośrodku rzędem guzików. Ta bluza jednak bardziej przypominała dziecinny śliniak. Miała dwa rzędy guzików, a dwa płaty materiału – lewy i prawy – zakrywały trzeci, znajdujący się pod spodem.

Jasak Olderhan pokazał mu jak się ją zapina. Obcy oficer nie mógł mu użyć żadnej z własnych, ponieważ Jathmar utonąłby w stroju wyższego i potężniejszego mężczyzny. Podejrzewał, że koszula należała do jednego z poległych i ta myśl wprawiała go w dziwny nastrój. Tak czy inaczej jednak potrzebował ubrania, a tych akurat ludzie Olderhana nie zabrali z porzuconego obozu.

Zabrali za to wiele innych rzeczy. Kilka ciężkich zasobników – najwyraźniej zaprojektowanych właśnie do przewożenia towarów na smoczym grzbiecie – tkwiło teraz na platformie tuż za rannymi. Znajdowała się w nich cała broń i wyposażenie, które zabrali ze sobą ludzie Ghartouna. Jathmar podejrzewał też, że obcy żołnierze zabrali część rzeczy z obozu. W zasobnikach widział nawet zapasowe magazynki i pudełka z amunicją.

Jathmar zdawał sobie sprawę, że kiedyś nadejdzie chwila, gdy Olderhan „poprosi” go o demonstrację działania sprzętu. I broni. Niespecjalnie mu się to uśmiechało, ale w tej chwili, kiedy mknął po niebie na grzbiecie mitologicznego zwierzęcia, zawieszony pomiędzy tym, co się stało, a tym co miało jeszcze nadejść, udało mu się zapomnieć o wszelkich niepokojach i rozkoszował się zapierającymi dech w piersi widokami.

Pod nimi ciągnęły się jak okiem sięgnąć niezmiernie bagna. Jathmar odkrył, że jego Talent Kartografa działał równie dobrze z powietrza, co z ziemi. Dokładniej rzecz ujmując – działałby równie dobrze, gdyby nie poruszali się z tak zawrotną prędkością. Wszelkie wysiłki by zidentyfikować, to co pozwalał mu Zobaczyć jego Talent spełzały na niczym. Obrazy zmieniały się zbyt szybko. Był jednak pewien, że nauczyłby się i tego, gdyby tylko miał okazję do treningu. Teraz jednak nie potrafił niczego zapamiętać. Było to mocno frustrujące, ponieważ nie spodziewał się, by obcy pozwolili mu sporządzić dokładną mapę trasy ewentualnej ucieczki.

Nie widział więc tego, co chciałby zobaczyć najbardziej, ale nie znaczyło to, że nie było czego oglądać. Słońce rzucało diamentowe blaski na połacie wody, fale lśniły wśród trzciny, bagiennych pagórków i kęp drzew. Chmary skrzydlatych istot wzbijały się do lotu zaalarmowane cieniem rzucanym przez smoka: wdzięczne wodne ptaki o śnieżnobiałych skrzydłach i inne o szarych jak u gołębi piórach z ciemniejszymi akcentami. Niewątpliwie były to tutejsze odmiany żurawi i czapli.

Lecieli zbyt wysoko, by mógł dostrzec inne zwierzęta, które żyły na ogromnych bagnach, ale Jathmar nie miał żadnych wątpliwości, że zamieszkiwały je krokodyle, aligatory, różne gatunki ryb, lubiące wodę ssaki i miliony milionów skorupiaków. Żałował, że nie potrafi określić dokładnego położenia, ale nie miał na to żadnego

pomysłu. Kształty mas lądu były co prawda w każdym z wszechświatów identyczne, ale bagno, nad którym lecieli wyglądało dokładnie tak jak wszystkie inne bagna świata. Nie dostrzegął natomiast żadnych punktów orientacyjnych, które umożliwiłyby mu ustalenie co to za bagna. Gdyby w nocy udało mu się rzucić okiem na gwiazdy potrafiłby wyznaczyć położenie – wiedziałby przynajmniej czy są na północnej, czy południowej półkuli, choć ta akurat informacja nie na wiele mogła mu się przydać.

„Chyba, że po prostu powinienem się zadowolić tym, że mój kurs astronomii wreszcie się na cokolwiek przyda” – pomyślał.

*** * ***

Przelecieli już przynajmniej kilkaset mil i smok zaczął wreszcie schodzić do lądowania. Jathmar zauważył polanę nieopodal plaży. Na brzegu zagubionej wśród wysokich skał zatoki wznosił się fort. W jego pobliżu ciemny, niosący bagienną wodę strumień wpadał do morza. Zaskoczyło go jak z tej wysokości to wygląda. Brudna woda z mokradeł znaczyła turkusowe, szumiące, spienione morskie fale jeszcze daleko od wybrzeża. Mimo całego swego doświadczenia Kartografa, Jathmar nigdy nie spodziewałby się, że ciemna, bogata w związki organiczne woda jest w stanie tak wyraźnie skazić słoną, morską toń. Przypominało to nieco obraz – barwne spirale rzucone na płótno niedbałymi machnięciami pędzla. Nieoczekiwane i piękne.

Smok zaczął zataczać koła nad fortem i Jathmar mógł dokładniej mu się przyjrzeć. Budynki były dość duże, ale nie ogromne. Uśmiechnął się do siebie. Wszystko, co widzieli do tej pory świadczyło o tym, że obcy żołnierze obsługiwali daleki kraniec linii tranzytowej łączącej nierozwinięte wszechświaty. Ich zadanie musiało być w istocie podobne do tego, czym zajmowały się zespoły pracujące dla Konsorcjum Chalgin. Prawdopodobnie wykonując takie właśnie zadanie natrafili na grupę chan Hagrahyla. Widział przedtem dziesiątki sharoniańskich fortów, wyglądających bardzo podobnie do tego w dole. Forma całkowicie podporządkowana funkcjonalności. Przyszło mu do głowy, że schemat konstrukcji pogranicznego fortu musi być wspólny dla wszystkich ludzkich kultur: zewnętrzna, zbita z grubych pni drzew porastających bagna palisada, otaczała przestronny dziedziniec, na którym wzniesiono kilka krępych budynków.

Z portu wyciągał się w morze prosty, lecz solidny pomost. Tego typu konstrukcje także widywał już po wielokroć. Tym natomiast, czego nie oglądał nigdy wcześniej był statek, który kołysał się przy pomoście. Zmrużył osłonięte goglami oczy i przyjrzał mu się dokładniej.

Okręt nie był może olbrzymem – miał około trzystu stóp długości, może trochę więcej – lecz jego eleganckie kształty nie przypominały żadnego znanego na Sharonie statku. Kadłub miał wysmukły i jego konstrukcja z całą pewnością została

stworzona do poruszania się ze znacznymi prędkościami. Nadbudówka za to wydała się Jathmarowi bardzo ciężka, ale mogło to wynikać z tego, że na pokładzie nie było praktycznie nic więcej. Statek wyposażony był tylko w jeden maszt, którego jedynym przeznaczeniem było chyba podtrzymywanie bocianiego gniazda. Nigdzie nie zauważył wysokich kominów, jakie wznosiły się na każdym parostatku na Sharonie. To właśnie było w obcym okręcie najdziwniejsze. Nie było żagli, ani kominów. Jak, na wszystkie diabły Uromathii, mógł się zatem poruszać?

Nie miał wiele czasu na zastanawianie się, gdyż smok podał skrzydła gwałtownie do tyłu i zaczął bardzo szybko obniżać lot. Instykt Jathmara krzyknął ostrzegawczo. Wydawało się, że ziemia zbliża się ku nim ze zbyt wielką prędkością. Szerokie skrzydła wyhamowały jednak bestię w ostatniej chwili. To była kolejna zagadka. W jaki sposób kilkutonowe stworzenie mogło wytracić szybkość tak nagle? Smok opadł na ziemię wśród tumanów piachu, wirujących w powietrzu śmieci i przy wtórze głośnego huk. Sam moment przyziemienia był wyraźnie wyczuwalny, lecz odbyło się ono dużo łagodniej, niż spodziewał się tego Jathmar, sądząc po prędkości lotu. Jako pierwsze dotknęły podłoża tylne łapy smoka, który dopiero po chwili opuścił na ziemię przednie. Zwierzę żwawo przebiegło jeszcze kilkadziesiąt jardów i zatrzymało się.

Jathmar spojrzał w rozszerzone, wystraszone oczy żony i zmusił się do uśmiechu.

–Udało się! – zachichotał, choć i jego oddech był lekko przyspieszony. – Wylądowaliśmy w jednym kawałku. A pod koniec zacząłem mieć poważne wątpliwości.

–To było... niesamowite – Shaylar rozluźniła wreszcie ramiona, którymi ścisnęła Jathmara przez całe lądowanie. – Naprawdę... o rany! – dodała.

Za ich plecami pojawiła się Gadrial. Uśmiechnęła się widząc malujący się na ich twarzach zachwyt lotem i lądowaniem. Kilkoma gestami pokazała im, jak należało wyswobodzić się ze skomplikowanych pasów i nakazała zaczekać z wysiadaniem, aż żołnierze wylądują najciężej rannych. Z fortu wyszła im na spotkanie grupa obcych. Jathmar, widząc ilu ich było pomyślał, że w formie tej wielkości załoga powinna być dużo bardziej liczna. Komitet powitalny składał się z trzech grup żołnierzy.

Pierwsi prowadzili nosze, które same z siebie unosiły się w powietrzu. Takie same nosze, jak ta „prycza”, na której ocknął się w obozie na bagnach. „A więc to dzięki temu udało im się przetransportować tak wielu rannych” – przemknęło mu przez myśl, kiedy zobaczył jak nosze unoszą się nad bokami smoka. Obcy zaczęli ostrożnie przenosić na nie swoich rannych.

Druga grupa żołnierzy stanowiła coś w rodzaju straży honorowej, albo – co bardziej prawdopodobne – byli to żołnierze odpowiedzialni za bezpieczeństwo fortu. Ich

zadaniem było dopilnowanie, by ani on ani jego żona nie spróbowali niczego głupiego. Do trzeciej grupy należeli oficerowie wydający pozostałym kolejne polecenia i rozkazy. Kusznicy pilnujący jeńców stanęli na baczność i służbiście zasalutowali, kiedy oficerowie przeszli obok ich, idąc w kierunku smoka.

Gdy zabrano już rannych, zaczęli zsiadać z grzbietu zwierzęcia także i zdrowi pasażerowie. Ziemia nagle wydała się Jathmarowi bardzo odległa. Rzucił okiem na Shaylar, która wciąż poruszała się dość chwiejnie i niepewnie.

–Może zejść pierwszy? Złapię cię, gdyby coś ci się stało – zaproponował.

Skinęła głową. Jathmar zaczerpnął głęboko powietrza, uśmiechnął się przelotnie i przeszedł ponad barierką zaczepiając stopy po drugiej stronie o przypominającą rybacką sieć drabinkę.

Smocza skóra okazała się zadziwiająco gorąca. Spodziewał się, że stworzenie tak bardzo przypominające gada będzie w dotyku bardziej... gadzie. Zwierzę było jednak o wiele cieplejsze od człowieka. Czuł to nawet mimo pokrywającej smoka grubej, najeżonej kolcami skóry i łusek. Jeden z kolców zahaczył o nogawkę Jathmara i mężczyzna pomyślał, że nie chciałby wiedzieć przed atakiem jakiego drapieżnika ogromne smoki musiały się chronić nosząc na ciele tak potężną zbroję.

Dotarł bez przygód na ziemię i wyciągnął ręce w górę, by pomóc Shaylar pokonać ostatni fragment drabinki i zeskoczyć na piasek. Kiedy dotknęła stopami ziemi skrzywiła się z bólu i zachwiała. Jathmar poczuł ukłucie strachu. Wywołane lotem radosne podniecenie szybko zanikało. Wracaly lęk i niepokój. Objął żonę ramieniem nie pozwalając jej upaść i rozejrzał się niepewnie dokoła w poszukiwaniu Jasaka Olderhana, który zszedł ze smoka tuż przed nimi.

Skupiony i poważny Olderhan czekał cierpliwie w pobliżu. Kiedy zobaczył wzrok Jathmara uprzejmym gestem wskazał im drogę. Uśmiechnął się krzepiąco do jeńców. Podeszli posłusznie do oficera, który po krótkim wahaniu podał ramię Shaylar. Zrobił tak z grzeczności, ale i z praktycznych powodów – kobieta wciąż słaniała się na nogach. Jathmar pomyślał, że w ten sposób Olderhan przekazuje swoim czekającym na plaży pobratymcom ważną informację. Spojrzał na Shaylar i skinął niechętnie głową. Patrzył jak jego żona opiera się na ramieniu oficera. Rzuciła okiem na nieprzyjacielskiego żołnierza i uśmiechnęła się wyraźnie mimo siniaków i ran zmieniających jej oblicze w żalosalną wykrzywioną maskę bólu.

Jathmar dostrzegł jak kilka par oczu rozszerza się w zdumieniu. Kilku innych obcych patrzyło na drobną, zmaltretowaną kobietę z niepewnością graniczącą niemal z... poczuciem winy. Kiedy to do niego dotarło aż zamrugał z niedowierzania. Zmrużył oczy. Od jakiegoś czasu zresztą podejrzewał, że Jasak Olderhan zwykle wie, co robi. I jak dotąd oficerowi pomyłki zdarzały się niezwykle rzadko. Szli powoli przez

plażę. Olderhan przy każdym kroku uważał na poturbowaną kobietę. Jathmar kroczył przez szeroki płat piachu u drugiego boku żony, gotów podtrzymać ją, gdyby tylko pośliznęła się lub potknęła na sypkim podłożu.

Zatrzymali się przed trzema oficerami. Wszyscy oni byli starsi od Jasaka – dwóch było nawet dużo starszych. Jasak stanął przed najbardziej sędziwym. Starszy mężczyzna był co prawda o jakieś sześć cali niższy od Olderhana, lecz był też o wiele masywniej zbudowany i samym tylko wyglądem sprawiał wrażenie, jakby to on rządził wszystkimi na plaży. Jathmar potrafił rozpoznać ludzi posiadających władzę. Ten mężczyzna o włosach koloru stali i byczym karku oraz ramionach, które bez trudu mogłyby przetrącić kręgosłup dorosłemu człowiekowi, po prostu nią emanował. W jego oczach, stalowych tak samo jak włosy, widniał nie tyle chłód, co uwaga i spostrzegawczość. Zmierzył Jathmara spojrzeniem od stóp do głów, ale kamienna twarz nie zdradziła żadnej z jego myśli. Dłużej zatrzymał wzrok na Shaylar. Pionowa zmarszczka pojawiła się na jego czole, kiedy oglądał zsiniałe i napuchnięte policzki kobiety. Jej także przyjrzał się dokładnie. Niezwykle dokładnie.

Na koniec chłodne, oceniające spojrzenie skupiło się na Sir Jasaku Olderhanie. Jasak pozdrowił przełożonego swym niecodziennym gestem zaciśniętej pięści. Starszy oficer odwzajemnił powitanie – odpowiednio, ale z wyraźnie mniejszą starannością. Jasak powiedział coś szybko. Przełożony zadał mu pytanie. Jasak odpowiedział i starszy mężczyzna skinął głową. Potem, ku zaskoczeniu Jathmara, oficer – który najwyraźniej był głównodowodzącym fortu – cofnął się o krok i poprosił ich gestem by poszli za nim.

Jasak znów zasalutował, po czym z niesłabnącą troską odprowadził Shaylar i Jathmara do wnętrza nieprzyjacielskiej fortecy.

Okazało się, że pierwsza myśl Jathmara – o tym, że sam fort jak i życie obcych nie różniło się w nim znacznie od tego, co znał z sharoniańskich osad – nie była daleka od prawdy. Rozpoznawał koszary, kwatery oficerów i budynek centralny, w którym bez wątpienia mieściło się centrum dowodzenia. Po jednej stronie dziedzińca wznosiło się pomieszczenie, które musiało służyć jako kantyna i inną jeszcze, sprawiającą szczególnie solidne wrażenie budowlę, zapewne zbrojownię lub areszt. Albo jedno i drugie jednocześnie.

Tego wszystkiego mógł się Jathmar spodziewać. Zobaczył też jednak rzeczy, które na Sharonie nie miały żadnych odpowiedników.

Po drugiej stronie dziedzińca stały rzędem klatki. Nie było ich wiele, lecz były wystarczająco duże, by pomieścić naprawdę sporego wilka, lub małego kucyka. W tych klatkach trzymano coś żywego i wściekłego. Z tej odległości nie wiedział co to mogło być, ale zauważył – i usłyszał – na tyle dużo, żeby zrozumieć, że podobne stwory nigdy nie kroczyły po ziemi Sharony, ani nie latały po jej niebie.

Zwierzęta lśniły metalicznie, rzucając odblaski, podobne do tych, które rozjaśniały smocze łuski. Ich głosy przypominały gwizd parowozów na zatłoczonej stacji kolejowej. Wiatr przygnał przez cały dziedziniec ich zapach. Jathmar pokręcił nosem, próbując nazwać nową woń, ale nie potrafił jej nawet z niczym porównać. Niczego podobnego nigdy wcześniej nie wąchał.

Reszta klatek i zagród wyglądała już na szczęście bardziej swojsko. Zauważył kurnik z kurczakami i zagrodę dla świń, w której kilka zwierząt radośnie taplało się w błocie. Z oddali doleciało go też beczenie kóz. Nie widział natomiast koni, ani żadnych innych zwierząt pociągowych.

Smoki – ze względu na swe znaczne rozmiary – obcy musieli trzymać na zewnątrz fortu. Wewnątrz palisady nie zauważył jednak przy podchodzeniu do lądowania żadnych zagród czy baraków, w których mogliby trzymać inne, bardziej typowe zwierzęta. Uderzyło go to szczególnie, ponieważ we wszystkich sharoniańskich fortach zawsze pełno było mułów i koni. Były niezbędne do szybkich pościgów za bandytami, portalowymi piratami i do radzenia sobie ze wszystkimi innymi niebezpieczeństwami czyhającymi na cywilów mieszkających na pograniczu. Bez nich nie mógł też sobie wyobrazić transportu zaopatrzenia i towarów. Nikt bez jucznych zwierząt nie byłby w stanie prowadzić akcji ratunkowych po klęskach żywiołowych ani używać artylerii polowej, której kilka baterii stanowiło standardowe wyposażenie każdego fortu w pobliżu każdego portalu.

Jathmarowi przyszło do głowy, że oddział Jasaka Olderhana nie zabrał ze sobą koni z uwagi na niesprzyjający teren. Bagna i konie nie lubiły się – z wielu powodów – z wzajemnością, a sama myśl o przejechaniu wozami przez niekończące się błota przyprawiłaby każdego sharoniańskiego kwatermistrza o białą gorączkę. Pomyślał też, że obcy – mając do dyspozycji smoki – nie potrzebowali uciekać się do konnego transportu, choć z drugiej strony istniało wiele rodzajów terenu, w którym smoki nie mogły przydać się do niczego. Tu aż narzucało się wspomnienie gęstych lasów, w których się na nich natknęli.

Jakkolwiek nie przedstawiała się sprawa transportu zwierzęcego, jedna rzecz była oczywista – ten fort był tak samo dobrze zaprojektowany i urządzony jak dowolny z fortów Zarządu Portali, który Jathmar miał okazję odwiedzić. Szczególnie przypominał te z nich, które wznoszono na odległych rubieżach, na krańcach łańcucha tranzytowego. Zmarszczył brwi, kiedy przypomniał sobie swoją wcześniejszą myśl. Nie wiedział dokładnie ilu tu przebywało żołnierzy, lecz nie mógł oprzeć się wrażeniu, że budowniczowie fortu przewidzieli go dla o wiele liczniejszej załogi.

To z jednej strony budziło ciekawość, a z drugiej stanowiło powód do niepokoju. Z tego, co dotychczas widział, kapitan Halifu dysponował mniej więcej taką liczbą żołnierzy jak obcy. Tyle, że o ile Jathmar się nie mylił, to w tym forcie zazwyczaj

przebywało znacznie więcej wojska. Czyżby po prostu nieobecni ćwiczyli gdzieś w terenie? To możliwe, i oznaczało, że nieprzyjaciel dysponował w pobliżu posiłkami, z pomocą których bez trudu mógł sobie poradzić z siłami Halifu.

Istniała także możliwość, że o ile rzeczywiście znajdowali się na końcu długiego łańcucha tranzytowego, a ten fort wzniesiono by strzegł portalu na bagnach, to obcy dowódcy dopiero czekali na uzupełnienie załogi. Sami tylko bogowie wiedzą, jak często podobne sytuacje zachodziły w fortach zarządzanych przez Zarząd Portali. Jeśli tak było w istocie, to stalowooki oficer mógł mieć poważne kłopoty z odparciem poważniejszego ataku wojsk Sharony.

„Chyba, że” – uświadomił sobie Jathmar – „dodatkowi żołnierze, na których czeka, są już blisko. Fort z pewnością zbudowano co najmniej kilka miesięcy temu, co znaczy, że uzupełnienia personelu muszą być już w drodze. W końcu posiłki dla Grafina też nie były zbyt daleko, kiedy przechodziliśmy przez portal.”

Wreszcie dotarli do celu. Jathmar pomógł Shaylar wejść do środka. Oficer przyprowadził ich do prymitywnego budynku, którego ściany i podłoga wykonane były z ledwie ociosanych, wielkich pni. Pierwsze pomieszczenie, które zobaczyli było najzwyczajszym biurem. Młody człowiek w mundurze zsalutował Jasakowi i osobiście odprowadził ich do drugiej, dużo większej sali. Jathmar spodziewał się zobaczyć więzienne cele.

Zamiast tego weszli jednak do przewiewnego, pomieszczenia, które okazało się szpitalem. Rzędy leżanek czekały w gotowości na przyjęcie rannych.

Za nimi pojawiły się szybujące nosze. Żołnierze rozmieścili najpierw najciężej rannych.

Ci, którzy, jak Shaylar, zdolni byli samodzielnie utrzymać się na nogach musieli zaczekać. Kilku obcych, najwyraźniej lekarze i pielęgniarki, zajęło się z zadziwiającą sprawnością pacjentami, choć na ich twarzach widać było lekki wstrząs po tym, jak zobaczyli spustoszenie uczynione przez ołowiane pociski w ciałach towarzyszy.

Mężczyzna z siwiejącymi włosami, lekko zapadniętymi ramionami i o oczach takiej barwy, jaką przybierały zimną wodą północnych akwenów oceanu Vandor – uśmiechnął się do Shaylar łagodnie i gestem wskazał jej miejsce. Prawdziwe łóżko, nie jedno z tych latających noszy.

Przytrzymała Jathmara za rękę i usiadła na skraju pryczy. Siwowłosy wdał się w dłuższą rozmowę z Gadrial i Jasakiem. Jathmar nie potrzebował rozumieć ich języka, by wiedzieć, że obserwuje medyka – lekarza? uzdrowiciela? – przy pracy. Mężczyzna kiwał głową i notował coś w niewielkim trzymanym w dłoni kryształ. Tak samo jak wcześniej, gdy Halathyn pokazywał im podobny kamień, delikatnie zaśniły w nim

literki. Po chwili jednak schował urządzenie do obszernej kieszeni i wyciągnął z niej inne, większe, ostro zakończone po jednej stronie. Drugi koniec nowego kryształu był zaokrąglony i dostosowany kształtem do ludzkiej dłoni. Uniósł go i wymamrotał kilka słów.

Z kryształu wytrysnęła struga jasnego światła. Shaylar aż podskoczyła w zdumieniu, ale lekarz tylko uśmiechnął się do niej uspokajająco i pozwolił promieniowi paść na grzbiet własnej dłoni. Pokazał w ten sposób, że to nic groźnego. Shaylar spojrzała na niego, najpierw nieśmiało, lecz po chwili uśmiechnęła się w odpowiedzi i uspokoiła się. Mężczyzna podciągnął jej powieki ku górze, zajrzał ostrożnie w jej źrenice i zaświecił w oczy kryształem. Sprawdzał reakcje.

Zmarszczył brwi i zadał Gadrial krótkie pytanie.

Obca kobieta odpowiedziała równie zwięźle i lekarz zabrał się za świecenie w uszy Shaylar. Szczególnie uważnie zbadał spuchniętą i obitą stronę jej głowy. Potem mruknął raz jeszcze obojętnym głosem i światło zgasło. Odłożył dziwny przyrząd na bok. Przez chwilę stał w bezruchu, po czym bardzo łagodnie położył dłonie na twarzy Shaylar. Zamknął oczy, a jego palce zaczęły powoli masować obrażenia, dotykiem lżejszym niż muśnięcia skrzydeł motyla. Sprawdzał jak poważne są jej rany. Po kolei dotykał boków głowy, potem potylicy. Przez cały ten czas nie otwierał oczu.

Kiedy je wreszcie otworzył cofnął się i uśmiechnął się do Shaylar krzepiąco. Mimo to, Jathmar zauważył w jego wzroku zmartwienie i niepokój. Znów zamienił kilka zdań z Gadrial. Tym razem zadawał dłuższe i z pewnością bardziej szczegółowe pytania. Odpowiedzi słuchał niezwykle uważnie. Także i Jasak o coś zapytał. Siwowłosy odpowiedział ponuro, najwyraźniej składał oficerowi raport. Jathmar oglądał wielu sharoniańskich Uzdrowicieli, którzy badali chorych dotykiem i Talentem. Tutaj jednak działo się coś innego, choć nie potrafiłby powiedzieć, na czym polegała różnica.

Po chwili lekarz kazał Shaylar się położyć. Gadrial dotknęła ramienia Jathmara, po czym wskazała na lekarza i na Shaylar. Złożyła wyprostowane dłonie i złożyła na nich twarz, pokazując gestem sen. Jathmar powoli skinął głową. Nie podobało mu się, że jakiś dziwny uzdrowiciel uspi jego żonę, by móc przeprowadzić na niej jakiś niecodzienny, niezrozumiały zabieg, ale rozumiał jak bardzo potrzeba jej opieki medycznej, a siwowłosy wydawał się robić, co tylko mógł najlepszego.

W głowie tłoczyły mu się dziesiątki pytań, których w żaden sposób nie potrafił zadać językiem gestów. Zresztą nawet gdyby był w stanie to uczynić, podejrzewał, że nie pojałby odpowiedzi. Ponownie skinął głową i wskazał na krzesło. Chciał usiąść przy żonie. Uzdrowiciel wyraźnie się zawahał. Wyraz jego twarzy można było odczytać aż nazbyt łatwo. Jathmar był dla niego wrogiem, który uśmiercił nieznaną dotąd liczbę jego pobratymców. Lekarz bał się, że może zareagować – niewłaściwie zareagować – na to, co chciał zrobić z leżącą kobietą.

Jathmar bardzo chciał móc stwierdzić, że lekarz był w błędzie. Nie był jednak tego pewien. Myśl o tym, co obcy medyk mógł zrobić z mózgiem Shaylar i o metodach, jakie zastosuje napawała Jathmara lękiem. Czuł wyraźnie jak jego opanowanie słabnie pod naporem wciąż narastającego strachu. Rozumiał jednak, że nie ma właściwie żadnego wyboru. Z Głosem Shaylar działo się coś bardzo złego. Oznaczało to, że uderzenie w drzewo spowodowało jakiś ciężki, poważny uraz. Cokolwiek lekarz wyczuł swymi dłońmi, w oczywisty sposób nie było to nic przyjemnego. Medyk wydawał się tym bardzo przejęty. Jathmar też się niepokoił. Urazy mózgu były tym, czego Utalentowani ludzie obawiali się najbardziej. O działaniu mózgu nadal nie wiadano zbyt wiele, i było jasne, że bez pomocy Uzdrowiciela szkolonego specjalnie w tym kierunku szanse na uratowanie Talentu Shaylar były bliskie zeru.

Równie nikłe były szanse na to, że ktoś w tym wszechświecie przeszedł odpowiednie szkolenie. Wszystko więc wskazywało na to, że siwowłosa obcy, z którym Jathmar nie był nawet w stanie zamienić jednego słowa, był najlepszym możliwym źródłem ratunku.

–Musimy zaryzykować – odezwała się cicho Shaylar, nieomylnie interpretując wyraz twarzy męża.

–Wiem – powiedział równie cicho. Chciał powiedzieć coś jeszcze, dodać jej otuchy ale zamilkł i pokręcił tylko głową. – Przez cały czas będę tuż obok.

–Wiem – odpowiedziała i uśmiechnęła się. – Jathmar, cokolwiek się stanie... Kocham cię.

Znów otworzył usta, lecz głos uwiązł mu w gardle. Musiał odchrząknąć, mocno, zanim zdołał wydobyć z siebie kilka drżących słów.

–Jesteś całym moim życiem, Shaylar – pogładził leciutko jej włosy. Uśmiechnął się i pomyślał, że wolałby, żeby wargi nie drżały mu aż tak bardzo. – Będę przy tobie kiedy się obudzisz.

Przysunął sobie krzesło wyzywając wzrokiem każdego, kto chciałby mu tego zabronić.

Po dłuższej chwili, w której mierzyli się spojrzeniami uzdrowiciel westchnął i skinął głową.

Jathmar siedział trzymając w dłoniach rękę żony. Lekarz rzucił na niego okiem i złożył ostrożnie swoje palce na skroniach Shaylar. Zaczął szeptać. Coś zaczęło się dziać pomiędzy jego dłońmi – coś niewytłumaczalnego drgało dokoła głowy rannej kobiety. Po chwili pojawiło się. Nie tyle poświata, co dziwne nawarstwienie światła. Coraz jaśniejszego. Kiedy światło stało się już bardzo wyraźne opadły jej powieki.

Potem niewiele było już do oglądania. Jathmar jakąś częścią mózgu rejestrował ruch za swoimi plecami. Wprowadzano kolejnych rannych kuszników. Żołnierze jęczeli i próbowali nie płakać. Lekarze układali ich na łóżkach i zabierali się do pracy. Pochylony nad Shaylar mężczyzna operował z zamkniętymi oczyma, przez cały czas szepcząc coś bezgłośnie. Jathmar nie miał pojęcia co się dzieje. Shaylar leżała blada. Wyglądała na złamaną, zagubioną. Jak dziewczynka w za dużym łóżku, zaprojektowanym na potrzeby rosnących obcych żołnierzy.

I wtedy sińce zaczęły zanikać.

Jathmar otworzył szeroko oczy. Ciemne, brzydkie śladu opuchlizny – purpurowe, czarne i szkarłatne – zaczęły blednąć. Robiły się żółte i brązowe, jakby starzały się w oczach. Po chwili zniknęły całkowicie. Napuchnięte policzki zapadły się i zagoiły. Jathmar mógł tylko siedzieć i patrzeć, jak w jakiś zupełnie fantastyczny sposób spod jej skóry wycofywały się zbędne płyny – krew i woda, wsiąkały na powrót do tkanek, w których było ich miejsce. Lekarz powiedział coś cicho i Gadrial przemyła wilgotną szmatką zadrapania i ranki na twarzy Shaylar. Kiedy usunęła resztki zaschniętej krwi Jathmar zdał sobie sprawę, że patrzy na całkowicie uleczone oblicze żony. Ze wszystkich ran i otarć została tylko jedna, delikatna blizna biegnąca kobiecie przez skroń, policzek i brew. Jej twarz – tak delikatna i krucha na tle białego szpitalnego prześcieradła – nie nosiła już poza tym ani jednego śladu potwornego uderzenia o drzewo.

W końcu uzdrowiciel usiadł. Zgasł jego cichy szept i zgasła też niesamowita poświata otaczająca dotąd głowę Shaylar. Lekarz odezwał się do Gadrial. Ona potaknęła.

„Przekazuje jej jakieś polecenia” – pomyślał Jathmar i natychmiast zrozumiał co to oznacza. – „On wie, że nie zabawimy tu zbyt długo.”

Siwowłosy umilkł i położył dłoń na ramieniu Jathmara. Zaskakujący gest. Mocny, kojący, może nawet przyjacielski. W oczach lekarza nie było nawet śladu nienawiści, którą Jathmar oglądał wcześniej w oczach kuszników Jasaka. Poczuł jak odpływają jego nerwy.

–Dziękuję – powiedział powoli i wyraźnie.

Uzdrowiciel uśmiechnął się przelotnie, klepnął go w ramię i energicznie odwrócił się do innych rannych, którzy nadal oczekiwali na pomoc. Shaylar nadal spała. Jathmar zastanawiał się kiedy wróci jej przytomność. W tej samej chwili, jakby usłyszała jego pytanie, zadrgały jej powieki. Otworzyła powoli oczy, mrugając i zanim jeszcze doszła do siebie ich małżeńska Więź ożyła.

Jathmar odebrał jej zaskoczenie i zdziwienie z powodu zniknięcia bólu. Skupiła na

nim wzrok. Wlała się w nią szeroką strugą przepelniająca jego serce miłość, ulga i wdzięczność.

Podniosła dłoń i delikatnie dotknęła twarzy męża.

–Wróciła... – powiedziała cichutko. – Więż wróciła. Znowu cię słyszę...

–I ja cię słyszę – odpowiedział szeptem dotykając dłonią policzka żony, na którym nie było już ani jednego siniaka, ani śladu opuchlizny. Opuszkami palców przesunął po bielejących liniach, jedynym świadectwie niedawnych ran. – Masz wyleczoną twarz. Nawet sińce zniknęły. To czary. Niemożliwe, żeby było to coś innego.

Uśmiechała się promiennie. Wargi jej drżały. Była tak piękna, że ścisnęło go w gardle. Spróbowała usiąść, lecz Gadrial powstrzymała ją łagodnym gestem. Wypowiedziała przy tym jedno, krótkie słowo. Z pewnością znaczyło „nie”.

Shaylar wyglądała na zaskoczoną. Dotknęła swojej skroni i zmarszczyła brwi.

–Mam jakieś dziwne wrażenie w głowie – mruknęła i Jathmar spojrzał na nią z lękiem. – Ale to nie jest nic złego – zapewniła pospiesznie Shaylar widząc minę męża. – To po prostu... dziwne. Kiedy się podnosiłam, coś zabrzęczało mi w środku, jakby rój pszczoł. Czuję też takie mrowienie. Głęboko w czaszce. Wcześniej, kiedy ruszałam głową niczego takiego nie było.

–Czymkolwiek to jest, myślę, że powinnaś posłuchać się Gadrial. Odpoczynek to na pewno dobry pomysł – zauważył Jathmar.

–Nie będę się spierać – uśmiechnęła się zawadiacko. – Znowu w łóżku. Zupełnie, jakbym żywcem trafiła do nieba.

Jathmar zaśmiał się cicho i pogładził jej włosy. Fryzura Shaylar nadal wymagała pary nożyczek i dobrego fachowca. Zaczął się zastanawiać, czy fryzjerzy obcych także uciekają się do magii.

Stojący za nimi Jasak Olderhan powiedział coś zwięźle do Gadrial. Nie wydawało się, by kobieta była szczególnie uszczęśliwiona wiadomością. Skinęła jednak głową. Wtedy Jasak dotknął ramienia Jathmara i wskazał ręką drzwi. Znaczenie gestu było oczywiste. Chciał, go dokądś zaprowadzić.

Jathmar poczuł skurcz żołądka. Spiął się i zacisnął zęby. Zmusił się jednak do spokoju. Lekko uścisnął dłoń Shaylar.

–Odpoczywaj, ukochana – powiedział. – Sen sprzyja urodzie.

Wesoły głos Jathmara nie mógł jej zwieść. Więż małżeńska działała teraz jak dawniej

i Shaylar dokładnie wiedziała, jak bardzo jej mąż się boi. Uśmiechnęła się do niego i przeczesła sobie włosy.

–Może uda mi się to wytłumaczyć Gadrial. Myślę, że ona mogłaby znaleźć dla mnie grzebień i lustro. Jak wrócisz będę już zrobiona na bóstwo.

Jathmar poczuł przemożną chęć, by wziąć ją w ramiona i już nigdy z nich nie wypuszczać, tak żeby nic więcej już się jej nie stało. Zamiast tego musnął raz jeszcze jej palce, wstał i odwrócił się do Jasaka Olderhana.

–Prowadź – powiedział.

*** * ***

Widząc jak Jathmar wstaje i mężnie spogląda mu w oczy Jasak odkrył w sobie pokłady głębokiego szacunku. Obcy mężczyzna doświadczył ostatnio wielu rzeczy, z którymi najwyraźniej nigdy wcześniej nie miał styczności. To musiało wstrząsnąć nim do głębi. Przez cały dzień zdradzał wyrazem twarzy swe zdumienie kolejno na widok smoków, kryształów osobistych i Obdarzonych uzdrowicieli. Mimo to stał teraz i patrzył na Jasaka – nie wiedząc, co oficer chce z nim zrobić – patrzył ostrożnie, a w jego sylwetce widać było napięcie, lecz w jego spojrzeniu nie było ani śladu lęku.

Jasak żałował, że nie zna żadnego sposobu, by przekazać jeńcowi, jak bardzo go szanuje. Ukłonił się więc lekko i gestem wskazał Jathmarowi drogę.

Jeniec poszedł za nim w milczeniu. Ich buty stuknęły głucho o surowo ciosane deski szpitalnej podłogi. Po chwili znaleźli się na zewnątrz. Słońce świeciło jasno. Wiatr wiał swobodnie w tę i z powrotem przez otwartą bramę Fortu Rycharn. Ostry zapach morskiej bryzy wiercił im w nosach, a ciemna, gęsta woń bagien osiadała na gardłach. Przemierzyli gwarny dziedziniec. Jasak prowadził do kwatery dowódcy i żałował, że sam nie jest w tej chwili tak odważny, na jakiego wyglądał Jathmar. Nie miał specjalnej ochoty na nadchodzącą rozmowę. Składał już wiele raportów po wymianie ognia z bandytami na pograniczu, ale nigdy nie informował o stratach poniesionych w prawdziwej bitwie.

Zauważył, że im bardziej zbliżają się do celu, tym mniej chętnie niosą go nogi. Decyzje, które wcześniej wydawały mu się rozsądnymi i słusznymi nagle zaczęły budzić wątpliwości. W myślach przebiegał raz jeszcze katastrofalną w skutkach potyczkę z obcymi. Opadła go niepewność. Myślał o rzeczach, które powinien był zrobić, o tych, do których nie powinien był dopuścić, o tym, co powinien był przewidzieć... i czego zaniedbał.

Po chwili znaleźli się w budynku i nie było już czasu na zamartwianie się.

–Pięćsetnik oczekuje, setniku Olderhan – oznajmił salutując siedzący za biurkiem

adiutant i spojrział ciekawie na Jathmara.

Kiedy Jasak wprowadził jeńca do biura dowódcy, Dowodzący Pięcioma Setkami Klian także wyglądał na nieco zaskoczonego.

–Umożliwienie jeńcom wysłuchania pobitewnego raportu jest raczej niestandardową procedurą, setniku Olderhan. Ufam, że masz ku temu dobry powód? – powiedział, gdy wymienili się wojskowymi pozdrowieniami.

–W zasadzie, Sir, mam ich kilka. Jathmar nie rozumie naszego języka, więc kwestie bezpieczeństwa nie grają tu żadnej roli. W pańskim biurze, Sir nie ma nic, co można by uznać za ściśle tajne. A przyprowadziłem go tu wyłącznie w trosce o jego bezpieczeństwo.

–Bezpieczeństwo? – powtórzył Klian.

–Moi ludzie są nadal w szoku, pięćsetniku. Pluton półsetnika Garlatha miał przewagę liczebną trzech do jednego, a mimo to odnieśliśmy znaczne straty. Broń obcych cechuje przerażająca wręcz skuteczność, przy czym jest bardziej szybkostrzelna nawet od dragońskiej kuszy. Szczerze mówiąc niektórzy z moich ludzi boją się jeńca i nienawidzą go zarazem. Na jego żonę nie podnieśliby ręki – widziałem to już po ich strachu i obrzydzeniu tuż po tym, jak okazało się, że walczyliśmy z kobietą. Niemniej jego nie zostawiłbym sam na sam z żadnym z nich. W każdym razie nie bez uzbrojonego strażnika w pobliżu.

–Rozumiem. Rozumiem też, że moim żołnierzom także nie ufasz, setniku? – odgryzł się Klian.

–Nie chodzi tu o zaufanie, Sir. Jeśli chodzi o pańskich żołnierzy to obawiałbym się raczej o stan w jakim znajduje się Jathmar. Nie oni. W krótkim czasie przeszedł bardzo wiele. Wstrząsa nim najbanalniejsza nawet manifestacja magii. Ponadto jego żona także znajduje się w naszych rękach. Jest przerażony i ja to doskonale rozumiem. Gdyby role się odwróciły sam byłbym cholernie wystraszony zastanawiając się nad metodami przesłuchań, jakich zamierzają użyć wrogowie.

Pięćsetnik Klian zmarszczył czoło. Grymas oznaczał jednak zamyślenie a nie gniew.

–Mów dalej – powiedział.

–Nie posunąłbym się do stwierdzenia, że Jathmar mi ufa, ale przynajmniej mnie zna. Także ja stanąłem pomiędzy nim i setnikiem Thalmayrem, kiedy ten drugi wyraził swoje... głębokie wątpliwości co do mojej decyzji, by nie krępować jeńców.

Zmarszczka na czole Kliana pogłębiła się jeszcze bardziej, lecz nic nie powiedział. Jasak zastanowił się czy komendant Fortu Rycharn wścieka się w duchu na

Thalmayra, czy może na niego.

–W forcie, w którym roi się od wojska – ciągnął – wie mniej więcej, czego się spodziewać wyłącznie po mnie. W mojej ocenie zostawianie go pod strażą ludzi, których może się bać, mogłoby spowodować znaczne ryzyko. Jeniec jest w szoku i boi się. Nie chcę prowokować sytuacji, w której byle co mogłoby doprowadzić go do jakichś niepożądanych zachowań. Przemocy mieliśmy już aż nadto, a on jest nam potrzebny – z pewnością dysponuje wieloma przydatnymi informacjami, których nie posiada jego żona. Byłoby bardzo nierozsądnie pozbywać się tego wszystkiego przez strach i niewiedzę.

Mina Kliana złagodniała o kilka stopni. Oparł się wygodniej na krześle.

–Rozumiem, setniku. Być może postąpiłeś nieco nieregularnie, ale przemawiają za tym mocne racje wojskowe i polityczne. Po kimś noszącym nazwisko Olderhan spodziewam się zresztą właśnie takich decyzji. Teraz jednak chciałbym mimo to usłyszeć, jak udało się wam to wszystko tak absolutnie spieprzyć?

Jasak zaczerpnął głęboko powietrza. Spojrzał prosto w oczy Sarra Kliana i wyjaśnił. Wszystko. Kiedy opisywał ostatnie chwile życia półsetnika Garlatha, pięćsetnik zaklął tak siarczyście, że Jasak musiał przerwać. Klian zacisnął zęby dusząc w sobie kolejne wulgaryzmy i gestem pozwolił Jasakowi mówić dalej. Jasak mówił. Opowiedział o burzliwej kłótni z setnikiem Thalmayrem i o jego niezgodzie co do planu ewakuacji obozu na bagnach.

Kiedy wreszcie skończył pięćsetnik Klian oparł się wygodniej, złączył opuszki palców, po czym splótł je na swym umięśnionym brzuchu i odetchnął powoli.

–Doceniam twoją szczerość, setniku. A także dogłębną analizę sytuacji. Ja też pozwolę sobie na otwartość. Według mnie podrzuciliśmy ci zgniłe jajo obdarowując cię Shevanem Garlathem. Pomysł jego przeniesienia do twojej kompanii nie pochodził ode mnie. Z tego co widziałem i tak wykazywałaś się godną podziwu powściągliwością w obliczu jego... niedociągnięć. Żałuję, że nie mogę powiedzieć, że jestem zaskoczony faktem, iż zastrzelił nieuzbrojonego człowieka, który najwyraźniej chciał doprowadzić do pertraktacji. Ale nie mogę. Jestem wstrząśnięty, lecz nie zaskoczony – Klian pokręcił głową. – W moim kryształku winny wszystkiemu jest Garlath, ale...

„Tak” – westchnął w duchu Jasak – „Ale...”

–Zdajesz sobie sprawę, Olderhan, że ta historia może oznaczać koniec twojej kariery? – zapytał niemal łagodnie Klian. Jasak spojrzał mu prosto w oczy.

–Tak jest, Sir.

–Oczywiście. Byłem tego pewien. Nie każdy oficer by to rozumiał.

Ostatnie słowa Khana zabarwione były frustracją. Niechętnie oglądał dobrych oficerów schwytanych pomiędzy szczęki tak wielkiego smoka. Miał równocześnie przeczucie, że Arkana już niedługo bardzo będzie potrzebować wielu dobrych oficerów. Gdyby to on siedział po drugiej stronie biurka i składał tego rodzaju raport poszukałby sobie kogoś, kto mu za to zapłaci. Z pokazną nawiązką.

–Wiem, synu, że to nieuczciwe – ciągnął cicho – ale wygląda na to, że wdepnęliśmy w paskudną wojnę, a politycy lubią znaleźć sobie kogoś, kogo mogą obwiniać o wywołanie prowadzonych przez siebie wojen. Trybunały wojskowe powinny być ponad to, ale ludzie, którzy w nich zasiadają są przecież w pełni świadomi politycznych reperkusji własnych decyzji. Połowa oficerów w ich składzie sama wykazuje silne polityczne ambicje. Garlath nie żyje, a ty żyjesz. Im będzie potrzebny ktoś, kogo można wskazać palcem i powiedzieć: „To twoja wina, żołnierzu”. Potem będą mogli powiedzieć politykom: „Widzicie? Znaleźliśmy winnego i przykładowie go ukaraliśmy”. Wiem, że to ohydne i brutalne... Urwał i spojrzał Jasakowi w oczy.

–Rozumiałeś to jeszcze zanim do mnie przyszedłeś, prawda?

–Tak jest, Sir – usta Jasaka wykrzywiły się w grymasie, który niektórzy zapewne nazwaliby uśmiechem. – Aż za dobrze.

–Przykro mi, synu – Klian pochylił się nad biurkiem. – Wyślę za tobą swój własny raport i kilka innych dokumentów. Może to jakoś pomoże.

–Dziękuję, Sir.

–Wiele będzie zależało od tego, kto znajdzie się w trybunale. Możliwe, że ci się upiecze jeśli będą to jacyś porządni faceci.

–Tak jest, Sir – przytaknął Jasak, choć w jego głosie nie brzmiała zbyt wielka nadzieja. Odważył się na pytanie. – Jeśli wolno spytać, Sir, co pan zamierza w kwestii portalu na bagnach?

Klian westchnął ciężko i opadł na oparcie. Podrapał się w nos.

–Czy oni mogli wysłać wiadomość z tego kotła? – zapytał wreszcie rzucając okiem na Jathmara.

Jeniec siedział bardzo spokojnie. Przysłuchiwał się niezrozumiałej rozmowie i przyglądał się obu żołnierzom, jakby chciał wyczytać cokolwiek z ich twarzy, głosów i oczu. „Olderhan ma rację” – pomyślał Klian – „Ten człowiek jest przerażony i niebezpieczny.” A takich ludzi Sarr Klian nigdy nie naciskał zbyt mocno bez wyraźnego powodu.

Pięćsetnik popatrzył przez chwilę w oczy Jathmara, po czym na powrót zwrócił spojrzenie do Jasaka. Starał się przy tym zachować kamienną twarz. Młodszy oficer w zamyśleniu skubał wargę i delikatnie przymknął powieki.

–Nie wiem czy mogli, Sir – odpowiedział po chwili. – Wydaje mi się, że nie było takiej możliwości, ale znamy ich możliwości równie słabo, jak oni znają nasze.

–A więc pewności nie ma?

–Nie, Sir. Przeszukaliśmy teren w poszukiwaniu śladów kogoś, kto mógł się wymknąć z wiadomością do ich portalu. Moi ludzie znają się na swej robocie, a nad całością czuwał miecznik Threbuch. Jestem mocno przekonany, że fizycznie nikt się nie przedarł z wiadomością a wśród ich wyposażenia nie odnaleźliśmy niczego co choć trochę przypominałoby brzęczki. Logika podpowiada, że nie udało im się nikogo poinformować, niemniej gwarancji nie mamy.

Klian zabębnił palcami o blat, który stanowiła zwykła deska, oparta na dwóch drewnianych skrzynkach, w których przechowywał kryształy, mapy i inne przybory.

–Można założyć, że ze swojego obozu szli do portalu najkrótszą możliwą drogą – zastanowił się głośno dowódca – ale nie możemy być pewni, że poruszali się z maksymalną prędkością. Mogli zatem wysłać posłańca przed sobą. Ten ktoś nie musiał wcale iść przez polanę. Co więcej, mógł się poruszać dowolną inną trasą. Jestem przekonany, że twoi ludzie szukali śladów pilnie, ale obcy mogli to przewidzieć. Nie wiem, czy ja bym coś takiego wymyślił. Zwłaszcza w takich warunkach, ale najmądrzejszym na co mogli wpaść byłoby wysłanie gońca korytem strumienia, tak żeby nie zostawiał żadnych śladów. Mógł pójść cztery czy pięć mil w bok od obozu a potem ruszyć przez las. Żeby znaleźć jego ślad trzeba by mieć do dyspozycji oddział cudotwórców.

–Taka możliwość też oczywiście istnieje, Sir – przyznał Jasak. – Choć po oględzinach obozu skłaniałem się raczej ku myśli, że myśleli wyłącznie o oderwaniu się od nas i uniknięciu kontaktu. W czym – dodał gorzko – udało mi się im skutecznie przeszkodzić.

–Tak. Udało ci się. I to było twoim obowiązkiem – skomentował Klian i zmarszczył czoło jeszcze bardziej. – Mówiłeś, że nie byli w jednym wieku?

–Tak jest, Sir. Najmłodszy miał około dwudziestki, a najstarszy miał przynajmniej z pięćdziesiąt.

–To byli żołnierze?

Klian spojrzał badawczo na Jasaka. Młodszy z oficerów zawahał się przez chwilę.

–Jestem niemal pewny, że nie, Sir – odparł wreszcie. To raczej jacyś badacze. Cywile. Nie byli ubrani w mundury.

Nawet ich buty i spodnie różniły się od siebie. Ich wyposażenie wskazywałoby na to, że zajmowali się badaniem portali. Na żadnym z narzędzi nie było żadnych zdobień ani innych symboli, które mogłyby wskazywać jednostkę. To samo dotyczy broni. Bardzo szeroki zestaw. Nie wydaje mi się, by jakakolwiek armia zaakceptowała coś tak niestandardowego jak ich wyposażenie. Kwatermistrze mieliby piekło z częściami zamiennymi i naprawami – wzruszył ramionami. – Biorąc to wszystko pod uwagę nie widzę innej możliwości. To cywile, Sir.

„A my posłaliśmy ich prosto do piekła” – pomyślał nachmurzony Klian. – „Niech twa przeklęta dusza zgnije razem z nimi, Garlath.”

–Rozumiem – powiedział – i wydaje mi się, że masz rację. Poza tym jest jeszcze ta kobieta. Ty oczywiście też miałeś ze sobą magister Kelbryan, ale to zupełnie inna sytuacja. Mówisz, że obca kobieta jest jego żoną – rzucił na Jasaka bystre spojrzenie. – Jesteś tego pewien?

–Tak, Sir. Magister Kelbryan jest podobnego zdania. Tak naprawdę to ona to zauważyła, a moje obserwacje jedynie tę opinię potwierdzają.

Klian skinął głową, cmoknął i oparł się w fotelu. Zastanawiał się nad wszystkim, co usłyszał od Jasaka.

–Czyli jest możliwe, że poinformowali swoich – powiedział wreszcie powoli – choć zgadzam się z tobą, że to mało prawdopodobne. Według wskazań detektora magister Kelbryan ten portal, którego szukaliście był ile? Trzydzieści mil od bagien?

–Mniej więcej, Sir. Wysłałem tam miecznika Threbucha. Ma to sprawdzić – przypomniał dowódcy Jasak.

–Tak. Pamiętam. Rozważam teraz ryzyko. Nie znamy ich procedur dotyczących portali. Cywilny zespół w nowym wszechświecie sugeruje, że obcy postępują zupełnie inaczej niż my. Zaczynam się zastanawiać nad możliwością, że tam nie ma żadnych wojsk.

–Ale czy możemy to zakładać? To ryzykowna hipoteza, Sir – zauważył cicho Jasak.

Klian spojrzał młodszemu oficerowi w oczy. Olderhan powiedział ostatnie zdanie bez cienia krytyki w głosie i spojrzeniu. Po prostu się niepokoił. I to bardzo. Na bogów i gromy. Co musiało ich spotkać, że w oczach Jasaka Olderhana widać było aż tak wyraźny niepokój? Widząc minę Olderhana, dowódca zrozumiał, że nawet szczegółowy raport o przebiegu bitwy i szokująca liczba ofiar nie dawała mu pełnego wyobrażenia o tym, co czuli ci ludzie widząc jak obca broń szatkowała ich

towarzyszy na krwawej polanie.

–Ty mi to powiedz, setniku – odparł zwięźle. – To ty stanąłeś z nimi twarzą w twarz.

Jasak nabrał gwałtownie powietrza i wyprostował się w krześle.

–Sir. Mówiłem już, że w mojej ocenie pozostawanie w obozie na bagnach wiąże się z wielkim ryzykiem. Nie tylko dlatego, że ludzie są w szoku, ale też z czysto strategicznego punktu widzenia nie ma to sensu. A i politycznie wydaje mi się, że lepiej będzie się wycofać. Wcześniej czy później, ktoś zacznie ich szukać. Jeśli znajdą opuszczony portal nie odpowiedzą natychmiastowym atakiem, zwłaszcza, że stamtąd na bagna jest siedemset mil mokradeł. Poza tym – o ile nic się nie zmieniło przez ostatnie cztery dni – nie mamy chyba posiłków dla Thalmayra.

Spojrzał pytająco na Kliana. Dowódca skrzywił się i pokręcił głową.

–Powinienem mieć tu już pełen batalion – powiedział z goryczą pięćsetnik. – Widziałeś może gdzieś w okolicy tysiąc ludzi, setniku? Nie? No cóż. Ja też nie.

–Czyli do dyspozycji Thalmayra pozostaje w zasadzie jedynie kompania C, a raczej to, co zostało z pierwszego plutonu, plus drugi i trzeci. – Tym razem to Jasak pokręcił głową. – Z całym szacunkiem, Sir. To zbyt niewielu ludzi, by myśleć o utrzymaniu portalu o szerokości trzech i pół mili.

–To prawda. Choć z drugiej strony sprzyja im teren. Jest płaski jak chleb mojej teściowej. Lepszego terenu dla smoków piechoty nie można sobie wyobrazić. Mógłbym im je wysłać drogą powietrzną. To potężna siła ognia, Setniku.

–Tak Sir. Zgadzam się – w głosie Jasaka słychać było najwyższy szacunek. Klian pomyślał, że to jednak nie to samo co całkowita zgoda.

–Trzeba też pamiętać o czymś jeszcze – powiedział pięćsetnik zastanawiając się przy tym dlaczego tłumaczy się przed niższym stopniem żołnierzem. – Jak zauważyłeś twoja kompania to wszystko, co znajduje się obecnie pod moim dowództwem. Obiecano mi posiłki. Cały batalion, ale jak znam życie to w ciągu nadchodzących dwóch miesięcy dostanę najwyżej jeszcze jedną kompanię. W tej sytuacji jestem pewien, że mój raport wstrząśnie nimi jak porządny kopniak mrowiskiem. Dajmy Dowodzącemu Dwoma Tysiącami mul Gurthakowi kilka dni a jestem pewien, że ściągnie tu każdą żywą duszę, jaką tylko uda mu się złapać. Tyle, że i na to trzeba czasu. Ado tej pory portal na bagnach to jedyne miejsce, w którym mogę mieć jakakolwiek nadzieję na utrzymanie pozycji z tymi siłami, którymi w tej chwili dysponuję. Nie podoba mi się to, ale w tym punkcie zgadzam się z Thalmayrem.

–Ja to rozumiem, Sir – powiedział Jasak. – Mnie osobiście martwią tylko dwie

sprawy. Po pierwsze jeśli ich osobista broń potrafiła wykosić osiemdziesiąt procent pierwszego plutonu, to bogowie jedynie raczą wiedzieć, co potrafi zdziałać ich artyleria i ciężka broń.

Klian zacisnął usta. Nie mógł się nie zgodzić.

–Po drugie – ciągnął Jasak – i chyba jeszcze ważniejsze obawiam się, że jeśli padną kolejne strzały będziemy mieli tu otwartą wojnę. Chodzi mi teraz o politykę, nie o wojskowy punkt widzenia, Sir. Potrzebujemy zespołu doświadczonych dyplomatów, a zanim tacy tu dotrą upłynie sporo czasu. Według mnie następny kontakt z obcymi musi za wszelką cenę zostać przeprowadzony pokojowo. Chyba, że wybieramy się na wojnę. Długą, okrutną i brudną wojnę.

Pięćsetnik Klian skrzywił się przywołując w wyobraźni obrazy, o których mówił Jasak. Niemniej...

–Wszystko co mówisz to prawda, setniku – powiedział i znów zabębnił o surowy blat biurka. – Chodzi teraz o czas.

Mówiłeś, że nie widziałeś niczego, co mogłoby im zastępować nasze bręczki. To by znaczyło, że wiadomości do portalu mogli wysłać tylko przez gońca. Jest jakaś szansa, że właśnie to zrobili, ale i tak wydaje mi się, że potrzebują kilku dni na reakcję. Gdybyśmy mieli niezbitą pewność, że ich wojsko czeka tuż przy portalu, którego szukaliście, to ewakuowałbym bazę na bagnach bez wahania. A przynajmniej wyciągnąłbym stamtąd tylu ludzi ilu można, mając do dyspozycji dwa smoki. Ale w obecnej sytuacji? Nawet biorąc pod uwagę, że mają tam jakąś bazę – odpowiednik naszego Rycharn – to na pewno nie zbudowali jej tuż przy portalu. Fort Rycharn znajduje się o siedemset mil od naszego portalu a sam wiesz, że w innych wszechświatach te odległości bywają znacznie większe. Musieliby utrzymywać bardzo silny garnizon wysunięty bardzo daleko, albo też ich portale musiałyby leżeć śmiesznie blisko. Inaczej nie zorganizują wystarczająco dużo wojska w krótkim czasie.

Jasak, niemal bezwiednie, skinął głową. Klian wzruszył ramionami.

–Artyleria nie może strzelać przez portal, setniku. Jeśli setnik Thalmayr okopie się właściwie może mieć w zasięgu ognia cały teren po naszej stronie portalu. Potrzebowaliby znacznych sił, by przebić się przez tego rodzaju umocnienia. Można założyć, że zdają sobie z tego sprawę. Nie spodziewam się brawury z ich strony.

–Chyba, że z ich perspektywy cała sytuacja wygląda inaczej, Sir.

–Zawsze jest taka możliwość – zgodził się Klian. – Tak czy inaczej zostawię Thalmayra na miejscu – dowódca zobaczył strach w oczach młodszego oficera. Wzruszył ramionami.

–Wydam mu bezpośredni rozkaz okopania się po naszej stronie portalu. Zabronię mu wycieczek – zapewnił. – W ten sposób kolejną wymianę ognia ryzykujemy jedynie w wypadku, jeśli tamci zechcą złożyć nam wizytę. Nie uśmiecha mi się ten pomysł, ale to najlepszy kompromis jaki potrafię wymyślić zanim mul Gurthak nie przyśle nam posiłków.

–Mam nadzieję, że ma pan rację, Sir – powiedział Jasak. W jego głosie słyhać było sprzeciw, ale pięćsetnik Klian nie przejął się tym. Młody oficer był przecież wstrząśnięty i niezadowolony, ale potrafił uszanować decyzję przełożonego. Mogła mu się nie podobać – samemu Klianowi nie podobała się ani trochę – ale obaj byli żołnierzami i wiedzieli, że rozkaz to rozkaz.

–Ja też mam taką nadzieję – westchnął i otrząsnął się.

–Wiem, że poczujesz się lepiej, synu, jeśli wysłuchasz raportu miecznika Threbucha zanim wraz z magister Kelbryan i jeńcami udacie się w dalszą drogę. Zorganizuję dla waszej czwórki kwatery. Oddzielne.

–Dziękuję, Sir. Doceniam to. – Jasak spojrzał Klianowi prosto w oczy. – Jeszcze jedno, Sir, chciałbym oficjalnie ogłosić, że Shaylar i Jathmar są moimi *shardonai*.

Klian zamął – nie ze złości, lecz z konsternacji.

–Jesteś tego pewien, setniku? – zapytał bardzo cicho.

–Tak jest, Sir. Jestem – odpowiedział zdecydowanie Jasak.

Klian zamknął usta i nie powiedział tego, co cisnęło mu się na usta.

W jego ocenie rzucanie się w przepychankę, która niechybnie wybuchnie, było ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował teraz ten chłopak. Bez względu na to czyim był synem. Klian nie chciał myśleć, o losie jaki czeka oboje jeńców, po tym, jak dostaną ich w swe ręce ci na górze. Wojskowi na pewno nie będą dla nich mili, ale już politycy i siły bezpieczeństwa wewnętrznego z pewnością okażą się dla nich koszmarem. Stawanie pomiędzy dwójką obcych a wszystkimi oficjelami Arkany w obliczu czekającej go rozprawy przed wojskowym trybunałem, musiało okazać się samobójstwem. Olderhan sam pozbawiał się szans na kontynuację tak dobrze zapowiadającej się kariery. Pięćsetnik nie potrafił wyobrazić sobie innego efektu tej decyzji.

Kiedy jednak popatrzył młodszemu oficerowi w oczy zrozumiał, że nie musi mu tego tłumaczyć.

–Rozumiem, setniku Olderhan – powiedział oficjalnie. Przyjmuję twoją deklarację *shardon*. Umieszczę odpowiednie adnotacje w rozkazach dla ciebie i w dokumentach

do dowództwa.

–Dziękuję, Sir – powiedział szczerze Jasak. Klian nie musiał tego robić. Co więcej zgadzając się z wyborem Olderhana ustawiał się w pozycji, w której na pewno zostanie ochlapany w chwili, w której gówno walnie w wiatrak. Jego podpis jednak, zwłaszcza w rozkazach podróżnych dla Jasaka, pomoże ochronić Jathmara i Shaylar przed... nadgorliwymi przełożonymi.

–Tylko tyle mogę zrobić dla młodziaków, którzy wymyślili sobie wkurzyć wszystkich dokoła – powiedział ze zbójeckim uśmieszkiem pięćsetnik. – Tymczasem rozstawię uzbrojone stráže wokół waszych kwater. Nie chcę, żeby ktoś wpadł na pomysł mszczenia się na Jathmarze i jego żonie.

Oczy jeńca rozbłysły ciekawością, kiedy po raz kolejny usłyszał własne imię. Klian spojrzał na niego. Widział w nim inteligencję i dyscyplinę, dzięki której zdołał ukryć niewątpliwy lęk. Wiedział, że za tymi oczyma krył się sprawnie działający mózg. Tym bardziej frustrująca była dzieląca ich bariera językowa.

–Jathmar? – powiedział Klian. Jeniec spojrzał nań i skinął głową.

–Sarr – powiedział pięćsetnik i dotknął swego munduru. – Sarr Klian – zatoczył ręką koło, wskazując gestem pokój i to, wszystko, co znajdowało się za oknem. – Jestem dowódcą tego fortu.

Pokazał na palisadę i znów na siebie. Jathmar przyjrzał mu się mrużąc oczy, po czym powoli skinął głową. Oczywiście mógł się tego domyślić już wcześniej.

–Pójdiesz – ciągnął Klian wskazując na Jathmara – z Jasakiem Olderhanem.

Wskazał Jasaka i odegrał palcami na biurku spacer. Jathmar popatrzył podejrzliwie, a po chwili znów skinął. Opadła już z niego część napięcia. Oczy jednak cały czas patrzyły ostrożnie. Klian dałby bardzo dużo, żeby wiedzieć to, co się za nimi kryło. Jak powiedział Jasakowi nie był zadowolony z decyzji, którą właśnie podjął, ale innej, lepszej opcji, po prostu nie widział. Jeśli wyniknie z tego wszystkiego kolejne starcie to właśnie on – Sarr Klian – znajdzie się w centrum wydarzeń i będzie potrzebował wszelkich dostępnych informacji.

–W takim razie, setniku – zwrócił się ponownie do Jasaka zorganizuję wam te kwatery. Póki co odprowadź jeńca do szpitala. Niech poczeka przy żonie póki wszystko nie będzie gotowe.

–Tak jest, Sir.

–I... setniku Olderhan – ciągnął Klian wstając i wyciągając do młodszego oficera dłoń – powodzenia. Zastługujesz na nie. I będzie ci bardzo potrzebne.

–Tak, Sir. Dziękuję.

Jasak mocno uściskał rękę dowódcy. Klian patrzył za nim, kiedy wraz z jeńcem wychodzili z biura. Potem usiadł za swym skromnym biurkiem i zauważył, że wściekle rozboleła go głowa.

„Co za niespodzianka” – pomyślał z czarnym humorem i zabrał się do pracy.

Rozdział 17

Darcel Kinlafia był w wyjątkowo podłym nastroju. Stał pomiędzy potężnymi drzewami. Dokoła szybko zapadał zmrok. Starał się nie pokazywać po sobie swego humoru.

Nie było to łatwe. Nie było nawet pomimo tego, że znał powody opóźnienia, że jego rozum akceptował je wszystkie. A także, iż zdawał sobie sprawę, że jednym z tych powodów – może nawet głównym – był jego własny upór, by towarzyszyć oddziałowi podkapitana Arthaga.

„Cierpliwości” – powtarzał w myślach starając się uspokoić wijący się w nim niczym żmija głód. – „Cierpliwości. Już sana miejscu.”

I rzeczywiście. Wszyscy już byli na miejscu. Kinlafia spojrzął na czoło kolumny.

Jeźdźcy i ich konie wyglądali na jednakowo wyczerpanych. Nie mogli wyglądać inaczej. Ostatnie pięć dni ich życia wypełnione było znacznym wysiłkiem. Kinlafia skrzywił się i podszedł do kapitana Arthaga, który właśnie wstał znad posiłku.

Kolumna zatrzymała się. Mężczyzna na czele, tuż obok chorążego, dzierżącego chorągiewkę kompanii z wyhaftowanymi trzema miedzianymi szablami, która wyznaczała miejsce w batalionie, rozejrzał się dokoła. Kinlafia nigdy go dotąd nie spotkał, ale od razu rozpoznał kapitana chan Tesha. Młodszy, ciemnoskóry oficer obok niego musiał być Rokamem Trayganem. Darcel widział już twarz chan Tesha oczyma Traygana. Było to jedno z kilku dziwnych uczuć, do jakich musieli przywyknąć wszyscy posługujący się Głosem.

Wzrok chan Tesha spoczął na Arthagu. Arpathianin zaczekał, aż nowo przybyły zsiądzie z konia i zasalutował.

–Podkapitan Arthag – przywitał się krótko.

–Kapitan chan Tesh – odpowiedział chan Tesh. Tesh wyglądał podobnie jak Shurkhalianin, ale pochodził z Ternathii. Jego akcent tak bardzo przypominał sposób mówienia chan Hagrahyła, że Kinlafia aż się skrzywił. Nawet brzmienie ich głosu było podobne.

–Dobrze pana widzieć, kapitanie – powiedział Arthag.

Chan Tesh przyjrzał się twarzy Arpathianina w blednącym coraz szybciej świetle dnia. Kinlafia zastanowił się, czy żołnierz szukał w niej jakichkolwiek oznak niezadowolenia ze swego przybycia. W końcu chan Tesh był starszy stopniem i przejmował dowodzenie. To z kolei oznaczało, że to właśnie jego nazwisko miało

trafić do podręczników historii. Wieść o jego przybyciu unieruchomiła Arthaga, który musiał poczekać na oddział chan Tasha. Jeśli jednak Ternathianin spodziewał się wyrazów niezadowolenia ze strony drugiego oficera to ich nie znalazł. Uśmiechnął się słabo.

–My też się cieszymy, że tu wreszcie dotarliśmy – powiedział. – I to nie tylko dlatego, że naszym tyłkom należy się odpoczynek.

–Mamy w ofercie odpoczynek i coś jeszcze, kapitanie – odpowiedział Hulmok Arthag. – Przygotowaliśmy dla was ciepły posiłek.

–O! I to, kapitanie, jest naprawdę dobra wiadomość – ucieszył się chan Tesh. – Mam wrażenie, że kość ogonowa zaczęła już mnie od spodu podgryzać.

Oczywiście przesadzał, ale nie aż tak bardzo. Kiedy dotarła do nich oszałamiająca wiadomość chan Tesh ze swoją kolumną znajdowali się nieco ponad dwadzieścia mil od portalu, którym mieli przejść do Nowej Uromathii. Chan Tesh przyznawał się przed sobą, że nie podróżowali wtedy z maksymalną prędkością. Wiedział, że zmieni kapitana Halitu w zwykłych obowiązkach dowódcy pogranicznego fortu i szczerze mówiąc nie uśmiechało mu się spędzenie następnych kilku miesięcy w strugach ulewnego deszczu. Ostatnie raporty Halifu wskazywały jednak na to, że jego ludzie mieli się wkrótce nurzać nie tylko w deszczówce.

Wieści o tajemniczych obcych, którzy wymordowali zespół badawczy Konsorcjum Chalgin zmieniły wszystko. Chan Tesh zreorganizował swój oddział. Piechotę i wojska wsparcia, wraz z sześcioma działami polowymi zostawił z tyłu pod komendą swojego zastępcy. Ze sobą zabrał jedynie wypróbowany kawaleryjski trzon i ruszył naprzód jak tylko mógł najszybciej. W ciągu ostatnich pięciu dni on i jego ludzie pokonali niemal trzysta mil, z czego większość drogi wiodła przez gęste, deszczowe lasy. Nawet jeśli nie była to najcięższa pięciodniowa przejażdżka w życiu Balkana chan Tasha, to była bardzo bliska zdobycia tego zaszczytnego tytułu.

„No ale teraz jesteśmy już na miejscu” – pomyślał ponuro – „i jeśli raporty Arthaga były tak dokładne jak zazwyczaj, to te dranie siedzące po drugiej stronie portalu na bagnach wcale się z tego nie cieszą.”

Obejrzał się przez ramię i popatrzył na swych żołnierzy. Poczł dumę. Byli zmęczeni, zarówno ludzie jak i konie, a kolumna poruszała się mimo to w zgodzie z regulaminem. Kawalerzyści, których ze sobą przyprowadził byli przeważnie doświadczonymi wojakami i nie prowadzili koni z defiladową precyzją, lecz z drugiej strony oddział poruszał się w zwartym i równym szyku.

Kolumnę prowadziła jego własna kompania – kompania miedziana, pierwszego batalionu, dziewiątego regimentu Sił Zbrojnych Zarządu Portali. Jeden ze swych

plutonów zostawił z tyłu, a miedziana nie miała swego pełnego stanu, lecz nadal pozostawało mu do dyspozycji osiemdziesięciu pięciu twardych, doświadczonych żołnierzy. Za jeźdźcami ciągnęły dwa plutony Imperialnej Piechoty Morskiej Ternathii.

Piechota morska większości krain składała się ze zwykłych piechurów – nie było w tym nic dziwnego, ponieważ większą część służby spędzali na statkach. Ternathiańska piechota morska stanowiła tu wyjątek. Oddziały te szczyciły się swoją zdolnością poruszania się w każdym terenie i wykonywania dowolnych zadań, jakie im powierzono. Od ponad pięćdziesięciu lat ci właśnie żołnierze stanowili trzon wielonarodowych wojsk Zarządu Portali.

Niektórzy z wyższych oficerów w ternathiańskiej armii byli przekonani, że piechota morska tak mocno zaangażowała się w podbój nowych wszechświatów tylko po to, by zapobiec całkowitemu rozwiązaniu formacji. Chan Tesh podejrzewał, że było w tym twierdzeniu co najmniej ziarno prawdy. Piechota i piechota morska Ternathii od dawna mocno konkurowały ze sobą o dofinansowanie z cesarskiej kasy. Flota wojenna przyglądała się temu konfliktowi z lekkim rozbawieniem i pobłażaniem. W końcu nikt nawet nie sugerował, by finansować którąkolwiek z formacji lądowych kosztem floty.

Jednak ze względu na motywy stojące za decyzjami dowództwa piechoty morskiej, udało się im znaleźć odpowiednią dla siebie niszę w prowadzeniu transwszechświatowych operacji. Wykonywali ich o wiele więcej niż jakakolwiek inna formacja, a co więcej wykonywali je sprawniej i lepiej. Chan Tesh, mimo, że sam służył formalnie w piechocie, przyznawał to szczerze. Piechota morska nie dorównywała standardowej w zadaniach defensywnych i nie dysponowała tak potężną siłą uderzeniową – w końcu były to oddziały uzbrojone jedynie w lekką broń – lecz ich żołnierze charakteryzowali się niezwykłą mobilnością i zdolnością dostosowania się do każdych warunków. Dlatego właśnie chan Tesh zabrał ich ze sobą, zostawiając regularną piechotę na tyłach. Ci żołnierze potrafili równie sprawnie pracować w siodle jak i na własnych nogach.

W odróżnieniu od kawalerzystów z kompanii chan Tesha i żołnierzy Arthaga, piechurzy nosili standardowe ternathiańskie mundury. Były to wygodne stroje, wyposażone w wiele workowatych, sprytnie rozmieszczonych kieszeni. Malowano je w doskonale maskujący kolor khaki. Choć byli obeznani z końmi nie przestawali być piechotą – najwyżej można było uznać ich za dragonów – i woleli walczyć z ziemi. Kawalerzyści mieli tradycyjne kłopoty z ukrywaniem swych koni w razie potrzeby, a piechota morska wyćwiczona była specjalnie do wykorzystywania terenu do ukrywania swych ruchów.

„Bardzo dobrze mieć ich tu ze sobą” – pomyślał chan Tesh. Tak samo jak w przypadku jego kompanii ich siły były nieco niepełne. Nominalnie oddziały piechoty morskiej powinny liczyć dwustu szesnastu ludzi, tymczasem chan Tesh dysponował

Jedynie stu pięćdziesięcioma siedmioma żołnierzami. Nie była to jednak zbyt bolesna strata. Brakujący stan liczebny rekompensowali siłą ognia sekcji karabinów maszynowych, stanowiących część każdego z plutonów.

–Proszę o wybaczenie, kapitanie, ale wyglądacie tak, jakbyśmy mieli polować na niedźwiedzie.

Chan Tesh spojrział na kapitana Arthaga.

–Wydawało mi się to sensowne – odparł z lekkością, której nie dał się zwieść żaden z nich.

–I chyba słusznie, kapitanie – skwitował ponuro Arthag. Chan Tesh przyjrzał mu się dokładnie.

Hulmok Arthag, mimo swego względnie niskiego stopnia, cieszył się dobrą reputacją wśród kadry dowódczej Zarządu Portali. Chan Tesh podejrzewał, że awansowano by go już dawno temu, gdyby nie fakt, że jego geniusz w dowodzeniu niewielkimi jednostkami na pograniczu powodował, że dowództwu ciężko było się z nim rozstać. Arpathianie generalnie świetnie sprawdzali się w tego typu zadaniach, ale Arthag i wśród nich był kimś szczególnym. Odznaczał się diabelską wręcz zdolnością przenikania myśli bandytów i piratów grasujących w pobliżu portali. Odesłanie tak utalentowanego żołnierza w górę formalnej drabiny awansów byłoby wielką stratą. Zarząd Portali otrzymałby co prawda świetnego dowódcę brygady lub regimentu, ale za wysoką cenę pozbycia się dowódcy plutonu.

–Ucieszyłem się na wieść, że to pan tu siedzi, kapitanie powiedział chan Tesh. Arpathiańska twarz Arthaga nie zdradziła żadnych uczuć. – Słyszałem o panu wiele dobrego i szczerze mówiąc już od jakiegoś czasu miałem nadzieję na wspólną wycieczkę. Szkoda tylko, że przyszło nam się spotkać akurat w takiej sytuacji.

–Tak. Ja też tego żałuję – odpowiedział Arthag i zapatrzył się w zapadającą ciemność. Chan Tesh spojrział w ślad za Arpathianinem i poczuł dreszcz, gdy zobaczył polanę pokrytą powalonymi drzewami. To tutaj dokonano masakry zespołu badawczego.

–Szczerze mówiąc, kapitanie – ciągnął Arthag zwracając się na powrót do przełożonego – czułem się już nieco... samotny. I też się ucieszyłem, kiedy dotarła do mnie wiadomość od kapitana Halifu o waszym przybyciu.

–Szybciej nie byliśmy w stanie – powiedział chan Tesh i Arthag zmrużył lekko oczy.

–Głos Kinlafia bardzo pomógł mojemu Nosowi i Tropicielowi, kapitanie – zauważył ostrożnie prawie nie patrząc w stronę Darcela. – Jego intuicja i zdolności oraz wiedza o tym, co zaszło okazały się nieocenione w kierowaniu moimi specjalistami a

także zwiadowcami.

–Nie krytykowałem Kinlafii – sprostował łagodnie chan Tesh. – Gdybym był na miejscu kapitana Halifu podjąłbym zapewne tę samą decyzję. Żałuję tylko, że Halifu nie miał innego telepaty, którym mógłby sobie zrekompensować brak Kinlafii. Mój Błyskacz mógł się z nim skontaktować dopiero, gdy byliśmy o czterdzieści mil od fortu.

Arthag skinął głową i na jego twarz wypłynął leciutki uśmiezek, który mógł świadczyć o zrozumieniu. Ani przez chwilę nie wątpił, że niektórzy z „bohaterów” na tyłach będą krytykować Halifu za odesłanie bezcennego Kinlafii na drugą stronę portalu wraz z oddziałem ratunkowym. Ale wydawało się, że chan Tesh – tak jak właśnie powiedział – czuł, że uromathiański oficer postąpił słusznie. Poza tym Halifu dysponował dwoma dobrymi Błyskaczami. Błyskacze co prawda nie byli w stanie zastąpić telepatów, lecz posiadali zdolność teleportowania – czasem nazywano to też „błyskaniem” – względnie niewielkich obiektów, jak na przykład pojemników z dokumentami na odległość trzydziestu do czterdziestu mil. Niektórzy Błyskacze osiągnęli nawet pięćdziesiąt mil i dzięki temu siły zbrojne Sharony bardzo ich pomoc ceniły. Nie byli tak skuteczni jak telepaci, ale na krótsze dystanse zastępowali ich wystarczająco dobrze, a poza tym zdarzało się, że ich zdolność przenoszenia fizycznych przedmiotów była o wiele ważniejsza, niż telepatyczny przekaz konkurentów.

Młodszy zbrojny Tairsal chan Synarch – Błyskacz chan Tesha przesłał wiadomość kapitanowi Halifu niecałe dwadzieścia cztery godziny temu. Wtedy zbrojny Bantha, Błyskacz Halifu przekazał ją Arthagowi. Od momentu kiedy chan Tesh i jego kolumna znaleźli się w tym wszechświecie Traygan i Kinlafia utrzymywali stały kontakt, nakierowując żołnierzy Tesha i informując dowódcę o odkryciach, których w międzyczasie dokonywali zwiadowcy Arthaga.

–Przepraszam, że tak się wlekliśmy, kapitanie – dodał po chwili chan Test. – Ostatnie dwadzieścia pięć mil przed portalem okazało się jakimś koszmarem. Było jeszcze gorzej niż myślałem.

–Wiem. Też mam wrażenie, że słońce ma tam zakaz wstępu – odparł Arthag. Chan Tesh parsknął śmiechem. Bez względu na to, czy teoria Arpathianina była słuszna każda strużka, strumień, źródło, ruczaj, rzeka i rzeczka wystąpiła z brzegów, co przeszkadzało w szybkim marszu.

–Miałem przynajmniej czas na dokładne zbadanie okolicy – ciągnął Arthag. To zdanie również mogło być skargą. Arthag otrzymał ścisły rozkaz, by nie ruszać się z miejsca przed nadejściem posiłków. Mimo to chan Tesh wyraźnie widział, że Arthag szczerze cieszył się z nadejścia pomocy. Zgodnie z tą myślą wziął komentarz Arpathianina za dobrą monetę i skinął głową.

–Rozumiem. Chętnie przyjrę się szkicom.

–Oczywiście, kapitanie.

Arthag dał znak ręką jednemu ze swych żołnierzy. Chan Tesh spojrzał na niego – wysoki, ale niezbyt potężny Farnathianin z dwiema gwiazdkami młodszego zbrojnego. Szkoda, że Arthag nie miał własnego Błyskacza. Mógł więc otrzymywać przesyłki od Halifu, ale nie był w stanie odesłać niczego z powrotem. Młodszy zbrojny podszedł, zasałutował i podał skórzaną torbę z dokumentami.

–Młodszy zbrojny Loumas, kapitanie – przedstawił żołnierza Arthag. – Mój Kreślarz.

–Jasne – chan Tesh skinął. Kreślarze także byli cenną pomocą dla wojska. W odróżnieniu od Kartografów podawali niewiele szczegółów co do terenu, nie widzieli także tego, co leżało pod ziemią, ale – co także różniło ich Talent od Talentu Kartografów – byli wyczuleni na obecność żywych istot. Ich zasięg był podobnie ograniczony i zazwyczaj sporządzali mapy mniejszych obszarów niż czynili to Kartografowie. Kreślarze o zasięgu większym niż cztery, czy pięć mil rodzili się rzadko. Mimo tych wad stanowili doskonały materiał na zwiadowców, bowiem, żaden, nawet najmniejszy oddział wroga nie był w stanie się przed nimi ukryć.

–Loumas zaprowadził zwiadowców pod sam portal – dodał Arthag. Otworzył torbę i wyjął z niej dokładną mapę sytuacyjną. – Mapy rysował starszy zbrojny – chan Hathas. Teraz jest w czujce i pilnuje tamtych.

Podał mapę chanowi Teshowi, który natychmiast ją rozłożył. Podczas rozmowy zapadła już noc i brak światła uniemożliwiał odczytanie drobnych symboli. Ruszył więc do ognisk, ale Loumas wyciągnął latarkę i wypuścił z niej promień światła prosto na mapę.

–Dziękuję – powiedział uprzejmie chan Tesh i skupił się na rysunku.

–Po naszej stronie nie wyczułeś żadnych posterunków obcych? – zapytał młodszego zbrojnego nie odrywając wzroku od mapy.

–Nie, kapitanie – odpowiedział Loumas. – Sporo jeleni i nawet dwa niedźwiedzie, ale ani śladu innych żywych stworzeń. Za pozwoleniem według mnie ci obcy to kompletni idioci.

–Możliwe – przyznał chan Test. – Choć musimy pamiętać, że oni potrafią robić rzeczy, o których nie mamy bladego pojęcia. Być może znają jakiś sposób śledzenia terenu bez patroli i zwiadowców. Może ich po prostu nie potrzebują.

–Tak jest, kapitanie – powiedział odrobinę zbyt służbiście Loumas. – Przepraszam. Po prostu to, co zrobili...

Urwał i pokręcił głową. Chan Tesh skinął głową. Niekoniecznie zgadzał się z żołnierzem, ale rozumiał go doskonale. Widział już zresztą reakcje swoich własnych żołnierzy. Wiadomość o tym, że cywilny zespół badawczy został wycięty w pień jak stado zwierząt mógł wstrząsnąć każdym i w każdych okolicznościach. Fakt, że w samym środku tego znalazła się Shaylar Nargra-Kolmayr, a Darcel Kinlafia nie był w stanie nawiązać z nią choć urywanego kontaktu tylko dodatkowo pogarszał morale wszystkich. Żołnierze chcieli zemsty i szczerze mówiąc chciał jej też chan Tesh.

Kapitan znów przyjrzał się mapie i pokręcił w duchu głową oceniając sytuację.

„Może niepotrzebnie go skarciłem” – pomyślał studiując wzory – „Jeśli to rzeczywiście jest dokładne odwzorowanie terenu to Loumas może mieć, cholera, rację co do tych gnojków”.

–Mówisz, że to starszy zbrojny rysował tę mapę? – zwrócił się do Arthaga nie podnosząc wzroku.

–Tak kapitanie – coś w tonie Arthaga skłoniło jednak Tesha do spojrzenia. Arpathianin uśmiechał się szeroko. Chan Tesh uniósł brew ze zdziwienia.

–Starszy zbrojny chan Hathas rysuje dużo lepiej ode mnie, kapitanie. Gdy Loumas i jego zwiadowcy wrócili i opisali mi wszystko chciałem sam to przenieść na papier, ale okazało się, że mamy ze mnie artysta. Poprosiłem więc zbrojnego, żeby mnie wyręczył. I jeśli mogę pochwalić, zrobił to świetnie.

–Na Vothana – mruknął chan Test. – Może oni rzeczywiście są skończonymi idiotami.

Oficer dowodzący siłami przeciwnika wyraźnie nie był specjalistą od działań w okolicach portali. Portale – nawet tak małe jak ten na mapie – od zawsze stanowiły z powodu swych niezwykłych właściwości wyjątkowo trudne do obrony miejsca. Z drugiej jednak strony, taktycy wypracowali wiele skutecznych sposobów podejścia do tego problemu, a tymczasem obcy zrobili... coś takiego.

Zbrojny naszkicował mapę terenu po obu stronach portalu. Miał ułatwione zadanie, ponieważ portal nie był duży, a przeciwnik nie wystawił straży. Wydawało się, że wrogi dowódca był albo zbyt pewny siebie, albo niewyobrażalnie głupi.

„Chyba” – że napomniał sam siebie chan Tesh – „rzeczywiście trzymają tam jakąś cudowną broń.”

Tej możliwości nie mógł wykluczyć. Pamiętał o błyskawicach i ognistych kulach, którymi zaatakowali badaczy z Konsorcjum Chalgyn. Niemniej...

Nieprzyjaciele wzniesli po obu stronach portalu palisady z otworami, które nie

mogły być niczym innym jak otworami strzelniczymi. Umocnienia te chroniły płytkie, wykopane w ziemi rowy. Zajmując pozycje po obu stronach portalu w swoim wszechświecie dowódca obcych zmuszony był rozdzielić swe siły na dwa oddziały, które – oddzielone ścianą samego portalu – nie miały ze sobą nawet kontaktu wzrokowego, mimo, że w rzeczywistości dzieliło je tylko sto jardów. To był problem, z którym musieli mierzyć się wszyscy oficerowie dowodzący obroną każdego portalu.

Chana Tesha zastanowiły jednak same umocnienia. Wyglądały na pozostałość z czasów, kiedy walczone za pomocą ładowanych od przodu muszkietów i gładkolufowych dział. Jediną różnicą było to, że były jeszcze mniej solidne. Nie widział na mapie ani jednego bunkra ani okopów. Nie było też żadnej ochrony od góry.

–Te ich szanice nie wydają się szczególnie... solidne – zauważył. – Jesteś pewien, że te rowy są rzeczywiście tak płytkie? A nasyp tak niski?

–Tak, kapitanie – Arthag wzruszył ramionami. – Wydaje mi się, że Głos Kinlafia potrafi wyjaśnić, czemu u nich wszystko jest takie niesolidne.

–Ach tak? – chan Tesh raz jeszcze oderwał się od rysunku i spojrzał na ubranego w cywilny strój mężczyznę.

Ignorował Kinlafię aż do tego momentu, nie dlatego, że był niemiły, tylko dlatego, że Głos wyglądał bardzo źle. Na jego ściśniętej twarzy malowały się strach, wściekłość i drażąca go niecierpliwość. Chan Tesh nie potrzebował Talentu by je wyczytać. Oczy telepaty przypominały otwory wypalone żywym ogniem w ludzkiej twarzy. Oficer zastanawiał się, czy mężczyzna od chwili śmierci swych towarzyszy choć raz rozluźnił mięśnie szczęki. Nie chciał przeszkadzać Kinlafii, który przechodził tak ciężkie chwile, ale teraz, skoro Głos mógł mieć jakąś teorię na temat obcych, musiał go poprosić o wypowiedź.

–Głosie Kinlafia? Jakiś pomysł? – zapytał łagodnie. Darcel przytaknął. Gwałtownie i jakby z lękiem. Machnął ręką ku polanie, której chan Tesh nie zdążył się jeszcze dokładniej przyjrzeć.

–Nie jestem pewien czego oni używają w charakterze artylerii – powiedział – ale cokolwiek to jest, działa zupełnie inaczej od naszej broni. Wiem, że Głos Traygan przekazał panu raport Nosa Parcanthiego i Tropicielea Hilovara na temat dziwnych odczytów energetycznych. Nadal nie wymyśliliśmy jakie może być ich pochodzenie, ale póki Głos Nargra-Kolmayr – kiedy użył formalnego tytułu Shaylar zadrżał mu głos – i ja byliśmy połączeni Widziałem tę ich ciężką broń w akcji. Powoduje potężne wybuchy, a te ich błyskawice pokrywają znaczny obszar, ale żadna z nich nie penetruje celu zbyt głęboko.

–Naprawdę? – chan Tesh uniósł brwi i przekrzywił głowę. Kinlafia wzruszył ramionami.

–Wydaje się, że działanie tej broni opiera się głównie na niszczycielskich skutkach fali cieplnej i błyskawic. Szczególnie gwałtownie wybuchają ogniste kule, tyle, że z tego co zaobserwowałem, eksplodują na pierwszej napotkanej przeszkodzie. Może być to nawet gałąź drzewa, albo krzak.

–Żaden z nas – Arthag delikatnie wskazał brodą na swoich żołnierzy – nie widział oczywiście tej bitwy, kapitanie, ale po zbadaniu zniszczeń na polanie wydaje mi się, że Głos Kinlafia ma rację. Nie ma żadnego śladu zniszczeń podobnych do tych, które powodują nasze pociski artyleryjskie. Żadnych lejów. Ich artyleria działa rzeczywiście bardzo widowiskowo i w obszarze, który pokrywa wybuch powoduje znaczne zniszczenia, lecz sam ten obszar nie jest zbyt duży. W zasadzie jest o wiele bardziej ograniczony, niż wstępnie zakładaliśmy. Wydaje mi się też, że ich działa nie przebija żadnej solidniejszej osłony.

–Sugerujecie zatem, że ich fortyfikacje są tak... patykowate, ponieważ nie znają broni, która mogłaby je pokonać?

–Coś w tym rodzaju, kapitanie – odpowiedział Kinlafia i zaskoczył chana Tesha lekkim uśmiechem. – Zauważyłem, że ludzie – tak samo wojskowi jak cywile – myślą o świecie w znanych sobie kategoriach. Opierają się na wcześniejszych doświadczeniach i zazwyczaj, jak sądzę, to działa. Tyle, że tym razem żadna ze stron nie ma żadnych wcześniejszych doświadczeń.

–Bardzo trafna i rozsądna uwaga, Głosie Kinlafia – pochwalił chan Tesh zaskoczony sprawnością myśli człowieka przeżywającego tak trudne chwile. Skinął głową z szacunkiem Darcelowi i spojrzał na Arthaga.

–Te tutaj – stuknął palcem w mapę – To właśnie te rury? Ta ich artyleria o której mówił Głos Kinlafia?

–Tak, kapitanie – przytaknął Arthag. Chan Tesh kiwnął głową.

Dziwnych armat było zniechęcająco dużo. Niektóre wyróżniały się znacznymi rozmiarami. Oficer rozumiał, że są też z pewnością o wiele potężniejsze i mają większy zasięg. Ze sposobu w jaki je rozmieszczono wywnioskował, że wrogi dowódca pokrył ich zasięgiem cały płaski teren pomiędzy umocnieniami a portalem. Biorąc pod uwagę ich niszczycielską moc, miało to sens, nawet jeśli rzeczywiście nie zabijały odłamkami jak artyleria Sharony. Tylko czemu, na bogów, nie zapewnili im solidniejszej ochrony? I dlaczego tak na wprost portalu?

–Chyba będą mieli z nami poważny problem, kapitanie Arthag – powiedział chan Tesh po chwili. Podniósł wzrok i uśmiechnął się. – Przyprowdziłem ze sobą

moździerze.

Arthag zmrużył oczy. Kinlafia wyszczerzył się w uśmiechu szczerego zadowolenia. Chan Tesh skinął.

–Tu jest odpowiednie miejsce, kapitanie – Arthag wskazał punkt na mapie. – Tam, w naszym wszechświecie, jest niewielki jar. Wystarczająco głęboki, by ukryć stojącego człowieka. Dla strzelców to zła pozycja, ale dla moździerzy będzie chyba w sam raz.

–Świetnie – chan Tesh raz jeszcze rzucił okiem na mapę i zwinął ją.

–Pamiętam, że wspominałeś coś o kolacji, kapitanie – przypomniał. – Konie potrzebują co najmniej kilku godzin odpoczynku. No a skoro już o tym mowa, to sam bym się przespał. Chodźmy coś zjeść. Chciałbym też porozmawiać z Nosem i Tropicielem. I Głosem Kinlafia.

–Oczywiście, kapitanie. Tędy proszę.

* * *

Zmęczeni kawalerzyści chan Tesha oporządzili konie i przygotowali je do noclegu, po czym pochłonęli kolację, którą przyrządzili dla nich żołnierze Arthaga. Potem wskoczyli do śpiworów i po paru chwilach zobojętnieli na wszystko, co działo się na świecie. Chan Tesh czuł przemożną chęć, by pójść w ich ślady, ale przedtem musiał zająć się jeszcze kilkoma innymi sprawami. Siedział oparty o drzewo przy ognisku Arthaga i kończył drugą miskę ciepłej potrawy. Słuchał raportów Arthaga, Kinlafii, Parcanthiego i Hilovara.

Nie były to miłe dla ucha opowieści. Chan Tesh znał już relację Kinlafii z przekazu Rokama Traygana, ale zupełnie inaczej słuchało się jej z ust samego Darcela. W każdym słowie telepaty pracującego wcześniej w zespole Konsorcjum Chalgyn, brzmiała nienawiść i przerażenie. Oficer chciał móc obiecać Kinlafii, że zrobi wszystko, co w jego mocy by uratować ocalałych, ale z każdą chwilą coraz bardziej wątpił, że ktokolwiek mógł ujść z życiem z przeklętej polany. Żaden z siedzących przy ognisku mężczyzn nie sądził, by udało się odnaleźć kogokolwiek, lecz zarazem dobrze wiedzieli, że muszą przynajmniej spróbować.

„A kiedy się okaże, że nikt nie przeżył” – pomyślał ponuro Balkar chan Tesh – „zabawimy się w mścicieli.”

Kapitan był Ternathianinem z urodzenia i wychowania, lecz korzenie jego rodziny wywodziły się z innych krain. Ojciec przybył ze swoimi rodzicami do Ternathii jako młody emigrant z Shurkhal. Chan Tesh nie uważał się za Shurkhalianina, lecz w ciągu ostatnich pięciu dni odkrył, że w jego żyłach płynie bardzo duży procent krwi przodków. Pomyślał, że jeśli Shayalr Nargra-Kolmayr zginęła na tej krwawej polanie,

to wróg nie znajdzie dostatecznie głębokiej nory by się przed nim ukryć.

„Uważaj na własne myśli, Balkar!” – skarcił się w duchu. – „Nie jesteś przecież jakimś nomadem z Shurkhal, prowadzącym klanową vendettę. Jesteś oficerem armii Imperium i odpowiadasz nie tylko przed Zarządem, ale także przed Jego Cesarską Mością. Twoi przełożeni nie potrzebują gorącogłowego, wymykającego się spod kontroli oficera, który beztrąsko rozpęta sobie wojnę z inną transwszechświatową cywilizacją, gdzieś na krańcach multiwersum.”

Rozumiał to wszystko doskonale, lecz nie zmieniało to targających nim emocji. Nie wpływało też napulsującą w nim żądzą ukarania człowieka odpowiedzialnego za „ten mord. Uczciwie przyznał się przed sobą, że wolałby własnoręcznie udusić drania, lecz postanowił, że zadowolony go jeśli to przełożeni obcego mordercy powieszają go jak psa – tak, jak na to zasługiwał. Balkar chan Tesh był pewien, że właśnie tego będzie się domagać Sharona, kiedy obie strony nawiążą już wreszcie dyplomatyczne relacje.

–Martwi mnie jedno – powiedział, kiedy przy ognisku zapadła cisza. – Zastanawiam się, jak daleko lub jak blisko są ich posiłki. Nie mamy pojęcia jak bardzo oddalony od ich portalu jest ten obóz na bagnach. Nie wiemy, jak długi łańcuch tranzytowy muszą pokonać.

–Myślisz, że to nie jest ich rodzimy wszechświat? – zapytał Kinlafia wskazując głową w kierunku portalu na bagnach.

–To możliwe – odparł chan Tesh – ale według mnie bardzo mało prawdopodobne. To obóz rozpoznawczy, Głosie Kinlafia. Oni...

–Proszę, kapitanie – przerwał Kinlafia ze zbolalym, lecz szczerym uśmiechem. – Nie jestem wielbicielem tytułów. Poza tym jestem cywilem i formalnie nie podlegam pod pańskie dowództwo. Zdaję sobie też sprawę, jak mało potrafię, kiedy idzie o kwestie wojskowe. Wydaje mi się, że to trochę śmieszne, by zwracał się pan do mnie tak uroczyście. Mam na imię Darcel...

–Oczywiście... Darcel – odpowiedział chan Test. – Ja mam na imię Balkar.

Uśmiechnął się do Kinlafii i podjął urwany wątek.

–Jak już mówiłem, Darcel, to jest bardzo mały, prosto urządzone obóz. Sypiają w namiotach, co oznacza, że przybyli tam bardzo niedawno. Gdyby to był ich rdzenny wszechświat, to już od długiego czasu wyglądałby inaczej. Z tego, co mówił kapitan Arthag wynika też, że ten portal nie jest specjalnie stary, tylko powstał najwyżej kilka lat temu, więc...

Wzruszył ramionami. Kinlafia skinął powoli głową.

–W zasadzie sam jestem podobnego zdania – przyznał.

–A zatem stajemy przed problemem, o którym wspomniałem – ciągnął chan Tesh. – Nie wiemy, jak blisko mają do kolejnego węzła w swoim łańcuchu tranzytowym. Nie wiemy też, jak szybko są w stanie przesłać do dowództwa wiadomość o tym, co się tutaj stało. Nie mamy najmniejszego pojęcia, czy ich posiłki nie są już w drodze tak, jak my ruszyliśmy zaraz po odebraniu przekazu Shaylar Nargry-Kolmayr.

–To chyba zależy od tego, czy był z nimi Głos – podsunął Kinlafia, ale chan Tesh potrząsnął głową.

–Pytanie jest jeszcze bardziej złożone, Darcel.

Kinflafia rzucił na oficera pytające spojrzenie. Chan Tesh wzruszył ramionami.

–Nie wiemy, czy oni w ogóle mają telepatów – wyjaśnił.

–Oczywiście, że mają. Muszą mieć! – powiedział Kinlafia, lecz chan Tesh ponownie pokręcił głową.

–Sam powiedziałaś, że ludzie zwykle działają w oparciu o doświadczenie. Nasze doświadczenie mówi tylko o tym, że wśród nas zdarzają się Utalentowani ludzie. Ale co mówi nasze doświadczenie o obcych?

–No... – Kinlafia umilkł i skrzywił się. – No tak. Rozumiem. Nie wiem, jak mogliby sobie radzić, ale powinniśmy chyba założyć, że mogą nie korzystać z Talentów. Tylko czy możemy podjąć takie ryzyko?

–Oczywiście, że nie – chan Tesh gwałtownie pokręcił głową. – Ja też skłaniam się ku opinii, że korzystają z Głosów. Swoją drogą cieszyłbym się, gdyby się okazało, że jestem w błędzie. O wiele bardziej niż gdyby sprawa miała się odwrotnie. W każdym razie najbardziej martwi mnie to, jak szybko są w stanie zareagować. A druga rzecz to to, że my nie wiemy o nich nic, a oni nic nie wiedzą o nas.

Kinflafia zrobił zdziwioną minę. Chan Tesh parsknął. Jego głos był zbyt surowy, by nazwać go śmiechem.

–Wiemy o nich jedynie to, że natknęli się na naszą grupę badającą dziewiczy wszechświat i zabili lub pojмали wszystkich jej członków. – Kinlafia skrzywił się, lecz chan Tesh ciągnął spokojnie dalej. – Obcy wiedzą o nas mniej więcej tyle samo. Postawię ostatnią parę butów, że zastanawiają się teraz, czy naszym udało się przesłać do nas wiadomość. Obie strony działają po omacku i tego właśnie najbardziej się obawiam. Kiedy nie wiadomo co się dzieje ludzie zakładają zwykle najgorsze. I tak też działają.

–Zgadzam się, kapitanie – wtrącił Hulmok Arthag. – Na pewno są diabelnie zdenerwowani, o ile nie przerażeni. Nasi dali im porządny wycisk. Wszystkie ślady jasno wskazują, że mieli wielu rannych. Trzeba było zobaczyć te bandaże w obozie, który dziś znaleźliśmy! Na pewno zastanawiają się co ich teraz czeka i czy będzie dużo gorsze. To, że się okopali wskazuje, że starają się nas powstrzymać za wszelką cenę. Z pewnością będą najpierw strzelać, a potem zadawać pytania. Tak jak ostatnio – dodał gorzko.

–Dokładnie tak – przytaknął chan Tesh – i bądźmy uczciwi – my wszyscy jesteśmy w podobnych nastrojach – oficer rozejrzał się po twarzach siedzących przy ogniu mężczyzn. – Żaden z nas nie chce chyba niepotrzebnego ryzyka. I powiem więcej. Nie rozplacę się, jeśli te dranie dadzą nam powód do strzelania. Nie po tym, co zrobili naszym ludziom. To zresztą też mnie martwi.

Kinlafia nie odezwał się ani słowem, lecz jego zaciśnięte nagle zęby stanowiły wyraźną wskazówkę co do myśli, które kłębiły mu się w głowie.

Kapitan obrzucił go dłuższym niż zazwyczaj spojrzeniem, po czym pochylił się nieznacznie do przodu.

–Wiem, że chcesz się zemścić, Darcel – powiedział cicho. Ja chcę tego samego, ale zarazem, jak już powiedziałem, nie chcę podejmować zbędnego ryzyka. Gdybyśmy natomiast przeszli przez portal i zaczęli od razu strzelać utrudnilibyśmy wszelkie przyszłe próby kontaktu z obcymi. Poza tym – widząc błysk sprzeciwu w oczach Kinlafii oficer podniósł lekko głos – jeżeli przeżył ktokolwiek z naszych, to taki atak okazałby się prawdopodobnie najlepszą metodą na skrócenie jego życia.

Kinlafia drgnął gwałtownie. Chan Tesh spojrzał na Arthaga.

–Jesteśmy tu przede wszystkim po to, żeby sprowadzić z powrotem jeńców. Całych i zdrowych. Bez narażania ich na dodatkowe krzywdy. Jeśli okaże się, że nie przeżył nikt – ciągnął bez wahania – to wtedy naszym najważniejszym zadaniem stanie się nawiązanie kontaktu. W miarę możliwości bez wywoływania dalszego rozlewu krwi. Powinniśmy też zażądać od nich, by ludzie odpowiedzialni za masakrę na polanie zostali odpowiednio ukarani. Nie będę szastać niczym życiem i wolałbym widzieć skurwysyna, który wymordował naszych na szubienicy, niż oglądać początek otwartej wojny z obcymi.

Kinlafia popatrzył na niego dłuższą chwilę w milczeniu, po czym pokręcił głową.

–Rozumiem, co do nas mówisz. Rozum podpowiada mi nawet, że powinienem się z tobą zgodzić. Ale serce? – znów potrząsnął głową. – Bez względu na to, co mówi głowa, serce ma nadzieję, że te dranie zrobią coś, cokolwiek, co dałoby nam wymówkę pozwalającą wystrzelać ich co do jednego.

Wstał i spojrzął z góry na chan Tesha i Arthaga. Nie patrzył na nich buńczucznie, ale z pewnością we wzroku Darcela widać było sprzeciw. Chan Tesh rozumiał go doskonale.

–Prześpię się trochę – powiedział cywil po chwili. – Dobranoc.

Pożegnał się uprzejmie, a nawet delikatnie, lecz za zasłoną uprzejmości Balkar chan Tesh wyczuł głębokie pokłady wrzącej w Darcelu nienawiści. Patrzył za znikającym w mroku telepatą i pomyślał, że wolałby nie dzielić jego uczuć.

* * *

–Panie kapitanie!

Chan Tesh zobaczył jednego z żołnierzy Arthaga galopującego w kierunku kolumny i ściągnął wodze. Kawalerzysta zwracał się do swojego dowódcy, a nie do chan Tesha. Dokładnie tak, jak nakazywał regulamin.

–Co tam? Wirtha? – zapytał Arthag, kiedy żołnierz zasalutował.

–Znaleźliśmy coś jeszcze. Chyba to zgubili – powiedział Wirtha i Arthag zmrużył oczy. Spojrzął na Parcanthiego i Hilovara.

–Powinniście się temu przyjrzeć – rzucił nie konsultując się z chan Teshem. Kiedy Nos i Tropiciel odjechali w ślad za Wirtha chan Tesh pomyślał, że lepszego zachowania nie mógł oczekiwać od żadnego ze swych podkomendnych.

Oficerowie w towarzystwie Kinlafii po chwili popędzili swe konie w ślad za obu Utalentowanymi. Chan Tesh wolałby nie mieć ze sobą Darcela. Zrobił już jednak co mógł. Sugerował taktownie, że Głos powinien powrócić do fortu kapitana Halifu. Uzasadniał to tym, że w razie, gdyby wydarzyło się coś złego – jakieś kolejne nieszczęście – powinni dysponować Głosem, który będzie w stanie przekazać wiadomości wzdłuż łańcucha tranzytowego.

Niestety, Kinlafia nie chciał tych argumentów nawet słuchać. W odróżnieniu od Rokama Traygana, Głos nie podlegał pod bezpośrednie dowództwo chan Tesha. Wkrótce oficer zrozumiał, że jedynym sposobem na odesłanie Darcela na tyły byłoby odeskortowanie go pod strażą, na co nie potrafił się jednak zdobyć. Zbyt dobrze rozumiał co działo się w duszy telepaty. Do fortu powrócił więc Traygan, a Kinlafia pozostał z wojskiem. Czekał wraz z nimi na kolejny cios, na informację, która potwierdziłaby ostatecznie, że Shaylar Nagra-Kolmayr nie żyje. Czekał i czuł wzbierający w sobie niezgłębiony żal i rozpaloną do białości wściekłość. Kłębiły się w jego sercu niczym burzowa chmura.

Podobne uczucia stały się udziałem wszystkich i chan Tesh nie potrafił temu

zaradzić. Nawet, gdyby zmienił decyzję i przemocą zmusił cywila do powrotu na tyły byłoby już i tak za późno. Traygan znajdował się już w pół drogi do fortu, więc Kinlafia został z nimi jako jedyny Głos.

Oficer przestał więc zastanawiać się nad tym, na co nie miał wpływu i skupił myśli na odkryciu Wirthy. Nie zaskoczyło go, gdy zwiadowcy doprowadzili ich do porzuconych przez wycofujących się obcych przedmiotów. Jeśli przeciwnicy używali Talentów, to wyraźnie nie martwiło ich to, co dowolny Nos lub Tropiciel mógł wyczytać z pozostawionych fragmentów ekwipunku. Z drugiej jednak strony, biorąc pod uwagę liczbę rannych, których musieli transportować, byli po prostu zmuszeni, by pozbyć się choć części wyposażenia.

Odnalezienie ich było jeszcze jednym świadectwem profesjonalizmu ludzi Arthaga. Cały czas przeszukiwali okolicę z taką samą starannością, jak wtedy, gdy śledzili obcych na szlaku do portalu.

Trójka jeźdźców dotarła na miejsce dokładnie w chwili, kiedy Hilovar i Parcanthi zsiadli z koni i podeszli do znalezionej przez zwiadowcę przedmiotu. Jak zwykle, gdy pracowali razem, Hilovar zatrzymał się i pozwolił Parcanthiemu zbadać pozostałości energii w pierwszej kolejności. Nos przyklęknął nad znaleziskiem.

–Upuścił to żołnierz – powiedział po chwili. – Nie oficer. Raczej zwykły żołnierz, choć tego nie jestem do końca pewny. Był ranny, ledwo szedł. Dokoła niego Widzę innych rannych. Idą utykając. Klną. Tak to przynajmniej brzmi. Prowadzą na tych swoich dziwnych noszach wielu innych rannych – skrzywił się. – Nadal nie Widzę, co te ich przeklęte nosze unosi – syknął niezadowolony i otworzył oczy.

–To samo, co zwykle, kapitanie – powiedział podnosząc się z klęczek i spoglądając na Arthaga. – Idą wolno, lecz równym tempem. Kiedy porzucono ten przedmiot było już niemal zupełnie ciemno – czubkiem buta wskazał znalezisko, ale uważał by go nie dotknąć. Spojrzał na partnera.

–Twoja kolej, Soral.

Hilovar skinął głową i przyklęknął w miejscu zwolnionym przez Parcanthiego. Przyjrzał się przedmiotowi i zmarszczył brwi.

–Co to jest, do diabła? – mruknął pod nosem.

Rzecz, na którą patrzył była niewielka i kwadratowa. Wykonano ją z czegoś, co przypominało rozmyślnie zanieczyszczone szkło. Widniały na nim obce znaki, których przeznaczenia, żaden z nich nie próbował się nawet domyślać. Hilovar przyglądał się znalezisku jeszcze przez moment, po czym wzruszył ramionami i wziął dziwny przedmiot do ręki...

...krzyknął gwałtownie i natychmiast upuścił znalezisko w trawę.

–Co się stało? – zapytał chan Tesh ostro, widząc jak Tropiciel macha dłonią, jakby łagodząc skutki oparzenia.

–Przepraszam, kapitanie – Hilovar spojrział zawstydzonym wzrokiem. – To z zaskoczenia. To takie... nienaturalne.

–Znów to pieprzone słowo – mruknął ponuro Arthag.

–Przepraszam – powtórzył Hilovar i spojrział w oczy niezadowolonego Arpathianina. – Chodzi o to, że ten przedmiot wywołuje dokładnie to samo wrażenie, co tamte przeklęte popioły. Tyle, że jeszcze mocniejsze. O wiele wyraźniejsze. Jakby stężony kwas. Miałem wrażenie, jakby mnie użądlił naraz cały rój os.

Chan Tesh skrzywił się na to porównanie i westchnął.

–Zrób tyle, ile możesz, zbrojny. Potrzebujemy wszelkich informacji, jakie tylko uda się z tej rzeczy wydobyć.

Hilovar skinął głową, zacisnął zęby i ponownie wziął znalezisko do ręki. Wszyscy widzieli wyraźnie, że sam dotyk obcego przedmiotu sprawia mu ból, lecz wytrwał i nie upuścił go po raz drugi.

–Jest ranny w ramię – powiedział Tropiciel po chwili tonem, w którym brzmiało zadowolenie. – Krwawi pod opatrunkiem i boli go, jak jasna cholera. Potyka się co chwila. Żałuje, że nie pozwolono mu podróżować na noszach. Ciągle na nic patrzy.

Nagle Hilovar wyprostował się jak struna.

–Bogowie! Z nimi jest kobieta!

–Shaylar? – imię wydarło się z piersi Darcela niczym jęk bólu, wybijając Hilovara z transu. Tropiciel spojrział Kinlalii w oczy.

–Nie – powiedział łagodnie i zobaczył jak oblicze Głosu ponownie pokrywa maska nienawiści. – Przykro mi, Darcel. Ta tutaj wygląda na Uromathiankę – drobniutka i śliczna jak obrazek. Idzie obok noszy. Widziałem ją tylko przez chwilę. Wydaje mi się, że człowiek, który to upuścił – podniósł niezwykły przedmiot ku górze – chciał, żeby ona mu pomogła.

–Czyli jest Uzdrawicielką? – zastanowił się Arthag.

–Na to wygląda – zgodził się chan Tesh i uniósł brew patrząc na Hilovara. – Coś jeszcze?

–Nie, kapitanie. To wszystko – odpowiedział wyraźnie niezadowolony z siebie Tropiciel. – Czuję jedynie, że żołnierz idzie. Bardzo powoli. I bardzo go boli.

–Świetnie – warknął Kinlafia. Arthag pochylił się w siodle i bez słowa położył mu dłoń na ramieniu.

–Znaleźliście tu coś jeszcze? – spytał chan Tesh. Wirtha pokręcił w odpowiedzi głową.

–Nie, kapitanie. Sprawdziliśmy bardzo dokładnie. Jeszcze zanim zgłosiłem znalezisko.

–Czy mógłbym się temu przyjrzeć, Sorai?

Hilovar wszedł pomiędzy konia chan Tesha i wspaniałego wierzchowca Arthaga. Wyciągnął rękę i pozwolił obu oficerom przyjrzeć się dziwnemu przedmiotowi. Żaden z nich nie odważył się go uchwycić. Nie chcieli zostawić na nim śladów własnej energii.

–Podobne dokładnie do niczego – mruknął Arthag. Chan Tesh zmarszczył brwi.

–Wygląda na szklane, ale to chyba jednak nie jest szkło, prawda?

–Z tego samego zrobione były te ich cholerne działa – wtrącił ochryplym głosem Darcel. Hilovar pokręcił głową.

–A to ciekawe – powiedział zamyślonym głosem chan Tesh. Spojrzał na Kinlafię i znów na Tropicieła. – Ciężkie, prawda?

–Tak, kapitanie. Musi być bardzo gęste – dodał Hilovar. – Zdziwiająco ciężkie w stosunku do swoich rozmiarów.

–Tu na bokach to przyciski?

–Tak. Wydaje się, że tak – przytaknął Hilovar.

–Niech mnie cholera, jeśli choć tknę którykolwiek – prychnął chan Tesh.

–Jeśli nie ma pan nic przeciwko, kapitanie, to włożę to do torby z resztą znalezisk. Boli mnie sam dotyk. Nie wiem, z czego to jest, ani co znajduje się wewnątrz, ale wrażenie jest to samo. Nienaturalne – dodał patrząc w ponure oczy Arthaga. – Poza tym, mi też się nie pali do naciskania tych guzików, kapitanie. Ten przedmiot jest bardzo dziwny.

–W porządku – chan Tesh skinął głową. – Schowaj to. Tylko bardzo ostrożnie.

Hilovar wyciągnął ze swoich juków niewielki, płócienny worek i wsunął doń ciężki, kwadratowy przedmiot. Potem wsadził mniejszy woreczek do dużego, przytroczonego do siodła, w którym znajdowały się znalezione już wcześniej na szlaku, porzucone przez obcych przedmioty.

–No dobra – powiedział chan Tesh. – Zbliżamy się już chyba do tego ich nocnego obozowiska, prawda?

–Tak jest, kapitanie – potaknął Wirtha. – Jeszcze jakieś dziesięć, piętnaście minut drogi. Tam dokoła ognisk zostawili jeszcze więcej. Przede wszystkim małe, osobiste drobiazgi, podarte mundury i tym podobne. Jest też sporo brudnych opatrunków – dodał z satysfakcją.

–W takim razie ruszajmy – skwitował chan Tesh.

* * *

–To tutaj, kapitanie – poinformował Wirtha niedługi czas potem i oficer ściągnął wodze. Przed nim, na polanie ciągnącej się wzdłuż brzegów tego samego strumienia, który płynął też obok obozowiska wymordowanego zespołu badawczego, widniały ślady sześciu wielkich ognisk i kilkunastu mniejszych. Nawet z tego miejsca widział porzucony ekwipunek i śmieci. W tym uwalane krwią i ziemią bandaże i szmaty.

–Czy ktokolwiek tam wchodził? – zapytał.

–Nie, kapitanie – odparł Wirtha. – Ominęliśmy to wcześniej.

Chan Tesh rzucił okiem na Arthaga. Jeździec wzruszył lekko ramionami.

–Nolis i Soral mieli pełne ręce roboty z tym, co znaleźliśmy na polanie i w obozie zespołu Chalgyn, kapitanie. Zostawiłem ich więc i pojechaliśmy naprzód. Jeszcze zanim znaleźliśmy ten obóz wiedziałem, że ślad jest jeszcze ciepły i nacisnęliśmy. Miałem nadzieję, że uda się ich dogonić. Przeszli jednak przez swój portal kilka godzin przed nami. Zanim Nolis i Soral skończyli i mogli za nami ruszyć otrzymałem rozkazy, żeby się zatrzymać i poczekać na wasze przybycie. Wysłałem więc do nich gońca i wycofaliśmy się, a kiedy znów się z nimi spotkałem wy byliście już tylko kilka godzin od nas.

–Rozumiem – blade uśmiechnął się chan Tesh – to zupełnie jak w tym starym powiedzeniu o pożarze i burdelu.

–Niestety jakoś tak – przytaknął Arthag.

–No cóż, niczyja wina – westchnął chan Tesh i spojrzał na Parcanthiego i Hilovara. – Do roboty – zakomenderował.

Obaj podoficerowie zasalutowali, zsiadli z koni i ruszyli nad strumień. Hilovar, jak zwykle, zczekał, aż Parcanthi wejdzie na teren opuszczonego obozu i zbada po kolei każde palenisko. Zajęło mu to prawie dwadzieścia minut, ale kiedy wrócił do oficerów jego oczy błyszczały z ekscytacji.

–Znalazłem kilka konkretnych Śladów, kapitanie! – powiedział chan Testowi. – Trochę dalej wzdłuż strumienia jest takie miejsce – wskazał ręką – gdzie w nocy coś przybyło.

–Jak to coś? – zapytał kapitan. – Jakie coś?

–Bogowie jedyni raczą wiedzieć – odparł bezpretensjonalnie Parcanthi. – Coś wielkiego i ciemnego. Widziałem światła ognisk odbijające się od czegoś, co wyglądało jak... skóra. Jeśli to rzeczywiście była skóra, to było to bardzo wielkie zwierzę, kapitanie. Naprawdę wielkie. Niczego takiego nigdy wcześniej nie oglądałem. Ale było za ciemno i nie byłem w stanie dostrzec żadnych szczegółów. Obcy załadowali na to nosze.

–Czyli mieli jakiś transport – mruknął Arthag – i w ten sposób udało im się nam zwać. Chan Tesh spojrzał na niego pytająco. Oficer skrzywił się brzydko.

–Wiedzieliśmy, że od tego miejsca poruszali się już szybciej. Nie zauważyliśmy, żeby rannych idących o własnych siłach było jakoś szczególnie mniej, ale szli za to dużo sprawniej.

–Parcanthi? Czy oni na to, cokolwiek to było, załadowali wszystkie nosze? – zapytał Nosa chan Tesh.

–Nie, kapitanie. Wydaje mi się, że załadowali jakiś tuzin, albo coś koło tego. Myślę, że zabrali tylko tych w najpoważniejszym stanie. To coś było bardzo wielkie, ale najwyraźniej nie mogli zabrać się z wszystkimi. Widziałem tylko coś ciemnego i dużego poruszającego się w dół strumienia. Potem Ślad się urywa.

–W dół strumienia – mruknął Arthag i zmarszczył brwi. Chan Tesh spojrzał na niego z zainteresowaniem.

–Coś cię zastanawia? – zauważył oficer. – O co chodzi?

–Tylko to, że coś tak wielkiego, jak mówi Nolis, powinno zostawić za sobą jakieś tropy. Po drugiej stronie strumienia teren wygląda mniej więcej tak samo jak tu. Poza tym krzewy rosnące nad wodą są niesłychanie gęste. Cokolwiek większego od kota powinno być zostawić po sobie wyraźny ślad, a jednak niczego tam nie znaleźliśmy. To znaczy nie widzieliśmy żadnych śladów poza odciskami stóp ludzi, których śledziliśmy od dawna.

–Może to coś poruszało się wzdłuż koryta? Może chcieli zmylić pościg? – zastanowił się chan Tesh.

–To możliwe, kapitanie. Nie widzę jednak powodu, by tak musieli robić. Skoro piechurzy nadal szli prosto na południe to i tak mamy pewność, że ich cel leży właśnie tam. I nie wiem też, po co ten ich transporter miałby udawać się w zupełnie inną stronę?

Zgadzam się. To nie miałoby większego sensu – zgodził się chan Tesh – tyle, że dokądś to musiało się udać. Parcanthi Widział tę rzecz. Na pewno więc tu była. No, chyba, że sugerujesz, że odlecieli. W każdym innym wypadku ślady muszą się gdzieś znaleźć. Z drugiej strony słyszałem wiele dobrego o twoich ludziach i wiem, że czegoś tych rozmiarów nie przeoczyliby na pewno.

–Ja nie... – zaczął Arthag, ale przerwał mu nieco poirytowany Parcanthi.

–Proszę o wybaczenie, kapitanie, ale nie skończyłem jeszcze swojego raportu.

Obaj oficerowie zwrócili się na powrót ku niemu. Machnął ręką w stronę, którą wskazywał już wcześniej.

–Jak już mówiłem było już ciemno, ale wydaje mi się, podkreślam, wydaje mi się, że Widziałem pomiędzy nimi jednego z naszych.

Arthag, chan Tesh i Kinlafia drgnęli gwałtownie w siodłach i zmrużyli oczy.

–Widziałem plecy – ciągnął Parcanthi – człowieka, który wspinał się na to coś. Nie widziałem twarzy i nawet włosom nie mogłem się dobrze przyjrzeć, bo ten ktoś miał na głowie skórzany kapelusz, czy może hełm. Wszystko rozgrywało się już z dala od świateł ognisk, ale jestem pewien, że ta osoba nie była umundurowana.

Zapadła cisza. Słysząc tylko świszczący oddech Kinlafii.

–Czy ten ktoś, kogo Widziałeś mógł być kobietą? – zapytał cicho Arthag. – Na przykład tą, o której mówiłeś, że przypomina Uromathiankę? Czy ona miała na sobie mundur, kiedy Zobaczyłeś ją wcześniej?

–Nie – odezwał się Parcanthi uprzedzając Hilovara. – Nie miała na sobie munduru. Ale ten ktoś tutaj to nie ona. Ją widziałem wyraźnie na brzegu. Raczej się nie mylę. O ile Soral opisał ją dokładnie, to tamta stała i patrzyła na załadunek. Wyglądało to trochę tak, jakby czekała na swoją kolej.

–Jak... jak wysoka była ta osoba, którą Widziałeś? – zapytał nagłym szeptem Kinlafia.

–Niska. Bardzo niska. Może tego wzrostu – odpowiedział Parcanthi pokazując ręką.

–Bogowie! – głos Darcela był ledwie słyszalny. Grdyka drgała mu nerwowo. Opuścił głowę i zacisnął mocno oczy. Wszyscy spojrzeli w jego stronę.

–Darcel? – odezwał się po chwili Arthag równie cicho i gdy zobaczył oblicze telepaty, otworzył szeroko oczy.

–To ona. To Shaylar! – wychrypiał Kinlafia. – To nie może być nikt inny! Poza nią w naszym zespole nie było tak niskich osób.

–Ktokolwiek to nie był nie widziałem zbyt dobrze – przypomniał Parcanthi. – Było ciemno jak w piekle, a i ta rzecz, na którą się wspinali była ciemna. Słaby kontrast. Widziałem w zasadzie jedynie ciemne kontury na tle ciemnej skóry, czy czymkolwiek to było. Mamy tylko pewność, że była z nimi niska, delikatnie zbudowana osoba w cywilnym ubraniu. Niczego więcej nie widziałem. Nie wiem nawet, czy był to strój z Sharony. Poza tym – dodał tonem kogoś, kto rozpaczliwie starał się nie zawieść nadziei, która rozgorzała w oczach Kinlafii – wiemy już, że mieli ze sobą jedną kobietę. Mogli więc równie dobrze podróżować z dwiema.

Wszyscy spojrzeli teraz na Hilovara. Tropiciel odchrząknął.

–Wiedziałbym, gdybym dostał do ręki coś, co trzymała Shaylar – powiedział. – Tymczasem, Darcel to nadal tylko „jeśli”. Bardzo niepewne „jeśli”.

–Wiem – w głosie Kinlafii słychać było piach i kamienie – ale teraz przynajmniej mam chociaż cień nadziei. To dużo więcej niż miałem od chwili, kiedy utraciliśmy kontakt.

–Zgoda – powiedział chan Tesh równie ciężkim głosem. – Tylko, jeśli to była Shaylar, żywa i przytomna, to dlaczego nie skontaktowała się z tobą, Darcel? Musi zdawać sobie sprawę, że czekasz i że jesteś w jej zasięgu. Przecież na pewno sam bezustannie starałeś się nawiązać połączenie od kiedy tylko znalazłeś się po tej stronie portalu.

Kinlafia spojrział mu w oczy i odchrząknął.

–Uderzyła głową w drzewo, pamiętasz? Uderzenie było tak silne, że straciła przytomność. Sorai mówił, że coś poważnego stało się jej w głowę. Bardzo poważnego. Uderzenie mogło spowodować Niemootę.

–Ale czy gdyby była rzeczywiście tak poważnie ranna, to czy wspinałaby się o własnych siłach na to co Widział Parcanthi? – zapytał chan Tesh.

–Nie wiem – bardziej jęknął niż powiedział Kinlafia i zazgrzytał zębami. – Matko Martheo, te potwory są zdolne do wszystkiego! Jeśli są w stanie zmusić ranną

dziewczyne do chodzenia, do wspinania się pomimo takich ran, to co jeszcze mogą zrobić? Może nawet...

–Przestań! – krzyknął ostro chan Tesh i szarpnął Kinlafię mocno. Spojrzał mu w oczy.

–To nie ma sensu – syknął już nieco gwałtowniej dowódca. – Zamezczasz się przypuszczeniami, na które nie masz najmniejszych podstaw. Niezbyt wiele wiemy o ludziach, którzy nas napadli, Głosie Kinlafia, ale jedno jest pewne: jeśli mają w swoich rękach jakichkolwiek żywych Sharonian, to będą chcieli zachować ich w jak najlepszym zdrowiu.

–Masz rację – przyznał szeptem Kinlafia. W jego głosie znać było niepokój, lecz po chwili odetchnął głębiej i skinął jeszcze raz głową. – Masz rację – powtórzył. – Przepraszam. Tracę po prostu głowę. Martwię się i zastanawiam bez przerwy. I czuję się tak cholernie bezradny...

–Rozumiem – zapewnił go chan Tesh – ale żaden z nas nie powinien pozwalać, by gniew przesłaniał mu rozsądek.

–Tak jest, kapitanie – powiedział cicho Darcel. – Będę o tym pamiętać. Ostatnią rzeczą jakiej chcę w tym wszechświecie – we wszystkich wszechświatach – jest zagrożenie życiu naszych pobratymców. Tych tu – wskazał ruchem brody kolumnę jeźdźców – i tamtych, którzy mogli ocaleć z polany.

–To dobrze – skomentował cicho chan Tesh, klepnął cywila po ramieniu i odwrócił się do pozostałych dwóch Utalentowanych. – Soral, czas chyba na ciebie. Zobaczmy, co uda ci się wyczytać.

* * *

Pół godziny później Nos i Tropiciele złożyli pełen raport. Udało im się dowiedzieć wielu nowych szczegółów dotyczących ludzi, którzy obozowali w nocy nad strumieniem. Niestety, niewiele z tych informacji można było nazwać dobrymi.

–Więc czego się tak naprawdę dowiedzieliśmy? – zapytał chan Tesh rozglądając się po twarzach otaczających go mężczyzn. Do niego i Arthaga dołączyli podoficerowie z piechoty morskiej, którzy dowodzili dwoma plutonami przyprowadzonymi przez siebie. Mimo, że nie byli oficerami kapitan postanowił zasięgnąć i ich opinii. Obecni byli także Hilovar z Parcanthim. Nie mogło też oczywiście zabraknąć Darcela Kinlafii.

–Wiemy, że ich ranni byli w gorszym stanie niż początkowo przypuszczaliśmy, kapitanie – odezwał się Arthag. – Wiemy, że odesłali około dziesięciu, może dwunastu swoich na pokładzie tego diabelstwa, które Widział Nolis przy strumieniu. Wiemy też, że było to cholernie wielkie.

Przez twarz Arpathianina przebiegł nieprzyjemny grymas. Jego zwiadowcy, przy pomocy Nosa, odnaleźli wreszcie kilka odcisków w wilgotnym piachu i żwirze pomiędzy głazami. Zwierzę, które je pozostawiło, było rzeczywiście niesłychanie duże. Takich śladów Hulmok Arthag nie widział w całym swym życiu. Nie widział ani nie wyobrażał sobie czegoś o takich rozmiarach. Zwierzę musiało stać w korycie strumienia, co wyjaśniało skąpą ilość tropów, ale i te fragmentaryczne odciski, na które natrafili dawały powody do obaw. Bestia miała długie palce, uzbrojone w potężne pazury, a jej stopa była niemal tak długa, jak Arthag był wysoki. O największy ból głowy przyprawiał go fakt, że nie znaleźli ani jednego śladu prowadzącego bezpośrednio w kierunku obozu... ani w przeciwną stronę. Wyglądało to tak, jakby ogromne stworzenie zmaterializowało się w miejscu, chwilę powstało, a potem rozplynęło się w powietrzu.

–Myślę też, że Nolis ma rację. Zabierali stąd najciężej rannych – zauważył chan Tesh. – To zresztą sensowne posunięcie. Odesłali też kobietę, która była z nimi i co najmniej jednego cywila. Oboje byli na tyle zdrowi by poruszać się o własnych siłach. Według mnie zatem, ewakuowali najcenniejsze osoby oraz te w najpoważniejszym stanie. To by znaczyło, że jeśli ocalał ktokolwiek z naszych zabrali go ze sobą.

Czyli tak naprawdę wzbogaciliśmy się jedynie o kolejne zagadki – wtrącił oschle Kinlafia.

–W takich sytuacjach, Głosie Kinlafia, liczą się nawet najdrobniejsze informacje – zauważył surowo chan Tesh. Obaj mężczyźni zmierzli się spojrzeniami.

–Wiemy, gdzie jest ich baza, Darcel – ciągnął oficer – i mamy ją pod stałą obserwacją do momentu, kiedy tam dotrzemy i będziemy mogli podjąć dalsze działania. Tymczasem wszystko, co uda nam się ustalić, każda najmniejsza poszlaka, może okazać się tą najważniejszą, tą, której nam brakuje, by wiedzieć, jak powinniśmy postąpić, gdy już staniemy z nimi twarzą w twarz.

W oczach Kinlafii przez moment widać było chęć sprzeciwu. Potem jednak odetchnął głębiej i skinął z niezadowoleniem głową. Mimo wszystko skapitulował. Chan Tesh poczuł ulgę.

–Wobec powyższego – powiedział z naciskiem – zakładam, że jest z nimi co najmniej jeden sharoniański jeniec. Mogę się mylić, ale pewne jest, że poza własnymi rannymi żołnierzami kogoś jednak stąd ewakuowali. Wiemy też gdzie znajduje się ich portal wejściowy i całkiem nieźle znamy rozkład umocnień, za którymi się skryli. Wydaje mi się, że to wystarczające podstawy by do nich ruszyć.

W oczach Kinlafii rozgorzały gwałtowne iskierki. Chan Tesh także i w sobie poczuł gorący płomyk. Ciągnął jednak niezmiennym, konsekwentnym i zdecydowanym tonem.

–Biorąc pod uwagę wzrost cywila, którego Widział Parcanthi zakładam też, że Głos Nargra-Kolmayr może nadal pozostawać przy życiu. Jeśli to prawda, to uwolnienie jej stanowi nasz cel numer jeden. Celem numer dwa z kolei jest podjęcie próby opanowania całej tej sytuacji, zanim zupełnie wymknie się ona spod kontroli. Osobiście wolałbym, żeby te zadania wyglądały inaczej, ale nie stoję na czele ekspedycji karnej. Nie mamy tu do czynienia z piratami, ani bandytami z pogranicza. Z takim przeciwnikiem jak teraz nie mieliśmy do czynienia nigdy wcześniej. Wiemy, że są to przedstawiciele innej transwszechświatowej cywilizacji. O ile więc nie zaczną pierwsi i o ile nie będziemy mieć przekonujących dowodów, że nie wydadzą nam jeńców bez walki, nie chcę żadnej strzelaniny.

Skończywszy mówić kapitan wyczuł w powietrzu niemal namacalne rozczarowanie Kinlafii. Obaj dowódcy piechoty morskiej wydawali się równie niezadowoleni, choć dyscyplina nie pozwalała im tego okazać wprost. Chan Tesh uśmiechnął się słabo.

–Nie chcę rozpętywać żadnej strzelaniny – poprawił się ale jeśli oni zaczną – jeśli zaczną po raz drugi – to dopilnuję, byśmy to my skończyli. Czy wyraziłem się dostatecznie jasno?

Zebrani przytaknęli jak jeden mąż.

–W takim razie, panowie, ruszajmy. Chcę zająć dogodną do... do rozmowy z obcymi pozycję przed zmierzchem.

Rozdział 18

Starszy miecznik Otwał Threbuch nie cierpiał smaku porażki.

Misji, które z powodzeniem wypełnił w ciągu swej długiej kariery w armii nie potrafił nawet zliczyć. Oszukiwał śmierć na niezliczone sposoby, odciągał spod nieprzyjacielskiego ognia dowódców, którzy trzymali się w jednym kawałku tylko dzięki bandażom i szwom, i zawsze – w ten czy inny sposób – udawało mu się wykonać rozkazy.

Teraz jednak, gdy leżał na wznak, wyciągnięty na konarze powalonego drzewa i wpatrywał się w onieśmielająco bliski dysk portalu na bagnach czuł gorzki posmak najdotkliwszej porażki w całym swym życiu. Tuż przed nosem miał widok jak z najgorszego koszmaru, a nie miał najmniejszej możliwości, by ostrzec przed tą grozą setnika Olderhana.

Zrobił dokładnie to, co rozkazał mu oficer. Ani on, ani Emiyet Borkaz, żołnierz z pierwszego plutonu, który towarzyszył mu na patrolu, nie znaleźli żadnego śladu obcego posłańca przez całą drogę z polany, na której rozegrała się bitwa aż do portalu wejściowego przeciwnika.

Kiedy wreszcie do niego dotarli okazało się, że był ogromny. Threbuch nigdy nie widział – ani nie wyobrażał sobie – tak potężnego portalu. Musiał ciągnąć się przez co najmniej trzydzieści mil.

Po jego drugiej stronie widzieli zalewany ulewnym deszczem las. Przeprosił wtedy w duchu magistra Halathyna i magister Kelbryan za swoje wątpliwości co do skuteczności ich nowej zabawki. Jeśli to nie był portal klasy ósmej, to mogła to być ewentualnie jedynie dziewiątka.

Rozmiar był jednym problemem. Drugim było to, że Threbuch nigdy nie musiał badać niczego tak wielkiego, mając do pomocy jedynie dwóch ludzi. Odnalezienie fortu obcych zajęło im o wiele więcej czasu, niż się spodziewali, a zmrok zmusił ich do rozbicia obozu. Noc minęła w chłodzie i ponurych nastrojach. Nie mogli rozpalić najmniejszego nawet ogniska.

Następnego dnia o mały włos nie wpadli wprost w ręce obcych. Natknęli się na oddział konnych zwiadowców. Threbuch i Borkaz przechodzili właśnie przez polanę wypaloną w lesie przez jakiś dawny pożar i mieli cholerne szczęście, że w porę zorientowali się w tym co działo się dokoła. W mgnieniu oka ukryli się w kępie jeżyn. Wtedy Threbuch miał wreszcie okazję z bliska przyjrzeć się jeźdźcom. To, co zobaczył nie podobało mu się ani trochę.

Konie mieli raczej mizerne. Nie wyglądały na zwierzęta w jakikolwiek sposób

magicznie ulepszone, choć z drugiej strony były zadbane i świetnie wyszkolone. Siedzący na nich jeźdźcy sprawiali za to o wiele bardziej niepokojące wrażenie. W przeciwieństwie do ludzi, z którymi walczyli na polanie ci tutaj byli na pewno żołnierzami. Nosili mundury. Ciemnoszare bluzy i zielone bryczesy, które wpuszczali w wysokie, kawaleryjskie buty. W tych barwach zaskakująco dobrze wtapiali się w leśne tło. Teraz nie tylko Otwał, ale i wszyscy pozostali mieli pewność, że oddział ludzi na polanie, z którymi walczyli andarańscy zwiadowcy – i który wycięli w pień – był zwykłą grupą cywilów.

Threbuch odsunął tę myśl od siebie i skupił się na bardziej bezpośrednich wyzwaniach. Zacisnął mocno zęby. Jeźdźców było trzech – najwyraźniej stanowili szpicę większego oddziału. Poruszali się ostrożnie, z wprawą zawodowych żołnierzy. Threbuch nie potrafił znaleźć ani jednego mankamentu w ich poczynaniach. Nie widział ich twarzy, ale z napięcia ramion i ogólnego wrażenia, jakie sprawiały ich sylwetki mógł bez trudu odczytać tętniące w ich żyłach wściekłość i determinację. Oba te uczucia – wyraźne w postawie obcych – rozwiewały wszelkie wątpliwości, jakie Otwał miał wcześniej, zastanawiając się czy wiedzieli o masakrze na polanie. Nadal nie miał pojęcia w jaki sposób otoczonym cywilom udało się przekazać tę informację, lecz jeśli ci kawalerzyści nie stanowili oddziału wysłanego w misji ratunkowej to on gotów był przyznać, że nigdy wcześniej nie uczestniczył w ani jednej misji ratunkowej.

Długą broń mieli taką samą, jak cywile, których zwiadowcy napotkali wcześniej, choć ci tutaj trzymali ją ukrytą w przytroczonych do sodeł futerałach. Wieźli też ze sobą te mniejsze, przytroczone do pasów wersje śmiercionośnych rur z kolbami i miecze – pierwsze miecze, jakie Threbuch oglądał u przeciwników. Właściwie nie były to miecze, tylko kawaleryjskie szable, lecz zastanawiające było to, że podobnie jak długą broń, wieźli je ukryte w pochwach przypiętych do sodeł i nie wyglądało na to, że byli w stanie zbyt szybko ich dobywać. Z drugiej strony Otwał zdał sobie sprawę, że nie było w tym nic dziwnego. Gdyby dysponował tak skuteczną bronią dystansową jak te ich rurki, sam sprzedałby swój miecz, a za zarobione pieniądze poszedłby na piwo.

Miecznik i Borkaz leżeli obok siebie i obserwowali przejeżdżających żołnierzy. Jeźdźcy omiatali okolicę czujnymi spojrzeniami. Bez wątpienia nie chcieli ryzykować żadnych niespodzianek. Widać też jednak było, że bardziej zainteresowani są tym dokąd zmierzają, niż tym gdzie znaleźli się obecnie. Jechali równym, spokojnym tempem i w bezpiecznej odległości wyminęli krzewy, w których ukryli się Borkaz i Threbuch.

Otwał nie ruszył się z miejsca, choć kiedy patrzyli na znikających kawalerzystów, jadących dokładnie tym samym szlakiem, co oni – tyle, że w przeciwną stronę – wyczuł w Borkazie niecierpliwość. Borkaz był za bardzo zdyscyplinowanym żołnierzem, by głośno narzekać, choć gdy w kilka minut później na szlaku pojawiła

się cała kolumna jeźdźców, wydawał się już bardzo tego bliski.

Threbuch ocenił, że jeźdźców było około czterdziestu. Każdy z nich wyposażony w taką samą zabójczą broń, co pierwsza trójka. Nad siłami pozostającymi do dyspozycji setnika Olderhana mieli zatem liczebną przewagę jak cztery do jednego. Wiedli też ze sobą juczne muły. Threbuch nie miał pojęcia co zwierzęta wiozły na swych grzbietach. Niewątpliwie prowiant, ale czy tylko? Mogli mieć ze sobą, skrytą w tych niewinnie wyglądających pakunkach jakąś inną, demoniczną broń – może taką, jakiej nie mieli na wyposażeniu cywile, z którymi przyszło im wcześniej walczyć?

Nie było jednak sposobu, by się o tym przekonać, tak samo jak nie było sposobu, by Threbuchowi i Borkazowi udało się wyprzedzić jeźdźców w drodze do setnika Olderhana. Była to wyjątkowo nieprzyjemna konstatacja, lecz miecznik wiedział, że Sir Jasak jest opanowanym – i inteligentnym oficerem. Otwał nigdy wcześniej pod lepszym dowódcą nie służył i zdawał sobie sprawę, że jego przełożony z pewnością prowadzi już niedobitki pierwszego plutonu, jak najszybciej to możliwe, z powrotem do portalu na bagnach. Threbuchowi pozostała więc tylko nadzieja, że towarzysze zdążą dotrzeć do bazy zanim dogoni ich kolumna obcych jeźdźców.

Poza tym, przede wszystkim musiał wypełnić swoją misję.

Kiedy już jeźdźcy zniknęli im z oczu, zeszli z Borkazem, z prostej drogi i obrali bezpieczniejszy szlak bardziej na północ. Na ogromny portal natknęli się niedługo po świcie drugiego dnia. Fort po drugiej stronie znaleźli jednak dopiero około południa.

Fort także nie stanowił przyjemnego widoku.

Budynki otoczone były prostą, ukończoną w trzech czwartych, drewnianą palisadą, pośrodku której znajdował się centralny dziedziniec. Podobnych fortów Threbuch oglądał w ciągu swej kariery już setki. W tym jednak forcie wrzało jak w gnieździe szerszeni i to mimo nieustającego ani na chwilę deszczu. Żołnierzy zajętych budową umocnień i kolejnych stanowisk nie było może tak wielu, ilu się spodziewał ujrzeć, lecz patrząc przez niedokończoną palisadę zobaczył też wznoszony, okazałych rozmiarów budynek – prawdopodobnie koszary. Pośpiech z jakim pracowali obcy łatwo można było wytłumaczyć potrzebą zbudowania nieprzemakalnego dachu nad głową, lecz tak czy inaczej żołnierzy było zbyt mało, jak na tych rozmiarów bazę.

–Na Graholisą, mieczniku! – mruknął leżący obok Threbucha Borkaz. – Czy oni spodziewają się tu całego pieprzonego regimentu?

–Nie. Tak źle to nie jest – odparł Otwał. – To wydaje się nam takie wielkie, bo obaj jesteśmy cholernie wystraszeni. Myślę, że to nie jest większe niż nasze forty z obsadą pełnego batalionu.

–Skoro tak pan twierdzi, mieczniku – w głosie Borkaza słychać było powątpiewanie.

Przez kilka kolejnych chwil obserwowali fort. Złą wiadomość z pewnością stanowiły rozmiary wznoszonych właśnie koszar; dobrą z kolei to, że obcy nie mieli dość wojska by obsadzić wszystkie te nowe budynki. Im dłużej się im przyglądali, tym mocniej Threbuch utwierdzał się w przekonaniu, że kolumna jeźdźców na którą niemal wpadli z Borkazem musiała stanowić niemal całość siły bojowej, dostępnej w tej chwili przeciwnikowi. Gdyby to przypuszczenie okazało się prawdą i jeśli setnik zdążyłby do portalu przed obcymi kawalerzystami, to wszystko powinno skończyć się dobrze.

–Dobra – odezwał się do Borkaza nie bez trudu odwracając się od fortu i pracujących w nim żołnierzy. – Zlokalizowaliśmy ich fort i wiemy, że za plecami mamy ich kawalerię. Nic więcej tu nie zwojujemy, więc powinniśmy się teraz zająć ustaleniem jak wielkie to może być – machnął ręką w stronę skąpanego w deszczu, górującego nad nimi półkola z innego wszechświata. – Musimy też sprawdzić, jak wygląda teren po obu stronach.

Borkaz przytaknął, choć nie wyglądał na specjalnie zadowolonego. Threbuch nie miał mu tego za złe. Żaden z nich nie spodziewał się portalu o takich rozmiarach. Nawet pobieżny zwiad dokoła czegoś tak wielkiego musiał zająć im kolejne dwa dni, o ile nie dłużej.

–Nie podoba mi się to – ciągnął Threbuch – ale musimy się rozdzielić. Podzielimy się prowiantem i ty pójdziesz w tę stronę – podoficer wskazał na południowy wschód – oś portalu biegła z południowego wschodu na północny zachód – a ja pójdę w drugą. Ile energii ci zostało w KR?

Borkaz sięgnął do plecaka i wyciągnął swój kryształ rozpoznawczy. Urządzenie wyglądało tak samo, jak wszystkie kryształy osobiste, z wyjątkiem uchwytu, który pozwalał umieścić go na hełmie. Żołnierz nacisnął przycisk z boku szklanego sześcianu i zaczął na wyświetlenie się informacji.

–Mam jeszcze dziewięćdziesiąt sześć godzin, mieczniku – stwierdził.

–Świetnie. Wygląda na to, że ten fort jest prawie dokładnie na środku, więc nawet jeśli ten portal jest tak wielki, na jaki wygląda sądząc po łuku, do krańców nie powinno być stąd dalej niż piętnaście mil w każdą ze stron. Powinno nam to zająć około dnia drogi, więc zdążysz wszystko zarejestrować.

–Piętnaście mil zrobiłbym szyb... – zaczął Borkaz, ale przerwał mu Threbuch.

–Może byś zrobił, ale pamiętaj, że będziesz działać w pojedynkę i nikt nie będzie cię pilnować. A nie możemy zawieść. Tym razem nie wolno nam spieprzyć niczego, jasne? Więc nie spiesz się, a na noc gdzieś się zadekuj. Na drugą stronę przejdź dopiero jak oddalisz się od tego fortu na jakieś pięć mil, zrozumiano?

–Tak jest, mieczniku – odpowiedział Borkaz bardziej słuźbiście niż zazwyczaj.

–Dobrze. Ruszaj więc. Spotkamy się tu jutro popołudniu. Jeśli nie pojawisz się w ciągu trzech dni – lub jeśli ja się nie pojawię – wracamy sami. I w imię bogów, uważaj na siebie!

*** * ***

To działo się trzy dni temu. Otwał Threbuch przeklinał się długo, soczyście, pomysłowo i wyjątkowo złośliwie za to opóźnienie, wynikłe kiedy wraz z Borkazem odkryli kto jeszcze przeszedł przez portal, kiedy oni byli gdzie indziej.

Sam zwiad dokoła portalu przebiegł bez przeszkód. Gdy tylko znaleźli się z dala od fortu obcych przemknęli na drugą stronę, wprost w ociekający wodą las. Żadnemu z nich nie podobało się moknięcie, i choć mogli co jakiś czas wrócić na krótką chwilę na drugą stronę by trochę odpocząć, to niekiedy rezygnowali z tego chcąc jak najwięcej zapisać w swych kryształach. Urządzenia rejestrowały znacznie więcej niż tylko to, co widzieli własnymi oczami. Faceci z wywiadu dzięki zapisowi z Krów będą w stanie sporządzić dokładne mapy okolic portalu w promieniu mili bądź dwóch.

Threbuch ostrożnie skopiował zawartość każdego z kryształów do drugiego. Dzięki temu, gdyby coś mu się stało Borkaz dysponowałby całością zapisu i vice versa. Osobiście miecznik miał nadzieję, że żaden z nich nie będzie musiał korzystać z tej możliwości, ale nie mógł przecież mieć pewności.

Ta myśl zaczęła go nękać ze zdwojoną siłą, gdy zdał sobie sprawę, z tego, że ludzie dla których budowano koszary w forcie znajdowali się o wiele bliżej, niż miał nadzieję. Szlak, którym wraz z Borkazem dotarli do portalu zaczął przypominać gęsto uczęszczany trakt handlowy. Sądząc jedynie po śladach w błocie i zgniecionych podkawkami liściach ciężko było ocenić liczebność nowych sił, lecz w ślad za pierwszą kolumną musiało podążać co najmniej dwustu kolejnych jeźdźców. Jechali tedy jakieś kilka godzin temu – najdalej cały dzień – lecz to nie zmieniało faktu, że oddzielali miecznika i Borkaza od setnika Odlerhana.

I pozbawiali Threbucha jakiegokolwiek możliwości ostrzeżenia towarzyszy.

W tej sytuacji zrobili z Borkazem jedyną rzecz, którą jeszcze mogli. Wycofali się przez las szybkim truchtem andarańskich zwiadowców, mimo kilkudniowego zmęczenia i braku porządnego posiłku. Threbuch nie był już młodziakiem i czuł to teraz w postaci bezlitosnego bólu w nogach i palącego pieczenia w płucach. Udało mu się jednak narzucić tempo o wiele młodszemu Borkazowi i – dzięki kryształom nawigacyjnym pokonali las na przełaj, rezygnując tym samym ze znacznie dłuższego szlaku, którym zdążali obcy.

Bieg przez dziewiczy las stał się wkrótce koszmarem a jednak prawie wygrali

wyścig.

„Tyle, że 'prawie' to zawsze tylko 'prawie', – pomyślał Threbuch.

Po raz kolejny bezgłośnie zaklął i tylko długoletnia dyscyplina pozwoliła mu opanować się na tyle, by nie uderzyć pięścią w drzewo, na którym leżał. Obcych w drugiej kolumnie rzeczywiście było niemal dwustu – może nawet nieco więcej... i teraz każdy z nich tworzył żywą przeszkodę na ich drodze do portalu.

„Co do cholery wymyślił setnik?” – zastanowił się Threbuch. – „Gdzie nasze pieprzone straże? Gdzie czujki?”

To nie miało najmniejszego sensu. Dranie stojący pomiędzy nimi a portalem byli bez wątplenia dobrymi żołnierzami. Miecznik prawie wszedł na nich nawet ich nie widząc. Bogowie tylko wiedzieli, jak udało mu się ich uniknąć. Zobaczył go. Widział obcego – ubranego w mundur zupełnie inny, niż mundury oglądanych wcześniej kawalerzystów – który odwrócił głowę i zagwizdał naśladując głos ptaka tak dobrze, jak zrobiłby to sam Threbuch. Z początku kusilo go, by zlikwidować strażnika i prześliznąć się ku portalowi, lecz szybko porzucił ten plan. Z trzech stron dobiegły go bowiem odpowiedzi innych obcych, niewątpliwie utrzymujących wzrokowy kontakt z najbliższym.

Obcy byli rzeczywiście dobrzy. Nie powinni jednak podejść tak blisko portalu i rozmieścić wzdłuż niego piechoty. Na pewno przecież nie byli lepszymi fachowcami niż andarańscy zwiadowcy. Threbuch nie potrafił sobie wyobrazić co wstąpiło w setnika Olderhana. Nie rozumiał dlaczego oficer nie rozstawił straży, które uniemożliwiłyby obcym zajęcie tak dogodnych pozycji.

Setnik musiał jednak mieć jakiś dobry powód, a gdyby Threbuch i Borkaz wpadli w ręce obcych w niczym by mu nie pomogli. Co prawda dźwięk nawet jednego tylko wystrzału z broni obcych mógłby zaalarmować ludzi Olderhana po drugiej stronie, ale równie dobrze mogli go nie usłyszeć. Ponadto, obcy mogli przecież okazać się na tyle sprytni by nie używać swych grzmiących rur. Jeśli było ich odpowiednio wielu – a bogowie tylko wiedzieli ilu było ich w rzeczywistości – byli w stanie pojmać lub zabić i jego, i Borkaza bez jednego wystrzału. Co więcej – chłodna i bezduszna militarna algebra podpowiadała Threbuchowi, że informacje, w których posiadaniu byli wraz z Borkazem stanowiły o wiele większą wartość niż cała kompania Olderhana. Wiadomość o ogromnym portalu musiała do trzec do celu, a skany terenu, które wykonali mogły okazać się wprost bezcenne, gdyby doszło do otwartej wojny z obcymi. Tak więc, teraz mógł tylko leżeć w ukryciu, niecałe tysiąc jardów od portalu. Leżeć i modlić się, by umocnienia, które widział po drugiej stronie okazały się na tyle solidne by ukryci za nim i andarańscy zwiadowcy mieli jakąkolwiek szansę na przeżycie.

Hulmok Arhag stał w towarzystwie Balkara chan Tesha w wykrocie, o którym rozmawiali wcześniej. Żołnierze z obu sekcji moździerzy zajęci byli rozstawianiem swej ciężkiej broni.

Brzydkich, niezgrabnych, zabójczych moździerzy mieli cztery. Kapitan Morek chan Talmarha osobiście doglądał ich rozmieszczania. Dwa z nich, należące do trzeciej drużyny rozstawiano nieco na wschód, pod kierunkiem starszego zbrojnego Quelovaka chan Sairatha. Teren nie był tam szczególnie sprzyjający, ale broń miała zasięg ponad sześciu tysięcy jardów, a poza tym chan Talmarha wypatrzył miejsce, w którym można ją było umieścić tak, by pozostawała poza zasięgiem wzroku przeciwnika. Chan Tesh nie był zadowolony z rozdzielania baterii, ale nie byli w stanie pokryć obu stron portalu z jednego punktu ogniowego.

Arthag był zaskoczony widząc, że chan Tesh przyprowadził ze sobą moździerze. Spodziewał się raczej trójcalowych działek które stanowiły standardowe wyposażenie lotnych oddziałów SZZP. Tymczasem moździerze chan Tesha były większe – miały średnicę czterech i pół cala. Trójcalówki ważyły niewiele ponad osiemdziesiąt funtów, moździerze Tesha ważyły niemal trzysta, co sprawiało, że przewożenie ich na mułach stanowiło niemały problem. Zwierzęta juczne nie były też w stanie zabrać zbyt wiele ciężkiej amunicji, więc większej wersji moździerzy używano głównie do obrony umocnień lub wtedy, gdy istniała możliwość transportowania ich na kołach. Tak naprawdę to oddział chan Tesha został w nie wyposażony właśnie w tym celu.

Jeśli jednak chodziło o siłę ognia to oba rodzaje broni okazywały się nieporównywalne. Pociski moździerza miały cieńsze ścianki niż pociski używane przez konwencjonalną artylerię, co oznaczało, że większą część ich masy stanowił materiał wybuchowy. Pocisk do trójcalówki ważył niecałe siedem funtów i przenosił głowicę o wadze jedynie półtora funta; moździerze czteroipółcalowe wyrzucały pociski o wadze dwudziestu siedmiu funtów, z pięcioipółfuntową głowicą. Obie wersje pocisku wybuchaly w locie i do celu zmierzały w postaci odłamków, z tą różnicą, że trójcalówka miała skuteczny promień wybuchu o długości dwudziestu pięciu stóp, a pocisk z czteroipółcalowego moździerza raził wrogów w promieniu aż czterdziestu.

W tych okolicznościach, pamiętając o straszliwej, tajemniczej broni obcych, Arthag był bardzo zadowolony, że chan Tesh przyprowadził ze sobą cięższą wersję moździerza.

Artylerzyści byli zajęci ustawianiem sprzętu. Wyrównywali moździerze, nakierowywali je na cel za pomocą wmontowanych w ich statywy dźwigni, podczas gdy żołnierze piechoty morskiej, których odesłał do pomocy chan Tesh, rozładowywali muły z amunicji i ustawiali pociski w równych, schludnych rzędach.

Arthag przyglądał się im i wtedy odnalazł go młodszy zbrojny Loumas. Podoficer ześliznął się do wykrotu i zasalutował.

–Pan wzywał, kapitanie – zameldował się chan Teshowi.

–Tak – przytaknął oficer. – Co nowego możesz mi powiedzieć?

–Obawiam się, że niewiele, kapitanie – odparł Loumas. – Tak blisko portalu energia wariuje i mój Talent nie działa tak, jak powinien – skrzywił się. – Może gdybym był pół mili stąd mógłbym powiedzieć więcej. Tak, jak teraz – to myślę, że nikogo tam nie ma, ale to co Widzę jest zbyt zamglone, bym miał pewność. Poza tym – dodał – może mi się tak wydawać, ponieważ nie widziałem nikogo ostatnim razem, kiedy Patrzyłem.

–Pewnie masz rację – powiedział chan Tesh zauważając z zadowoleniem, że Kreślarz świadomy był ograniczeń wynikających ze sposobu działania ludzkiej psychiki. Nie każdy człowiek, Utalentowany lub nie, pamiętał o tego rodzaju przeszkodach. Ze swojego doświadczenia chan Tesh wiedział, że najtrudniej przychodzi ludziom przyznawać się do swych własnych niedoskonałości.

–Gdyby mieli zamiar wystawiać strażę zrobiliby to już wcześniej – zastanowił się na głos chan Tesh.

–Rano przysłali na naszą stronę tych zbieraczy, kapitanie przypomniał Arthag. Chan Tesh skinął głową.

–Po ich stronie jest niewiele drewna na opał – zauważył. Na ich miejscu sam zbierałbym tutaj. Starszy zbrojny chan Hathas obserwował ich przez cały czas i według niego wszyscy wrócili już na bagna. Po naszej stronie nie został ani jeden.

–Prawda, kapitanie – zgodził się Arthag – ale tak czy inaczej wolałbym, żeby tego nie robili. Oddałbym połowę miesięcznego żołdu za to, żeby chan Hathas miał lepszą okazję przyjrzeć się temu czemuś.

–Ja też – przyznał chan Tesh.

Moment w jakim pojawiły się zbierające drewno grupki obcych nie mógł być gorszy. Chan Hathas dysponował jedynie garstką ludzi, którzy mieli obserwować rozwój wydarzeń i był zmuszony rozproszyć ich by naraz mieć oko na oba zespoły umocnień. Obcy pojawili się niemal jednocześnie z obu stron portalu i zbrojny musiał wycofać swych ludzi, by zgodnie z rozkazami uniknąć kontaktu. Z tego zadania chan Hathas wywiązał się bez zarzutu, czego można się było spodziewać tylko po podoficerze z jego doświadczeniem. Jego ludzie zostali jednak zmuszeni do porzucenia swych wcześniejszych, dogodnych punktów obserwacyjnych. Nie udało się im więc dokładnie przyjrzeć tej wielkiej, metalicznie opalizującej bestii, która przybywała do obozu obcych i znikwała kilka razy na przestrzeni ostatnich dwóch

godzin. Ostry kąt pod jakim patrzyli przez portal uniemożliwił dokładniejszą obserwację, choć to, co widzieli wystarczyło, by zrozumieli, że to właśnie to zwierzę posłużyło obcym do ewakuacji ciężko rannych znad strumienia.

Od południa po bestii nie było już śladu. Darcel Kinlafia spochmurniał. Chan Tesh rozumiał go dobrze, ale wiedział, że jeśli przeciwnik chciał odstawić jeńców gdzieś na tyły to i tak miał na to już wystarczająco dużo czasu wcześniej.

„Chyba, że wcale nie zdecydowali się ich przenosić” – zastanawiał się kapitan.

Kapitan Parai chan Dersal, dowódca obu plutonów piechoty morskiej pojawił się u szczytu wykrotu. Zbiegł w dół i zasalutował.

–Zajęliśmy pozycje po obu stronach, kapitanie – oznajmił.

–Świetnie – uśmiechnął się lekko chan Tesh. – Nie słyszałem żadnych strzałów, krzyków ani wybuchów, wnoszę zatem, że udało wam się to zrobić po kryjomu?

–Myślę, że można to założyć, kapitanie, owszem – odparł śmiertelnie poważnie chan Dersal. Chan Tesh usłyszał stłumiony chichot Arthaga.

–Jest jeszcze coś, kapitanie – ciągnął chan Wersal. – Rozmawiałem ze starszym zbrojnym chan Hathasem. Chciałem się go poradzić co do rozmieszczenia snajperów i wtedy zbrojny wspomniał, że jeden z jego ludzi widział we wrogim obozie cywila.

Stojący za chan Teshem Darcel Kinlafia spiął się wyraźnie. Żołnierz podjął jednak wątek zanim Głos zdążył cokolwiek powiedzieć.

–Mówił, że był to mężczyzna. Z całą pewnością nie kobieta i że wydawało się, że chodzi swobodnie, na co nie pozwoliliby jeńcowi.

–To prawda – powiedział Arthag. – Nie widział zbyt dokładnie, ale ktokolwiek to nie był, nie miał na sobie munduru.

–Kiedy rozlokowywałem swych ludzi przyjrzałem mu się dokładniej – wtrącił chan Dersal dotykając lornetki wiszącej mu u boku. – To na pewno cywil. Z wyglądu przypomina Ricathianina. Zupełnie niepodobny do reszty. Jest stary, kapitanie. Nawet bardzo stary.

Piechur spojrzął na chan Tesha beznamiętnie, ale oficer rozumiał co miały znaczyć ostatnie słowa. Obaj byli oficerami z Imperium Ternathii, obaj zostali wyszkoleni w tym samym duchu.

–Rozumiem – odezwał się służbowym tonem. – Skoro widziałeś jednego cywila, to może ich tam być więcej. To też rozumiem – odwrócił się tak, by widzieć naraz chan

Dersala i Arthaga. – Przekażcie wszystkim, że w obozie są najprawdopodobniej cywile. Nie chcę by ktokolwiek zaczął szaleć. Nie przyjechaliśmy tu urządzać rzezi niewiniątek.

–Oni takich skrupułów nie mieli – mruknął pod nosem Kinlafia. Chan Tesh spojrzał na niego surowo.

–Może i nie mieli. Ale my to nie oni. Ani SZZP ani Imperium Ternathii nie mają w zwyczaju masakrować cywilów – Kinlafia nadal patrzył złowieszczo. Chan Tesh zmarszczył brwi.

–Rozumiem cię, Darcel – dodał ostro – ale pamiętaj, że twoich towarzyszy ciężko by było nazwać bezbronnymi. Byli, owszem, cywilami, ale nie bezbronnymi. Wszystkie poszlaki wskazują na to, że zanim obcy podciągnęli artylerię nasi walczyli równie zaciekle jak żołnierze tamtych. Gdybyśmy zaczęli zabijać cywilów albo strzelać po prostu ze zwykłej chęci zemsty nie wynikłoby z tego nic dobrego. Co więcej, nie pozwolę by ktokolwiek z moich ludzi zmienił tę misję w swoją prywatną wojenkę. Czy jasno się wyraziłem?

Kinlafia spojrzał gniewnie. Chan Tesh pochylił głowę.

–Zapytałem cię, czy wyraziłem się jasno, Darcel. Chcę, żebyś mi odpowiedział. Jeśli tego nie zrobisz każę odebrać ci broń i spętać razem z końmi.

–Jasno się wyraziłeś – powiedział po dłuższej chwili Kinlafia. – Pewnie masz rację. Chciałbym nadal móc się lubić za jakieś parę miesięcy.

–Życzę ci tego – powiedział chan Tesh z lekkim uśmiechem. Uśmiech zniknął i kapitan spojrzał na Arthaga.

–Jesteś pewien, że chcesz to zrobić, Hulmok? – zapytał cicho.

–Kapitanie, sam pan powiedział, że trzeba im dać szansę na uczciwe rozwiązanie sytuacji – Arpathianin wzruszył ramionami. – Z kilku powodów zgadzam się z tą opinią. Jeśli mamy spróbować pokojowego kontaktu, rozmawiać powinien pewnie starszy oficer, ale Poranny Powiew i ja jesteśmy przecież do tego zadania stworzeni. Z całym szacunkiem – jestem najlepszym jeźdźcem jakim pan dysponuje, a Powiew to najlepszy koń w okolicy.

–W porządku – westchnął chan Tesh. Do tej misji każdego wyznaczałby z ciężkim sercem, ale tak jak powiedział Arthagowi, nie mieli wyjścia. To, co stało się z ekipą Konsorcjum Chalgin mogło okazać się jedynie nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności. Dobrze wyszkoleni i zdyscyplinowali żołnierze nie powinni dopuszczać do tego rodzaju sytuacji, ale chan Tesh widział już podobne monumentalne wpadki w armii ternathiańskiej a także w samych SZZP i zdawał sobie sprawę, że coś takiego

mogło zdarzyć się wszędzie i każdemu. Nawet najlepszym armiom w całym multiwersum. Teraz musieli więc spróbować dowiedzieć się prawdy w nieco bardziej kontrolowanych warunkach, w których reakcjami żadnej ze stron nie będzie kierowała panika. Niestety oznaczało to też narażenie czyjegoś życia, lecz kandydatura Arthaga wydawała się rzeczywiście logiczna.

Popatrzył kolejno na Arpathianina, potem na chan Dersala i na koniec wzniosł oczy ku niebu. Słońce zaczynało się chylić ku zachodniemu horyzontowi, ale mieli przed sobą jeszcze co najmniej kilka godzin dnia. Czasu było zatem dosyć. Nie mogli tak tu tkwić wiecznie.

Po raz ostatni spojrzął na żołnierzy z moździerzami. Chan Talmarha pokazał mu ruchem dłoni, że są w gotowości. Chan Tesh odpowiedział skinieniem.

–No dobrze Parai – powiedział. – Wracaj do swojego plutonu. Hulmok, pójdiesz ze mną. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli wejdiesz tam od zachodu. Będziesz mieć słońce za plecami co może się przydać, jeśli spróbują czegoś bardzo głupiego.

Rozdział 19

–Uważaj na siebie, Hulmok – powiedział cicho Darcel Kinlafia kiedy Arthag wdzięcznie wskoczył na siodło.

–Jasne, że będę – odparł z uśmiechem jeździec i łagodnie cmoknął. Poranny Powiew ruszył lekko naprzód.

–Patrzcie tylko na niego! – mruknął Kinlafia do chan Tesh patrząc w proste jak struna plecy odjeżdżającego. – Ja bałbym się jak cholera, a on jedzie sobie jakby na przejażdżkę po lesie.

–To nie tak – odparł chan Tesh. Głos spojrzał na niego uważnie, ale chan Tesh także zapatrzony był w samotnego jeźdźca zmierzającego ku okopanemu nieprzyjacielowi.

–Hulmok Arthag – ciągnął ternathianin powoli. – Piąty syn wodza Septów Krihwona Arthaga – wreszcie spojrzał na Kinlafię. – Nigdy z nim wcześniej nie służyłem, ale wiele o nim słyszałem, a po dziesięciu miesiącach służby pod dowództwem regimentarza Velveliga nauczyłem się też trochę o Arpathianach. Oni wierzą w zbyt wiele pękających od demonów piekieł, by być na tyle głupimi, żeby nie żyć w zgodzie z zasadami. A jeśli już przeżyją życie z nimi w zgodzie to nic ich na ziemi nie trzyma. Odważnych czeka po śmierci wspaniała nagroda. Hulmok nie jest może aż takim fatalistą jak większość jego pobratymców, ale niemniej to wszystko tkwi i w nim. Co wcale nie znaczy, że to zadanie wymaga od niego mniejszych jaj...

* * *

Hulmok Arthag jechał między drzewami łagodnym klusem. Ta prędkość wystarczała do rozpostarcia tradycyjnej, zielonej flagi parlamentariusza. Spojrzał na nią ponuro. Nie łudził się, że obcy rozumieją co oznacza sharoniański symbol, ale wydawało mu się sensowne, że samotny jeździec z jakąkolwiek flagą w dłoni nie będzie stanowić tak dużej zachęty do otwarcia ognia, jak jeździec w ogóle bez flagi.

Poza tym, jak powiedział kapitan, jeśli zaczną do niego strzelać, kiedy będzie miał ze sobą tę flagę, chan Tesh nie będzie już musiał czekać na wymówkę, by móc rzucić na obcych całą zgromadzoną przez siebie siłę ognia. Tego rodzaju szczegóły liczyły się bardzo kiedy szło o rozpętywanie wojen – albo unikanie ich – i Arthag nie potrafił myśleć o chan Teshu inaczej niż tylko z podziwem.

Przypomniawszy sobie wszystkie staranne przygotowania, jakie poczynił kapitan i usta wykrzywił mu złowieszczy uśmieszek. Tak samo, jak wszyscy pozostali nie chciał otwartej wojny, ale nie znaczyło to, że zmartwiłby się jakoś szczególnie, gdyby te dranie dały chan Teshowi najmniejszy choćby powód do ataku.

Zbliżył się do portalu. Kiedy mijał pozycje doskonale zamaskowanych żołnierzy z piechoty morskiej przejechał przed nimi paradnym krokiem. Rumak był podenerwowany. Zwierzę wyczuwało przedbitewne napięcie Arthaga i samo także szykowało się do walki. Powiew buntował się przeciw wolnemu, narzuconemu przez jeźdźca tempu. Po mięśniach grających w jego spoconym karku widać było, że do nadchodzącej walki wolałby pomknąć galopem.

Wkrótce zobaczył stojących po drugiej stronie portalu dwóch strażników. Gdyby tylko patrzyli w jego kierunku też by już go dojrzeli. Prowadził konia równo naprzód. Czekał aż go zauważą. Gdy znalazł się o niecałe osiemdziesiąt jardów od portalu skrzywił się z irytacją. Oczywiście, las sięgał prawie samego dzielącego wszechświaty łuku, i zgodnie z przewidywaniami chan Tesha słońce świeciło tamtym w oczy, ale mimo wszystko...!

„Chyba już wystarczy” – pomyślał, kiedy zbliżył się o kolejne trzydzieści jardów i zagwizdał głośno i przenikliwie.

Strażnicy podskoczyli, jakby dotknął ich rozżarzoną prętą. Odwrócili się ku niemu natychmiast. Zobaczyli jeźdźca i konia tuż za linią drzew. Jeden krzyknął głośno i zaczął unosić kuszę.

–Stój! – zawołał ostro Arthag, gdy Poranny Powiew zarżał ostrzegawczo i stanął w miejscu na tylnych łapach. Drugi strażnik krzyknął do swego towarzysza i mężczyzna z kuszą zamarł w bezruchu.

Za plecami strażników zaczęli pojawiać się kolejni obcy. Arthag nie widział szczegółów – umocnienia przesłaniały mu widok – ale widział, że coś zaczęło się nagle poruszać. Tego należało się spodziewać, choć myśl o tym, że przeciwnicy mogli właśnie obsadzać swe niezwykle, nienaturalne – uśmiechnął się, na myśl o Soralu Hilovarze, który używał tego słowa z lubością – działa nie była szczególnie przyjemna.

Po kilku pełnych napięcia chwilach pojawił się ktoś jeszcze. Wysoki mężczyzna w mundurze nieznacznie różniącym się od strojów strażników. Arthag zrozumiał, że przybysz musiał być oficerem. Mundury obcych nie przypominały żadnych, jakie widział kiedykolwiek wcześniej, ale był pewien, że patrzy właśnie na oficera. Oficera – a zarazem dowódcę całego obozu.

Nawet z odległości pięćdziesięciu jardów Arthag wyraźnie widział jak bardzo zaskoczony – właściwie zszokowany – był obcy. Wydawało się, że nie dowierza własnym oczom, choć Arthag nie do końca rozumiał, co go tak dziwiło.

* * *

Dowodzący Setką Hadrign Thalmayr patrzył na samotnego jeźdźca z

niedowierzaniem.

Był pewien, że Dowodzący Dwoma Tysiącami mul Gurthak robi wszystko, by przysłać posiłki i wiedział, że każdy dzień, w którym uda mu się utrzymać portal był kolejnym dniem zbliżającym ich nadejście. Po niemal sześciu dniach w obliczu zupełnego braku aktywności ze strony nieprzyjaciela doszedł do wniosku, że ten bandyta, który rozkazał wymordowanie z zimną krwią tak wielu dobrych arkanianskich żołnierzy nie zdołał poinformować swoich, zanim ten idiota Olderhan zabił lub wyłapał ich wszystkich.

Nigdy nie darzył szczególną sympatią facetów, którzy z byle powodu wpadali w panikę i wywoływali skomplikowane sytuacje nad którymi nie można już było zapanować. Sam szczylił się opanowaniem. Teraz jednak zdał sobie sprawę, że wpadł w zbyt duże samozadowolenie jeśli nie zbyt optymizm. Gdyby druga strona nie wiedziała o zdarzeniach z polany dotarcie pod portal zajęłoby im tygodnie lub nawet miesiące. A Thalmayr zanadto się do tej myśli przyzwyczyił.

Tymczasem pojawienie się samotnego jeźdźca na złotym koniu podziało na niego jak kubek zimnej wody. Pojawił się nie tylko ktoś, ale był to żołnierz. Thalmayr widział to na pierwszy rzut oka.

Setnik zmrużył oczy i przyjrzał się linii drzew za jeźdźcem. Osłonił oczy dłonią i przeklął oślepiające promienie słońca. Obcego widział niewyraźnie, choć dostrzegł jego ciemną, wojskową bluzę i bryczesy. Wysłani na drugą stronę portalu zbieracze drewna nie widzieli nikogo, więc raczej musieli przybyć pod portal niedawno... bez względu na to jak wielu ich było.

Przyszło mu do głowy, że w zasadzie jeździec mógł być sam. Thalmayr wiedział, że Olderhan nie mylił się co do jednego. Ludzie, na których się natknął byli tak samo zaskoczeni jak żołnierze pierwszego plutonu. Nie oczekiwali natknięcia się na przedstawicieli innej transwszechświatowej cywilizacji, nie było więc żadnego powodu, by ich przełożeni mogli na coś takiego wpaść sami z siebie. Z drugiej strony od portalu wejściowego obcych nie było tak daleko, więc nawet jeśli obcym nie udało się przekazać żadnej informacji – „a, kurwa, nie było takiej możliwości” – pomyślał Thalmayr – to istniała ewentualność, że wysłano za zaginionymi ekipę poszukiwaczy. W dziewiczym wszechświecie spodziewaliby się raczej jakiegoś wypadku lub katastrofy naturalnej, a nie wrogich działań, więc pracowaliby w rozproszeniu by objąć poszukiwaniami jak największy możliwy obszar.

Gdzieś z tyłu głowy zapłonęło Thalmayrowi ostrzegawcze światełko, lecz zdawał sobie sprawę, że stojąc po prostu i patrząc nie posunie sprawy do przodu. Ruszył więc przed siebie.

Arthag przyglądał się wrogiemu oficerowi. Zastanowił się nad tym o czym mógł też myśleć obcy. Nie znał go, ale odniósł wrażenie, że nie miał do czynienia z najbystrzejszym człowiekiem we wszechświecie. Nieco to Arpathianina zaniepokoiło.

W końcu jednak tamten ruszył naprzód, jakby chciał zejść ze swoich umocnień. Tego Arthag nie chciał. Wolał, żeby wszyscy obcy dranie trzymali się na widoku. Przynajmniej dopóki nie będzie mieć pewności, że nie planowali jakiejś zasadzki, której nie zdołaliby zapobiec ukryci wśród drzew strzelcy.

–Stój! – zawołał głosem szkolonym do przebijania się przez bitewny zgiełk i uniósł dłoń w uniwersalnym geście oznaczającym „Nie ruszaj się!”

*** * ***

Thalmayr znieruchomiał na widok uniesionej rękę obcego. Jego głos brzmiał zdecydowaniem, słowa były szorstkie i nieprzyjemnie dziwne. Setnik poczuł, jak twarz ciemnieje mu z gniewu. Nie podobało mu się, że jakiś samotny pętał rozkazywał mu na oczach żołnierzy. Poza tym, za kogo ten cholerny facet się uważał? Nie każdy może rozkazywać oficerowi Arkany.

–Czego chcesz? – krzyknął opierając ręce na biodrach. Ten portal stanowi własność Unii Arkany!

*** * ***

Arthag zobaczył jak obcy zatrzymuje się w miejscu. Potem usłyszał jego wojowniczy okrzyk. Napomniał się, wiedząc, że wrażenie wrogości mogło wynikać jedynie z brzmienia nieznannej mowy, ale w pozie tamtego było coś, co nie pozwalało Arthagowi wyzbyć się niepokoju.

–Zaatakowaliście naszych ludzi! – odkrzyknął Arthag wskazując ramieniem odległą polanę.

–I wzięliście jeńców – tego ostatniego nie był pewien, ale był za to pewien, że obcy i tak nie zrozumie ani słowa. – Chcę zobaczyć Shaylar! Shaylar Nargra-Kolmayr!

*** * ***

Thalmayr drgnął. Większość słów wykrzyczanych przez jeźdźca brzmiała kompletnie obco. Zwykły, arogancko dźwięczący bełkot. Ale nie wszystkie. Nie powinno było go to zdziwić – jeśli jeździec był członkiem grupy ratunkowej musiał przecież wiedzieć, kogo szuka, ale tak czy inaczej udało mu się setnika zaskoczyć. Być może dlatego, że z całego tego bełkotu zrozumiał tylko to jedno słowo.

Przypomniał sobie konfrontację z Olderhanem, drobniutką piękną kobietę z tak

okropnie posiniaczoną twarzą i swoją własną wściekłość. Napiął ramiona, w oczach zagrały mu iskry gniewu i podniósł głowę.

* * *

Na widok wrażenia jakie imię Shaylar wywarło na obcym Arthag aż syknął.

„Ten drań zna jej imię! Poznał je!” przemknęło mu przez myśl.

Wrogi oficer mógł je poznać tylko w jeden sposób. Shaylar żyła. Przeżyła co najmniej tak długo, by przedstawić się napastnikom. Ale czy żyła jeszcze i teraz...

* * *

Mimo targającej nim fali gniewu Thalmayr zmusił się do myślenia. Ta kobieta – Shaylar – była jedyną kobietą wśród obcych. Nic dziwnego, że członkowie ekip ratunkowych chcieli przede wszystkim dowiedzieć się właśnie o jej los. Tak więc to, że obcy wymienił jej imię nie było niczym dziwnym. To natomiast, że siedział na koniu i rozmawiał wskazywało, że nie miał najmniejszego pojęcia o strzelaninie. Skoro więc nie wiedział – ani nawet nie podejrzewał – że ta cała Shaylar była w niewoli należało blefować i grać na czas. Poza tym, Thalmayr i tak nie miał jej ze sobą i nie mógłby jej wydać, nawet gdyby obcy tego od niego zażądał.

Setnik zrobił zażenowaną minę, rozłożył bezradnie ramiona i pokręcił głową.

–Obawiam się, że nie rozumiem ani jednego twojego słowa, ty durna pało! – krzyknął w odpowiedzi.

* * *

–Zła odpowiedź – mruknął pod nosem Arthag gdy obcy oficer zawołał coś niezrozumiale.

–Shaylar! Przeprowadźcie tu natychmiast Shaylar! – tym razem on podniósł głos.

* * *

Thalmayr zacisnął zęby. Nie rozumiał słów obcego, ale zaniepokoiło go powtarzające się imię Shaylar. Co gorsza jeździec był wyraźnie niezadowolony. Nie zachowywał się, jak parlamentariusz, który pojednawczo prosi „Zaprowadźcie mnie do swego przywódcy” czego można by się spodziewać w podobnej sytuacji. Obcy miał konkretne żądania – bardzo konkretne. I powtarzał imię kobiety.

–Nie rozumiem cię – zawołał Thalmayr – Nie wiem, co do mnie mówisz!

* * *

Arthag nie zwracał uwagi na słowa – te i tak nic mu nie mówiły. Koncentrował się za to na tonie głosu obcego oficera. Zmrużył oczy i przyglądał się jego postawie. Czytał z języka ciała.

„Nie wiem co mówi ten drań, ale łąe jak z nut” – pomyślał Arpathianin. Zdawał sobie sprawę, że nie zna kultury obcych, nie wiedział jakich gestów używali na co dzień, ale tu w grę wchodził Talent Arthaga. Co prawda, jak wszystkie Talenty, nie działał przez portale, ale lata doświadczeń z odczytywaniem mowy gestów, delikatnych zmian wyrazu twarzy, subtelnych różnic akcentu pozwalały mu odgadywać uczucia innych ludzi bez względu na ich rodzimą kulturę.

–Kłamiesz! – krzyknął – Dobrze wiesz, o kim mówię! Przyrowadź mi Shaylar! Shaylar Nagra-Kolmayr! I to już! Chcę ją natychmiast zobaczyć! – wskazał ręką przed siebie – Shaylar tu! Inaczej przyjdziemy do was wszyscy, skopiemy wam tyłki, mordercy i sami ją odbierzemy!

*** * ***

„On wie” – zrozumiał nagle Hadrign Thalmayr – „On wie co się stało na polanie!”

Obcy był wyraźnie rozwścieczony. Oskarżycielski gest palca mówił sam za siebie. Jeździec nie pytał Thalmayra, czy widział tę małą dziwkę. On chciał ją odebrać!

Setnik nadal nie pojmował w jaki sposób wieść o bitwie mogła przedostać się do obcych, ale stał przed nagimi faktami. Zaczął gorączkowo myśleć i doszedł do wniosku, że wiadomość nie mogła być żadną miarą szczegółowa i na pewno nie oddawała prawdy o potyczce.

„Wiedzą, że coś się stało” – powtarzał sobie – „ale gdyby znali całą prawdę przygotowali by się do spotkania z nami jak do polowania na smoki. Na pewno też nie zaczynaliby od zadawania pytań. A ten drań jest tu zupełnie sam... najprawdopodobniej.”

Od rozważania mnożących się możliwości i ich ewentualnych konsekwencji rozboleła Thalmayra głowa. Nie miał pewności, czy samotny jeździec jest w istocie samotny. Wydawało się to możliwe, ale z drugiej strony – była to tylko jedna z ewentualności. Chociaż – jeśli byli z nim inni, nadal przecież siedzieli po drugiej stronie portalu. Pociski ich podręcznej broni z pewnością były w stanie przenikać przez barierę, tak samo jak bełty z kusz ludzi Thalmayra. Nie mogli jednak użyć artylerii. Zresztą, nawet gdyby mogli to nic by im ona nie dała. Fortyfikacji przecież nie da się zniszczyć za pomocą dział. O ile więc tych drani nie chowały się po lesie całe setki, przewaga pozycyjna Thalmayra była nadal wręcz przytłaczająca.

„Potrzebuję więcej informacji” – pomyślał – „a im nie mogę dać rozstrzygającej odpowiedzi tak długo, jak to tylko będzie możliwe. Ich broń jest podobno potwornie

hałaśliwa, a nasze kusze działają cicho. Jeździec jest w zasięgu. Jeśli więc rozdzielili grupy poszukiwawcze, by przeczesać bardziej rozległy teren...”

Decyzja podjęła się sama. Może, gdyby nie musiał działać w obliczu tylu niewiadomych, tylu zagadek naraz zrozumiałby jak wiele optymistycznych założeń nieświadomie poczynił. Może wtedy myślałby jaśniej.

Może... a może i nie.

* * *

Coraz bardziej wściekły Arthag zobaczył jak obcy po raz kolejny energicznie pokręcił głową. Wtedy właśnie kłamca popełnił błąd.

Warknął coś cicho... i obaj strażnicy podrzucili kusze do ramion.

* * *

–No dobra! – ryknął Thalmayr do obcego jeźdźca. – Wystarczy tych idiotyzmów! Jesteś do cholery moim jeńcem!

Tym razem to on podkreślił swoje słowa wskazując na ziemię. Drugą ręką wykonał władczy ruch mający oznaczać „Rusz tu natychmiast dupę!”.

–Chodź tu natychmiast. Chodź, albo jak mi bogowie mili, każę cię przyszpilić do siodła!

* * *

–Musisz być równie szalony, co głupi – powiedział niemal przyjaźnie Hulmok Arthag, choć nie było możliwości, by obcy go usłyszał. Podniósł głos.

–Chyba muszę odmówić! – krzyknął zdecydowanie, lecz spokojnie i pokręcił głową.

* * *

–Świetnie – warknął Thalmayr.

Jeździec najwyraźniej zrozumiał, czego od niego chciał setnik, ale nie zamierzał się podporządkować. Nadal siedział ze spokojem na koniu, nie zmienił pozycji ani o jotę i kompletnie ignorował wymierzone w siebie kusze. Pełgający w Thalmayrze gniew – i niepewność – wykwił w prawdziwą, czystą wściekłość. Nie potrafił przejąć kontroli nad sytuacją. Ten samotny, arogancki dupek nie chciał się poddać. Zupełnie jakby Hadrign Thalmayr i jego ludzie nie stanowili dla niego żadnego zagrożenia.

–Sam chciałeś! – krzyknął do obcego.

* * *

–Strzelają do kapitana Arthaga! – syknął Balkar chan Tesh.

Oglądał całą scenę przez polową lornetkę siedząc na gałęzi drzewa, jakieś piętnaście stóp nad ziemią. Podniósł wzrok i spojrzał na szczupłego podoficera, siedzącego o gałąź wyżej i kurczowo ściskającego pień.

–Przełącz kapitanowi Talmarha i starszemu zbrojnemu chan Sairathowi, rozkaz otwarcia ognia!

–Tak jest, kapitanie! – odpowiedział młodszy zbrojny chan Synarch, wdzięczy dowódcy za odwrócenie uwagi od własnego lęku wysokości. Zamknął na krótką chwilę oczy i jeden z niewielkich zasobników na rozkazy, zawieszonych do tej pory u jego pasa rozpląnął się w powietrzu. Mgnienie później zniknął również drugi zasobnik. W tej samej chwili pojawił się u starszego zbrojnego Quelovaka chan Sairatha po drugiej stronie portalu.

Wszystko to zajęło niecałą sekundę. Chan Talmarha i chan Sairath dopadli do zasobników, otworzyli je i znaleźli w nich pisemne rozkazy, które chan Tesh wcześniej przygotował właśnie na taką okoliczność, zanim jeszcze wysłał Arthaga do obcych. Chan Talmarha rzucił okiem na dokument, po czym spojrzał na kanonierów.

–No to zaczynamy potańcówkę, chłopcy – warknął.

* * *

Hadriagn Thalmayr szpetnie zaklął; Złoty koń błyskawicznie rzucił się w bok. Setnik nigdy nie widział, by niewzmocnione magicznie zwierzę poruszało się tak szybko. Czyżby się pomylił oceniając obcego?

Zadawał sobie to pytanie, kiedy oba bełty przemknęły ze świstem tuż za tylnymi nogami wierzchowca. Oba strzały były minimalnie niecelne, a obcy spadł z siodła jak kamień i zniknął za bokiem swojego rumaka. Po prostu zniknął... zsunął się w dół, lecz nie pojawił się na ziemi. Zawisł uczepiony siodła, skrył się za zwierzęciem, które pomknęło jak sam diabeł i schowało się za drzewami. Thalmayr znów zaklął, gdy zobaczył, że jeździec zwinnie wsuwa się z powrotem na siodło.

„Cholera jasna! Teraz się zacznie! Kiedy ten skurwysyn dotrze do swoich...”

Setnik usłyszał w powietrzu rwany, trzepoczący odgłos. Podniósł wzrok...

* * *

Balkar chan Tesh podniósł lornetkę do oczu. Gdy zobaczył, że Arthag bezpiecznie

dotarł do linii drzew odetchnął z ulgą. Teraz całą uwagę skupił na obcym żołnierzu, który dopiero co próbował zabić Arpathianina.

„To chyba rozwiązuje kwestię tego, czy potyczka na polanie wybuchła przez przypadek?” – pomyślał z ponurą satysfakcją.

Tamten idiota stał nadal w miejscu, na widoku i patrzył w ślad za odjeżdżającym Arthagiem. Chan Tesh wyszczerzył zęby w uśmiechu.

„Tym razem nie będziesz walczyć z cywilami ty nędzna gnido!”

* * *

Trzepot urwał się nagle i za Thalmayrem rozległa się gwałtowna, potężna eksplozja. Nabrzmiąle złością serce setnika niemal zamarło.

Nigdy wcześniej nie słyszał podobnego wybuchu. Nie przypominał syczącego iskrzenia błyskawicy miotanej przez smoki piechoty. Nie był to nawet głuchy grzmot ognistej kuli. Ten huk brzmiał jakoś... inaczej. Dźwięk był głębszy, bardziej donośny i o wiele głośniejszy. Do uszu oficera doleciały okrzyki bólu i przerażenia. Coś wybuchło tuż za umocnieniami. Zdjął go strach.

„Oni potrafią strzelać przez portal!” – przemknęło mu przez myśl.

Niedowierzanie nadal walczyło z przestraczem, gdy obrócił się za siebie w sama porę, by ujrzeć fontannę ognia i ziemi wznoszącą się z krateru, który zniemacka się przed nim otworzył. Nawet to wyglądało przedziwnie! Wydawało się, że eksplozja nastąpiła gdzieś pod ziemią, a przecież żadne zaklęcia nie potrafią wnikać pod ziemię!

To była jego pierwsza myśl. Zaraz potem zdał sobie sprawę z czegoś jeszcze. Czegoś niemal tak samo przerażającego, jak fakt, że artyleria obcych potrafiła penetrować zasłonę portalu.

Eksplozja miała miejsce tuż za przedpiersiem fortyfikacji. To oznaczało, że i one nie stanowiły dla obcych kanonierów żadnej przeszkody.

* * *

–Trochę za daleko, kapitanie – jeden z podoficerów poinformował kapitana chan Talmarha chwilę po tym, jak otworzył zasobnik, który nagle zmaterializował się tuż przy nim i odczytał pospiesznie wypisaną kartkę. – Za daleko, ale niewiele. Jakieś trzydzieści jardów.

–W dół trzydzieści! – warknął rozkaz chan Talmarha wskazując dłonią do

kanonierów obsługujących moździerz numer dwa. Sekundę później potężna rura wydała z siebie stłumione kasznięcie i z lufy wyleciał turkoczając kolejny pocisk.

*** * ***

Gdy nastąpił drugi wybuch setnik Thalmayr skrzywił się okropnie. Pierwsza eksplozja miała miejsce kawałek za umocnieniami, bardzo blisko stojących w równych rzędach namiotów. Drugi wybuch wdarł się dokładnie w pozycje jego artylerii. Tym razem ludzkie krzyki brzmiały już nie tylko strachem, lecz także bólem i agonią. Coś zawodząc śpiewnie przemknęło tuż obok jego ucha i stojący za Thalmayrem strażnik runął na ziemię dławiąc się własnym krzykiem.

Thalmayr spojrział na leżącego i zdjęła go jeszcze większa fala przerażenia. Niesamowita artyleria obcych nie była w stanie wywołać tak potężnych wybuchów jak smok polowy, ale daleko przewyższała siłą rażenia zwykłe smoki piechoty. W odróżnieniu natomiast od jakichkolwiek znanych Thalmayrowi smoków działa obcych siały także inny rodzaj zniszczenia. Coś wydobywało się z rykiem spomiędzy płomieni eksplozji i siekło ludzi oddalonych nawet o piętnaście lub dwadzieścia jardów!

*** * ***

–Teraz dobrze, kapitanie! – oznajmił radośnie żołnierz odczytujący kolejne nadchodzące wiadomości. Chan Talmarha pokazał kanonierom swe zęby.

–Siejemy, chłopcy! – zawołał – Dziesięć pod rząd! Ognia!

*** * ***

–Zdejmijcie tego drania! – zawołał kapitan chan Dersal, kiedy na wrogi obóz zaczęły spadać kolejne pociski moździerzy.

Wraz ze swoimi ludźmi znajdował się niecałe dwieście jardów od portalu. Imperialna piechota morska nie potrzebowała lepszej kryjówki niż ta linia drzew. Żołnierze chan Dersala podkradli się do niej niepostrzeżenie i od jakiegoś czasu oczekiwali w milczeniu na rozkaz.

Otrzymali go właśnie w tej chwili. Dla ludzi szkolonych w Imperialnym Ośrodku Piechoty Morskiej na wyspie Pairhys dwieście jardów nie stanowiło żadnego wyzwania.

*** * ***

Coś uderzyło Hadrigna Thalmayra w biodra. Rzuciło nim gwałtownie o ziemię. Krzyknął głośno i mgnienie później zobaczył walącego się bezgłośnie w dół drugiego

strażnika. Nawet wśród chaosu dźwięków dokoła setnik usłyszał ostre, groźne, suche trzaski dochodzące spomiędzy drzew. Coś małego i niewidzialnego zaczęło świstać dokoła w powietrzu.

Udało mu się podnieść na łokciach, lecz od pasa w dół jego ciało było zupełnie bezwładne. Każdy ruch powodował niewyobrażalne cierpienie. Chciał wykrzyknąć jakiś rozkaz. Nie wiedział jaki, ale nie miało to teraz znaczenia. Zanim zdążył otworzyć usta uwertura dwóch pierwszych wybuchów przeszła w ogniste crescendo.

* * *

Balkar chan Tesh uśmiechnął się odsłaniając białe zęby. Pociski moździerzy wybuchały jeden za drugim. Obcy, skrywający się za nędznymi umocnieniami, nie mieli żadnej szansy na uniknięcie wściekłego ostrzału baterii chan Talmarha. Nie mieli bunkrów. Niczego, pod co mogliby uciec, nie mieli nawet okopów. Siejące dokoła odłamkami eksplozje kroczyły po bazie obcych jak olbrzym odziany w buty z płomienia, zamieniając fortyfikacje, które miały ocalić ich życie w jedną wielką rzeźnię.

* * *

Thalmayr nabiegłymi strachem oczyma oglądał masakrę kompanii C, Drugiej Andarańskiej Temporalnej Brygady Rozpoznawczej. „Bezpieczny” teren za umocnieniami przerodził się w pola śmierci. Jego żołnierze nie wiedzieli nawet, co ich morduje. Wroga artyleria strzelała przez portal. Wybuchy jej niewidzialnych pocisków rozlegały się co chwila, wszędzie dokoła.

Na własne nieszczęście żołnierze kompanii C nie chcieli ginąć bez walki.

* * *

Gdy nieprzyjacielska piechota rzuciła się spoza swych umocnień do ataku chan Tesh otworzył szeroko oczy ze zdumienia. Ich straty już teraz musiały być bardzo poważne – to było pewne – a jednak nacierali. Rzucili się wprost na ukrytych wśród drzew strzelców uzbrojeni jedynie w te swoje antyczne kusze. Gdzieś tam kilku z nich taszczyło dziwną, połyskującą broń, która miotła ogniste kule. Żołnierze piechoty morskiej wiedzieli jednak dobrze, czym grożą opalizujące rury i niosący je obcy padli na ziemię jako pierwsi.

Wtedy odezwały się karabiny maszynowe.

Faraika I był dwulufowym karabinem na korbę. Strzelał taką samą amunicją kalibru.40 co karabin Model 10. W istocie Faraika składał się z dwóch oddzielnych karabinów, obracających się dokoła wspólnej osi i z niezwykle szybkością plujących pociskami.

Amunicję podawano na taśmie, co pozwalało tej broni osiągać oszałamiającą wydajność niemal dwustu strzałów na minutę. Faraika oczywiście nie mógł strzelać bez przerwy – lufy szybko się przegrzewały, lecz po każdej stronie portalu rozmieszczono ich pięć.

*** * ***

–Nie! – wrzasnął Thalmayr, gdy niesamowita lawina ognia przetoczyła się po jego ludziach. Krew tryskała w górę obrzydliwymi fontannami. Szarżujący kusznicy padali ścinani wybuchającymi im w piersiach i głowach ciosami nieznannej, piorunującej broni obcych.

Widok był zbyt straszny. To już nawet nie była masakra.

*** * ***

–Wstrzymać ogień! Wstrzymać ogień! – krzyknął chan Test. – Tairsal, każ moźdierzom przestać! Już!

Rozkaz został posłany tak szybko, jak to było możliwe. Moździerze zasypywały wroga swymi cztero i pół calowymi pociskami jednak jeszcze przez kilka dobrych sekund.

Gdy tylko artyleria ucichła kawalerzyści Hulmoka Arthaga, zgodnie z planem, poprowadzili naprzód kompanię chan Tesha. Poszli szarżą na portal, by zabezpieczyć teren zanim przeciwnik zdoła otrząsnąć się po ostrzale.

*** * ***

Setnik Thalmayr słabnącym wzrokiem zobaczył przynajmniej stu kawalerzystów wypadających spomiędzy drzew. Jechali wprost przez szeregi jego ludzi. Nawet mimo swego bólu i porażającej rozpaczony setnik zrozumiał, że obcym zależało bardziej na przedarciu się przez portal niż na kontynuowaniu rzezi. Jeźdźcy ignorowali rannych kuszników, nie zwracali uwagi także na zdrowych, jeśli tylko nie napotykali z ich strony na opór.

Gdzeniegdzie któryś z żołnierzy – niesiony na skrzydłach nienawiści, szału bitewnego, czy po prostu poczucia obowiązku – próbował podjąć walkę. Kawalerzyści mieli jednak w dłoniach swą przerażającą broń. Thalmayr aż jęknął na widok kolejnych padających.

Szarżę obcych prowadził jeździec na złotym koniu, którego widział wcześniej. Niewysokie umocnienia przeskoczył jako pierwszy, jednym, pełnym wdzięku susem. Za nim poszli następni.

Wśród poskręcanych trupów towarzyszy stało jeszcze kilku kanonierów ze smokami. Thalmayr zobaczył jak jeden z nich obraca lufę i strzela. Kula ognia objęła trzech jeźdźców. Ktoś wrzasnął. Wtedy rozległy się suche trzaski broni obcych i kanonier wraz ze swym pomocnikiem natychmiast osunęli się na ziemię.

Połowa kawalerzystów skierowała swe konie na skrzydła obozu. Reszta wpadła prosto między namioty.

Wielu jeźdźców zeskoczyło z wierzchowców. Ruszyli do namiotów. Broń trzymali w pogotowiu. Thalmayr po raz kolejny poczuł jak strach dławi go za gardło. Tam nadal byli przecież ranni, których nie zdążono ewakuować jeszcze na wybrzeże. Ludzie, którzy nie mogli się sami obronić. Co jeśli...?

Jakiś ruch przykuł jego uwagę. Magister Halathyn wypadł ze swego namiotu. Zachwiał się ściskając ręką broczące krwią ramię. Po chwili padł na kolana w błoto. Tuż za naukowcem wypadł z namiotu wrogi żołnierz i zaczął coś krzyczeć. Wymierzył swą upiorną broń w starego magistra.

Naukowiec mówił coś nieskładnie i wskazywał energicznie to na wschód, to na pełne rannych namioty. Kawalerzysta przyglądał mu się gniewnie przez chwilę, która wydała się Thalmayrowi wiecznością nie spuszczając z Halathyna wylotu swej broni. Potem ją jednak opuścił i skierował rurę w bok. Wyciągnął rękę i pomógł naukowcowi wstać.

Thalmayr odetchnął z ulgą – chwilę później wrzasnął jednak z bezsilności. Z resztek umocnień wystrzeliła błyskawica. Dwóch obcych jeźdźców spadło z koni. Piorun jednak pomknął naprzód i przebił magistra Halathyna i stojącego przy nim obcego żołnierza.

Upadli natychmiast skręcając się w płomieniach. Błyskawica uniosła i zakręciła ich ciałami w powietrzu, po czym rzuciło nimi w błoto. Znieruchomieli.

–Magister Halathyn! Bogowie...

Dopiero po kilku chwilach do Thalmayra dotarło, że były to jego własne słowa. Wtedy, wreszcie wessała go miłosierna pustka.

Rozdział 20

W Jasaku Olderhanie zmagaly się niecierpliwosc, frustracja, wscieklosc i strach.

Otwal Threbuch bardzo się spóźniał. Żołnierz o jego doświadczeniu i umiejętnościach dawno już powinien dotrzeć do ósemki i z powrotem. Tymczasem, jak wynikało z przesłanego bręczkiem raportu setnika Thalmayra do bazy na bagnach dotarli już wszyscy ranni, lecz nadal nie było ani śladu Threbucha ani Emiyeta Borkaza.

Takie opóźnienie było bardzo niepokojące. Czyżby Threbuch natknął się na kolejny oddział pobratymców Shaylar? Nawet jeśli tak, nie znaczyło to wcale, że musiało dojść do najgorszego. Możliwe też, że po prostu chodziło o to, iż pod róż przy zachowaniu najwyższej ostrożności rzeczywiście musiała zabrać zwiadowcy tak dużo czasu. Jasak uświadomił sobie, że nie miał pojęcia jak wielki jest portal do którego wysłał miecznika. Jeśli Gadrial i magister Halathyn nie mylili się w swych ocenach, przyczyną opóźnienia mogły być same tylko rozmiary nowego portalu. Tym bardziej, że Threbuch posługiwał się przecież bardzo surową definicją pojęcia „dokładne rozpoznanie”. Co więcej – Gadrial przyznawała, że jej wykrywacz portali jest dopiero w fazie eksperymentów.

Możliwe więc, że odczyty z urządzenia mylnie wskazywały odległości i rozmiary.

W skrócie – istniało bardzo wiele powodów, dla których miecznik miał prawo się spóźnić. Niestety, biorąc pod uwagę to wszystko, co wydarzyło się dotąd, Jasakowi ciężko było zdobyć się na optymizm.

Kolejnym powodem do zmartwienia i wsciekłości było to, że trzeci pluton Thermana Ulthara został odesłany smokiem na bagna, gdzie miał wesprzeć ludzi Thalmayra broniących „świętej ziemi Arkany”. Im dłużej Olderhan zastanawiał się nad pozycją zajmowaną przez żołnierzy Thalmayra, tym w ciemniejszych barwach postrzegał możliwości jej obrony – nawet w kategoriach czysto taktycznych. Podejrzał zresztą, że nie jest w swoich wątpliwościach odosobniony. Pięćsetnik Klian poparł co prawda pomysł obrony bagiennego portalu, ale Jasak miał wrażenie, że dowódca żywi znacznie więcej zastrzeżeń niż przyznawał na zewnątrz.

Niedawno też Klian wysłał prośbę do Fortu Wyvern, z którego miał nadzieję otrzymać kilka rozpoznawczych gryfów. W innym, doskonałym świecie byłyby już w Rycharn od dawna. W końcu to tu znajdował się najbliższy niedawno odkrytego portalu fort. W rzeczywistości jednak, podobnie jak w przypadku wielu innych rzeczy na dalekich rubieżach, gryfów było ciągle za mało. Dowodzący Pięcioma Tysiącami Waysal Grantyl, dowódca Fortu Wyvern, dysponował jedynie czterema i – z siebie tylko znanych powodów – postanowił, że lepiej będzie, jeśli zachowa je pod swoją

bezpośrednią kontrolą. Na decyzji Grantyla zaważyło z pewnością i to, że gęsto zalesiony teren po drugiej stronie bagiennego portalu stanowił jeden z najgorszych rodzajów terenu dla rozpoznawczych gryfów. Jasak co noc modlił się, by znając obecną sytuację, Grantyl uległ jednak prośbom Kliana. Bez względu na teren czekali tam przecież na pomoc jego ludzie.

Wiedział też jednak, że nawet jeśli Grantyl zechce przysłać im gryfy, to cała procedura zajmie ponad tydzień. Prośba Kliana musiała dotrzeć do Fortu Wyvern, a gryfy z powrotem do Rycharn. Z goryczą uświadomił sobie też i to, że czekający na pomoc ludzie nie byli już „jego”. Ten nadęty idiota Thalmayr powiedział mu to przecież jasno. Dla Jasaka jednak znaczyło to przede wszystkim tyle, że nie mógł zrobić nic, by ich ochronić.

Zanim smoki transportowe przeniosły trzeci pluton na bagna, Olderhan odbył z półsetnikiem Ultharem krótką rozmowę. Regulamin uniemożliwiał Jasakowi szczerą rozmowę o zastrzeżeniach wobec nowego dowódcy oddziału Ulthara, ale obaj żołnierze znali się już długo. Olderhan był pewny, że Ulthar wszystko, co trzeba wyczytał między wersami. Półsetnik stanowił dokładne przeciwieństwo nieżyjącego, nieopłakiwanego przez nikogo Shevana Garlatha. Jasak wiedział, że Ulthar w miarę możliwości robi wszystko co w jego mocy, by nie dopuścić do katastrofy. Oczywiście dowódca plutonu nie mógł działać wiele wbrew rozkazom Dowodzącego Setką, ale mimo wszystko...

Jasak stał i wyglądał chmurnie przez wychodzące na wschód okno swej kwatery. Patrzył na piękne, tropikalne morze, nad którym słońce zmierzało ku zachodniemu horyzontowi. Widok powinien przynieść mu ukojenie, lecz w tej chwili miękkie cienie i spokojna, turkusowa toń tylko pogłębiały jego rozdrażnienie. Spojrzał na swój kryształ i sprawdził czas. Syknął ze zdziwienia i frustracji. Za pół godziny będzie już pora obiadu, który zajmie następną godzinę. Postanowił po obiedzie zajrzeć do centrum łączności fortu, żeby sprawdzić czy nie ma jakichkolwiek wieści o Threbuchu. Napomniał się też, by nie okazywać zbytniego niepokoju na zewnątrz.

Zdawał sobie jednak sprawę, że niewielu ludzi uwierzy w jego spokój.

Odwrócił się od okna, wyszedł z pokoju i ruszył do kwater zajmowanych przez Gadrial i jeńców. Droga prowadziła za zbrojownią i kiedy tamtędy szedł zatrzymał się nagle zaskoczony. Usłyszał cichy, chrapliwy głos szepczący coś po mythalańsku.

Jako syn i dziedzic Diuka Garth Showman, Olderhan odebrał solidną edukację i znał przynajmniej podstawy każdego z głównych języków Arkany, w tym i mythalańskiego. Przez ostatnie kilka lat nie używał go tak często, jak innych, ale zupełnie niedawno odświeżył go sobie dzięki rozmowom z magistrem Halathynem. Co prawda naukowiec był zniesmaczony okropnym akcentem Jasaka, niemniej te konwersacje pozwoliły Olderhanowi odkurzyć nieco dawno zapomniane konstrukcje

mowy Mythalan.

Teraz jednak, słysząc rozmowę Jasak zmrużył oczy, a twarz nabiegła mu krwią.

–...pieprzony *garthan*! Czy naprawdę jesteś aż tak głupi, żeby myśleć, iż skoro uciekłeś ze swojej ojczyzny, możesz teraz stroić nabzdyczone miny i zachowywać się jak ktoś, kto jest mi równy?

Jasak potrzebował chwili, by rozpoznać mówiącego. Wreszcie zrozumiał. Głos należał do lansjera Boka vos Hovena, Obdarzonego inżyniera bojowego, który został przeniesiony do pierwszego plutonu wraz z Shevanem Garlathem, kiedy ten przybył w zastępstwie za półsetnika Thaylara. Zadaniem Vos Hovena było ładowanie wyczerpanych zasobników do smoków piechoty. Olderhan był nieco zaskoczony widząc jego mythalańskie nazwisko na liście żołnierzy plutonu.

W kadrze podoficerskiej armii Arkany było niewielu członków kasty *shakira*. Bardzo niewielu, tak samo jak niewielu służyło w niej *multhari*, przed nazwiskiem których występowały cząstki „vos i mul” zamiast zwykłego „vos”. Vos Hoven nie był *multhari* co wzbudziło ciekawość Jasaka, lecz do tej pory zachowywał ją dla siebie, zwłaszcza, że Garlath – bezpośredni dowódca Mythalanina wydawał się zadowolony z jego pracy. Co więcej, to właśnie Shevan osobiście poprosił o przeniesienie vos Hovena z jego macierzystej jednostki zaraz po tym jak przejął pierwszy pluton.

„Co dużo wcześniej powinno wzbudzić moją czujność” – pomyślał ponuro Olderhan.

Vos Hoven został ranny w potyczce na polanie, mimo że nie opuścił – ani nie chciał opuścić – swego w miarę bezpiecznego miejsca na tyłach. Obcy trafili go w ramię ze swej porażającej broni. Staw żołnierza został poważnie uszkodzony i dlatego też trafił wraz z innymi rannymi do Rycharn. Energia z jaką teraz mówił świadczyła jednak o tym, że medycy w formie sprawili się dobrze i po jego ranie nie było już śladu. Niestety.

–Proszę, vos Hoven – powiedział ktoś drugi. Jasak, który był już i tak bardzo rozwścieczony poczuł ogarniającą go furję, kiedy w błagalnym tonie rozpoznał głos Jugthara Sendahliego. Sendahli także odniósł poważne obrażenia. On z kolei dostał czołgając się pod nieprzyjacielskim ostrzałem do smoka piechoty, którego obsługa leżała martwa. – Nie chciałem okazać ci braku szacunku Wspaniały Panie. Ja tylko...

–Co tylko? – warknął vos Hoven. – Tylko myślałeś, że zachowasz pieniądze dla siebie? Tego chciałeś?

–To mój żołd, Wspaniały Panie – zawołał ze strachem *garthan*, który wcześniej wykazał się niezmierną odwagą w obliczu wroga. – To jedyne pieniądze, jakie ma moja rodzina. Żona i syn i...

Głos Sendahlego urwał się nagle przy wtórze dźwięku pięści uderzającej w ciało. Sir Jasak Olderhan wypadł zza rogu zbrojowni jak szarżujący nosorożec.

–Co ty do cholery wyprawiasz, vos Hoven?

Shakira obrócił się z winą malującą się na twarzy. Spojrzał na Jasaka szeroko otwartymi oczyma. Nie zdążył nawet opuścić gotowej do kolejnego uderzenia pięści. Odskoczył w tył i wypuścił z dłoni bluzę munduru Sendahlego. Garthan zachwiał się i Jasak wpadł w jeszcze większy szal, gdy zobaczył płynącą z rozbitego nosa i rozciętych warg żołnierza krew. Uderzenie, które słyszał przed chwilą Olderhan na pewno nie było pierwszym. Przez oblicze vos Hovena przemknął strach. Wtedy jednak w jego oczach pojawiło się coś innego i przerażenie ustąpiło złośliwemu uśmieszkowi.

–Wprowadzam dyscyplinę w naszych szeregach, Sir – odpowiedział.

Kombinacja uśmiechu i kpiącego nacisku z jakim wypowiedział słowo „sir” powiedziało Jasakowi wszystko o tym, co działo się w umyśle aroganckiego Mythalanina. Vos Hoven spodziewał się, że Jasak zostanie wkrótce usunięty ze służby, a w myśl zasad kultury z jakiej pochodził oznaczało to także, że Olderhan nie mógłby rzucać na niego żadnych oskarżeń – zwłaszcza przeciwko komuś, kto miał prawo posługiwać się przedrostkiem „vos”. Zapomniał jednak, że nie byli teraz w Mythal. Być może *shakira* nie mylił się co do przyszłości Olderhana, ale dopóki nikt go oficjalnie nie usunął z armii, nadal był oficerem Unii Arkany. Poza tym – bez względu na to, co miało się wydarzyć – był także synem Thankhara i Sathmin Olderhan.

–Pieprzenie! – syknął Jasak. – Właśnie wpakowałeś się do aresztu, żołnierzu! Zgłoś się natychmiast do szefa żandarmerii. Już!

–Co? – Vos Hovenowi opadła szczęka. W oczach zapłonęła mu nienawiść. – Jak śmiesz? Czy wiesz z jakiego wywodzę się rodu?

–Dlaczego niby miałoby mnie to obchodzić? Nie dba o twoją cholerną rodzinę! – Jasak nie podejrzewał dotąd, że jest zdolny do takiej furii – tak wściekły nie był nawet na Shevan Garlatha. – I jeśli o mnie chodzi to możesz sobie pyskować do woli. W raporcie karnym zmieści się sporo.

–W jakim raporcie karnym? – Vos Hoven zaśmiał się wyzywająco. – Jesteś tak głupi, że wydaje ci się, że moja rodzina dopuści do...

Jasak jednym krokiem znalazł się twarzą w twarz z niższym i delikatniej zbudowanym *shakira*. Vos Hoven otworzył oczy jeszcze szerzej. Cofnął się pospiesznie o kilka stóp i uderzył plecami w ścianę zbrojowni. Na jego wściekłym obliczu znów zagościł strach.

–Nie obchodzi mnie twoja rodzina, ty arogancki, mythalański fiucie – oznajmił Jasak cichym, groźnie spokojnym głosem. Jego gniew przeszedł w jednej chwili z płomiennego w lodowaty. – Regulaminu Wojennego nie zmieni nawet starszyzna kasty.

–Regulaminu Wojennego? – powtórzył vos Hoven, jakby były to słowa z jakiegoś obcego języka. Pokręcił głową. – Na jakiej podstawie? – zapytał z naciskiem.

–Zacniemy od napaści na towarzysza broni – wyjaśnił chłodno Jasak – dodamy do tego wymuszenie, mające na celu osobistą korzyść finansową a także zachowanie niegodne żołnierza. A całość zakończymy – chyba, że jeszcze coś powiesz na niesubordynacji i niepodporządkowaniu się rozkazom przełożonego. Biorąc pod uwagę okoliczności sąd prawdopodobnie doda do tego wszystkiego „w warunkach wojny”.

Vos Hoven nabrał gwałtownie powietrza. Ostatni zarzut mógł go zaprowadzić prosto w paszczę smoka – tak od pradawnych czasów żołnierze nazywali egzekucję. W najlepszym wypadku skończyłby w więzieniu, zdegradowany i poniżony... takiej zniewagi żaden ze starszych kasty *shakira* nie mógł tolerować u członków swojego klanu. Popatrzył przez chwilę na Jasaka, po czym wyprostował się i odetchnął.

–Sir, pan niewłaściwie zinterpretował tę sytuację – powiedział nagle spokojnie. Z jego twarzy zniknął wszelki ślad sprzeciwu. – Zdaję sobie sprawę jak to mogło wyglądać, ale z całym szacunkiem, jestem zmuszony zaprotestować przeciwko tak surowym oskarżeniom. Zaczęło się od tego, że zostałem zaatakowany przez tego tu żołnierza i być może przesadziłem działając w obronie własnej. Żadna próba wymuszenia nie miała jednak miejsca.

Jasak wydał pogardliwie wargę i zastanowił się, jak vos Hoven chciał oszukać stosowane w sądach wojskowych zaklęcia wykrywające kłamstwa. *Shakira* popatrzył na niego przez chwilę, wzruszył ramionami i odsunął się spod ściany.

–Przepraszam za mój ton – ciągnął – ale skoro już wyjaśniliśmy wszystko jestem pewien, że...

W jego ręku znikąd pojawił się nóż bojowy. Rzucił się naprzód.

Zaskoczony Jasak otworzył szeroko oczy, lecz lewą ręką pchnął vos Hovena w wewnętrzną stronę ramienia i odtrącił ostrze na bok. Jednocześnie wykręcił tors, odsuwając się z linii pchnięcia. Prawą dłonią sięgnął do napastnika. Vos Hoven odskoczył unikając palców Jasaka i zawirował w prawo. Szukająca miecza ręka Olderhana trafiła w powietrze. Wychodząc na obiad zostawił go w kwaterze. Zaklął szpetnie przypominając sobie, gdzie pozostawił broń. *Shakira* domyślił się, co zmartwiło oficera i wyszczerzył zęby w groźnym uśmiechu. Przygotował się do

kolejnego ataku i rzucił się naprzód, lecz zanim zdołał osiągnąć Olderhana do przodu rzucił się *garthan*.

Tego vos Hoven nie spodziewał się zupełnie. Całą uwagę skupił na Jasaku i o Sendahlim przypomniał sobie dopiero, gdy poczuł jego dłoń na swoim nadgarstku. Garthan podskoczył bliżej unosząc rękę i obrócił ją w lewo wykręcając ramię *shakiry*. Vos Hoven krzyknął z bólu. Ostrze noża uniosło się bardzo wysoko do góry, niemal do samego policzka. Z kolejnym, jeszcze ostrzejszym krzykiem wypuścił broń. Sendahli przycisnął mocniej i vos Hoven padł na kolana. Pochylił się, podparł na lewej dłoni próbując ulżyć swej pulsującej silnym bólem prawej ręce i ramieniu.

Jasak wyprostował się i spojrzał z góry na unieruchomionego *shakirę*.

–Mówiłem, że w raporcie karnym jest sporo miejsca – powiedział beznamiętnie – zmieści się tam także zarzut próby zabójstwa oficera.

Dźwięk, który wydał z siebie vos Hoven był czymś pomiędzy wściekłym rykiem, a przerażonym skomleniem. Jasak spojrzał na *garthana*.

–Dzięki, Sendahli.

Żołnierz skinął w milczeniu. Na jego obitej twarzy tańczył gniew. Gniew i strach. Jasakiem targnęła nowa fala wściekłości, gdy przyjrzał się posiniaczonemu obliczu żołnierza. Podbite oko napuchło już niemal tak, że nie był w stanie go otworzyć. To, co zrobił przed chwilą z vos Hovenem dobitnie świadczyło o tym, że przedtem pozwalał się bić *shakirze* dobrowolnie.

–Podnieś go – powiedział Jasak i kiedy Sendahli podciągał vos Hovena do góry sięgnął do kieszeni. Wyciągnął z niej mały zasobnik z zakłębieniem, stanął za *shakirą* i złączył nadgarstki pojmanego podoficera. Wcisnął między nie kostkę sarkolisu i nacisnął jeden z kolorowych przycisków.

Vos Hoven jęknął czując nową niewygodę. Jasak ani trochę się tym nie zmartwił.

Zakłębienia magazynowane w standardowym kryształach wojskowym służyły wielu różnym celom. Można było dzięki nim rozpalić ogień, lub nawet nadawać sygnały pilotom rozpoznania, patrolującym okolicę. Zakłębienie, którego użył Olderhan służyło do wiązania ze sobą przedmiotów w rodzaju stosów drewna na opał. Siła z jaką działało nie należała do najłagodniejszych, choć nie mogła zadać vos Hovenowi żadnych trwałych obrażeń – nie przez tak krótki czas. Niemniej musiało boleć jak cholera, o czym Jasak pomyślał z niejaką satysfakcją.

Odwrócił vos Hovena twarzą do siebie i pchnął go na ścianę zbrojowni.

–Stój tu – powiedział lodowatym głosem. – Ruszysz się dopiero jak ci powiem,

chyba że chcesz żeby cię w tym forcie pochowano.

Vos Hoven spojrzał na niego z niedowierzaniem. Na przemian otwierał i zamykał usta. Jasak popatrzył na niego przez chwilę, po czym zwrócił się do Sendahliego. Żołnierz skrzywił się, gdy Jasak delikatnie zbadał palcem jego opuchniętą twarz. Setnik pokręcił głową.

–Będą mi potrzebne twoje zeznania Sendahli – powiedział cicho. – Jak tylko mi je dostarczysz zgłoś się do szpitala. Zanim cię wyleczą poproś o zapis obrazów swej twarzy i poświadczony opis obrażeń.

–Tak jest, Sir – niemal szeptem odpowiedział Sendahli. Jasak zacisnął usta czując prawie namacalny wstyd *garthana*. Żołnierz wiedział, że dowódca domyślił się, że sam pozwalał się bić.

–Jugthar – Jasak opuścił rękę na ramię pobitego – jak skończymy z tym i wrócisz od medyka pięćsetnik Klian wręczy ci medal.

–Sir? – oczy zwiadowcy wyrażały niepewność.

–Zostaniesz odznaczony za odwagę w boju – wyjaśnił Jasak. – Myślałeś, że nie widziałem coś tam wyprawiał? Sam zaproponowałem twój awans jeszcze przed polaną. To, co stało się tam tylko potwierdziło moje przypuszczenia. Więc głowa do góry, żołnierzu i nie przejmuj się tym, co mówią takie dupki jak ten – wskazał ruchem głowy vos Hovena. – Nie masz się czego wstydzić, a za to masz masę powodów do dumy. Słyszysz mnie?

Żołnierz, który uciekł z niewoli w Mythal zamrugał gwałtownie i przełknął ślinę. Skinął głową i spojrzał Jasakowi prosto w oczy.

–Tak jest, Sir – powiedział. – Dziękuję, Sir. – nabrał głęboko powietrza. – To zaszczyt służyć u pana. Nigdy tego nie zapomnę.

Wzruszony otwartością *garthana* Jasak raz jeszcze poklepał go po ramieniu, po czym spojrzał na vos Hovena.

–A teraz, lansjerze vos Hoven, pójdziemy porozmawiać o twoim zachowaniu z pięćsetnikiem Khanem.

W oczach *shakiry* znów zabłysła żądza mordy, odwrócił się jednak posłusznie i bez sprzeciwu ruszył w stronę kwatery dowódcy fortu. Jasak podniósł z ziemi upuszczony sztylet i poszedł za nim w milczeniu. Sendahli trzymał się o krok z tyłu.

Olderhan miał gorzką świadomość, że to wszystko była jego wina. Wiedział przecież, że vos Hoven pojawił się w plutonie dzięki rekomendacji Garlatha. Sam ten

fakt powinien wzbudzić w nim podejrzliwość. Powinien był uważniej obserwować *shakirę* i wcześniej zauważyć co działo się między nim a Sendahlim. Z drugiej strony Jasak zrozumiał, że vos Hoven mógł czekać z „ustawieniem” *garthana* do momentu, kiedy oficer udał się na przepustkę, z której odwołano go po odkryciu przez magistra Halathyna nowego portalu.

–Mythalanie! – złorzeczył pod nosem Jasak, wpatrując się w plecy vos Hovena. Istnienie kasty *shakira* wystarczało, by okryć niesławą wszystkich Obdarzonych w Arkanie. Teraz jednak przynajmniej ten jeden nie będzie mógł terroryzować więcej żadnych *garthan*. Nic dziwnego, że Halathyn vos Dulainah opuścił Mythal z niesmakiem!

Jasak często zastanawiał się nad tym, w jaki sposób magister Halathyn uwolnił się od wspólnego dla wszystkich *shakira* przekonania o własnej wyższości. Wątpił jednak czy ktokolwiek to wie, a poza tym sam nie był pewien, czy miało to jakiegokolwiek znaczenie. Bez względu na przyczyny tego stanu rzeczy, skorzystała na tym przecież cała Arkana. Popchnął vos Hovena i weszli do budynku dowództwa. Pomyślał, że Halathyn stanowi żywy dowód na to, co zawsze powtarzała matka Jasaka – nie wszyscy *shakira* zasługiwali na wzgardę. Diuczesa Garth Showma mówiła tak, mimo, że gardziła tą kastą tak samo gorąco jak jej syn.

Adiutant pięćsetnika Kliana ze zdumieniem spojrział na skrępowanego *shakirę* i pobitą twarz *garthana*. Z równym zaskoczeniem zauważył trzymany przez Jasaka nóż. Zwykły wyraz na jego twarzy powrócił, kiedy Olderhan zażądał widzenia z dowódcą.

–Oczywiście, setniku – powiedział. – Proszę chwilę zaczekać.

Wstał, zapukał do drzwi gabinetu i zniknął za nimi na kilka chwil. Potem wyszedł i otworzył je szeroko.

–Pięćsetnik przyjmie, Sir – obwieścił.

Jasak podziękował adiutantowi i wprowadził więźnia do gabinetu Kliana.

–O co tu chodzi, setniku Olderhan? – zapytał chłodno pięćsetnik i zauważył posiniaczoną twarz żołnierza, któremu dopiero co podpisał rozkaz o przyznaniu odznaczenia. Oczy mu pobladły.

–Przepraszam, że przeszkadzam, Sir – powiedział Jasak kładąc dziesięciocalowy sztylet vos Hovena na biurku – ale mamy mały problem.

–Jaki problem? – zapytał Klian i Jasak szczegółowo opowiedział o wyczynach bratanka przywódcy kasty – jednego z najpotężniejszych ludzi w całym Mythal. Powiedział też o tym, co usłyszał w podsłuchanej rozmowie.

W miarę jak Klian poznawał kolejne szczegóły wyraz jego twarzy zmieniał się z obojętnego we wściekły. Gdy Jasak skończył raport Klian zadał kilkanaście pytań Sendahliemu. *Garthan* odpowiadał karnie. Wyraźnie bardzo się bał. Kiedy Sendahli umilkł Klian spojrzał na *vos Hovena* spojrzeniem, które wydawało się palić żywym ogniem.

–Rozumiem – powiedział i odwrócił się do *Olderhana*. – Rozumiem setniku, że składasz oficjalne oskarżenie wobec aresztanta?

–Tak jest, Sir – Jasak powtórzył listę zarzutów przeciwko *vos Hovenowi*.

–Poprę każdy z nich – powiedział ponuro Klian. Jasak kątem oka zauważył, że *shakira* wreszcie zmarkotniała. „To niewiarygodne” – pomyślał. *Vos Hoven* najwyraźniej aż do tego momentu spodziewał się, że Klian odrzuci wszystkie oskarżenia wyłącznie z powodu rodowodu więźnia.

–Próba zabójstwa jest poważnym przestępstwem – ciągnął zimno pięćsetnik – więc sprawa musi trafić przed oficjalny sąd. Ja nie mam uprawnień, by ją poprowadzić, ani nie mam do dyspozycji oficerów, którzy mogliby go utworzyć. To co mogę zrobić i co zrobię, to dopilnuję by oskarżony zaczekał tu w areszcie i dopilnuję, by wraz z tobą wrócił do *Arkany*, gdzie stanie przed sądem.

Ostatnie zdanie *Kliana* nieco *Jasaka* zaskoczyło.

–Gdybym mógł to z przyjemnością kazałbym go powiesić na miejscu, setniku – dodał dowódca. – Biorąc pod uwagę to, co powiedział mi *Sendahli* nie mam najmniejszych wątpliwości, że zarzuty nie zostaną oddalone. Niemniej, przez to, co stało się z pierwszym plutonem sytuacja jest trochę skomplikowana. Obawiam się, że wywiad zechce porozmawiać z każdym uczestnikiem bitwy na polanie.

W oku pięćsetnika pojawił się błysk ostrzeżenia. Jasak zrozumiał natychmiast. *Vos Hoven* był obecny i przy pierwszym kontakcie i przy masakrze. *Olderhan* był pewien, że Klian osobiście wierzył jego raportowi, ale obaj dobrze wiedzieli, że sprawa będzie poddana dalszemu dochodzeniu. Nie było innej możliwości. I mogło wyglądać na to, że Jasak rzucił oskarżenie na *shakirę*, by pozbyć się niewygodnego świadka.

Setnik zacisnął zęby. O tym nie pomyślał, a powinien był. *Vos Hoven* na pewno do niczego się nie przyzna. Żaden z członków jego kasty nie da wiary oskarżeniom. Użyją za to wszystkich swoich wpływów, każdej dostępnej sztuczki, by nie dopuścić do skazy na honorze jaką byłoby skazanie podoficera. Sir *Jasak Olderhan* – jako powód kłopotów *shakiry* – zyska natomiast kolejnych, potężnych nieprzyjaciół. Dokładnie takich nieprzyjaciół, jakich nie potrzebował nikt, kto miał wkrótce przejść przez sito wojskowego postępowania wyjaśniającego.

–Rozumiem, Sir – odpowiedział spokojnie i Klian skinął głową z lekkim, przyjaznym

uśmiechem.

–Wierzę, że pan rozumie setniku – powiedział i spojrzał na swego adiutanta. – Proszę przyprowadzić szefa żandarmerii, Verayk.

–Tak jest, Sir – adiutant zniknął. Jasak rzucił okiem na Jugthara Sendahliego. Wzrok *garthana* powiedział mu, że i on wiedział, jakich wrogów właśnie sobie narobili. Ta świadomość tylko pogorszyła niepokój Jasaka.

* * *

„Nic na to nie poradzę” – pomyślał. Zawsze uważał, że na zaszczyt noszenia munduru musiał sobie zasłużyć odpowiednim postępowaniem. Poza tym – sam posiadał niezgorsze koneksje i był gotów w odpowiedniej chwili zająć się konfliktem z przywódcami *shakiry*. Tymczasem czekały go inne zadania.

Z satysfakcją popatrzył za wyprowadzanym do aresztu Bokiem vos Hovenem, po czym osobiście odprowadził Sendahliego do szpitala. Zanim tam dotarli *garthan* szedł już dumnie wyprostowany i zachowywał się tak, jak powinien czynić to żołnierz Arkany, a nie jak ta podła istota, którą starał się z niego uczynić vos Hoven.

Jasak pozostawił go pod opieką lekarzy i poczuł ogarniające go zadowolenie. Może niewiele osiągnął w mundurze oficera, lecz przynajmniej ocalił karierę temu jednemu żołnierzowi. Nie było to nadzwyczajne podsumowanie, ale w obecnej sytuacji obawiał się, że tacy żołnierze mogą się wkrótce bardzo przydać.

Popatrzył jeszcze chwilę na opatrywanego Sendahliego, po czym, mając nadzieję, że jego ocena sytuacji jest błędna, udał się do kwatery Gadrial, którą chciał zabrać na obiad. I znów zaczął martwić się o spóźniającego się Otwala Threbucha.

Rozdział 21

W sali obrad prezydium Zarządu Portali powietrze było aż ciężkie od nastroju wyczekiwania. Orem Limana – dyrektor naczelny – powiódł wzrokiem po zebranych współpracownikach. Wszyscy wiedzieli już oczywiście, że Coś się Wydarzyło. Szepty, półsłówka i spekulacje krążyły już od tygodni, od momentu w którym do centrum komunikacyjnego Zarządu zaczęły sphywać zaszyfrowane wiadomości Głosów. Przekazy niosły ze sobą jedną, podstawową informację: nowy portal.

Każda z firm zajmujących się eksploracją multiwersum używała swego własnego wewnętrznego szyfru znanego jedynie pracującym dla danej spółki Głosom i Zarządowi. W ten właśnie sposób szyfrowano roszczenia do praw własności każdego z nowo odkrytych portali. Zarząd przechowywał kopie ksiąg kodowych i wiadomości każdej z firm. Pilnowano ich ze szczególną pieczołowitością – każdy z urzędników, który złamałby surowe zasady dostępu do tajnych przekazów trafiłby do więzienia zanim by się obejrzał. Zarząd Portali bardzo poważnie traktował prawa spółek i ludzi, którzy ryzykowali swymi pieniędzmi, potem i krwią w niebezpiecznej pracy na pograniczu.

Limana zasiadał w fotelu dyrektora naczelnego Zarządu Portali od dwudziestu lat. Przez cały ten czas osobiście pilnował, by wszyscy pracownicy szanowali regulamin, przede wszystkim dlatego, że sam wierzył w jego zasady z całą mocą. W Zarządzie bano się go i szanowano zarazem, a ponieważ wierzył w sprawiedliwość, dobrze pamiętał kto z jego ludzi gra czysto, a kto próbuje nieuczciwych sztuczek. Wiedział, którzy szefowie spółek dbali o swoich pracowników, a którzy starali się wykorzystywać ich jak tylko się dało, oszukiwali, pozbawiali należnych zysków, lub wyrzucali z pracy tych pechowców, którzy zachorowali lub ulegli wypadkom. Orem Limana za swej kadencji doprowadził do zamknięcia dwóch firm badawczych. Za każdym razem powodem tego działania były ciemne interesy i bezczelne pogwałcenie statutów postępowania z pracownikami, które każda firma miała obowiązek przedstawiać Zarządowi. Dobrze znając ekonomiczną sytuację każdej ze spółek Orem bardzo się ucieszył na wieść o szczęściu jakie spotkało w ostatnim czasie Konsorcjum Chalgin. Wszyscy w Zarządzie zdawali sobie sprawę, że w Sektorze Hayth dzieje się coś ciekawego. Ilość zaszyfrowanych wiadomości sphywających do centrali wzdłuż Łańcucha Tranzytowego Hayth nie mogła mieć innego powodu. Podobnie o tamtejszych odkryciach świadczyły ruchy wojsk SZPP w górę tego właśnie łańcucha. Tylko kilku ludzi jednak dokładnie wiedziało o co chodzi. Orem nie mógł się już doczekać momentu, kiedy obwieści wszystkim poruszające nowiny.

Pochwycił spojrzenie Halidara Kinshe, jednego z tych niewielu Sharonian, którzy już wiedzieli. Kinshe wiedział, gdyż kilka z zaszyfrowanych przekazów zostało skierowane bezpośrednio do niego. Błysk w oku Kinshego, długoletniego przyjaciela i współnika w niejednym już spisku, powiedział Limanie, że obaj cieszyli się tak samo.

Dyrektor naczelny stłumił cisnący mu się na usta uśmiech, wziął do ręki urzędowy młoteczek i stuknął w srebrny dzwonek wiszący obok jego krzesła. Kilka dźwięcznych nutek przetoczyło się przez salę. Pomruk rozmów zamarł od razu. Trzydzieści par oczu spojrzało na dyrektora.

–Panie i panowie, cieszę się, że wszyscy dotarliście na to spotkanie mimo tak krótkiego wyprzedzenia z jakim rozesłaliśmy wam zaproszenia. Wiem, że kilkoro z was podróżowało koleją i parostatkami bez mała trzy tygodnie – tu dyrektor skinął głową w kierunku lady Jagthy ze znajdującego się w Nowym Farnal Królestwie Limathii. To właśnie ona musiała pokonać najdłuższy dystans spośród wszystkich zebranych. – Zwołałem to spotkanie, by przedyskutować z wami sytuację, z jaką od niedawna mamy do czynienia w Łańcuchu Tranzytowym Hayth.

Orem nie musiał specjalnie zabiegać o uwagę gości. Kiedy wspomniał o Hayth wszyscy skupili się jeszcze bardziej, niż dotychczas. Dyrektor uśmiechnął się i rozwinął wiszącą za sobą mapę, na której wyobrażono wszystkie z około czterdziestu wszechświatów zbadanych dotychczas przez Sharonian. Przypominały nanizane na nitkę paciorki. Do większości z tych koralików prowadziła tylko jedna linia, co oznaczało, że do danego wszechświata prowadził tylko jeden portal. Inne wszechświaty – jak na przykład Hayth – miały trzy portale, choć tylko jeden – Reyshar – miał ich aż cztery. W miejscach, w których zdarzała się trójka, wszechświat dawał nazwę nowemu łańcuchowi tranzytowemu, biorącemu początek w jego drugim portalu wyjściowym. Hayth – oddalony od Sharony o cztery portale i prawie piętnaście tysięcy mil – stanowił czoło łańcucha obejmującego osiem wszechświatów. Łańcuch Hayth dzielił się ponownie w Traisum i główne jego ramię biegło przez Kelsayr i Lashai, a podrzędnym można się było dostać do Karys.

–Jak wszyscy zebrani wiedzą, z wyjątkiem Łańcucha Sharony, Hayth jest najdłuższym odkrytym i zbadanym dotąd łańcuchem. Nikt z państwa jednak nie wie, ponieważ najnowszych odkryć dokonano już po naszym ostatnim spotkaniu, jak bardzo jeszcze się wydłuży.

Odwrócił się od mapy i spojrzał na swych gości.

–W ciągu ostatnich kilku miesięcy zespoły badawcze pracujące dla Konsorcjum Chalgin odkryły i przejęły kontrolę nad pięcioma nowymi portalami, znajdującymi się na końcu łańcucha, któremu nadaliśmy nazwę Karys.

Opadło kilka szcęk. Irthan Palben przewrócił szklankę wody i zaklął, gdy zalała jego notatki i garnitur. Orem uśmiechnął się szeroko.

–Chathee? Możesz znaleźć coś do wytarcia tej plamy?

Chathee Haimas, skuteczna jak zawsze asystentka dyrektora była już w pół drogi.

W rękę trzymała czysty ręcznik, który wyczarowała chyba wprost z powietrza. Kiedy z współczującą miną podała go Palbenowi w sali rozległo się kilka stłumionych chichotów.

–Jesteś mi winien za garnitur, Orem – mruknął z uśmiechem dyrektor Palben. Nie do końca jednak udało mu się ukryć irytację. Potężnie zbudowany Famalianin nosił wyłącznie garnitury szyte na zamówienie, a jedwab nie najlepiej wytrzymywał kontakt z wodą.

–Wrzuć to sobie w kosztą Irthan. Jestem pewien, że ten jeden raz księgowy przymknie na to oko, zwłaszcza, że zaskoczyłem cię tą wiadomością z dużą dozą przyjemności.

W sali obrad rozległy się kolejne śmiechy. Uśmiechnął się nawet sam Limana. Nie skończył jednak mówić i wesołość powoli wygasła, kiedy przypomnieli sobie o tym pozostali uczestnicy zebrania.

–Myślę, że jeszcze stać mnie na garnitur – powiedział Palben – ale zanim zapłacę powiedz, co masz do powiedzenia. Nie wiadomo, czy nie będę musiał płacić za coś jeszcze.

–Dużo gorzej już chyba nie będzie – odparł Limana przyglądając się zmoczonemu koledze – ale to prawda. Jest coś jeszcze. Dokonano też innego, niewielkiego odkrycia.

Wszyscy spojrzeli nań ze wzmożonym zainteresowaniem. Po chwilowym wybuchu wesołości nie było już śladu.

–Poza pięcioma portalami, które odkryli i przejęli ludzie Chalgin – ciągnął cicho dyrektor – odkryto także coś, co wydaje się pierwszym prawdziwym skupiskiem w historii. Na obecnym etapie sądzymy, że portali w nowym skupisku jest siedem, wliczając wejściowy. Wszystkie one znajdują się bardzo blisko jeden drugiego.

Nowiny przywitano zdumionymi spojrzeniami i milczeniem. Orem Limana uśmiechnął się w duchu. Wiedział, że konsorcjum Chalgin zarobi dzięki swym odkryciom nieprzyzwoite wręcz sumy pieniędzy i ta świadomość cieszyła go ponad miarę.

Do jego obowiązków należało pilnowanie, by każdy mógł na równych prawach korzystać z portali już odkrytych, ale musiał także chronić interesy firm dokonujących nowych odkryć. Oczywiście wszystkich konkurentów traktował jednakowo, lecz w niektórych przypadkach jego własna, osobista satysfakcja była o wiele większa niż w innych. Chalgin zaliczało się z pewnością do tej pierwszej grupy. Była to dobra firma. Jej ludzie pracowali ciężko, przy mocno ograniczonym budżecie, a niemałe znaczenie miał też fakt, że przez ostatnie kilka lat do konsorcjum garnęli

się najlepsi i najskuteczniejsi członkowie zespołów badawczych.

W tym najjaśniejsze ze wschodzących gwiazd eksploracji: Jathmar Nargra wraz ze swoją czarującą małżonką. Limana miał z początku wątpliwości, lecz wiara jaką Halidar Kinshe pokładał w Shaylar okazała się nie bezpodstawna, a ryzyko wysyłania kobiety do tak niebezpiecznej pracy opłaciło się z nawiązką. Shaylar wraz z mężem szybko stali się jednymi z najlepszych badaczy multiwersum, lecz także prawdziwymi gwiazdami, osobowościami publicznymi. Nie od rzeczy było tu pewnie i to, że żona Jathmara była najpiękniejszą młodą dziewczyną, jaką kiedykolwiek spotkał. Dyrektor naczelny podkreślił ostatnią myśl sympatycznym uśmiechem.

Żadna instytucja obdarzona tak potężną władzą jak Zarząd Portali, nie może być kochana przez wszystkich i to bez względu na uczciwość i rzetelność pracy jej kadry kierowniczej. Teoretycznie Zarząd miał być wolny od wpływów politycznych, ale była to tylko teoria i nie wierzył w to nikt, kto był choć trochę bardziej inteligentny od polnego kamienia. Na stan faktyczny wpływały ludzkie ambicje, chciwość i głód władzy. Zarząd musiał więc ostrożnie lawirować po wzburzonych wodach polityki, co wymagało stałej – choć ostrożnej i nie nachalnej – walki o opinię publiczną i wsparcie mas. Dyrektor naczelny Zarządu musiał wykazywać się uczciwością świętego, hartem ducha arpathiańskiego mnicha-wojownika i zdolnościami handlowymi akwizytora patentów medycznych oraz instynktem publicznym grzechotnika. Orem Limana był właśnie takim człowiekiem i po zatrudnieniu Shaylar, on i jego dział public relations od razu skorzystali z okazji.

Shaylar Nargra-Kolmayr stała się pod wieloma względami ludzką twarzą Zarządu i to nie tylko w Królestwie Shurkhal. Jej twarz należała do sześciu najbardziej rozpoznawalnych w całym multiwersum (w dużej mierze dzięki rzecznikowi prasowemu Oroma) i podziwiano ją nawet w nowo odkrytych kolonialnych światach Sharony. Zatrudnienie Shaylar Nargry-Kolmayr było najlepszą decyzją podjętą przez Zarząd od momentu pojawienia się pierwszego portalu, osiemdziesiąt lat temu. Sama jej obecność wywierała na wszystkich dokładnie taki wpływ, jakiego Orem potrzebował. Nic więc dziwnego, że tak bardzo się z tego wszystkiego teraz cieszył.

Wtedy na równe nogi zerwał się dyrektor Ordras Breasal. Breasal był szczupłym mężczyzną o pociągłej twarzy i zazwyczaj siadał gdzieś z tyłu. Jego ostro zakończona broda przypominała ostrze siekiery i wystawała nieco w przód, jakby wyzywając cały świat do pojedynku. Breasal wymierzył ją teraz w Limanę i odezwał się stalowym, wyważonym głosem.

–Panie dyrektorze! Domagam się wyjaśnień! Myślę, że on domaga się wyjaśnień nawet od własnego tyłka po wizycie w toalecie – mruknął ktoś za Limaną.

O mrozącym spojrzeniu Limany mówiono, że potrafi doprowadzić do drgawek nawet arpathiańskich Septów. Taki właśnie wzrok padł teraz na szepczącego, Dżosera

Azneti, który – zupełnym przypadkiem – był właśnie arpathiańskim Septem. Co prawda nie zaczął się trząść, lecz jego twarz pokryła się jaskrawym odcieniem czerwieni. Sam Limana żałował, że musi go skarcić. W duchu bowiem w zupełności zgadzał się z jego mało kulturalną oceną. Dyrektor Breasal od lat stanowił największe utrudnienie w zawodowym życiu Orema Limany.

Popatrzył na Anzetieskiego chwilę lub dwie, po czym odwrócił się do Breasala – reprezentanta Isseth, jednego z niezależnych królestw wciśniętych pomiędzy skaliste góry na północ od Harkali, a na południe od rozległych, suchych stepów Arpathii.

–Co konkretnie powinienem panu wyjaśnić dyrektorze Breasal? – zapytał przez zęby, których jednak z rozmysłem nie zacisnął. Breasal wystąpił naprzód skupiając na sobie uwagę członków rady – którą skupiał dość rzadko, a jeszcze rzadziej na nią zasługiwał.

–Jak to możliwe, że Zarząd Portali przez osiemdziesiąt lat eksploracji nowych wszechświatów do tej pory odnajdywał świeże portale z częstotliwością jednego na rok lub dwa, a ta nowa, mała i nieznana firemka – Konsorcjum Chalgyn położyła łapę na dwunastu, cholera na dwunastu nowych portalach w ciągu sześciu miesięcy? Chyba najwyższy czas zakończyć te ich brudne sztuczki w rodzaju wysyłania zespołów badawczych do wszechświatów odkrytych przez inne firmy, takie jak Isseth-Liada! Żądam wyjaśnienia a także szczegółowego audytu dokumentów tej spółki! Domagam się urzędowego dochodzenia w sprawie korupcji i spisku i oszustw gospodarczych i...

Dyrektor Anzeti opuścił pięści na blat z taką siłą, że podskoczył cały stół.

–Jak śmiesz? Jeżeli należałoby przeprowadzić dochodzenie, przeciwko jakiegokolwiek firmie to raczej przeciw Isseth-Liada! Zespoły badawcze Septentriona od dawna ślą skargę za skargą na zastraszenia, stosowanie przemocy, niszczenie sprzętu, groźby karalne...

–Dość! – ryknął Limana.

Cisza zapadła jak odłamki lodu spadające na bruk. Breasal przygryzł wargę i spojrzał dokoła zimno i pogardliwie. Anzeti patrzył na niego z żądzą mordy w oczach.

–Dyrektorze Breasal – syknął Limana – jeżeli chce pan złożyć formalny wniosek, nie mogę w tym panu przeszkodzić. Nie będę jednak tolerować zawiści i czczych oszczerstw z ust żadnego członka rady Zarządu Portali. Dyrektorze, jeśli mam pańskie słowa potraktować poważnie, to proszę dostarczyć mi dowody, lub – przysięgam na bogów nieba i piekła – już nigdy nie znajdziesz się w tej sali ani na stanowisku, które obecnie piastujesz. Czy wyraziłem się dość jasno?

Wyraz twarzy Breasala przeszedł nagłą zmianę. W jego oczach zabłysło

zaskoczenie. Otworzył usta lecz nie powiedział nic – nawet nie pisnął. Limana pochylił się opierając ramiona na stole.

–Czy wyraziłem się dość jasno, szanowny panie?

Poblady Breasal skinął głową.

–Świetnie. Spodziewam się od pana notatki służbowej. Ma się znaleźć na moim biurku przed końcem dzisiejszego dnia roboczego. Chciałbym znaleźć w niej wystarczającą ilość dowodów, by można było na ich podstawie wszcząć oficjalne dochodzenie, lub też formalne przeprosiny wobec Konsorcjum Chalgyń za znieśławienie na forum rady. Wybór zawartości notatki należy oczywiście do pana, ale nie może pan jej nie złożyć. Napisać i podpisać, wraz ze świadkami. Dokument ten zostanie zarchiwizowany i będzie mieć moc wiążącą. Czy to równie jasne?

Breasal skinął nerwowo raz jeszcze. Limana zwrócił się do Anzetiego.

–Oczekuję raportu zawierającego wszystkie skargi zespołów Septertriona najpóźniej do ósmej rano jutrzejszego dnia. Ewentualnie proszę sporządzić przeprosiny za oszczerstwa przeciw Isseth-Liada. Zrozumiano?

–Oczywiście. Najzupełniej, panie dyrektorze.

Oczy Anzetiego zabłyśły i Limana nie miał już żadnych wątpliwości, że raport Arpathianina pełen będzie niezwykle interesujących informacji. Sam słyszał już wiele plotek o niecznych praktykach Isseth-Liada, które same w sobie wystarczały do otwarcia dochodzenia, lecz jak dotąd nie znalazł się nikt odważny na tyle by złożyć oficjalną skargę. Wiedział też, dlaczego dotąd milczał również Septentrion. Septowie byli z wyboru najmniej zaawansowaną technicznie kulturą Sharony, co sprawiało, że padli ofiarą niewybrednych dowcipów i wielu przesądów oraz uprzedzeń.

Niestety zbyt wielu Septów w zarządzie ich firmy pokornie akceptowało fakt, iż sprawiedliwość chadzała często pod rękę z dużymi pieniędzmi i politycznymi wpływami. Limanie bardzo się ta sytuacja nie podobała i z tego też powodu nalegał bardzo usilnie – by Septentrion zmienił swoje władze. Żałował, że Anzeti nie ufał mu na tyle, by złożyć skargę dużo wcześniej, lecz dobre było i to, że zdecydował się teraz. Teraz Limana mógł wreszcie zacząć działać.

Szefowie Isseth-Liady z pewnością nie ucieszą się z wybuchu wściekłości Breasala, który tak sprowokował Anzetiego. Był to kolejny element sytuacji, który niezmiernie cieszył Orema Limanę. Zdawał sobie sprawę, że ci sami ludzie nie robili niczego, na co nie wyraziliby zgody władcy Isseth. To sprawiało, że cała afera nabierała wyraźnego politycznego wymiaru i Limana rozumiał, że nadciągający konflikt nie będzie niczym przyjemnym. Miał jednak dość. Bardzo dość. Gotów był podjąć rękawicę rzucaną od tak dawna przez Isseth-Liadę i jej politycznych mocodawców.

–No dobrze – powiedział zwykłym, spokojnym głosem – skoro zamknęliśmy już ten temat z przyjemnością wyjaśnię jak doszło do tego, że Konsorcjum Chalgyń w tak krótkim czasie odkryło aż tyle nowych portali.

Po drugiej stronie sali z uśmiechem na ustach siedział Halidar Kinshe. Jego także od dawna korciło, by utrzyć nosa Breasalowi. Z satysfakcją obserwował jak Limana pokazywał kolejne mapy i szkice sytuacyjne z trasami tranzytowymi wiodącymi ku portalom odkrytym przez Chalgyń. Potem dyrektor przedstawił także projekty przerzucenia na pogranicze niewyobrażalnych wręcz ilości materiałów i zasobów ludzkich koniecznych do budowy fortów, które miały chronić nowe portale. Na szczęście Koleje Trans-Temporalne i trasy parostatków sięgały już do Salym. Co więcej – tory położono już nawet w Forcie Salby, w Traisum. Była to olbrzymia pomoc logistyczna, choć sama skala projektu i tak sprawiała oszałamiające wrażenie. Stali na progu największego skoku eksploracyjnego w historii Zarządu, a walka o wpływy ze wszystkich związanych z nim interesów musiała okazać się co najmniej poważnym wyzwaniem.

Akcjonariusze Chalgyń nie wiedzieli jeszcze, że niedługo staną się bogaczami. Wystarczą do tego same tylko spodziewane wpływy z opłat za korzystanie z portali, które na przestrzeni kilku lat spłyną do kasy konsorcjum. Wszyscy będą chcieli coś uszczknąć z tego skupiska. Po tylu latach zbierania resztek z cudzego stołu Chalgyń złapało szczęście za nogi i trafiło najlepiej w historii.

Kinshe nie był finansowo związany z konsorcjum, ale tak czy inaczej Chalgyń – jako firma z Shurkhal – zajmowało poczesne miejsce w jego sercu i cieszyły go sukcesy tej firmy. Czul się tak, jakby to jego własne dziecko osiągnęło właśnie dojrzałość. Chalgyń wkraczało właśnie na teren zarezerwowany dotychczas, od samego początku, dla Ternathian i Uromathian i co więcej udało się im pokonać jednym ruchem o wiele bogatsza konkurencję. Po stuleciach spędzonych w cieniu Ternathii Shurkhal zaczynało wreszcie świecić własnym światłem i było to dla niego czymś wspaniałym.

Limana przeszedł właśnie do szacunkowych kosztów, jaka pociągnie za sobą ten wzrost operacji budowlanych i zatrudnienie dodatkowych pracowników – całość wydatków miała zostać pokryta z opłat portalowych jeszcze przed terminową spłatą koniecznych kredytów. Nagle otworzyły się drzwi i młodsza asystentka Limany gestem ręki poprosiła do siebie Chathee Haimas. Twarz dziewczyny była blada jak ściana. Powiedziała jej coś na ucho. Sekretarka Limany zadała tylko jedno pytanie, a młodsza kobieta pokręciła głową. Wyraźnie było widać, że jest na skraju łez.

Haimas na jedną chwilę zamknęła oczy. Potem odwróciła się i poszła prosto do Orema Limany.

–Panie dyrektorze, proszę o wybaczenie – powiedziała spokojnie – ale jest do pana

pilna wiadomość prosto od Głosu rzuciła okiem na Kinshego i dodała – sędzę, że dyrektor Kinslu także powinien być przy tym obecny.

Kinshe zamarł; Limana skinął tylko głową.

–Przepraszę państwa na kilka minut – powiedział szybko.

Przez ten czas może moglibyście państwo nakreślić w między czasie wstępne szacunki. Nie wiemy jeszcze dokładnie ilu ludzi potrzebujemy do obsługi nowych fortów. Dyrektorze Kinshe, pozwoli pan do mojego gabinetu?

–Oczywiście.

Gdy tylko znaleźli się na korytarzu i zamknęły się za nimi drzwi sali posiedzeń młodsza asystentka Limany załała się łzami.

–Bardzo pana przepraszam – załkała. – Nie pozwoliłam Głównemu Głosowi przerwać obrad, ale potem powiedział mi o co chodzi... to... to straszne. Proszę, szybko. Czeka na panów.

Gabinet Limany znajdował się dość blisko sali konferencyjnej. Kinshe szedł szybko. Główny Głos – Yaf Umani – rzeczywiście już czekał, co gorsza z takim wyrazem twarzy, który zmroził i tak już zdenerwowanego Kinshego. Umani służył w Zarządzie jako Główny Głos od niemal czterdziestu lat i był twardym, skutecznym pracownikiem. Posiadał jeden z najsilniejszych telepatycznych Talentów Sharony. Gdy jeszcze pracował w terenie nikt nie mógł równać się z nim zasięgiem, a o jego decyzjach personalnych krążyły legendy. Była to zasługa jego drugorzędnego Talentu, który pozwalał mu bezbłędnie dobierać wykonawców do zadań bez względu na to, czy chodziło o wydział kontaktów z mediami, czy o dobieranie Głosów do zespołów badawczych. Nie tolerował nigdy żadnych wymówek, nie cofał się przed konfrontacją z nikim. Mówiono nawet, że bały się go głowy wielu państw. Zwłaszcza w sytuacjach gdy ich zdanie co do działania sieci telepatów różniło się od opinii Umaniego.

Wszystko to potęgowało tylko niepokój Kinshego. Twardziel Umani niemal dosłownie się trząsł.

–Co się na Kefkina stało? – zapytał Limana nalewając do szklaneczki pokąsną porcję whiskey i podając ją Głosowi.

Umani dwoma łykami wypił alkohol. W jego oczach widać było strach. Tak przemożny, że Kinshe pomyślał, że wcale nie chce usłyszeć tego, co Głos ma do przekazania.

–Przepraszam, dyrektorze – powiedział zachrypniętym, drżącym głosem Umani. –

To... o bogowie. – Łzy zbierały mu się w oczach. Wargi drgały mu niepewnie. – Nie mogę... Nie wiem nawet od czego...

Umilkł, zamknął oczy i wziął kilka głębokich wdechów. Po chwili spokojnie spojrzał w oczy Limany.

–Dyrektorze naczelny, jestem w obowiązku poinformować, że znaleźliśmy się w stanie wojny.

Przez chwilę w gabinecie panowała śmiertelna cisza.

–Co? – Limana chwycił Głos za ramiona. Kinshe z sykiem wciągnął powietrze. Dyrektor naczelny wpatrywał się w Umaniego. Zaskoczenie i niedowierzanie zmagaly się na jego twarzy. Po kilku sekundach zrozumiał, że ściska go zbyt mocno. Zamknął oczy, puścił go i wycofał się o krok. Ciężko dyszał. Toczył ciężką, wewnętrzną walkę o zachowanie spokoju.

–Jeden z naszych zespołów badawczych został zaatakowany – ciągnął roztrzęsiony Głos. – Przez obcych. To znaczy przez ludzi. Ale nie naszych. Jacyś obcy żołnierze. Nie z Sharony. To, co zrobili z naszymi...

Słowa uwięzły mu w gardle. Kinshe skupił się na ostatnim zdaniu i odezwał się przez zęby.

–Który to był zespół?

Umani znów zadrzał. Tym razem to Kinshe złapał go za ramiona.

–Który zespół!?

–Jej – padła cicha odpowiedź.

–Czy... – Kinshe nie dokończył niosącego ze sobą strach zdania. Nie chciało mu przejść przez gardło. W końcu jednak zmusił się i zapytał.

–Jak bardzo dostali? Czy Shaylar żyje?

Umani już i tak blady pobleł teraz tak, że Limana podprowadził go do najbliższego krzesła. Kiedy mógł znów mówić odezwał się tak cicho, z zamkniętymi oczyma, jakby chciał uchronić się przed jakimś okrutnym widokiem. Opowiedział co widział oczyma Shaylar.

–Uciekali w stronę portalu. Nie udało im się. Nie dotarli nawet w jego pobliże. Ci żołnierze... – umilkł, by nabrać tchu.

Napastnicy kryli się wśród drzew. Ciężko ich było dostrzec. Nasi ukryli się jak mogli.

Ghartoun chan Hagrahyl próbował... – Umani przełknął głośno ślinę. – Chciał z nimi porozmawiać. Wstał. Bezbronny. A oni go zastrzelili. Zamordowali go z zimną krwią.

Mówił głosem kruchym jak ze szkła.

–Nasi zaczęli strzelać w samoobronie, a tamci – zatrzęsło nim – tamci otworzyli ogień z artylerii. Albo czegoś podobnego. Mogły to być miotacze ognia. Wielkie ogniste kule, o średnicy trzech, czterech jardów. Gorące jak samo aprathiańskie piekło. Zajmowało się od nich wszystko. Matko Martheo, wszystko! Obcy mieli coś jeszcze. Coś co ciskało błyskawice. Jathmar Nargra – Umani znów stracił głos – został poparzony. Tak strasznie... na jej oczach. Nie mógł przeżyć. Potem coś uderzyło Shaylar. Nie wiem co to było. Wiem tylko, że straciła przytomność. Nie możemy się z nią skontaktować. Darcel próbował i próbował...

Łzy spłynęły wzdłuż zmarszczek na twarzy mężczyzny. Tych zmarszczek nie było jeszcze pół godziny temu, kiedy Kinshe mijął go na korytarzu. Halidar nigdy nie widział, by Głos był tak wstrząśnięty. A widywał go nawet w samym środku najstraszliwszych klęsk żywiołowych.

–Do samego końca – szeptał dalej Umani – utrzymała kontakt. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić w jaki sposób tego dokonała. Cały czas była połączona z Darcelem Kinlafią a jej zespół – jej własny mąż – wszyscy ginęli, płonęli żywcem wszędzie dokoła. Spaliła nawet swoje mapy i szkice, które mogły obcych doprowadzić do Sharony. Biedne, dzielne dziecko. Chciała nas ostrzec za wszelką cenę...

–Muszę poinformować jej rodziców – Kinshe usłyszał własny głos, który zdawał się płynąć z oddali zupełnie poza jego kontrolą. Limana i Umani spojrzeli na niego w zdumieniu.

–Nie rozumiecie? – jęknął. – Nie mogę pozwolić, by dowiedzieli się o tym od kogoś obcego. To z mojej winy się tam znalazła. To ja nalegałem, żeby...

–A ja wyraziłem na to zgodę, Hal – przerwał mu szorstko Limana. – Nie możesz brać na siebie całej winy. To ja powiedziałem decydujące „tak”. Jeżeli w ogóle to czyjaś wina to właśnie moja.

Dyrektor naczelny pokręcił głową i odetchnął.

–Do jej rodziny wrócimy za chwilę, Hal. Obiecuję – powiedział. – Ale mamy teraz niestety ważniejsze problemy.

Oszołomiony i wstrząśnięty Kinshe spojrzał w pełne niepokoju oczy Limany. Dyrektor położył mu dłoń na ramieniu.

–Hal, nie wiemy jeszcze jak złe wiadomości właśnie otrzymaliśmy. Pierwsze raporty

w takich wypadkach zawsze są najbardziej przerażające, ale to... – Limana znów pokręcił głową.

–Nie wiem, czy to się może okazać czymś lepszym niż teraz. Zwłaszcza, wybacz mi, zwłaszcza jeśli potwierdzi się, że Shaylar nie żyje.

Kinshe drgnął jakby go ktoś spoliczkował. Limana ciągnął jednak niewzruszenie.

–Musimy mieć nadzieję, że to jakaś potworna pomyłka. Bogowie tylko wiedzą ile było katastrofalnych incydentów granicznych w dziejach Sharony! Jeśli tam było podobnie, to może – tylko może – uda się nam opanować ten kryzys. Niestety dzieje się to prawie tydzień drogi wiadomości siecią Głosów stąd. Nic wiemy co wydarzyło się od tamtej pory. Nie wiemy co zrobili wojskowi. Z obu stron. Mając to w pamięci, co wiemy musimy założyć, że sytuacja już wymknęła się spod kontroli. Musimy przyjąć najgorszy możliwy scenariusz.

Trzymał dłoń na ramieniu Kinshego jeszcze przez chwilę. Nie spuszczał z przyjaciela wzroku. Wreszcie Shurkhalianin skinął głową. Limana uścisnął go raz jeszcze, po czym splótł ręce na plecach i zaczął się przechadzać w tę i z powrotem.

–Jeśli Yaf ma rację – jeśli trwa wojna – to już nie jest to sprawa, którą może zajmować się Zarząd. Mamy, dzięki bogom, forty przy portalach, ale budowano je przecież z myślą o niepokojach wewnętrznych, a nie do powstrzymywania wrogich wojsk wyposażonych w ciężką broń. Nie udałoby się im powstrzymać nawet dobrze uzbrojonych Sharonian, a co dopiero obcych, którzy mają nie wiadomo co. W tej chwili wiemy o nich tylko tyle, że najwyraźniej nie brali jeńców. Mordowali cywilów.

Podniósł głowę na tyle, by dostrzec kolejne skinienie Kinshego i spojrzał na Umaniego.

–Rozumiem, Yaf, że Głosy przekazywali tę wiadomość szyfrem?

Umani przytaknął.

–To dobrze – mruknął Limana. – Nie możemy tego ogłosić publicznie. Jeszcze nie. Na pewno nie dopóki nie poinformujemy rodzin. Potem... potem chyba będziemy musieli to zrobić. Tak gruba sprawa wcześniej czy później wycieknie. Na początek możemy ogłosić jakiś komunikat bez nazwisk ofiar. Ale tak czy inaczej pierwsi muszą dowiedzieć się wszyscy polityczni przywódcy. Głowy państw.

Zatrzymał się i pochylił nad biurkiem. Skinął energicznie głową.

–Musimy zwołać Konklawe. I to już. Dziś po południu.

–Konklawe? – Kinshe podniósł oczy. – Konklawe? Nikt nie zwoływał Konklawe od

powstania Zarządu!

–A masz lepszy pomysł? – zapytał ostro Limana przeczesując włosy dłonią. Kinshe zaczął się zastanawiać. Przez chwilę myślał intensywnie i w końcu zaklął pod nosem.

–W zasadzie, to nie.

–Tak właśnie myślałem – Limana zdobył się na ubogą parodię uśmiechu. Zadrgały mu nozdrza – Nie uda nam się sprowadzić wszystkich przywódców państw osobiście. Będziemy musieli przeprowadzić Konklawe przez Awaryjną Sieć Głosów.

–To grozi przeciekiem, dyrektorze – przypomniała Haimas. – Jeśli uruchomimy ASG, zlecą się do tego wszystkie media.

–Nic nie poradzimy – stwierdził Limana i spojrzał na Umianego. – Główny Głosie, niniejszym oficjalnie zwołuję Konklawe. Skorzystaj z ASG i powiadom o mojej decyzji przywódców wszystkich państw. Wykorzystaj jedynie Głosy powiązane bezpośrednio z rządami. Pierwsze posiedzenie chcę rozpocząć za...

Zastanowił się, przeliczając strefy czasowe, rozważając możliwe reakcje władców na tak nieoczekiwaną wiadomość i powolne działanie trybów biurokracji. Wreszcie dał spokój.

–Za cztery godziny – dokończył ostro. Pozostali spojrzeli na niego w zdumieniu.

–Tak, powiedziałem cztery godziny. O trzeciej trzydzieści naszego czasu. Niech się burzą i narzekają jeśli chcą. Przynajmniej zrozumieją, że to coś ważnego, a o to przecież chodzi. O ich pełną uwagę.

Yaf Umani zaczerpnął głęboko powietrza.

–Rozumiem. Natychmiast, dyrektorze.

Limana spojrzał na niego i po chwili odwrócił się do Kinshego.

–Przynajmniej mamy już jakiś początek – stwierdził łagodnie. – Tymczasem musimy zacząć działać sami. We wszystkich fortach ogłosimy stan najwyższej gotowości, a SZZP pchniemy natychmiast w kierunku strefy kontaktu. Jak najszybciej. Jako dyrektor naczelny mam do tego odpowiednie pełnomocnictwa. O resztę niech się martwi Konklawe.

Kinshe skinął głową. Limana odetchnął.

–Halidar, długo tajemnicy nie utrzymamy. Wkrótce dowiedzą się wszyscy. Ale jeśli użyjesz AST dotrzesz do rodziny Shaylar zanim będzie za późno. Dam ci autoryzację.

–Tak. – Kinshe skinął znowu nadal walcząc z niedowierzaniem, pogłębionym teraz jeszcze przez zezwolenie na wykorzystanie AST – Tak. Oczywiście to najlepsze rozwiązanie. Sam powinienem być o tym pomyśleć – uśmiechnął się nieznacznie. – Nigdy tego nie robiłem. Być może dlatego, że nigdy nie byłem dla nikogo dość ważny.

Awaryjny System Transportowy zazwyczaj zarezerwowany był wyłącznie dla przywódców politycznych i dyplomatów podróżujących w misjach najwyższej wagi. Składał się z wielu połączonych ze sobą platform teleportacyjnych, rozmieszczony w większości stolic Sharony. Same platformy nie były większe niż osiem stóp kwadratowych, a maksymalny ciężar ładunku nie mógł przekraczać siedmiuset funtów. Odpowiednio telekinetycznie Utalentowani ludzie, obsługujący całość rodzili się bardzo rzadko. Stosowanie tego konkretnego Talentu wiązało się z ryzykiem utraty zdrowia, lub nawet życia, co mogło nastąpić przy przeciążeniu systemu. AST używany był zatem wyjątkowo oszczędnie.

„Aż do dzisiaj nie byłem dość ważny” – pomyślał ponuro Kinshe, żałując, że przyszło mu podróżować w ten sposób w tak nieprzyjemnych okolicznościach. Przeciągnął przez włosy palcami obu dłoni. „Matko Martheo, jak się mówi rodzicom, że ich ukochane dziecko nie żyje?”

–Dostaniesz czerwony priorytet – ciągnął Limana i spojrzał na Haimas. – Chathee, zajmij się tym proszę. Jak tylko Yaf skorzysta z ASG niech się skontaktuje z osobistym Głosem króla Fyysela. Powiedz mu, że Halidar będzie potrzebować specjalnej lokomotywy i wagonu. Powiedz mu też po co. Fyysel może zechcieć kogoś z nim wysłać.

Znał króla i wiedział, że Kinshe towarzystwo ma gwarantowane. Wielu osób. Król Fyysel lubił ekstrawagancje, nawet przy mało specjalnych okazjach. Ta natomiast była bardzo szczególna. Całe szczęście, że stolicę z Instytutem Waleni łączyła linia kolejowa. Delegacja nie będzie musiała podróżować powozem lub co gorsza wydmiakami.

–Przełącz też telepacie króla Fyysela, że zalecałbym oczyszczenie z ruchu całej trasy od stolicy do Instytutu – polecił asystentce Limana. – Długo tej sprawy nie ukryjemy, a odliczanie już się zaczęło. Aha, poproś też Yafa, żeby wysłał z Halidarem któregoś ze starszych Głosów. Będzie mógł uczestniczyć po drodze w Konklawe.

–Oczywiście, panie dyrektorze – Haimas opuściła gabinet i zaczęła wydawać szybkie, zdecydowane polecenia pracownikom biura. Dyrektor tymczasem zwrócił się do Kinshego.

–Cokolwiek się nie wydarzy liczę na twoje wsparcie. Tylko ty jesteś zarazem rozsądny i masz posłuch u Fyysela, przyjacielu. Shurkhal na pewno przeżyje najazd

dziennikarzy pytających o tradycyjną, honorową vendettę za Shaylar. Nie możemy dopuścić by król Shurkhal dołał oliwy do ognia.

Kinshe skrzywił się. Ostatnią ewentualność mógł sobie wyobrazić aż za bardzo dobrze.

–Zrobię co w mojej mocy i granicach mojego własnego honoru, Orem. To może jednak nie wystarczyć. Nie wiem czy rozumiesz, ale ta sytuacja to nie jest zwykła waśń klanowa. Naród Shurkhal, od Fysela począwszy, a skończywszy na najpodlejszym koniuchu czerpał z sukcesów Shaylar swą dumę. Nawet ci, którym nie podobało się, że zajęła się męskim zawodem, są dumni, że to Shurkhalianka została pierwszą kobietą-członkiem zespołu badawczego. Nie tylko król będzie domagać się zemsty. Możesz mi wierzyć.

–Zawsze potrafiłeś mnie pocieszyć – mruknął Orem.

–Nigdzie nie będzie łatwo – Kinshe zmrużył oczy na myśl która właśnie przyszła mu do głowy. – Nigdzie. Uromalhia sie zagotuje a co dopiero, gdy wieści dotrą do arpathiańskicli Septów? – pokręcił głową. Trzeba będzie nielichych wysiłków, żeby nie wysłali wszystkich wojowników powyżej czternastego roku życia za portale, w poszukiwaniu okazji do stoczenia krwawej bitwy z bezbożnymi sługami diabła.

–Myślisz, że o tym nie wiem? – jęknął Limana. – Na bogów i demony! Burza będzie jak się patrzy! – odetchnął głęboko. Według mnie najgorzej będzie z Ternathią. Sam wiesz jak to zostanie u nich odebrane.

–Aż za dobrze – skrzywił się ponownie Kinshe. – Nie wiem, czy nawet tobie uda się ich spacyfikować.

Limana parsknął.

–Zindel chan Calirath nie jest durniem – powiedział ponuro. – Może nie zechce działać pochopnie, choć też jest przecież Ternathianinem. Mam nadzieję, że rozważy też inne możliwości.

–Widzę, że przemyślałeś już wszystko – zauważył z lekkim uśmiechem Kinshe – a Konklawe jeszcze nie zdążyło się rozpocząć.

–Chcesz się założyć o ostateczny wynik? – odparł Limana.

–Na pewno nie o twoją głowę. Zbyt rzadko się mylisz, żebym ryzykował pieniądze – powiedział Kinshe i wargi Limany wyduły się nieznacznie ku górze.

–Wreszcie to przyznałeś! – krótka chwila wesołości dobiegła końca. – Musimy zrobić co w naszej mocy. Jeśli wpadniesz na jakiś pomysł, który pomógłby nam

powstrzymać wybuch, albo chociaż skanalizować ich wściekłość to zamieniam się w słuch.

–Jak coś wymyślę, dowiesz się o tym pierwszy.

–Świetnie – Limana odetchnął głęboko. – Nie przejmuj się już zebraniem rady. Idź do domu i spakuj się. Za godzinę wyślę po ciebie powóz. Zabiorą cię do terminalu AST. Spotkasz się tam ze starszym Głosem. Jeśli dotrzesz do Sethdony, a pociąg nie będzie jeszcze gotowy wyrwę paru kolejarzom jaja.

–Jestem pewien – powiedział Kinshe głosem suchym jak piaski jego ojczyzny. – Pójdę już – uścisnął dłoń Limany. – Nie pozwól im na żadne głupstwa pod moją nieobecność.

–Jeśli będzie bardzo źle każę swojemu Głosowi dać znać twojemu. Niech bogowie pomogą ci w podróży, przyjacielu.

Kinshe ruszył przez ogromny, kamienny budynek Zarządu. Jego buty głośno stuknęły o marmurową posadzkę. Cały czas myślał o tym, co powinien zrobić, by powstrzymać kryzys. Jedno wiedział z niezbitą pewnością. Tylko cud mógł powstrzymać króla Fyysela od wysłania kilku tysięcy żołnierzy w towarzystwie dywizji artylerii, w celu pomszczenia pomordowanych.

Rozdział 22

–Kochanie, prawie nie tknęłaś śniadania.

Andrin Calirath słysząc łagodny głos matki podniosła oczy. Cesarzowa Varena nigdy nie należała do specjalnie zrządzających matek. Teraz tak naprawdę też nie narzekała bez powodu. Co nie zmieniało faktu, że Andrin poczuła się tak, jakby mama właśnie zaczęła zrządzić. Spojrzenie Vareny powstrzymało ją jednak od jakichkolwiek, nawet najsubtelniejszych prób protestu.

–Przepraszam, mamó – powiedziała i uśmiechnęła się słabo. – Obawiam się, że nie jestem głodna.

Cesarzowa chciała powiedzieć coś jeszcze, lecz powstrzymała się zaciskając usta. Leciutko tylko pokręciła głową. Dobrze rozumiała, że zmuszanie Andrin do jedzenia nie miało najmniejszego sensu. To jedynie pogorszyłoby sprawę. Zauważyła też, że jej córka rozpaczliwie próbuje udawać, iż wszystko z nią jest w porządku, podczas gdy nie było. To jednak, co tak dobrze rozumiała i to, co podpowiadało jej matczyne serce było dwiema zupełnie różnymi sprawami.

Odwróciła się do siedzącego u szczytu stołu męża. Odwzajemnił jej spojrzenie i uśmiechnął się smutno. W jego oczach zauważyła takie same cienie, jak te które nękały Andrin.

Uśmiech należał do jej męża, ojca jej córki – cienie należały do Cesarza Ternathii. Nie po raz pierwszy w życiu Varena Calirath przeklęła w duchu brzemię, które członkowie dynastii Calirath dźwigali przez tak wiele pełnych udręki stuleci.

Andrin spojrzała na rodziców spod długich rzęs. Zauważyła ich wymianę spojrzeń. Bardzo żałowała, że nie może w żaden sposób uspokoić matki. Nie potrafiła tego zrobić, tak samo jak nie potrafiła wyjaśnić swych przerażających Przebłysków sobie samej. Oczywiście, ojciec by to zrozumiał, ale jemu akurat nie musiała niczego tłumaczyć. Przygnębiająca prawda wyglądała tak, że i on doświadczał takich samych Przebłysków i Andrin nie chciała dodawać mu kolejnych zmartwień. Nie chciała by musiał niepokoić się jej strachem, przerażeniem sięgającym do szpiku kości, kiedy i tak na jego głowie spoczywał ogromny ciężar.

To na nim, a nie na niej przecież spoczywał ciężar codziennego zarządzania największym, najstarszym, najbogatszym i najwspanialszym imperium Sharony. I wszystko to musiał robić mimo swych własnych, bolesnych Przebłysków. Nie potrzebował dodatkowo wysłuchiwać narzekań płaczącej córki.

Nabiła na widelec kawałek mięsa i zaczęła jeździć nim po całym talerzu. Starła zmusić się do przełknięcia choćby jeszcze jednego kęsa. Potrawa była dobra. Jak

zawsze. Problem polegał na tym, że jej żołądek zamienił się w mocno zaciśnięty kłębek nerwów i nie chciał niczego w siebie przyjąć.

„To już prawie tydzień” – pomyślała. Prawie tydzień odkąd zaczęły w niej tańczyć pszczoły, tydzień pełen koszmarów, które budziły ją w środku nocy i znikaly w cieniach, zanim jeszcze zdołała je do końca nazwać. Tydzień pełen wizji chaosu i zniszczenia, zwiastunów łamiącego serce nieszczęścia, tydzień lęku i przecucia straty. Nic dziwnego, że straciła apetyt! Wiedziała, że traci na wadze, a gdy dziś rano przeglądała się w lustrze zobaczyła pod swoimi oczami pierwsze cienie. To także jej ani trochę nie zdziwiło.

Przebłyski nawiedzały ją już wcześniej. Niektóre z nich były niewiarygodnie wręcz okrutne. Prekognicja nie była niczym rzadkim. Nie był to może szczególnie częsty Talent, ale z drugiej strony nie był też tak rzadki, jak na przykład, w pełni rozwinięty teleempatyczny Talent Uzdrowicieli. Talent dynastii Calirath był jednak... inny. Wyjątkowy.

Zwykła prekognicja umożliwiała jedynie przewidywanie fizycznych zdarzeń i procesów. Przepowiadacz pogody na przykład mógł powiedzieć ze stuprocentową dokładnością jaka będzie pogoda – czy dzień będzie słoneczny czy deszczowy – na przestrzeni dwóch następnych tygodni. Dłuższe prognozy, do dwóch miesięcy naprzód, także bywały bardzo dokładne, choć nie można było im już ufać tak bardzo, jak tym krótkoterminowym. Zwłaszcza jeśli chodziło o datę oddaloną bardziej niż o trzydzieści dni, po którym to czasie procent sprawdzonych przepowiedni gwałtownie spadał. Inni Przepowiadacze pracowali w lasach i zajmowali się przewidywaniem pożarów. Wzdłuż całej tak zwanej „korony ognia” – pasa dokoła wielkiego Oceanu Zachodniego strzegli natomiast ludzi przed wybuchami wulkanów i potężnymi tsunami. Dzięki nim na przestrzeń i wieków życie uratowały niezliczone rzesze ludzi. Tak jak wtedy, gdy ostrzegli mieszkańców przed niezwykle silną eksplozją wyspy Juhali w Imperium Hinoreańskim – a także wszystkich jej odpowiedników w innych wszechświatach – która miała miejsce trzydzieści siedem lat temu.

Te wszystkie przepowiednie dotyczyły jednak martwej przyrody. Ruchów bezdusznych mas powietrza i wody, uderzeń błyskawic, czy groźnych pływów magmy i samej ziemi. Przebłyski, których doświadczali członkowie Rodu Calirath mówiły natomiast o losie ludzi.

Często, oczywiście, zdarzało się też, że mogły opowiadać o klęskach żywiołowych, ponieważ zamieszani byli w nie ludzie. Ale tego rodzaju katastrofy zdarzyłyby się bez względu na to, czy ktoś byłby ich świadkiem, czy nie. Andrin i jej ojciec, a także nieskończenie długa liczba ich przodków przewidywali cenę, jaką za dane nieszczęścia zapłacą ludzie. Wiedzieli, ile osób poniesie śmierć.

Zdarzały się wypadki, kiedy Przebłysk doświadczony przez któregoś z Calirathów

wystarczał by uniknąć ofiar, lub chociaż je zminimalizować. Andrin bardzo się z tego cieszyła. Sama uratowała być może nawet tysiące istnień ostrzegając ich przed pożarem w Parku Narodowym Kilrayen w Reyshar, zanim silne wiatry nie przeniosły huczącej fali ognia na miasto Hathoma. Zobaczyła wtedy języki płomieni pokonujące kolejne przecinki, odcinające drogi, pożerające budynki. Widziała płonące żywcem kobiety i dzieci. To właśnie był ten ludzki element – przerażenie, ból i strach ludzi uwiecznionych w pożarze – który wywołał Przebłysk... i spowodował, że jej ojciec natychmiast skorzystał z sieci ASG ostrzegając władców Reyshar w samą porę, by zdążyli ewakuować miasto. Bardzo lubiła to wspomnienie, choć często powracało do niej w koszmarnych snach, w których raz po raz przeżywała okrutne sceny, które nigdy nie miały miejsca. Z lekcji historii wiedziała też, że w przeszłości Teraathii bardzo często zdarzało się, iż Przebłyski – Talent cesarzy – ważyły o losach bitew, decydowały o zwycięstwach lub porażkach a nawet zmieniały walkę o przetrwanie w wiekopomne wiktorie.

Bywało też niekiedy i tak – na przykład dzisiaj – że wszystkie cuda, jakich można było dokonać, nie wydawały się warte ceny, którą приходило płacić za ten szczególny Talent.

Gdyby tylko wiedziała nieco więcej! Gdyby mogła swe przeczucia złapać za gardło i zmusić do posłuszeństwa! To było jednak niemożliwe. Przebłyski ukazywały wydarzenia mające nastąpić za tydzień, miesiąc lub też za rok. Zdarzały się i takie, które dotyczyły wydarzeń, z czasów, kiedy osoba ich doświadczająca dawno już nie żyła. Czasami niektóre z oglądanych sytuacji nie wydarzały się wcale. Najczęściej jednak Przebłyski cechowały się przeraźliwą dokładnością... zwłaszcza, kiedy ich spełnienie było już bliskie. Calirathowie na przestrzeni tysięcy lat nauczyli się jednego – im mniej czasu pozostało do danego wydarzenia, tym silniejsze były zapowiadające je Przebłyski.

Dlatego właśnie jej żołądek przypominał teraz splątany, twardy węzeł i dlatego też miała podkrążone oczy. Obecne Przebłyski były najsilniejszymi, jakich kiedykolwiek doznała. Co gorsza – nasilały się z dnia na dzień. Obrazy stawały się wyraźniejsze, choć nie ukazywały jeszcze swojego kontekstu, który pomógłby je umiejscowić w czasie i przestrzeni. Andrin czuła się jak zbył mocno naciągnięta struna skrzypiec. Zdawała sobie sprawę, że może pęknąć lada chwila.

–Andrin – odezwał się spokojnie jej ojciec – pomyślałem, że może dziś popołudniu moglibyśmy zajrzeć do stajni i...

Urwał w pół słowa i odwrócił się – równocześnie z nim odwróciła się Andrin – w stronę drzwi komnaty jadalnej. Chwilę później drgnęła klamka. Andrin poczuła że blednie. Ojciec nerwowo zacisnął w pięści serwetkę. Drzwi otworzyły się i zobaczyli wchodzącego Shamira Taje.

–Wasze cesarskie moście – odezwał się pierwszy Radca Imperium Ternathii skłaniając się najpierw Zindelowi, potem Varenie i na koniec reszcie cesarskiej rodziny – proszę wybaczyć, że zakłócam spokój.

Varena Calirath spojrzała na twarz Zindela i wstrzymała oddech. Cesarz zupełnie znieruchomiał i dotarło do niej, że w la śnie nadeszła chwila, którą przeczuwali on i Andrin.

–Jestem pewien, że nie bez powodu, Shamir – odpowiedział zadziwiająco opanowanym głosem Zindel. Andrin wiedziała, że na pewno czuje te same przemykające po zakończeniach nerwów kłujące błyski.

–Chodzi o pilną wiadomość, wasza wysokość – wyjaśnił Taje. Zindel skinął głową.

–Rozumiem – powiedział i spojrzał Varenie w oczy. – Wybacz najdroższa. Dzieci – dodał z przeproszającym uśmiechem i na powrót zwrócił się do Taj ego. – Czy uda mi się wkrótce wrócić, Shamir?

–Ja... wątpię, wasza wysokość.

–Naturalnie – Zindel kolejno ucałował wszystkie swoje córki. Zaczął od małej Anbessy. Do Andrin podszedł na końcu. Uścisnął jej dłonie i spojrzał głęboko w jej zmartwione oczy. Dziew czynie udało się zdobyć na uśmiech. Specjalnie dla ojca.

–Powiem ci, co będę mógł – obiecał cicho.

–Jeśli nie będziesz mógł, zrozumiem – odpowiedziała.

–Tak – odsunął z brwi córki niesforny kosmyk. – Wiem.

Cesarz uśmiechnął się raz jeszcze, po czym żwawo odwrócił się i wyszedł razem z Shamirem Taje. Andrin zauważyła, że drżą jej kolana. Prawie upadła z powrotem na krzesło. Nie zdołała nawet przybrać odpowiedniej postawy, ale na szczęście mama nie zwróciła na to uwagi. Uśmiechnęła się tylko i spojrzała na Andrin z uśmiechem, który jednak nikogo nie mógł zwiść.

Chwilę później drzwi otworzyły się ponownie. Andrin obejrzała się gwałtownie. Stał w nich jej ojciec, śmiertelnie blady. Stał i patrzył wprost na nią.

–Zindel? – w głosie cesarzowej słychać było bezmiar przerażenia.

–Wybacz, najdroższa, nie chciałem cię martwić – cesarz spojrzał w oczy małżonki, po czym znów spojrzał na swą najstarszą córkę. – Andrin, obawiam się, że musisz ze mną pójść. Bezwzględnie musisz wziąć udział w posiedzeniu Tajnej Rady.

Andrin usłyszała czyjś jęk i nie była pewna czy to ona jęknęła, czy może jej matka. Spróbowała wstać, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Wzięła kilka głębszych oddechów i za drugim razem już się jej udało.

–Dlaczego ojciec? Co się stało?

–To tak na wszelki wypadek, Andrin, ale nie mam innego wyjścia. Dowiesz się wszystkiego na Radzie.

Andrin zobaczyła błysk w jego oku. Cesarz obrzucił swe młodsze córki łagodnym spojrzeniem. Zadrżała i poczuła jak zasycha jej w gardle.

–Oczywiście, ojciec – pochyliła się i ucałowała matkę w zlodowaciały nagle policzek.
– Przepraszam, mamu. Czy przeprosisz w moim imieniu cioteczkę Rezę, nie będę mogła pójść na lekcję.

–Oczywiście, najdroższa.

Andrin poszła korytarzem w ślad za ojcem. Pomyślała, że wcale już nie chce dowiadywać się więcej o źródłach swojego lęku. W tej chwili wołała, by pozostały bezimienne, nienazwane. Jeszcze kilka godzin temu nie mogła się doczekać, by znalazły wreszcie swe rozwiązanie. Teraz jednak przerażała ją myśl, że prawda może okazać się gorsza od najgorszych przypuszczeń.

Droga do komnaty rady zdawała się nie mieć końca, a z drugiej strony była stanowczo za krótka. Gdy wreszcie otworzyły się przed nimi drzwi Andrin wyprostowała się i głęboko odetchnęła. Nigdy wcześniej nie była w komnacie Tajnej Rady, co wcale nie było aż tak niezwykle, jak można by pomyśleć. Sokoli Pałac, wznosząca się w Estafel rezydencja cesarza Ternathii, był bowiem największą budowlą na całej wyspie Ternath. Starożytny pałac w Tajwanie był większy i bogatszy, podobnie jak starożytne Imperium zajmowało o wiele większe terytorium i było także zamożniejsze. Tego Andrin nie potrafiła sobie nawet wyobrazić. Z trudem przychodziła jej wiara w to, że ktoś był w stanie wybudować budynek jeszcze większy od miejsca jej narodzin. Sokoli Pałac był niemal całym miastem.

Mieszkało w nim i pracowało pięć tysięcy ludzi. Wraz ze stajniami, psiarniami i cesarskimi ogrodami zajmował powierzchnię dwudziestu akrów. Gdyby doliczyć jeszcze szklarnie i ogrody warzywne, pałac z przyległościami zajmowałby ich trzydzieści. Był najdroższą budowlą w stolicy Ternathii, i zarazem w całym rozległym Imperium. Nigdy nie obejrzała wszystkich pomieszczeń i nawet się tego nie spodziewała. Rządzący – i ich rodziny – nie mieli absolutnie żadnej potrzeby zaglądać do potężnych kuchni czy szklarni, w których warzywa rosły nawet zimą, a drzewa owocowe zmuszano do rodzenia płodów przez okrągły rok.

Odwiedzała oczywiście salę tronową, ale komnaty w których jej ojciec prowadził

narady, planował, martwił się i rządził do dziś stanowiły dla niej dziewicze terytorium. Dopiero teraz zobaczyła, że komnata Rady urządzona była w zupełnie innym stylu niż wielka i zdobna sala tronowa. Zadaniem tej drugiej było przypomnienie odwiedzającym o potędze, wspaniałości i starożytnym dziedzictwie Imperium – ta komnata w porównaniu z salą tronową wyglądała na przytulny pokój; na tyle duży by pomieścić wszystkich zasiadających w Tajnej Radzie, lecz jednocześnie na tyle niewielki by dawać wrażenie prywatności. Na ścianach komnaty – wzniesionej z tego samego szarego kamienia, z jakiego zbudowany był cały pałac – nie wisiały żadne ozdoby i nie pokryto ich marmurem, tylko wiekową, wypolerowaną boazerią przydającą wewnątrz swoistego ciepła. Na dwóch ścianach zawieszono dwa sztandary, z których każdy reprezentował jeden z dwojga ludów tworzących Imperium.

Trzecią ścianę prawie w całości zajmował wielki kominek, od którego płonących wesoło węgli biło ciepło odpędzające jesienne chłody. Jego obudowa w porównaniu z innymi pałacowymi kominkami wyglądała wręcz skromnie i służyła głównie jako podstawa pod zegary. Andrin z początku pomyślała, że to kolejny dowód kolekcjonerskiej pasji jej ojca, lecz gdy przyjrzała się ich tarczom nieco bliżej zrozumiała, że zegary pokazywały lokalne czasy z różnych rejonów Imperium.

Na moment zapomniała nawet o swym strachu. Spodobał się jej ten prosty, lecz skuteczny sposób ustalania aktualnej godziny w dowolnym miejscu państwa tak rozległego, że obejmującego wiele stref czasowych. Pod każdym z zegarów widniała tabliczka z nazwą głównego miasta w danej strefie. Na końcu kominka dostrzegła też zegary odliczające godziny z innych krain Sharony.

Po przeciwnej stronie komnaty zauważyła mapę. Znajome kształty linii brzegowych pomogły jej umiejscowić nazwy miast widoczne pod zegarami.

Sama wyspa Ternath, wyglądająca na mapie jak soczyście zielony klejnot, stanowiła najbardziej wysunięty na zachód fragment lądu oblewanego przez ocean Vandor. Na wschód od niej leżała wyspa Bernith, szersza a także rozciągająca się na północ i południe dalej niż Ternath. Za leżącymi na południu białymi, kredowymi klifami Bernith, po drugiej stronie mroźnego Kanału Bernith położony był wielki kontynent Chairifon, stanowiący większą część Imperium Ternathii, zajmujący niemal całą północną półkulę Sharony. Liczył sobie ponad dwa tysiące mil ze wschodu na zachód i tysiąc pięćset mil z północy na południe.

Z Kanału Bernith powędrowała spojrzeniem na południe, w kierunku półwyspu Narhathan, wielkiej połaci ziemi oblewanej od południa wodami Cieśniny Bolakin. Od północy w cieśninę wyciągała się w morze Pięść Bolakinu – półwysep sięgający na południe z Narhathan, oraz Hak Ricathii wdzierający się w wody cieśniny od południa. Pięść wzięła swą nazwę od wielkiej skały o stromych zboczach, która stanowiła tam najbardziej charakterystyczny element rzeźby terenu – a także od

ricathiańskiego miasta-państwa Bolakin, do którego cieśnina – i sama Pięść – należały przez długie stulecia. Ternathia kupiła Pięść od Bolakinu za ogromną sumę pieniędzy, a odpowiednie traktaty zostały dodatkowo potwierdzone serią arystokratycznych małżeństw oraz umów handlowych i dokumentów regulujących opłaty za korzystanie z wód oblewających Pięść przez inne niż ternathiańskie statki.

Z Bolakinu powiodła wzrokiem wzdłuż wybrzeża pozbawionego pływów morza Mbisi, znanego kupcom jako morze Handlu lub też morze Pieniędzy – w zależności od wybranego tłumaczenia bolakińskiej nazwy. Obie nazwy były wyjątkowo trafne biorąc pod uwagę ilość pieniędzy, które wpływały do kieszeni handlarzy pływających codziennie po Mbisi – zwłaszcza od momentu pojawienia się Wrót Larakesh i ukończenia Wielkiego Kanału Ternathii. Długie, regularne południowe wybrzeże Mbisi podlegało wielu zamożnym ricathiańskim miastom-państwom. Do Ternathii natomiast należało dłuższe i bardziej zróżnicowane północne wybrzeże morza.

Jedynym obszarem na północ od Mbisi, którego nie kontrolowała Ternathia były północne rubieże za lodowatymi wodami Oceanu Polarnego, oblewającego biegun północny. Poszarpana, pocięta fiordami linia brzegowa, wielkiego, przypominającego nieco kształtem łyżkę, cypla Famalii stanowiła zachodnią granicę Cesarstwa Farnalii.

Państwo to rozciągało się od północnego oceanu Vandor, wzdłuż swych dzikich brzegów, przez superkontynent Chairifion aż do morza Scurlis pięć tysięcy mil dalej na wschód. Cesarstwo Farnalii, jeśli na nie spojrzeć z północy na południe było bardzo wąskie, lecz wszerek obejmowało ćwierć globu. Panujący tam surowy klimat powodował, że nie mieszkało tam zbyt wielu ludzi, lecz ci, którzy się tam jednak rodzili byli tak wspaniali jak ich ojczyzna.

Farnalianie byli jeszcze wyżsi od Ternathian. Wielu spośród nich było wielkimi, zdrowo wyglądającymi blondynami lub rudzielcami. Ich posągowo zbudowane kobiety czuły się w siodle lub za pługiem równie dobrze, jak mężczyźni i tak samo sprawnie posługiwały się mieczem, (który oczywiście współcześnie zastąpiły karabiny) gdy przychodziło bronić rodzinnych ziem. W dawnych czasach, farnaliańscy rozbójnicy morscy znani byli ze swego upodobania do toporów, cudzej własności i własnej niezależności. Andrin podejrzewała, że to właśnie dlatego jej przodkowie woleli z porywczymi, skorymi do walki Farnalianami zawierać umowy handlowe niż podejmować jakiegokolwiek... bardziej zdecydowane działania.

Kiedyś Ternathia kontrolowała prawie cały kontynent Chairifion na południe od Farnalii i na zachód od Uromath, lecz to działo się dawno temu. Zdarzały się chwile, w których Andrin czuła zawroty głowy myśląc o tysiącach lat historii skrywających się za czymś tak prostym jak mapa, na którą właśnie patrzyła. Ciężko było objąć myślą bezmiar czasu jaki upłynął od chwili, gdy Ternathia podpisała pierwsze umowy sojusznicze z Farnalią. Działo się to ponad cztery tysiące lat temu. Przez cały ten czas między oboma państwami kwitł przynoszący krociowe zyski handel. Sami

Farnalianie żartowali, że to wpływ Ternathian ucywilizował ich półdzikich przodków. Drugim powodem mogło być też to, że część z owych przodków stanowili właśnie Ternathianie. W zachodniej Farnalii często dochodziło do mieszanych małżeństw, w związku z czym od dawna już nie można było poznać narodowości tylko po wyglądzie fizycznym.

Zdarzali się ludzie – zwłaszcza w Uromathii – którzy szeptali po kątach niepochlebne słowa o „kundlach” ale prawda była taka, że asymilacja stanowiła podstawowy sposób, w jaki Ternathia poszerzała swe granice. Głównym motorem ekspansji Imperium była potrzeba zabezpieczania szlaków handlowych przed napaściami bandytów i barbarzyńców, których zawsze było pełno po drugiej stronie granicy. I nie zmieniał tu niczego fakt, że po każdym kolejnym etapie rozszerzania, zarówno kupcy jak i władcy stawali w obliczu kolejnego zagrożeniem – tym razem ze strony morskich piratów i lądowych rabusiów, nękających ternathiańskich handlarzy już zza nowej granicy. To tylko mobilizowało Imperium do dalszego wzrostu.

Tak się też działo. Nikt nigdy nie planował świadomie tworzenia tak rozległego państwa. Cały czas myślano jedynie o zabezpieczeniu pokojowego handlu. Żaden z historycznych władców Ternathii nie pożył się świeżych ziem dla nich samych. Rezultat był jednak identyczny. Ternathia, niczym wiecznie głodna fala niosła ze sobą sztukę i technologie kolejnym ludom i kulturom, które wchłaniała w swe granice. Uczyła się od nich i mieszała krew swych ludzi z nowymi obywatelami. Władcy z dynastii Calirath kierowali się mądrością która nakazywała im przywiązywać do swojego Imperium wcielone ludy na równych prawach, a małżeństwa okazały się jednym z najlepszych sposobów do osiągnięcia tego celu. Podobne skutki miał szacunek wobec nowych religii. Proces wchłaniania działał w obie strony, stopniowo przez długie stulecia. Jeszcze jednym z powodów oszałamiającego sukcesu Imperium było to, że ternathiańscy kupcy przywozili ze sobą coś o wiele bardziej cennego niż złoto, przyprawy, czy świecidełka.

To w Ternathii po raz pierwszy nauczono się wykorzystywać Talenty umysłu. Według legendy pierwszym Utalentowanym był Erthain Wielki – na poły mityczny założyciel dynastii Calirath. Andrin powątpiewała w prawdziwość tej akurat wersji wydarzeń, ale nie było wątpliwości, że pierwsi Utalentowani urodzili się na Ternath. Telepatia, zdolności Głosów, Przepowiadaczy, Kartografów, dar Przebłysków – wszystkie one były dziedzictwem i klątwą Ternathii. Telekineza, Dalekowidzenie – wszystkie one rozwinęły się na Ternath i rozprzestrzeniły wraz z potomkami Ternathian.

Dzięki mieszanym małżeństwom Talenty trafiały także do ludzi innych narodowości, aż wreszcie przekroczyły granice wielkiego Imperium. Dzisiaj korzystały z nich wszystkie narody Sharony – splecione nimi niczym połyskliwą, złotą siecią.

Z upływem czasu zmienił się jednak świat i w końcu utrzymywanie tak potężnego

Imperium stało się zbyt trudne i kosztowne. Cesarz Ternathii postanowił uwolnić te prowincje, którymi zarządzanie okazywało się najmniej opłacalne. Andrin od zawsze cieszyła się, że granice Ternathii skurczyły się nie w wyniku ognia powstań, czy powolnego rozkładu od wewnątrz, dlatego, że jej przodkowie okazali się na tyle mądrymi ludźmi, by zwrócić odległe zakątki swego terytorium we władanie ich odwiecznym mieszkańcom.

Dlatego właśnie bogate królestwo Shurkhal i wiele mniejszych królestw związanych ze wspólnym dziedzictwem kulturowym stało się na powrót Shurkhal i jego siostrzanymi państwami, a państwa Harkalańskie odzyskały pełną suwerenność i podlegały już tylko same sobie. Andrin rozumiała, że tak było lepiej. I to nie tylko dlatego, że powtarzali jej to nauczyciele i rodzice. Wiedziała to sama z siebie.

Trzymać kurczowo przy sobie coś, czego nie da się dłużej utrzymać, trzymać jedynie dla perwersyjnej rozkoszy posiadania, byłoby rzeczą gorszą nawet niż szaleństwo. Byłoby to czyste okrucieństwo, tak jak okrutne było każde zniewolenie. Gdyby inne narody chciały pozostać przy Ternathii to na pewno znalazłyby sposób, by Imperium mogło dalej odnosić z tego korzyści. Stało się jednak inaczej. Zaoferowaną im wolność odrzuciło jedynie kilka królestw, księstw i republik.

Imperium Ternathii kurczyło się stopniowo i łagodnie, a tym, którzy kierowali całym procesem udało się zachować człowieczeństwo. Andrin Calirath była dumna, że jest spadkobierczynią tak wspaniałych władców, była także dumna, że była córką obecnego cesarza Ternathii, który władał – z dokładnością do kilku tysięcy – pięciuset siedemnastoma milionami poddanych. Duma rozpierała ją, ponieważ jej poprzednicy oddając swe ziemie uwalnianym narodom, pozostawili po sobie większość tego, co na nich zbudowali oraz to, czego ich nauczyli. Nowostare wolne państwa cieszyły się z niezależności i indywidualności, ale nie zatraciły pamięci o tysiącach lat wspólnej historii, która nie przestała ich łączyć z Ternathią.

Oprócz Ternathii i Farnalii inne „imperia” – o ile można wobec nich użyć tego pojęcia – tworzyli Arpathianie z Septentriona – kraju słynącego z futer, bursztynu, wielkich stad koni i wojowniczych nomadów oraz Uromathiani.

Tak naprawdę nie istniało coś takiego jak „imperium Arpathii” – Septowie byli zbyt niezależni i nie mogliby poddać się takiej organizacji – Septentrion stanowił luźny związek kultur, religii i politycznych interesów. Dzięki jego istnieniu Septowie mieli swoją reprezentację na zewnątrz i nie toczyli wojen między sobą. Septentrion zajmował rozległe tereny od morza Ibrala do morza Scurlis, cztery tysiące mil na wschód. Jeszcze ważniejszą zaletą istnienia tej unii, było to, że umożliwiała ich plemionom zajmowanie wspólnego stanowiska w kwestiach handlu, co zapobiegało nieuczciwym praktykom przyjezdnych kupców.

Na południe od Arpathii leżało mrowie królestw należących do kultury

uromathiańskiej. Między innymi Eniath, na którego surowych pustyniach rodzili się ludzie kochający konie i sokoły tak mocno jak Andrin. Były tam dwa większe imperia oraz szereg mniejszych niezależnych państw. Większym z dwójki było samo Cesarstwo Uromathii, od którego wzięła swą nazwę cała kultura i było prawie tak rozległe jak współczesna Ternathia.

Imperium Hinoreańskie także nie było małym państwem, lecz nie dorównywało Uromathii – swemu większemu sąsiadowi – ani co do obszaru, ani zamożności. Szczególną cechą wszystkich królestw Uromathii była olbrzymia gęstość zaludnienia – o wiele większa niż w Ternathii, czy gdziekolwiek indziej w Sharonie. Uromathian było tak wielu, że ogromne ich zastępy nieustannie emigrowały do nowych wszechświatów za portalami.

Andrin nigdy osobiście nie spotkała żadnych Uromathian, choć widziała kilku posłów, którzy przybywali do Sokolego Pałacu. Wyglądali niezwykle egzotycznie i byli o wiele niżsi od większości Ternathian. Sama Andrin była wyższa od wszystkich uromathiańskich mężczyzn, których widziała. Podejrzewała, że gdyby któryś z nich stanął tuż przed nią, poczułby się mocno niezręcznie.

Przeniosła spojrzenie z powrotem na zachód, ponad trójkątnym subkontynentem, zajmowanym przez Harkalę i jej siostrzane państwa. Harkala stanowiła niegdyś część Ternathii, ale od dawna była już niepodległa. Długie wybrzeże Ricathii poprowadziło jej oczy za Shurkhal – które też kiedyś było prowincją Ternathii i słynęło z wielkich połączeń nie nadających się do zamieszkania pustyń – spojrzała na Wielki Kanał Ternathii, łączący ze sobą Mbisi i Morze Palca.

Potem zwróciła uwagę na fragment mapy, na północ od Shurkhal, na wschodni brzeg Mbisi, gdzie pomiędzy ludami zachodu i wschodu znajdowały się ziemie narodu Othmaliz. Podobnie jak Shurkhal i Harkala Othmaliz należało niegdyś do Ternathii i odzyskało wolność, gdy Ternathia uwolniła wschodnią połowę swego imperium.

Tu wzrok Andrin zatrzymał się na dłużej. To właśnie w Othmaliz leżała Tajvana.

Znowu poczuła na skórze mrowienie Przeblysku. Spojrzała na długie i wąskie, przypominający sztylet cypel zwany Ostrzem Ibrala i niezwykle długie i wąskie Cieśniny Ibrala. Wąskie przesmyki prowadziły do morza Ibrala, nad którym rozłożyło się starożytne miasto. W jej sercu zapłonęło niezwykle uczucie. Jeszcze raz odczytała nazwę miasta.

Tajvana.

Sama nazwa tętniła magią i nurzała się w odmętach historii tak starożytnej, że niemożliwej do ogarnięcia. Przez dwadzieścia trzy stulecia miasto było stolicą

Ternathii. Piękne nie do opisania. Serce wielkiej potęgi, władzy niezrównanej w dziejach ludzkości. Miasto nieprzebranych skarbców, których zasobów, uzupełnianych przez tysiące lat, nikt nie był w stanie przeliczyć. Tajvana, do której można było z zachodu dotrzeć jedynie przez cieśniny Ibrala, zajmowała oba brzegi jeszcze węższej cieśniny Ylani, za którą zaczynały się ciemne i chłodne wody morza Ylani.

Ylani ze wszystkich stron ograniczone było suchym lądem. Wyjątek stanowiła jedynie mała cieśnina w Tajvanie. Historia uczyła, że ktokolwiek kontrolował cieśninę Ylani, kontrolował też szlaki handlowe wiodące z Ricathii i Ternathii na zachodzie do wschodnich ziem Arpathii i Uromathii. Waga tych szlaków zaczęła maleć od momentu, kiedy kolonizatorzy dotarli z Chairifon na inne kontynenty Sharony. Nowe surowce i źródła towarów odkrywano od tamtej pory gdzie indziej. Ten spadek znaczenia zatrzymał się jednak w chwili, kiedy w górach na zachód od sennego portu na wybrzeżu Morza Ylani, osiemdziesiąt lat temu pojawił się portal Larakesh. Towary z całego świata mogły dotrzeć do Larakesh jedynie przez cieśniny Ibrala i Ylani, co zarazem oznaczało, że musiały zostać przewiezione przez Tajvanę. Dzięki temu starożytne miasto stało się bogatsze niż kiedykolwiek przedtem. Decyzja Zarządu Portali by właśnie tu zbudować swą główną siedzibę spowodowała, że Tajvana powróciła do grona najważniejszych miast świata. Mimo to, to długa historia dawnej stolicy oddziaływała na Andrin najsilniej. Tajvana była wyjątkowym miejscem. Było to jedyne miasto Sharony, które zaznało sukcesu tak ekonomicznego jak i politycznego bez przerwy przez pięć tysięcy lat. Miasto było stare jak stara była sama Ternathia. Klejnot w koronie cesarzy Ternathii, który ci ostatni oddali z własnej woli.

Andrin rozumiała polityczne i finansowe powody, dla których Ternathia zrezygnowała z Tajwany, ale z drugiej strony od dawna miała wrażenie, że porzucenie tego akurat miasta stanowiło nie tylko utratę części terytorium, ale także prestiżu i dziedzictwa kulturalnego. Według Andrin była to kwestia dumy narodowej – czy ściślej – narodowego wstydu. Jej przodkowie zrezygnowali z najbogatszego i najbardziej zróżnicowanego kulturowo miasta. Zastanawiała się często, czy Tajwańczykom brakowało władzy i bogactw Ternathii i czy ucieszyliby się gdyby ludzie, którzy władali nimi przez tak długi czas powrócili na swe dawne włości.

Andrin odkąd sięgała pamięcią bardzo chciała zobaczyć Tajvanę. To było niecodzienne jak na nią uczucie. Zazwyczaj nie ścigała wiatru w polu, ani nie tęskniła za utraconą chwałą. Tajvana jednak była czymś innym. Życie w tym zimnym, kamiennym pałacu, w deszczowym Ternath wydawało się czymś... niewłaściwym w sytuacji kiedy szept pamięci utrwalonej, w krwi płynącej w jej żyłach przynosił jej podmuchy ciepłego wiatru we włosach, wspomnienia dotyku rozgrzanego w słońcu marmuru, z którego wykonana była rzeźbiona balustrada, obraz światła spływającego niczym potop na wspaniałe miasto, przy wtórze oszałamiającego zapachu egzotycznych kwiatów i szumu palmowych liści pod rozgwieżdżonym niebem...

Andrin zamrugnęła i ponownie odwróciła się przodem do komnaty Tajnej Rady. Gdyby nie pochodziła z dynastii Calirath wspomnienia tego rodzaju z miejsca, którego w życiu nie odwiedziła na pewno bardzo by ją niepokoiły. Wiedziała jednak, że jej krew była tą samą, która przez stulecia krążyła w żyłach władców Tajwany, a jej rodzinnemu Talentowi często towarzyszyły inne, poboczne, których nikt nie potrafił wyjaśnić. Odwiedzała Tajwanę we śnie. Spacerowała jej wąskimi uliczkami i bardzo chciała tam pojechać, choćby po to, żeby sprawdzić jak dokładne obrazy podpowiadał jej Talent.

Westchnęła. Rozumiała jak mało realna była taka podróż, choć gdzieś głęboko w sobie żywiła przecucie, że mimo wszystko pewnego dnia jednak zobaczy Tajwanę. Była córką cesarza. Jej bezpieczeństwo i obowiązki miały pierwszeństwo nad osobistymi pragnieniami – zwłaszcza takimi, które wiązały się z dalekimi podróżami. A kiedy już wyjdzie za mąż – co na pewno okaże się politycznym mariażem – z którymś, z ternathiańskich arystokratów lub jakimś zagranicznym księciem – obowiązek zmusi ją do pozostania w domu i wychowywania cudzych następców. Nie podobało jej się to, choć po części rozumiała, że jeśli ktoś nosił nazwisko Calirath miał w życiu wyłącznie obowiązki. Cieszyła się za to, że po śmierci jej ojca władzę w Ternathii przejmie Janaki.

Ta myśl przyniosła jej nieznaczną i krótkotrwałą ulgę, niemal natychmiast przesłoniętą przez ukłucie Talentu, który zwrócił jej myśli z powrotem ku pytaniu dlaczego ojciec chciał, by uczestniczyła w spotkaniu Tajnej Rady.

Większość członków Rady była już na miejscu. Kilku jednak nadal brakowało. Pierwszy radca Taję pogrążony był w rozmowie z cesarzem. Mówili zbyt cicho, by mogła cokolwiek usłyszeć. Wtedy do komnaty weszła Alazon Yanamar, osobisty Głos Zindela. Podeszła prosto do władcy. Yanamar nie była regularnym członkiem Rady, lecz – z oczywistych powodów – często uczestniczyła w jej posiedzeniach. Dziś jej przybycie przyniosło ze sobą niecodzienną, niepokojącą aurę. Andrin spojrzała na kobietę, Tajego i swego ojca, i z wysiłkiem opanowała dreszcz lęku.

Jeszcze większej determinacji wymagało zachowanie spokoju, kiedy Yanamar i Zindel zaszyli się w najdalszym zakątku komnaty i kobieta przekazała cesarzowi wiadomość, która zakłóciła im śniadanie.

Oblicze władcy pokryła śmiertelna bladość. Andrin poczuła, że wilgotnieją jej dłonie. Otarła je delikatnie o swą aksamitną spódnicę. Twarz Yanamar nie zdradzała niczego, lecz oczy Zindela pociemniały. Cesarz zamrugnął i spojrzał wzrokiem, którego Andrin nigdy u ojca nie oglądała.

Kobieta Głos rzuciła okiem na Andrin. Nie było to niemiłe spojrzenie, ale nie zdradzało ani jednej myśli. Andrin nie bardzo wiedziała, co powinna zrobić, więc tylko skinęła uprzejmie głową nie podchodząc do rozmawiających dorosłych. Usiadła pod

ścianą, rozmyślnie nie zajmując miejsca przy stole rady. Ojciec zauważył jej ruch, podniósł na nią wzrok i lekko zmarszczył brwi. Nic jednak nie powiedział, więc Andrin nie ruszyła się ze swego miejsca. Była tu, żeby patrzeć i uczyć się, a nie uczestniczyć. Tak przynajmniej myślała. Zazwyczaj doskonale odczytywała niewerbalne sygnały ojca, ale dziś nie była pewna niczego poza najzupełniej realnym lękiem świdrującym całe jej ciało. W tej chwili był ostrzejszy, niż kiedykolwiek przedtem.

Przyglądała się więc kolejnym wchodzącym do komnaty radcom, oderwanym nagłym wezwaniem cesarza od swych zwykłych zajęć. Pierwszy Radca zachował spośród nich największy spokój. Andrin nie mogła sobie przypomnieć sytuacji, w której widziałaby zdenerwowanego Shamira Tajego. Pomyślała, że radca przypomina pięciomasztowy statek – ciężki i stabilny, solidny i godny zaufania bez względu na pogodę. W swych dziecięcych latach uważała go za osobę nudniejszą niż niekończący się ternathiański deszcz; teraz, jako prawie już kobieta, potrafiąca docenić zalety państwowego urzędnika zmieniła zdanie i uznała Tajego – zgodnie z prawdą – za niezastąpionego doradcę, którego rozsądek i nieomylna zdolność oceny dowolnie złożonych sytuacji były dokładnie tym, czego Imperium Ternathii potrzebowało.

Ciekawiło ją czy radca choć w części podejrzewa, jak wiele ona rozumie. Wydawało się jej, że nie było to prawdopodobne. Uśmiechnęła się do siebie, co przyciągnęło uwagę kilku członków rady. Przerwali swe rozmowy i spojrzeli na nią. Zastanawiali się zapewne, co też takiego mogła wiedzieć cesarska córka, o czym oni nie zostali jeszcze poinformowani. Intrygowała ich także sama jej obecność w komnacie rady.

Radcy doszli wkrótce do wniosku, że wolą jednak nie wiedzieć, czemu Andrin znalazła się wśród nich. Wszystkie ewentualne powody takiej decyzji Zindela były jednakowo złe. Niektóre nawet katastroficzne. Radcy spojrzeli po sobie i wrócili do rozmów, starając się utrzymać rozkołataną nerwy na wodzy do momentu, kiedy rada znajdzie się w komplecie.

Zanim ostatni z członków Tajnej Rady pospiesznie wpadł, dysząc ciężko do komnaty, Andrin miała wrażenie, że upłynęła wieczność. Cesarz zajął miejsce u szczytu stołu. Wyrafinowane inkrustacje blatu połyskiwały w świetle lamp. Sztuczne oświetlenie było tu niezbędne. Komnata rady nie miała okien. Gruby, dębowy mebel zdobny był ciemniejszym drewnem, srebrem, kością słoniową, a nawet macicą perłową, które tworzyły przepiękne wzory. Środek wielkiego stołu zajmował starożytny, ośmioramienny herb Ternathii. Połyskiwał drogimi metalami i klejnotami, układającymi się w kształt drzew, kwiatów i owoców pochodzących ze wszystkich zakątków starożytnego Imperium.

Radcy szybko stanęli za przeznaczonymi dla siebie krzesłami. Nie usiedli jednak zanim wysoki i chudy jak szczapa kapelan nie odmówił krótkiej modlitwy, która

poprzedzała wszelkie oficjalne wydarzenia w Ternathii. Głos duchownego brzmiał zaskakująco donośnie. Wzywał na pomoc podwójną Trójcę, która czuwała nad pomyślnością Imperium już od pięciu tysiącleci. Cesarz stał w milczeniu i słuchał z respektem. Gdy rytuał dobiegł końca Zindel zasiadł na swoim miejscu na krześle, które stało przy tym stole od trzystu lat. Dopiero wtedy, zajęli miejsca pozostali członkowie Tajnej Rady.

* * *

Krzesło, na którym zasiadał Zindel XXIV było równie bogato zdobione jak stół. Pokrywały je podobne inkrustacje, w tym połyskujący w świetle herb imperium na oparciu wznoszącym się wysoko ponad głowę cesarza, a także płaskorzeźba słynnej Uskrzydłonej Korony Ternathii górująca nad całością. Przodkowie Zindela chan Caliratha doskonale rozumieli wagę symboli. On sam także je doceniał. Wiedział już, że w nadchodzącym kryzysie będzie musiał odwołać się również do ich potężnej siły. Oparł się na poduszkach i przyszło mu do głowy, że mebel był o wiele wygodniejszy, niż sytuacja w której właśnie się znaleźli. Wreszcie przemówił.

–Panie i panowie. Dziękuję, że zjawiliście się tak szybko. Zarząd Portali przesłał nam wiadomość najwyższej wagi. Dyrektor naczelny, Orem Limana zwołał ogólnoswiatowe Konklawe, wyznaczone na dzisiejsze popołudnie, na godzinę pierwszą trzydzieści czasu Ternathii.

–Konklawe, wasza wysokość? – zapytał ostro Ekthar Shilvass, Radca Skarbu.

–Tak jest Ekthar. Nasze posiedzenie zwołałem po to, abyśmy mogli zastanowić się nad tym, co spowodowało tak poważną decyzję dyrektora. Nie mamy zbyt wiele czasu, a ja potrzebuję waszej rady, przyjaciele – rady i informacji. O ile bowiem nie nastąpiła jakaś niewyobrażalna pomyłka Sharona znalazła się w stanie wojny.

Dokoła stołu rozległy się zaskoczone, gwarne głosy. Zindel właśnie tego się spodziewał i skorzystał z krótkiej przerwy, by spojrzeć na córkę. Andrin drgnęła w krześle. Na dźwięk słów ojca pobladła. Po chwili Shamir Taje zastukał gwałtownie palcami o stół nawołując zebranych do spokoju.

–Wasza cesarska wysokość – zaczął, rozmyślnie używając formalnego tytułu by przypomnieć radcom o zachowaniu protokołu. – Twój osobisty Głos przekazała mi jedynie część wiadomości nadanej przez dyrektora Limanę. Może zechciałbyś panie wyjaśnić mi najbardziej palącą kwestię.

Zindel pochylił głowę, jakby znając treść nie zadanego jeszcze pytania.

–Z kim prowadzimy tę wojnę, wasza wysokość? – zapytał Taje. Cesarz spojrzał głęboko w oczy starego przyjaciela.

–Niestety to jedno z pytań nad którymi zastanawiamy się wszyscy. Nie wiemy z kim.

–Ale – wyrwał się głównodowodzący Armii Ternathii Thaylar chan Gristhane – jak to możliwe? Skoro nie wiemy z kim walczymy, jak możemy być pewni, że prowadzimy w ogóle wojnę?

–Jeszcze nie wiemy, z kim walczymy – wyjaśnił ponuro Zindel – ale o ile sami bogowie nie zrządzą inaczej, to ta wojna jest faktem, panie i panowie. Wojna z ludźmi, którzy dopuścili się mordu na jednym z naszych zespołów badawczych. Wymordowano ich wszystkich bezlitośnie – cesarz urwał i po chwili dodał. – W tym jedną kobietę.

W całej komnacie znów zapadła cisza. Rzut oka na córkę wystarczył Zindelowi, by zdążył dostrzec w jej oczach przerażenie. Andrin zaczęła milcząco łkać. Zagryzła wargę. Nie chciała żeby choć jeden dźwięk przeszkodził zebranym w obradach. Cesarz był z niej szalenie dumny i równie szaleńczo się o nią bał.

Spojrzał ponownie na zebranych i wyjaśnił – zwięźle lecz wyczerpująco – co zaszło. Kobieta-Głos odpowiadała na pytanie za pytaniem. Mówiła wszystko, co wiedziała, lecz informacji było i tak zbyt mało, by zaspokoić ciekawość wszystkich. Na większość pytań nikt nie znał odpowiedzi i Zindel musiał w końcu przerwać potok bezowocnego przesłuchania.

–Zamiast tracić czas na błędzenie po omacku i wypytywanie o ludzi, o których niczego nie wiemy sugerowałbym, żebyśmy skupili się na ustaleniu stanowiska, jakie powinna zająć Temathia na dzisiejszym Konklawe. Przywódcy wszystkich narodów Sharony i naszych największych kolonii w innych wszechświatach spotkają się poprzez ASG i jak rozumiem będziemy zmuszeni opracować na tym spotkaniu plan naszej reakcji na tę sytuację. Zostaliśmy zaatakowani i musimy założyć, że podobna sytuacja się powtórzy. To niemal pewne, biorąc pod uwagę dzikość i zajadłość przeciwnika.

–Zgadzam się, musimy przygotować się na najgorsze, wasza wysokość – powiedział Shamir Taje. – Jednocześnie nie wolno nam zapominać o możliwości, że ta napaść była pomyłką. Możliwe, że atakiem dowodził jakiś młody, niedoświadczony oficer. Gdybyśmy od razu założyli, że wojna jest nieunikniona sami moglibyśmy ją sprowokować.

Większość ludzi nie rozumiałaby właściwego sensu słów Pierwszego Radcy. To dlatego, że większość ludzi nie znała go tak długo, jak znał go Zindel chan Calirath. Cesarz wiedział, że jego przyjaciel był bardzo zaskoczony tym, że władca wyraźnie skłaniał się ku wojnie, a możliwość pokojowego rozwiązania konfliktu traktował z niedowierzaniem.

–Przyjacielu – odpowiedział cicho Zindel. – Z całego serca modłę się o to, by wojna nie okazała się jedynym dostępnym nam wyjściem. Oddałbym za to wszystko, i to z powodów, o których nie masz w tej chwili najmniejszego pojęcia. A jednak cesarz spojrział chmurnie, w jego oczach zebrał się mrok – przez cały zeszły tydzień, czyli w zasadzie od chwili, kiedy dzisiejsza wiadomości została do nas wysłana, my oboje, księżniczka Andrin i ja, doświadczamy silnych Przebłysków.

W komnacie rady zapadła grobowa cisza. W końcu w Radzie zasiadali Ternathianie.

–Żaden z obrazów, które Widziałem do tej pory nie rozstrzygał o nieuniknionej wojnie – ciągnął Zindel niezmiennie cicho – lecz wszystkie z nich pełne były walki, widoku płynącej krwi i to na skalę, jakiej Sharona nie zaznała od setek lat.

Twarz zasłuchanej w głęboki, dźwięczny głos ojca Andrin wyglądała jak rzeźba z kości słoniowej. W jego słowach odbijały się jej własne Przebłyski. Każdy z nich miał posmak żelaza i krwi.

–Widziałem ludzi uzbrojonych w broń, której nie potrafię wam nawet opisać – powiedział milczącym Radcom cesarz. – Oglądałem stworzenia rodem z najgorszego koszmaru. W moich wizjach płonęły całe miasta. Wiem, że nie wszystkie Przebłyski sprawdzają się dokładnie. Niektóre nie sprawdzają się w ogóle, ale moim obowiązkiem jako władcy Ternathii jest przygotować Imperium na ewentualność, że moje ostatnie Przebłyski sprawdzą się co do joty.

–Rozumiem wasza wysokość – odparł cicho Taje. – Jak możemy pomóc Dziedzicowi Calirath? – dodał i zapadła cisza tak głęboka, że aż głośna.

–Nie wolno nam zapomnieć, że żaden z pozostałych przywódców, którzy wezmą udział w Konklawe nie doświadczył tego co ja – stwierdził Zindel. – Większość z nich zapewne zrozumie co nam grozi, lecz nikt nie Widział tego, co ja. Nikt poza mną nie wie jeszcze, jak poważne jest zagrożenie. Niektórzy zapewne zechcą grać na zwłokę, zechcą uniknąć wzięcia na siebie tak przytłaczającej odpowiedzialności. Inni jak sądzę zaczną opowiadać o protokole, precedensach i korzyściach politycznych. Na pewno będą i tacy, którzy zaczną nakłaniać nas, byśmy nie podejmowali żadnych działań, by nie „zaogniać” sytuacji. Pozostali będą domagać się natychmiastowej akcji, zwłaszcza po tym, jak poznają wszystkie szczegóły tego, co spotkało nasz zespół badawczy. Jakaś grupa będzie mieć nadzieję – którą i ja żywię, choć nie widzę na to wielkich szans – że kryzys uda się rozwiązać za pomocą działań czysto dyplomatycznych. Cokolwiek się jednak nie stanie, jakkolwiek będziemy się w naszych opiniach różnić bądź zgadzać, będziemy musieli uzgodnić jedno, jedyne stanowisko. Ternathia jest najstarszym, największym i najbogatszym państwem Sharony i jako takie musi przejąć ster i to my musimy zawczasu zaplanować naszą reakcję.

–Potrzebuję od was – ciągnął Zindel – zaleceń, które po mogą Ternathii odegrać jak najistotniejszą rolę. Ja mam już wyrobione zdanie, lecz chciałbym poznać także i wasze opinie. Wszystkie, nawet te pozornie nonsensowne. Być może to wy zwrócić uwagę na jakiś element sytuacji, który umknął mojej uwadze. Potrzebuję też faktów, przyjaciele – chcę danych o gotowości bojowej kraju. Nasze Imperium nie toczyło prawdziwej wojny od setek lat. Potyczki z piratami, czy bandytami nie liczą się tu zupełnie. Według mnie czeka nas zupełnie inny rodzaj konfliktu zbrojnego. Być może staniemy przed koniecznością mobilizacji całej armii. Możliwe też, że będziemy zmuszeni do drastycznego zwiększenia jej liczebności.

–Ależ wasza wysokość – zaprotestowała Nanthee Silberth, Radca Edukacji – dysponujemy przecież największą armią Sharony!

Zindel otworzył usta, lecz ubiegł go Pierwszy Doradca.

–Tak, Nanthee, to prawda. Ale spójrz na gęstość zaludnienia. Większość niedawno odkrytych wszechświatów jest niemal zupełnie bezludna, a eksplorację prowadzimy już od osiemdziesięciu lat. Nawet jeśli każdego z naszych żołnierzy wyślemy jutro statkami czy koleją do tych światów, to i tak nie starczy nam ludzi do ich skutecznej obrony, nie mówiąc już o zebraniu wystarczających sił do toczenia regularnych bitew.

–Racja, Shamir – przytaknął chan Gristhane – i zgadzam się, że będzie nam potrzebna armia, jakiej obecnie nie ma na Sharonie nikt. Jednocześnie nie widzę sensu w zwiększaniu załóg we wszystkich naszych wszechświatach.

–Po pierwsze dlatego – mówił dalej – że o ile nowe portale nie pojawią się w złym czasie i miejscu, wróg nie będzie mógł przejść przez te portale, które zabezpieczymy zawczasu. Proszę mi wierzyć. Walka o portale może się okazać bardzo, ale to bardzo kosztowna, chyba, że któraś ze stron osiągnie miażdżącą wręcz przewagę w sensie skuteczności uzbrojenia. Po drugie, nawet jeśli mylę się w punkcie pierwszym, nawet gdybyśmy wcielili do wojska wszystkich zdolnych do noszenia broni to i tak nie udało by się nam odpowiednio zabezpieczyć wszystkich wszechświatów.

–Zgoda, Thaylar – powiedział cesarz. – Zgadzam się także i z tym, że same tylko odległości na pograniczu uniemożliwią obu stronom przeprowadzenie błyskawicznych ataków. Chyba, że jak zauważyłeś, któraś ze stron będzie posiadać znaczącą przewagę technologiczną. Niestety niczego jeszcze o obcych nie wiemy. Co gorsza nie wiemy też, ilu ich może być. Nie znamy liczby wszechświatów, które zasiedlają ani ich gęstości zaludnienia. Ich cywilizacja może się przecież okazać dwu – lub trzykrotnie nawet większa od naszej – Zindel pokręcił głową. Shamir nie myli się co do jednego. Jeśli rozpęta się regularna wojna, to będzie ona długa i paskudna. Wątpię zatem, czy nasza armia w obecnym kształcie zdoła podołać jej wymaganiom.

Komentarzem do ostatnich słów władcy okazała się martwa cisza. Wreszcie przerwał ją chrząknięciem Brithum Dulan, Radca Spraw Wewnętrznych.

–Wasza wysokość, czy Rada może poznać powody którymi się kierowałeś wzywając na posiedzenie Wielką Księżniczkę Andrin?

Andrin poczuła nagle na sobie spojrzenia wszystkich zebranych. Wstrzymała oddech, czekając na odpowiedź ojca. Oczekiwała na słowa, które miały przypieczętować jej los. Nie wiedziała jaki on będzie, ale bardzo się go bała. Wtedy, ku jej zaskoczeniu – a także ku zaskoczeniu całej Rady – cesarz wstał ze swego masywnego krzesła i przeszedł przez komnatę. Stał przed nią i ujął ją za rękę. Były zimne.

–Przykro mi moje dziecko – powiedział łagodnie – ale jesteś druga w kolejności do objęcia tronu, a Janaki i jego oddział znajdują się jedynie o dwa wszechświaty drogi od miejsca, w którym nastąpił atak. Nie mam wyboru i muszę zacząć wprowadzać cię w politykę, na wypadek, gdyby coś stało się Janakiemu...

Spojrzał na nią uważnie i odjęło mu głos. Policzki Andrin były chłodne i blade. Zaciśnęła palce, ale nie zareagowała histerycznie. Zresztą Zindel wcale się tego po niej nie spodziewał. Była jeszcze co prawda bardzo młoda, nie miała jeszcze nawet osiemnastu lat i można było oczekiwać od niej łez i gwałtownych przejawów lęku, ale była także spadkobierczynią rodu Calirath. Dziewczyna zaciśnęła tylko pięści, głośno przełknęła ślinę i skinęła głową.

–Tak, ojcze – powiedziała niesłychanie opanowanym głosem. – Rozumiem. Zrobię co w mojej mocy, by być gotową na wypadek, gdyby...

Urwała i znów przełknęła ślinę.

–Zrobię co w mojej mocy, ojcze – powtórzyła i spojrzała Zindelowi prosto w oczy. – Jeśli wolno mi coś zaproponować, mogłabym zorganizować komitet do spraw pomocy wdowom i sierotom. Obawiam się, że taka instytucja może okazać się konieczna.

Władca spojrzał jej w oczy i dostrzegł w nich odbicie swych własnych mrocznych wizji.

–Mogłabym też – ciągnęła Andrin – pomóc matce dopilnować przygotowań do podróży.

–Podróży? – cesarz uniósł brew.

–Do Tajwany – Andrin zmarszczyła brwi dziwiąc się zaskoczeniu ojca. – Przecież jedziemy do Tajwany, prawda? Na kolejne Konklawe, które odbędzie się po tym

dzisiejszym. Tak trzeba i mam wrażenie, że... właśnie tam powinno się odbyć. Tam znajduje się przecież siedziba Zarządu Portali, a za pośrednictwem Głosów nie uda się zrobić tego, co twarzą w twarz.

Mówiła to wszystko takim tonem, jakby własne słowa zaskakiwały ją tak samo, jak pozostałych obecnych. To nie były jednak pytania. Nie słyhać w nich było niepewności. Zindel zrozumiał, że córka próbowała ubrać w logiczne ramy to, co ujrziała w Przebłysku. On miał takie same wizje i co więcej, słowa Andrin pasowały do tego, co obwieścił mu jego Osobisty Głos.

–Zgoda – przytaknął – Głosy to nie wszystko. Zanim jednak pomyślimy o podróży do Tajwany czy dokądkolwiek musimy się przygotować do dzisiejszego Konklawe. Weźmiesz w nim udział wraz z całą Tajną Radą. Chciałbym też, żebyś nie ograniczała się jedynie do słuchania. Twoja propozycja zorganizowania pomocy dla wdów i sierot bardzo mi się podoba. Będzie ich z pewnością aż nazbyt wiele i będą potrzebować różnorodnej pomocy – nie tylko pieniężnej. Jeśli zatem masz jakieś pytania lub inne pomysły to chcę je usłyszeć. Czy to jasne?

Andrin spojrzała na ojca zaskoczona lecz po chwili przytaknęła.

–To dobrze.

Cesarz zaprowadził córkę do stołu oznajmiając tym samym wszem i wobec, że od tego momentu Andrin stała się pełnoprawnym członkiem Tajnej Rady Imperium Ternathii. Zajęła swe miejsce ostrożnie. Wydawało się przez moment, że ma ochotę uciec, lecz opanowała się i wyprostowała w krześle. Uniosła głowę do góry. Ojciec był z niej bardzo dumny.

–A więc – powiedział wracając na swoje zdobne siedzisko teraz możemy zastanowić się nad przygotowaniem do multiwersalnej wojny o przetrwanie.

Rozdział 23

–Przepraszam, ale pan Kavilkan ma spotkanie i nie można mu przeszkadzać.

Sekretarka Jali Kavilkana powiedziała to raczej lodowato, a gdy w głosie Linar Wiltash pojawiał się lód większość ludzi kładła uszy po sobie. Davir Perthis nie położył. Był głównym Głosem USMS i zbyt zajmowało go opieranie się chęci rwania sobie włosów z głowy, by tracić czas na kładzenie uszu gdziekolwiek. Pochylił się, oparł dłonie na jej biurku i wysunął szczękę do przodu.

–Jeśli teraz mu nie przeszkodzisz to pod koniec dnia będziesz szukać nowej roboty. Rusz się, cholera!

Wiltash otworzyła szeroko oczy i wstała, sztywna z wściekłości. Przeszła nerwowym krokiem przez swoje okazałe biuro i zapukała w drzwi najświętszego ze świętych Uniwersalnej Sieci Medialnej Sharony.

–Czego? – zgodnie z jej przewidywaniami z wewnątrz rozległ się ryk tak wściekły, że drzwi zadrżały w zawiasach. Wiltash uchyliła je tylko o kawałek.

–Głos Perthis upiera się, że to bardzo pilna sprawa.

–Mam, kurwa, nadzieję. Chodź tu, Perthis!

Głos ruszył jak strzała. Gdy przekraczał próg poczuł miłe ukłucie satysfakcji. Szczęśliwie się złożyło, że na przerwany przez niego spotkaniu był Tarlin Bolsh, szef działu międzynarodowego USMS. Siedział właśnie na wielkim jak okręt biurku naprzeciwko szefa zarządu największego konsorcjum medialnego Sharony. Największego także w całym znanym multiwersum.

Javi Kavilkan jednak nie widział w tym zbiegu okoliczności nic szczęśliwego. Przynajmniej nie w tej chwili. Był niski i krępy. Jego twarz przypominała nieco oblicze otyłego dziecka. Poruszał się z wdziękiem temathiańskiego pancernika. Wyływał ze wszystkich krzesel, na jakich Perthis miał okazję go oglądać i w jakiś sposób wydawał się większy niż mężczyźni wyżsi od niego nawet o stopę. W tej chwili spoglądał swym wojowniczym, bezlitosnym wzrokiem dokładnie na Davira Perthisa.

–Więc? Co masz tak cholernie ważnego? – zapytał ostro.

Perthis zamknął za sobą drzwi. Domknął je starannie, aż usłyszał uspokajający dźwięk zaskakującego zamka. Wiltash miała uszy dokoła głowy i bezustannie dzięki temu informowała Kavilkana o wszystkim co działo się w siedzibie USMS. Tym razem jednak Perthis wiedział coś, o czym ona jeszcze nie miała pojęcia. Głos chciał, by tak właśnie zostało.

Kiedy upewnił się już, że gabinet był bezpieczny spojrzął prosto we wściekle oczy Kavilkana.

–Sharona znalazła się w stanie wojny – oznajmił beznamiętnie.

–Co??? – huknął Kavilkan skacząc do góry, niczym przerośnięta marionetka. Jego okrzyk wydał się Perthisowi dziwnie stłumiony, takiego jeszcze w wykonaniu szefa nie słyszał. Kavilkan prawie wszedł na swoje biurko. – Co to ma do diabła znaczyć? – zapytał sekundę później.

–Dokładnie to, co powiedziałem, proszę pana. Prowadzimy wojnę. Jeden z naszych zespołów badawczych został wycięty do nogi przez przedstawicieli nieznanej ludzkiej cywilizacji. Zarząd Portali nie wydał jeszcze oficjalnego oświadczenia i nie wyda, dopóki nie poinformuje rodzin poległych, ale Darł Elivath potwierdził tę informację u trzech swoich najbardziej zaufanych informatorów.

Urwał. Kavilkan skinął głową nakłaniając go, by nie przerywał. Elivath pracował dla USMS jako główny korespondent w Zarządzie Portali. Jego telepatyczny Talent był zbyt ograniczony, by mógł pracować w sieci dalekiego zasięgu, lecz wrażliwość i zdolność wychwytywania detali były oszałamiające. Natomiast o jego umiejętności docierania do wewnętrznych źródeł informacji krążyły dziennikarskie legendy. Nikt nic pamiętał sytuacji, by jakakolwiek zdobyta w ten sposób informacja Daria okazała się nieprawdziwa.

–Według Darla nikt nie przeżył – Perthis zauważył w swym własnym głosie niedowierzanie i załóżki gniewu. – Orem Limana chce krwi. SZZP już zaczęły się przemieszczać. To jednak nie wszystko. Na mocy swoich uprawnień zwołał zdalne Konklawe. Każdy z rządów Sharony – i kolonii z okolicznych wszechświatów – został o tym poinformowany jakieś dwadzieścia minut temu. Termin spotkania wyznaczono na trzecią trzydzięci czasu Tajwany. Użyją ASG.

Przez dobre trzy chwile Kavilkan stał jak wryty. Wyglądało to tak, jakby głos Perthisa obrócił go w kamień. Szczeka Tallina Bolsha ciążyła wyraźnie ku podłodze. Po jakimś czasie szef otrząsnął się jednak niczym wstający z błotnej kąpieli ricathiański hipopotam.

–I Darł jest tego wszystkiego pewny? – zapytał.

–Nie przychodziłbym, gdyby nie był – odparł Perthis. – Znasz zresztą Darła.

–A klauzula tajności? – spytał Bolsh. Perthis rzucił na niego okiem. Szef działu międzynarodowego skrzywił się paskudnie. – Wiesz, co robi z nami Zarząd, jeśli stwierdzą że złamaliśmy klauzulę tajności Głosów w tak poważnej sprawie, Davir.

–Powtórzę ci Tarlin. Wiem to od Daria – Perthis powiedział niezbyt miłym tonem.

–Wiem – odpowiedział Bolsh. Jego głos nie brzmiał może pojednawczo, a jednak nieco łagodniej. Perthis był znany z heroicznej walki o zachowanie wiarygodności swych Głosów. – Nie powiedziałem przecież, że złamał tę klauzulę. Chciałbym tylko wiedzieć, czy w razie czego będziemy to w stanie udowodnić.

–Jestem pewien, że będzie w stanie to zrobić przed każdym trybunałem, jeśli tylko znajdzie taka potrzeba. – odparł Pelthis. Kavilkan energicznie skinął głową.

–Mi to wystarcza – obwieścił, po czym zmarszczył oczy prostując się w miejscu. W jego oczach widać było szaleńczą gonitwę myśli. – O trzeciej trzydzieści, tak?

–Tak, proszę pana – przytaknął Perthis. – Wyobrażam sobie jak będą wściekli z powodu tak nagłego Konklawe.

–Nie musisz mi tego mówić – prychnął Kavilkan. – Pytanie tylko jak szybko mamy to wypuścić.

–Wydaje mi się, Jali, że tu trzeba działać ostrożnie – powiedział Bolsh. Szef spojrzał na niego i dziennikarz wzruszył ramionami. – Jeśli sprawa jest poważna na tyle, że Limana zwołuje Konklawe to już nie są żarty. Nie chodzi tylko o to, że kogoś wkurzymy publikując informację wcześniej, niżby sobie tego życzyli. Tu chodzi bardziej o to, co tak naprawdę się dzieje. Musimy to wiedzieć, zanim cała planeta pozna materiał. Teraz wiemy tylko tyle, co powiedział nam Darł i z całym szacunkiem dla jego profesjonalizmu, myślę że powinniśmy to jeszcze potwierdzić. Tu chodzi o wszechświatową wojnę z zupełnie nową transuniwersalną cywilizacją.

Kavilkan groźnie zmarszczył brwi, ale nie rzucił się Bolshowi do gardła. Zacisnął tylko oczy i przez parę sekund myślał w milczeniu. Wreszcie kiwnął głową sam do siebie i ponownie spojrzał na Perthisa.

–Tarlin ma rację. W tej sytuacji musimy wszystko sprawdzać po dwa razy. Czy ktokolwiek poza Darłem coś o tym wie?

–Jeszcze nie – odparł niechętnie Perthis. Tego rodzaju informacja była marzeniem każdego człowieka mediów i myśl o zachowywaniu tajemnicy choć o dwie minuty dłużej bardzo go męczyła. – Ale to nie potrwa długo. Zresztą może już wiedzą – dodał. – Limana zwołał Konklawe przez ASG i sam fakt użycia tej sieci wkrótce trafi do ludzi. Konkurencja zacznie węszyć...

–To jasne – zgodził się Kavilkan. – Ja wcale nie mówię, że nie musimy – się do tego zacząć przygotowywać natychmiast.

Szarpnięciem otworzył szufladę i wyciągnął dokument, w którym Perthis rozpoznał szkic kryzysowy USMS – listę zawierającą kontakty z każdym, z ośrodków USMS na Sharonie, a także mężczyzn i kobiet, z którymi należy porozumiewać się w

podobnych sytuacjach w pierwszym rządzie. Każda z wymienionych osób miała swoje własne listy, z nazwiskami ludzi, którzy tworzyli drugi stopień systemu. Dzięki temu – i dzięki wykorzystaniu wewnętrznej sieci Głosów USMS – dowolna wiadomość była w stanie dotrzeć do każdego zakątka świata w ciągu kilku minut.

–Postaw ich od razu w gotowości – poinstruował Perthisa wręczając mu listę – i zacznij przygotowywać komunikat. Zrób dwie wersje. W jednej załóż, że mamy na to wyłączność, w drugiej, że dowiedziała się o tym przynajmniej jedna konkurencyjna firma.

Perthis skrzywił się, lecz skinął głową. Kavilkan nigdy nie grał tak ostrożnie. Z drugiej jednak strony bardziej gorący temat nie pojawił się na przestrzeni ostatnich osiemdziesięciu lat, więc w sumie rozważa w działaniach szefa była w pewien sposób uzasadniona. Perthis wiedział też, że jeżeli to on się tym zajmie, żadna z konkurencyjnych agencji nie będzie miała nawet dostępu do wiadomości przekazywanych przez USMS. Ich serwisy docierały do ponad siedemdziesięciu procent populacji Sharony – w tym do prawie osiemdziesięciu pięciu procent Utalentowanych odbiorców. Nawet gdyby któremuś konkurentowi udało się ogłosić temat wcześniej niż im, rozległa sieć kontaktów i informatorów USMS po chwili przytłoczy go samą tylko szczegółowością informacji.

–Ruszaj. Nie pomiń niczego, co powiedział ci Darł – ciągnął Kavilkan. – Jeśli oficjalny komunikat nie pojawi się do trzeciej czasu Tajwany to puścimy to, co uda nam się do tej pory potwierdzić.

–Jasne, proszę pana – przytaknął Perthis z dużo większym entuzjazmem niż jeszcze przed chwilą i podał szefowi kartkę z pospiesznie napisanym tekstem. – W zasadzie to już zacząłem. Miałem nadzieję, że wykorzystamy to w pierwszym serwisie, a potem połączymy się telepatycznie z siedzibą Zarządu. Darł jest na miejscu z reporterem, w razie gdybyśmy chcieli zrobić wejście na żywo. Powinniśmy też zaprosić kogoś na setkę. Może jakiegoś emerytowanego członka zespołu badawczego? Przydałaby się opinia eksperta. Ludzie to kupią.

–Kogo bierzemy? – zapytał Kavilkan i zaraz odpowiedział sam sobie – Gortho Sandricka – wymienił nazwisko człowieka, którego wybrał także Perthis. Szef spojrział na Bolsha. – On pracuje w twoim dziale, prawda Tarlin? Czy on nie był czasem szefem zespołu badawczego zanim zaczął pracować w USMS?

–Był. Przez dwanaście lat – przytaknął Bolsh kiwając głową. – Potem złamał obie nogi. Osunęła się ziemia.

Kavilkan spojrział na przygotowany przez Perthisa tekst. Mruknął pod nosem.

–Tak – powiedział prawie do siebie. – Dobra robota, Davir – oddał Głosowi kartkę. –

Niech wywiad z Gortho przeprowadzi Babcia Sholli. W tej historii potrzeba kobiecego podejścia, a Sholli najlepiej przygotowuje historyjki o ludzkich tragediach. Babcię lubią wszyscy. A cały materiał niech robi Nithan Dursh. On potrafi przykuć uwagę i ma odpowiedni wygląd. No i uspokajający głos.

–O ile ktokolwiek będzie mógł ich uspokoić po tym jak nadamy informację – zauważył Bolsh. Kavilkan zaklął.

–Ogólnoświatowa panika to ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebuje Sharona. Musimy ją za wszelką cenę zminimalizować. A Nithan nadaje się do tego jak nikt inny – przecesał dłonią swe stalowoszare włosy. – Na bogów i gromy, w co myśmy kurwa wdepnęli? No już! Nie stójcie i nie próbujcie mrodpowiadać, bo tu i tak nikt nie zna odpowiedzi. Ruszać się! Do roboty. Aha, Davir...

–Tak?

–Cholernie dobra robota. Tarlin. Daj to na nagłówek każdej naszej gazety. Trzeba to wcześniej przygotować, więc zacznij od razu. Przed trzecią wydań specjalnych nie zdążymy przygotować. I powiedz wszystkim, nawet facetom ze składu, że jeśli ktokolwiek piśnie choć słowo zanim na to osobiście wyrażę zgodę to już nigdy nie znajdzie pracy w zawodzie.

–Jasne – potwierdził Bolsh. Jak wszyscy obecni wiedział, że ostatnie zdanie Jali Kavilkana nie było metaforą.

–Wyciągnijcie od ludzi z Zarządu co się tylko da. Resztę możemy oprzeć na spekulacjach. Ale z głową. Tylko niech, cholera, będzie jasne, co pochodzi od nich, a co dośpiewaliśmy sami. A kiedy już się tym zajmiecie...

Perthis nie został by wysłuchać reszty tego, co Kavilkan mówił Bolshowi. Zajmował się transmisjami Głosowymi, a nie drukiem. Czekало go mnóstwo pracy.

Niemal biegiem wyminął zaskoczoną sekretarkę nawet na nią nie patrząc. W mediach pracował od czterdziestu trzech lat. Przez cały ten czas nie wydarzyło się nic – nawet wybuch Juhali – co dorównywałoby tej historii. Biegając przez kolejne korytarze budynku USMS planował, zastanawiał się, których Głosów przeznaczyć do współpracy reporterom w stolicach Sharony. Musiał zapewnić relacje z wystąpień polityków, których na pewno wkrótce będzie pełno.

W innych okolicznościach cieszyłby się jak nigdy. Nikt inny nie miał jeszcze tego materiału. Zamiast czuć euforię zastanawiał się jednak gorączkowo nad tym, w co – używając sformułowania Kavilkana – wdepnęli. O tym, co zrobią i jacy okażą się obcy nie chciał nawet myśleć. Nie był przyzwyczajony do tego niepokojącego uczucia w żołądku, które właśnie odczuwał. Zrozumiał, że był to strach. Nagi, pierwotny, paskudny strach. Bał się nieznanego. Bał się tamtej innej cywilizacji, która przecież

nie miała nawet prawa istnieć. Nie był przyzwyczajony do strachu. Nie podobało mu się to. I to bardzo.

Dużo bardziej podobała mu się wściekłość, która przebijała miejscami spod warstw lęku. Wściekłość na tych, którzy odważyli się napaść na Sharonian. Gniew na żołnierzy, którzy bez powodu i bez cienia człowieczeństwa wymordowali grupę cywilów. Takie barbarzyńskie postępowanie nie zasługiwało na nic innego, tylko na zdecydowaną, zbrojną odpowiedź. Sharona powinna zareagować tak samo ostro i brutalnie. Wyszczrzył zęby. Jego oczy nabiegły stałą. Zapiekle wściekłość, która go opanowała nie była niczym przyjemnym, lecz o niebo wolał czuć ją, niż panikę i strach. Wiedział, że ludzie powinni żądać sprawiedliwości i pomsty. Nie było dobrze, jeśli chowali się po kątach jak przerażone króliki.

Skrzywił się, gdy o tym pomyślał. Znał polityków. Znał ich na tyle dobrze, by rozumieć, że nastąpi katastrofa. Nie wierzył, by rządzący mogli odłożyć na bok swe własne, partykularne waśnie i zrobić, to czego wymagała sytuacja. Dyrektor naczelny Zarządu Portali był odpowiednim człowiekiem. Zawsze działał zdecydowanie, ale sam Zarząd nie był w stanie podołać tak poważnemu kryzysowi. Nie posiadał uprawnień, by dowodzić odpowiednio wielkimi masami ludzi i zaopatrzenia w każdym zakątku multiwersum. W każdym wszechświecie Sharony.

Sharona potrzebowała rządu światowego – silnego rządu światowego. A także odpowiednio doświadczonego przywódcy, który podołałby zadaniu kierowania ogromną ilością ludzi pochodzących z różnych kultur. Kogoś wychowanego w wojskowej tradycji, a zarazem osoby szanującej i zapewniającej zachowanie sprawiedliwości. Davirowi Perthisowi do głowy przychodziła tylko jedna, jedyna taka osoba. Za to znał aż dwóch ludzi, którzy bardzo by chcieli nadawać się do tego zadania – a żadnemu z nich nie powierzyłby nawet pilnowania dziecięcego kieszonkowego, nie mówiąc już o globalnym supermocarstwie.

„Przyjadą do Tajwany” – pomyślał. – „Przyjadą i zaczną się spierać, co począć w obliczu kryzysu. A także o to, komu powierzyć decyzje, które z oczywistych powodów należy podejmować szybko.”

Tajwana stanowiła logiczny wybór miejsca na takie spotkanie. Niemal wszystkie międzynarodowe – i międzywszechświatowe – instytucje miały w tym mieście swoje siedziby. Choćby sam Zarząd Portali. Poza tym Tajwana dysponowała infrastrukturą umożliwiającą organizację podobnego zjazdu. Co więcej – istniały też powody historyczne. Żadne inne miasto nie było nigdy stolicą imperium zajmującego dwie trzecie planety.

A kiedy już wszyscy zbiorą się w Tajwanie, Davir Perthis otrzyma swą życiową szansę.

Nadszedł czas by pobudzić do działania zwykłych ludzi, należało zalać przywódców powodzią żądań. Wszyscy powinni żądać natychmiastowej reakcji i utworzenia silnego, niewzruszenie uczciwego, światowego rządu. Na jego usta wypłynął chłodny uśmiech, nie zaciskał już warg tak ponuro. Jako szef działu USMS miał odpowiednią władzę, by tę sprawę postawić na forum publicznym w taki sposób, żeby nikt się nawel nie zorientował. Co sprytniejsi szefowie USMS używali co jakiś czas podobnych sztuczek już od dziesiątków lat. Teraz zamierzał zrobić to Perthis. Co więcej – on miał o wiele poważniejszą bardziej istotną motywację, niż wszyscy jego poprzednicy.

Skręcił po raz ostatni i znalazł się na powrót w swoim królestwie. Krzykiem zaczął wydawać pracownikom kolejne dyspozycje. Ludzie biegali dokoła niczym mrówki. Rzucił się na miękkie, wygodne krzesło za biurkiem i zaczął coś szybko, pospiesznie notować. Kolejni ludzie wchodzili i wychodzili z gabinetu. Ołówek migał wściekle w dłoni Perthisa, całkowicie skupionego na nowym projekcie. Usilnie starał się nie myśleć o jedynym synu swej siostry, który gdzieś tam pracował w zespole badawczym.

* * *

Podróż przez AST nie była wycieczką marzeń.

W jednej chwili Halidar Kinshe patrzył na konsolę, przy której Odźwierny AST siedział z zamkniętymi oczami, skoncentrowany by wysłać go z Tajwany do terminalu sieci w Sethdonie około tysiąc czterysta mil dalej. Potem nastąpił moment powalającego osłabienia, zawrotów głowy i skręcających kiszki miłości. Zupełnie jakby prześlizgiwał się na gigantycznej zjeżdżał ni z jednej pustki w drugą.

W następnej chwili stał roztrzęsiony, niepewny na kolejnej platformie. Mrugał zaskoczonymi oczyma i oglądał zupełnie inną osobę.

–Nie, proszę jeszcze nie próbować chodzić – powiedział młody mężczyzna pomagając Kinshemu zachować równowagę. Proszę poczekać, aż uspokoi się błędnik. Pańskie ucho środkowe myśli, że nadal jest w Tajwanie.

Kinshe poczuł się lepiej, kiedy zobaczył obok Samarię Wilkona. Potężnego faceta, Głos z Faltharii. Mężczyzna był od niego wyższy niemal o stopę, lecz podobnie jak on sam opierał się na ramieniu pracownika obsługi.

–To było bardzo... dziwne – wykrztusił wreszcie Kinshe powoli odzyskując równowagę i oddech. Odźwierny uśmiechnął się do niego przyjaźnie.

–Większość tak mówi, proszę pana – powiedział.

–Aco z mniejszością?

–Ci zwykle klęczą i są zbyt zajęci wymiotami i rzucaniem wyzwisk, by wygłaszać jakieś dodatkowe komentarze – pomocnik uśmiechnął się jeszcze szerzej. Kinshe także roześmiał się na krótko.

–To jak? Próbujemy zrobić kilka kroków? – zapytał Odźwierny. Kinshe skinął głową. Pomocnik sprowadził go ostrożnie z platformy teleportacyjnej na podłogę. Kolana ciągle się pod nim uginały, niemniej działały jak zwykle. Zanim zdążyli przejść przez salę poczuł się już prawie normalnie. Wilkoń, ze zmieszaniem nadal malującym się na twarzy, szedł tuż za nim.

–W lobby czeka pańska żona, panie Kinshe. Powóz także jest już gotowy. Przed budynkiem – oznajmił pomocnik, który właśnie zabrał ręce, by przekonać się, czy podróżny będzie w stanie iść o własnych siłach. Okazało się, że tak. Z każdą chwilą chodzenie szło mu łatwiej.

–Dziękuję bardzo – odpowiedział ściskając Odźwiernemu rękę na pożegnanie. – Żałuję, że nie mogę powiedzieć, skąd taki pośpiech.

–Tutaj jesteśmy przyzwyczajeni do nagłych wypadków, proszę pana – znów uśmiech.

Kinshe odpowiedział własnym, nieco zbyt wymuszonym uśmiechem. „Także i ten młody, miły chłopak już wkrótce dowie się wszystkiego” – pomyślał i natychmiast stracił dobry humor.

–Samari? Gotowy? – zapytał oglądając się na telepatę.

–Tak jest – odparł wielki Faltharianin. – Ruszamy. Jeszcze mamy szansę zdążyć.

Kinshe skinął, otworzył drzwi i wyszedł do holu. Alimar – jego żona – czekała z niepokojem w oczach. Tym razem nie pojechała z nim do Tajwany, ponieważ miała za dużo pracy. W ciągu roku szkolnego zawsze zwiększało się zapotrzebowanie na Uzdrowicieli – nawet tych ze względnie słabo rozwiniętym Talentem, jak jej.

Alimar nie posiadała takich zdolności ani siły fizycznej, jakie rozwijali znakomici, teleempatyczni Uzdrowiciele. Świetnie sobie jednak radziła ze zwykłymi stłuczeniami i skaleczeniami, jakich uczniowie nabawiali się na szkolnych placach zabaw, a jej wyczulenie na emocje innych sprawiało, że doskonale pracowało się jej z dziećmi, które nie zawsze potrafiły jeszcze opisać dokładnie swych dolegliwości. Kinshe poinformował ją o swym przybyciu wcześniej rano. Poprosił ją, by w dalszą drogę wybrała się razem z nim, gdyż zanim zajdzie słońce jej zdolności uspokajania i zwalczania skutków stresu mogą okazać się bardzo potrzebne.

Nie wiedziała jednak jak bardzo, ani dlaczego.

Przytulił ją i trzymał tak kilka chwil. Uścisnął ją mocniej, kiedy w jego umyśle pojawiły się obrazy zniszczenia i wojny. Na myśl o hordach barbarzyńców przelewających się przez portal Tathavir i rozlewających się po całym świecie, siejących mord i pożogę, poczuł przeszywający, lodowaty dreszcz. Teraz, gdy miał żonę w objęciach zagrożenie nabrało nagle realnego – zbyt realnego i zbyt osobistego – kształtu.

–Co się stało, Hal? – spytała wystraszona, wyczuwając dzięki Talentowi emocje męża, a może nawet ich przyczynę.

–Nie tutaj, kochanie – mruknął. – Dopiero, kiedy zostaniemy sami.

Zagryzła wargę i skinęła głową. Od dawna nauczyła się już akceptować fakt, że praca męża – zarówno w Zarządzie Portali, jak i parlamencie Shurkhal oznaczała często trzymanie języka za zębami. Nie wszystkim mógł się z nią dzielić. Nie – jeśli nie chciał zagrozić niepodległości i bezpieczeństwu Shurkhal.

Kinshe wiedział jednak, że i to miało się wkrótce zmienić. O ile nie mylił się w ocenie sytuacji, Shurkhal już niedługo przestanie być niezależnym państwem. Tego także nie mógł jej zdradzić, więc poprowadził ją jak wyjsciu.

Po chwili zatrzymał się w pół kroku.

Przy drzwiach stał wielki książę koronny Danith Fyysel.

–Wasza wysokość? – wydusił z siebie zaskoczony.

–Mój ojciec uznał za stosowne, bym pojechał z panem – wyjaśnił Danith. Kinshe wzięła głęboki oddech i skinęła głową.

–Dziękuję, wasza wysokość – zdobył się na uśmiech. – Obawiałem się, że pański ojciec będzie nalegać na towarzystwo całego orszaku.

Uśmiech młodego arystokraty nie trwał długo – co w podobnych okolicznościach nie było niczym dziwnym – lecz wyglądał niezwykle ciepło.

–Udało mi się wyperswadować mu to – odparł. – Ambasador i tak będzie w złym stanie. Nie są jej potrzebni tłoczący się bezużytecznie dokoła dworzanie.

–Dziękuję – powtórzył Kinshe i raz jeszcze odetchnął. – Podobno powóz już czeka?

–Owszem. Pociąg także – na dworcu Fyysel.

Alimar Kinshe widząc księcia otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. Teraz, kiedy usłyszała rozmowę Danitha z mężem rozszerzyły się jej jeszcze bardziej.

–Co się...? – zaczęła lecz urwała w pół słowa i zarumieniła się ze wstydu. –
Przepraszam. Już nie zapytam.

–Chodźmy do powozu powiedział Kinshe. – Wszystko wyjaśnię ci w pociągu.
Wyjaśnię wam obojgu.

Książę z chmurną miną pochylił głowę i poprowadził oboje na zewnątrz. Powóz
rzeczywiście już czekał – królewska karetka pilnowana przez szwadron Kawalerii
Rodu.

–To moja sprawka – wyjaśnił książę, kiedy wraz z Kinshem czekali aż otworzą dla
nich drzwi. – Nie, pani KinsheFalis, pani przodem – powiedział widząc wahanie
Alimar. – Nalegam – dodał.

–Dziękuję – powiedziała cicho i Kinshe pomógł jej wsiąść.

Za nią wsiadł do powozu Danith i Kinshe. Na końcu wdrapał się do środka Wilkoń.
Gdy tylko zamknęły się drzwi stangret cmoknął na konie. Cztery wspaniałe
gniadosze zareagowały natychmiast. Lokaj wskoczył na próg i powóz wraz z
kawalerzystami ruszył w drogę.

Stacja AST Sethdona znajdowała się w samym sercu stolicy. Pomędzy budynkami
pałacu i parlamentu. Do stacji kolei także nie było stąd zbyt daleko. Całe szczęście o
tej porze dnia ruch nabył intensywny. Niedługo więc dotarli na dworzec i powóz
skręcił na specjalną drogę, zarezerwowaną dla zagranicznych gości.

Dowódca eskorty wiedział co należy zrobić i podjechali bel pośrednio do
właściwego toru. Karetka zatrzymała się przy w a gonie pasażerskim z obu boków
oznaczonym królewskim hu bem. Za nim doczepiono jeszcze trzy inne, tym razem już
standardowe, wagony. W jednym czekał powóz zorganizowa ny wcześniej przez
Danitha. Drugim miała pojechać ochrom księcia, a trzeci – jak podejrzewał Kinshe –
przeznaczony był dla pospiesznie zebranej obsługi pociągu.

Lokaj otworzył drzwi i Kinshe wysiadł pierwszy. Pomógł zejść po stopniach żonie i
zaczekał na Danitha. Książę popro wadził ich do specjalnego wagonu. Kinshe
spojrzał na cicho sapiącą lokomotywę ze zdumieniem.

–To Paladyn, nowy model – wyjaśnił cicho książę Danith Kinshe spojrział na
arystokratę i zobaczył w jego oczach błysk fascynacji.

–Obawiam się, że nie wiem tak wiele o lokomotywach jak wasza wysokość –
przyznał Kinshe. – Uwielbia je dyrektor Limana, ale ja zajmuję się raczej
zarządzaniem personelem niż taborem transportowym.

–Paladyn jest w zasadzie trochę za duży do naszych celów, ah niczego lepszego w

tak krótkim czasie nie udało się zorganizować.

–Za duży, wasza wysokość?

–Na cztery wagony? – zachichotał Danith i pomachał wdzięcznie dłonią w kierunku czarnobrunatnego monstrum na torach To jest 4104, Halidarze. Około sześciu tysięcy koni mechanicznych. Na płaskim terenie – czyli prawie wszędzie w Shurkial Paladyn porusza się z prędkością ponad stu mil na godzinę z pełnym składem pasażerskim! Oczywiście na odpowiednich torach.

Kinshe aż zamrugał. Rzeczywiście duża maszyna jak na cztery wagony.

–Ojciec uprzedził nadzorców ruchu, że czas jest teraz najważniejszy – ciągnął już mniej radośnie książkę. – A na całym Sharonie nie znaleźlibyśmy szybszej lokomotywy.

Kinshe także spochmurniał, przypominając sobie powód podróży, i skinął głową. Po chwili wsiedli do najbardziej ekskluzywnego wagonu, jaki w życiu widział. Słudzy zaprowadzili ich na miejsca i przynieśli napoje. W tym czasie członkowie obsługi pociągu i eskorta wraz z końmi wchodzili do swoich wagonów. Po dziesięciu minutach Paladyn wydał z siebie głuche sapnięcie, wypuścił obłok pary i ruszyli.

Póki tory prowadziły przez miasto lokomotywa poruszała się dostojnie, lecz gdy tylko wyjechali na otwartą pustynię zaczęli gwałtownie przyspieszać. Prędkości nie było czuć w wagonie, lecz kiedy Kinshe zerknął przez okno na umykające z tyłu tory zrozumiał, że książkę ani trochę nie przesadził opowiadając o możliwościach maszyny.

Podróż z taką szybkością stanowiła niezwykle i oszałamiające przeżycie. Kinshe nie miał ochoty myśleć o tym, co czekało na niego u kresu podróży, choć rozumiał, że takie nastawienie jest jedną z form tchórzostwa. Poza tym on wiedział wszystko. Tymczasem powód tak szaleńczej jazdy należało jeszcze wytłumaczyć Alimar.

Powiedział jej.

–Co zrobili? – oczy zazwyczaj łagodnej i czulej kobiety nabiegły najczystsza furia. – Zamordowali niewinną dziewczynę? To jakieś potwory! Musimy ich ukarać! Wytropić jak dzikie szakale i ukarać!

–Zgadza się – przytaknął Kinshe ponuro. – Trzeba to zrobić i tak się też stanie. Być może zresztą już się tak stało. Nie zapominaj, że nasze informacje mają tydzień. Wysłano już przecież żołnierzy, którzy mieli potwierdzić te doniesienia i odszukać tych, którzy ewentualnie przeżyli. Myślę, że do tej pory doprowadzili już do kontaktu... jakiegokolwiek rodzaju kontaktu. Daję ci słowo Alimar, ci, którzy dopuścili się takiej potworności nie ujdą sprawiedliwości.

Mówiąc pochwycił wzrok księcia Danitha. Następca tronu nie miał jeszcze żony. Miał jednak siostry. Spojrzenie, jakie wymienili stanowiło przysięgę – od tej pory krew i zemsta gwarantowały, że nie zginie już ani jedna Shurkhalanka. Ani jedna.

Kinshe nie mógł przestać zastanawiać się co powie na Konklawe król Fyysel. Dzięki swemu zaangażowaniu w prace palamentu wiedział, że księżę dzieli wiele z politycznych poglądów ojca, ale z drugiej strony, jeśli Sharona otrzyma w wyniku głosowania rząd światowy, Danith straciłby tron.

–Rozmawiałem już z ojcem o najważniejszych punktach n;iego wystąpienia na Konklawe, pośle Kinshepowiedział ksia że, jakby czytając Kinshemu w myślach. Jego ton brzmiał lak oficjalnie, jak tytuł, którym zwrócił się do towarzysza. Ojciec wyraźnie polecił mi podzielić się nimi z panem, jako członkiem parlamentu i jednym z dyrektorów Zarządu Portali. Obaj wiemy, że Sharona potrzebuje teraz rządu światowego. Jednocześnie ojciec nie zapomina o swej przysiędze krwi, którą złożył ślubując, że Shurkhal nigdy nie dostanie się pod władanie Uromathii. O ile dobrze pamiętam powiedział wtedy: „Wolę śmierć od Uromathii”.

–To słowa, których można spodziewać się po pańskim ojcu, wasza wysokość. Choć bardzo delikatne – zauważył Kinshe. Księżę skrzywił się nieznacznie.

–Zna go pan bardzo dobrze. Chciałem jednak jasno powiedzieć, jeszcze zanim dojdzie do głosowania, że w pełni popieram stanowisko ojca. Przetrawanie Sharony jest daleko ważniejsze od zasiadania w jakimś wymyślnym krześle.

–Wasza wysokość – odezwała się cicho Alimar Kinshe-Fais, zanim jej mąż zdążył otworzyć usta – to, co pan przed chwilą powiedział, stanowi najwyższy dowód, że to krzesło nie trafiłoby w niepowołane ręce.

Danith Fyysel spojrział na nią zaskoczony i zaczerwienił się na chwilę. On – księżę koronny Shurkhal. Wreszcie uśmiechnął się nieśmiało.

–Dziękuję bardzo, pani Kinshe-Falis – odparł. – Nikt i nigdy nie obdarzył mnie wspanialszym komplementem.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-01-05

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/